

**Ju Honisch**

# **Obsydianowe serce**

*Tłumaczył Robert Kędzierski*

## **Moje podziękowania:**

*Szczere uściski za pomoc przy zbieraniu informacji oraz za czytanie tekstu i opinie dla Aleksa, Alexy, Anke, Christine, Debory i Tanyi. Wyrazy wdzięczności cudownemu mistrzowi Brumowi za odkrycie wspaniałego nowego starego świata oraz Tanji i Holgerowi za odkrywczę podróżę po nim.*

## Europa, 1865

Monachium, stolica Królestwa Bawarii.

To nie jest powieść historyczna, choć tło historyczne się zgadza i niektóre ze wspomnianych postaci, jak na przykład król Ludwik II czy też jego premier, Ludwig von der Pfordten, są prawdziwe.

Ten świat jednak trochę różni się od tego, który znamy z historii. Możliwa jest tu magia, która – choć nie jest na porządku dziennym – jest jednak czymś, co istnieje i z czym trzeba się liczyć. Powszechnie uważa się, że w sprawach magii najlepiej nie być zbyt wścibskim. Ludzie aż nazbyt chętnie ignorują ją w codziennym życiu. To coś, o czym się nie mówi. W tamtych czasach wspomnianie o tym było równie łatwe jak rozmowa o seksie.

Żyją w tym świecie baśniowe istoty. Nazywa się je feyonami lub Sí. O ich talentach i zdolnościach prawie nic nie wiadomo, jeszcze mniej zaś o tym, wobec kogo są lojalne i jakie mają cele. Nikt nie wie też, skąd pochodzą. Może istniały od zawsze?

Niektóre z nich są przychylnie ludzicom bądź też pozostają neutralne, inne nastawione są wrogo. Najlepiej ich unikać.

Ponieważ Sí nie ma wiele, ludzie wolą wierzyć, że wzmianki o nich to zabobony, niewyplenione przez wiek rozumu. Polityka jest sprawą złożoną, z reguły jednak pozostaje nietknięta przez magię. Moce te w opinii ludzi, dla których honor stanowił jeszcze dużą wartość – nawet jeśli ich sztywny, czasem pozbawiony serca kodeks honorowy jest dzisiaj dla nas trudny do zrozumienia – były zbyt niesamowite, zbyt niewiarygodne, nieprzewidywalne, a nawet nieuczciwe.

To epoka odkryć i imperializmu. Cywilizowany Europejczyk bezkrytycznie uznawał najwyższą warstwę społeczną za koronę stworzenia. To zaś mógł robić jedynie tak długo, jak długo nie wierzył w istnienie stworzeń, których możliwości znacznie przekraczały jego własne.

Była to epoka entuzjazmu, lecz jednocześnie dominacji mężczyzn, a także okres światowego wyzysku. Był to świat pozorów, w którym

blaski luksusowego życia na pokaz były ważniejsze niż otwarta postawa czy też świadomość społeczna.

Ludzie, jak we wszystkich czasach, mieli swoje problemy i cele, starali się radzić sobie z życiem, przy czym w znacznej mierze próbowali nie dostrzegać tego, czego nie chcieli widzieć. Zajmowali się pracą, chcieli się zakochać albo korzystnie wyjść za mąż czy też się ożenić.

I tylko czasami, jeśli mieli wielkiego pecha, bywali wplątywani w sprawy, których najchętniej w swej rzeczywistości by nie dostrzegali.

Bo przecież ówcześni ludzie nie różnili się aż tak bardzo od nas.

## Postacie:

**Król Ludwik II Bawarski** – król Bawarii, urodzony 25 sierpnia 1845 roku na zamku Nymphenburg, w letniej rezydencji bawarskiego dworu królewskiego. Zmarł w czerwcu 1886 roku

**Baron Ludwig von der Pfordten** – najpierw minister spraw zagranicznych Królestwa Bawarii, w latach późniejszych premier (1849-1859 i 1864-1866)

**Biskup Monachium i Fryzyngi** – głowa starego biskupstwa, katolickiego centrum władzy w Bawarii

**Lord Garingham** – brytyjski ambasador w Monachium

**Ojciec Emanuele** – rzymski ksiądz i członek Bractwa Światła (Fraternitas Lucis)

**Graf Arpad** – węgierski szlachcic, Sí lub feyon

**Müller** – agent

András – węgierski bojownik o wolność Szekely – również węgierski bojownik o wolność

**Corrisande Anthea Jarrencourt** – młoda dama szukająca odpowiedniej partii

**Mrs Eliza Parslow** – przyzwoitka i towarzyszka Miss Jarrencourt

**Marie-Jeannette Bouchard** – pokojówka Miss Jarrencourt

**Joseph „Sepp” Hinterhuber** – pomocnik portiera

**Cérise Denglot** – słynna śpiewaczka operowa

**Madame de Rhins-Epitue** – wpływowa francuska dama

**Podporucznik Udolf von Görenczy** – oficer Królewskiego Bawarskiego Trzeciego Pułku Szwoleżerów „Książę Karl-Theodor”

**Podporucznik Asko von Orven** – oficer Królewskiego Bawarskiego Pierwszego Batalionu Jegrów „Król”

**Pułkownik Delacroix** – oficer brytyjskiego pułku kawalerii, agent do zadań specjalnych

**Wiatrochod** – niezwykły feyon

**Alexander Vonderbrück** – mistrz sztuk tajemnych

**Dr Steinberg** – lekarz

**Mr Aengus McMullen** – brytyjski mistrz sztuk tajemnych

**Baron von Perfall** – nadworny dyrektor muzyczny, główny dyrektor Teatru Monachijskiego, w późniejszych czasach faktyczny dyrektor nadwornego teatru, od 1872 roku główny zarządca wszystkich teatrów Królestwa Bawarii

**Creszenz** – praczka

**Sir Desmond Jarrencourt** – ojciec Miss Jarrencourt

**Mr Javrau, znany też jako „Król”** – przywódca działającego w wielu krajach gangu przemytników

**Hugo de Lacy** – francuski dżentelmen, dawny narzeczony Miss Jarrencourt

**Dupont** – przedstawiciel Javrau w Monachium

**Obermair** – właściciel sklepu z akcesoriami magicznymi

**Franz Nachbaur** – tenor opery w Monachium

**Brat Giuseppe** – mnich, członek Bractwa Światła

**Brat Michael** – mnich, członek Bractwa Światła i mistrz wiedzy tajemnej

**Sir Charles Fairchild** – były kapitan, obecnie armator, dożywotni członek Izby Lordów

**Grotian** – ojciec chorej dziewczyny

## Wstęp

Pięciu mężczyzn zasiadło przy stole. Sprawiali wrażenie, jakby zamierzali jedynie napić się wina w męskim gronie. Jednym z nich był młody król, który wyglądał właśnie tak, jak ludzie wyobrażają sobie króla: ciemnowłosa, o jasnych oczach, romantyczny i bardzo młody. Obecny był również jego premier, Ludwig von der Pfordten, poważny, świadomy swych obowiązków mężczyzna po pięćdziesiątce. Przy stole siedział też biskup Monachium i Fryzyngi. Ci trzej byli Bawarczykami. Naprzeciw zasiadał ambasador brytyjski, lord Garingham, oraz odziany w czarną sutannę mężczyzna.

– Wasza Wysokość, Ekscelencje, moi panowie – mężczyzna w czerni miał włoski akcent – sprawa jest zdecydowanie zbyt ważna, abyśmy mogli pozwolić sobie na brak jednomyślności. Ktoś ukradł rękopis. Podobno, jeśli wierzyć pogłoskom, za jego pomocą stworzyć można połączenie z podziemiem, co umożliwi złym mocom dostęp do naszego świata. Mamy powód, by zakładać, że chodzi tu o coś więcej niż tylko legendę. Ten rękopis może nam zagrażać. Musimy go znaleźć. Czy jesteśmy co do tego zgodni?

Król Ludwik potaknął skinieniem głowy, podobnie jak jego premier i biskup. Jedynie Garingham zmarszczył czoło i zabrał głos:

– Mój drogi, hmm, *padre*. Od czterystu lat rękopis ten był strzeżony w Anglii. To oczywiste, że tam też powinien się znowu znaleźć. Wiemy, jak jest niebezpieczny. Naszym zadaniem, a więc zadaniem Anglii, jest go odzyskać. I w istocie wiemy, gdzie znajduje się on obecnie. Wkrótce znów będzie w naszych rękach. Mogą panowie być tego pewni...

Król Ludwik mu przerwał.

– Wysłaliście do naszego kraju szpiega? – Wypowiadając te słowa, przyglądał się ambasadorowi raczej z zaciekawieniem niż z irytacją.

Ten skulił się z lekka. Spojrzenie jego jasnoniebieskich oczu powędrowało od młodego władcy do von Pfordtena.

– To żaden szpieg. Jest ekspertem w wykrywaniu intryg i tym

podobnych niedogodności. Jego dotychczasowe dokonania świadczą, że świetnie nadaje się do takiego zadania.

Mężczyzna w czerni uśmiechnął się. Jego uśmiech miał raczej zaniepokoić obecnych, niż ich uspokoić.

– Wiem. Znam go. Być może jest pan tego nieświadomy, ale w znacznej mierze przyczyniliśmy się do jego wyszkolenia. To był naprawdę smutny dzień, kiedy nas opuścił.

Garingham był zły. Nie brał pod uwagę, że działania podjęte przez jego kraj nie są już tajemnicą. On sam dopiero kilka godzin wcześniej został poinformowany, że rok 1865 może być ostatnim w historii świata. Ambasador spodziewał się najgorszego, ale nie szpiegostwa ze strony papieskiego dworu.

– Jest pan nadzwyczaj dobrze poinformowany, *padre* – skomentował kwaśno.

– To główne zadanie mojego życia – odparł mężczyzna w czerni. Wydawało się, że wiedział absolutnie wszystko o każdym z obecnych. W pomieszczeniu zapadła krępująca cisza.

Premier pochylił się nieco.

– No cóż, może i pański agent należy do najlepszych, ale jesteśmy tutaj, w Bawarii, i nie pozostawimy tej sprawy w rękach obcego państwa. Wyzaczyłem dwóch oficerów, posiadających doświadczenie w radzeniu sobie z nadzwyczajnymi zadaniami. Będą asystować człowiekowi lorda Garinghama. Obaj już go znają, więc współpraca nie powinna sprawiać problemów.

– I niech panowie nie zapominają o śpiewaczce – dodał z lekkim rozmarzeniem król, uśmiechając się do swoich myśli. – Poprosiłem ją o pomoc w związku z tą sprawą.

Pozostali mężczyźni spojrzeli na niego z irytacją. Słabość młodego króla do opery mąciła jego zdolność osądu. Premier miał gorącą nadzieję, że ta szczególna cecha charakteru jego władcy z wiekiem ustąpi.

– Ależ chyba nie... ona, najjaśniejszy panie? – zapytał nieszczęśliwy von Pfordten, przezornie nie wypowiadając nazwiska. Jego roztropność okazała się jednak całkowicie zbędna. Każdy z mężczyzn przy stole zdawał się dokładnie wiedzieć, o kim była mowa:



mademoiselle Cérise Denglot, gwiazda sceny operowej.

– No nie wiem – włączył się biskup. – Kobieta jej pokroju? Z całym szacunkiem, Wasza Wysokość, ale nie mogę zaakceptować tego wyboru.

– Dlaczego nie? – spytał Ludwik. – Jest bardzo elegancka i zaangażowana. Jestem przekonany, że może nam pomóc. Ma już zresztą pewne doświadczenie w tych sprawach. Sama mi nawet opowiadała, że pewnego eksperta wspomogła w spektakularnym przypadku wykrycia niegodnych knowań i podstępnych działań. Nie był to czasem pański ekspert, lordzie Garingham?

– Możliwe – odparł markotnie ambasador.

– No właśnie. Poza tym ona jest naprawdę urocza. Taka wrażliwa, artystyczna dusza.

Pozostali czterej mężczyźni pograżyli się w milczeniu, powstrzymując z całych sił od kąśliwych uwag w obecności króla, chociaż mieli dość dobre wyobrażenie o tym, jakiego to rodzaju usługi mogłaby wyświadczyć agentowi specjalnemu owa śpiewaczka. Zapewne takie, jakie świadczyła nazbyt entuzjastycznemu młodemu monarsze.

Byli w błędzie, przynajmniej częściowo.

Po chwili głos ponownie zabrał odziany w czerń duchowny:

– Wciąż jeszcze odnoszę wrażenie, że – jeśli wolno mi się tak wyrazić – lekceważą panowie niebezpieczeństwo. Ciemna strona magicznego świata będzie bardzo zainteresowana tym, by znaleźć się w posiadaniu owego rękopisu. Nie wiemy, kto lub co się w to wmiesza. Ale pojawią się. Grupa, którą zamierzają panowie wysłać, nie będzie żadnym przeciwnikiem dla tego rodzaju magicznych mocy, z jakimi przyjdzie się konfrontować. Nikt z całej grupy nie ma najmniejszych choćby predyspozycji do sztuk tajemnych.

– O tym już pomyślano – odezwał się zadowolony z siebie premier. – Wysłałam z nimi specjalistę. To mistrz sztuk magicznych. I nie z łoży. Nie chcielibyśmy chyba, aby przedmiot naszego zainteresowania stał się częścią archiwów łoży. W każdym razie ów człowiek będzie na wszelki wypadek wspomagał grupę fachową wiedzą, o ile rzeczywiście okaże się to konieczne. Jak pan widzi, wszystko już zaaranżowaliśmy, *padre*. Pańska interwencja jest tu zupełnie

niepotrzebna.

Mężczyzna w czerni skłonił się i grzecznie uśmiechnął. Jego spojrzenie pozostało jednak poważne i krytyczne. Zadufanie znikło, opuścił oczy, a wcześniejszy błysk skrył niemal całkowicie za maską chrześcijańskiego oddania.

Lord Garingham zauważył jednak ów błysk i był pewien, że temu człowiekowi nie można ufać choćby przez chwilę. Biskup Monachium i Fryzyngi przysiągł sobie, że w przyszłości będzie się trzymał z daleka od spraw polityki Kościoła; czuł się winny, ponieważ przedstawił *padre* jako specjalnego legata papieskiego, ten tytuł zaś w żadnym razie do księdza nie pasował. Premier miał szczerą nadzieję, że próba zachowania równowagi pomiędzy postawą dobrego katolika a hamowaniem wpływu pewnej konkretnej frakcji Kościoła odniesie zamierzone skutki. Król zaś zastanawiał się, czy wypada zaprosić specjalnego wysłannika Jego Świątobliwości do opery.

# Rozdział 1

Ciemnooki mężczyzna opierał się plecami o ścianę. Chociaż nie robił nic szczególnego, skupiał na sobie uwagę.

Jak większość przedstawicieli jego rasy był szczupłej, drobnej budowy. Jego szlachetna twarz, trochę zbyt regularna i kształtna, w żadnym wypadku nie świadczyła w oczywisty sposób o tym, kim był. Wyglądał po prostu trochę za dobrze, niczym Don Juan czy arystokratyczny Adonis.

– Andrés! – zwrócił się do mężczyzny który dopiero co skończył mówić. Wywołany wzdrygnął się wyraźnie na dźwięk mrocznego głosu. – Wtrąciliście się w sprawy, których znaczenia nie jesteście w stanie żadną miarą pojąć. Gdybyście się ze mną wcześniej skonsultowali, odradziłbym to. Nawet w przybliżeniu nie potraficie sobie wyobrazić, co ten rękopis może sprawić w niewłaściwych rękach. Wmieszanie się nie należało do pana zadań.

Pokój hotelu Nymphenburg w Monachium był pełen. Dwóch mężczyzn siedziało na łóżku. Dwóch kolejnych przycupnęło na małych taboretach. Wszyscy czterej wpatrywali się z niepokojem w mroczną postać. Po długiej chwili milczenia jeden, siwiejący mężczyzna po pięćdziesiątce, podjął rozmowę:

– Czy pan tego nie pojmuje, grafie Arpad? Korzyści znacznie przewyższają ryzyko! Musieliśmy jedynie przechwycić ostatnią wiadomość do Brytyjczyka, aby go powstrzymać. A potem spróbowaliśmy przejąć zwój z rękopisem. I nadal powinniśmy się na tym właśnie skupić.

Mężczyzna pod ścianą pochylił się lekko, przez co jego czarne włosy opadły, odsłaniając spiczasto zakończone ucho. Czterech śmiertelników wpatrywało się w niego niczym króliki w węża. Nie ośmielili się nawet drgnąć, jakby nagły ruch mógł zdradzić ich poczucie lęku. Próbowali zachowywać się normalnie, przez co sprawiali jedynie wrażenie jeszcze bardziej spiętych.

Graf Arpad uśmiechnął się w duchu. Ludzie nie umieli się do tego

przyzwyczaję. Obecność feyona w ich organizacji wydawała się ekscytująca, chociaż spodziewali się po grafie więcej magicznego wsparcia, niż był w stanie – czy też miał ochotę – udzielić.

Polityka stanowiła zajmującą grę. W tej chwili graf był patriotą. Chciał uwolnić Królestwo Węgier od uścisku Habsburgów. Polityka tej nazbyt chrześcijańsko-katolickiej dynastii i jej cesarstwa nie odpowiadała jego gustom. Kościół miał w Austrii zdecydowanie zbyt dużo do powiedzenia. Poczynając od hiszpańskiego dworu, aż po wszystkie te dynastyczne bandy i ich wpływy, sytuacja stała się zbyt zastygła i skostniała. Poza tym istniały w Kościele odłamy, które w ramach swych świętoszkowatych rytuałów zwalczały takich jak Arpad. Im wcześniej Węgry uwolnią się od monarchii Habsburgów, tym lepiej.

I to było jedynym celem, dla którego on i owi czterej mężczyźni się zjednoczyli. Ludzie ci tak bardzo kochali swój kraj, że trzymali w ryzach swe obawy i brak zaufania do feyonów. Tyle tylko, że nigdy nie czuli się dobrze w obecności grafa.

Może myśleli, że tego nie zauważa. Był jednak – jak wszyscy z jego rasy – nadzwyczaj wrażliwy na myśli i emocje innych. Potrafił określić odczucia ludzi z dokładnością, która przestraszyłaby ich jeszcze bardziej, gdyby to ujawnił.

Dlatego przemilczał swoje zdolności. Szczupłą dłonią odgarnął włosy, zakrywając zdradzające jego naturę uszy. Mógł wprawdzie sprawić, by mężczyźni zapomnieli o jego pochodzeniu, wiedział jednak, że jeden z nich nosił amulet chroniący go przed wpływem takich manipulacji. Graf Arpad czuł to, niemal muskał koniuszkami palców wibrujące w powietrzu magiczne strumienie. W każdym razie panował nad swoimi towarzyszami na tyle, że między jednym spotkaniem a drugim ledwo sobie przypominali, z kim mają do czynienia. Cóż, byli tylko ludźmi.

Wydawało się, że graf również jest tylko człowiekiem. Ubierał się dobrze, gustownie i a la mode, doskonale dopasowując się do społeczeństwa, które czuło się o wiele lepiej, gdy ignorowało istoty takie jak on lub uznawało je za twory z bajek. Dla większości śmiertelników wiara w istnienie Arpada stanowiła albo zabobon, albo dziedzinę właściwą literaturze z dreszczykiem. Niewiele było istot z jego rasy. I

niewielu ludzi spotkało potomka Na Daoine-maithe, wszystko jedno, czy przyjaźnie, czy też wrogo nastawionego. Gatunek, do którego należał graf Arpad, był tak rzadki, że ludzie, od zarania dziejów mistrzowie wyparcia, bez trudu o nim zapominali, to zaś pozwalało pobratymcom grafa z łatwością nie rzucać się w oczy.

Istniały jednak różnice. Choćby długowieczność, czy też intuicyjna znajomość magii. Patriota czy nie, graf Arpad był inny.

Mężczyzna patrzył na niego obrażony. Wszyscy tak patrzyli. W końcu odezwał się kolejny ze zgromadzonych. Mówił nerwowym, drażliwym głosem. Arpad uznał, że musi mieć baczenie na zmiany nastroju swoich towarzyszy. Na dłuższą metę nie mógł sobie pozwolić na tolerowanie wrogości. To było zbyt ryzykowne. Trwoga sprawiała, że ludzie stawali się nieobliczalni.

– Grafie Arpad, uczciwie przyznaję, że wiążą się z tym pewne niebezpieczeństwa, ale uważam, że nie docenia pan naszego oddania. Dla wolności ojczyzny jesteśmy gotowi na wszystko. Rękopis dałby nam do ręki broń, która w krótkim czasie uwolniłaby nasz kraj od austriackiego jarzma. Najeźdźcy nie byliby w stanie się bronić.

– Bronić się? A przeciw czemuż to? – Graf Arpad zrobił krok do przodu i z satysfakcją zauważył, że mężczyźni zwalczyli pragnienie, by się odchylić, choć starannie to maskowali. – Co, moi panowie, pozwala wam sądzić, że siły, które bezmyślnie pragniecie przywołać, zatrzymają się grzecznie na granicy naszego kraju? Mogę panów zapewnić, że tego nie zrobią.

Mężczyźni spojrzeli na niego urażeni.

Ten, który mówił wcześniej, wyglądał na zmieszanego, niczym uczeń, który ma wyrecytować wiersz. Najwyraźniej nie czuł się dobrze w tej roli.

– Niech pan kontynuuje – ponaglił go Arpad. Czuł się nieskończenie stary, choć wyglądał młodziej niż większość obecnych. W rzeczywistości był o wiele starszy niż najstarszy z czwórki mężczyzn. Ale tego zebrani nie musieli wiedzieć.

– Müller upadł i poza kręgiem uderzył głową o stół. Upuścił rękopis. A potem pojawiło się coś, jakby odpychający cień, najstraszniejsza rzecz, jaką w życiu widziałem. – Mężczyzna przerwał,

starając się znaleźć słowa, by opisać zjawisko, które wykraczało poza zakres znanych ludziom pojęć. Gdy śmiertelnikom zaczyna brakować słów, szybko dochodzą do granic poznania. – Ten cień starał się złapać rękopis, zwój jednak poleciał do drzwi. Wtedy ten cień jakby zawisł, obrócił się w skoku i zaczął robić się coraz bardziej przezroczysty. A Müller starał się pozostać poza jego zasięgiem. – Znowu przerwał na chwilę, próbując ułożyć sobie wszystko w myślach. – Wtedy jeszcze żył.

– To się wydaje logiczne – stwierdził sucho graf Arpad.

Mężczyzna zamilkł i rozejrzał się niespokojnie. Pocił się.

Arpadowi udało się powstrzymać chęć, by wysłać mu mentalny bodziec. Graf, gdyby zechciał, mógłby zmusić człowieka do powiedzenia wszystkiego. Do śpiewania i do skakania. Uważał jednak na to, by w miarę możliwości nie uciekać się do takich środków; nawet bez naginania ich umysłów mężczyźni sprawiali wrażenie niespokojnych. Zresztą i tak by nie zauważyli. Arpad uspokoił trochę myśli mówiącego. Tylko troszeczkę.

– Nie wiem, co stało się najpierw. Wydawało się, że wszystko rozegrało się równocześnie. Otworzyły się drzwi. Nagle stanął w nich mężczyzna, który też wyciągał ręce po rękopis. Nie byłem w stanie go rozpoznać, otoczony był jakimś dziwnym blaskiem.

– Nieziemskim blaskiem – dodał dość naiwnie inny ze spiskowców. Arpad machnął ręką i mężczyzna zamilkł.

– Cień pomknął przez pokój i starał się owinać wokół rękopisu. I wtedy rękopis się rozpuścił.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że po prostu zniknął. Drzwi zatrzasnęły się z hukiem. Po cieniu nie było ani śladu. Staliśmy w pokoju, a pan Müller leżał na podłodze. Martwy.

– Jak rozumiem, wtedy natychmiast opuścili panowie to miejsce?

Czterej patrioci milczeli zakłopotani.

– Cóż – odezwał się po chwili graf. – Nie wiem, co myśleć. Ale oczywiste jest, że więcej niż jeden myśliwy poluje na rękopis. Nie wiemy, kim są rywale, którzy o niego walczą. Nie wiemy, gdzie się znajdują. I nie wiemy też, kto jeszcze może się interesować zwojem.

Czterej bojownicy o wolność spoglądali po sobie z poczuciem

winy, niepewnie, lekko urażeni. Nie przywykli, by ktoś tak młody jak w ich mniemaniu graf Arpad wypowiadał się autorytarnym, władcym tonem.

– W tej chwili możemy założyć, że rękopis, choć nie wiadomo, w czyje ręce trafił, nie został użyty.

– Tak pan sądzi? – zapytał pełen nadziei András. – Z czego pan to wnioskuje?

– Ponieważ, panie András, w przeciwnym razie świat taki, jakim go znamy, należałby już do przeszłości. – Arpad uśmiechnął się przyjaźnie, acz z lekkim odcieniem drwiny. – Moi panowie, gratuluję niezwykłego patriotycznego zapału, ale posunęliście się zbyt daleko.

Najmłodszy z zebranych zerwał się na równe nogi, by stanąć twarzą w twarz z tajemniczym sojusznikiem. Buntownik łamiący kruche podstawy ustalonej wcześniej hierarchii. Jego dzielność jest godna uznania, pomyślał Arpad, ale zupełnie nie na miejscu.

– Nie wiem, jak pan uważa, grafie – krzyknął młody spiskowiec z wściekłością – ja jednak gotów jestem oddać wszystko za wolność mojego kraju! Wszystko!

Graf obdarzył go nieprzeniknionym spojrzeniem, spokojnie splatając palce o długich, szpiczastych paznokciach.

– Może pan oddać życie za kraj. A także miłość, przyszłość, marzenia, dobre samopoczucie, wpływy czy pańską wiarę. Ale nigdy wszystko. Nigdy. – Uśmiechnął się zimno. – Ale kimże jestem, by prawić panu morały? Cieszcie się, kochani chrześcijanie. Cieszcie się z całego serca.

Mężczyźni odwracali wzrok od jego szyderczego spojrzenia. Arpad wyczuł wściekłość, którą w nich wywołał. Powinien uważać. Jeśli posunie się za daleko, któryś zwróci się w końcu przeciwko niemu. Jeśli ludzie czegoś nie rozumieli, szybko uznawali to za wrogię. Graf nie chciał skłócić swoich spiskowców.

Musi przemyśleć swoje zaangażowanie w politykę. Cóż za typowo ludzka strata czasu. Nie powinien być nigdy się w to angażować.

– Co powinniśmy zrobić? – zapytał jeden ze spiskowców.

– Nic – odpowiedział Arpad. – Zupełnie nic. Powinni panowie stąd jak najszybciej wyjechać, by nie ściągnąć na siebie, na nas, uwagi

miejscowych władz. Bawaria jest zbyt mocno związana z Austrią. Ja zostaję.

Zamilkł. Hotel otaczała magiczna bariera, uniemożliwiająca opuszczenie tego miejsca przez cokolwiek, co było magiczne. Dotyczyło to również grafa.

Blokada była wprawdzie nieprzyjemna, lecz zarazem świadczyła o czymś bardzo ważnym. Najprawdopodobniej rękopis wciąż znajdował się w hotelu, w pobliżu.

Istniał jeszcze inny powód, by pozostać na miejscu. I o nim również patrioci Arpada nie powinni w żadnym wypadku wiedzieć.



## Rozdział 2

Księżyc w pełni rzucał blade światło na bogato zdobioną fasadę hotelu Nymphenburg. Corrisande Jarrencourt z Jarrencourt Hall w Anglii stała na wąskim balkonie oparta o balustradę z kutego żelaza. Spoglądała na rozległy plac poniżej. Jej apartament znajdował się na trzecim piętrze. Woląла pokoje z oknami wychodzącymi na tyły budynku. Na tyłach łatwiej było niepostrzeżenie wspinać się po ścianach, a za dnia było o wiele spokojniej. Jeżeli ktoś chciał się dostać z opery czy rezydencji na Dworzec Augsburski, kazał wieźć się, trzeba przyznać, cudownym bulwarem, zaś okrzyki woźniców i stukot twardych kół na bruku robiły wiele hałasu.

W tej chwili tylko na to mogłaby się uzalać. Tak naprawdę była niemal szczęśliwa. Monachium jej się podobało. Hotel Nymphenburg, najlepszy w mieście, znajdował się przyjemnie blisko rezydencji, w której sprawował rządy król Ludwik II. Kilka kroków dalej rozciągały się pałacowe ogrody, dostępne publicznie. Tam można było trafić na monachijczyków z wyższych sfer. Bogaci, sławni i ci, którzy też chcieliby tacy być, spacerowali, prezentując najmodniejszą garderobę przed bogatymi, sławnymi i tymi, którzy chętnie by się takimi stali. Była tam też Café Tombosi, przytulna restauracja dla wyższych sfer. Szlachetni monachijczycy tak się do niej przyzwyczaili, że młode dziewczęta mogły się tam pokazywać bez przyzwoitki, przynajmniej po południu. Na zewnątrz, wzdłuż szerokiej, bogatej Ludwigstraße, stały dorożki i służący, czekając na szlachetnie urodzonych klientów, by odwieźć ich do swoich domów.

Monachium było naprawdę olśniewającym miastem i oferowało wiele możliwości. Corrisande musiała dokładnie planować. Najważniejsze, aby dobrze dostosować się do otoczenia. Jej towarzyszką i przyzwoitką, Mrs Eliza Parslow, jednoznacznie wyraziła już niezadowolenie z garderoby, którą Miss Jarrencourt zakupiła ostatnio w Paryżu. Mrs Parslow nie miała zbyt dobrej opinii o ubraniach, które zdawały się zbyt eleganckie i zbyt dorosłe dla młodej damy, dopiero

debiutującej w towarzystwie. Niektóre z sukien miały za duże dekolty, niemal skandaliczne. W każdym razie nie było to nic takiego, co szlachetna i przyzwoicie wychowana osiemnastoletnia dziewczyna mogłaby nosić podczas monachijskiego sezonu – nieustannych balów i uroczystości, stwarzających odpowiednie warunki do znalezienia małżonka z najlepszych kręgów.

Corrisande miała dwadzieścia cztery lata, wyglądała jednak młodziej. Gdyby jej na tym zależało, mogłaby nawet uchodzić za szesnasto- czy siedemnastolatkę, była bowiem drobnej budowy, sprawiała wrażenie niewinnej i roztaczała swego rodzaju naturalny urok. Osiemnaście lat stanowiło jednak idealny wiek – dziewczyna jest wtedy dość dojrzała, by traktowano ją poważnie na małżeńskim targowisku, a zarazem dość młoda, by nie uznano jej za starą pannę. Niemal nikt nie znał prawdziwego wieku Corrisande, postanowiła więc, że będzie miała tyle lat, ile zechce.

– Corrisande! – zabrzmiał wytworny głos Mrs Parslow z pokoju. – Wróc tu. Na zewnątrz za bardzo rzucasz się w oczy.

– Jeszcze chwilkę. Jest tak pięknie. W sam raz na spacer.

– Z pewnością nie. Jest środek nocy. Być może obyczaje w Monachium są trochę swobodniejsze niż u nas, w Anglii, ale bardzo wątpię, żeby młode, niezamężne damy miały tu w zwyczaju uprawiać samotne spacerunki o północy.

Przyzwoitka miała rację. Corrisande nabrała głęboko powietrza i westchnęła. Była wczesna wiosna, księżyc tak pięknie rozświetlał noc. Kobiety dotarły do Monachium w porze obiadu i po niezwykle męczącej podróży natychmiast położyły się spać. Wstały punktualnie na kolację. Były jednak rozczarowane niewielką liczbą gości zasiadającymi w luksusowej sali jadalnej. Oczekiwały lepszego towarzystwa. Sezon balów dawno już się rozpoczął i choćby to powinno przyciągnąć ludzi z wyższych sfer. Oczywiście nigdy nie miało się pewności. Niektórzy spośród postawnych, statecznych mężczyzn nawet by się nadawali. Oczywiście było, że dysponowali środkami, by mieszkać w hotelu Nymphenburg, i już to stanowiło pewnego rodzaju rekomendację. Ale czuć było od nich handlem, zdecydowała Eliza, która w tych sprawach wykazywała nieomylny instynkt. Bogaci kupcy i właściciele fabryk nie

zaliczali się do faworyzowanych przez Corrisande kandydatów na męża. Nie żeby w drobnomieszczaństwie i pruderyjności było coś złego. Corrisande umiała być równie drobnomieszczańska, zaś Eliza mogłaby zbierać za to nagrody.

Corrisande usłyszała, jak otwierają się drzwi. Na sąsiednim balkonie pojawił się młody mężczyzna. Oficer. Nosił robiący wrażenie mundur podporucznika szwoleżerów i palił cygaro. Jego buty z cholewami stuknęły o żelazną balustradę.

Przyglądała mu się kątem oka, nie odwracając głowy w jego stronę. Na swój surowy, rzeński sposób prezentował się dobrze. Mógł mieć około dwudziestu pięciu lat. Pasma ciemnych włosów splecione były kawałkiem lontu – co stanowiło najnowszy, afektowany przejaw dziwactwa szykownych żołnierzy pułku kawalerii. Młodym dziewczynom, ubóstwiających odważnych, śmiałych wojaków, bardzo się to podobało. Czarny wąs wyglądał zawadiacko. Było w tym młodym podporuczniku coś bardzo męskiego, co Corrisande się podobało, choć nie zastanawiała się nad tym głębiej.

W każdym razie mężczyzna nie wyglądał na kogoś, z kim znajomość mogłaby się opłacać, dziewczyna nie odwróciła się więc w jego stronę, lecz spuściła wzrok i postanowiła się lekko zarumienić.

Nie należało wychodzić z wprawy. Umiejętność, by we właściwym momencie rumienić się lub blednąć, stanowiła prawdziwą sztukę i wymagała sporej dyscypliny.

Corrisande poczuła na sobie przychylnie spojrzenie. Najwyraźniej podporucznikowi podobało się to, co widział. Panna Jarrencourt nie należała do klasycznych piękności, była jednak na swój sposób powabna i miła. Niemal jak krucha lalka z porcelany. Niska i szczupła, delikatna jak elf, z otoczoną bujnymi jasnobrązowymi lokami twarzą o oczach w głęboko niebieskim kolorze. Sprawiała wrażenie osoby wrażliwej, potrzebującej pomocy i opieki.

Dobrze być w ten sposób postrzeganą przez innych, dlatego Corrisande ćwiczyła przed lustrem oraz pod krytycznym spojrzeniem Mrs Parslow. Mężczyźni lubili bezradne kobiety. Nigdy tak naprawdę nie zrozumiała dlaczego. Może dawało im to poczucie siły, której zazwyczaj nie mieli.

Czuła, że spojrzenie sąsiada nie jest teraz już tylko pobieżne. Najwyższy czas to zakończyć. Odwróciła głowę. Przez tę krótką chwilę, kiedy spojrzała mu w oczy, dostrzegła w nich przemykający cień niczym u płochliwej sarny. Corrisande spuściła wzrok, z lekkim, nieśmiałym półuśmiechem, zarumieniła się na swą niezdarność i uciekła do salonu. Zadbala jednak, by przy tym ruchu jej szeroka krynolina zafalowała lekko, odsłaniając na krótką chwilę kostki. Z pewnością wywrze to odpowiedni wpływ na tak zaprawionego w bojach wąsatego oficera z sąsiedztwa.

Mrs Parslow zamknęła drzwi balkonu i zaciągnęła zasłony. Była pełną godności kobietą, odzianą w szarą, stonowaną suknię, pasującą do jej włosów.

– Wyglądasz jak kotka, która znalazła dzban ze śmietaną, moja droga. Czyżbyś zobaczyła coś interesującego?

Corrisande roześmiała się i opadła na fotel w małym salonie, z którego prowadziły drzwi do dwóch przyległych sypialni.

– Nie, to tylko podporucznik szwoleżerów. Zupełnie nieistotny dla naszych celów. Ciekawa jestem, dlaczego tu mieszka. Przecież koszary są niedaleko. To otoczenie nie pasuje do takich jak on. Nie sprawiał też wrażenia wystarczająco zamożnego. Zbyt niedbały, chociaż przy tych mundurach trudno tak naprawdę powiedzieć. Szlachcice zostają przecież oficerami z różnych powodów.

– I owszem – odpowiedziała pogardliwie Mrs Parslow – ale głównie dlatego, że młodszy z rodzeństwa nie mają innych możliwości. A w tym kraju jest jeszcze gorzej, odkąd kariera oficera stała się dostępna praktycznie dla każdego. Właściwie nie można nawet zakładać szlacheckiego pochodzenia oficerów, a kawalerzyści są zazwyczaj i tak zbyt dzicy.

Corrisande roześmiała się swobodnie.

– Rzeczywiście sprawiał wrażenie dość dzikiego. Niemal można było sobie wyobrazić, jak w bojowym uniesieniu pędzi na wroga.

Westchnęła.

Mrs Parslow usiadła naprzeciw niej.

– Wolałabym, żebyś traktowała to trochę poważniej. Nie powinnaś w żadnym wypadku zapominać, ile szkód ktoś taki może wyrządzić

komuś takiemu jak ty. Usilnie ci doradzam, abyś opanowała swoje romantyczne pokusy, póki nie osiągniemy tego, po co tu przybyliśmy.

– Oczywiście, Elizo. Powinnaś mnie lepiej znać i nie zakładać, że z powodu pary silnych ramion i szorstkich manier mogłabym pozwolić odwieść się od celu.

Mrs Parslow zmarszczyła nos i sięgnęła po robótkę na drutach. Na jakiś czas w pokoju zaległa cisza.

– A tak w ogóle – podjęła rozmowę Corrisande – nie ustaliłyśmy jeszcze, co będziemy robić. Nie mam najmniejszego zamiaru poświęcać moich starannie wyuczonych zdolności na jakiegoś pobrzękującego dukatami producenta maszyn parowych. Nie taki małżonek mi się marzy, w końcu mam z nim spędzić resztę życia. Muszę przyznać, że liczyłam na bardziej odpowiednią klientelę.

Mrs Parslow się roześmiała.

– To prawda, moja droga. To, co zobaczyliśmy do tej pory, nie jest zachęcające. Ale przecież dopiero co przybyliśmy, a sezon jeszcze potrwa. Jestem pewna, że teraz, kiedy już odpowiednio się ulokowaliśmy, znajdziemy przyjaciół we właściwych kręgach.

– Podobno opera tutaj jest dobra – zastanawiała się głośno Corrisande. Lubiła słuchać muzyki. – Może mogłybyśmy wynająć lożę?

Mrs Parslow wyglądała na niezbyt przekonaną. Nie przepadała za operą, chociaż jak najbardziej zdawała sobie sprawę z jej użyteczności jako instytucji służącej komunikacji towarzyskiej dla ludzi z wyższych sfer. Z tego, gdzie kto siedział, z kim rozmawiał podczas przerw, ze wszystkich tych obserwacji można było wyciągnąć wiele wniosków. Eliza mogłaby nawet delektować się operą, gdyby nie muzyka – no i oczywiście gdyby nie libretta, które często były po prostu wulgarne.

– Musiałybyśmy wynająć lożę na cały sezon, a to byłaby prawdziwa rozrzutność.

– Mamy dość pieniędzy Hugo sporo wydał, żeby się mnie pozbyć.

Mrs Parslow zmarszczyła nos.

– Moja droga, życzyłabym sobie, żebyś nie posługiwała się takimi pospolitymi wyrażeniami. Są takie nieeleganckie. I mam też nadzieję, że nie będziesz już wspominać o tej katastrofalnej aferze. Nigdy w życiu nie byłam tak rozczarowana. Nie miał najmniejszego prawa, by tak

postąpić. Prawdziwy człowiek honoru tak by się nie zachował. Zerwać zaręczyny to po prostu *dégoûtant*. Nie uwierzyłabym, że ktoś tak bogaty jak *comte de Lacy* może okazać tak mało ogłady. W moich oczach upadł naprawdę nisko.

Corrisande rzuciła surowej towarzysze podróży rozbawione spojrzenie. Eliza była prawdopodobnie najdoskonalszą przyzwoitką, jaką można wynająć za pieniądze. Panna Jarrencourt dobrze jej zresztą płaciła, by tym właśnie się zajmowała.

– Ach, Elizo, a cóż to za różnica? Hugo nie żyje, tak czy siak, niech Bóg go błogosławi, a my jesteśmy dostatecznie bogate, aby zanim znów pojawi się coś nowego, prowadzić nad wyraz przyjemne życie. Dzięki Bogu, nie zdążyliśmy ogłosić tych zaręczyn. Nikt o tym nie wie.

Mrs Parslow spojrzała zatroskana.

– Możemy mieć tylko taką nadzieję. Muszę przyznać, że dobrze zrobiłaś, przejmując listy, w których chciał opisać krewnym i przyjaciołom sprawy związane z twoją rodziną. Doprowadziłoby to do twojej, naszej, ruiny. Mogę tylko mieć nadzieję, że rzeczywiście zniszczyłaś wszystkie listy i żadnego nie przeoczyłaś.

– To byłoby naprawdę nieprzyjemne, Elizo. Jestem jednak pewna, że znalazłam wszystkie. Poza tym biedak zasnął snem wiecznym jeszcze tej samej nocy. Naprawdę smutne. Z pewnością nigdy nie zwróciłabym się do papy, aby zmusił Hugona do milczenia. Ta nagła śmierć wywołała trochę zamieszania. Papa jest czasem zbyt energiczny w działaniach.

Mrs Parslow odłożyła robótkę na kolana, pochyliła się i spojrzała poważnie na podopieczną.

– Uwierz mi, moje dziecko, ojciec dobrze wie, co jest dla ciebie najlepsze. To, co *comte* wiedział o twojej rodzinie, wisiałoby nad tobą i twoim ojcem niczym miecz Damoklesa. Zapomnij o obietnicy, że ujdzie ci to na sucho. Przecież *comte* obiecał też, że się z tobą ożeni, i złamał słowo. Ścigałby nas i kazał szukać, a to oznaczałoby nasz koniec. Nie możesz oczekiwać od ojca, by godził się na takie ryzyko.

Corrisande westchnęła. Ojciec wiódł podwójne życie, co niczego nie ułatwiało. Czasami pragnęła, by jej ojciec był jedynie dobrze wychowanym brytyjskim arystokratą, jakim czyniło go urodzenie, i nikim więcej.

– Bez wątpienia masz rację, Elizo. Jednak szkoda, że Hugo do tego stopnia nie pochwalał naszej małej rodzinnej tajemnicy. W końcu jestem Jarrencourt z Jarrencourt Hall, a papa to naprawdę sir Desmond Jarrencourt, nieważne, kim jest poza tym. Naszemu pochodzeniu nie można niczego zarzucić, to dobrzy brytyjscy posiadacze ziemscy. Mama, niech spoczywa w spokoju, pochodziła z bardzo szlacheckiej franko-normandzkiej rodziny. Jestem pewna, że doskonale sprawdziłabym się w roli oddanej i kochającej małżonki piątego pod względem bogactwa człowieka we Francji. Przecież nie jestem głupia ani brzydka. A poza tym Hugo twierdził, że mnie kocha, i to namiętnie. I tak przecież było, wiesz?

Mrs Parslow patrzyła na Corrisande skonsternowana. Niemal upuściła robótkę.

– Moja droga, z całą pewnością tego nie wiem. I nie życzę sobie tego wiedzieć, a ty nie powinnaś w ogóle wspominać o tego rodzaju wypadkach. Najlepsze, co możemy zrobić, to o wszystkim zapomnieć. – Przerwała. Przez chwilę wyglądała, jakby przeżuwała własne niemiłe słowa. – Ty chyba nie... chcę powiedzieć, on przecież nie... Mam nadzieję, że nie stało się nic, o czym powinnaś mi powiedzieć, prawda? – spytała.

Corrisande zaśmiała się.

– Bez obaw. Powinnaś znać mnie lepiej. Trzymał mnie jedynie w ramionach i pocałował. Raz. I to wszystko. Ale muszę przyznać, że ten pocałunek był ciekawym przeży...

– Corrisande! Proszę, byś zaniechała jakichkolwiek dalszych uwag na ten temat. Im mniej o tym mówimy, tym lepiej. Jeśli w tym doświadczeniu było coś sensownego, czego mogłaś się nauczyć, to ucz się, proszę, w milczeniu i nie myśl o tym więcej. Może to zepsuć wrażenie niewinności, jakim promieniujesz.

Po tym napomnieniu Corrisande zmarszczyła czoło i wstała.

– Ach, Elizo. Czasem życzę sobie, żebyś nie była tak bardzo sztywna i surowa podczas *entre nous*. W końcu nie jestem już dzieckiem. Można by pomyśleć, że brak ci namiętności. A przecież byłaś zameżna. I to więcej niż raz, o ile sobie przypominam.

Mrs Parslow również wstała i ze złością odłożyła robótkę.

– Mój aniele. Myślę, że już najwyższa pora, byśmy udały się do swych pokoi. Jest późno, a jutro rano musimy dobrze wyglądać. Nie mam ochoty kontynuować tej frywolnej rozmowy. Nie zrozum mnie źle, moja droga. Nie mam żadnych zahamowań, by rozmawiać o drażliwych sprawach, jeżeli wydaje się to pomocne lub właściwe, ale nie zajmuję się lekkomyślnie tego rodzaju tematami i z pewnością postrzegam je jako nieodpowiednie w miłej konwersacji przed spoczynkiem.

Skierowała się do swojej sypialni, przylegającej do małego salonu. Pokój Corrisande znajdował się po przeciwnej stronie. Ciche pukanie do drzwi sprawiło jednak, że się zatrzymała. Rytm pukania zdradził, że na hotelowym korytarzu nie czeka ktoś obcy. I rzeczywiście, gdy tylko Corrisande zaczęła mówić: „Proszę wejść”, w progu stała piękna, młoda dziewczyna.



## Rozdział 3

Marie-Jeannette Bouchard była pokojówką Corrisande, wyjątkowo uroczym siedemnastoletnim dziewczęciem. Tycjanowskie loki wznosiły się buntowniczo nad jej czepkiem, zaś lekko skośne jasnozielone oczy zdawały się zapraszać do zgłębienia słodkiej, zagadkowej tajemnicy. Na ustach pokojówki nieustannie gościł uśmiech.

Ta pełna życia, inteligentna dziewczyna była córką pewnej paryskiej damy o dość wątpliwej reputacji. W młodych latach owa dama była bliską przyjaciółką co poniektórych nadzwyczaj zamożnych i wpływowych mężczyzn. Ponieważ jej wiek oficjalnie nigdy nie przekroczył dwudziestu dziewięciu lat, dorosła córka była dla niej raczej ciężarem niż błogosławieństwem. I tak madame Bouchard, nazywana też „la Grande Beautée”, owoc swej miłości wychowała nie jak córkę, lecz jak doskonałą pokojówkę. Na świecie było niewiele kobiet, które wiedziałyby więcej o tworzeniu czarujących fryzur i urokach ubioru i które miałyby przy i tym talent, by nawet najbardziej niepozorną dziewczynę zamienić w piękność i przedmiot pożądania. Marie-Jeannette pragnęła czegoś więcej niż życia zwykłej pokojówki, ale na jakiś czas wstąpiła na służbę u Corrisande, która zgodnie z umową miała nauczyć ją doskonałego zachowania, towarzyskich reguł w wyższych sferach i przynajmniej jednego obcego języka. W przyszłości Marie-Jeannette zamierzała zrobić karierę w paryskich salonach i pobić popularnością swą niezbyt opiekuńczą matkę.

Wydawało się więc naturalne, że Marie-Jeannette miała własne powody, aby być niezawodną, gorliwą i sumienną – i taką też była. Po tym jak urządziła wynajęty apartament dla swych pań, wyruszyła na wyprawę po hotelu. Kulejąca znajomość niemieckiego nie przeszkadzała jej przy tym zbytnio. W szanujących się hotelach mówiono po francusku lub angielsku, dziewczyna zaś w ciągu ostatniego roku nauczyła się angielskiego w takim stopniu, że posługiwała się nim niemal jak językiem ojczystym.

Hotelowy portier okazał się człowiekiem nieprzystępnym. Jednak

jego młodszy pomocnik był na każde skinienie. Uśmiech, zapraszający ruch biodrami, lekko odsłonięta łydka – wystarczyły, by go usidlić. Dziewczyna wypytała go o wszystko, nawet nie zauważyła. Zaciągnął ją do biura, by skraść chociaż jeden pocałunek. Dostał ten pocałunek i coś na dokładkę – w zamian Marie-Jeannette mogła zajrzeć do księgi gości, a nawet, gdy chłopaka wywołano, miała szansę zobaczyć nieco więcej.

Teraz pojawiła się z triumfującym wyrazem twarzy w apartamencie pracodawczyni. Zamknęła drzwi, dygnęła z szyderczą przesadą, po czym opadła na fotel, wyciągnąwszy i rozłożywszy szeroko nogi.

Oburzona Mrs Parslow zmarszczyła nos.

– No co? – spytała Marie-Jeannette z lekką pretensją. – Przecież nikt mnie nie widzi.

Mrs Parslow obdarzyła ją pogardliwym spojrzeniem.

– Rozmawialiśmy już o tym. Nie zamierzam tracić czasu na powtarzanie tego samego.

– Och, dobrze już, dobrze. – Marie-Jeannette nie była w nastroju, żeby wysłuchiwać krytyki. – Przecież wiem. Gdyby teraz ktoś wszedł, zdziwiłby się, że służba wyleguje się w fotelu.

Mrs Parslow wspaniałomyślnie postanowiła na to nie reagować.

– Jestem trochę zmęczona. Podczas gdy panie ucięły sobie miłą drzemkę, ja załatwiałam nasze sprawy. I to dość skutecznie. Pan Hinterhuber okazał się przy tym całkiem pomocny. – Uśmiechnęła się porozumiewawczo.

Mrs Parslow, która zamierzała milczeniem ukarać dziewczynę, była jednak zbyt ciekawa, by w nim wytrwać.

– A kim jest ów pan Hinterhuber? – zapytała.

Zaraz jednak wtrąciła się Corrisande:

– Zanim zdasz nam relację, usiądź, proszę, porządnie. Przyzwoite zachowanie to sposób życia, a nie coś, w co się od czasu do czasu bawimy. W przeciwnym wypadku możesz popełnić błąd, a tego chyba nie chcesz, prawda?

Marie-Jeannette wyprostowała się, zsunęła kolana i lekko uniosła podbródek. Złożyła ręce grzecznie na podolku, zaś jej stopy i kostki zniknęły pod rąbkiem spódnicy. Teraz zaczęła sprawiać wrażenie, że

rola pokojówki zupełnie do niej nie pasuje.

– Joseph Hinterhuber, który lubi, bym nazywała go Sepp, jest asystentem portiera i prawdziwą studnią informacji. A może powinnam powiedzieć źródłem? Wszystko jedno. Zrobiłam notatki.

Sięgnęła w wypełniony dość obfitym biustem dekolt i wyciągnęła pogniecioną kartkę papieru, którą wygładziła na stole. Mrs Parslow podniosła ją czubkami palców i zaczęła odczytywać na głos litanie nazwisk i tytułów, w większości niemieckich.

– Nie wydaje mi się, bym znała chociaż jedno z nich – westchnęła, gdy skończyła.

– Kto wie czy nie powinnymy być za to wdzięczne – mruknęła Marie-Jeannette, nie otrzymała jednak żadnej odpowiedzi.

– Ja znam – odezwała się Corrisande. – Cérise Denglot. Słynna na całym świecie śpiewaczka operowa. Widziałam ją w paryskiej operze. Ty zresztą też, Elizo. Taka blondynka o bujnych kształtach, znakomity sopran. O ile sobie przypominam, nawet ty nie byłaś wtedy w operze tak bardzo znudzona jak zazwyczaj.

Corrisande sięgnęła po kartkę i jeszcze raz dokładnie ją przestudiowała.

– No i proszę – dodała po chwili – madame de Rhins-Epitue też tu jest. Ciekawe, czy zamierza zatrzymać się na dłużej. W pewnych okolicznościach jej obecność może okazać się przydatna. Spotkałam ją raz czy dwa, trochę plotkowałyśmy i wiem, że przedstawiono mnie jej na jakimś balu. Z pewnością może mi zapewnić dostęp do ludzi z wyższych sfer. Jestem pewna, że obraca się tylko w najlepszych kręgach. Pochodzi z pradawnej szlacheckiej rodziny i jest bogata jak Krezus. To sprawia, że otaczają *haut ton*, gdziekolwiek się pojawi, mimo że jej ubrania wydają się przedwczorajsze i ma straszne zamiłowanie do noszenia turbanów. Prawdopodobnie nosi je tylko po to, by mieć więcej miejsca na wpinanie swoich diamentów, rubinów, szafirów i szmaragdów. – Corrisande wstrzymała dech. W jej oczach pojawił się błysk. – Cóż za niewiarygodne marnotrawstwo pierwszorzędných klejnotów. Może powinnymy...

Mrs Parslow przerwała jej pośpiesznie:

– Nie, moje dziecko. Z pewnością nie. Powinnymy rozważyć tę

możliwość jako absolutnie ostateczną ewentualność. Przecież chciałaś z tym skończyć, prawda? Jeśli znasz tę damę, powinniśmy zadbać, byś mogła odnowić znajomość. Może być dla nas kluczem otwierającym drzwi do najwyższych sfer. Prawdziwym *coup de chance*. Oczywiście krewna byłaby jeszcze lepsza. Tyle tylko, że całkowicie zmyślona cioteczna babka Amelia z Possenhofen nie byłaby dla nas żadną pomocą. Od samego początku miałam nadzieję, że poradzimy sobie bez niej. Zadbamy o to, by podczas śniadania dostać stół blisko madame de Rhins-Epitue. Marie-Jeannette mogłaby się o to zatroszczyć, może przy pomocy tego czarującego pana Hinterhubera.

Piękna pokojówka spuściła głowę.

– Dzisiaj już nie. Muszę oszczędnie gospodarować moimi względami, bo w przeciwnym razie nie będą skuteczne. Na dzisiaj dostał już swojego buziaka i tyle pieszczot, by mógł marzyć, że jutro dostanie ich więcej.

Corrisande uśmiechnęła się szelmowsko.

– Jestem pewna, że sama najlepiej potrafisz to ocenić. W końcu to twoja specjalność. Poradzimy sobie. Być może pan Hinterhuber reaguje też na błagalne spojrzenia, nawet jeśli nie mogę się równać z twoimi rzucającymi się w oczy *accessoires de beauté*.

– Uważajcie tylko, żebyście nie wywołały żadnego skandalu – upomniwała je Mrs Parslow dobrze wyćwiczonym protekcyjnym tonem. – Muszę powiedzieć, że czasami nie traktujecie ryzyka, jakie podejmujemy, z należytą powagą. I ciebie też mam tu na myśli, Corrisande. Dobrze imię to nasz kapitał. Nie bez powodu twój ojciec prowadzi swoją działalność pod pseudonimem. – Wstała, ponownie kierując się do sypialni. – Powinniśmy udać się już do pokoi. Musimy wyglądać jutro świeżo i radośnie.

W tej samej chwili Corrisande zjeżyły się włosy na karku. Poczowała, jakby jej serce przestało bić. Ogarnęło ją mroczne przeczucie, niczym fala lodowatej wody. Czerń przed oczyma młodej damy zdawała się rosnać, brać ją w posiadanie, wyrwać z tego świata. Dziewczyna zerwała się nagle na równe nogi, obróciła do ściany za sobą i upadła nieprzytomna. Czarna plama, nie większa niż pączek kwiatu, wyłoniła się z tapety z różanym wzorem, gwałtownie urosła, aż stała się czarną

zjawą. Mroczna postać odskoczyła od ściany, rozciągając się przez pokój niczym wąż, trafiła w ścianę po przeciwnej stronie pokoju, znów skurczyła się w małą plamkę, po czym rozplynęła w nicość.

## Rozdział 4

Podporucznik Udolf von Görenczy z Królewskiego Bawarskiego Trzeciego Pułku Szwoleżerów oraz podporucznik Asko von Orven z Królewskiego Bawarskiego Pierwszego Batalionu Jegrów biegli korytarzem hotelu i mijali właśnie pokój numer 312, kiedy rozległ się głośny krzyk. Dwa przenikliwe kobiece głosy, których intensywność i siłę tylko nieznacznie tłumili drzwi. Z rozpędu żołnierze zrobili jeszcze parę kroków i zatrzymali się.

– Na Boga – skomentował von Orven i uniósł rękę, by zapukać grzecznie do drzwi, podczas gdy jego mniej cierpliwy krajan nacisnął klamkę i bezceremonialnie ruszył do apartamentu. – Czeka! – krzyknął za nim Asko i chętnie dodałby, że nie wolno tak po prostu, bez uprzedzenia, wchodzić do pokoju zajmowanego przez damy. Mogło je to zaniepokoić, a nawet wystraszyć. Nie miał jednak czasu, by wyrazić szlachetne myśli i powstrzymać przyjaciela przed złamaniem etykiety, ponieważ ten zdążył już z rozwianymi włosami wpaść do pokoju. Nawet nie zapiął porządnie kołnierzyka munduru.

Takie wtargnięcie z pewnością nie było w dobrym tonie, zwłaszcza wejście bez zaproszenia, i to nocą. Tak po prostu nie wypadało.

Von Orven nie zdziwił się więc ani trochę, gdy krzyki, zamiast ścichnąć, stały się jeszcze głośniejsze, przybierając wyższy i bardziej piskliwy ton. Zapukał więc grzecznie w otwarte już drzwi, przyjrzał się swemu nienagannie ułożonemu mundurowi i dopiero wtedy wszedł.

W pokoju panował chaos. Udolf von Görenczy stał na środku pomieszczenia, rozglądając się bezradnie. Skromnie i oficjalnie ubrana dama po czterdziestce stała z jednej strony z ustami otwartymi do krzyku i najwyraźniej nie potrzebowała przerwy na zaczerpnięcie powietrza. Dwa kroki dalej krzyczała z całych sił olśniewająco piękna, młoda służąca, która próbowała podbiec do szwoleżera, jakby szukając u niego pomocy, podczas gdy trzecia kobieta leżała nieruchomo na podłodze. Sądząc po pozycji, dama najpewniej straciła przytomność.

Podporucznik von Orven rozejrzał się niespokojnie.

– Dobry wieczór – przywitał się kulturalnie. Prawdopodobnie nie wykazał się inteligencją, ale trudno mu było też coś zarzucić. – Proszę wybaczyć gwałtowne i niezapowiedziane wtargnięcie, ale usłyszeliśmy krzyki, a ponieważ byliśmy właśnie w pogoni za pewnym... pewnym... – przerwał, szukając stosownego, możliwie niewinnego wyrażenia – pewnym fenomenem, pomyśleliśmy, że być może panie...

– Przeniknął przez ścianę – przerwała mu dama, von Orven zaś zauważył, że mówiła z brytyjskim akcentem – przeleciał przez pokój i znów zniknął w ścianie. – Wskazała za siebie, po czym uświadomiwszy sobie, że stoi tuż przy wzmiankowanej ścianie, zrobiła kilka kroków na środek pokoju, rozglądając się nerwowo. Tymczasem służąca dotarła już do Udolfa i rzuciła się w jego silne ramiona. Otoczył ją ochroną, na jaką spontanicznie się zdobył, i w tej samej chwili zapomniał o całym świecie. Jego lewa ręka objęła szczupłą talię, prawa zaś powędrowała ku twarzy kobiety, by delikatnie otrzeć spływającą po policzku łzę.

Von Orven westchnął. Szwoleżerowie byli po prostu beznadziejni. Skłonił się uprzejmie i ostrożnie zbliżył do angielskiej lady.

– Zapewne myśli pani, że jesteśmy niewychowani, bo w tak niewybaczalny sposób tu wtargnęliśmy, madame – powiedział i przeszedł na angielski. Uśmiechnął się z rezerwą. – Tak naprawdę chcieliśmy pośpieszyć z pomocą. Mam nadzieję, że wybaczy mi pani to niekonwencjonalne zachowanie i pozwoli, że się przedstawię. – Skłonił się. – Podporucznik Asko von Orven, a to mój przyjaciel, podporucznik Udolf von Görenczy. Gdyby zechciała mi pani pozwolić wejść do sąsiedniego pokoju, chętnie sprawdzę, czy jest tam bezpiecznie.

Gdy skinęła potakująco głową, skierował się do drzwi i ze wstydem uświadomił sobie, że właśnie zmierza do kobiecej sypialni. Zarumienił się. Pociągnął za sznur gazowej lampy. Przed nim znajdowała się mała alkowa. Na łóżku leżała biała nocna koszula, na podłodze zaś para pantofli. Asko von Orven starał się ignorować te szczegóły. Okno było zamknięte. Na ścianach nie dostrzegł żadnych śladów fenomenu. Cokolwiek przeszło przez ścianę, rozplynęło się w nicość.

Jeszcze raz omiótł sypialnię szybkim spojrzeniem i wyszedł.

– Jeśli pani sobie życzy, mogę sprawdzić też szafę –

zapropował. – Ufam jednak, że są panie bezpieczne. Czymkolwiek było to, co w tak grubiański sposób latało po hotelu, chyba już na dobre zniknęło.

Dama nie zdążyła jeszcze się przedstawić, co w tej niezwyklej sytuacji nie było niczym zdumiewającym. Skinęła z wdzięcznością głową i podeszła do leżącej na podłodze postaci. Von Orven ruszył za nią i dokładnie przyjrzał się omdlałej kobiecie. Brązowe loki i delikatna, krucha figura. Nieprzytomna, z twarzą zwróconą w dół, przypominała zepsuta lalkę. Muślinowa suknia w kolorze błękitnego nieba, z wyhaftowanymi kwiatami wskazywała, że kobieta była o wiele młodsza od pochylającej się nad nią damy. Przy upadku sukni zawinęła się lekko, spod stosów nieskazitelnie białej koronkowej bielizny widać było piękne stopki i łydki. Asko z całych sił starał się tego nie dostrzec.

– Jeśli pani pozwoli sobie pomóc, chętnie uniosę pani przyjaciółkę, abyśmy mogli położyć ją na sofie. – Zauważył, że jego propozycja nie spotkała się z natychmiastowym przyzwoleniem.

– Corrisande, obudź się! Jesteś bezpieczna. Corrisande! – Angielska dama starała się odwrócić młodą dziewczynę w błękitnej sukni, ale nie dała rady, ponieważ nieprzytomna dziewczyna była zbyt ciężka. Poprzestała więc na poprawieniu sukni podopiecznej, by zasłonić jej nogi. Następnie odwróciła się do Asko. – Dziękuję za pańskie wsparcie, podporuczniku. I w istocie, byłabym niezmiernie zobowiązana, gdyby zechciał pan pomóc mi ułożyć moją bratanicę na sofie. Wydaje się, że popadła w głębokie omdlenie.

Von Orven pochylił się nad delikatnym ciałem i ostrożnie je odwrócił. Przed jego oczyma ukazała się najpiękniejsza twarz, jaką w swym życiu widział. Dama była jeszcze bardzo młoda, miała być może siedemnaście, co najwyżej osiemnaście lat, a jej niezwykle bladość podkreślała jeszcze wrażenie szlachetności i kruchości.

Padł na nią cień. To von Görenczy przystanął z boku, wciąż obejmując pokojówkę. Głowa służącej spoczywała na jego ramieniu.

– Zupełnie nieobecna – zauważył w sposób, który Asko wydał się szczególnie nieczuły. – To omdlenie nie jest udawane, Asko. Zbyt często widziałem udawane. Znam różnicę. Trochę to potrwa, zanim dojdzie do siebie.



Asko spojrzał z wyrzutem na przyjaciela, nie po raz pierwszy życząc sobie, by kawalerzysta korzystał z dobrych manier, jakie z pewnością musiano mu wpoić jako szlachcicowi.

Starsza, odziana na szaro dama obrzuciła von Görenczy'ego pogardliwym spojrzeniem i zignorowała jego uwagę. Odezwała się do służącej:

– Marie-Jeannette, przynieś mi, proszę, flakonik z solami trzeźwiącymi i sprawdź sypialnię Miss Jarrencourt oraz wszystkie szafy. Już. Natychmiast.

Marie-Jeannette odpowiedziała tak bezczelnym spojrzeniem, że Asko pomyślał, iż z pewnością wkrótce straci posadę, po czym uwolniła się z opieki Görenczy'ego, który sprawiał wrażenie, jakby naraz miał więcej rąk, niż było to konieczne. Asko ostrożnie chwycił młodą damę, ujmując ją pod ramiona i nogi. Następnie podniósł ją i wstał. Była zadziwiająco lekka. Cóż za słodki ciężar. I pachniała dzikimi kwiatami.

Głowa dziewczyny opadła, Asko podparł ją ramieniem. Położył młodą kobietę na sofie. Nagle uświadomił sobie, że musi się powstrzymać, by nie pocałować tych delikatnych rozchylonych ust. Wydawało mu się, że to Śpiąca Królowa.

Ale takie zachowanie byłoby nie do pomyślenia. Asko von Orven wycofał się z dywanu, odczuwając przy tym rozstaniu niemal ból.

– Dziękuję, panie podporuczniku – powiedziała dama. – Powinnam się przedstawić. Mój Boże, jakie to niezręczne. Jestem Mrs Parslow. Przyjechałyśmy do Monachium w odwiedziny. Mamy tu krewnych. Towarzyszę mojej bratanicy. Był pan bardzo pomocny i uprzejmy.

Von Orven zrozumiał to jako odprawę i grzeczne pożegnanie, co było zresztą zgodne z prawdą. Ukłonił się.

– Cieszę się, że mogłem pomóc. Do usług. Proszę się nie wahać, gdybym okazał się potrzebny. – Wyciągnął grawerowane srebrne etui z kartami wizytowymi i podał damie jedną. – Mieszkamy po sąsiedzku, a zatem dostatecznie blisko, abym stawił się natychmiast. Ja i mój przyjaciel jesteśmy do pań dyspozycji. Zanim jednak panie opuścimy, prosiłbym pokornie o wyrozumiałość, ponieważ chciałbym jeszcze raz zapytać, co dokładnie panie widziały. Być może te obserwacje pomogą

nam zakończyć sprawę z tym upiorem, by nie mógł już nikogo wystraszyć.

W tym momencie do rozmowy wtrącił się Udolf:

– Musi pani zrozumieć – powiedział, ignorując ostrzegawcze spojrzenia swojego towarzysza – jesteśmy przekonani, że owo zjawisko może mieć coś wspólnego z wczorajszym morderstwem.

Mrs Parslow uniosła się i wyraźnie zbladła.

– Z morderstwem? – powtórzyła wystraszona i zdumiona. – Cóż to za hotel? Czy morduje się tu ludzi w łóżkach? To straszne, że portier nie poinformował nas o tym wydarzeniu. Gdybyśmy wiedziały, na jakie niebezpieczeństwo się narażamy, nigdy byśmy się tu nie zatrzymały.

– Cóż, zapewne z tego właśnie powodu o tym paniom nie wspomniał, prawda? – odrzekł szwoleżer. – Kierownik próbuje utrzymać to w tajemnicy. Wie pani, jakie są te hotele. Cokolwiek by się stało, skandal trzeba zatuszować.

Asko zastanawiał się właśnie, czy nie nadszedł właściwy moment, by porządnie kopnąć przyjaciela, nieważne, czy Mrs Parslow to zauważy, musiał jednak oprzeć się tej pokusie. Obiecał sobie, że wymierzy tego kopniaka von Görenczy'emu, gdy będą sami. Udolf uczciwie sobie zasłużył. Bez dwóch zdań.

Marie-Jeannette przyniosła flakonik z solami trzeźwiącymi, po czym podeszła do wciąż otwartych drzwi. Jednak nie zamknęła ich; ze zduszonym okrzykiem strachu cofnęła się gwałtownie, niemal przewracając o fotel.

W progu stał bardzo wysoki, barczysty mężczyzna. Krótkie czarne loki miał w lekkim nieładzie i nie sposób było dostrzec w nich żadnej modnej fryzury. Ubranie, oczywiście drogie, nosił niedbale, jakby niewiele sobie robił ze swego wyglądu. Miał śniadą cerę południowca i skórę spaloną słońcem i wiatrem niczym u jakiegoś wędrowca. Kościste, surowe oblicze, badawcze spojrzenie i mocno zarysowane usta wskazywały na twardość i stanowczość. Lekki złośliwy uśmiech nie łagodził rysów przybysza. Ciemne, bardzo proste brwi nadawały mu ponury wygląd. Mężczyzna trzymał pistolet. Jednak tym, co najbardziej przykuwało uwagę, były oczy nieznajomego. Bursztynowe, niczym u wilka bądź lwa, zbyt blade, by można je było uznać za brązowe, i zbyt

żółte, by nazwać je zielonymi. Na tle ciemnej cery wydawały się dziwnie jasne i intensywnie błyszczące.

Mrs Parslow otworzyła usta, aby krzyknąć, z jej ust nie wydobył się jednak żaden dźwięk. Zastygła w bezruchu, z szeroko otwartymi oczyma, z ręką sięgającą po flakonik z solami trzeźwiącymi. Morderca ją odnalazł. Była tego pewna.

## Rozdział 5

Groźnie wyglądający mężczyzna wszedł do pokoju jak do siebie. Rozejrzał się, obszukując wzrokiem ściany. Dopiero wtedy opuścił broń.

– Proszę się uspokoić, madame – w przeproszającym tonie Asko słychać było zakłopotanie. – To przyjaciel. Mrs Parslow, pozwoli pani, że przedstawię: pułkownik Delacroix. Szuka mordercy, podobnie jak my.

Pułkownik spojrział na niego gniewnie; najwyraźniej nie ucieszyła go łatwość, z jaką von Orven udziela poufnych informacji. Asko zmieszał się. W pomieszczeniu zaległo kłopotliwe milczenie.

– Widział go pan? – przerwał ciszę Udolf. W jego głosie pobrzmiwał niemal zachwyt.

– Pojawił się wcześniej, niż można było oczekiwać – odpowiedział pułkownik, zaś Mrs Parslow odniosła wrażenie, że w jego poza tym doskonałym angielskim dosłyszała słabe twarde akcenty, których nie potrafiła dokładnie określić. – Obliczenia Vonderbrücka okazały się błędne. Byłem w piwnicy z winami. Pojawił się tuż przede mną i natychmiast umknął przez sufit. Pobiegnęłam schodami w nadziei, że znajdę jeszcze jakiś ślad.

– Przeszedł przez podłogę w moim pokoju – odpowiedział Görenczy. – Asko wpadł do mnie akurat na lampkę bordeaux. Zamierzaliśmy potem udać się do pana. Wynurzył się prosto z dywanu, wykręcił jakby spirale i przeszedł przez ścianę do sąsiedniego pokoju. Wystarczyło tylko biec za krzykiem.

– Krzyczał? – zapytał Delacroix, próbując ukryć pistolet pod surdudem.

– Eee... nie... Przeszedł do pokoju tych dam, a one...

– Były oczywiście zaniepokojone – dokończył von Orven, jak zwykle starając się w porę wyprostować nieprzemyślane zachowanie przyjaciela. Von Görenczy miał ten szczególny talent, że zawsze potrafił palnąć jakieś głupstwo w najmniej stosownym momencie.

Mrs Parslow odzyskała panowanie nad sobą, choć sprawiała

wrażenie nieco wstrząśniętej. Zaczepnęła głęboko powietrza, niemal sztywna z oburzenia.

– Moi panowie – odezwała się lodowatym tonem – jest już późno. Szczerze dziękuję za udzieloną pomoc, ale minęła już północ, muszę więc prosić panów, by poszukali ducha gdzie indziej. Chyba rozumieją panowie, że jako damy nie możemy sobie pozwolić na to, by w środku nocy udzielać gościny osobom, których zupełnie nie znamy. Trudno przypuszczać, by inni patrzyli na to wyrozumiale. Zwrócimy się do panów, jeśli będziemy potrzebowały ratunku. W tej chwili jednak najważniejszą dla mnie rzeczą jest udzielenie pomocy mojej bratanicy. Gdyby obudziła się w pokoju pełnym mężczyzn, i to w dodatku uzbrojonych, obawiam się, że mogłaby natychmiast znowu zemdleć.

Nie czekając na reakcję, demonstracyjnie usiadła obok omdlałej dziewczyny, wytrząsnęła na chustkę kilka kropli z flakonika z solami trzeźwiącymi i przytrzymała pod nosem nieprzytomnej.

– Corrisande! Obudź się. Jesteś bezpieczna – powiedziała, przy czym jej głos wydawał się raczej rozzłoszczony niż zatroskany.

Corrisande jednak nadal spoczywała na sofie, nieporuszona i blada jak ściana.

Asko von Orven odwrócił się grzecznie, zamierzając wyjść, pułkownik obrał jednak przeciwny kierunek i uklęknął przy sofie. Ujął przegub Corrisande wielką dłonią, by wyczuć puls, ignorując przy tym zupełnie komentarze oburzonej Mrs Parslow. Następnie położył rękę na czole dziewczyny.

– Jest zimna jak lód. Pani flakonik z solami trzeźwiącymi nic tu nie pomoże. – Odwrócił się do Marie-Jeannette, która jakimś cudem znów zdążyła trafić w ramiona szwoleżera, i wskazał na nią palcem. – Ty! Przynieś koc. Görenczy! Wiem, że zawsze ma pan przy sobie buteleczkę. Potrzebuję jej teraz.

– Jest w moim pokoju. – Udolf nie był zachwycony perspektywą, że będzie się musiał podzielić swoim żelaznym zapasem koniaku, uważał to za czyste marnotrawstwo. Nigdy nie wiadomo, kiedy może mu się przydać kropelka czegoś mocniejszego.

– Proszę ją przynieść. Teraz. Natychmiast! – rozkazał pułkownik, po czym zwrócił się do Mrs Parslow: – Przykro mi, że sprawiamy

paniom kłopoty, ale to ważne. Czy ten cień dotknął młodej damy, gdy przechodził przez pokój? Czy też straciła przytomność, gdy zobaczyła to zjawisko?

Mrs Parslow patrzyła na niego z oburzeniem i najwidoczniej nie wiedziała, czy powinna go od razu wyrzucić, czy też może najpierw udzielić mu lekcji dobrego wychowania. Zamiast tego jednak cofnęła się niechętnie, robiąc miejsce przy Corrisande. Z jednej strony nie zamierzała odstępować jej na krok, z drugiej strony jednak obcy mężczyzna zajmował tak dużo miejsca przy sofie, że jego fizyczna obecność uniemożliwiała zbliżenie się do dziewczyny. Eliza Parslow nie poczuła się szczęśliwsza, gdy to zrozumiała, nie odezwała się jednak ani słowem, lecz już zaczęła sobie łamać głowę, w jaki sposób pozbyć się niechcianych nocnych gości.

Marie-Jeannette, która wróciła z sąsiedniego pokoju z kocem, odpowiedziała za nią:

– Proszę, sir. Nie widziała tego czegoś. Podskoczyła i zemdląła, kiedy w ogóle jeszcze tego tu nie było. Gdy wyłoniło się ze ściany, leżała już na podłodze. To coś jej nie dotknęło. – Dygnęła przed pułkownikiem, który wziął od niej koc i okrył nim Corrisande.

– Ale – zaczął podporucznik von Orven, który wreszcie zamknął drzwi na korytarz – to by oznaczało, że poczuła tę istotę...

– ... zanim w ogóle się pojawiła – dokończył za niego von Görenczy, który właśnie wszedł, trzymając srebrną piersiówkę. – A to by znaczyło...

– To by znaczyło, że Miss Corrisande ma talent, którego poza nią nikt tutaj nie posiada – potwierdził Delacroix. – Być może będziemy mogli to wykorzystać.

– Pułkowniku! – Mrs Parslow odezwała się z całą godnością, na jaką ją było stać. – Czy mogłabym panom przypomnieć, że znajdują się panowie w pokoju damy? Nieproszeni, chciałabym dodać. W żadnym razie nie „wykorzystacie” mojej bratanicy. Jest delikatnym młodym dziewczęciem, nieprzyzwyczajonym do towarzystwa mężczyzn, wszystko jedno, czy owi mężczyźni szukają morderców, duchów czy przygód. Muszę panów stanowczo prosić, by nas opuścili, w przeciwnym wypadku będę zmuszona poprosić o pomoc w tej sprawie

kierownictwo hotelu.

Pułkownik skinął, ruchem głowy dając znak podporucznikowi von Orvenowi, by poświęcił się dyplomatycznemu zadaniu uspokojenia wzburzonej przyzwoitki.

Z lekko zarumienionymi policzkami Asko stanął przed Mrs Parslow, jakby zamierzał przed nią zaszalutować.

– Mrs Parslow, z całego serca prosimy panią o wyrozumiałość dla naszego niesłychanego zachowania. Jednakże jest to sprawa najwyższej wagi, i to dla bardzo wielu ludzi. Zapewniam panią, że w żadnym razie nie zamierzamy narzucać się pani bratanicy, czy też narażać jej na niebezpieczeństwo. Daję pani na to moje słowo. Pułkownik Delacroix może się pani wydawać dość niezwykły, ale gorąco proszę, by uwierzyła pani, że jest to człowiek nieskazitelnego honoru i o ogromnym doświadczeniu, i z pewnością zawsze dokładnie wie, co robi. Na Boga, Delacroix! Przecież nie może pan tej dziewczynie wlać całej butelki koniaku. Udusi się!

Te ostatnie słowa bynajmniej nie miały rozwiać wątpliwości Mrs Parslow. Zrobiła krok, jednak Udolf w mało dyplomatyczny sposób zablokował jej drogę i z szelmowskim uśmiechem zapytał, czy nie zechciałaby na razie usiąść. Nie ma wszak powodu, by się denerwować.

Mrs Parslow była innego zdania. Wzięła głęboki wdech, przygotowując się do dłuższego przemówienia, gdy ktoś zapukał do drzwi. Przez chwilę nikt się nie ruszał. Jednak zanim któreś z obecnych zdążyło coś powiedzieć, Marie-Jeannette otworzyła w nadziei – jak wyjaśniała później rozzłoszczonej Mrs Parslow – że zastanie za nimi pracownika hotelu, który pomoże uwolnić ich salon od niepożądanego obecności intruzów.

Nadzieja ta jednak, o ile rzeczywiście taką miała, okazała się płonna. W drzwiach stała młoda, niezwykle piękna kobieta, odziana w wykwinny brokatowy szlafrok ozdobiony wzorami w rajskie ptaki. Spod nocnego czepka z brukselskiej koronki opadały na jej ramiona i aż do talii złociste włosy.

Mrs Parslow potrzebowała kilku sekund, by przywołać w pamięci tę niezwykle piękną twarz o klasycznych rysach. Widziała już tę kobietę na scenie. Cérise Denglot, śpiewaczka operowa.

– Dobry wieczór – piękna blondynka miała melodyjny głos z lekkim francuskim akcentem. – Z pewnością nie chciałabym państwu przeszkadzać, ale usłyszałam hałasy i pomyślałam...

– Jeszcze tego brakowało – mruknęła pod nosem Mrs Parslow. Wstała z fotela, mimowolnie unosząc w dramatycznym geście ręce do twarzy. Z jej ciasno związanego koka, fryzury, którą preferowała, wysunęło się pasmo posiwiałych włosów. Odrzuciła je ze złością, rozgniewana, że do chaosu dołączyła jeszcze jedna osoba.

Udolf bezceremonialnie podszedł do śpiewaczki, zlekceważywszy oburzoną przyzwoitkę. Uśmiechał się przy tym kpiąco.

– Piękny szlafrok – skomentował. – Ale pani obecność jest tu całkowicie zbyteczna, moja droga. Już po całym zamieszaniu, a pani znów się spóźniła. Chyba niepotrzebnie poświęciła pani tak wiele czasu na przygotowania do występu. Najlepiej będzie, jeśli wróci pani do łóżka.

– Może powinnam panu przypomnieć, Görenczy, że nie jestem dla pana „moją drogą”, a do łóżka chodzę wtedy, kiedy chcę, i że przy tym hałasie, jaki tu wszyscy robicie, jest to doprawdy *miraculeux*, że nie obudziliście jeszcze całego hotelu. O ile sobie przypominam, proszono nas, byśmy postępowali dyskretnie. Ale dyskrecja chyba nie jest pańską najsilniejszą stroną, *nest-ce pas?*

– Cóż, najdyskretniejsze, co mogłaby pani zrobić, to udanie się z powrotem do swego pokoju. Tymczasem trąbi nam tu pani przy otwartych drzwiach o swym jakże czarującym oburzeniu tym wyszkolonym sopranem. Mamy wszystko pod kontrolą. Pod każdym względem.

Prowadzona dyskusja tak bardzo przypominała kłótnię kochanków, że Marie-Jeannette, która była niezwykle wrażliwa na drobne złośliwości, wybrała tę właśnie chwilę, by ponownie poszukać schronienia u podporucznika. To było przyjemne uczucie, schronić się w ramionach czarującego, zuchwałego szwoleżera; równie przyjemne jak możliwość wygryzienia tak wychwalanej przez gazety piękności jak mademoiselle Cérise Denglot, „bogini”, jak nazywała ją oszalała na punkcie opery publiczność.

– Rzeczywiście – zauważyła chłodno bogini, odwróciwszy się na



pięcie. – Jestem *de trop*. *Je suis désolée*. Chciałam tylko pomóc. – Z trzaskiem zamknęła za sobą drzwi.

– Czy to było potrzebne? – szepnął Asko do Udolfa w nadziei, że Mrs Parslow nie słyszy jego słów. – Musisz się zawsze z nią kłócić? Teraz z pewnością będzie urażona.

Von Görenczy wzruszył ramionami i delikatnie uszczypnął Marie-Jeannette w policzek.

– Zostaw ją – powiedział tylko. W jego głosie słyhać było zadowolenie.

To intermezzo odwróciło uwagę Mrs Parslow od Corrisande. Tym samym zupełnie przegapiła moment, by zobaczyć, co pułkownik właśnie wyczyniał z jej „bratanicą”.

Siedział obok niej na dywanie, spoglądając jej w twarz. Jedną ręką objął Corrisande za ramiona i wyprostowaną pociągnął ku sobie, podtrzymując jej głowę wielką, żylastą dłonią. Drugą ręką wlał w jej usta zawartość piersiówki Görenczy’ego. Dziewczyna drgnęła i zaczęła się krztusić. Delacroix trzymał ją mocno w ramionach.

## Rozdział 6

Cérise wróciła do pokoju, wciąż jeszcze kipiąc ze wzburzenia. Sposób, w jaki potraktował ją ten bezczelny żołnierz, przekraczał wszelkie granice. Oczywiście nie byli najlepszymi przyjaciółmi, po tym jak odrzuciła jego starania. Ale co on sobie myślał, że kim jest?

Chyba się nie spodziewał, że Cérise za niego wyjdzie, zrezygnuje ze swej świetności i sławy, by wegetować jako małżonka nieustannie tkwiącego w długach młodego oficera? Już samo zapytanie jej o to było absurdalne. Oczywiście, że z nim flirtowała, ale przecież nie bardziej niż z innymi mężczyznami. No cóż, może jednak trochę bardziej. W każdym razie nie dała Görenczy'emu żadnego powodu, by mógł zakładać, że udało mu się zdobyć jej serce. No cóż, w każdym razie żadnego wielkiego powodu. A w każdym razie nie na długo.

Ale, *mon Dieu*, czy kobieta nie może sobie pozwolić na romans bez narażenia się przy tym, że będzie ją prześladował jakiś rozmarzony adorator szukający żony? Szwoleżerowie nie należeli przecież do mężczyzn, którzy myśleli o małżeństwie. Któż mógł przypuszczać, że jedna noc pełna romantycznej namiętności sprawi, że Görenczy zacznie traktować rzecz tak poważnie?

Jeśli chodziło o Delacroix, w ogóle nie zamierzała o nim rozmyślać. Poświęcanie mu chociaż jednej myśli było zupełnie bez sensu. Wstrętny, pamiętliwy drań. Najprawdopodobniej nigdy jej nie kochał. W każdym razie nie okazywał jej czci, jak czynili to inni mężczyźni. Prawił mniej komplementów i dawał mniej prezentów. Nie pisał dla niej wierszy ani nie porównywał jej do bogini. Im więcej Cérise się nad tym zastanawiała, tym bardziej była zadowolona, że pozbyła się pułkownika. Nie zamierzała marnować na niego choćby jednej myśli. Nigdy więcej. Wystarczająco okropne było, że wypełniając swe zadanie, musiała go znowu widzieć. Cóż, obowiązek. Wszystko inne zniknęło z jej myśli. Cérise wymazała pułkownika. Tak jest.

Weszła do pokoju i zamknęła drzwi. Poczowała zimny przeciąg. Nie

przypominała sobie, by zostawiła otwarty balkon. Im dłużej o tym myślała, tym bardziej była pewna, że osobiście zamykała go kilka minut wcześniej. Z całą pewnością to zrobiła.

Sięgnęła po torebkę i wyjęła małego deringera. Zamówiła go swego czasu, stanowił jeden z najbardziej cenionych przez śpiewaczkę precjozów – mały, elegancki i śmiertelny. Oczywiście mogła też zawołać na pomoc panów z sąsiedztwa. Ale byli tak zajęci damami... Uśmiechnęła się pod nosem. *Certainement*, obejdzie się bez nich. W końcu nie była już małą dziewczynką, mdlejącą przy najmniejszym zamieszaniu. Była odważną, samodzielną kobietą. Zuchwałą, utalentowaną i z naładowanym deringerem.

Rozejrzała się po salonie. Była sama. To jej bynajmniej nie uspokoiło, ponieważ oznaczało, że intruz musi być w sąsiadującej z salonem sypialni. Nie lubiła intruzów w sypialni. Poza tym chciała mieć całkowitą pewność, że będzie jedyną osobą, która decyduje o tym, kto może tę sypialnię odwiedzać. Ostrożnie podkraśla się do drzwi na balkon. Jej brokatowy szlafrok szeleścił o wiele za głośno. Nie była ubrana, jakby oczekiwała gości. Ale wszystko jedno. Złodzieje najprawdopodobniej wciąż widywali damy w szlafrokach, choć może nie tak wykwintnych i drogich. Cóż, Cérise miała przynajmniej doskonały gust.

Pchnęła drzwi i rzuciła się do pokoju, trzymając przed sobą pistolet.

– Ręce do góry albo strzelam! – krzyknęła.

Pokój był pusty. Jedynie zasłony falowały w zimnym wiosennym powietrzu. Cérise zamknęła to okno wcześniej. Była pewna. Całkowicie pewna. Rozejrzała się. Na łóżku leżała jedna, samotna biała orchidea.

– Och – westchnęła z uśmiechem. Znów tu był. Tajemniczy mężczyzna, który od czasu do czasu przysyłał jej orchidee. Miał styl. Oczywiście to było niewłaściwe z jego strony, że zakradał się do sypialni kobiety, by zostawić kwiat. Jednak jego śmiałość ciekawiła Cérise. Nigdy nie widziała, jak nieznajomy przychodził lub odchodził. Niemal usychała z ciekawości, kim może być ten mężczyzna.

Pewnie jest stary i brzydki, upomniała się w myślach. W końcu ekstrawaganckich wielbicieli nie brakuje w żadnej grupie wiekowej i

wagowej. Pewnie przekupił po prostu pracownika hotelu. Przez zostawianie orchidei na łóżku chciał wywrzeć wrażenie, że Cérise ma wielbiciela, który potrafi się wspinać po ścianach tylko po to, by potajemnie przekazać podarunek.

Cérise miała wielu wielbicieli. Bądź co bądź była przecież jedną z najpopularniejszych śpiewaczek operowych swoich czasów. Najlepsze opery w Europie płaciły dużo pieniędzy, by zatrudnić ją choć na sezon. Była bogata i sławna. I słusznie, jak uważała. Zapewniano ją o tym dostatecznie często.

Wierzyła w to bez cienia wątpliwości. Żyła w epoce entuzjazmu i delektowała się tym bezgranicznie.

Cérise lubiła swoje życie. Podróże od jednego sukcesu do drugiego były w najwyższym stopniu zadowalające. Zaś od czasu gdy Delacroix wprowadził ją w tajniki pracy detektywa, jej życie stało się nie tylko zadowalające, ale też podniecające i ekscytujące. Pewnie pułkownik od dawna już tego żałował. Nie musiałby tego robić, gdyby Cérise nie zdecydowała się na to dodatkowe zajęcie. Delacroix potrzebował pomocy, a ona była pod ręką. I tak to się zaczęło. Na dodatek była dobra. I zbyt utalentowana, by z tym skończyć i poświęcić się tylko śpiewaniu. Znajomość intrygujących sekretów dawała Cérise większą wiarę w siebie i roztaczała wokół niej tajemniczą aurę, która sprawia, że kobieta staje się jeszcze bardziej godna pożądania. Delektowała się tym, że oprócz publicznego życia mogła też być częścią gry, która niemal dla wszystkich pozostawała tajemnicą. Dawało jej to poczucie większego znaczenia.

Oczywiście powinna z tym skończyć. Nie powinna tego robić publiczności ani się w ten sposób narażać. Cérise przyrzekła sobie, że nie da się już wplątać w tego rodzaju afery, wyszło jednak inaczej. Wyjechała do Monachium, by śpiewać. Tymczasem znów została włączona do zespołu, który składał się z jej dwóch byłych kochanków i jednego moralizatora-perfekcjonisty. No i był jeszcze ten mag, którego im narzucano.

Nie dałaby się w to w ogóle wplątać, gdyby Jego Wysokość nie poprosił o to w liście. Trudno byłoby odpowiedzieć królowi: „Nie, dziękuję”. W dodatku takiemu szarmanckiemu, młodemu królowi.

Cérise spędziła z nim czarujący wieczór i nigdy nie wiadomo, ile takich czarujących wieczorów jeszcze spędzi, gdy będzie już trochę starszy, mniej entuzjastyczny i bardziej melancholijny. Gdyby to od niej zależało, nie miałyby żadnego powodu do melancholii.

Zamknęła okno i odłożyła deringera na nocny stolik. Wróciła do salonu.

– Dobry wieczór – pozdrowił ją melodyjny głos od strony balkonu. Cérise nie była w stanie rozpoznać ciemnej, niewyraźnej postaci za drzwiami. – Przykro mi, że pani przeszkodziłem. Chciałem jedynie przynieść ten kwiat, orchideę dla mojej orchidei. Ale wróciła pani zbyt wcześnie. Mam nadzieję, że pani nie zaniepokoiłem.

– Oczywiście, że nie – odparła Cérise stanowczo, żałując jednocześnie, że zostawiła pistolet w drugim pokoju. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie powinna uciekać, ale obawy szybko ją opuściły. Mężczyzna nie sprawiał wrażenia niebezpiecznego. W końcu był przecież jej wielbicielem.

– Już od dawna panią podziwiam – zabrzmiał głos z ciemności. – Chyba nadeszła pora, bym się przedstawił. Czy mogę wejść?

– To nie jest ani stosowne, ani właściwe, monsieur – Cérise postarała się nadać głosowi znudzone brzmienie. Woląaby widzieć twarz przybysza, ale ta wciąż skrywała się w cieniu. Widoczna pozostawała jedynie smukła sylwetka. W każdym razie wielbiciel nie sprawiał wrażenia starego. Roześmiał się. Jego głos, łagodny i melodyjny, miał bardzo głębokie brzmienie, które sprawiało, że Cérise spontanicznie go polubiła.

– Ma pani rację. Ale czy tak nie jest o wiele bardziej interesująco? Jak pani sądzi?

Roześmiała się.

– Proszę wejść. W końcu i tak zaglądał już pan do moich pokoi. Będzie się pan odpowiednio zachowywał, prawda? Nie mam cierpliwości do ludzi, którzy tego nie robią.

Mężczyzna wszedł i ukłonił się. Wyglądał wyjątkowo dobrze, czarnowłosa, o wąskich biodrach. Poruszał się z gracją tancerza. Jego wielkie czarne oczy napotkały jej spojrzenie i przez chwilę Cérise miała wrażenie, że w nich tonie.

Nieznajomy stanął przy niej z uśmiechem i pochylił się nad jej dłonią, którą nie wiadomo jakim cudem zdążył ująć prawą ręką.

– Jesteś taka piękna...

Cérise wiedziała, że mówił to z całego serca. Była tego całkowicie pewna, przekonana bez najmniejszych wątpliwości i zupełnie nie zauważyła, że przeszli na ty. Wciągnęła głęboko powietrze. To było tak, jakby na jakiś czas zapomniała oddychać.

– Cóż – powiedziała, starając się zachować resztki rozwagi, która chyba rozpadła się na drobne kawałki, pragnące odfrunąć jak stado ptaków. Kobieta spróbowała się skoncentrować. To było do niej zupełnie niepodobne, tak tracić głowę z powodu mężczyzny. Czuła się trochę jak głupiutka nastolatka. A przecież nie była już nastolatką i niezbyt chętnie myślała o sobie jako o głupiej. – Dziękuję za komplement. Czy nie zamierzał się pan przedstawić?

– Graf Arpad. – Ponownie skłonił się, tym razem bardzo formalnie. – Do pani usług. Zawsze. Na wieki.

I znów to poczucie nieograniczonej szczeroci z jego strony Przenikało Cérise. Sprawiało, że czuła się pewnie. Uśmiechnęła się, usiadła i gestem zaprosiła, by graf zajął miejsce obok.

– A więc, grafie Arpad, cóż sprawia, że daje pan damom białe orchidee w tak niezwykły sposób? – zapytała jakby mimochodem, on zaś uśmiechnął się, nie otwierając ust.

– Tylko jednej damie. – Ujął jej rękę. W następnej chwili osunął się na dywan, klęcząc przed nią i całując jej palce, potem przegub i wewnętrzną stronę dłoni. – Moja orchideo.

Cérise spojrzała w namiętne oblicze, czarne oczy uwięziły jej spojrzenie. Rysy Arpada były regularne i szlachetne, więcej niż atrakcyjne – intrygowały, zapierały dech w piersiach. Graf wydawał się doskonały. Nie dało się w nim dostrzec najmniejszej wady, był wysoki, zwinny, dobrze zbudowany. Miał zaraźliwy śmiech, szczery i bezpośredni. Nagle Cérise dostrzegła jego uszy. Lekko spiczaste. Był Sí. Był feyonem. Jednym z potomków Fey! Już od dłuższego czasu wiedziała, że te mistyczne stworzenia rzeczywiście istnieją, że to nie tylko stare bajki i legendy. Ale dotąd nie miała szczęścia ich spotkać. Byli tak inni. A może nie?

Jeszcze nigdy nie podziwiał jej, nie zalecał się i nie kochał żaden feyon. Cérise ogarnęło dziwne wrażenie, że graf Arpad czuje, jakie myśli przemykają właśnie przez jej głowę, bo zaczął się uśmiechać.

– Teraz, moja królowo kwiatów, musisz mi wszystko o sobie opowiedzieć. Moje serce aż płonie, by poznać każdy, najmniejszy szczegół, każdą część ciebie.

Drugie dno w jego słowach jakoś jej umknęło. Patrzyła tylko w oczy mężczyzny, czuła dziwne oszołomienie, poruszona i dotknięta do głębi. Zaczęła mówić. Opowiedziała mu wszystko, co chciał wiedzieć. Trzymała przy tym mocno jego rękę, rozkoszując się zażyłością tego dotyku. Coraz głębiej zanurzała się w ciemne spojrzenie, gubiąc się w nim jak w labiryncie.

Gdy Cérise doszła do siebie, wciąż stała w ramionach feyona. Pocałował ją w czoło z taką czułością, że jej serce aż ścisnęło się z tęsknoty.

– Uskrzydłasz mnie – wyszeptał. Jego usta dotykały skóry jej policzków i szukały jej ust.

To był jedynie delikatny pocałunek, niemal obietnica czegoś więcej, ale zdawało się, że zaparło mu to dech w piersiach. Puścił ją gwałtownie.

– Muszę iść – powiedział, a w jego oczach nagle pojawił się niepokój. – *Au revoir, ma belle.*

W okamgnieniu znalazł się na balkonie, stopił z ciemnością i zniknął, jakby nigdy go tu nie było.

Cérise patrzyła za nim. Potem zamknęła balkon. Było zimno.

Poszła do sypialni, uczucia wirowały w niej jak szalone. Na łóżku leżała biała orchidea. Cérise się uśmiechnęła. Poczowała się niewypowiedzianie szczęśliwa. Jej tajemniczy wielbiciel znów tu był. Chciałaby poznać go kiedyś osobiście.

## Rozdział 7

Corrisande czuła, jak rozżarzony płyn pali ją od środka. Jeszcze przed chwilą błdziła w krainie lodu i ścinającego krew w żyłach mrozu. Jej pozbawiona zmysłu orientacji dusza rzucała się w ciemności, dziewczyna niczego nie pojmowała. Piekło płomieni ogarnęło ją bez uprzedzenia, przeniknęło i boleśnie sparzyło.

Starła się złapać powietrze, po policzkach płynęły jej łzy, a żar rozlewał się po ciele, nawet w nosie, palący i bolesny. Prychała i krztusiła się, rozpaczliwie walcząc o oddech.

Umierała. Była pewna, że umiera. To koniec. To kara za nieodpokutowane grzechy jej i ojca. Corrisande znalazła się w piekle. Dotarła do otchłani, z której nie było już żadnej ucieczki.

Jęknęła. Strach powstrzymywał ją przed otwarciem oczu, obawiała się bowiem, że zobaczy to, co nieuniknione – potworne kreatury, na których pastwę miała być oddana. Co się wydarzyło? Co takiego mogło się stać? Przypominała sobie lodowaty chłód, który ogarnął ją wraz z jakimś mrocznym przeczuciem. Przez chwilę poczuła zło, groźne i nieuniknione, zanim popadła w bezkresne, najczarniejsze z czarnych zwątpienie. Zło nadchodziło, zbliżało się, skradało – a potem tylko ciemność. Uwięziona bez możliwości ucieczki. Żadnego wyjścia.

Z oddali Corrisande usłyszała zatroskany głos mężczyzny:

– Dochodzi do siebie.

Kolejny, głębszy, bardziej szorstki głos zabrzmiał tuż przy jej twarzy:

– Proszę otworzyć oczy. Teraz. – Jej kości zaklekotały jak szklane kulki w woreczku. Ktoś nią mocno potrząsał. Nie była pewna, czy wolno mu to robić, nie miała jednak na tyle odwagi, by zobaczyć, kto ośmielił się szarpać nią jak workiem ziemniaków. Rzeczywistość wdzierала się w Corrisande dzikimi falami, dziewczyna czuła się tak, jakby miała morską chorobę. – Proszę się obudzić! Niech pani otworzy oczy! Może pani to zrobić – powtórzył rozkazującym tonem ktoś, kto z pewnością nie przywykł do sprzeciwu.



Otworzyła oczy i z początku widziała tylko rozmazaną postać. Trochę trwało, nim jej wzrok się wyostrzył. Corrisande ujrzała obcą twarz – żółtawe oczy nieznajomego wyglądały jak ślepią wilka. Mężczyzna spoglądał w niemiły i krytyczny sposób i coś w jego bursztynowych oczach, jakaś żarząca się intensywność, niepokoiło dziewczynę. Przez chwilę wierzyła, że rzeczywiście trafiła do piekła. I wtedy zaczęła dostrzegać otoczenie, rozpoznała pokój w hotelu. Mężczyzna sprawiał mroczne wrażenie, jego cera i włosy były ciemniejsze niż u większości ludzi. Podtrzymał ramiona Corrisande lewą ręką, prawą zaś wymierzył jej właśnie lekki, bolesny policzek. Nie miał do tego prawa!

– Niech pan natychmiast przestanie!

Ten głos rozpoznawała. To Eliza. Nie była zachwycona. W jej głosie brzmiała niemal histeria. Naprawdę dużo się musiało wydarzyć, by do tego stopnia wyprowadzić z równowagi starszą damę. Największą zaletą Elizy było przecież jej opanowanie.

Corrisande uniosła lewą dłoń do nadgarstka mężczyzny. Jego ręka była silna, o grubych kościach i Corrisande nie zdołała objąć jej palcami. Jednak obcy mężczyzna przynajmniej przestał zadawać dziewczynie ból. Przez chwilę czuła wielką, ciepłą dłoń na twarzy. A potem te doznania zniknęły.

– Może pani usiąść? – zapytał nieznajomy. Gdy spróbowała znów oprzeć się o sofę, dodał: – Nie. Proszę nie kłaść się znowu. Niech pani usiądzie. Niech się pani skoncentruje. Niech pani otworzy oczy!

Pomógł jej usiąść, po czym zrobił krok w tył.

Corrisande poczuła się bez niego zagubiona i pragnęła, by wciąż podtrzymał jej ramiona, pragnęła znów czuć jego siłę i ciepło, którym emanował.

Minęła chwila.

Corrisande rozejrzała się. Pokój wydawał się przepełniony. Eliza stała sztywno, z twarzą tak czerwoną, że gdyby zobaczył ją teraz lekarz, z pewnością upuściłby jej krwi, by zapobiec groźbie wylewu. Przyzwoitka podeszła, załamując ręce.

Obecna była też Marie-Jeannette, która opierała się o przystojnego, młodego oficera szwoleżerów, którego wcześniej Corrisande widziała z

balkonu. Nie wiedziała, ile czasu minęło od tej pory. Mężczyzna obejmował pokojówkę jak kochanek. Z pewnością nie powinno tak być.

W pokoju był jeszcze jeden młody oficer w bawarskim uniformie, schludny i sprawiający wrażenie nieskazitelnego, uważny i z zatroskanym wyrazem twarzy. On również dobrze się prezentuje, pomyślała panna Jarrencourt. Jego blond włosy zaczesane były równo jak spod linijki, zaś jasnoniebieskie oczy przepęniała troska. Zdawał się tulić Corrisande spojrzeniem, a ręce drżały mu lekko ze zdenerwowania. No i był jeszcze ten nadzwyczaj wielki dżentelmen, odziany w dość nonszalanckie cywilne ubranie. Miał lekko przekrzywiony krawat, zaś przód surduta był wilgotny i poplamiony, co prawdopodobnie – jak uświadomiła sobie dziewczyna – spowodowane zostało przez jej kaszel i łzy.

Jakież to krępujące.

Wszyscy patrzyli na Corrisande, jakby oczekiwali, że coś powie lub zrobi, choć nie wiedziała co. Miała koszmarne uczucie, jakby grała na scenie sztukę, której tekstu nie знаła.

– Och – westchnęła. Zdumiewające, ale wszyscy wyglądali na zadowolonych. Dziewczyna wzięła głęboki wdech. Musi się dowiedzieć, co się stało, kim byli ci ludzie i co wytrąciło Elizę z równowagi.

Ale najpierw najważniejsze.

– Sir! – Corrisande zwróciła się do szczerzącego zęby, zadowolonego z siebie szwoleżera, uświadamiając sobie, że jej głos brzmi dość ochryple i surowo. – Proszę puścić moją pokojówkę. Pańska nazbyt przyjazna postawa jest niestosowna.

To napomnienie zdjęło zakłęcie. Eliza obróciła się i obrzuciła Marie-Jeannette potępiającym spojrzeniem. Szwoleżer wyglądał na zdumionego, zaś drugi oficer najwyraźniej czuł się niezręcznie. Osobliwy cywil zaczął się śmiać i jego surowe oblicze się zmieniło. W jego dziwnych oczach zabłysły iskry humoru, a powaga zniknęła.

Corrisande musiała odkaslnąć. W ustach czuła wstrętny smak i paliło ją w żołądku. Oficer o blond włosach rzucił się do niej i ze stojącej na stoliku karafki nalał szklanek wody. Podał naczynie Corrisande, przyklękawszy przy sofie na jedno kolano. Jego gest poruszył dziewczynę. Oficer miał przyjemny uśmiech, entuzjastyczny, a

jednocześnie jakby z rezerwą. Ich spojrzenia się spotkały – w oczach mężczyzny błyszczała troska, ale również uprzejmość. Najwyraźniej był to naprawdę miły człowiek.

– Dziękuję. To bardzo miłe z pańskiej strony. – Upiła łyk wody. – Ale może... – Spojrzała pytająco na Elizę.

Mrs Parslow skinęła głową.

– Moi panowie – zaczęła, a w jej głosie pobrzmiwała taka złość, że brzmiało to niemal nieuprzejmie – dziękuję za udzielenie pomocy. Jest już późno. Moja bratanica powinna teraz udać się na spoczynek, by dojść do siebie po omdleniu. Nie ma żadnego powodu, by pozostawali panowie dalej w naszych pokojach. Mogą panowie być pewni, że świetnie poradzimy sobie bez nich. Proszę więc uprzejmie, aby...

Kłęczący przed Corrisande młody oficer zarumienił się i wstał.

– Chwileczkę! – przerwał jej ubrany po cywilnemu mężczyzna. – Przykro mi, ale zanim panie opuścimy, musimy zadać jeszcze kilka pytań. Naprawdę, madame – zwrócił się do Mrs Parslow, która właśnie zamierzała szorstko wejść mu w słowo, przy czym jej niechęć była teraz wyraźnie widoczna. – Muszą nam panie poświęcić jeszcze kilka minut. Tego wydarzenia nie należy lekceważyć i nie ujmując znaczeniu, jakie przypisują panie dobremu wychowaniu i etykietce, to jest teraz najważniejsze. Corrisande! – Odwrócił się do niej i wydawał się zaskoczony, gdy mu przerwała:

– Nie mam pojęcia, kto dał panu prawo, by zwracać się do mnie po imieniu. Jestem pewna, że nie jesteśmy spokrewnieni.

Mężczyzna nabrał głęboko powietrza. Corrisande zdawało się, że usłyszała syk.

– Do diabła, mówię do pani Corrisande, ponieważ nie znam żadnego innego imienia. Zresztą co to za różnica. – Jego oczy zalśniły niepohamowaną dzikością. Zniknął z nich uśmiech.

Jaka szkoda.

Młody oficer, który podał dziewczynie wodę, postanowił interweniować. Stanowczym, ale uprzejmym tonem zaczął wyjaśniać:

– Oczywiście powinniśmy się paniom najpierw przedstawić. Pozwolą panie, że to nadrobię, chociaż sytuacja jest dość niekonwencjonalna i niczego nie życzę sobie z większym utęsknieniem

niż tego, byśmy mogli poznać się w innych okolicznościach. Ten oto to mój przyjaciel, podporucznik von Görenczy, zaś pan, który przywrócił panią do życia, to pułkownik Delacroix, krajan szanownych pań. Ja zaś jestem podporucznik Asko von Orven. – Sprawiał wrażenie, jakby te wyjaśnienia usprawiedliwiały obecność intruzów w pokoju, i może tak właśnie było. Asko mówił dalej: – Trafiliśmy do apartamentu szanownej pani, ponieważ... nazwę to upiorem... bowiem ten upiór tędy przechodził, a pani ciotka i pokojówka były dość zdenerwowane. Zdajemy sobie sprawę, że nadużywamy pani wspaniałomyślności, ale czymkolwiek było to, co przemierzyło ten pokój, zdaje się mieć jakiś związek z przestępstwem, którego dokonano tu ostatniej nocy. Poproszono nas, byśmy pomogli je wyjaśnić.

– Czy to jest uprzejmy opis tego – Corrisande poczuła się nagle zbyt zmęczona, by nadać swym słowom dziewczęcą wstrzeźliwość, czy też by sprawiać odpowiednio bezradne wrażenie – że to panowie są podejrzewani o popełnienie tego przestępstwa?

– Na Boga, nie! – zawołał zszokowany podporucznik von Orven.

– Co to, to nie – wyszczerzył zęby podporucznik von Görenczy.

– Cóż za niebanalny wniosek, ale zupełnie fałszywy. – Usta pułkownika wykrzywiły się w półśmiechu. – Poproszono nas o pomoc, ponieważ mamy w tego rodzaju sprawach pewne doświadczenie. A ponieważ sprawa jest dość delikatnej natury, dyrekcja hotelu i policja uzgodniły, by zwrócić się do nas o wsparcie. Widzi pani, moje dziecko...

– Miss Jarrencourt – skarciła go opryskliwie dziewczyna. – Corrisande Jarrencourt. A dla pana Miss Jarrencourt. Zechciałby się pan tego trzymać? Nie jestem ani „pańskim dzieckiem”, ani „pańskim dziewczęciem”, sir.

– Miss Jarrencourt, straciła pani przytomność, zanim to zjawisko w ogóle się zmaterializowało w pokoju. Musimy wiedzieć dlaczego. Co takiego sprawiło, że straciła pani zmysły?

Corrisande patrzyła ze złością na Delacroix. Domaganie się rozmowy mimo żądania opuszczenia pokoju było szczytem bezczelności. Brak delikatności pułkownika był nieznośny. I nie równoważyły tego żadne iskry w jego oczach. Z pewnością nie należał do dżentelmenów, z jakimi Corrisande chciałyby zawrzeć znajomość,

podobnie zresztą jak ci dwaj młodzi oficerowie. No, może ten podporucznik von Orven jeszcze by uszedł. Młody oficer sprawiał przynajmniej wrażenie, że potrafi się przyzwoicie zachowywać, a to pannie Jarrencourt się podobało. Będzie trzeba sprawdzić, kto to taki, ale jej nadzieje nie były zbyt wielkie. Niestety. Ale von Orven był przynajmniej miły i troskliwy.

Zauważyła, że Mrs Parslow znów jest gotowa udzielić panom lodowatej odprawy Corrisande czuła się jednak śmiertelnie zmęczona, wyczerpana i nie miała ochoty na kolejne nieuprzejmości. Najlepiej jak najszybciej z tym skończyć.

Wzdrygnęła się demonstracyjnie. Von Orven pochylił się, by podnieść koc, który zsunął się z sofy. Przytrzymał go dla dziewczyny, ona jednak potrząsnęła głową, zatrzepotała rzęsami i unosząc powieki, obdarzyła mężczyznę perfekcyjnie wyuczonym spojrzeniem. Jeśli miała być przekonująca, musiała się skoncentrować.

– Nie wiem, pułkowniku – odezwała się ze świadomością, że dawała już lepsze przedstawienia, udając szukającą ochrony młodą dziewczynę. Zazwyczaj nikt nie mógł jej w tym dorównać. – Chciałabym to jakoś wyjaśnić. Ale nie potrafię. W jednej chwili było mi bardzo zimno. Chciałabym... Nie potrafię tego opisać, a niczego więcej nie pamiętam.

Zresztą nie miała ochoty sobie niczego przypominać. Roztrząsanie tych wspomnień byłoby jak grzebanie w otwartej ranie.

– Niech pani spróbuje! – to nie była prośba, lecz rozkaz. Delacroix przyciągnął sobie krzesło, usiadł nieproszony naprzeciwko Corrisande i spojrzał w jej oczy, które były teraz prawie na tej samej wysokości co jego. Pochylił się, opierając dłonie na kolanach. Robił niesamowite wrażenie. – Musi pani spróbować! Nawet jeśli miałyby to być nieprzyjemne. Najwyraźniej nie brakuje pani odwagi. Musi nam pani wszystko powiedzieć. Niech pani sobie przypomni!

Przypominanie sobie było ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła Corrisande. Nie chciała przeżywać tych uczuć jeszcze raz, choćby tylko we wspomnieniach. Nigdy więcej.

Musi być jakiś sposób, by się z tego wykręcić. Zrobiła najbardziej urażoną minę, na jaką ją było stać, uniosła drżącą dłoń do skroni i

odezwała się takim tonem, jakby zaraz miała umrzeć:

– Proszę mi wierzyć, naprawdę chciałabym panom pomóc, ale czuję się taka osłabiona...

– Bzdury. Nie wierzę w ani jedno pani słowo. – Spojrzenie dziwnych oczu dosłownie wwiercało się w nią, surowo i nieustępliwie.

– Ależ, pułkowniku!

Ten jednak przerwał okrzyk zszokowanego podporucznika von Orvena ordynarnym ruchem ręki.

– Moje drogie dzie... droga Miss Jarrencourt. Zapewniam panią, że jestem całkowicie niepodatny na urażone spojrzenia i tę kruchą pozę. Potrzebuję informacji i zamierzam je otrzymać, nawet gdybym musiał je z pani wytrząsnąć.

– Sir! – krzyknęli zszokowani Mrs Parslow i von Orven. Pułkownik ich zignorował. – Pułkowniku! Nalegam, by...

– Nie teraz. – Na krótką chwilę przestał patrzeć na Corrisande i ruchem ręki nakazał oficerowi milczenie. – Niech pan sobie później nalega, na co pan tylko ma ochotę.

Zanosiło się na nowy konflikt i Corrisande przeczuwała już kakofonię kłótni. Poddała się z westchnieniem. Pragnęła, by przesłuchanie jak najszybciej się skończyło. Ta sytuacja szargała jej nerwy i powodowała, że traciła panowanie nad sobą. Może ci panowie wreszcie sobie pójdą, jeśli im wszystko powie. Czasami, jak mawiał jej ojciec, rzeczy można obejść jedynie w ten sposób, że pędzi się przez sam ich środek. A jednak dziewczyna nie chciała o tym myśleć, nie wspominając już o znalezieniu słów, które mogłyby opisać rozrywające duszę wizje, jakie ją ogarnęły. To było tak, jakby jej własna dusza walczyła przeciwko temu i próbowała wyprzeć obrazy i doznania z pamięci.

Ale nie było żadnej ucieczki. Corrisande spojrzała stanowczo w twarz masywnie zbudowanego mężczyzny i wiedziała, że będzie traktował ją w taki sposób jak dotychczas, dopóki nie zacznie mówić. Zamknęła więc oczy i zaczęła relację, bez namysłu i bez wstępu. Głos dziewczyny brzmiał obco nawet w jej własnych uszach.

– Nagle wszystkie włosy stanęły mi na głowie. W jednej chwili zrobiło mi się zimno. Wszystko działo się bardzo szybko. To było takie

uczucie, jakby otoczył mnie krąg fal. – Nie była pewna, czy to, co powiedziała, miało dla jej słuchaczy jakiś sens. – Rozumie pan? Jakby ktoś rzucił kamień w czarną wodę, a fale zmarszczyły się i rozchodząc, dotknęły mnie. To było uczucie... – zaczęła drżeć i tym razem nie musiała tego udawać – uczucie bliskości śmierci i umierania. Chłód ogarnął mnie i przeniknął. To było... straszne. Bałam się. I bolało. Wpadłam w czarną nicość. Nie, zostałam w nią wrzucona. Myślałam, że nie żyję. Że umarłam. Nie czułam już mojego cia... mojej fizycznej egzystencji. – Poczula, że po twarzy spływa jej łza. Brzydziła się tej reakcji. Była zbyt osobista. Zbyt wiele ujawniała o Corrisande. – Byłam sama w całkowitej ciemności, zamrożona w czarnym lodzie. Bolało...

Powstrzymała szloch. Nie wypadało jej łkać. Mężczyźni nie lubili takich napadów. Nigdy czegoś takiego nie robiła, nie była spazmatyczką. Zamknęła oczy, nie mogła znieść, że ludzie patrzają na jej zalaną łzami twarz. Wspomnienia znów wywołały uczucie agonii, przerażenia, całkowitej beznadziejności i przytłaczającej winy. Corrisande zmusiła się, by mówić dalej. Przełknęła ślinę, nabrała głęboko powietrza i na siłę próbowała sprawić, by jej głos brzmiał pewnie. Gniewnie otarła łzy.

– A potem miałam wrażenie, że płonę, że się spalam, i myślałam, że jestem w piekle. W podziemiach. Za bardzo się bałam, by otworzyć oczy i się rozejrzeć.

Czuła, że Eliza usiadła obok, ujęła ją za rękę i pogłaskała w sposób, który zapewne miał dziewczynę uspokoić.

– Proszę – powiedziała Mrs Parslow. – Czy nie widzi pan, że sprawia jej ból?

– Jeszcze jedno pytanie, Miss Jarrencourt. – Corrisande odniosła wrażenie, że w głosie pułkownika dosłyszała współczucie. Ale nie zamierzał jej oszczędzać. – Kto rzucił ten kamień w wodę? – postawił to pytanie z niemal niezauważalnym naciskiem. – Niech pani spróbuje sobie to przypomnieć!

Corrisande spojrzała na niego nieobecny wzrokiem, jej oczy załśniły. Nie mogła odpowiedzieć na to pytanie, nie wiedziała jak. Pułkownik chciał informacji, których nie była mu w stanie udzielić.

I nagle ta wiedza była w niej. Wyciągnęła ją z tego piekła jak

odpychającą pamiątkę. Nagłe poznanie znów zalało ją niczym zimna fala. Próbowwała złapać oddech, odepchnęła mało pomocne ręce Elizy i podskoczyła przerażona.

– Zło! – krzyknęła. – Najmroczniejszy, najstraszniejszy czar feyona i w żaden sposób nie możecie temu zapobiec.

Dopiero po wypowiedzeniu tych słów uświadomiła sobie, co takiego powiedziała. Nie miała pojęcia, skąd ogarnęła ją ta nagła pewność. I to przerażało ją jeszcze bardziej. Czary feyona. Nie wierzyła w Fey ani w mistyczne Sí, ani w postaci z bajek. Do dzisiejszej nocy nie marnowała czasu na rozmyślenia o rzeczach nadprzyrodzonych. Życie było i tak dostatecznie skomplikowane bez wplatania w nie wiary w duchy. Nie wiedziała, skąd naszła ją myśl, że ci trzej mężczyźni będą bezradni. Ta wiedza pojawiła się po prostu znienacka, jakby ktoś ją zaszczepił w głowie Corrisande. Zataczając się, ruszyła do sypialni, nie zastanawiając się, jakie robiła wrażenie.

Zatrzasnęła za sobą drzwi.

– Nie możecie temu zapobiec – wymruczała pod nosem i ogarnął ją paraliżujący strach. Jednocześnie czuła się też głupia i histeryczna. Nienawidziła się bać. Ale jeszcze bardziej nienawidziła sprawiać wrażenia głupiej i histerycznej.

Co oni sobie o mnie pomyślą? Oni. Co oni o mnie pomyślą?



## Rozdział 8

Krajobraz był płaski i ołowiany. Gdzieniedzie grunt przeorywały szczeliny Czarne, zygzakowate linie powstawały, rozrywały się i rozdzielały na jeszcze więcej czarnych, zygzakowatych linii. Niespokojna, wielokątna siatka, niczym wyschnięte koryto rzeki, które przemieniało się w bezkresną pustynię. Czarna sieć naśladowała rzeczywistość. Każdy ruch jest dwuwymiarowy. Jeśli staje się trójwymiarowy, nagle wszystkie wymiary drżą i tańczą, tworząc życie, organizując je i formując. Ale tutaj nie ma żadnego życia. Tutaj egzystencję definiuje czarny brak życia.

I tak On spoczywa, podczas gdy Jego świat tańczy, rośnie i nieustannie się zmienia. Nieskończona równina rozciąga się zarówno pod, jak i nad cienką warstwą ołowianego nieba i gdzieś pomiędzy. Całkowicie pozbawiona życia. Czasami I na firmamencie pojawi się idea czarnego ptaka, leci w prostej linii, niczym szklisty czarny kamień, szybując jedynie i w Jego woli.

Ale nie ma uderzeń skrzydeł. Żadne skrzydło nie jest potrzebne, ponieważ On nie ma zmysłu do szczegółów. Zamiast tego ma wolę, coraz silniejsze pożądanie, które istnieje tak długo jak On i stanowi Jego integralną część.

Być może ten ptak w ogóle nawet nie leci. Być może siedzi spokojnie na osi, w miejscu, w którym został stworzony, a to świat kręci się wokół. Ptak jest światem i dla Niego takie rozróżnienie nie ma żadnego znaczenia. Ptak nic o tym nie wie, niczego nie czuje, nie żyje.

Czym jest ruch? Byciem najpierw w jednym miejscu, a potem w drugim? A może drogą pomiędzy jednym punktem a drugim, zdefiniowaną w niedoskonale utkanej rzeczywistości? Równina falowała w nieskończoność, odmawiała coraz mroczniejszemu światu płaskiego horyzontu. Tu, gdzie słońce nigdy nie wschodzi i nie zachodzi, horyzont nie był potrzebny. Tylko czasem, ze znużenia On sprawiał, że gdzieś daleko w mglistej szarości błyskał krąg światła. Rozproszony. Poza koncepcją przemijającego czasu.

To jest Jego sfera, Jego równina. To jest świat, w którym wygłodniały od zawsze wyczekuje okazji, by rzucić się w świat pełen życia. Czarne szczeliny sprawiają, że grunt pęka, a wraz z nim łamie się na coraz mniejsze kawałki iluzja naśladowująca rzeczywistość. Najczystsza czerń rozprzestrzenia się i przemienia w połyskujący obsydian. I wtedy równina znów zaczyna się poruszać, tym razem w pionie. Wzdłuż szczelin wznoszą się niczym kolumny wycięte kawałki gruntu, rosną w filary i w końcu, w samym centrum kolistych przepaści, spotykają się i stapiają ze sobą. I na to czeka On w swojej sferze, na ich spotkanie i na powstający otwór, szarą bramę pozwalającą Mu wkroczyć w rzeczywistość poza Jego własną.

W świat barw. On nie cierpi kolorów, ponieważ kolory niszczą Jego najgłębszą istotę, a On jest właśnie tą najgłębszą istotą. Barwy są tak straszliwie różnorodne. Ale On znosi je, ponieważ pożąda życia, które pragnie uformować według swego życzenia, według swej szaro-czarnej wyobraźni, według swej mrocznej tęsknoty, swej brutalnej żądzy, swojego ponurego dążenia.

Nagle On przeżywa czas, który płynął jak odwieczna rzeka, z sekundy na sekundę. Najmniejsze cząstki wieczności, które zaczęły się na początku i dążyły do nieosiągalnego końca, a On miał go tak niewiele, tak mało czasu, by zrobić to, czego chciał i pragnął. Musi znaleźć jakąś powłokę, jakiś bezpieczny dom, z którego mógłby działać w tej zbyt barwnej rzeczywistości. Jakieś schronienie, które mógłby przedefiniować stosownie do swoich potrzeb.

Przeskakuje ze swojej rzeczywistości w kolejną, która nie była Jego, zazwyczaj potężną, czasem zagmatwaną, walczącą o orientację. Tutaj ściany są jedynie powietrzem i przestrzenią, wypełnione dźwiękami. Słodkie pieśni pełne znaczenia przenikają Go, pozostawiając ślady wiedzy, której On używał, by dalej tkać swoje plany. Przyjmował ją i zbierał, gromadził w swojej szarobrazowej nicości, tkał coś z niczego i widział życie w żywych jednostkach, większych i mniejszych, głośniejszych i cichszych. Niektóre rzeczy były ważne i przydatne dla Jego planów, inne bez znaczenia, właściwie to nie istniały. Niekiedy, bardzo, bardzo rzadko, widział swoje rodzeństwo. Stworzenia z innego świata, które nauczyły się żyć w przerażająco barwnym chaosie, które

zintegrowały się tam jako obcy spoza świata. Feyony, które były takie jak On, a jednak nie takie jak On. Ponieważ nikt nie jest dokładnie taki jak On.

W tym znaczeniu On pojmował swoją samotność. Jest sam i to Go definiuje, a jednak tęskni za towarzyszką, istotą, która poddałaby się obsydianowej czerni Jego królestwa i która dałaby Mu potomstwo, tak samo jak On nieskończenie, bezświecnie czarne jak smoła.

Kiedy indziej wolałby sam zmienić świat, chciałby własną rzeczywistość spleść z tym dziwnym miejscem barw, uczynić świat tym, czym On pragnie, swoją domeną. Świat podziemia i świat ponad On chciałby połączyć w jedno, związać ze swoim szarym królestwem pomiędzy nimi, które było Jego domem, a jednak nigdy Mu nie wystarczało.

Niemal je znalazł, to rozwiązanie, które da Mu wolność przebywania w świecie barw dłużej niż tylko przez krótką chwilę, jaka Mu pozostała, by znaleźć odpowiednie ciało, fizyczny dom. Niemal miał ją w rękach, czuł jej bliskość. Jednak rozwiązanie umknęło z Jego uścisku we własną rzeczywistość.

Nie był przyzwyczajony, by rzeczy, by coś poza Nim miało swoją wolę. Ale zmieni to, gdy tylko świat będzie należał do Niego. Jednym jedynym przerażającym rozkazem możliwość zmieni w pewnik.

Ale najpierw musi je znaleźć, to rozwiązanie, ucieleśnienie wszystkich możliwości, żelazny list do wolności, by móc istnieć na wszystkich poziomach jednocześnie. Artefakt, który umożliwi Mu wchłonięcie świata barw w Jego czarny świat obsydianu.

## Rozdział 9

Asko von Orven zamówił do pokoju śniadanie dla siebie i von Görenczy'ego. Nie miał ochoty na ugrzecznione towarzystwo w sali jadalnej, nie miał ochoty nikogo spotykać, a zwłaszcza Mrs Parslow albo Delacroix, o ile już wstali. Von Görenczy był nieuniknionym wyjątkiem, jaki Asko musiał ścierpieć. Pod oczami miał ciemne kręgi. Nie spał tej nocy. Po bolesnej ucieczce Miss Jarrencourt do swego pokoju obaj bawarscy oficerowie i brytyjski pułkownik szybko opuścili apartament dam. Nadeszła pora, by skonsultować się z piątym członkiem grupy, mieszkającym naprzeciw pokoju, w którym zatrzymała się mademoiselle Denglot.

Jeszcze zanim dotarli do pokoju pana Vonderbrücka, pomiędzy Asko i Delacroix zdążyła już rozgorzeć zaciekle dyskusja na temat tego, w jaki sposób należy się zachowywać w towarzystwie dam i jakich podstawowych zasad dobrego wychowania trzeba przestrzegać nawet w wyjątkowych sytuacjach. Pułkownik wykazywał mało zrozumienia dla zarzutów młodszego kolegi i w swoim braku taktu posunął się nawet do tego, by nazwać go prostodusznym, naiwnym chłoptasiem, choć prawdopodobnie sam nie był starszy więcej niż o dziesięć, co najwyżej piętnaście lat. Dziwnym trafem akurat Udolf zwrócił im uwagę, że swoją kłótnią o tak późnej porze obudzą hotelowych gości. Lecz spór skończył się i tak dopiero wtedy, gdy dotarli do pomieszczeń Vonderbrücka, ten zaś oświadczył, że wyprasza sobie niezgodę w swojej obecności.

Sytuacja była nieprzyjemna. Obaj bawarscy oficerowie zostali przydzieleni do zadania specjalnego i rozkazano im, by wspomagali pułkownika. Ten zaś od lat działał jako agent i śledczy i miał w tej dziedzinie znacznie większe doświadczenie niż młodzi mężczyźni. Jednak nie przebywał na terenie brytyjskim, formalnie więc podlegał bawarskim oficerom, choć znacznie przewyższał ich stopniem. Cérise z kolei, która lubiła od czasu do czasu, jeśli pozwalała jej na to kariera śpiewaczki, angażować się w pracę detektywa, i teraz miała wrażenie, że

dyskusja dotyczy również jej. Mężczyźni jednomyślnie wyrazili sprzeciw, mimo że to Jego Wysokość król Ludwik II osobiście poprosił Cérise o udział w tej misji. Fakt, że zarówno między śpiewaczką a Udolfem, jak i między nią a Delacroix dochodziło do napięć, nie ułatwiał sprawy, Asko zaś był pewien, że nie ma najmniejszej ochoty wiedzieć, co takiego wydarzyło się pomiędzy diwą operową a oficerami.

Alexander Vonderbrück był mistrzem sztuk tajemnych. Pracował w tej dziedzinie jako niezależny doradca i tylko z rzadka, jak wyznał, kierowano go do oficjalnych zadań. Nikt z pozostałej czwórki nigdy wcześniej go nie spotkał. Dołączył już po morderstwie, by uzupełnić braki w magicznej wiedzy i możliwościach grupy. Od samego początku obwarował się w swoim pokoju i stamtąd kontrolował magiczną blokadę budynku, zatrzymując w nim wszystko, co magiczne, oraz każdego feyona. Co kilka godzin musiał odświeżać zaklęcia. W pozostałych chwilach zajmował się obliczaniem miejsca i dokładnego czasu pojawienia się zjawy. Zakładano, że istota materializuje się w pewnych odstępach czasu z nicości, by wydostać się z hotelu, gdy tylko dostrzeże możliwość przełamania rzuconego czaru.

Mężczyźni zaczęli ją wówczas gonić. Wbrew wszelkiemu rozsądkowi mieli nadzieję, że uda się ją złapać albo że zjawa przynajmniej doprowadzi ich do utraconego rękopisu, który miał zostać przekazany Delacroix przez zamordowanego gościa i który, jak im dobitnie wyjaśniono, stanowił zagrożenie dla świata. Właściwie to ścigali rękopis. Według Vonderbrücka zjawa była jedynie przewodnikiem, mającym wbrew własnej woli doprowadzić do kryjówki, w której znajdował się zwój. Należało przede wszystkim odnaleźć rękopis i znów umieścić go w bezpiecznym miejscu.

Jak do tej pory nie natrafili jednak na żaden ślad. Rzucili się w pogoń za zjawą po całym budynku w niejasnej nadziei, że może chodzić o sztuczkę innego maga, wykorzystującego mglisty twór wyobraźni, by uzyskać to, czego szukał, lub by znaleźć drogę ucieczki. Człowiek, nawet obdarzony nieprzeciętną wiedzą magiczną, w końcu nie będzie mógł utrzymać zjawy, choćby z wyczerpania.

Tyle tylko, że grupa nie ścigała człowieka. Corrisande sprawiła, że taka możliwość stała się nieprawdopodobna, i trzem mężczyznom nie

przyszło do głowy, by wątpić w jej słowa. Robiła naprawdę przekonujące wrażenie. Ścigali feyona, nawet nie wiedzieli jakiego, jeśli chodzi zaś o wyczerpanie, to było o wiele bardziej prawdopodobne, że cały zespół, razem z mistrzem, załame się znacznie wcześniej.

W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin właściwie prawie wcale nie spali. Co najwyżej ucinali sobie na zmianę krótkie drzemki. Próbowali w tym czasie, kiedy według Vonderbrücka zjawa była nieaktywna, zbadać jak najwięcej.

Asko von Orven apatycznie siedział nad swoim śniadaniem. Był zbyt zmęczony, aby odczuwać głód. Przyglądał się Udolfowi, który z lubością poświęcał uwagę najnowszej zdobyczy bawarskiej kuchni, białej kielbasie ze słodką musztardą. Asko ponownie doszedł do wniosku, że szwoleżerowie należą do szczególnego typu ludzi.

– Może powinniśmy jeszcze raz sprawdzić wszystkie pokoje? Może ten feyon wprowadził się tu jako zwykły gość? Cholera, może siedzi sobie spokojnie w ścianie nad swoim bagażem, gdy my tłuczemy się nocami po hotelu – poskarżył się Udolf.

– Vonderbrück uważa, że to wykluczone. Poza tym proszono nas, byśmy nie wzbudzali sensacji. Goście hotelowi zapewne nie bez racji uskarżaliby się, gdyby dwóch oficerów, nieokrzesany obcokrajowiec, diwa operowa i drugorzędny iluzjonista, który i tak uważa, że cała ta akcja nie ma sensu, zabrali się do przekopywania cudzych bagaży. Zresztą policja sprawdzała już gości. Nie znaleźli nic podejrzanego.

– Przecież policja w ogóle nie wie, o co chodzi. To absurdalne!

– Niekoniecznie. Policja ma swoje dojścia i możliwości, a nasze zadanie polega na czymś innym. – Von Orven upił kilka łyków herbaty.  
– O Boże, jestem śmiertelnie zmęczony. Mógłbym spać przez tydzień.

Von Görenczy skrzywił się.

– Założyłbym się nawet, że wiem, kto by ci się przyśnił.

Asko poczerwieniał ze złości.

– Moje sny nie są tematem naszej rozmowy. Zresztą znacznie mniej rzucają się w oczy niż twoje.

Udolf odchylił się powoli.

– O co ci chodzi? Ta francuska pokojówka to chyba najładniejsza dziewczyna, jaką widziały moje oczy, i wcale nie jest taka nieśmiała.

– Najwyraźniej nie. Pewnie zostawiła za sobą ślad złamanych serc ciągnący się aż do Paryża. A może wierzysz w to, że całe życie czekała, by pocałował ją bawarski szwoleżer?

– Cóż, spotkałem ją jeszcze raz na korytarzu, kiedy szła spać. Świeżutką, pełną werwy i odrobinę przestraszoną wcześniejszymi wydarzeniami. Zadziwiająca dziewczyna. Opowiedziała mi o Corrisande.

– Ach tak? – mruknął Asko niezbyt zachęcającym tonem.

– Tak. – Udolf wgryzł się w kolejną kiełbasę, po czym otarł podkręcane wąsy mocno krochmaloną serwetką.

Na chwilę zapadła cisza.

– I co ci takiego opowiedziała? – zapytał w końcu Asko, wstydząc się jednocześnie swojej ciekawości.

Udolf wykrzywił usta. Bawiły go te ciągle moralne rozterki, w które popadał jego niezwykle przyzwoity przyjaciel. Asko traktował życie zbyt poważnie.

– Wielce szanowna Miss Corrisande Anthea Jarrencourt jest jedyną córką sir Desmonda Jarrencourta z Jarrencourt Hall. To w hrabstwie Kent, w pobliżu Londynu. Jej szanowny ojciec jest chory i z tego powodu wycofał się z życia i zamieszkał w północnej Francji, w Normandii, w dobrach swej zmarłej małżonki. Nigdzie nie bywa. Wygląda na to, że rodzina jest dość nadziana. Czarująca Miss Jarrencourt podróżuje po Bawarii, by odwiedzić starą ciotkę w Possenhofen, dobrą znajomą Wittelsbachów z Possenhofen. Słodka Miss Jarrencourt jest przy tym pilnie strzeżona przez swoją ciotkę, czy też starszą kuzynkę albo coś w tym stylu, Mrs Parslow, która dobrze pilnuje, aby niewiniątka nie zawarło niepożądanych znajomości.

– W takim razie wczoraj nie była zbyt skuteczna – warknął nieszczęśliwy Asko.

– Ale dzielnie walczyła.

Usłyszeli pukanie w umówiony sposób i do pokoju wszedł Delacroix. Wyglądał na wykończonego, jego rozczochranym włosom przydałby się grzebień, guziki przy kołnierzyku miał odpięte, a krawat jak zwykle przekrzywiony. Wciąż nosił ten sam poplamiony surdut.

– Cieszy mnie, że, jak widzę, dobrze się tu urządziliście, moi

panowie – zauważył z lekkim sarkazmem. Obaj oficerowie podskoczyli, zapominając na chwilę, że nie jest ich przełożonym. – Pozwolicie jednak, że oderwę waszą uwagę od wykwintności lokalnej kuchni i skieruję ją na coś innego. Polowanie trwa. Vonderbrück jest przekonany, że zjawa pojawi się wkrótce na strychu. Powinniśmy ruszać.

– Cérise idzie z nami? – zapytał Udolf, wypowiadając imię śpiewaczki w lekko ostentacyjny sposób.

– Mademoiselle Denglot nie ma w zwyczaju wstawać tak wcześnie. Wczesne wstawanie nie służy jej głosowi, a w jeszcze mniejszym stopniu jej humorowi – odparował Delacroix, dość wyraźnie pokazując, jak dobrze jest zorientowany.

Von Görenczy spojrział na niego ze skwaszoną miną, podobnie zresztą jak podporucznik Asko von Orven, któremu nie w smak było ujawnianie takiej wiedzy.

Obaj oficerowie sprawdzili pistolety i ukryli je pod połami mundurów. Von Görenczy wyjął różaniec i pocałował go. Von Orven wyciągnął rękę do miseczki ze święconą wodą wiszącej przy drzwiach i przeżegnał się. Delacroix wsunął w lewy rękaw stalowy sztylet, po czym sięgnął po stalowe pudełko leżące na komodzie i podał je von Görenczy'emu.

– Gotowi? – zapytał Asko.

– A byliśmy kiedyś? – odparował Udolf.

– A więc ruszajmy. Znajdźmy to i złapmy – rozkazał Delacroix.

Szanse na to zdają się jednak maleć, pomyślał von Orven i dostrzegł to samo w spojrzeniu przyjaciela. Pobiegli korytarzem do głównej klatki schodowej i stamtąd na górę. Na strychu znajdowało się wiele drzwi. Ruszyli do najmniejszych izb dla personelu i służących hotelowych gości. Delacroix wyjął z kieszeni klucz i zamknął drzwi prowadzące na strych.

– Bierzmy się do roboty – mruknął i ruszył przed siebie. Popędzili po wąskich drewnianych schodach i wkrótce dotarli pod sam dach. Pomieszczenie było bardzo długie, ciągnęło się przez cały budynek, jednak stosunkowo wąskie i niskie. Mężczyźni mogli się wyprostować jedynie na środku, pod samym szczytem budowli.

Delacroix, obracając się, mocno uderzył się w głowę. Zaklął w



jakimś obcym języku. Jego towarzyszom wydawało się, że to włoski, w każdym razie brzmiał podobnie i bardzo dosadnie.

Podczas tyrady pułkownika przed trzema mężczyznami pojawił się cień i w ciągu kilku sekund z małej plamki przemienił się w olbrzymią, mroczną postać. Nie można było rozróżnić twarzy, ale zdawała się spoglądać wprost na nich. Inaczej niż przy poprzednich spotkaniach, cień nie rzucił się do ucieczki, lecz stał spokojnie naprzeciw mężczyznom. Czając się.

– Oho – rzucił Udolf i było to jedyne słowo, które trafnie oddawało sytuację.

Mężczyźni sięgnęli po broń. Stworzenie zdawało się rozciągać, stawało się cienkie, przejrzyste, jakby przepuszczalne, aż w końcu nie byli pewni, czy rzeczywiście wciąż jeszcze tu było. Rozglądali się nerwowo. Gdzie jest? Jest tu jeszcze? A może w tajemniczych zakamarkach wśród składowanych rupieci oficerowie widzieli tylko zwykłe cienie? Mężczyźni stanęli bez ruchu, spojrzenia błądziły po starych walizkach, cynkowych wannach, zepsutych meblach i całym beużytecznym kramie.

Delacroix zrobił krok naprzód. Von Görenczy trzymał się przy nim. Asko pozostał z tyłu i w ten sposób utworzyli strategiczny trójkąt.

– Może powinniśmy się rozdzielić, aby go poszukać – wyszeptał Asko.

– Rozdzielić? Jak rozdzielić? – odszepnął Udolf. – To coś rozdzieliło się już lepiej, niż my kiedykolwiek będziemy w stanie. Pewnie przeszło już przez podłogę i opadło do piwnicy. Bawi się z nami w kotka i myszkę, a my stoimy tu jak głupi.

– Potrzebujemy tej słodkiej małej panienki, żeby go nakryć – skonstatował Delacroix, dziobiąc ostrożnie szarym nożem cienie przed sobą.

– Do diabła, nie! Następnym razem może ją zabić – sprzeciwił się wzburzony Asko. Nie miał zamiaru do tego dopuścić. Dał przecież słowo.

– Bzdura.

– Jak może pan być tak całkowicie pozbawiony współczucia?

– Jak to możliwe, że para ślicznych błękitnych oczu i umiejętnie

odegrane przedstawienie kobiecej bezradności odebrały panu zdrowy rozsądek?

– Jak pan śmie...

– Moi panowie, moglibyście w tej chwili przestać się kłócić? – przerwał im von Görenczy. – To ja jestem szwoleżerem. A tym samym to właśnie mnie przypada tradycyjnie zaszczyt podejmowania niepotrzebnego ryzyka w obliczu największego niebezpieczeństwa.

Obaj mężczyźni spoglądali na siebie ze złością.

– Niech pan ją tu sprowadzi – rozkazał po chwili Delacroix podporucznikowi von Görenczy'emu.

– Ani się waż wciągać w to Miss Jarrencourt! – krzyknął podporucznik von Orven.

– Wcale nie zamierzam – odparł Udolf. – To ryzykowne zadanie pozostawię chętnie panu Delacroix. Nie mam najmniejszej ochoty, by jej przyzwoitka pożarła mnie na śniadanie.

Mężczyźni spojrzeli po sobie.

Bezpośrednio za Delacroix ponownie pojawił się cień, przybierając postać długiej, cienkiej linii, bezgłośnie wijąc się pośród zakurzonych rupieci. I nagle uniósł się jak rozdrażniony wąż.

– Niech pan uważa! – krzyknął von Orven.

Delacroix się odwrócił.

Cień niczym włócznia dźgnął Brytyjczyka w lewe przedramię i okręcił się z obrzydliwym mlaśnięciem w jego ciele. Pułkownik krzyknął. Na jego rękawie pojawiła się okrągła plama krwi, która szybko rosła.

Delacroix upadł na kolana. W prawej ręce wciąż jeszcze trzymał sztylet. Obrócił go w palcach i błyskawicznie wbił sobie w lewe ramię, zanim obaj oficerowie byli w stanie pojąć, co się dzieje.

Głos pułkownika nasilił się, mogło się zdawać, że to dwa głosy naraz wydobywają się z jego ust. Krew tryskała, lała się z jego ramienia i przedramienia, a cień wyszarpnął się z rany jak czarne błoto.

Udolf uderzył w niego różańcem i ciemna, migocząca masa cofnęła się od krwawiącego mężczyzny. Znow się rozciągnęła, stała cieńsza, wydała syczący dźwięk i stopiła z cieniami na strychu. Przez chwilę wyglądało to tak, jakby przenikała przez podłogę.

– Za nim! – warknął Delacroix. – Jest wyczerpany. Teraz nadarza się okazja!

Opadł do tyłu i zagryzł wargi. Oddychał gwałtownie.

– Do diabła z okazją – zaklął von Görenczy. – Gdzie mamy go teraz szukać? Może być równie dobrze tutaj, jak i gdzie indziej. – Ukląkł obok Delacroix i obejrzał rany. Sztylet wciąż jeszcze tkwił w ramieniu pułkownika. Nie był wbity po samą rękojeść, ale i tak dostatecznie głęboko, żeby piekielnie bolało. – Musimy pana stąd zabrać i zatamować krwawienie. – Sięgnął po rękojeść.

– Nie – wtrącił szybko Asko. – Wyciągniemy go dopiero wtedy, gdy będziemy mieli czym opatrzyć ranę. Chodźmy, pomożemy panu wstać.

Podnieśli Delacroix. Syknął prawie jak gad. Asko wziął go pod prawe ramię i starał się podeprzeć najlepiej jak mógł. Udolf podpierał go z lewej strony, przytrzymując jednocześnie zranione ramię.

Ruszyli do schodów, ale później zrobiło się trudniej. Krok po kroku obaj młodzi mężczyźni prowadzili wielkiego, masywnego Brytyjczyka. Ani oni, ani sam pułkownik nie mogli przy tym zwracać uwagi na ból, poruszali się więc z upartą stanowczością. U stóp schodów Delacroix niemal upadł, gdy ugięły się pod nim kolana. Wyprostował się jednak żelazną siłą woli, walcząc z zawrotami głowy i z pokusą, by zatopić się w uwodzicielskiej czerni.

Ślady krwi znaczyły jego drogę.

– Musimy go szybko opatrzyć. Traci za dużo krwi – naciskał Asko, próbując złapać oddech.

– W takim razie nie powinniśmy wlec go ze sobą cztery piętra do biura na dole. Może Vonderbrück mógłby coś zaradzić.

– Potrzebuje medyka, a nie maga.

– Jesteś tego pewien?

Gdy Delacroix im przerwał, jego głos wydawał się dziwnie stłumiony:

– Weźcie mnie do pokoju któregoś z pracowników. Mam przy sobie wytrych. Powinien otworzyć każde drzwi. I przestańcie o mnie mówić, jakby mnie tu nie było. Jeszcze nie umarłem.

– Przytrzymaj go przez chwilę – poprosił von Görenczy i zaczął

przeszukiwać kieszenie Delacroix, Asko zaś zaparł się butami o podłogę, by podeprzeć rannego, który ze swoim metrem i dziewięćdziesięcioma centymetrami wzrostu przerastał go co najmniej o pół głowy i z każdą sekundą wydawał się coraz cięższy. – Mam go – wykrzyknął Udolf i popędził do najbliższych drzwi, by je otworzyć.

– Zapukaj chociaż – uprzedził Asko, ale było już za późno.

Szwoleżer zdążył już otworzyć szeroko drzwi i patrzył na mały, ponury pokój z wąskim łóżkiem oraz na osłupiałą, a jednak niezwykle piękną francuską pokojówkę w obszytej koronkowymi falbankami bieliźnie. Dziewczyna miała czarną pończochę wciągniętą do połowy nagiej nogi.

– Pięknie – zauważył Delacroix.

I stracił przytomność.

## Rozdział 10

Corrisande, boso i w szlafroku, siedziała przy oknie i przeglądała się w lustrze.

– Wyglądam okropnie – skarżyła się. – Strasznie. Ciekawe, czy Marie-Jeannette będzie w stanie coś z tym zrobić. Nie mogę zejść na śniadanie i wyglądać jak siedem nieszczęść. Naprawdę kiepsko się prezentuję.

– Ależ nie, moja droga. Nie prezentujesz się kiepsko. Wyglądasz na trochę zmęczoną i masz lekko podkrążone oczy. Powinnaś po prostu wrócić do łóżka i przespać się jeszcze trochę. Jest bardzo wcześnie. Mnie też nie zaszkodzi godzina drzemki.

Corrisande potrząsnęła głową.

– Nie mogę spać. Mam koszmarne sny. – Powstrzymała drzenie. Wstrętna wizja, którą miała, gdy leżała nieprzytomna, pozostawiła w jej duszy cień. Czuła w sobie mrok niczym ranę w sercu. Panowanie nad strachem i niedopuszczanie go do siebie wymagało siły charakteru.

– Bardzo się boję zamknąć oczy. Znasz mnie. Nie jestem strachliwa. Ale boję się znów pogрузić w tym czarnym lodzie. Na samą myśl skręca mi się żołądek.

– Corrisande! Nie powinnaś tak mówić. Skręca mi się... No wiesz? Skąd się wziął u ciebie ten straszny sposób wyrażania? Jestem w stanie zrozumieć twoje resentymy – odpowiedziała Mrs Parslow, próbując zachować spokój – ale przecież dopiero co przybyłyśmy. Jakie byśmy zrobiły wrażenie, gdybyśmy teraz wyjechały? I to z powodu koszmarów! Pomyśl o naszych planach! Na pewno nic ci nie grozi. W końcu ci trzej panowie ścigają tego upiora, czy co to tam jest, i sprawiają wrażenie bardzo zdecydowanych. Aż nazbyt zdecydowanych, obie to widziałyśmy. Tak wyśmienity hotel jak ten nie ryzykowałby przecież, by jego goście znaleźli się w niebezpieczeństwie. Pomyśl tylko, jaki wywołałoby to skandal. Zaufaj mi. Jesteś bezpieczna. Potrzebujesz tylko trochę snu.

– Tylko trochę snu – powtórzyła Corrisande dramatycznie i

uśmiechnęła się kwaśno. – Zasnąć! Może śnić – w tym sęk cały, jakie bowiem w tym śnie śmiertelnym marzenia przyjść mogą, kiedy zrzucimy z siebie więzy ciała... [William Szekspir, „Hamlet”]

– Proszę, nie cytuj mi tu Szekspira. To nie przystoi dziewczynie. Panowie mogą to robić bez skrupułów. Ale dla cnotliwych dam Szekspir jest zbyt nieprzyzwoity. Według mnie o tych bezmyślnych sztukach nie powinno się nawet wspominać, wychowując młode dziewczęta. – Czasami Eliza zapominała, że jej podopieczna nie wyrwała się dopiero co spod skrzydeł guwernantki i że była już w wieku, w którym sama robiła to, co uważała za słuszne, albo przynajmniej za sensowne. – A moralne aspekty tej literatury są w najwyższym stopniu wątpliwe. Nigdy nie rozumiałam, co ludzie, i to nawet z najwyższych sfer i najlepiej wykształceni, widzą w tych lubieżnych wersach.

– Elizo! Już nie wiem, co powiedzieć. Czasem twoja cnotliwość posuwa się naprawdę za daleko.

– Ale czasami też nie dość daleko. A ty powinnaś wymazać to z pamięci. Jeśli naprawdę nie jesteś w stanie teraz spać, powinnyśmy się wyszykować i zaplanować dzień. Gdzie się podziewa Marie-Jeannette?

W głosie Elizy pobrzmiwała złość i rozdrażnienie.

– Nie rozumiem, dlaczego wciąż jej tu nie ma – ciągnęła Mrs Parslow. – Jest zbyt niezależna, jak na kogoś o jej pozycji. Powinnaś jej coś powiedzieć. Wiem, wiem, macie tę swoją umowę, ale jest twoją pokojówką, więc gdzie się podziewa, kiedy jest potrzebna? Chyba nie oczekuje, że pójdziemy w szlafrokach do pokoiów dla służby i zaśpiewamy jej poranną piosenkę. Każdy inny służący znalazłby się dawno na ulicy za takie zachowanie. Pomyśl tylko o wczoraj. Sposób, w jaki flirtowała z tym huzarem, przekraczał wszelkie granice. Złamała zasady dobrego wychowania. Nawet nie chcę myśleć, jakie to musiało wyrzeć wrażenie na tych panach. Mam nadzieję, że nie oceniają nas na podstawie oburzającego zachowania służącej. Nie byłabym zdziwiona, gdyby się okazało, że wpuszcza mężczyzn do swego pokoju. Powinnyśmy kazać jej sypiać tutaj, na sofie. Zbyt duża z niej kokietka.

Corrisande uśmiechnęła się rozbawiona.

– Musi się przyuczać do życia, jakie wybrała, tak samo jak ja musiałam się nauczyć wszystkiego, co ważne.

– No doprawdy! Co ty nie powiesz! – skarciła ją Mrs Parslow. Jej zazwyczaj nieporuszona twarz skrzywiła się ze złości. – Mogłaś cieszyć się pierwszorzędnym, odpowiednim dla twojego stanu wychowaniem. Stanowisz dobrą partię i jesteś porządną dziewczyną, która ma wszelkie możliwości, by zawrzeć korzystne małżeństwo ze szlachetnym, dobrze sytuowanym mężczyzną, gdyby nie sprawy związane z twoim ojcem, które nieustannie przeszkadzają ci w życiu. Nie można mieć najmniejszych zastrzeżeń do twego pochodzenia. Twojemu zachowaniu nie można nic zarzucić, twoja wiedza, znajomość języków, sztuki i muzyki są godne podziwu i wyglądasz naprawdę ładnie, nawet jeśli jesteś troszeczkę *fatiguée*.

Corrisande zmarszczyła nos.

– O tak. Potrafię też równie nobliwie i pierwszorzędnie rzucać nożem i w godny uwagi sposób sprawiać, by klejnoty zmieniały właściciela. – Przerwała i uśmiechnęła się, widząc oburzoną twarz Mrs Parslow. – Wiesz, zadaję sobie pytanie, czy ten dziwny pułkownik przypadkiem tego nie dostrzegł, kiedy powiedział, że jest całkowicie niepodatny na urażone spojrzenia i takie delikatne zachowanie. Naprawdę mnie zszokował.

– Nie powinnaś była mu ustępować. Nie miał żadnego prawa, by wymuszać odpowiedzi. Oby w przyszłości trzymał się od ciebie z daleka. W żadnym wypadku nie należy do mężczyzn, których ma się ochotę spotkać.

– Z pewnością nie. I jak na oficera jest w nim bardzo mało z dżentelmena. Ale on... – nie dokończyła zdania, jednak zaraz znowu zaczęła mówić: – Ale ten podporucznik von Orven może być interesujący. Będziemy musiały zapytać przedstawiciela mojego ojca w Monachium. Z pewnością powie nam więcej o sytuacji finansowej i towarzyskiej tego młodego oficera.

– Ale to tylko podporucznik!

– Tak. Generał byłby oczywiście lepszy, albo admirał, gdyby w Bawarii była jakaś marynarka. Ale jeśli naprawdę jest taki dobry w polowaniu na upiory, to możemy mieć przecież nadzieję, że wkrótce dostanie awans. – Corrisande się roześmiała.

– Wolałabym, żebyś podchodziła do tych spraw trochę poważniej.

Muszę przyznać, że byłabym zdumiona, gdyby ten młody mężczyzna miał odłożonych więcej niż parę groszy. Znam ten typ. Zbyt romantyczny, by do czegoś dojść.

– Cóż, może pochodzi z niezwykle zamożnej rodziny – śmiała się Corrisande. – Albo przynajmniej ma jakiegoś samotnego starego wuja, który jest już jedną nogą w grobie i nagle przychodzi mu na myśl życzenie, by wzbogacić bratanek o trudną do pogardzenia mamonę, której nie weźmie przecież ze sobą w drogę na tamten świat.

– Nie zaczynaj teraz zachowywać się frywolnie, mój aniele. – Mrs Parslow podeszła do sznurka przy ścianie i pociągnęła, wzywając pracownika hotelu. – No coś takiego! Przyjeżdżamy tu z własną pokojówką, a teraz musimy dzwonić po chłopca hotelowego, żeby ją sprowadził. To niesłychane!

Znów odwróciła się do Corrisande.

– Jak się nad tym jeszcze raz dobrze zastanowić, może to wcale nie jest taki zły pomysł, by wstać dzisiaj wcześniej. Jeśli zabawimy dostatecznie długo w sali jadalnej, może będziemy miały szansę spotkać madame de Rhins-Epitue i odnowić z nią znajomość. To nic, że nie jesteś dzisiaj tak radosna jak zwykle. W końcu przybyliśmy dopiero wczoraj, a taka podróż mogła okazać się przytłaczającym przeżyciem dla delikatnej młodej dziewczyny. Wytlumaczmy, że czujesz się chora po podróży, zaś po południu, tak jak planowałyśmy, możemy udać się na zakupy. Kilka ładnych sukienek i dodatków skieruje twoje myśli na przyjemniejsze tory.

Rozległo się pukanie do drzwi. Mrs Parslow uchyliła je lekko i przez szparę zażądała, by natychmiast sprowadzić Marie-Jeannette. Boy hotelowy mruknął: „Ależ oczywiście” i pospieszył wypełnić polecenie.

Gdy Mrs Parslow odwróciła się znów do podopiecznej, wszelkie słowa zamarły jej na ustach.

Corrisande zerwała się na równe nogi. Była blada jak kreda. Pojękując, zataczała się i wymachując rękoma, złapała za klamkę drzwi na balkon. Wciąż cofając się, dotarła do balustrady z kutego żelaza, przerzuciła przez nią jedną nogę, a potem drugą, nie wahając się nawet przez chwilę. Rękoma trzymała się prętów od zewnętrznej strony, podpierając swój ciężar jedynie czubkami nagich stóp na wąskim narożu



balkonu. Zawisła tak na palcach nóg i rąk trzy piętra nad ruchliwą ulicą.

– Wielkie nieba! – krzyknęła przerażona Mrs Parslow i w duchu widziała już, jak dziewczyna spada. Na chwilę w pokoju pociemniało, jakby opadł tu mroczny welon. I nagle znów zrobiło się jasno, a poranne promienie słońca wlewały się do salonu przez okno, jakby nic się nie stało.

Corrisande naraz uświadomiła sobie, gdzie się znajduje. Spojrzała w dół, na ulicę. To byłby długi upadek z wysoka. Jej ręce wciąż zaciskały się na poręczy.

Spojrzała w górę. Na balkonie po jej prawej stronie stała dama o blond włosach, w kosztownym i niezwykle barwnym szlafroku i patrzyła na dziewczynę z otwartymi ustami. Corrisande rozpoznała tę twarz. Cérise Denglot, śpiewaczka. Dziewczyna ostrożnie przerzuciła prawą nogę przez balustradę, starając się przy tym wyglądać bardziej jak amazonka niż ktoś mający pojęcie o wspinaczce. Na moment zawisła tak między otchłanią a schronieniem. A potem przesunęła środek ciężkości ciała i przełożyła drugą nogę na bezpieczny balkon.

– Dobrze się pani czuje? – dobiegło z drugiego balkonu. Głos brzmiał spokojnie i obojętnie.

Corrisande skinęła głową i uśmiechnęła się zakłopotana. Następnie wśliznęła się do pokoju. Drżała na całym ciele.

– Wrócił tu! – Opadła na sofę. – Wrócił tu!

Dziewczynę ogarnęła panika, w oczach zabłyśły łzy.

– Jeszcze go nie złapali. Ale nie podążył za mną na zewnątrz. Inaczej bym skoczyła. Z całą pewnością. – Pełnym złości gestem otarła łzy, jakby zawstydziała się swojej słabości. – Prawie mnie miał. Wielki Boże! Prawie mnie miał!

Mrs Parslow patrzyła na podopieczną z szeroko otwartymi ustami. Następnie przełknęła ślinę raz i drugi i zaczęła krzyczeć:

– Corrisande! Nie waż się nigdy, przenigdy tego robić! Wszystko jedno jak albo dlaczego! Wychodzić na dwór w szlafroku! I to jeszcze boso! Co by było, jakby cię ktoś zobaczył? Straciłaś już wszelkie poczucie przyzwoitości i dobrego wychowania?

## Rozdział 11

Delacroix czuł swoje ciało. Przenikliwy ból w ramieniu palił jak ogień. Pułkownika otaczał czarny lód, odbierał dech, przetapiał się przez palący ból i nie można było tego powstrzymać. Dusza Brytyjczyka szamotała się jak ryba w sieci. Mężczyzna jednak trzymał się bólu jak liny ratunkowej, starając się skoncentrować na tym, czego doświadczał, zamiast się w tym zagubić. Ale czerń nie pozwalała się usidlić. Nie dawała żadnych perspektyw. Wszystko było zbyt blisko i jednocześnie nieosiągalnie daleko. Lodowaty lęk mroził krew w żyłach pułkownika. Jego dusza zdawała się wymykać, jakby chciała uciec w panice. Z całej siły mężczyzna starał się opanować uczucia – i przebudził się.

Leżał na wąskim łóżku. Byli przy nim obaj oficerowie oraz w połowie ubrana dziewczyna. Ona i podporucznik von Görenczy w pośpiechu rwali prześcieradło na pasy. Jeden z tych pasów von Orven zwijał w kłębek. Twarz miał bardzo poważną. Ale przecież zazwyczaj taka była.

Ktoś musiał rozerwać surdut, a nawet odciął rękaw koszuli. Prowizoryczny bandaż zasłaniał ranę zadaną przez mroczną kreaturę. Przez materiał sączyła się krew. Wszystko wydawało mu się nierealne. Z ramienia pułkownikowi sterczał nóż, lekko wygięty. Brytyjczyk odwrócił więc głowę, by nie patrzeć na wystającą z ciała rękoność, widok ten przywoływał bowiem złe wspomnienia.

– Obudził się pan – zauważył von Orven. – Co za pech. To będzie bolało.

Delacroix skinął głową. Ból był jego przyjacielem. Dzięki Bogu, niezbyt bliskim.

– Udolf, wyciągniesz nóż. Ja przycisnę opatrunek do rany.

Obaj mężczyźni pochylili się. Wyglądali na niezwykle przejętych. Zobaczyć troskę na twarzy von Görenczy'ego było dla pułkownika nowym przeżyciem. Tego uczucia młody szwoleżer zwykle nie okazywał.

– Na trzy. – Von Görenczy ukazał się tuż nad Delacroix, w jego

brązowych oczach błysnęło zdecydowanie. Lewą ręką nacisnął mostek pułkownika, prawą zaś złapał szyję. – Raz... dwa... trzy!

Wyślizgujący się nóż wydał obrzydliwe mlaśnięcie. Z ust rannego wydobył się jęk, ni to fuknięcie, ni chrząkanie.

I nagle stał nie tkwiła już w ciele Delacroix. Trysnęła krew i zaraz von Orven przycisnął mocno opatrunek do rany. Teraz to jego twarz, z wyrazem upartej obowiązkowości, ukazała się nad pułkownikiem. Młody oficer przyciskał zwitek tkaniny do ciała.

Delacroix syknął. Był żołnierzem i zdarzyło mu się odnieść już niejedną ranę. Ale ból był czymś, do czego człowiek nigdy się nie przyzwyczai.

Von Orven trzymał kompres obiema rękami. Jak do tej pory krwawienie nie ustało. Młodzieniec niepokoił się, nie wiedział, czy wszystko robi tak jak trzeba. Nie był medykiem. Sytuacja wymagała jednak szybkiego działania, przyjął więc tę rolę, choć nie miał do niej wystarczających uzdolnień.

Od drzwi dobiegł głos:

– Panienko, damy na panienkę czekają. Och! Jezzzusmariaijózef!

Asko zobaczył jasnowłosego, młodego boya hotelowego, który bez wątpienia przeżył wstrząs na widok poplamionego krwią pokoju.

– Muszę iść. – Marie-Jeannette sięgnęła po spódnice.

– Nie. Potrzebujemy pani tutaj – Asko usłyszał swój głos i przyszło mu do głowy, że jego życzenie, by zatrzymać przy sobie na wpół odzianą dziewczynę, mogło zostać źle zrozumiane. Trudno było rozstrzygnąć, co w tej sytuacji uznać można za przyzwoite. Ale priorytety wydawały się oczywiste. Marie-Jeannette skinęła tylko głową. W jej zielonych oczach zabłysło zdecydowanie.

– Proszę im przekazać, że zaraz przyjdę – poleciała chłopakowi tonem, jakby sama nie należała do służby. – Powiedz damom, że mamy tu nagły przypadek, a później biegnij do pana Hinterhubera i poproś o opatrunki. I niech sprowadzi lekarza. Jest jakiś lekarz w tym hotelu?

Udolf uśmiechnął się pod nosem. Lubił dziewczyny, które nie zachowywały się jak głupie kozy, miały głowę na karku i wyglądały tak jak ta tutaj. To znaczy w modnej, skromnej bieliźnie.

Boy odwrócił się, by odejść, ale von Orven go zatrzymał.

– Czekaj. Najpierw pójdziesz do pana Hinterhubera i poprosisz, by przysłał na górę opatrunki. I zapytaj o lekarza. Dopiero wtedy powiesz damom co trzeba. Będą musiały kilka minut poczekać. Wyjaśnimy im to.

Na skrzywionej twarzy Delacroix pojawił się bolesny uśmiech.

– Kto by przypuszczał, że potrafi pan tak praktycznie myśleć – wymamrotał. Oddychał płytko, ze świstem. Asko wciąż dociskał opatrunek do jego rany.

Chłopak wypadł z pokoju.

– No cóż, skoro jest pan już w stanie stroić sobie ze mnie żarty, to na pewno pan przeżyje – odparł sztywno Asko. – Ponieważ pański nagły koniec byłby nam niezmiernie nie na rękę, chętnie zniosę pańskie kpiny bez słowa skargi – jego głos wydawał się mało życzliwy.

Niezwykła dziewczyna roześmiała się. Podała Asko nowy zwój tkaniny, po czym odwróciła się i ponownie sięgnęła po spódnicę.

– Naturalnie teraz to już wszystko jedno – westchnęła – ale byłoby miło, gdyby zechcieli panowie nie patrzeć na mnie, gdy będę się ubierać.

Von Orven zarumienił się i odwrócił wzrok. Von Görenczy wzruszył ramionami i obrócił się do ściany, na której wisiało małe lustro. Delacroix zamknął oczy.

I ujrzał czający się mrok. Tym razem ciemność ukazywała szczegóły. Obsydianowe statuy o zagadkowych oczach. Pułkownika zalały czarne fale okrągłego jeziora i pojął, że znajduje się wewnątrz kolistego świata. Wszystko wokół niego było zamknięte, bez horyzontu i bez wyjścia. Gdzieś kołysał się świetlisty punkt. Mężczyzna starał się zobaczyć szczegóły. Corrisande leżała na ostrych jak igły stalagmitach, które w obsceniczny sposób wnikały w jej delikatne ciało. Widział, jak ostre końce wkluwają się w nią i przewiercają, rozdzierając skórę. Na błękitnej sukience dziewczyny rozlewała się czarna krew, póki nie znikła ostatnia kolorowa plamka, póki nie utonęła w nicości pozbawionej światła. Nie wiadomo skąd na rękę Delacroix spadła ciepła łza.

Walczył o powietrze i otworzył oczy.

– Ona jest w niebezpieczeństwie – wymruczał.

– Kto? – zapytał von Görenczy.

– Corrisande. Miss Jarrencourt.

Von Orven niemal wypuścił opatrunek z rąk.

– Teraz, w tej chwili? – zapytał pospiesznie. Asko nadludzkim wysiłkiem woli przywołał swoje poczucie obowiązku, by nie popędzić do młodej damy. Czuł się rozdarty. Obowiązek był twardym mistrzem.

– Nie wiem. Prawdopodobnie nie. Miałem wrażenie...

– Może to z upływu krwi – uspokajał von Görenczy. – Widzi się wtedy dziwne rzeczy. Kilka miesięcy temu byłem ranny, pojedynek. No i widziałem wtedy przepiękną tancerkę na stole, zupełnie bez ubrania... całkiem... no wie pan.

Odcięli resztki surduta i koszuli pułkownika po czym zaczęli owijać opatrunek wokół jego ramienia i torsu. Delacroix przeklinał cicho. Brzmiało to jak włoski. Dość dziwny wybór języka, jak na brytyjskiego oficera.

Gdy już skończyli, ranny opadł na poduszkę, próbując uspokoić oddech, i zamknął oczy.

Tylko na chwilę.

Potem znów je otworzył, nabrał głęboko powietrza i jeszcze raz zamknął. Nic. Żadnego lodu, żadnego czarnego piekła, żadnych mrocznych wspomnień, żadnej umierającej panny. Nic innego niż to, co się zwykle widzi po zamknięciu oczu. Uśmiechnął się, wzdychając z ulgą.

– Dobrze się pan czuje? – zapytał Asko.

– Tak, dziękuję, czuję się świetnie – głos pułkownika brzmiał nienaturalnie, zdradzając kłamstwo. – Wy dwaj, a ściśle mówiąc, was troje, wykonaliście dobrą robotę. Właśnie się zdecydowałem, by jeszcze trochę pożyć. A pana, von Orven, chciałbym prosić, aby postarał się pan, by tej uczynnej młodej dziewczynie przydzielono nowy pokój. Obawiam się, że całkiem zakrwawiłem pani łóżko, mademoiselle.

– Ach, to nic takiego – odparła wspaniałomyślnie Marie-Jeannette.

– Wręcz przeciwnie – zauważył Delacroix z krzywym uśmiechem.

Marie-Jeannette spojrzała na niego i zlustrowała zachlapany krwią pokój.

– Wie pan – zaczęła z beczelnym uśmiechem – mogę to sobie

nawet wyobrazić. Nie byłoby mi wszystko jedno, gdyby ktoś po prostu wbił we mnie duży, wstrętny nóż. – Odwróciła się do obu oficerów. – Który z panów właściwie to zrobił?

Obaj mężczyźni patrzyli na nią zszokowani.

– To nie my! – krzyknął Udolf. – To był...

– ... wypadek – dokończył szybko Asko.

– Cóż za komiczny wypadek – skomentowała dziewczyna.

– Komiczny? Miewałem już lepsze powody do śmiechu – burknął Delacroix.

– Marie-Jeannette – odezwał się von Görenczy z udawaną powagą, chwycił jej dłoń i położył sobie na sercu – nie mogę mówić w imieniu mego przyjaciela, ale chciałbym panią zapewnić, że gdybym to ja wbił nóż, pułkownik Delacroix z pewnością byłby już martwy. Ludzie, których chcę zasztyletować, zawsze tak kończą.

– Mademoiselle – zaczął podporucznik von Orven – chciałbym pani pilnie doradzić, by nie słuchała pani tego, co opowiada mój kolega, wszystko jedno, czy chodzi o zasztyletowanie, czy o cokolwiek innego.

– To był – skonstatował von Görenczy – prawdziwy cios w plecy.

Marie-Jeannette zachichotała.

– Jacy panowie zabawni – powiedziała, a zdanie to w jej pięknych ustach brzmiało jednocześnie mądrze i elegancko. – Cóż, muszę już iść. Panie czekają, bym przemieniła je w piękności.

– W takim razie – odpowiedział jedyny prawdziwy dżentelmen w pomieszczeniu – nie musi pani wiele robić. Proszę pozdrowić od nas damy i przekazać im, że osobiście je odwiedzimy, by przeprosić, że z naszego powodu musiały na panią czekać. Gdyby czegoś potrzebowały albo były w niebezpieczeństwie, proszę przekazać, że mogą liczyć na nasze wsparcie. Zawsze. We wszystkim, czego będą potrzebować... I może niech pani jednak nie wspomina o niebezpieczeństwie. To mogłoby je zaniepokoić.

– Najlepiej, jeśli nic im nie powiem. Tylko by się znowu zdenerwowały. – Marie-Jeannette posłała mężczyznom pocałunek, znikła za drzwiami i zamknęła je za sobą. W pokoju zaległa cisza. Przez jakiś czas nikt się nie odzywał.

Udolf nie należał jednak do ludzi, którzy lubili wymowne

milczenie.

– Do diaska – zaczął. – Niewiele brakowało. Myślałem, że pan oszalał, gdy wbijał pan sobie nóż w ramię. Ale wygląda na to, że pomogło. – Wziął sztylet i przyjrzał się wąskiej, zakrwawionej klindze. – Osobliwa broń. Z pewnością nie jest to ten rodzaj sprzętu, jaki miałbym ochotę wbić w siebie, szczerze mówiąc. Mam jedynie pistolet i zapewniam pana, że nie noszę się z zamiarem, by go w siebie wycelować.

– To by nic nie pomogło – odpowiedział Delacroix, a jego głos zdradzał wyczerpanie. – Ołów nie działa na Sí. Natomiast zimne żelazo już tak.

– Ach, doprawdy? Dobrze, że miał pan coś takiego pod ręką, a jeszcze lepiej by było, gdybyśmy wszyscy coś takiego mieli.

– Zimne żelazo trudno dostać i jest bardzo wartościowe. Nie wiedziałem, czy zadziała. Z drugiej strony nie wiedziałem też, że ta kreatura jest zdolna do bezpośredniego ataku.

– To mnie pan uspokoił – stwierdził Udolf – bo gdyby pan o tym wiedział i nas nie uprzedził, kopnąłbym tak, że przeleciałby pan aż do piwnicy, o ile pozwoliłoby na to pańskie słabe zdrowie. Będzie panu przeszkadzać, jeśli zapalę?

Delacroix potrząsnął głową.

– Może mnie pan też poczęstować, podporuczniku.

Udolf wyjął ze srebrnego etui dwie cienkie cygaretki i zapalił. Podał jedną Delacroix. Ten ujął ją prawą ręką, która lekko drżała.

– Jak do tej pory nie byliśmy zbyt skuteczni – skomentował zmęczony Brytyjczyk.

Wyprowadzony z równowagi Asko von Orven wyprężył się przed nim jak do raportu.

– Sir – zaczął sztywno – pragnę, by pan wiedział, że obwiniam się o pana stan. Gdybyśmy mieli się na baczności, a nie kłócili, prawdopodobnie by do tego nie doszło. Proszę przyjąć moje przeprosiny. – Złożył formalny ukłon. I podjął po chwili: – Jednakże moja opinia co do istoty naszej dyskusji nie uległa zmianie. Tym bardziej jestem teraz przekonany, że w nieodpowiedzialny sposób narazimy Miss Jarrencourt, jeśli włączymy ją w nasze dochodzenie.

– O Boże – jęknął Udolf – znowu to samo!

Obaj towarzysze go zignorowali.

– Wie pan – odparł Delacroix – i tak będziemy pewnie musieli skonsultować się w tej sprawie z Vonderbrückiem. Prawdopodobnie ma pan rację. Gdyby jednak miało się okazać, a w gruncie rzeczy w to nie wątpię, że ta kreatura jest w stanie rozumieć ludzką mowę, to wie już, jakie umiejętności ma ta młoda dama, a pan, panie podporuczniku, zdradził właśnie jej nazwisko.

Twarz Asko śmiertelnie pobladła.

– O mój Boże! – krzyknął, po czym odwrócił się i wybiegł z pokoju.



## Rozdział 12

Cérise zostawiła lekko uchylone drzwi, by nie przegapić, gdyby ktoś pod nimi przechodził. Widziała Marie-Jeannette w drodze do sąsiedniego apartamentu, teraz zaś zobaczyła podporucznika von Orvena, pędzącego korytarzem w nietypowym dla niego pośpiechu.

Wyszła z pokoju, zatrzymując go.

– Dzień dobry, panie podporuczniku – przywitała Asko, on zaś odpowiedział na pozdrowienie, aczkolwiek trochę bez tchu i z wyraźnym zniecierpliwieniem. – Bardzo pana proszę, by zechciał pan zajrzeć do mnie na chwilę. Naprawdę chętnie bym się dowiedziała, co się dzieje. Chyba przypomina pan sobie, że muszę o tym wiedzieć? To mój obowiązek, *n'est-ce pas?* Królewski przywilej nawet.

Von Orven się zaczerwienił. Czuł się zawsze trochę nieswojo w towarzystwie tej energicznej młodej kobiety, która czasem ruszała do ataku niczym dragon, niemal zawstydzając tym męskich towarzyszy, przy innych zaś okazjach zachowywała się jak rozpieszczony podlotek widzący we wszystkim zagrożenie. Uważał też, że o tak wczesnej godzinie nie ma czego szukać w pokoju młodej damy – a w przypadku tej szczególnej damy również o żadnej innej porze. Takie zachowanie nie przystoi oficerowi. Prawdopodobnie trudno było widzieć w tym coś niestosownego, gdy zgromadzili się wszyscy na naradzie, jednak na przebywaniu sam na sam z Cérise Denglot w jej pokoju von Orwenowi nie zależało.

– Mademoiselle Denglot, proszę mi wybaczyć, ale naprawdę spieszo mi...

– Ależ widzę, mój drogi von Orvenie. Bardzo wyraźnie. I może pan sobie biec dalej, gdy tylko opowie mi pan, co nowego wydarzyło się w naszej sprawie. Zachowanie von Görenczy'ego wczoraj wieczorem było tak całkowicie *incroyable*, że straciłam ochotę, by panów ponownie odwiedzić. Teraz jednak muszę wiedzieć, co takiego się stało. A więc. *S'il vous plait!*

Zaciągnęła Asko do pokoju, trzymając się za jego plecami, więc

gdyby chciał przejść obok, musiałby użyć siły. Wiedziała, że nigdy nie pozwoliłby sobie na taki despekt wobec damy.

A von Orvena denerwowało, że Cérise Denglot o tym wiedziała. Już chwilę później zamieniłby chętnie jej towarzystwo na prostactwo Delacroix, które było oczywiście godne pożałowania, jednak w znaczący sposób ułatwiałoby człowiekowi życie.

Kobieta zamknęła drzwi i poprowadziła go do foteli. Z ulgą zauważył, że znajdowali się w małym salonie, a nie w sypialni.

– *Alors* – spojrzała na niego zachęcająco. Usiadł naprzeciw, podsunawszy jej najpierw fotel.

– Cóż – zaczął – jeszcze go nie złapaliśmy. Vonderbrück wciąż utrzymuje czar. Zjawisko zmaterializowało się na strychu i zaatakowało Delacroix. Jest ranny. Ten cień może w oczywisty sposób przemieniać się w węzową kreaturę, naskoczyć na kogoś i wbić się w ciało ludzkiej ofiary – przy słowie „ciało” lekko się zająknął. Nie był w stanie wymówić go normalnie w obecności niezamężnej damy. – Delacroix sam wbił sobie w ramię sztylet z zimnego żelaza. To wypędziło z niego tę istotę. – Badawczo przyjrzał się twarzy Cérise, szukając oznak zbliżającego się omdlenia, ale kobieta nie wyglądała nawet na lekko zaniepokojoną. – To nie był zbyt miły widok.

– Czy jest ciężko ranny? – zapytała.

– Nie sądzę. Ostrze było bardzo cienkie. Stracił dużo krwi. Oczywiście nie wiemy, jakiego podłego czaru Si można ewentualnie oczekiwać jako działania ubocznego. Chcemy o to zapytać Vonderbrücka. Tak dla pewności.

– Ale przecież właśnie przeszedł pan obok jego pokoju, podporuczniku. Czy nie tam pan zmierzał?

Asko przeklął w duchu jej spostrzegawczość, jak również siebie za to, że faktycznie nie przedstawił jeszcze sytuacji Vonderbrückowi, oraz ich oboje za to, że nie popędził jeszcze na pomoc Miss Jarrencourt.

– Mój drogi podporuczniku, wygląda pan na całkiem *dérangé*. Co z panem? Może ma pan ochotę na kieliszek sherry?

Tylko Cérise mogła wpaść na pomysł, by we wczesnych godzinach rannych w swoim pokoju zaproponować alkohol.

– Dziękuję, mademoiselle, ale to nie będzie konieczne – zapewnił.

– Owszem, jestem bardzo zaniepokojony. Miss Jarrencourt, ta młoda dama, której przybyliśmy wczoraj z pomocą, gdy nasz hałas w niewybaczalny sposób pani przeszkodził, jest w wielkim niebezpieczeństwie. Najwyraźniej ma rzadki talent wyczuwania zbliżającej się zjawy.

– To niesamowicie praktyczne – skomentowała mademoiselle Denglot, czując się w znacznym stopniu ignorowana.

– Niestety, o talencie tym wie prawdopodobnie owa istota. I to przez moją nieostrożność. – Zerwał się na równe nogi. – Jeśli z mojej winy coś jej się stanie, nigdy sobie tego nie wybaczę. – Ruszył szybko do wyjścia. – Muszę ją ostrzec.

– Niech pan zaczeka! – krzyknęła za nim Cérise. – Jej pokojówka dopiero co przyszła. A to z pewnością oznacza, że teraz jest zajęta poranną toaletą. Zapewne nie przyjmie pana. Poza tym uważam, że już wymknęła się dzisiaj tej marze, jeżeli właściwie oceniam to, co się stało. Ale jeszcze lepsze od jej wyjątkowo szybkiej reakcji były nadzwyczajne umiejętności akrobatyczne tej młodej damy.

Asko wytrzeszczył błękitne oczy.

– Co proszę? – zapytał i wyglądał przy tym na tak poirytowanego, że śpiewaczka nie była w stanie ukryć uśmiechu.

– Miss Jarrencourt przeszła przez poręcz balkonu i zawisła po drugiej stronie. Potrafi się wyjątkowo dobrze wspinać. Nie zawahała się, nie spadła, nie wpadła w histerię, patrząc na dół, i nie wołała też o pomoc. To było zdumiewające.

– O Boże! – krzyknął Asko. – W panice wypędził ją na zewnątrz. Mogła spaść i się zabić!

– Mogła – powiedziała Cérise. – Ale tego nie zrobiła. Może panika wygnała ją za barierkę, ale wspięła się z powrotem, nie wołając o pomoc. Sprawiała raczej wrażenie niemile poruszonej niż bezradnej.

Podporucznik Asko von Orven wpatrywał się w kobietę wytrzeszczonymi ze zdumienia oczami.

– Mam dla pana propozycję, panie podporuczniku. – Uśmiechnęła się najśłodszym i najbardziej niewinnym scenicznym uśmiechem, wiedząc, że wygląda przy tym zabójczo. – Pójdzie pan teraz do Vonderbrücka i opowie mu, co przytrafiło się Delacroix, ja zaś

zatroszczę się o Miss Jarrencourt. Myślę, że mam większe szanse niż pan, by przyjęła mnie o tak wczesnej porze. Poza tym swoją przesadną troską może pan tylko wystraszyć tę młodą damę, a tego byśmy przecież nie chcieli.

– Mademoiselle, zapewniam panią...

– Oczywiście, że tak, mój drogi, kochany panie podporuczniku, i świetnie rozumiem, że wolałby pan osobiście widzieć tę piękną dziewczynę. Ale proszę mi wierzyć, z pewnością będzie bardziej otwarta wobec innej damy.

Asko nie był przekonany, czy śpiewaczka operowa w pełni odpowiadała definicji kogoś, kogo Mrs Parslow uznałaby za damę, jednak uprzejmy jak zwykle nie zaprotestował. Cérise Denglot ciągnęła dalej:

– A więc niech pan idzie teraz do Vonderbrücka. Potrzebujemy jego rady. Może i Delacroix jest nieczułym synem jakiejś *cocotte*, ale przecież nie chcę, żeby zamienił się w oślizgłego potwora. I tak już trudno z nim wytrzymać.

Podporucznik Asko von Orven również w tym przypadku roztropnie milczał.

## Rozdział 13

W głowie Delacroix kłębiły się myśli. Odczuwał ból i był potwornie poirytowany. Czuł się słaby i bezradny, a to doprowadzało go do wściekłości. Nie znosił długów wdzięczności. Nienawidził, gdy musiał polegać na czyjejś pomocy. Głównie jednak nie mógł znieść myśli, że ten nienaturalny potwór go dotknął – a już zupełnie nie mógł się pogodzić ze świadomością, że przegrał.

Tę bitwę przegrał, a tym samym stracił pewność, że w ogóle złapie to stworzenie. Ludzie nie dorównywali cieniowi, to jasne. Vonderbrück, który był ich doradcą i specjalistą w dziedzinie magii, nie docenił kreatury. A grupa polegała na ocenie maga. Dał im żelazną szkatułę i wyjaśnił, że muszą znaleźć cień, w chwili gdy będzie jeszcze mały, złapać go do pudełka i zaryglować pokrywkę. Całkiem proste. Gdy już złapią potwora, Vonderbrück – jak zapewnił – znajdzie sposób, by złamać czar broniący dostępu do rękopisu. I wtedy odzyskają zwój.

Złapać cień, gdy był jeszcze mały. Jak można złapać coś, co może z rykiem przebić ciało niczym lodowa lanca? Pułkownik przełknął ślinę i wziął głęboki wdech. Nie chciał zwymiotować na oczach von Görenczy'ego. Nie miał najmniejszej ochoty zdradzać młodemu człowiekowi swoich wątpliwości i obaw. Von Orven mógłby go zrozumieć, ale von Görenczy potraktowałby je jako oznakę słabości.

Delacroix nienawidził słabości. Był typem wojownika. Nic nie mogło wyprowadzić go z równowagi, doświadczenie z cieniem ugodziło go jednak głęboko, i to w najbardziej dosłownym znaczeniu.

Poczuł ruch obok i otworzył oczy. To był Udolf.

– Dobrze się pan czuje? – zapytał. – Może ma pan ochotę na cygaretkę? Albo szklanek wody?

– Woda byłaby niezła, dziękuję. – Pułkownik przyjął od szwoleżera szklanek i skoncentrował się na tym, by chwycić ją spokojnie i pewnie. – Musimy przemyśleć naszą taktykę. Mam wątpliwości, czy jesteśmy w stanie obalić tę wańkę-wstańkę. Zdaje się, że Vonderbrück nie docenił jego strategicznych możliwości. Być może

będziemy musieli wezwać posiłki.

Von Görenczy skinął głową i odpalił sobie jeszcze jedną cygaretkę.

– Też o tym myślałem. Być może nigdy nie znajdziemy się dość blisko, gdy ów cień jest jeszcze na tyle mały, by zmieścić się w tym cholernym pudle, zaś w pełnym wymiarze to dość obrzydliwe stworzenie. Jeszcze nigdy nie słyszałem o mitycznej istocie, która... potrafiłaby... coś takiego.

Rozległo się pukanie.

– Wejść! – krzyknął Udolf, zanim Delacroix zdążył mu powiedzieć, by najpierw sprawdził, kto to. Może tak było lepiej. Kto wie co pomyślałby sobie szwoleżer o ostrożności pułkownika.

Do pokoju wszedł mężczyzna w ciemnym garniturze, zdjął z głowy cylinder i uklonił się uprzejmie. Miał ze sobą torbę lekarską z mosiężną klamrą. Jak na medyka, wyglądał wyjątkowo młodo. Szczupły blondyn o gęstych, kręconych włosach, które na amerykańską modłę opadały mu niemal do ramion. Wysoki kołnierzyk zmuszał lekarza do zachowywania sztywnej postawy, której kłam zadawała jednak przyjazna, szczerą twarz.

– Dzień dobry, moi panowie. – Obdarzył oficerów promiennym uśmiechem. – Słyszałem, że miał miejsce wypadek. Jestem doktor Steinberg. Skontaktowało się ze mną kierownictwo hotelu. Mój gabinet znajduje się tylko parę domów stąd. Proszę mi to pokazać.

Otworzył torbę z głośnym kliknięciem klamry, podczas gdy von Görenczy przedstawił siebie i Delacroix. Medyk odwrócił się do pacjenta.

– A więc – uśmiechnął się grzecznie – co się stało? Sądząc po tym, co widzę w pokoju, chyba nie muszę już upuszczać panu krwi.

Na twarzy Delacroix pojawił się lekki uśmiech.

– Gdyby miał pan ochotę sprawić, bym się wykrwawił, panie doktorze, przekonałby się pan, że wciąż jeszcze mogę być godnym przeciwnikiem. – Pułkownik wskazał na swoje ramię. – Jakiś przekłety wijący się potwór, feyon, wbił się w moją rękę. Powstrzymałem go, raniąc się sztyletem z zimnego żelaza.

Medyk mlasnął głośno. Wyglądał na naprawdę zafascynowanego.

– To powinno go z pewnością powstrzymać. Bardzo trzeźwa reakcja, jeśli zechce pan przyjąć wyrazy uznania. – Pochylił się jeszcze raz i zdjął opatrunek z lewego przedramienia Delacroix, by przyjrzeć się ranie.

Również Delacroix zrobił to po raz pierwszy. Tuż poniżej łokcia widniała okrągła rana z czarnym obrzeżem. Nie krwawiła. Wyglądała jednak równie obrzydliwie co groźnie. Przełknął i przygryzł górną wargę.

– O mój Boże! – w głosie medyka zabrzmiała troska. – Może mi pan opisać to stworzenie?

Von Görenczy się wtrącił:

– Zmaterializowało się jako cień, rozciągnęło i znikło. Potem zmaterializowało się w węzowej formie. I pchnęło jak oszczep w... na... – zabrakło mu słów. – Nie wiemy, czym mogło być. Ścigamy tę istotę dopiero od wczoraj. Jak do tej pory schodziła nam z drogi. Znikała po prostu w którejś ze ścian, a między jednym jej pojawieniem się a drugim mijało zawsze kilka godzin.

Młody medyk skinął głową.

– Zauważyłem już, że na hotel rzucono czar. Ktoś próbuje zatrzymać coś w środku. Wie pan, zajmowałem się też trochę wiedzą tajemną.

– Och, to dobrze. – Von Görenczy wypuścił kłęby tytoniowego dymu. – Właśnie rozmawialiśmy o tym, czy nie powinniśmy zasięgnąć rady kolejnego specjalisty, gdy akurat zapukał pan do drzwi. Co za przypadek.

– Rzeczywiście, niezwykły przypadek – zauważył sucho Delacroix. W jego umyśle rozgorzała iskra podejrzliwości. Chętnie by się dowiedział, co myśleć o młodym mężczyźnie, który tak szybko pojawił się przy jego łożu. Steinberg wyjął z kieszeni lupę oprawioną w drewno i dokładnie obejrzał ranę. Na ranę w ramieniu do tej pory nawet nie spojrzał. Delacroix pomyślał, że to dziwne.

– To jest... – młody mężczyzna zawahał się na chwilę – naprawdę interesujące. Wyjątkowo interesujące. Niestety, nie mogę wziąć pana na uniwersytet, by pokazać to medycznym koryfeuszom z ich czysto materialistycznym sposobem myślenia. Z pewnością wywołałby pan

sporo zamieszania. Ale – mówiąc to, wwiercił się kciukiem w ranę, na co Delacroix straszliwie wrzasnął – lepiej będzie, jeśli coś z tym zrobimy.

Pochylił się nad torbą i zaczął w niej grzebać, nie przestając mówić do siebie radosnym tonem, który pasowałby raczej do nieformalnego spotkania przy stole.

– Wie pan, Mr Delacroix – Medyk naciągnął parę grubych skórzanych rękawic – miał pan naprawdę niesamowite szczęście. Istota, która wbiła się w pańską rękę, jest nadzwyczaj rzadka. Rzadka pod każdym względem i raczej niebezpieczna. Jest tak niesamowicie rzadka, że nauki tajemne i wielu naukowców specjalizujących się w feyonach zazwyczaj nawet nie przyznają, że takie stworzenie w ogóle istnieje. Napisałem o tym rozprawę. Wywołała spore kontrowersje. Nigdy jednak nawet nie miałem nadziei, że mogę trafić na rzeczywisty przypadek. *Quasi actualiter.*

– Tak, zawsze miałem szczęście – odparł złośliwie Delacroix. – Jestem wielkim wielbicielem tego, co rzadkie i niezwykle.

Młody lekarz roześmiał się, przez co wyglądał jeszcze młodziej.

– Cieszę się, że nie stracił pan poczucia humoru. Będę musiał zadać panu trochę bólu.

Wyjął z torby buteleczkę ze spirytusem i mały palnik. Zapalił go. Z drewnianej skrzynki o grubych ściankach wyjął przyrząd, który wyglądał jak wielki śrubokręt z długim porcelanowym uchwytem i szarym metalowym stemplem na końcu.

– To stworzenie, do którego się pan w tak nieprzyjemny sposób zbliżył, to, o ile się nie mylę, wiatrochod, potwór Sí, o którym legenda mówi, że żyje na wschodzie, w rosyjskiej tundrze. Dokładnie tego nie wiadomo. Może wejść w ludzkie ciało i następnie je przejąć. A ponieważ nie ma żadnych jego opisów, uważa się, że to bajkowy stwór, ale tak jest z nimi wszystkimi. Nie wiem nawet, czy istnieje ich więcej prócz tego jednego okazu. A swoją drogą, kiedy już przejmie ludzkie ciało, może w nim żyć tak długo, póki owo ciało funkcjonuje, a więc dopóki nie ulegnie rozkładowi. Widzi pan, pierwotni właściciele tych ciał zazwyczaj nie przeżywają długo po takim porażeniu. Dzięki Bogu, że istota ta nie może po prostu przejąć każdego.



W wyciągniętej ręce trzymał w płomieniu szary kawałek metalu, sprawiając przy tym wrażenie, jakby się bał, że się poparzy.

– Może zadaje pan sobie pytanie, po co w ogóle wiatrochod przyjmuje ludzką formę, skoro jako cień ma dużo większą swobodę ruchu i może przenikać przez mury. Ale widzi pan, gdy już jest w ludzkim ciele, nie można go rozpoznać jako Śi. Mógłby wówczas w spokoju ducha, że się tak wyrażę, bez przeszkód wyjść z tego budynku, wszystko jedno, jaki czar by na niego nałożono. Nikt by niczego nie zauważył.

Podał pułkownik kawałek drewna.

– Panie Delacroix, może zechciałby pan włożyć to między zęby – powiedział i bez dalszych ostrzeżeń przyłożył rozżarzony koniec pręta do rany.

Ból był tak nagły, że Delacroix nie miał nawet czasu krzyknąć. Zamiast tego złapał oddech i zaczął przeklinać.

– Dobrze – powiedział Steinberg z zadowoleniem. – O wiele lepiej. Widzi pan, musiałem zadbać, by pozostałości nie wniknęły w pańskie ciało. Sztuki magiczne nie są zgodne co do skutków dotyku wiatrochoda, ale w żadnym wypadku nie są one przyjemne, dlatego też trzeba takie rany odpowiednio potraktować. W przeciwnym wypadku można umrzeć od trucizny. Albo oszaleć, w zależności od interpretacji. Choć są też specjaliści, którzy utrzymują, że człowiek najpierw staje się jasnowidzem, a dopiero potem popada w obłąd. Moglibyśmy sprawdzić to teraz empirycznie, skoro już mamy pana jako wzorcowy okaz. Ale to by panu oczywiście nie przypadło do gustu. A ja, choć tak bardzo kocham naukę, jestem przede wszystkim lekarzem i obowiązuje mnie przysięga Hipokratesa.

Westchnął, schował dziwne narzędzie do drewnianej skrzynki i zamknął wieko.

– A teraz zobaczmy tę drugą ranę. – Rozciął prowizoryczne bandaż. – Czyste cięcie. I dobrze opatrzone, że się tak wyrażę. Pańscy przyjaciele świetnie sobie z tym poradzili. – Wtarł trochę maści w ranę i na nowo ją opatrzył. – To się będzie szybko goić. Zostawiam tu panu eliksir na wzmocnienie. Proszę dużo pić i wypoczywać. Rana nie jest niebezpieczna. Powinien pan jednak później jeszcze raz dać komuś

obejrzyć te cięcia, by można było sprawdzić, jak się goją. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, odwiedzę pana jeszcze, o ile wciąż będzie pan w Monachium.

Spakował torbę, zostawiając jedynie buteleczkę. Następnie sięgnął po kartkę i napisał na niej kilka słów.

– Jeśli da pan to portierowi hotelowemu, sprowadzi panu z apteki maść na oparzenia. Ta tutaj jest na ranę w ramieniu, i koniecznie proszę się postarać nie nadwierać ręki. Proponuję, by nosił pan ramię na temblaku, aby się zbytnio nie ruszało.

Obdarzył obu oficerów szarmanckim uśmiechem.

– Na panów miejscu zastanowiłbym się dwa razy, czy rzeczywiście chce polować na tę istotę. Choć rozumiem oczywiście urok, jaki wywiera to rzadkie stworzenie. Jednak może się okazać, że wiatrochoda nie da się złapać. Specjaliści mają na ten temat najprzeróżniejsze teorie.

– Faktycznie – odparł sucho Delacroix, chociaż poczuł się znacznie lepiej, mimo że ból w ręce i w ramieniu jeszcze nie przeszedł. Był wdzięczny, ponieważ wiedział, że nie będzie miał zbyt wiele czasu, żeby się wykurować. Czas stanowił luksus, na który w tej chwili ani pułkownik, ani młodzi oficerowie nie mogli sobie pozwolić.

– Tak. – Steinberg znów się uśmiechnął. – Jedna z opinii głosi, że w ogóle nie można złapać wiatrochoda. Inni znawcy wychodzą z założenia, że można go złapać jedynie podczas formowania do szkatuły z zimnego żelaza. Uważam, że to może być prawdą. Tyle tylko, że trzeba go złapać, zanim stanie się niebezpieczny. A to znaczy, że trzeba wiedzieć z wyprzedzeniem, gdzie stwór się pojawi.

– Zdaje się, że nasz mag potrafi dość dobrze ocenić, gdzie i kiedy stwór ma się zmaterializować, przynajmniej w przybliżeniu – powiedział von Görenczy, zanim Delacroix zdążył go powstrzymać.

– Ach tak? Ciekawe. Naprawdę chętnie poznałbym tego pana. Jego wiedza musi być nadzwyczajna. – Odwrócił się do wyjścia.

– Jeszcze jedno pytanie, proszę – zatrzymał go von Görenczy. – Jeśli ten wiatro-coś tam może po prostu wnikać w ludzkie ciała i opuścić hotel, to dlaczego wciąż jeszcze stąd nie wyszedł?

Lekarz rozpromienił się.

– Dlaczego? Dobre pytanie, panie podporuczniku. Widzi pan, wiatrochod nie może przejąć dowolnego ciała. Potrzebuje kogoś, kto doświadczył już jakiegoś bardzo ekstremalnego magicznego przeżycia. Nie chcę się zbytnio wtrącać w nie swoje sprawy, sir – skłonił się przed Delacroix – ale zakładam, że to nie była pana pierwsza poważna konfrontacja z magią. Musiał pan już kiedyś bardzo intensywnie doświadczyć czarów. A to czyni z pana idealną ofiarę. Pana i każdego z podobnymi przeżyciami. Można założyć, że takie doświadczenia są niezmiernie rzadkie, dlatego też większości ludzi w hotelu raczej nie grozi niebezpieczeństwo. Panu wręcz przeciwnie. Pańskiemu magowi zapewne również. Choć zakładam, że wie on, jak się chronić, skoro jest tak dobry, jak panowie mówią. Ale może powinniście mu panowie zwrócić na to uwagę. Może nie wie, z czym ma do czynienia.

– A co z panem? Czy pan jest w niebezpieczeństwie? – spytał von Görenczy.

– Raczej nie. Moja znajomość sztuk magicznych jest czysto teoretycznej natury. Nie posługuję się magią. Jestem naukowcem, nie magiem.

Ponownie przyjaźnie się uśmiechnął.

– Wyślę mój rachunek do recepcji. Życzę zdrowia i... darzbór! Miłego dnia, panowie.

Wyszedł z pokoju i zamknął drzwi.

Von Görenczy zgasił cygaretkę.

– Niech mnie diabli... – mruknął i podkreślił wąsa.

– Na dłuższą metę całkiem możliwe. – Delacroix ostrożnie usiadł.  
– Niech pan za nim idzie. Chciałbym wiedzieć, czy może opuścić hotel, na którym wciąż spoczywa zaklęcie. Ale niech się pan nie da przyłapać!

– Nie jestem idiotą – odpowiedział Bawarczyk, sprawdzając pistolet.

## Rozdział 14

A więc zna moje nazwisko – powtórzyła po raz piąty Corrisande i odwróciła tost, posługując się nożem do masła. Siedziała z Mrs Parslow w jadalni, zaledwie kilka metrów od stołu madame de Rhins-Epitue. Mimo tych nieoczekiwanych szczęśliwych okoliczności nie porozmawiały jednak ze starszą damą.

Zamiast tego wpatrywały się w Cérise, która siedziała razem z nimi przy stole i raczyła się dobrym śniadaniem, składającym się z rogalików, kawy oraz owoców z ogrodu botanicznego. Śpiewaczka zaczęła kobiety na korytarzu, jakby były dobrymi znajomymi. Wypytywała o samopoczucie Corrisande. Starania Mrs Parslow, aby potraktować chłodno tę skandaliczną osobę, za jaką skrycie uważała śpiewaczkę operową, całkowicie się nie powiodły. Cérise zbyła uśmiechem stosowne preliminaria i zaproponowała, by zjadły razem śniadanie, dobre śniadanie, jak wiadomo bowiem, czyni cuda na rozstrojenie nerwowe i podrażnioną śledzionę. Można było odnieść wrażenie, że sopranistka miała wrażliwość kamienia.

W drodze do jadalni gawędziła z Mrs Parslow i Corrisande w niewinny, elegancki sposób. Żaden świadek tej konwersacji nie wzięłby tego za nic więcej niż uprzejmą pogawędkę. Uważny słuchacz wśród radosnych słów mógłby jednak wyłowić informację, że stworzenie, które damy spotkały poprzedniego wieczoru, najwyraźniej było niebezpieczniejsze, niż można przypuszczać, i że istota ta dowiedziała się, jak groźnego ma przeciwnika, czyli Miss Jarrencourt właśnie.

– A więc zna moje nazwisko – powtórzyła Corrisande i rozkojarzona upuściła nóż.

– Tak, Miss Jarrencourt, a może powinnam nazywać panią inaczej, jeśli akurat nas słucha, *n'est-ce pas*. Mogę się do pani zwracać po imieniu? – Cérise uśmiechnęła się, obierając przy tym zρέcznie nieprzyzwoicie drogi tropikalny owoc.

Corrisande w panice rozejrzała się, ale nie dostrzegła w pobliżu żadnego cienia.

– Corrisande – przedstawiła się uprzejmie.

Mrs Parslow, która najwyraźniej nieszczególnie doceniała bliższą znajomość z kimś, kto występuje na scenie, oznaczało to bowiem półświatek, przerwała im:

– Przecież to nieistotne. Niezwłocznie się spakujemy i wyprowadzimy. Podobno w Zur Sonne też jest bardzo miło. Może trochę dalej od rezydencji królewskiej i bliżej dworca, ale co to za różnica? Och, popatrz, Corrisande, tam jest nasza dobra przyjaciółka, madame de Rhins-Epitue! Cóż za miła niespodzianka spotkać tu znajomą. Czemu nie podejdziesz do niej i się nie przywitasz? Najlepiej od razu. I możesz ją też poinformować, że wyprowadzamy się do Zur Sonne. Mogłybyśmy przecież umówić się z nią na mokkę w Café Tombosi. Podobno jest tam bardzo przyjemnie. Corrisande, kochana? Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Corrisande najwyraźniej nie słuchała. Nagle perspektywa, by dzięki znajomościom madame de Rhins-Epitue poznać odpowiednich ludzi, przestała być szczytem jej marzeń. Ignorowała swoją rzekomą przyzwoitkę i z szeroko otwartymi oczyma wpatrywała się w Cérise, która właśnie skarżyła się, że figi, *vraiment*, pozostawiają wiele do życzenia i że delectowała się znacznie lepszymi egzotycznymi owocami w Mediolanie, gdy występowała ostatnio w La Scali.

– Mademoiselle Denglot – Corrisande przerwała Cérise – powiedziała pani, że jeden z panów został ranny. Który?

– Proszę się nie martwić. – Śpiewaczka tym razem spróbowała szczęścia z pomarańczą, która, jak się okazało, również nie nadawała się do jedzenia. – To Delacroix. Ale on jest silny jak dąb. I zapewne to i tak tylko drobna szrama. Wie pani, jacy są mężczyźni. Jęczą chętnie z byle powodu.

Uśmiechnęła się czarująco do Corrisande, konstatując w duchu, że sama wygląda o wiele lepiej niż ta mała, brązowowłosa pannica.

Corrisande poczuła lekkie ukłucie w sercu, gdy dotarło do niej znaczenie tych słów. Nie wiedziała, dlaczego była niespokojna, ale tak się właśnie czuła.

Mrs Parslow, która już straciła nadzieję, by zamienić słówko z madame de Rhins-Epitue podczas śniadania, ponieważ ta imponująca

dama niczym ociężały żaglowiec z szelestem sukni właśnie odpłynęła z jadalni, potrzebowała kilku chwil, by odzyskać równowagę.

– A co z tymi dwoma młodymi oficerami? – zwróciła się do Cérise. – Nic im się nie stało?

Cérise skinęła i pozwoliła sobie na impertynencję, by mrugnąć do przyzwoitki.

– Ależ skąd. Von Orven jest w nienaruszonym stanie, podobnie zresztą jak podporucznik von Görenczy, o ile to dla kogoś istotne.

Mrs Parslow zastygła oburzona.

– A czy pułkownik jest ciężko ranny? – zapytała Corrisande i nagle przypomniała sobie silne ramie, które ją podtrzymało.

– Nie, moja droga. Z pewnością nie. Proszę się nie martwić. Najlepiej będzie, jeśli zda się pani na nas, ochronimy panią. Ciotka i pani nie musicie przecież opuszczać hotelu! I myślę – pochyliła się konspiracyjnie do dziewczyny – że to byłaby przecież prawdziwa mała przygoda, gdyby pomogła nam pani w polowaniu na ducha! Pani szczególnie talent wyczuwania go na odległość byłby nieocenionym wsparciem. Proszę sobie tylko wyobrazić! Mogłaby pani zostać najślawniejszą małą bohaterką tego miasta. Wszyscy by panią podziwiali i każdy by panią znał!

– Natychmiast wyjeżdżamy – stwierdziła krótko Mrs Parslow. Wstała, zaciskając ze złości wąskie jak ostrza usta. – Każę Marie-Jeannette, by zniosła nasze płaszcze, kapelusze i *reticules*. Będzie mogła spakować wszystko w spokoju, gdy nas nie będzie, i dostarczyć nam rzeczy do Zur Sonne. Chodź, Corrisande. Już i tak pozostajemy tu dłużej, niż to konieczne. – Przyzwała kelnera i przekazała mu instrukcje.

Corrisande również wstała i uśmiechnęła się niepewnie do śpiewaczki, starając się nadać temu swe najlepsze *air de 'innocence*.

– Tak mi przykro, mademoiselle Denglot, ale obawiam się, że nie mam talentu, by zostać bohaterką. Prawdopodobnie nie jestem dość odważna i nie mam ochoty jeszcze raz spotkać ducha. Naprawdę nie. Potwornie mnie przestraszył. Jestem pewna, że moja ciotka podjęła właściwą decyzję. To bardzo miło z pani strony, że poinformowała nas pani o grożącym nam niebezpieczeństwie. Życzę pani i tym... dżentelmenom... powodzenia w ściganiu tego okropnego potwora.

Proszę przekazać, że jest mi przykro. Na pewno zrozumieją.

Zastanowiła się jeszcze, czy powinna przyrzec, że będzie się modlić za sukces i zdrowie tych panów, doszła jednak do wniosku, że odgrywanie anioła może się wydać przesadne.

Cérise Denglot również wstała i bezczelnie zastąpiła dziewczynie drogę.

– Corrisande – uśmiechnęła się jak rozmarzona kocica – jakoś nie mogę sobie wyobrazić, że jest pani tak strachliwa, jak chce pani, bym wierzyła. Dziś rano, gdy widziałam, jak wspina się pani na balkon, odniosłam wrażenie, że ma pani znacznie silniejsze nerwy.

Corrisande spuściła oczy, umiejętnie oblewając się rumieńcem.

– Mademoiselle Denglot, jest mi niezmiernie przykro, że była pani świadkiem mojego postępu. Ta istota wygnała mnie z pokoju i zapewniam panią, że nawet nie wiedziałam, co robię. W przeciwnym wypadku nigdy bym nie przeszła przez tę poręcz.

– Ależ wierzę pani – odparła Cérise. – Ale gdy niebezpieczeństwo już minęło, wiedziała pani bardzo dobrze, co robi, i nie zauważyłam u pani nawet cienia paniki.

– Ależ oczywiście, że nie! – odpowiedziała Corrisande, zamknąwszy powieki i starając się wycisnąć chociaż jedną niewinną łzę.

– Proszę sobie tylko wyobrazić, że uległabym mojemu strachowi i spadła! Umarłabym ze wstydu, leżąc tak na ulicy w nocnej koszuli i szlafroku! Żegnam, mademoiselle Denglot – dodała na zakończenie i posłusznie ruszyła za Mrs Parslow, opuszczając jadalnię.

## Rozdział 15

Vonderbrück był mężczyzną słusznego wzrostu, około pięćdziesiątki. Jego biała, grzywiasta czupryna sprawiała, że wyglądał na jeszcze starszego. W posagowej twarzy najbardziej rzucał się w oczy orli nos dodający surowości rysom. Vonderbrück był poważnym człowiekiem, choć czasami pozwalał sobie na lekki krzywy uśmiech.

Podporucznik Asko von Orven czuł się nieswojo. Nie przepadał szczególnie za magami, choć bez wahania przyznawał, że ten człowiek miał większe doświadczenie, a do tego też zdumiewającą wiedzę o sztukach tajemnych. Prawdziwych magów nie spotykało się na co dzień. Magia nie należała do codzienności. Większość ekspertów tak zwanych sztuk magicznych była zaledwie oszustami albo cyrkowymi iluzjonistami. Żyli w cudownym, wspaniale wygodnym świecie pseudonaukowych salonów i zaproszeń na wystawne kolacje. Pokazywali sztuczki znudzonym damom w pewnym szczególnym wieku. Wzywali zmarłych i przekazywali pozdrowienia od ulotnych małżonków. Żyli w dostatku często zyskiwali tak wielkie zaufanie klientów i klientek, że mogli prowadzić tych niewinnych ludzi niczym pionki na szachownicy.

Asko miał dość powodów, by nienawidzić owej hołoty. Jego matka bezgranicznie zaufała jednemu z takich drani. Po śmierci ojca Asko nie tylko niemal doprowadziła rodzinę do ruiny, ale też strasznie podupadła na zdrowiu. Robiła wszystko, czego ten pozbawiony skrupułów człowiek od niej zażądał, i Asko był święcie przekonany, że magiczna święcona woda, z której korzystała w dużych ilościach dla zdrowia i urody, jak też regularne seanse magnetyzmu i hipnozy były winne zniedołężnieniu, jakiemu w końcu uległa.

Gdy Asko osiągnął pełnoletność i przejął zarządzanie nadwątłego rodzinnego majątku, magik zniknął bez słowa. Dla Asko były to trudne chwile. Musiał przerwać studia fizyki i inżynierii. Poszedł do wojska, gdzie szybko dorobił się stosownej do swojej rangi pensji.

Kariera oficerska nie była jego pragnieniem. Interesował się



bardziej techniką niż prowadzeniem wojny. Marzył, by kształtować piękny, nowy świat technicznego postępu. Kochał fizykę, ponieważ była nauką ścisłą. Nie istnieje nic, czego nie da się udowodnić. Każda przyczyna wywołuje określony skutek i jeśli drażyło się dostatecznie głęboko, można było każde działanie przypisać określonej przyczynie. Nauka tworzyła świat porządku. Z niejasnych półprawd nie da się zbudować maszyny. Maszyna działa albo nie. Nie było w tym nic osobistego. Działały, bo działały – albo i nie.

Asko był wzorowym studentem. Jednak wrodzone poczucie obowiązku nie pozwoliło mu oddawać się marzeniom, gdy rodzina popadła w kłopoty. Siostra potrzebowała przyzwoitego posagu, by stanowić odpowiednią partię. Asko musiał się o to zatroszczyć. Matka, z której gasnący zdrowy rozsądek czynił coraz bardziej bezbronną ofiarę w świecie pełnym wilków, również wymagała opieki.

Oczywiście Asko nie był tak naiwny czy ograniczony, by zaprzeczać istnieniu sił nadprzyrodzonych. Widział już prawdziwą magię. Uważał jednak za godne pożałowania, że motywy tych, którzy mogli dysponować mocą, były tak nieprzejrzyste. Magowie stanowili nieprzeniknioną grupę, nietypowo także zajmowali się sztuką. Nie żeby nie mieli praw i zasad, ale wydawało się, że każda loża stosowała inne. Zbyt lekkomyślnie traktowali przyczynę i skutek. A nie powinni. Z pewnością magia w niektórych sprawach mogła okazać się przydatna, ale i tak Asko jej nie lubił. Świat bez magii byłby czystszy i bardziej uczciwy, uważał. Świat, w którym życie toczyłoby się według czysto logicznych, fizycznych prawideł, byłby łatwiejszy do zaakceptowania.

Dlatego lubił parę. Święto przyczyny i skutku. Zobaczyć lokomotywę w akcji to tak, jakby widzieć dzieło sztuki na kołach. To nie była siła, która rodziłaby wątpliwości, obojętnie, czy fizycznej, czy metafizycznej natury. Para zmieniła świat w nieprawdopodobnie krótkim czasie, i to znacznie bardziej, niż udało się to przez stulecia tajnym lożom sztuk tajemnych.

Życie w tym postępowym świecie wiele dla Asko znaczyło. Tworzenie przyszłościowych planów, formułowanie śmiałych projektów, realizowanie technicznych marzeń. Budowanie wiaduktów łączących rozległe doliny. Sztolni przecinających góry, maszyn, które

zastępują człowieka przy trudnej lub niebezpiecznej pracy.

Ale to było dla von Orvena przeszłością. Teraz był oficerem. Jego ojciec by się z tego cieszył. Surowy człowiek, też oficer, podobnie jak jego dziadek, który żył jeszcze w czasach, gdy Bawaria z księstwa stała się królestwem.

Von Orven nie był nieszczęśliwy. Znalazł w świecie niszę dla siebie i odnosił sukcesy. Finansowe kłopoty rodziny zostały przezwyciężone. Jego matka miała zapewnioną opiekę. Zajmowała się nią całkowicie pozbawiona romantyzmu znajoma. Siostra von Orvena wyszła za królewskiego sędziego, który dobrze o nią dbał, a samemu Asko też nie powodziło się źle. Jego nowe zadania wykraczające poza normalną służbę w koszarach były dość lukratywne i przynosiły mu więcej, niż się spodziewał. Żył dostatnio i stać go było nawet na kupno porządnego starego domu z kawałkiem gruntu. Tam młodzieniec mógł pójść za głosem serca i oddać się badaniom oraz eksperymentom naukowym. O ile miał na to czas – a to zdarzało się rzadko.

Ale mimo wszystko. W pewnym sensie Asko był bardziej wolny niż kiedykolwiek wcześniej, dostatecznie wolny, by myśleć o swym życiu w dłuższej perspektywie i podejmować odpowiednie decyzje. Na przykład o ożenku. Myśl ta naszła go nagle i rozejrzał się zaniepokojony, gdy Vonderbrück akurat wymawiał pewne nazwisko.

– ... Miss Jarrencourt. – Mag spojrział na niego i uśmiechnął się krzywo. – Czy pan w ogóle słuchał, panie podporuczniku? Nie wydaje mi się. Cóż, pewnie jest pan bardzo zmęczony. Wszyscy jesteśmy zmęczeni. Ja też prawie w ogóle nie spałem. Utrzymywanie nałożonego na hotel czaru nie należy do łatwych zadań. To monumentalne przedsięwzięcie. Proponowałem właśnie przed chwilą, by przedstawił mnie pan Miss Jarrencourt. Powinienem z nią porozmawiać. Nasze widoki na sukces byłyby znacznie lepsze, gdyby zdecydowała się nas wspierać. Nie powinniśmy jednak zapominać o niebezpieczeństwie.

Asko zdusił w sobie przekleństwo. Z trudem jedynie udało mu się udzielić stosownie spokojnej odpowiedzi.

– Myślę, że nie mamy żadnego prawa, by składać na jej barki taki ciężar. Dlaczego mielibyśmy prosić ją o pomoc w sprawie, która w oczywisty sposób jest naszym zadaniem, a nie jej? Jesteśmy lepiej

przygotowani do radzenia sobie z niebezpieczeństwem niż taka młoda dziewczyna i wiemy też już, że obecność upiora powoduje u niej straszne cierpienie.

Asko von Orven starał się nie okazać złości, ale nie wyszło mu to szczególnie dobrze.

– Ach, widzę. – Mag uśmiechnął się słabo. – Zaczyna pan już żałować, że w ogóle mi pan o tym opowiedział. Ale proszę mi wierzyć, nie mam zamiaru przysparzać tej damie cierpienia. Może lepiej będzie, jeśli opuści ten hotel.

– To właśnie jej doradzę – stwierdził Asko.

– Niemniej jednak, mój drogi młody przyjacielu – ciągnął Vonderbrück, najwyraźniej nie zauważywszy, że temu drogiemu młodemu przyjacielowi taka bezpodstawna poufałość bynajmniej nie odpowiada – postąpił pan słusznie, informując mnie o tym. Stanowimy przecież zespół. Grupę operacyjną działającą razem przeciw złu. Musimy być szczerzy wobec siebie nawzajem.

– Skoro już o tym mowa – odpowiedział von Orven, nie panując już nad wzbierającą w nim złością – to chciałbym zapytać, dlaczego nie ostrzegł nas pan o niebezpiecznym talencie naszej „zwierzyny”, mianowicie o wbijaniu się w ciało ścigających? Pułkownik Delacroix mógł zginąć. Wszyscy mogliśmy zginąć, nie wspominając o gościach hotelu, którzy nawet nie wiedzą, w jakim znajdują się niebezpieczeństwie.

Czarodziej obdarzył go zmęczonym spojrzeniem, zbyt nieprzeniknionym, by można było z niego coś wyczytać.

– Zapewniam pana, panie podporuczniku, że gdybym wiedział o umiejętnościach tej kreatury, ostrzegłbym przed nią zawczasu. Ale proszę mi wierzyć, że jestem równie zdziwiony i zszokowany jak pan. Fizyczny atak nie powinien mieć miejsca. Ta zdolność głęboko mnie niepokoi. Jak dotąd słyszałem tylko o jednej istocie, której przypisuje się taką umiejętność, ale to stwór mitologiczny, nic więcej. Ze starej bajki. Do dzisiaj mógłbym przysiąc, że nie istnieje ani jedna istota na ziemi, która byłaby zdolna do takiego ataku.

– Cóż, w tym przypadku popełniłby pan krzywoprzysięstwo. Musimy więc być wdzięczni, że nie obciążył pan swej nieśmiertelnej

duszy tym grzechem. – Asko nie potrafił się zdobyć na traktowanie starszego mężczyzny z należyтым szacunkiem. W istocie zadrzał na myśl, że mówi jak Delacroix.

Skłonił się lekko i przeprosił:

– Proszę mi wybaczyć moje nieprzemyślane słowa. Proszę je przypisać zmęczeniu. Ten przypadek głęboko mnie niepokoi i muszę przyznać, że gdy uwzględnię wszystkie fakty, coraz mniej jestem przekonany, że możemy złapać to stworzenie. Tak naprawdę to gdyby nie chodziło o bezpieczeństwo osób w tym budynku, skłaniałbym się ku temu, by jeszcze raz gruntownie przemyśleć sposób naszego działania. To, co robimy, może być zupełnie nielogiczne! Nasze główne zadanie, o ile sobie dobrze przypominam, polega na tym, by zabezpieczyć utracony rękopis. Jak do tej pory nikt mi nie powiedział, jakie zagrożenie stwarza ten zwój, ale bardzo, bardzo wyraźnie wyjaśniono nam konieczność, by nie dopuścić, aby wpadł w niewłaściwe ręce.

Czarodziej przytaknął.

– Rękopis musi być naszym podstawowym celem, tu ma pan rację. Ale jak już obszernie wyjaśniałem, wygląda na to, że istota ta jest w stanie ukrywać go, posługując się magią, jak wykazują moje obliczenia. Oczywiście możliwe, że zwój już dawno zniknął z budynku. Gdyby to była prawda, źle by się stało, ponieważ wtedy nie mielibyśmy żadnego punktu odniesienia, gdzie powinniśmy go szukać. Najprawdopodobniej musielibyśmy uznać go za stracony. Dlatego też, w moim mniemaniu, odnalezienie i złapanie tego stworzenia jest jedyną szansą na odzyskanie rękopisu i ponowne umieszczenie go tam, gdzie był dotąd przechowywany.

Asko zmarszczył czoło. Szanse na sukces wydawały mu się zbyt nikłe, niemal żadne.

– Nawet jeśli złapiemy stwora, zakładając, że to w ogóle możliwe, jak zamierza pan przesłuchać zamknięty w pudełku cień? A tym bardziej zmusić go, by zdradził panu coś, czego z pewnością zdradzić nie chce? Może brak mi magicznego doświadczenia, by pojąć, czego ta bestia ostatecznie chce albo co planuje. Nie znam też treści rękopisu poza tym, że jest w jakiś sposób niebezpieczny. Ale muszę przyznać, że w ogóle nie potrafię sobie wyobrazić, jak można przesłuchać albo zmusić do

współpracy taką upiorną zmiję.

Asko nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić. Cała ta sprawa wykraczała poza jego prostolinijne i logiczne rozumowanie. Nie po raz pierwszy w życiu pragnął, by nie istniała żadna magia. Rzeczywistość była jednak inna. Wciąż daremnie uganiali się za niebezpiecznym upiorem, a magia wcale nie okazała się tak pomocna, jak należało oczekiwać. Młody oficer nie miał jednak pomysłu, jak inaczej rozegrać tę trudną sytuację.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Ach! To nasza piękna mademoiselle Denglot – odgadł mag i dodał bez wahania: – Proszę wejść!

Cérise Denglot weszła i obdarzyła zebranych wyrafinowanym uśmiechem.

– *Mon Dieu, c'ôz za nad wyraz okropne śniadanie. Figi nie nadawały się do jedzenia, a pomarańcza była kwaśna. Nie mam pojęcia, dlaczego w tym kraju nie da się hodować porządnych owoców! Przecież to nie może być takie trudne. W końcu w centrum miasta znajduje się ta olbrzymia oranżeria. – Usiadła z godnością i wygładziła jedwabne fałdy sukni.*

Obaj mężczyźni patrzyli na nią wyczekująco.

– No i? – zapytał w końcu Asko, by dowiedzieć się, co się wydarzyło.

– To znaczy – kontynuowała śpiewaczka – że muszę iść na moją próbę na czczo. Z pewnością nie mogą sobie panowie nawet wyobrazić, jak to jest śpiewać z pustym żołądkiem, a już na pewno nie macie pojęcia, jak to jest, gdy z pustym żołądkiem trzeba śpiewać Wagnera. To jest *vraiment* niemal niemożliwe. Jestem pewna, że pan Wagner pisze swoje arie wyłącznie na pełny żołądek. Wszystkie mają taki knedlowo-kapuściany tembr. O wiele za ciężkie, o wiele za kwaśne. Ale Jego Wysokość zdaje się cenić ten styl, i jest naprawdę zachwycającym władcą. To znaczy ilu jest w Europie monarchów, którzy tak dobrze wyglądają i są tacy szarmancy, a do tego tacy młodzi? A zatem śpiewamy Wagnera...

W Asko wzbierało pragnienie, by skrócić śpiewaczce kark. Dzięki Bogu, mademoiselle Denglot nie była wrażliwa na jego nastroje, bo w

przeciwnym razie byłaby bardzo zdziwiona nieoczekiwaną gwałtownością jego uczuć.

– Mademoiselle! Damy! Miss Jarrencourt! Obiecała mi pani, że z nimi porozmawia!

– Zrobiłam to – odparła Cérise – oczywiście, że to zrobiłam. Zjadłyśmy razem śniadanie i im ono też najwyraźniej nie smakowało. I nawet nie zamówiły południowych owoców, co prawdopodobnie było dobrą decyzją.

– No i?

– Teraz są pewnie głodne. – Uśmiechnęła się do Asko, gdy wreszcie dotarła do niej jego irytacja. – Ale mogą przecież zjeść drugie śniadanie w Zur Sonne. Tam właśnie zamierzały się udać, gdy je opuszczałam. Obróciły się na pięcie i uciekły jak zające. Albo jak zajaczek i pies stróżujący. Nawet się nie spakowały, polecily tylko pokojówce, by przyniosła im kapelusze i płaszcze. Gdy szłam na górę, czekały na nie w foyer. Gdyby chciał się pan jeszcze oficjalnie pożegnać, musi się pan pospieszyć. Choć przypuszczam, że damy już dawno sobie poszły. Zmarnowałam trochę czasu. Spotkałam na schodach pewnego młodzieńca, który miał okazję słuchać mnie w La Scali. Miły, uprzejmy pan.

– A więc wyjeżdżają? – zapytał Asko i musiał się powstrzymać, by nie rzucić się do drzwi i nie zbiec po schodach.

– Czyżbym o tym nie wspominała? Oczywiście, że wspominałam. Dlaczego nikt mnie nie słucha? Nie może przecież chodzić o siłę głosu. W operze słysząc mnie nawet w ostatnich rzędach. A więc próbowałam namówić tego małego zajaczka, by tu został i choć raz przeżył porządną przygodę. Ot tak, dla zabicia czasu. Miss Jarrencourt powiedziała jednak, że nie przepada za przygodami. To może się zgadzać. Ale nie musi. Niestety, tego już się teraz nie dowiemy.

Von Orven był rozdrażniony. W rzeczywistości był tak wściekły, że niemal dało się to wyczuć pomimo maski uprzejmości na twarzy.

– Mademoiselle Denglot, serdecznie dziękuję za pani pomoc – zdołał wycedzić przez zaciśnięte zęby. – Nie miała pani jednak żadnego prawa prosić Miss Jarrencourt, by tu została i narażała się na niebezpieczeństwo. Wyraźnie sobie przypominam, że prosiłem, aby

namówiła pani te damy do wyjazdu.

– Oczywiście, że pan to zrobił, drogi panie podporuczniku. Ale uważałam Miss Jarrencourt za odważniejszą. Nie wierzę tym wielkim oczom i niewinnym manierom porcelanowej lalki. *Zbyt parfait*, by były prawdziwe. Nie wiem, co myśleć o tej małej Miss. Chodzący wzór cnót niewieścich. Proszę mi wierzyć, znam się na kobietach.

Asko zdusił ripostę, że panna Denglot o wiele lepiej niż na pięknej zna się na płci brzydkiej, zapewne także w biblijnym sensie. Przeżuwał tę myśl. Wydała mu się niestrawna. Przeważało dobre wychowanie. Przez dłuższą chwilę nic nie mówił, odwróciwszy oczy od pięknej kobiety o blond włosach, która zachowywała się, jakby udzielała audiencji. Wolał popatrzeć na mistrza sztuk tajemnych, ten jednak odwrócił się do niego plecami i oficer nie był pewien, czy zrobił tak ze zniecierpliwienia, czy może po to, by skryć rozbawienie. Asko uznał, że woli tego nie wiedzieć.

– Mademoiselle Denglot, proszę, by nie nazywała pani Miss Jarrencourt zajączkiem ani porcelanową lalką. Nie jest zabawką – powiedział, gdy odzyskał już panowanie nad głosem.

– Szkoda, *n'est-ce pas?* – Ta niemożliwa kobieta miała czelność do niego mrugnąć. Asko w jednej chwili przestał rozumieć, jak mógł w ogóle uważać pannę Denglot za atrakcyjną. Była ksantypą najgorszego rodzaju.

Vonderbrück obrócił się do zgromadzonych z powagą. Podporucznik się tego obawiał.

– To nas do niczego nie doprowadzi – powiedział mag. – Powinniśmy trochę wypocząć. Jeśli moje obliczenia się zgadzają, upiór pojawi się znów za około trzy i pół godziny. Prawdopodobnie na tym piętrze. Być może piętro niżej. Powinniśmy się przygotować na to starcie. Niestety, nie mogę opuścić tego pomieszczenia, ponieważ uczyniłem z niego centrum swojej magii. Może byłby pan tak miły i przekazał pułkownikowi Delacroix, by zajrzał do mnie, jeśli ma ochotę, o ile jego rany wymagają magicznego leczenia. Ale nie w ciągu najbliższej godziny, ponieważ w tym czasie będę potrzebował absolutnego spokoju, aby się skoncentrować.

Cérise uniosła się z wdziękiem.

– Wielkie nieba – poskarżyła się. – W tym czasie będę, niestety, na próbie w operze. Co za pech. Zaprzepaszczę taką ekscytującą okazję. *Sí triste.*

Roześmiała się.

Asko skłonił się najpierw przed śpiewaczką, a następnie przed magiem.

– Jeśli mi państwo wybaczą – powiedział, czując, jak jego uprzejmy uśmiech, jakby żyjąc własnym życiem, zamienia się w grymas – udam się teraz do podporucznika von Görenczy’ego i pułkownika Delacroix, by przekazać im stosowne informacje.



## Rozdział 16

Delacroix wolałby znaleźć się w swoim łóżku na trzecim piętrze. Koc, na którym leżał, czuć było krwią – jego krwią – a w pokoju po brzegi wypełnionym kobiecymi akcesoriami i parafernaliaми nie czuł się zbyt dobrze.

Jego koszula i surdut były zniszczone, bieganie półnago po korytarzach hotelu, jedynie z opatrunkiem na górnej części ciała, nie wchodziło w grę. Ludzie byliby zgorszeni.

Ludzie tak łatwo się gorszyli. W każdym razie ludzie z pewnej warstwy społecznej. Pułkownik wyrósł w najbardziej ponurej, najbiedniejszej dzielnicy Syrakuz. Tam ludzie mieli inne zmartwienia niż niestosowny ubiór. Mężczyzna nie pragnął jednak tam wrócić. Część jego młodzieńczych lat była zbyt przerażająca, by je nawet wspominać.

Atak, który właśnie przeżył, przypomniał mu o tamtych czasach. Czasach, gdy – jak wyraził to ten nadgorliwy lekarz – magia dotknęła go i zostawiła trwałe ślad.

Pułkownik nie chciał o tym myśleć. Zazwyczaj próbował wymazać przeszłość z pamięci, jak mu to wpojono i wytrenowano. Zazwyczaj mu się to udawało – o ile nie spał. Kiedy jednak śnił, wspomnienia wracały, budziły Delacroix w najczarniejszą noc, a groza zapierała mu dech w piersi.

Był sierotą, jednym z wielu brudnych, obszarpanych chłopców. Tacy jak on przeżyli najgorszą biedę tylko dlatego, że zebrali się w bandę dowodzoną przez dorosłego, który wyszkolił podobną do szczurów armię dzieci, czyniąc z nich włamywaczy, bandziorów i złodziei. Delacroix nazywał się wówczas inaczej. Ale prawdziwego Delacroix już nie ma. Chłopak, do którego należało to nazwisko, był, można by powiedzieć, martwy.

Pułkownik był skuteczny. Z natury niski, chudy i ruchliwy, nadawał się równie dobrze na kieszonkowca, jak i włamywacza. Jeśli chodzi o umiejętność posługiwania się nożem, to w wieku dziesięciu lat mógł się już mierzyć z każdym dorosłym. Nie potrafił czytać ani pisać,

ale był sprytny i bystry, i szybko się uczył. Wiedział już wówczas, że daleko zajdzie w swojej profesji, i marzył, by pewnego dnia również być opiekunem bandy dzieciaków, tak jak jego *padrone*. Tylko miłszym.

Był ambitny, zawsze skupiony na tym, jak wyśledzić nowy łup, zgłębiać nowe możliwości. I dlatego pewnego dnia w poszukiwaniu miłych rzeczy, które da się zamienić na brzęczącą monetę, wkroczył na teren bogato wyglądającej posiadłości.

Nie spodziewał się, że posiadłość to loża magów, i to taka, w której kultywowano czarną magię. Na budynek rzucono ochronny czar przeciw intruzom, więc Delacroix został złapany, zanim spostrzegł, w jakim jest niebezpieczeństwie. Grupa, która go przyłapała, była zarówno tajnym stowarzyszeniem, jak i sektą i bez przeszkód praktykowała religię, która z pozoru wymarła już w czasach upadku Kartaginy.

Ofiary z dzieci były w Syrakuzach tak samo nie do pomyślenia jak wszędzie. A jednak w najbiedniejszych dzielnicach dzieci znikwały, nikt ich zresztą ani nie szukał, ani po nich nie rozpaczał. I tak ów zakon magów mógł bez przeszkód praktykować swoje wierzenia. Dbał przy tym, by wybierać dzieci, za którymi nikt nie będzie tęsknić.

Delacroix idealnie nadawał się do celów członków loży, chociaż złapali już wcześniej inną ofiarę. Magowie zamknęli małego złodzieja razem z drugim chłopcem. Delacroix natychmiast spróbował poradzić sobie z zamkiem – co normalnie nigdy nie sprawiało mu trudności – jednak tym razem zamek był wzmocniony magią.

Ten drugi więzień, straszy od niego, miał jasne włosy i nosił ubranie chłopca okrętowego. Nie mówił po włosku, a Delacroix nie znał jego języka. Obcy chłopak był wyraźnie wystraszony.

Miał zresztą ku temu wszelkie powody. Jeszcze tej samej nocy zaprowadzono obu do wielkiego pomieszczenia, w którym paliło się więcej świec, niż Delacroix kiedykolwiek widział w jednym miejscu. Ich płomienie ogrzewały powietrze. Obu młodym jeńcom dano coś do picia. Było bardzo słodkie i smakowało wyśmienicie, Delacroix poczuł się radosny i swobodny. Czekał na odpowiednią chwilę do ucieczki. Ale na to przyjdzie jeszcze pora, myślał. Nie było powodu, by się spieszyć.

Drugi chłopiec odczuwał to inaczej. Zaczął się bronić i kopać i prawie mu się udało wymknąć z rąk strażników. Delacroix zobaczył, jak

wspina się po linie utrzymującej w górze kandelabr. Dzieciak wspinał się dobrze, ale nie dość dobrze. Jeden z mężczyzn wyciągnął za nim rękę i choć nie stał dość blisko, by dotknąć zbiega, chłopak natychmiast spadł jak kamień na podłogę. Delacroix widział go ze złamanym karkiem i słyszał, jak rozszoszczeni mężczyźni dyskutują. Martwy chłopak był dla nich bezużyteczny.

Odwrócili się do Delacroix i prawdopodobnie dziękowali przychylnym bogom za to niespodziewane zastępstwo. Zanim złodziejaszek zdołał zareagować, sparaliżowało go zakłęcie. Tym razem magowie nie pozwolili sobie na żadne ryzyko.

Unieśli chłopca na kamienny ołtarz. Przytrzymały go silne ręce. Wszechświat obracał się wokół Delacroix, wirował, by w końcu skupić się na jednym znikającym punkcie rzeczywistości. Mężczyźni śpiewali. Szerokie kaptury skrywały ich twarze.

Nie czuł upływu czasu, nie był w stanie nawet w przybliżeniu określić, jak długo tam leżał. Słuchał tylko. Śpiewy wciąż rozbrzmiewały. Chłopak powinien się bać długiego sztyletu, który trzymała nad nim jedna z zakapturzonych postaci. Ale nie czuł żadnego strachu. Było mu tylko nieswojo. Nie rozumiał, co się dzieje. Ostrze błyszczało kamienną czernią w blasku świec i wyglądało pięknie i kosztownie, jak wykwintna zabawka.

I wtedy ostry czubek dotknął Delacroix tuż nad sercem i przebił skórę. Popłynęła krew. Nie bolało, czuł jednak, jakby nagle otoczyło go przenikliwe zimno. Chciał krzyczeć, ale nie mógł. Mógł tylko leżeć bez ruchu na kamieniu, o którym nagle wiedział, że sięga głęboko w ziemię. Daleko pod nim tworzyło się połączenie. Z głębi do kamienia i dalej przez Delacroix, aż do noża, który wbijał się w ciało chłopaka.

Nagle wiedział, że jest tylko głupim małym dzieckiem, które za chwilę umrze. To zrozumienie pojawiło się w jego głowie jakby z zewnątrz, rozrastało jak chmura. Stał się jednym z tymi nowymi myślami, rozumiał misteria świata i gardził nimi, był głodny życia, pragnął władzy. Niczym kolumna z wnętrza ziemi, wezbrały w Delacroix tęsknota i pragnienie, które przepłynęły przez myśli w nieistotnym dziecięcym mózgu i sięgnęły do czarnego sztyletu, by ciągnąć go pożądliwie w dół.

Czas płynął coraz wolniej, jakby zastygał, Delacroix zaś czuł, jak ostrze sztyletu kawałek po kawałeczku wbija się w jego ciało. Chłopak rozpoznawał twarz nad nim, nieruchomą, ocienioną kapturem: jego sługa. Wiedział, że esencja jego bytu wsysana jest w zimny grunt, podczas gdy ciepła krew spływa po kamieniu.

Chłopiec czuł euforię, jednocząc się z duchem, który nigdy nie był jego. Ponad sobą zobaczył głowę wilka formującą się w blasku świec. Żółtawe ślepia stopiły się z jego oczyma, ciemnymi, które spłonęły w nicość. Delacroix stał się częścią własnej wizji. Czuł, jak zanurza się w mroczną i jednocześnie ognistą istotę. Czuł, jak rośnie, stając się gigantycznym cieniem.

Później zobaczył kulę. Dla niego nadlatywała tak powoli, że mógł obserwować jej zbliżanie się, podczas gdy pełne frustracji i poczucia straty oczekiwanie rozrywało go na strzępy. Pocisk dosięgnął szyi zamaskowanej postaci nad Delacroix, wwiercił się w nią, na chwilę w małej ranie zawisła kropla krwi, a potem wyszedł z drugiej strony, rozszarpując ciało.

Postać zamarła. Sztylet spadał i spadał. Eony później chłopak usłyszał, jak broń z rozciągniętym w czasie brzękiem uderza o podłogę, a później pojawia się wielki, jasnowłosy mężczyzna w marynarskim ubraniu, klęczący nad tym drugim chłopcem i nieskończenie długo wykrzykujący jego imię. A później pojawił się inny, z krucyfiksem zawieszonym na szyi, i podniósł Delacroix z kamienia.

Połączenie zostało przerwane.

Rozdzielenie rzuciło chłopaka w stan głębokiego omdlenia. Gdy się ocknął, nie było żadnych pomieszczeń świątynnych, żadnych w magiczny sposób zamkniętych pokoi i niemal żadnych wspomnień z niedawnych zdarzeń. Pamięć powracała stopniowo z głębi nocnych koszmarów.

Delacroix obudził się wtedy do nowego życia. Był uratowany.

Ktoś pukał. Delacroix wzdrygnął się ze strachu, wyrwany ze snów na jawie, i natychmiast skurczył się z bólu wywołanego gwałtownym ruchem.

– Wejść – krzyknął. Uśmiechnął się krzywo, gdy do pokoju wkroczył von Orven z koszulą i surdudem pod pachą.

– Dobry z pana człowiek – pochwalił pułkownik. – Wiedziałem, że można na panu polegać i że przyniesie mi pan jakieś ubrania. Hotel nie jest najlepszym miejscem, żeby spacerować w poplamionych krwią strzępach, i nawet dla mnie byłoby to poważne naruszenie etykiety. – Uniósł się i powoli wstał. – Czymś takim z pewnością wystraszyłbym damy.

Podporucznik von Orven zignorował to przedstawienie.

– Potrzebuje pan pomocy przy ubieraniu? – zapytał. Pułkownik tylko potrząsnął głową i sięgnął po strój.

– Myślę, że dam radę ubrać się sam. Byłbym panu jednak wdzięczny, gdyby później pomógł mi pan ułożyć ramię na temblaku. Lekarz doradzał, by na jakiś czas je unieruchomić.

– Oczywiście – odparł Asko. – Cieszę się, słysząc, że zbadał to lekarz. Swoje usługi zaoferował też Vonderbrück, jeśli uzna je pan za potrzebne. Twierdzi, że nic nie wiedział o możliwościach tej kreatury, aby się... – zabrakło mu właściwych słów, by opisać to przeżycie w kulturalny sposób. – W każdym razie radzi nam, żebyśmy wypoczęli, bo stworzenie ma się znów pojawić za trochę więcej niż trzy godziny. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, odprowadzę pana do pokoju.

– Dziękuję. Doceniam tę uprzejmość, ale niech pan nie przesadza. To tylko szrama.

– Byłem pewien, że powie pan coś podobnego – skomentował sucho podporucznik von Orven. – I właśnie w takich słowach. Ale i tak pana odprowadzę.

Delacroix był zdumiony. Jak do tej pory nie zauważył u podporucznika żadnych skłonności do sarkazmu. Może nie doceniał tego młodego mężczyzny. Tak czy inaczej, teraz były pilniejsze sprawy, które musieli omówić.

– Jeśli chodzi o Miss Jarrencourt... – zaczął, ale młody oficer natychmiast mu przerwał:

– Miss Jarrencourt i Mrs Parslow opuściły hotel. Pokojówka właśnie pakuje ich rzeczy.

Delacroix wyglądał na rozzłoszczonego.

– No to pięknie pan wykorzystał ten czas – zauważył kwaśno.

– Właściwie to nie – odparł Asko. – Moja interwencja okazała się

całkowicie zbyteczna. Zdaje się, że mademoiselle Denglot wykorzystała swoje najbardziej wyrafinowane wdzięki, by namówić damy do pozostania.

– Nic dziwnego, że uciekły – skonstatował Delacroix. Po raz pierwszy od wielu godzin obaj mężczyźni wyszczerzyli się do siebie szyderczo. – Cóż, miał pan zatem szczęście. Gdyby spróbowała namówić je do wyjazdu, to damy z pewnością wciąż byłyby tutaj. Na następne polowanie powinniśmy zabrać mademoiselle. Może jej obecność sprawi, że ten potwór zrobi coś strasznie głupiego.

– Mademoiselle poinformowała mnie, że musi być na próbie i w tym czasie nie będzie obecna.

– Szczęśliwa Cérise!

– Wyraziła też swoje rozczarowanie z tego powodu.

– Oczywiście. Mam nadzieję, że musi śpiewać Wagnera. Nienawidzi Wagnera.

– To jest Wagner.

– Dobrze.

Nie po raz pierwszy von Orven zastanawiał się, co zaszło między Delacroix a sopranistką, że tak się nienawidzili. Oczywiście to nie była jego sprawa. Dzięki Bogu – lepiej, że nic nie wiedział. Rzekł więc:

– Pozwoli pan. – I pomógł pułkownikowi zapiąć guziki koszuli. Następnie pomógł mu nałożyć kamizelkę i surdut, a później porządnie zawiązał mu krawat.

– Dziękuję – w głosie pułkownika nie było słyhać szczególnej wdzięczności. – Poradziłbym sobie.

– Z pewnością. Ale nie mamy za dużo czasu. Powinniśmy zejść na dół. Ciekaw jestem, gdzie jest Görenczy.

– Wysłałem go za tym niezwykle dobrze poinformowanym lekarzem, który się mną zajmował. Opowiedział nam trochę o tym stworzeniu. Może jego wieści są prawdziwe, a może nie.

Podporucznik Asko von Orven, który właśnie układał rękę pułkownika Delacroix na temblaku, spojrział zdziwiony.

– Wyjaśnię panu po drodze na dół – obiecał Delacroix. – Czy wyglądam znów porządnie i cywilizowanie?

– Nie bardziej porządnie i cywilizowanie niż zwykle, sir – odparł

młody mężczyzna z kamiennym wyrazem twarzy i otworzył drzwi.

## Rozdział 17

Von Görenczy biegł korytarzem. Niesamowicie, z jaką zręcznością ten młody lekarz mu się wymknął. Von Görenczy był szybki. Ale gdy opuścił pokój, doktor zdążył już zniknąć i młody oficer nie zdołał go nigdzie wypatrzeć.

Pobiegł do schodów i potem na dół. Miał wrażenie, że widział jasnowłosego mężczyznę na zakręcie piętro niżej, ale cel znikł z pola widzenia.

Szwoleżer przyśpieszył, popędził w dół po stopniach, potknął się i zdążył jeszcze uchwycić się poręczy, zanim przekoziółkował przez całą długość schodów. To kosztowało go cenne sekundy. Pozbierał się i pobiegł dalej. Pośpiech sprawił, że von Görenczy wyglądał niezbyt cywilizowanie. Niemal staranował dwóch starszych panów, którzy nagle stanęli mu na drodze.

Nie tracił czasu na przeprosiny. Dotarł na następne piętro. Ani śladu lekarza. Zaklął, czym wystraszył dwie damy, które akurat wyszły z pokojów. Spojrzały na niego skonsternowane. Uśmiechnął się skruszony i wymruczał pod nosem przeprosiny. Uśmiech wyszedł mu inaczej, niż zamierzał, bo damy uciekły z okrzykiem do pokojów. Kątem oka dostrzegł jasnowłosą czuprynę na drugim końcu korytarza. Popędził dalej. Na drzwiach była tabliczka „Dla personelu”. Otworzył je. Prowadziły do kolejnych, wąskich drewnianych schodów dla pracowników hotelu.

Von Görenczy usłyszał szybkie kroki, ktoś biegł na dół. Szwoleżer ruszył za nim, przeskakując po dwa, trzy stopnie naraz, niemal frunąc nad wąskimi, kręconymi schodami. To niemożliwe, żeby ten człowiek był tak szybki.

Dotarł na parter. Ani śladu medyka, którego ścigał. Z korytarza prowadziło czworo drzwi. Nie miał pojęcia, które powinien wybrać. Do tej pory von Görenczy zdążył już dojść do wniosku, że ściga kogoś o wiele sprytniejszego, niż przypuszczał. Ponownie sprawdził swój pistolet.



Które drzwi powinien wybrać? Zdecydował się na te najbliższe schodów, uniósł broń i pchnął je. Znalazł się na tyłach recepcji, w hali hotelowej, i zobaczył młodego człowieka w stroju portiera, który wytrzeszczał na niego okrągłe ze zdumienia oczy. Szwoleżer niemal mógł zobaczyć, jak w gardle stojącego z otwartymi ustami pracownika formuje się krzyk.

– Widział pan tutaj blondyna z torbą lekarską? – zapytał.

Mężczyzna nabrał głęboko powietrza i zdusił krzyk, nie zdołał jednak odpowiedzieć.

– Panie portierze! Czy ktoś tędy przechodził? – zapytał von Görenczy jeszcze raz z naciskiem.

Mężczyzna patrzył na jego pistolet.

– Go... – i to było wszystko, co z siebie wydobył.

Von Görenczy opuścił broń i podszedł. Lewą ręką złapał portiera za ramię i potrząsnął.

– Czy ktoś tędy przechodził?

Mężczyzna pokręcił głową. Udolf zostawił go tak, jak stał, i pospiesznie ruszył z powrotem na schody. Zamykając za sobą drzwi, usłyszał jeszcze głos portiera:

– Panie podporuczniku, to są schody dla personelu. Gości prosi się, by nie...

Zostało jeszcze troje drzwi. Doktor pewnie zdążył już zniknąć. Von Görenczy był wściekły. Nie uśmiechało mu się wyjaśnianie towarzyszom, że ścigany go przechytrył.

Otworzył następne drzwi z pistoletem gotowym do strzału. Jego uszy przeszyły okrzyki kobiet. Von Görenczy znajdował się w pralni. W kłębach pary udało mu się dostrzec kilka silnych praczek pochylonych nad wielkimi garami i cebrami pełnymi gorącej wody z mydlinami. W każdym razie pochylały się nad nimi wcześniej. Teraz stały w bezruchu, przerażone nagłym pojawieniem się żołnierza z bronią w rękę.

– Wybaczcie mi, moje damy – rozpoczął von Görenczy w nadziei, że w ten sposób trochę się przypochebi, ale jego głos nie przebił się przez piski. – Przepraszam – zaczął ponownie, tym razem trochę głośniej. I wtedy nagle stanęła przed nim wielka, krzepka matrona, machająca gigantycznym drewnianym mieszadłem niczym maczugą.

– Wynocha! – krzyknęła i zamachnęła się na oficera. Z trudem udało mu się uchylić.

Uniknął ciosu, ale poczuł nad głową ruch powietrza. Bawarska amazonka nie zamierzała dać mu więcej czasu. Chochła znów nadlatywała. Von Görenczy uchylił się, źle stanął, upadł i w haniebny sposób wylądował na siedzeniu. Uderzając o ziemię, niechcący nacisnął spust. W pomieszczeniu rozległ się ogłuszający huk.

Wapno z sufitu posypało się na praczki i ich cebry. Ale przynajmniej szwoleżer nie trafił żadnej z kobiet. Kula wbiła się w sufit.

Przez chwilę panowała cisza. I w tej ciszy usłyszał swój głos:

– Ach, wybaczcie mi, moje panie...

Matrona dzierzżąca chochlę wyprostowała się groźnie. Mężczyzna pomyślał o hańbie, jaką się okryje. Oto podporucznik Udolf von Görenczy z Królewskiego Bawarskiego Pułku Szwoleżerów, który poniósł niechlubną śmierć z rąk rozzłoszczonej praczki. Ze wszystkich wstydliwych sytuacji, jakich przysporzył swojej rodzinie w ostatnich latach, ta byłaby na pewno najgorsza. Kobieta zdawała się jednak odzyskiwać panowanie nad sobą.

– Ponie śwoleżerze – rozległ się jej głos, którego bawarskie brzmienie usilnie próbowała ukryć, co jednak sprawiało, że jej kazanie było mniej imponujące, niż zamierzała. – Wynocha stund i pan weźnie te swojo giwere.

Za nią rozległ się kolejny kobiecy głos, pełen szacunku i trochę nieśmiały:

– Bardzo przepraszam, szefowo, ale to nie jest żadna giwera. To jest pięciostrzałowa samopowtarzalna pieprzniczka Robbins & Lawrence, kaliber trzydzieści jeden, z pierścieniowym spustem i obrotową lufą.

Von Görenczy gapił się na niewiarygodnie okrągłą dziewczynę, która z niemal rozmarzonym wyrazem twarzy patrzyła na broń.

– Wracaj z powrotem do swojej kadzi. Nikt cię nie pytał. Nie masz nic do roboty? Piprzniczka? Co to ma niby być? Wstydz się, Creszenz. Porządno dziewczyna nie powinna wiedzieć takich rzeczy.

Matrona obróciła się do oficera plecami i zajęła wymyślaniem dobrze poinformowanej młodej dziewczynie. Udolf wstał i ukradkiem

ruszył do wyjścia.

– Przecież ma rację – wymruczał, wymknąwszy się nareszcie.

Jeszcze dwoje drzwi. Najprawdopodobniej było już za późno, ale musiał spróbować. Ostrożnie otworzył następne, wciąż trzymając broń w gotowości, ale starając się przy tym wyglądać niewinnie. Nie wychodziło mu to za dobrze.

Schody. Prowadziły do ciemnej piwnicy. Na drewnianych stopniach stało kilka latarenek i zapalki. Zadbany hotel. Von Görenczy zapalił jedną z lamp i ruszył na dół, w ciemność. Nie mógł przecież iść na ślepo, po omacku szukając drogi, a skradanie się byłoby teraz przesadą. Z latarnią w ręce i tak był aż nazbyt widoczny. Łatwy cel, dostrzegalny w ciemności i wystawiony jak na strzelnicy. Ale cóż, życie szwoleżera było niebezpieczne. Wszędzie mogą czyhać na człowieka praczki.

Przed von Görenczym rozpościerała się duża piwnica. Zastanawiał się, czy to w tym pomieszczeniu Delacroix widział ostatniej nocy mroczną istotę. Odrzucił tę myśl. Pułkownikowi z pewnością nie umknąłby zapach rozkładu, a zwłoki na środku podłogi, wpatrujące się szklanym wzrokiem w sufit, trudno byłoby przeoczyć.

Von Görenczy przyklęknął, kładąc latarnię i pistolet obok martwego ciała. Mężczyzna był zimny. Szwoleżer nie był fachowcem, ale wiedział, że zwłoki nie są świeże. Więcej niż dzień, ocenił, szukając jakiejś rany i żałując, że nie ma przy sobie rękawiczek. Dotykanie starych zwłok to żadna przyjemność. Jednak po tym jak zawiódł, ścigając lekarza, nie chciał wrócić bez żadnych informacji.

Znalazł to, czego szukał: miękkie wgniecenie w czaszce zmarłego. Złamana kość. Jednak skóra pozostała nienaruszona. Za to von Görenczy był wdzięczny losowi. Właściwie spodziewał się kolistego czarnego otworu w ciele mężczyzny. Oczywiście wciąż jeszcze mógł coś takiego znaleźć, jeśli zbada zwłoki dokładniej. Być może mężczyzna uderzył się w głowę przy upadku, gdy istota opuszczała jego ciało. Von Görenczy nawet nie chciał o tym myśleć.

Czuł się trochę nieswojo i skarcił się w duchu za brak zimnej krwi. Nie był tchórzem. Szczycił się tym, że jest taki, jak na szwoleżera przystało – czarujący i pełen brawury. Ale ten trup go niepokoił. Von

Görenczy wygrzebał chusteczkę i wytarł ręce. Kątem oka dostrzegł ruch. Sięgnął po pistolet, ale nie dał rady go schwycić. Poczł uderzenie w głowę. Jego myśli utonęły w mroku ozdobionym jasnymi gwiazdami, którym von Görenczy przyglądał się ze zdziwieniem, tracąc przytomność. Uświadomił sobie jeszcze, że upadnie na zwłoki i że tak znajdą go koledzy, równie zimnego i martwego. Zabitego tępym narzędziem.

## Rozdział 18

Corrisande siedziała na łóżku i próbowała nie płakać. Płacz był bezużyteczny, powodował jedynie opuchliznę i brzydki wygląd. Była dumna, że wylewała łzy jedynie wtedy, kiedy zamierzała dzięki temu osiągnąć jakiś cel. Poza tym nie płakała nigdy. Poza naprawdę bardzo wyjątkowymi okolicznościami.

Poprzedniego dnia okoliczności były szczególne, a dzisiaj nie stały się lepsze. Ale nie chciała płakać. Brzydziła się histerią i nigdy sobie na nią nie pozwalała. Głęboki wstrząs okraszony potokiem łez był czymś, co przy stosownych okazjach należało dobrze odegrać, ale był to też stan, któremu nie należało zbyt łatwo ulegać. Dlatego Corrisande nie płakała. W gruncie rzeczy miała raczej ochotę głośno wrzeszczeć. Jednak w cywilizowanym otoczeniu również takiego zachowania należało zaniechać.

Wyprosiła Elizę z pokoju. Nie miała ochoty wysłuchiwać dalszych hipotez i planów czy czegokolwiek innego, co jej towarzyszka miała akurat do powiedzenia. Dziewczyna chciała po prostu, żeby to wszystko już się skończyło.

Cieszyła się na sezon balowy w Monachium. Po katastrofie przed kilkoma miesiącami w Paryżu należała jej się szansa na nowy początek. Biedny Hugo. Lubiła go. Był miły oraz życzliwy – czego więcej chcieć od dobrej partii? Miłość i namiętność były dobre we francuskich szmirowatych powieściach, ale nie miały nic wspólnego z normalnym życiem.

Nieszczęśliwym zrzędzeniem losu Hugo jednak natrafił na rodzinny sekret Jarrencourtów. Zazwyczaj uchylano rąbka tej tajemnicy tylko na tyle, na ile było to konieczne. Rodzina Jarrencourtów zaliczała się do inteligentnych. Jej dobrze skonstruowana historia opierała się próbom zbadania. Ojciec panny Jarrencourt był schorowanym inwalidą, który nigdy nie podejmował gości. Kontakty utrzymywał jedynie listownie.

Ludzie w to wierzyli. Od czasu do czasu było im żal, że tak młoda

dziewczyna musi radzić sobie w towarzystwie tylko przy pomocy ciotki, bez wsparcia jedyne go żyjącego rodzica. Hugo też w to wierzył. Z początku. Zresztą nie była to przecież jakaś szczególnie niezwykła historia. Samo życie. Ludzie chorowali i nie pojawiali się już więcej w towarzystwie. Coś takiego może się przydarzyć w każdej chwili. Ale Hugo zachował się zbyt bez troski, gdy skonfrontował Corrisande ze zdobytą wiedzą, zamiast po prostu rozgłosić, czego się dowiedział. Panna Jarrencourt wciąż dobrze pamiętała wieczór, kiedy narzeczony przyszedł ją odwiedzić z miną pełną gorzkiego, wściekłego oburzenia. Wpadł do salonu i rzucił pod nogi dziewczyny trzy grube pliki banknotów. To za jej usługi, wyjaśnił, ponieważ nie ma zamiaru wżenić się w rodzinę złodziei i morderców. I ani myśli dogadywać się z teściem, który ani trochę nie przypomina bezbron nego inwalidy, na dodatek kieruje w Paryżu najdzikszą jaskinią gier, nieważne, że pod pseudonimem. Hugo nie poprowadzi do ołtarza narzeczonej, która wyrosła w domach o szemranej reputacji, żaden też mężczyzna nie pragnie kobiety, której jedynym celem są pieniądze. Jeśli Corrisande tak zależy na pieniądzach, to Hugo może jej w tym pomóc. Ma tu pieniądze, dość pieniędzy, i niech panna Jarrencourt będzie z nimi szczęśliwa. Hugo nie ma ochoty, by w parę tygodni po ślubie znaleziono go w małżeńskim łóżu zamordowanego tylko po to, by jeszcze bardziej wzbogacić i tak bardzo bogatą wdowę.

Szczególnie ten ostatni komentarz był grubiański. Corrisande nie miała takich planów. Liczyła raczej na spokojne pożycie małżeńskie w bezpiecznym, uporządkowanym otoczeniu. Kochała swego ojca w równym stopniu, jak się go bała. Oczywiście młodość dziewczyny była dość nietypowa, jednak jej wykształcenie obejmowało wszelkie umiejętności, jakich nauczyć się musiała dama wysokiego stanu, a za taką właśnie się uważała. Tyle tylko, że nauczyła się znacznie więcej. Jej ojciec nigdy jednak nie nalegał, by córka dzieliła z nim niezwykle życie. Pozostawił jej wybór, ona zaś w końcu zdecydowała się dobrze wyjść za mąż. Wyjść za Hugona.

Błagała i zebrała. Wylała morze łez, by jej nie opuszczał. Załamywała ręce. Prosiła Hugona, by uratował ją przed życiem, którego nie mogła znieść. Zbladła. Zacerwieniła się. Nic nie pomogło.

Przyszedł tylko po to, by zerwać zaręczyny. Tego wymagało dobre wychowanie. Przyznał, że napisał listy do swojej rodziny i do urzędów, by ujawnić machinacje niektórych bardzo podłych przestępców. Jeszcze ich nie nadał. Corrisande powinna jednak wiedzieć, że Hugo może to zrobić w każdej chwili. Chce tylko dać najpierw dziewczynie szansę na opuszczenie Francji. I robi to nie dlatego, że jest jej coś winien, lecz dlatego, że jest dżentelmenem i nie przypada mu do gustu myśl, że narzeczona zostanie zakuta w kajdany i wrzucona do lochu. I dodał, że prawdopodobnie jest zbyt wspaniałomyślny i że Corrisande powinna bardzo szybko oddalić się z tego kraju albo z tej części świata. Najlepiej jeszcze tej samej nocy. Zaproponował Amerykę lub Indie. Albo Chiny. A potem wyszedł.

Nigdy nie dotarł do domu.

Jeszcze tej samej nocy Corrisande przebrana za młodzieńca poszła do jego domu. Włamanie było łatwe. Listy leżały na sekretarzyku, porządnie ułożone i odpowiednio posortowane. Przywłaszczyła je sobie i spaliła. Niestety zostało zażegnane, przynajmniej jeśli chodzi o nią i jej ojca.

I tak oto przybyła do Monachium, by poszukać stosownej partii. Eliza towarzyszyła jej jak zawsze, aby dbać o nienaganną opinię Corrisande oraz po to, by w przypadku sukcesu odebrać obiecaną dużą nagrodę. Udział Mrs Parslow miał być tym większy, im lepszą partię znajdzie Corrisande. Gdyby sprawy potoczyły się inaczej, Eliza już dawno zarobiłaby fortunę. Ale widocznie nie miało tak być i teraz znów obie kobiety zaczynały od początku. Nowy sezon. Nowa stolica. Ale jak do tej pory nic, co się wydarzyło, nie było takie, jak miały nadzieję. Na dodatek teraz nie mogły się ruszyć z hotelu.

To było nieprzyjemne, bardzo nieprzyjemne. Mrs Parslow i Corrisande wyszły z foyer i nagle Corrisande nie była w stanie zrobić ani jednego kroku. Schwyciła poręcz przy frontowych drzwiach, jakby walczyła o życie, i nie mogła puścić. Prawie nie była w stanie oddychać. Rozglądała się rozpaczliwie w oczekiwaniu, że lada chwila pojawi się upiór, by zabrać dziewczynę w ten lodowo czarny obszar beznadziei. Ale nic takiego się nie stało. Niemniej obezwładniająca moc powstrzymała pannę Jarrencourt przed opuszczeniem hotelu. Nie

była w stanie zrobić ani kroku, oderwać dłoni od poręczy, ruszyć do dorożki. To było tak, jakby zderzyła się ze ścianą.

Magia, wywnioskowała. To muszą być czary. Cóż innego? Poczula straszny gniew. Ktoś uniemożliwił jej wyjście z hotelu.

Wycofała się, potykając, i niemal wpadła przez wahadłowe drzwi do budynku. Portier ją przytrzymał. Zaprowadził na sofę w holu. Corrisande opadła na nią, drżąc.

Stary portier dziwnie się przyglądał, jakby widział dziewczynę pierwszy raz. To było nieufne, choć pełne politowania spojrzenie, ale Corrisande nie potrafiła go rozszyfrować.

Pojawiła się Eliza, narzekając cicho, że podopieczna zostawiła ją tak po prostu na zewnątrz. Prosiła, by z nią poszła. Dorożka czeka.

Być może Corrisande spróbowałaby ponownie, gdyby nie szereg gotowych do pomocy ludzi, którzy zainteresowali się zaśląbnięciem młodej kobiety.

Nie było wyboru. Musiały wrócić do pokoi. Eliza była wściekła, że wszystko, co zaaranżowała, obróciło się wniwecz. Zwyczywała Corrisande od nierozsądnych i głupich podlotków. Przecież musi tylko zejść po schodach i puścić poręcz.

Corrisande wiedziała jednak, że nie zdoła tego uczynić.

Powoli zaczynało do niej docierać, co się mogło wydarzyć. To na pewno ten Delacroix. Na pewno był iluzjonistą albo kimś takim. To tłumaczyłoby przynajmniej te jego dziwne oczy. Zaczarował drzwi, żeby Corrisande nie mogła wyjechać. Pułkownik pewnie myśli, że może ją zmusić, by pomogła w pościgu za upiornym stworzeniem. Delacroix nie miał do tego prawa. Corrisande była rozgniewana.

Już ona mu pokaże. Tak jest. Bez dwóch zdań.

Wstała i przeszła przez salon. Zatrzymała się przy pulpicie do pisania. Sięgnęła po papier i pióro.

– Elizo – zapytała swej towarzyszki – jak dobra jest twoja znajomość spraw związanych z magią?

– Obawiam się, że praktycznie żadna – odpowiedziała dama, wciąż chyba trochę urażona. – A co chcesz wiedzieć?

– Czy śmierć tego, kto wypowiada zaklęcie, powoduje jego złamanie?



Eliza spojrzała zdumiona. W myślach powoli docierał do niej sens tych słów. Uśmiechnęła się niemiło.

– Mogę sobie to wyobrazić. Co zamierzasz?

Corrisande zanurzyła pióro w kałamarzu.

– Myślę, że napiszę list do przedstawiciela papy w Monachium. – Uśmiechnęła się nieprzyjemnie. – Tak, to właśnie zrobię. W końcu papa przyrzekł nam wszelką możliwą pomoc.

– Jeżeli uważasz to za konieczne, powinnaś tak zrobić, moja droga.

– Eliza zajęła się robótką na drutach.

Corrisande zaczęła pisać.

„Szanowny Panie! Ufam, że dzięki zdolności przewidywania i staranności Monsieur J mogę zakładać, iż został pan już poinformowany o moim pobycie w Monachium oraz o tym, że znajduję się pod szczególną ochroną. Chciałabym pana prosić o przysługę w pewnej bardzo nieprzyjemnej sprawie. Przebywam w hotelu Nymphenburg i nie mogę go opuścić z powodu machinacji niejakiego pułkownika Delacroix, w którego magiczne zdolności nie wątpię. Najwyraźniej nałożył na mnie jakiś rodzaj zaklęcia, które więzi mnie w budynku. Byłabym panu niezmiernie wdzięczna za stosowne wsparcie, ponieważ zamierzam pilnie opuścić to miejsce jeszcze dzisiaj. O ile wiem, czar nie może przetrwać śmierci tego, który go rzucił”.

Nie podpisała listu, tylko ściągnęła z palca pierścień i uchyliła osadzony w nim kamień. Pod nim widoczny był herb, nimfa wodna trzymająca serce. Przez dłuższą chwilę przyglądała się kamieniowi. Herb Jarrencourtów. Starego szlacheckiego rodu.

Rozerwała pismo na pół i zgniotła. Przez moment siedziała tylko, zła, że nie potrafiła być taka jak ojciec. Później wściekłość skierowała przeciwko sobie. Corrisande nie pojmowała, jak mogła choćby tylko rozważać zlecenie morderstwa. Przypomniała sobie znów żółtawe oczy wpatrujące się w jej twarz.

Ten człowiek był nieznośny. Z pewnością. Ale nie chciała jego śmierci.

Corrisande wstała powoli i ruszyła do swojej sypialni. Zamknęła cicho i ostrożnie drzwi, bohatercko powstrzymując impuls, by trzasnąć nimi z całej siły. Znow usiadła na łóżku. Musi znaleźć inne rozwiązanie.

Coś przyjdzie jej do głowy.

W salonie Eliza podeszła do sekretarzyka i wyciągnęła z kosza zgnieciony list. Sięgnęła po pióro, papier i sygnet. Na jej twarzy pojawił się niemal matczyzny uśmiech.

## Rozdział 19

Marie-Jeannette szła ulicami Monachium. Od posłańca oczekiwano rzetelności. A zwłaszcza gdy posłańcem była dziewczyna. Służące szwendające się po ulicach mogły sprawiać wrażenie, że gotowe są ofiarować osobiste usługi każdemu napotkanemu na drodze.

Ale nie tak łatwo zdobyć Marie-Jeannette. W ogóle nie była do wzięcia. Nie teraz. Nie w najbliższym czasie.

Jednak to nie moralne skrupuły powstrzymały ją przed takim postępkem. Szykowała się do kariery, która da jej dostęp do lepszych kręgów. Szybko stało się dla niej jasne, że nie osiągnie tego celu, jeśli pozostanie przy sprzedającej swe wdzięki, mało matczynej matce.

Corrisande była szczęśliwym trafem. Żadna inna dystygowana pracodawczyni nie zaakceptowałaby takich ustaleń. Niesamowity talent Marie-Jeannette jako pokojówki w zamian za nauki odpowiednie dla wyższych sfer, które w młodości były dla córki kurtyzany niedostępne. I w dodatku Marie-Jeannette otrzymywała wynagrodzenie. Corrisande szukała odpowiedniego kandydata na małżonka. Również za to Marie-Jeannette miała otrzymać gratyfikację w formie stosownej „wyprawy”. Później miała już sama zadbać o swoją karierę. Jako hojnie wynagradzana szlachetna kurtyzana.

Pewnego dnia nie będzie już biegać po ulicach ze skromnie spuszczoną głową.

Nie musiała iść daleko, ale tak jej się wydawało. Dobrze wyjaśniono jej drogę i z łatwością odnalazła Sendlingerstraße. Ulica robiła znacznie mniejsze wrażenie niż bulwar przed hotelem albo przed rezydencją. Niemniej jednak było tu sporo sklepów.

Sklepy w tej chwili jednak nie zainteresowały Marie-Jeannette. Miała przekazać list i nie była pewna, czy postępuje właściwie.

Dała go jej Mrs Parslow ze słowami: „Miss Jarrencourt prosi, byś zaniósła to pismo do adresata. Oddaj je do rąk własnych, nie baw się nim i nie zgub, jeśli mogę prosić”.

Na kopercie był adres. Ale charakter pisma nie należał do

Corrisande. Tego Marie-Jeannette była pewna. Z początku nie bardzo się nad tym zastanawiała. Wzięła pismo, pozwoliła sobie wytłumaczyć drogę i ruszyła. Po scenie, jaka zdarzyła się między Corrisande a Mrs Parslow przed śniadaniem, i tej pomiędzy Mrs Parslow a Corrisande po śniadaniu pokojówka nie miała najmniejszej ochoty na dyskusję.

Żal jej było pracodawczyni. Co za niemiłe przeżycie. Choć Marie-Jeannette nie do końca rozumiała, co się naprawdę stało. Pojęła jedynie, że znów ma się wziąć do rozpakowywania zaraz po tym, jak właśnie wszystko spakowała. To znaczy wszystko, co zdążyła już wczoraj rozpakować po przyjeździe z Paryża. Dwa dni temu.

Gorąco pragnęła, by damy wreszcie się zdecydowały. Normalnie Corrisande była niezwykle rozsądna i trzeźwo myśląca. Jeśli mdlała, można było założyć się o swoją bieliznę, że robiła to tylko po to, aby osiągnąć jakiś cel. Jeśli płakała, to ze stylem i wdziękiem, w najodpowiedniejszym momencie i nigdy nie uroniła więcej niż kilka błyszczących łez, które spływały z jej oczu niczym rosa z kwiatu. Panna Jarrencourt nigdy nie płakała zbyt długo, by nie spuchły jej powieki albo oczy się nie podkrzały. Marie-Jeannette zazdrościła damie tej umiejętności. Ćwiczyła pilnie przed lustrem, ale nigdy nie udało jej się osiągnąć czegoś więcej niż dość dobre pozory płaczu. Perfekcja Corrisande była po prostu nieosiągalna.

Ale tym razem było inaczej. Omdlenie poprzedniego wieczoru było prawdziwe, a łzy, które pracodawczyni wylewała przed południem, stanowiły niemądrą taktykę, bo nie wysychały szybko. To były łzy strachu, frustracji i złości, silnej złości.

Marie-Jeannette znalazła małą boczną uliczkę i skręciła w lewo. Zaulek lekko opadał. Dziewczyna przyglądała się drewnianym wejściom i odczytywała numery domów. To tu, numer trzy. Przy drzwiach znajdowała się kołatka, dziewczyna nacisnęła więc po prostu klamkę i zaparła się, pchając ciężkie wrota. Uchyliły się i Marie-Jeannette znalazła się w ciemnym korytarzu z wyjściem na podwórze. W jednej ze ścian była wnęka prowadząca do schodów. Pokojówka zaczęła się powoli wspinać. Powietrze w ciemnej klatce schodowej miało stęchły zapach. Za dużo kotów, za dużo kurzu i za mało czystości. Kroki dziewczyny odbijały się echem na stopniach. Jedną ręką podtrzymywała

spódnicę, aby się nie pobrudziła.

Na pierwszym piętrze były drzwi do mieszkania. Na szyldzie widniał napis: „Gwiazdy nie kłamią”, a poniżej: „2 x dzwonić”. Jej szczątkowa znajomość niemieckiego nie wystarczyła, by zrozumieć przesłanie, ale na kopercie zaznaczono, że chodzi o pierwsze piętro.

Pociągnęła sznurek dzwonka.

Żadnej odpowiedzi. Po chwili zadzwoniła znowu, tym razem dwukrotnie.

Znowu minęło trochę czasu, a potem usłyszała zbliżające się kroki.

– Kto tam? – rozległ się ostrożny głos po drugiej stronie. Przez chwilę Marie-Jeannette nie wiedziała, co powinna na to odpowiedzieć, następnie zdecydowała się, by mówić po francusku zamiast angielsku. Javrau był dowódcą i działał z Francji. Ci ludzie z pewnością znają francuski.

Nagle poczuła strach. Ciemne schody, zatęchły zapach, ogólne wrażenie ponurości i brudu pokonały zazwyczaj promienny optymizm Marie-Jeannette. Całkiem możliwe, że znajdowała się w niebezpieczeństwie. W końcu to kryminaliści. Nie znali jej tutaj, nie wiedzieli, że w pewnym sensie Marie-Jeannette „należy do rodziny”, i jeśli nie ma tu nikogo, kto umiałby mówić po angielsku albo francusku, całkiem możliwe, że dziewczyna wpadnie w kłopoty.

Pierwszy raz w życiu żałowała, że jest tak atrakcyjna. Zdawała sobie sprawę, czym jest dom uciech, i wiedziała też, że wiele młodych kobiet nie pracuje tam z własnej woli. Słyszała, że wywożono dziewczyny, by sprzedawać je do takiej pracy w obcych krajach.

Ale teraz było już za późno, by stąd uciekać.

– Przepraszam – wydusiła Marie-Jeannette do zamkniętych drzwi.  
– Przyniosłam pismo. Jest niezwykle ważne. – Następnie wypowiedziała słowa, których nauczyła ją Mrs Parslow: – Paryż to piękne miasto.

Drzwi uchyliły się trochę.

– Czego chcesz? – zapytał ją mężczyzna po francusku. Miał silny niemiecki akcent.

– Przynoszę pismo dla monsieur Duponta. Do rąk własnych.

– Nie ma go.

– To bardzo pilne.

Zza drzwi wyjrzał mężczyzna, spojrzał na dziewczynę pożądliwie.

– Wejdz lepiej – powiedział. – Możesz mówić ze mną. Jestem jego partnerem.

Marie-Jeannette nie miała najmniejszej ochoty wchodzić do mieszkania, ale nie pozostawiono jej wyboru. Cieszyła się, że zawsze gdy wychodziła, miała przy sobie nóż za podwiązką. Dziewczyna wiedziała, jak go użyć, jeśli okaże się to konieczne. Nie posługiwała się nim może zbyt dobrze, nie tak jak Corrisande, która nauczyła ją, jak robić użytek z ostrza, i która zawsze sprawiała wrażenie zawstydzonej tą szczególną umiejętnością.

Mężczyzna przed nią nie wyglądał przyjaźnie. Ani trochę. W ogóle dobrze nie wyglądał. Spojrzał jeszcze raz w twarz przybyłej, a później opuścił wzrok na jej piersi i już go od nich nie oderwał. Marie-Jeannette pomyślała, że byłoby lepiej, gdyby to Mrs Parslow osobiście przekazała to pismo. Ale dama najwyraźniej miała talent, by prowadzić wygodne życie i zrzucać na innych wszelkie uciążliwe zadania.

– Mam list – powtórzyła i nie była pewna, czy powinna powiedzieć mężczyźnie, od kogo jest pismo – i polecono mi, bym sprawdziła, czy natychmiast coś w tej sprawie podjęto.

– Ach tak? – Mężczyzna roześmiał się szyderczo. – A kto, do diabła, myśli, że można nami tak po prostu komenderować?

– Jestem pewna, że monsieur Dupont będzie wiedział. – Marie-Jeannette miała nadzieję, że informacja o tym, iż nie ma go w domu, była kłamstwem. – Jeśli mnie pan tylko do niego wpuści, nie będę musiała pana więcej niepokoić.

Mężczyzna oblizał wargi. Wyglądał wstrętnie. Bezczelna, wyszczerzona gęba. Choć jego ubrania były czyste i nie wyglądały na tanie, sprawiał odpychające wrażenie. Marie-Jeannette doszła do wniosku, że to pewnie przez chyte rysy twarzy.

– Daj go mnie – rozkazał jej. Zanim zdążyła zaprotestować, wyrwał jej już list z ręki. Zrobił kilka kroków w bok i rozerwał kopertę. Kiedy czytał, jego twarz przybrała jeszcze bardziej szyderczy wyraz. – No tak. Księżniczka potrzebuje naszego wsparcia. Urocze. Kim jest ten Delacroix? Uciążliwym wielbicielem?

Marie-Jeannette nie wiedziała, co powinna na to odpowiedzieć.

Nie знаła treści pisma, ale sposób, w jaki ten okropny typ wymówił nazwisko pułkownika, obudził w niej najgorsze przeczucia. W ogóle nie powinna była przynosić tego listu. Przecież wiedziała, że Corrisande nie napisała go osobiście. Ten scenariusz w nieprzyjemny sposób przypominał jej noc, kiedy *comte* de Lacy nagle zakończył swój żywot. Wtedy również przekazywała list z charakterem pisma Mrs Parslow.

– Nie wiem – odparła tak neutralnie, jak to możliwe.

– Nieważne. Dupont jest zajęty i mogłaś oszczędzić sobie wycieczki, tak się składa, że jest akurat w hotelu Nymphenburg. Zakładam jednak, że pewnie nie miał dość czasu, by spełnić trzy życzenia naszej księżniczki. Ale – jego uśmiech ociekał wręcz nieprzyzwoitością – oczywiście zawsze chętnie służymy pomocą. Osobiście się o to zatroszczę.

– Ach – odparła Marie-Jeannette – to dobrze. Natychmiast to przekażę.

Odwróciła się i, jak można było się spodziewać, mężczyzna zrobił krok w jej stronę, objął dziewczynę i chwycił za piersi.

– To może jeszcze dziesięć minut poczekać – powiedział i polizał Marie-Jeannette w ucho. – Spodoba ci się. Wiem, co lubią takie jak ty.

Walczyła z uczuciem obrzydzenia. Trzymał ją z całej siły i wiedziała, że nie da rady pokonać go w zapasach.

– Wie pan – odezwała się, próbując ignorować obmacujące ją ręce, które mężczyzna wkładał jej pod ubranie, usiłując unieść suknię – księżniczce się to nie spodoba. I „Królowi” też nie – dodała, używając pseudonimu, którym ludzie Javrau zazwyczaj nazywali swego dowódcę. – To bardzo namiętny człowiek, proszę mi wierzyć. Ciekawa jestem, czy spodoba mu się, że musi się mną dzielić z panem.

Mężczyzna puścił ją, jakby była z rozżarzonego do czerwoności żelaza. Odetchnęła z ulgą, że kupił tę historyjkę. Przyglądał się Marie-Jeannette w sposób, który kazał przypuszczać, że rozważa prawdziwość jej słów.

Dziewczyna nie zamierzała tracić czasu. Odwróciła się, wybiegła z mieszkania i popędziła w dół po schodach. Z góry dobiegło ją jeszcze:

– Powiedz księżniczce, że osobiście się tym zajmę.

Po plecach pokojówki przebiegł zimny dreszcz. Nie miała

wątpliwości, że właśnie wynajęła mordercę.



## Rozdział 20

Tak zwani „panowie stworzenia” są po prostu zbyt niepraktyczni, myślała Cérise. Nie miała pojęcia, jak cokolwiek im się udawało bez kobiecej pomocy. Czekali na potwora, który miał się znów pojawić za dwie lub trzy godziny, ale żaden nie pomyślał, by wyjść z hotelu i zrobić zakupy. Nie. Oczywiście ona musiała to zrobić. Jakby miała do dyspozycji cały czas tego świata!

A to przecież nieprawda. Baron von Perfall, obecny za rządca monachijskich scen, oczekiwał Cérise za kilka minut na próbie i z pewnością nie spodoba mu się, jeśli gwiazda się spóźni. Baron uchodził za strasznego pedanta. Jak na artystę, a za takiego się miał, załatwiał swoje sprawy jak bardzo skrupulatnie prowadzone interesy. I w gruncie rzeczy był nie tylko artystą. Był również prawnikiem.

Świadczyły o tym jego sceniczne dzieła. Cérise słyszała je i była pewna, że nie przetrwają próby czasu. Opery Wagnera tak. Ale dzieła barona nie. Nie znaczyło to, że bardziej lubiła Wagnera, ale nie zmieniało to jej opinii o von Perfallu. Nie miał wyboru, jak tylko lubić śpiewaczkę, ponieważ opery Wagnera były ulubioną muzyką króla i jako dyrektor muzyczny bawarskiego dworu baron chcąc nie chcąc musiał podzielać opinię władcy. W poczuciu obowiązku brał też aktywny udział w różnych inscenizacjach i próbach. Może nie powinien był studiować prawa, zanim został muzykiem. Coś takiego może zaszkodzić artyście. Na dodatek Cérise nie lubiła prawników.

Teraz nie miało to jednak znaczenia. Wyszła z hotelu wcześniej, niż trzeba. Nie po to, by na wszelki wypadek uniknąć spotkania z potworem – w żadnym razie. Ale przyszło jej na myśl, że panowie oficerowie pewnie znów nie wyciągnęli właściwych wniosków z wydarzeń ostatnich godzin i że na to, co mieli pod nosem, wpadną pewnie na samym końcu.

Typowe. Oczywiście Cérise mogła po prostu powiedzieć, co trzeba zrobić, ale zdecydowała, że zajmie się tym sama. Kobieta potrafi osiągnąć znacznie więcej niż mężczyzna. Przynajmniej w większości

przypadków.

Zamiast udać się prosto do opery, młoda kobieta przeszła przez plac operowy do Maximilianstraße, kierując się w wąskie boczne uliczki. Tam właśnie znajdował się sklep, którego szukała. Szyld na drzwiach głosił: „Obermair – akcesoria magiczne”, zaś portier zapewniał ją, że to najlepsze źródło magicznej pomocy. Dobry portier musi wiedzieć najdziwniejsze rzeczy. Cérise brzydziła się sztukami magicznymi. Gdy się o tym słuchało, wszystko brzmiało tak imponująco, wręcz oszałamiająco, jednak w konfrontacji z rzeczywistością zazwyczaj nie działało. Wystarczyło tylko przyjrzeć się Vonderbrückowi. Przybył z najlepszymi rekomendacjami i co takiego zrobił? Siedzi w pokoju i bez sensu wysyła członków grupy po okolicy. I do tego ta mina cierpiętniczej, znudzonej koncentracji.

Dlatego Cérise musiała podjąć jakieś działania. Zajrzała przez okno do małego, ciemnego sklepu. Jej pewność siebie trochę osłabła. Może powinna jednak najpierw udać się na próbę?

Nic z tego. Cérise Denglot gardziła strachem przed jakimś sklepem. Zdecydowanie otworzyła drzwi i weszła z wysoko uniesioną głową. Rozległ się fałszywy dźwięk trzech dzwonek. Wystraszyła się, ale nie miało to nic wspólnego z czarami. Dzwonki zwiisały po prostu z sufitu, a otwierane drzwi uderzyły w nie z impetem.

Całkiem proste. Nie było w tym nic niezwykłego.

Z innych drzwi z boku wyszedł ubrany na czarno mężczyzna w średnim wieku. Sprawiał wrażenie nadąsanego.

– Tak, proszę – przywitał ją, a potem powtórzył: – Tak, proszę?

Najwyraźniej był to taki magiczny sposób powiedzenia „Dzień dobry”.

Cérise skinęła mu głową i uśmiechnęła się czarująco. To ostatnie umiała dobrze. Uśmiech rozjaśnił jej twarz niczym promienie porannego słońca witające ziemię o świcie. Tak właśnie powiedział kiedyś von Görenczy – gdy podjął dość udaną próbę, by wyrazić się poetycko. Cérise była wzruszona. Wtedy.

– Dzień dobry – przywitała się teraz z ekspedientem. – Zastanawiam się, czy zechciałby mi pan pomóc.

Mężczyzna przyglądał jej się wyczekująco. Nagle jego oczy

rozszerzyły się, a w spojrzeniu błysnął entuzjazm.

– Mademoiselle Denglot! – wysapał z zachwytem, składając ręce jak do modlitwy. – Cóż za honor! Cóż za szczęście! Cóż za zaszczyt dla mojego skromnego domu! Słyszałem, jak pani śpiewa. Jest pani wspaniała! Tak, wspaniała. Byłem wzruszony do łez. – Wyciągnął ręce do śpiewaczki, zaraz jednak uświadomił sobie, że to złamanie zasad dobrego wychowania. – Musi mi pani wybaczyć moje złe maniery. To z podziwu dla pani. Czuję się taki zaszczycony. Jak mógłbym pani pomóc?

Cérise uśmiechnęła się ponownie, ignorując obserwację, że końcówki jego podkręcanych wąsów drżały jak u przerażonego gryzonia. Po raz kolejny zadała sobie pytanie, dlaczego jej wielbiciele nie mogą być po prostu wszyscy młodzi i przystojni.

– Monsieur – powiedziała – moje życzenie jest *probablement* dość niezwykle, ale czy ma pan może na swoim wyposażeniu broń z zimnego żelaza?

Jego twarz spoważniała. W niewybaczalny sposób przeczesał sobie włosy palcami.

– Na Boga! – wyjąkał. – Na Boga!

– Oczywiście wiem, że to dość niezwykle pytać o tego rodzaju przedmiot, ale potrzebujemy... potrzebuję czegoś takiego niezwykle pilnie. – Jeszcze raz obdarzyła sklepikarza promiennym uśmiechem, zaś jego mysi wąs znów zadrżał z przejęcia.

– Na Boga! – powtórzył. – A niech mnie!

Wziął się w garść.

– Jeszcze raz proszę o wybaczenie mi impertynencji, ale pozwolę sobie udzielić pani rady, choć bez wątpienia nie mam do tego najmniejszego prawa. Jeśli znajduje się pani w niebezpieczeństwie, którego powodem jest feyon, to na wszelki wypadek właściwszym dla pani, a również bezpieczniejszym, byłoby skonsultowanie się z odpowiednim specjalistą, obeznanym z takimi sprawami, który w tej szczególnej sytuacji bez wątpienia chętnie udzieli pani pomocy, mademoiselle.

Cérise potrzebowała chwili, by dotarła do niej w całości złożoność tego zdania.

– Ach – westchnęła w końcu. Następnie skupiła się na jeszcze bardziej czarującym uśmiechu. – Ta broń wcale nie jest dla mnie. Nigdy nie miałam do czynienia z feyonem. Z pewnością nie.

Przyjrzał jej się sceptycznie.

– Na pewno nie? – zapytał. – Kiedy pani wchodziła, odniosłem wrażenie, że widziałem pewną aurę... – Cérise spojrzała na niego surowo. – Zapewne tylko mi się wydawało. Byłem po prostu olśniony pani urodą i blaskiem. – Obdarzył ją na szczęście krótkim, przelotnym uśmiechem. – Wie pani przecież, że zimne żelazo jest bardzo, bardzo rzadkie. Ten sklep – ukłonił się bez widocznego powodu – specjalizuje się w magicznych materiałach dla profesjonalnych mistrzów sztuk tajemnych. Jesteśmy dumni z tego, że zaopatrujemy najprzeróżniejsze loże. Jednakże z zasady nie sprzedajemy niczego amatorom... To znaczy laikom. Te utensylia są zbyt niebezpieczne. Mam nadzieję, że pani to rozumie.

Cérise skinęła głową ze zrozumieniem. Wzięła oddech ze świadomością, że jej dekolt staje się dzięki temu bardziej wyeksponowany – i rzeczywiście spojrzenie ociągającego się sprzedawcy magicznych przedmiotów zawisło na oferowanym mu ogrodzie rozkoszy.

– Rozumiem – szepnęła, starając się, by w jej głosie pobrzmiwała trwoga i bezbronność. – Nie może mi pan pomóc. A ja tak liczyłam na pańskie wsparcie! I co ja teraz zrobię? – W dramatycznym geście uniosła rękę do czoła. – Ale musi pan oczywiście pozostać wierny swoim zasadom. Rozumiem. Och! Rozumiem to aż nazbyt dobrze. Tylko... – nie dokończyła, słowa zawisły w ciszy przerywanej tylko głębokim westchnieniem.

Właściciel sklepu był wyraźnie zaniepokojony. Przeształ z nogi na nogę i załamywał ręce. Powoli dojrzeła, pomyślała Cérise Denglot. Podeszła jeszcze bliżej do lady, oparła lewą rękę i lekko się pochyliła. Wiedziała, że ten człowiek jeszcze bardziej odczuje jej bliskość, nie mówiąc już o jeszcze lepszym widoku na dekolt Cérise.

– A może tak – zaproponowała z namysłem – mógłby pan ten jeden jedyny raz zrobić wyjątek? Tylko dla mnie? Nie mogę panu zdradzić powodów, ale... – przerwała na moment, pozwoliła, by

upłynęła efektowna chwila milczenia, a następnie ujęła go za rękę – uratuje pan ludzkie życie. Być może nawet moje.

Wiedziała, że wygrała. Widziała to po jego oczach. Nie puszczając jej dłoni, sklepikarz sięgnął pod ladę i wyciągnął masywną drewnianą skrzynkę.

– Mam tylko ten jeden artefakt – powiedział i uniósł pokrywę. Na jedwabnym obiciu spoczywał filigranowy nóż. Był nie większy niż nożyk do listów. – Niech pani nie myśli o nim lekceważąco – upomniał Cérise. – Jest absolutnie śmiertelny dla każdego Sí i jeśli pani jakiegós spotka, proszę nie zdradzać, że ma pani ten nóż ode mnie. W żadnym wypadku!

Cérise przyrzekła.

Następnie zapłaciła niezwykle wysoką cenę za mały skarb i obdarzyła mężczyznę jeszcze jednym uśmiechem oraz kartą wstępu na „Tristana i Izoldę”, kolejną operę, którą miała śpiewać.

– Może mi go pan przysłać do hotelu? – poprosiła i zapisała adres. – Proszę zaadresować to na... – zawahała się, bo nagle nie była pewna, czy Delacroix albo Udolf zasługują na taki prezent – na podporucznika Asko von Orvena. Proszę to dostarczyć jak najszybciej. Ten pan pilnie tego potrzebuje.

Opuściła pomieszczenie i wyszła na ulicę. Czuła się słabo. Atmosfera w sklepie była bardzo przytłaczająca. Cérise czuła, jakby nad jej duszą unosiła się ciemna zasłona, i z niezrozumiałego powodu kobieta ucieszyła się, że nie musi osobiście przekazywać skrzynki młodemu oficerowi. Zresztą nie miała już na to czasu. Próba zaczynała się za kilka minut. Musiała się spieszyć.

## Rozdział 21

Corrisande bez trudu znalazła przejście dla służby. Nie miała najmniejszej ochoty na kolejne dyskusje z Elizą. Zanim znów się jej pokaże, chciała znaleźć rozwiązanie swojego dylematu.

Potrafiła nawet zrozumieć zniecierpliwienie Elizy. Dla towarzyszkii stawka w tej grze była bardzo wysoka. Trzy małżeństwa nie wystarczyły, by uczynić z niej bogatą wdowę, ponieważ pechowo na mężów wybierała panów, choć z najlepszych kręgów, jednak z przysłowiowym szczęściem w miłości, nie w kartach czy innych grach. To prawdziwe szczęście, że cała trójka zmarła, zanim doprowadzili swą małżonkę do ruiny. Zaś w wieku czterdziestu pięciu lat kolejne małżeństwo stawało się raczej mało prawdopodobne, wszystko jedno w jakich kręgach.

Sir Desmond Jarrencourt przyjął angielską lady do rodziny, po tym jak ostatni z jej małżonków zszedł z tego świata. W towarzystwie ulokował ją jako „ciotkę” swej córki. Eliza była niezwykle elegancka, miała doskonałe maniery oraz inteligencję, a przy tym potrafiła konsekwentnie dążyć do celu, nie popadając w przewrażliwienie czy przesadę. To czyniło z niej idealną towarzyszkę dla niezameężnej córki lorda, niezawodne i przyzwoite tło oraz wsparcie dla planów młodej damy, które obejmowały bogate małżeństwo. Zadaniem Mrs Parslow było stworzenie godnego szacunku otoczenia dla Corrisande i jednocześnie pomoc przy znalezieniu kandydata na męża.

Dla Elizy zachowanie *comte* de Lacy’ego było prawdziwym rozczarowaniem. Corrisande sądziła, że rozczarowanie Elizy było znacznie większe niż jej, ponieważ zawarcie tego małżeństwa zapewniłoby przyzwoite dostateczne środki, by bez lęku o przyszłość mogła poświęcić się własnym sprawom, gdy tylko „chrześniaczka” będzie bezpieczna i dobrze sytuowana.

Corrisande w towarzystwie Elizy spędziła już kilka lat. Znosiły się dobrze, ich wspólne cele i wiedza o zbyt wielu niebezpiecznych tajemnicach wiązały je ze sobą mocno. Corrisande wiedziała, że w

każdej chwili może polegać na wdowie. Nie dlatego, że Eliza była szczególnie bezinteresowna, lecz ponieważ dobrze wiedziała, że na końcu tęczy czeka na nią garnek złota.

Młoda dama uśmiechnęła się lekko. Ostatnia myśl z pewnością zszokowałaby Elizę, która brzydziła się takimi potocznymi wyrażeniami. Ale w tej chwili Eliza stała na drodze Corrisande. Przyzwoitka nie dopuściłaby, żeby podopieczna chodziła schodami dla służby, może z wyjątkiem sytuacji zagrożenia życia.

Corrisande obca była taka arogancja. Chciała jedynie sprawdzić tylne wyjścia jako możliwe drogi ucieczki. Może nie zamknięto przed nią wejścia dla służby. Zeszła pospiesznie po schodach i dotarła na parter. Stąd wiodło czworo drzwi.

Ostrożnie podeszła do pierwszych. Przyłożyła ucho do drewna i nasłuchiwała. Hotelowe lobby. To musi być tylne wejście do recepcji. To jej nic nie da. Nie miała ochoty na ponowne spotkanie z portierem hotelowym i jego krytyczne spojrzenia.

Zza następnych drzwi usłyszała głosy kobiet. Pachniało środkami piorącymi i parą. Prawdopodobnie drzwi do pralni. Jeśli okaże się to konieczne, może później sprawdzić, czy z pralni jest drugie wyjście.

Trzecie drzwi były zamknięte na klucz. Corrisande mogła sobie poradzić z takim zamkiem. Zrobi to, jeśli zajdzie potrzeba. Później.

Czwarte drzwi prowadziły na półpiętro. Stamtąd dwa stopnie w dół do kolejnych drzwi. Były na wpół otwarte i wychodziły w boczną uliczkę albo na podjazd. Dziewczyna czuła lekki zapach koni. Gdzieś w pobliżu musiały się mieścić hotelowe stajnie.

Znalazła tylne wyjście.

Powoli zbliżała się do celu. Krok. Jeszcze jeden. W końcu dotarła. Otworzyła drzwi na oścież, uważając przy tym, by jej ciało wciąż znajdowało się w hotelu. Wyciągnęła rękę. Nic.

Zdaje się, że to wyjście nie było obłożone magią. Corrisande wyskoczyła przez nie i zderzyła się z niewidocznym murem. Odrzuciło ją, jak piłeczkę uderzoną rakieta tenisową. Siła tego odbicia brutalnie powaliła dziewczynę na ziemię.

Upadła ciężko na kafelki. Przez chwilę leżała zamroczona. Bolało ją ramię. Zdusiła wściekle przekleństwo i podźwignęła się ostrożnie.

Suknia się trochę przykurzyła, lecz poza tym Corrisande nie poniosła żadnych szkód.

Mogła się teraz poddać. Kategorycznie sprzeciwiała się jednak tej myśli. Nie zamierzała pozwolić, by ją pokonano w tak podstępny sposób. Zaczarowana z powodu czegoś, co jej w ogóle nie obchodziło. Ojciec z pewnością by się nie poddał. Ale ojciec usunąłby też bez skrępowań to, co stało mu na drodze. W wielu sprawach Corrisande nie była taka jak on.

Znów zbliżyła się do drzwi. Może uda jej się, jeśli spróbuje się wykraść z budynku bardzo ostrożnie i powoli?

Dotknęła ościeżnicy lewą ręką, prześliznęła się i zrobiła mały krok za próg, najpierw jedna noga, potem druga. Obie stopy znalazły się już na ulicy, a ciało dziewczyny było wygięte pod kątem, z twarzą zwróconą do tyłu, do drzwi. Próbowwała tyłem zrobić jeszcze jeden krok na ulicę. Ogarnęło ją uczucie całkowitej dezorientacji. Jej lewa ręka zdawała się stapiać z framugą drzwi. Próbowwała nią poruszyć, ale palce odmówiły jej posłuszeństwa.

Wygięła szyję i spojrzała za siebie, na ulicę. Pusto. Prawdopodobnie to jedynie podjazd dla dostawców, dlatego nikogo nie widać. Dziewczyna uniosła prawą nogę i oparła ją o framugę z zamiarem, by się odepchnąć i w ten sposób katapultować tyłem na ulicę.

– Nie, proszę! – z wnętrza rozległ się błagalny głos. – Niech pani wraca do środka. Zrobi pani sobie tylko krzywdę. Przecież pani o tym wie.

Wysoki, szczupły mężczyzna o jasnych włosach schodził po schodach. Zatrzymał się na chwilę, zanim dotarł do wyjścia.

Nagle rękę Corrisande przeszył silny ból. Spróbowała jeszcze raz uwolnić się od framugi i jęknęła, gdy ból błyskawicznie rozlał się po całym ciele.

Potyając się, wróciła do środka. Kolana się pod nią uginały. Młody mężczyzna podtrzymał ją szarmancko. Przez chwilę Corrisande walczyła z silnymi zawrotami głowy, ale gdy zauważyła, że opasuje ją męskie ramie, zaczęła się bronić.

Nieznajomy natychmiast ją puścił.

– Zrobiła sobie pani krzywdę? – zapytał łagodnie. – Proszę mi



wybaczyć, jeśli pozwoliłem sobie na zbyt wiele, ale bałem się, że pani upadnie. – Ukłonił się. – Doktor Steinberg. Mogę pani jakoś pomóc?

– Wątpię – odparła Corrisande, po czym dość gwałtownie usiadła na najniższym stopniu, starając się złapać oddech i przytrzymując palącą dłoń. Miała nadzieję, że medyk zaraz zniknie. Zasadniczo nie miała nic przeciwko uprzejmym mężczyznom, a już zwłaszcza takim, którzy chcieli ją chronić. W tej roli łatwo można było nimi manipulować. Ale teraz wolałaby być sama.

Młody mężczyzna jednak, zamiast sobie pójść, usiadł obok i kontynuował:

– Zaszła pani dalej, niż sądziłem, że to możliwe. Mnie się aż tyle nie udało.

Spojrzała na niego zdumiona.

– Pan też nie może wyjść na zewnątrz? – zapytała.

– Oczywiście, że nie. Podobnie jak pani, też jestem po części Sí. – Odgarnął gęste jasne włosy, by Corrisande mogła zobaczyć jego lekko spiczaste uszy. Popatrzyła na niego przerażona. Do wczoraj nie widziała ani nie spotkała żadnego feyona i uważała, że dwa spotkania w dwa dni to aż nadto. Nie chciała mieć z nimi nic wspólnego. Nigdy nie wiadomo, co może się wtedy zdarzyć. Im mniej kontaktów z nadprzyrodzonymi sprawami, tym lepiej.

I wtedy dotarło do niej to, co powiedział medyk.

– Nie jestem żadną Sí – zaprotestowała oburzona. Co ten człowiek sobie wyobrażał? – Mój ojciec jest człowiekiem i moja matka też była człowiekiem. Uważam, że pańska insynuacja...

Był na tyle bezczelny, by jej przerwać.

– To możliwe – odparł. – Nie ma w pani zbyt wiele krwi feyona. Czuję to. – Nie pytając o pozwolenie, sięgnął do jej włosów, odsłaniając jak najbardziej okrągłe uszy. Uśmiechnął się cierpliwie i przyjaźnie i ten uśmiech rozzłościł Corrisande tak bardzo, że najchętniej by spoliczkowała młodego natręta. Jej dobre wychowanie nakazało jednak opanować tak niegodne damy pragnienia. – Jednak wśród pani przodków musiał pojawić się feyon. Czuję to, pani zresztą też, bo w przeciwnym wypadku mogłaby pani przejść przez te drzwi.

Corrisande tylko patrzyła.

– Są obłożone czarem na feyony, rozumie pani? – powiedział medyk pobłaźliwie, jakby uczył wioskowego głupka robienia na drutach.

– Musi się pan mylić – odparła chłodno. – To ten bezczelny pułkownik. To on rzucił na mnie czar, żebym nie mogła się stąd wydostać.

Przypatrywał jej się z nowym zainteresowaniem.

– Pułkownik Delacroix? – zapytał i Corrisande zauważyła, że powiedziała zbyt wiele. Milczała. I tak doktor sprawiał wrażenie, jakby wiedział więcej, niż powinien. – On by tego nie zrobił, nawet gdyby mógł. Ale to nie on, jestem tego pewien. Pułkownik nie ma pojęcia o sztukach tajemnych, a w tej chwili i tak byłby na to zbyt słaby. Nie. Ta klątwa nie ma nic wspólnego z panią, Miss. Jest pani jedynie niewinnym przechodniem, który niespodziewanie wpadł w środek awantury o władzę.

Jego uśmiech był tak promienny, że doprowadzał dziewczynę do szału.

– Jak mogę się stąd teraz wydostać? – zapytała.

– Musi pani po prostu zaczekać, aż czar zostanie zdjęty. To niemiłe, ale nie da się tego obejść. Niech pani nie próbuje jeszcze raz katapultować się przez magiczną barierę. Mogła się pani ciężko zranić. – Pochylił się do Corrisande. – Proszę pokazać mi rękę!

Podawała mu lewą rękę i już w następnej chwili była o to na siebie zła. Nie chciała, żeby dotykało jej jakieś nienaturalne stworzenie. Albo częściowo nienaturalne stworzenie. Czy coś tam.

Ale ręce medyka były chłodne i to pomagało.

– Z pewnością wkrótce przestanie boleć – pocieszał ją.

Następnie wstał.

– Odprowadzę panią do pokoju. – Podał jej ramię. Zignorowała ten gest.

– Nie, dziękuję. – Nie miała ochoty, by odprowadzała ją taka istota.

Zdawało się, że lekarz przejrzał jej myśli, ponieważ skłonił się sztywno, odwrócił i odszedł bez słowa.

– Niech pan zaczeka – zawołała za nim Corrisande. – Doktorze

Steinberg, proszę mi wybaczyć moje niewłaściwe zachowanie. Zazwyczaj nie jestem taka nieuprzejma. – W pośpiechu szukała właściwych słów. – Ale musi pan zrozumieć, że pańskie słowa strasznie mnie dezorientowały – nie musiała udawać strachu. – Zdaje się, że pan wie o tym coś więcej. W jaki sposób mogę pochodzić od SÍ, skoro nikt inny w rodzinie taki nie jest?

Usiadł znów obok niej i rozejrzał się nerwowo.

– Nie wiem – odparł. – Ale mogę się tego dowiedzieć. Jednak w tym celu powinniśmy się udać w mniej publiczne miejsce. Tędy w każdej chwili ktoś może przechodzić, a zakładam, że nie chciałaby pani zostać zaskoczona, gdy siedzi pani z mężczyzną na tylnych schodach.

– To prawda – przyznała Corrisande. – Ale dokąd moglibyśmy pójść?

– Mógłbym zaproponować mój pokój, ale jakoś nie potrafię sobie wyobrazić, że młoda dama jak pani...

– Z całą pewnością nie – przerwała Corrisande.

– Oczywiście, że nie. – Młody medyk skłonił się i uśmiechnął. Włosy opadły mu znów na uszy i wyglądał zupełnie jak człowiek. – Mogę zobaczyć, czy da się naprędce coś zrobić. Skoro nie mogę się tego dowiedzieć teraz, proponuję, by zaszczyliła pani swą obecnością mój gabinet, gdy tylko znów będziemy mogli opuścić to miejsce. Oto moja karta. – Podał jej wizytówkę, która mówiła, że jest lekarzem. Wyciągnął rękę. – Pozwoli pani?

Nie czekając na odpowiedź, dotknął jej skroni i Corrisande doznała przejmującego uczucia, jakby ktoś zanurzył się w jej duszy. Bolało – w głowie dziewczyny dudniło.

I nagle pływała. Czowała chłodną morską wodę na swej nagiej skórze, kręciła się na fali, czowała przenikającą ją wolność bytu, czowała się prawdziwsza niż kiedykolwiek wcześniej i zanurzyła się, ale nie w głębiny, lecz w gwiazdy, podczas gdy błyszczące krople wody, laskocząc, spływały po jej udach.

A zaraz znów siedziała na schodach, z trudem łapiąc oddech.

– Nereida – stwierdził Steinberg.

– Proszę?

– Nereida. Nie wie pani, co to jest? Morska nimfa? Jeśli ich krew

płynię w żyłach jakiejś rodziny, mogą minąć wieki, nim znów się ujawni.

Wpatrywała się w niego. Ich herb. Pierścień. Zostawiła go na górze, przypomniała sobie.

W pobliżu zatrzeszczało drewno i coś ciężkiego uderzyło o kamień. Dały się słyszeć głośne przekleństwa. Głosy dochodziły z półpiętra przy wejściu na schody dla służby i chyba próbowano wyważyć drzwi.

– Muszę iść – powiedział Steinberg i zniknął.

Corrisande w jednej chwili mogła go jeszcze widzieć, a w następnym momencie nie było już po nim śladu. Czowała się zagubiona. Ostry ból wwierał jej się w mózg. Ale cieszyła się, że ten wywołujący u niej lęk mężczyzna zniknął. Pozostało jednak jeszcze wiele pytań, na które tak chętnie poznałaby odpowiedzi.

Drzwi nad nią się otworzyły. W szparze pojawiła się głowa. To był von Görenczy. Jego mundur wyraźnie ucierpiał. Szwoleżer przytrzymał drzwi prawą ręką, podczas gdy lewą przyciskał do czoła chustkę.

– Och – powiedział. A potem dodał: – Ach.

Corrisande podniosła na niego wzrok. Wolałaby, żeby mężczyzny tu nie było. Nie dowiedziała się jeszcze wszystkiego, co chciała wiedzieć, ale przynajmniej ból głowy przeszedł. Była skołowana. Czowała się zagubiona i wyęzła umysł, starając się wymyślić wiarygodne wytłumaczenie, dlaczego siedzi na schodach przy drzwiach dla dostawców.

Ale szwoleżer prawie jej nie dostrzegł. Wymruczał jedynie: „Dzień dobry, Miss Jarrencourt” i przebiegł obok niej w dół po schodach. Corrisande przyglądała się z zazdrością i niezadowolaniem, gdy niezatrzymany przez żadną magiczną barierę wyskoczył w uliczkę, rozglądając się bacznie.

Najwyraźniej nie znalazł tego, czego szukał.

– Za późno – stwierdził, jakby to coś wyjaśniało. – Tak myślałem. Ale musiałem przynajmniej spróbować.

– Ach – odparła Corrisande, nie rozumiejąc, co miał na myśli. Nie musiała tego jednak rozumieć, to nie była jej sprawa, dlatego też o nic

nie pytała. Poza tym zależało jej najbardziej, aby wyjść z tej sytuacji bez szwanku.

Von Görenczy nie usiadł przy niej, tego nie można mu było zarzucić. Przysiadł jednak na drewnianych schodach, odjął od czoła chusteczkę i zaczął się jej przyglądać. Była zakrwawiona i Corrisande nie mieściło się w głowie, że naraża damę na taki widok. Przez moment zastanawiała się nawet, czy nie powinna popaść w stosowne omdlenie, zdecydowała się jednak tego nie robić. Von Görenczy nie był typem mężczyzny, dla którego warto było marnować dobrze odegrane omdlenie. Daremny trud, tego Corrisande była pewna. Nie wiedziałaby nawet, jak ją w grzeczny sposób ocucić.

Przez chwilę wydawało jej się, że znów czuje silne ręce pułkownika Delacroix, który nią potrząsa. To nie było doświadczenie, które dama chciałaby przeżyć jeszcze raz. Ale za to sposób, w jaki tamten mężczyzna położył rękę na jej policzku, wrył się w pamięci Corrisande na zawsze. I na to nie miała żadnego przekonującego wyjaśnienia.

Jej oburzenie zdawało się nie docierać jeszcze do oficera. Schował chusteczkę i uklonił się, uśmiechając przeprasząco.

– Przykro mi, ale ktoś przyłożył mi w głowę.

– Doprawdy? – spytała Corrisande i chętnie dodałaby, że pewnie sobie na to zasłużył. Zamiast tego rzekła: – Mam nadzieję, że nie jest pan ciężko ranny. Czy mam sprowadzić pomoc?

– Nie, nie trzeba. Mam twardą czaszkę. To nie pierwszy raz, gdy ktoś w nią przyłożył.

– Z pewnością – skomentowała chłodno Corrisande.

Zignorował to i mówił dalej:

– Zazwyczaj oddaję, ale tym razem dopadł mnie od tyłu. Co pani rozumie przez „z pewnością”? – Przyglądał jej się nieufnie, jakby nie do końca mógł uwierzyć, że dziewczyna w jej wieku i jej stanu mogła powiedzieć coś tak pogardliwego.

– Chciałam przez to powiedzieć – pospieszyła z zapewnieniem Corrisande, obdarzając go przy tym słodkim, niewinnym uśmiechem – że odważni mężczyźni, tacy jak pan, stając bez wahania na drodze najgorszym wrogom, prawdopodobnie często odnoszą rany. Czy nie jest

tak?

– Ach – zdawał się uspokojony. – Tak. Zdarza się od czasu do czasu. Nieprzyjemna sprawa. Ale trzeba przez to przejść. A to to tylko drobne skaleczenie. – Uśmiechnął się do niej łobuzersko. – Obowiązek przede wszystkim, Miss Jarrencourt.

Odpowiedziała mu uśmiechem i wstała.

– Muszę już iść – powiedziała, spuszczać wstydliwie wzrok i marnując na niego lekki rumieniec. – Moja ciotka czeka. Nie powinno mnie tu w ogóle być.

– Za pozwoleniem, też sobie tak pomyślałem. – Szwoleżer również powstał, by nie wydać się nieuprzejmym. – A tak właściwie to co pani tu robi?

Corrisande uśmiechnęła się przepaszająco i trochę bezradnie.

– Byłam w drodze do wyjścia i nagle poczułam się strasznie słabo. Pomyślałam, że może trochę świeżego powietrza... – nie dokończyła tego zdania i postarała się wyglądać jeszcze bardziej krucho. Była pewna, że to odwróci uwagę mężczyzny.

Kiwnął głową ze współczuciem.

– Następnym razem powinna pani usiąść na tarasie – doradził. – Lepszy widok i znacznie wygodniej. Krzesła, fotele, rozumie pani? A tak przy okazji, nie widziała pani jakiegoś mężczyzny wychodzącego z budynku?

– Jakiegoś mężczyzny? – Przez krótką chwilę Corrisande obawiała się, że von Görenczy posądza ją o potajemne spotkanie z przedstawicielem płci przeciwnej. Zaraz jednak zrozumiała, że jej sekrety nic oficera nie obchodzą, choćby nawet spotykała się na kolacji z przedstawicielem Jezusa Chrystusa we własnej osobie.

– Wysoki – dodał – szczupły, jasne loki...

– Nie – odparła zgodnie z prawdą. – Nie widziałam żadnego takiego pana, który przechodziłby przez drzwi. To on pana uderzył?

– Nie wiem. Nie widziałem mojego przeciwnika. Może to był on...  
A może i nie.

Przytrzymał jej drzwi i oboje przeszli na klatkę schodową dla służby.

– Jeśli pani pozwoli, odprowadzę panią do ciotki. Tak na wszelki

wypadek, gdyby jakaś nagła słabość...

– Och – roześmiała się Corrisande, jednocześnie życząc sobie, by znalazł się na drugim końcu świata. – To niezwykle uprzejme, sir.

– To nic takiego – odparł męsko. – Cała przyjemność po mojej stronie.

– Jednakże – zaproponowała – mogłoby to wyglądać niewłaściwie, gdyby zobaczono nas, jak wychodzimy razem z przejścia dla służby. Mogłoby to wywrzeć bardzo niepożądane wrażenie.

Wpatrywał się w nią, z wyraźnym trudem przepracowując w głowie zastrzeżenia.

– Miss Jarrencourt! – Wyprostował się jak świeca, choć wyglądało to jak kiepska kopia właściwej wojskowej postawy podporucznika von Orvena. – Oczywiście wiem, że nie ma pani żadnego powodu, by mi ufać, ale proszę przyjąć słowo oficera, że w mojej obecności jest pani całkowicie bezpieczna.

Corrisande uśmiechnęła się niewinnie i spojrzała na niego wielkimi, błękitnymi jak niebo oczyma.

– Nigdy w to nie wątpiłam, panie podporuczniku – zapewniła. – W końcu moja pokojówka jest znacznie atrakcyjniejsza, nieprawdaż?

Zatrzymał się i spojrzał na nią zaskoczony. Corrisande zaczęła wchodzić po schodach.

Usłyszała za sobą kroki i odwróciła się.

– Podporuczniku von Görenczy, muszę nalegać, by nie szedł pan za mną, nawet jeśli pańskie zamiary są szlachetne. Proszę zrozumieć, nie chciałabym wzbudzić podejrzeń, że spotykam się potajemnie z panami z tutejszego korpusu oficerskiego.

– Ależ nie idę za panią. Zamierzam udać się z powrotem do pokoju, by spotkać się z towarzyszami. O ile sobie pani przypomina, nasz pokój sąsiaduje z pani.

Zarumieniła się.

– Ponadto – kontynuował bezlitośnie szwoleżer – jesteśmy w samym środku pewnej kampanii. Czas na mój raport.

O najnowszych wydarzeniach. – Znów był przy niej i uśmiechając się przyjaźnie, krok w krok wspinał się po schodach.

– Ach – zauważyła chłodno Corrisande. – O tym uderzeniu w

głowę?

– To – odparł – oraz sprawa związana ze znikającym ciałem.

Corrisande znieruchomiała.

– Ciałem? Ktoś umarł? O mój Boże! To straszne!

Oficer wyglądał na zakłopotanego.

– Ależ nie... – starał się ją uspokoić. – Źle mnie pani zrozumiała. Ciałem jelenia. Gdzieś zniknęło. A sprowadzenie do hotelu nowego...

Był beznadziejnym kłamcą.

– Jelenia? – powtórzyła Corrisande.

– Właśnie. Na kolację... No i... – Końcówki jego wąsów drżały.

– I tak po prostu zniknął? Ma to coś wspólnego z tym morderstwem z przedwczoraj?

– Tak. Nie. Jeszcze nie wiemy.

Corrisande spojrzała na niego karcąco.

– Ufam, podporuczniku von Görenczy, że mężczyzna o tak niezwykłych kwalifikacjach jak pańskie jest w stanie znaleźć ciało jelenia, kiedy tylko przyjdzie mu na to ochota.

Odwróciła się na pięcie i przez drzwi dla służby weszła do części hotelu przeznaczonej dla gości. Na korytarzu nikogo nie było. Dziewczyna zamknęła drzwi przed samym nosem szwoleżera. Miała nadzieję, że oficer ma dość taktu i inteligencji, by odczekać chwilę, nim podąży za nią przez te same drzwi.

Ale szczerze w to wątpiła.



## Rozdział 22

Pułkownik Delacroix czyścił właśnie sztylet, który uratował mu życie, i badał jego ostrą jak brzytwa wąską klingę, gdy rozległo się pukanie. Mężczyzna błyskawicznie wsunął nóż do temblaka.

– Wejść!

Drzwi otworzyły się i żyłasty mężczyzna w czarnej sutannie wkroczył do pokoju. Pobłogosławił pomieszczenie i wspaniałomyślnie także pułkownika. Rysy twarzy oficera zastygły w twardy i chłodny wyraz.

– *Padre* Emanuele – powiedział i ciągnął dalej po włosku: – Oczywiście. Powinienem wiedzieć, że się pan tu pojawi.

– Rzeczywiście powinieneś – odparł ksiądz – jeżeli pomyślałeś o wszystkim. Pytanie tylko, czy rzeczywiście o wszystkim pomyślałeś.

Sługa boży opadł na krzesło, nie czekając na zaproszenie.

– Proszę, niech ksiądz usiądzie – skomentował zgryźliwie Delacroix – jeśli sądzi ksiądz, że warto przez ten krótki czas, kiedy tu będzie. Ten bardzo krótki czas.

– Ach, Felipe...

– Niech mnie ksiądz tak nie nazywa! – przerwał mu pułkownik i uniósł się wściekły o krok przed księdzem. – Nie nazywam się tak.

– Nie. Oczywiście, że nie. Ochrzciliśmy cię jako Delacroix. Przypominam sobie. Ochrzczony, po tym jak uratowaliśmy twoje życie i twoją nieśmiertelną duszę. Myślałem, że może ci to umknęło, po tym jak odwróciłeś się do Kościoła plecami.

Delacroix spojrzał na niego gniewnie.

– Mówi ksiądz, jakbym był mnichem albo księdzem w waszym zakonie i złamał śluby. O ile sobie jednak przypominam, byłem zaledwie czternastoletnim młodzieńcem, który zdecydował się iść za opiekunem, który go adoptował.

– O tak. Ten nagły, nieoczekiwany opiekun, który cię adoptował. I nawet nie katolik. Heretyk.

– Anglikanin.

– Co z tobą? Też jesteś teraz „anglikaninem”?

Delacroix z trudem wygrzebał jedną ręką cygaretkę ze srebrnego etui i zapalił.

– Oczywiście. Przecież wie ksiądz o tym. Kim niby miałbym być, jako brytyjski oficer?

Sługa boży roześmiał się gorzko.

– No właśnie, kim? W kraju, w którym katolików traktuje się jak ludzi drugiej kategorii, zaszkodziłoby to oczywiście twojej karierze, gdybyś pozostał wierny prawdziwej wierze. Wierze, którą z wielką starannością próbowaliśmy ci przybliżyć.

– O tak – odpowiedział Delacroix – z wielką starannością, odczułem to na własnej skórze. Zostało mi jeszcze po tym kilka blizn. Prawie wszystkie, żeby być dokładnym. Jednak – ciągnął ze zgryźliwą kpina w głosie – chętnie przyznaję, że ten krótki czas, który mieliście do dyspozycji, by uczynić ze mnie posłusznego syna Kościoła, wymagał kija i bicia, by ta wiara została mi wbita do głowy i dostatecznie głęboko zaszła za skórę.

– Uderzenia są dobre dla siły charakteru – odpowiedział ksiądz. – A ciebie dotknęła naprawdę wyjątkowo zła moc. Naszym zadaniem było zapewnienie, by nic z tego zła w tobie nie pozostało, i musisz przyznać, że przez te kilka lat rzeczywiście wiele się nauczyłeś, czytania, pisania, łaciny, francuskiego, angielskiego, historii, strategii, sztuki wojennej i etyki, pobożnego sposobu myślenia. Przyznaję jednak, że jeśli chodzi o ten ostatni przedmiot, nie byliśmy już tak skuteczni.

– O czymś ksiądz zapomniał – wtrącił Delacroix. – Nauczyliście mnie też, jak szpiegować, zdradzać ludzi, zadawać ból, wiarygodnie kłamać i oszukiwać...

Ojciec przerwał mu:

– Ależ nie, mój synu – powiedział i uśmiechnął się prosto w rozzłoszczoną twarz pułkownika. – Tego nie musieliśmy cię uczyć. Te umiejętności już posiadałeś. W twojej wczesnej młodości prowadziłeś przecież godne pożałowania życie przestępcy. Chcieliśmy jedynie zastosować twą wyjątkową wiedzę dla dobrych celów, takich, które uświęcają środki. Byłeś agentem Chrystusa. Szpiegiem Boga.

– Rezygnuję z tego szczególnego zaszczytu.

– Szkoda, i mam nadzieję, że Bóg ci to wybaczy. Zwłaszcza że obecna kariera wcale nie jest inna. Jesteś brytyjskim szpiegiem.

Delacroix roześmiał się jadownicie.

– Jestem brytyjskim oficerem w służbie dyplomatycznej. Nikim więcej.

– Dość już tych słownych utarczek, mój synu. Nie ma żadnej *disputatio*, w której nie dałbym rady cię pokonać.

Delacroix odetchnął głęboko. Był śmiertelnie zmęczony i rozdrażniony.

– O co chodzi, *padre*? – zapytał. – Nie przyszedł ksiądz przecież, by pogawędzić ze mną o przeszłości.

Ksiądz pochylił się nieco.

– Rękopis. Chcę ten rękopis. Musi zostać zniszczony i tylko my możemy zapewnić, że zostanie to uczynione w odpowiedni i pewny sposób.

– Nie mam go. Nie wiem też, gdzie jest, a jeśli się tego dowiem, będzie ksiądz ostatnią osobą, której o tym powiem. Wasza klika jest tak opętana chęcią władzy, że na pewno, ale to na pewno nie was mógłbym uważać za właściwych Stróży takiego przedmiotu.

– Nie pogrywaj sobie z nami. Wiesz, że jesteśmy bardzo dokładni i nadzwyczaj skuteczni. Masz dobry powód, by okazać nam wdzięczność. Skarżysz się, że byliśmy trochę twardzi podczas twojego wychowania? Ale nie byłeś już tym małym Felipe. Ta piekielna istota nie tylko cię dotknęła, ale też prawie całkowicie przejęła. Masz jeszcze jej oczy i pewnie też budowę ciała, bo, mój drogi synu, nie ma zbyt wielu sycylijskich bachorów na ulicach, które mierzyłyby dwa metry i miały mięśnie jak wół.

– Byk, ojczy, byk!

– Daruj sobie dowcipy na ten temat – fuknął ksiądz.

Delacroix zmusił się, by nie reagować. Jakakolwiek dalsza dyskusja była bezsensowna i aż nazbyt męcząca. Musi oszczędzać siły na polowanie.

– *Padre*, niech ksiądz powie, po co tu przyszedł, a potem niech ksiądz idzie! – nakazał szorstko.

Ksiądz powstał.

– Proponuję ci pomoc. Nie masz żadnych szans na znalezienie rękopisu, nie znając naszej tajemnej wiedzy. Nie wiesz nawet, z czym masz tutaj do czynienia. Ganasz po hotelu w tę i z powrotem, z góry na dół, bez żadnej strategii czy planu. Tak. Oczywiście, że o tym wiemy. Bez nas możesz tylko przegrać. Albo zginąć. To stworzenie, które tak bez powodzenia ścigacie, jest skrajnie niebezpieczne. A dla ciebie bardziej niż dla innych.

Delacroix uśmiechnął się. Ksiądz chyba nie wiedział, że pułkownik miał już za sobą to okropne doświadczenie. Nie zdarzało się zbyt często, by ojciec Emanuele o czymś nie wiedział.

– A ceną za pomoc jest, jak się domyślam, ten rękopis?

– Oczywiście.

– A co my byśmy z tego mieli? Co byśmy mieli z tego, że odzyskamy dla ojca ten manuskrypt?

– Życie. Będziecie mieli szansę na przeżycie. To chyba jest coś warte, prawda?

– Możliwe. – Delacroix potrzebował całej siły woli, by nie wybuchnąć śmiechem. – Być może jednak całkiem dobrze damy też sobie radę bez sług Kościoła.

– Nie podejmuj tej decyzji bez namysłu. Drugi raz nie podniosę cię z kamienia ofiarnego. A teraz uklęknij!

Ku wielkiemu niesmakowi Delacroix jego nogi usłuchały wezwania, zanim mógł temu zapobiec. Uklęknał. Przeklinał się za ten odruch, ale uklęknał.

Ojciec wyjął z kieszeni żelazny krucyfiks i przyłożył go do czoła Delacroix. Pułkownik czekał na gwałtowny ból, ale ten nie nadszedł.

– Jesteś czysty – powiedział ksiądz, lekko zdziwiony. – Pomyśl o tym. – Potem pobłogosławił byłego ucznia i odwrócił się do drzwi. – Bądź ostrożny, mój synu!

– Bardzo ostrożny – odparł Delacroix, unosząc się z kolan. – Niezwykle ostrożny.

– I jeszcze jedno. – *Padre* odwrócił się w progu. – Dlaczego właściwie nie używasz adopcyjnego nazwiska? Delacroix. Można by sądzić, że imię, którym cię ochrzcziliśmy, coś dla ciebie znaczy.

– Znaczy dla mnie tyle, że nie pozwolę, by ktoś znów wykorzystał

mnie do swoich celów. Nigdy. Absolutnie nikt. Drzwi zamknęły się za księdzem.

## Rozdział 23

Asko von Orven widział księdza wychodzącego z pokoju Delacroix i pospiesznie ruszył do drzwi. Zapukał, obawiając się najgorszego. Czy pułkownik umiera i przyjął już ostatnie namaszczenie?

Oficer nie czekał, aż usłyszy: „Wejść!”, bez tchu wtargnął do pokoju. W rękach ścisnął drewnianą skrzynkę.

– Dobrze się pan czuje? – zapytał pułkownika, który siedział przy stole i palił.

– Dziękuję, tak. – Uśmiechnięty Delacroix wyglądał jeszcze niebezpieczniej niż zwykle.

– Widziałem wychodzącego księdza i pomyślałem... – młodszy oficer nie dokończył zdania.

– Może pan być pewny, panie podporuczniku, że udało mi się wywinąć od ostatniego namaszczenia. Mam zamiar jeszcze trochę pożyć. Wypoczął pan?

Asko potwierdził skinieniem głowy.

– Tak jest, pułkowniku, ale później dostałem tę paczkę, i pomyślałem, że powinniśmy się temu przyjrzeć. Przysłano, ją ze sklepu „Obermair – akcesoria magiczne”. Z pozdrowieniami od mademoiselle Denglot.

Postawił skrzynkę na stole.

– Oj, oj, panie podporuczniku. Czy to możliwe, by podbił pan serce naszej pięknej śpiewaczki? – zapytał Delacroix kpiąco i pochylił się nad skrzynką. – Typowe. Wysłała panu zamkniętą skrzynkę, ale klucza do niej już nie. – Delacroix wyjął ukryty wcześniej nóż, po czym całkiem zdjął temblak.

– Jest pan pewien, że powinien pan to robić? – zaniepokoił się podporucznik von Orven, który umyślnie zdawał się nie dosłyszeć aluzji dotyczącej uczuć Cérise Denglot.

– Zapewne nie, ale potrzebuję do tego obu rąk. – Pułkownik wyszczerzył zęby. – A może pan radzi sobie dobrze z zamkami?

– Oczywiście, że nie – zabrzmiała oburzona odpowiedź. – To nie

jest coś, czego uczy się ludzi mojego stanu.

– To prawda – roześmiał się Delacroix. – Powinniśmy się zatem cieszyć, że wychowanie ludzi z wyższych sfer nie było jedynym, jakiego miałem przyjemność doświadczyć.

Z małego skórzanego etui wyciągnął cienkie, wygięte metalowe części, które Asko uznał za wytrychy.

– Przyjrzyjmy się temu – powiedział i wprowadził jeden z nich do otworu zamka. Wieko odskoczyło.

Von Orven nie był pewien, czy powinien podziwiać, czy potępiać tę umiejętność. Nie był też pewien, czy pytanie, gdzie można się czegoś takiego nauczyć, należy do uprzejmych. Był natomiast pewien, że nie zaskoczyło go, iż Brytyjczyk opanował technikę włamań.

Delacroix uniósł wieko. Na obitej jedwabiem poduszce spoczywał filigranowy, ciemnoszary sztylet.

– No proszę – stwierdził pułkownik. – Cérise wyposażyła pana w nową broń. Ta dama miewa niezwykle pomysły.

Von Orven uniósł nożyk i zważył go w ręce. Był mniejszy niż nóż do owoców i równie cienki.

– Czy to jest to, co myślę? – zapytał.

Delacroix wzruszył ramionami i natychmiast skurczył się z bólu. Ostrożnie znów umieścił ramię na temblaku.

– Nie wiem – odparł. – Wygląda jak zimne żelazo. Ale jakoś nie potrafię sobie wyobrazić, by ktoś mógł zachować się tak nieostrożnie i prehandlować artefakt goszczącej w mieście sopranistce. A zatem prawdopodobnie to podróbka. – Zamilkł na chwilę. – Ten ksiądz mógłby pewnie powiedzieć panu o tym więcej, ale nie zrobiłby tego za darmo. A to by znaczyło, że koszt odwzajemnienia się za informację przekroczyłby wielokrotnie cenę, jaką Cérise zapłaciła za tę drogą zabawkę.

Asko spojrział na starszego mężczyznę z powątpiewaniem.

– I co mam teraz z tym zrobić?

– Niech go pan weźmie. Niech go pan nosi przy sobie. Ale niech pan nigdy nie polega na tym ostrzu. Nie wszystko złoto, co się świeci. Typowy prezent od kogoś takiego jak mademoiselle Denglot.

Von Orven zignorował ostatni komentarz, jak przystało na

dżentelmena, chociaż Delacroix nie był dżentelmenem na tyle, by się od takich słów powstrzymać.

Delacroix, nie przeczuwając myśli przyjaciela, grzebał w neseserze. Wyciągnął medalion na srebrnym łańcuszku, wisiorek zdobiło parę nieczytelnych liter. Pułkownik powiesił go sobie na szyi, odpiął guziki kołnierza i skrył amulet pod koszulą.

– To ma pomóc na podłe czary-mary – wyjaśnił lakonicznie.

– Wobec tego powinien go pan nosić już dzisiaj rano.

– Obawiam się, że by mi nie pomógł, ale kto wie. Nie noszę go chętnie. Nieswojo się z nim czuję. Dlatego też zdjąłem go wczoraj w nocy.

– Lepiej czuć się nieswojo, niż umrzeć – stwierdził Asko.

U drzwi znów rozległo się pukanie. To był Udolf.

– Wybaczą panowie spóźnienie – zaczął – ale ktoś walnął mnie w głowę. Musiałem doprowadzić się do porządku.

Obaj patrzyli na niego skonsternowani.

– Ścigałem właśnie Steinberga – kontynuował – ale zgubiłem go. Niestety. Nie mam pojęcia, gdzie ten drań może się znajdować. Był cholernie szybki. Nie powinien być tak szybki. Jakbym ścigał jakiegoś fantoma.

– To on uderzył cię w głowę? – zapytał Asko.

– Nie wiem, ale ktoś mi przyłożył. Od tyłu. Nie mogłem widzieć, kto to był. Byłem akurat zajęty zwłokami, które znalazłem.

– Zwłokami? – spytał Delacroix, życząc sobie, by ten młody oficer był trochę bardziej zwięzły w swojej relacji.

– Tak, zwłokami. Dość martwymi, i to już od jakiegoś czasu, że tak to ujmę. Nie jestem specjalistą, ale ten pan w piwnicy nie był pierwszej świeżości.

– W jakiej piwnicy? – spytał Delacroix.

– Obok pralni. Ach, a propos pralni. Naprawdę spotkałem tam najbardziej niesamowite kobiety...

– Oczywiście – zauważył sucho Delacroix.

– Jak zwykle – zawtórował mu Asko.

– Nie, nie to miałem na myśli.

– Moglibyśmy wrócić do tych zwłok? Proszę?



– No dobrze. A więc zszedłem do piwnicy, bo myślałem, że może ten drań się tam ukrył.

– Ten trup?

– Nie. Steinberg. No i tam był ten trup. Z rozbitą czaszką. Prawdopodobnie jakiś tępy przedmiot, no i wtedy mnie też ktoś walnął w głowę. Gdy doszedłem znów do siebie, zwłok już nie było i mojego pistoletu też. Dopiero co go nabyłem. Kosztował mnie fortunę. To była pieprzni...

Delacroix mu przerwał:

– Nieważne. Natknął się pan jeszcze na te zwłoki?

– Nie – odparł Udolf. – Ale a propos natknięcia się, niech pan zgadnie, kogo spotkałem...

– Pewnie jeszcze jedną niesamowitą kobietę – zauważył sucho Asko.

– Tak, i właśnie ty...

– To jest teraz nieistotne – przerwał mu Delacroix. – Moi panowie, musimy się przygotować. Najwyższy czas, by zacząć patrolować to piętro.

– Może mi ktoś pożyczyć pistolet? – zapytał Udolf ze wstydliwym uśmiechem. – Mój przepadł.

Delacroix wskazał na nocny stolik.

– Niech pan weźmie mój – powiedział – chociaż nie sądzę, żeby był pan w stanie wiele nim zdziałać przeciwko potworowi.

– To dla mnie jasne – odparł von Görenczy – ale bez broni czuję się nagi. Pośrodku pola bitwy. – Wziął broń i sprawdził. – Wiesz, Asko, pewnie urwiesz mi za to głowę, ale czy nie sądzisz jednak, że nasze szanse byłyby większe, gdybyśmy włączyli do naszego zespołu Miss Jarrencourt?

– Miss Jarrencourt i jej ciotka opuściły hotel – powiedział Asko.

– Ach tak? Wobec tego były strasznie szybkie. A nawet cholernie szybkie.

Von Görenczy ruszył za przyjacielem. Wychodząc z pokoju, zostawił za sobą otwarte drzwi.

## Rozdział 24

Ojciec Emanuele wrócił do swych pokoi na pierwszym piętrze. Był nieszczęśliwy z powodu dyskusji z byłym podopiecznym, ale stwierdził, że ogólnie przebiegła ona tak, jak tego oczekiwał. Zwykle tak się właśnie działo.

Bracia z zakonu, którzy razem z księdzem zatrzymali się w hotelu, oczekiwali w salonie. Jednym z nich był brat Michael, którego ciemne świeckie ubranie sprawiało, że wyglądał raczej na poważnego naukowca po trzydziestce. Drugim był silny, młody brat Giuseppe, fanatyczny prześladowca bezbożnych stworzeń. Wyglądał jak zbyt entuzjastyczny artysta, mimo że nosił ciemny strój zakonny. Patrzyli bacznie na ojca Emanuele.

– Jak było? – zapytał brat Michael.

– Tak jak tego oczekiwałem – odpowiedział Emanuele. – Nie chce współpracować. Ale będzie. W końcu będzie. Nie ma wyboru. Jego poszukiwania nie przebiegają dobrze i jest ranny...

– Czy bestia go zraniła? – Oczy Giuseppe zaślniły pobożnym entuzjazmem.

– Nie sądzę. Dotknąłem go zimnym żelazem. Był czysty. Wiemy jednak, że stworzenie wciąż jest na wolności.

Giuseppe skinął gorliwie.

– Dzięki Bogu za tę łaskę i dar, jakim jest żelazo – pomodlił się. – Oby pomógł nam wytepić każdą grzeszną kreaturę i każdego feyona z boskiej ziemi, i wszystkich, którzy zmawiają się z piekłem.

Ksiądz spojrział na niego chłodno. Giuseppe był dobrym człowiekiem, choć może trochę zbyt naiwnym i uczuciowym. Był jednak odpowiednią osobą, gdy chodziło o ściganie grzesznych stworzeń oraz wydzieranie z nich wyznań winy, mrocznych planów albo podłych intryg. Przyznawały się do wszystkiego dość szybko. Giuseppe miał tę szczególną, bardzo rzadką właściwość – niemal całkowitą odporność na magię, co wynikało z naturalnej predyspozycji, wzmocnionej surową dyscypliną. Gdy chodziło o to, aby wypłenić ze świata to, co plugawe,

można było polegać na bracie Giuseppe. Miłosierdzie było pojęciem nieobecnym w jego słownictwie, zaś łaska – czymś, czego oczekiwał od Boga, lecz czego sam nie miał w zwyczaju praktykować. Ojciec Emanuele mógłby się z tym bez większych trudności pogodzić, gdyby brat Giuseppe swojej jakże przykrej pracy nie wykonywał niemal z cielesną rozkoszą.

Predyspozycja ta przestawała jednak być bezbożna, jeżeli używało się jej dla dobrego celu, a zakonnicy służyli przecież dobremu celowi, który uświęcał środki. Zakon został uznany przez Kościół, choć jednocześnie się go wypierano. Zgromadzenie nadal miało powoli topniejące wpływy, które pozwalały manipulować losem ludzi i narodów – oczywiście dla ich własnego dobra. Nosił wiele imion, których Emanuele oczywiście nigdy nie używał. Giuseppe wręcz przeciwnie. Sam zwał się inkwizytorem i powoływał na aż czerwony od krwi historyczny początek tajnego bractwa.

Michael był inny. Po pierwsze, nie był Włochem, lecz Irlandczykiem. Po drugie, nie bał się zajmować sztukami magicznymi, choć robił to tylko w dobrym celu. Kościół nie akceptował magii jako części chrześcijańskiej koncepcji, przymykał jednak oczy na jej używanie, jeśli służyła dobru – i kiedy nikt nic o tym nie wiedział. Magia brata Michaela była pobożna, a przy tym nadzwyczaj silna.

– Naprawdę ojciec uważa, że pułkownik przekaże nam ten rękopis? – zapytał z powątpiewaniem brat Michael.

– Możliwe. O ile go do tego zmusimy. Zakładając, że Delacroix w ogóle znajdzie zwój. Jak do tej pory ani on, ani jego towarzysze nie okazali się zbyt skuteczni. Nie wiem, co wyczynia ich mały czarodziej, ale nie jest szczególnie efektywny. A brat jak myśli?

Brat Michael wzruszył ramionami.

– Zaklęcie na feyony istnieje i jest dość silne. Jednak dodałem do tego kilka własnych zabezpieczeń. Według linii energii, jakie obliczyłem, powiedziałbym, że wiatrochod nie jest jedynym powodem, dla którego zniknął rękopis. Wyczuwam co najmniej trzy różne sygnatury mocy, które działają przeciw sobie zamiast wspólnie. Można niemal założyć, że każda z sił próbuje skryć rękopis przed pozostałymi. Trudno to zgłębić. Jeśli to stworzenie zostanie złapane i wypadnie z

wścigu, istnieje szansa, ale tylko szansa, że uda nam się dotrzeć do rękopisu. W każdym razie wcale nie jest tak łatwo przewidzieć, jak wyobrażają to sobie panowie oficerowie.

– Powinniśmy dopaść tę bezbożną kreaturę i ją zabić – przerwał brat Giuseppe. Jego oczy błyszczały. Nie lubił rozmów o magii.

– Już to rozważaliśmy, bracie – odparł pobożny mag. – Jeśli oficerowie bawarscy i Delacroix wytropią rękopis, będziemy mogli im go bez problemu odebrać. Nic nie przemawia za tym, byśmy narażali się na ryzyko bezpośredniej konfrontacji z tym stworzeniem, skoro istnieją ochotnicy, którzy mogą załatwić to za nas. Jedynym, co mnie w tej chwili niepokoi, jest to, że może sami jeszcze nie zrozumieliśmy, co się tu właściwie dzieje. Jaką rolę odgrywa ta młoda dama, która wprowadziła się tu ze swoją ciotką i pokojówką? Czy jest jakoś zaangażowana w tę sprawę?

– Raczej w to wątpię – odparł ojciec Emanuele. – To po prostu zwykli hotelowymi goście, niewinni widzowie, którzy przypadkiem zostali wplątani w tę sprawę. W końcu główni aktorzy, cała trójka panów, są w wieku odpowiednim do zawarcia związku małżeńskiego. Może to grzeszne, ale nie jest też nienaturalne, że interesują ich piękne, młode dziewczyny.

– Nie wierzę w niewinnych widzów – powiedział Giuseppe. – Zbyt często są przesiąknięci złem.

– Tym razem może mieć dla odmiany rację – zgodził się brat Michael. – Nie jestem tak podejrzliwy jak brat Giuseppe, jednak portier poinformował mnie, że ta młoda dama zamierzała dzisiaj wyjechać, nie była jednak w stanie opuścić hotelu. Czyżby zaklęcie przeciw feyonom? Może jest w tej sprawie więcej, niż na początku zakładaliśmy.

– Musimy ją usunąć! – wykrzyknął Giuseppe. – Ta grzeszna baba stawia swoje pułapki, by oczarować chrześcijan i pociągnąć ich za sobą ku zagładzie. Wyrwiemy z ciała jej czarne serce i spalimy.

– Później – powiedział ojciec Emanuele. – Nie teraz. Palenie serc dam w pierwszorzędnym hotelu jest czymś, od czego powinniśmy się powstrzymać. Coś takiego za bardzo rzuca się w oczy i z pewnością zostałyby źle zrozumiane. Ćwicz się zatem w cierpliwości. Cierpliwość jest cnotą. Powinieneś się o to modlić.

– Tak zrobię, wielebny – przyrzekł poważnie inkwizytor – i będę się też modlił, by Wszechmogący dał mi sposobność ukarania tych, którzy nie znają żadnej wdzięczności i porzucili prawdziwą wiarę.

– Bracie Giuseppe – uśmiech ojca Emanuele wydawał się równie nieprzyjemny jak ostrze noża – napominam cię, byś nie ważył się atakować Delacroix. Potrzebujemy go jeszcze.

– Jaka szkoda, że Delacroix już ojca nie słucha – poskarżył się brat Michael.

– Trochę władzy jeszcze nad nim mam. Klęczał przede mną jak ministrant, gdy kazałem mu to zrobić. Nie spodobało mu się to. Bardzo nie spodobało. Nie wszystko z jego wychowania i formowania go poszło na marne. A było to w końcu niezwykle intensywne wychowanie.

– Może i tak – odparł chrześcijański mag. – A jednak opuścił księdza i nic nie można było na to poradzić.

– Nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Brytyjski kapitan, który był pomocny podczas szturm na lożę i walczył ze swoimi ludźmi po naszej stronie, nominalnie adoptował naszego znajcę. Uznałem to za dobry pomysł, sam do tego namówiłem kapitana, i to z pomocą siły przekonywania brata Matteo, twojego utalentowanego poprzednika w dziedzinie sztuk magicznych. Syn kapitana zginął w świątyni. Prawdopodobnie Brytyjczyk czuł się winny tej straty. Za moją radą przyjął nieoficjalnie chłopca, który przeżył, przy czym powierzył nam jego wychowanie i wykształcenie. Zaakceptowaliśmy to, bo zapłacił nam chesne. Miałem nadzieję, że ten związek stanie się kiedyś zaczątkiem naszego rozwoju w bezbożnym kraju Albionu. W każdym razie nie spodziewałem się, że po czterech latach kapitan zabierze chłopaka do siebie. Bogaci brytyjscy armatorzy nie tracą zazwyczaj czasu na myślenie o ulicznikach z Sycylii. Skoro mógł kupić opiekę nad znajdą za pieniężną dotację, skąd ta osobista troska o smarkacza ze społecznych nizin? – *Padre* wzruszył ramionami. – Kto wie? Kiedyś z pewnością okaże się to korzystne, że mamy Delacroix tam, gdzie się teraz znajduje. Niezgnębione są ścieżki Pana.

– Amen – powiedział brat Giuseppe.

## Rozdział 25

Mamy jakiś plan? – zapytał z nadzieją w głosie Udolf.

– Nie – odparł Delacroix, podając mu żelazną skrzynkę, w którą mieli złapać stworzenie. – Proszę. Z tym moim cholernym ramieniem nie jestem w pełni sprawny. – W prawej ręce trzymał swój nóż. – Myślę, że na tym piętrze nie powinniśmy spodziewać się innych gości. Teraz gdy damy Jarrencourt i Parslow wyjechały, mamy cały korytarz dla siebie.

– Byłoby lepiej, gdyby było nas więcej niż trzech – wtrącił von Orven. – Jeśli nie złapiemy upiora tym razem, będziemy musieli zażądać posiłków. Poza tym uważam, że powinniśmy opróżnić hotel. Goście bez potrzeby narażeni są na niebezpieczeństwo.

– To by się za bardzo rzucało w oczy – odparł Delacroix. – Ale pokoje wkrótce opustoszeją. Dyrekcja nie przyjmuje nowych gości.

– Przemierzali korytarz, otwierając jedne drzwi po drugich i zaglądając do pustych pomieszczeń.

– Wie pan – powiedział Udolf – jestem cholernie zadowolony, że nie ma tu Cérise.

Delacroix obrzucił go ironicznym spojrzeniem.

– Pańska pełna oddania opiekuńczość przynosi panu prawdziwą chlubę – pochwalił go. – Mnie też to cieszy. Byłoby szkoda, gdyby świat stracił tak wspaniały głos.

– No tak, to też – odparł Udolf. – Ale chodziło mi o to, że plątałyby się nam pod nogami.

– Bez wątpienia – potwierdził Delacroix.

Powoli poruszali się dalej, pułkownik w środku, Udolf z otwartą skrzynką w jednej ręce i pożyczonym pistoletem w drugiej. Obszukiwał ściany, błdził wzrokiem po suficie i podłodze. Asko tworzył tylną straż. Uważał na to, co działo się za nimi; w prawej ręce trzymał pistolet, w lewej zaś swój nożyk do owoców.

Każdy cień na dywanie, każdy promień słońca, który wpadał przez okno z klatki schodowej i malował wzory na ścianach, każda

najmniejsza plamka na jedwabnych tapetach kazały im się zatrzymać i z niepokojem szukać wroga, który mógł się ukazać za nimi.

– Wielki Boże! – jęknął Udolf. – Mam nadzieję, że nie wystrzelam wszystkich pajaków i nie skończy mi się amunicja, zanim pojawi się bestia.

Pozostali rozumieli, co miał na myśli.

Bali się. Żaden z nich nigdy by się do tego nie przyznał, ale strach podstępnie wkradł się w dzielne serca oficerów. Von Orven miał nadzieję, że informacja o tym, iż istota może rzucić się jedynie na człowieka dotkniętego w przeszłości magią, była prawdziwa. Von Görenczy z kolei miał nadzieję, że nie przeżył jakiegoś magicznego doświadczenia którejs nocy, gdy tak się upił, że nic nie pamiętał. Delacroix na samą myśl o tym, że ta istota znów mogłaby na niego napaść, czuł, jakby miał w brzuchu lodową kulę. Wciąż pamiętał, jak chłód ogarniał jego ciało, gdy wnikał w nie potwór; wciąż czuł nóż wbijający się w mięśnie i gwałtowny ból, który pułkownika prawie sparaliżował. Odsunął te myśli, jednak obraz czarnego, lodowego świata bez wyjścia i umierającej dziewczyny powracał wciąż wbrew woli.

Upuścił nóż, gdy tylko krzyk rozdarł powietrze. Dochodził z amfilady, gdzie mieszkała Miss Jarrencourt i towarzyszące jej damy, z pomieszczeń, które uznali za puste.

Drzwi otworzyły się gwałtownie, trzaskając o ścianę. W rozwianej sukni wybiegła z pokoju Corrisande Jarrencourt, uciekając jak zając. Pędziła korytarzem, oddalając się przy tym od oficerów.

Trzech mężczyzn krzyknęło niemal równocześnie.

– Co, do d... – zaklął Asko.

– Ścigaj ją. Musimy to złapać! – krzyknął Delacroix.

– Rany boskie! – wrzasnął Udolf.

Potrzebowali chwili, by pojąć, co się działo. Cała trójka zareagowała niewłaściwie. Zamiast pobiec w kierunku, z którego uciekała dziewczyna, popędzili za młodą damą, by ją chronić. Jedną, dwie sekundy później zrozumieli swój błąd i odwrócili się do tego, co było źródłem paniki Miss Jarrencourt. Te sekundy okazały się jednak decydujące. Niczym wijąca się lanca, stworzenie wystrzeliło z otwartych drzwi za dziewczyną. Von Görenczy śmiałym skokiem zastąpił mu

drogę, próbując zatrzymać je otwartą skrzynką i złapać. Ale potwór był zbyt duży i zbyt szybki. Zderzenie przewróciło szwoleżera, przekoziółkował po podłodze, niezdolny, by od razu się pozbierać. Poczuł na szyi lodowato zimne dotknięcie. Zimno zacisnęło się na krtani. Oficer upuścił broń i żelazną skrzynkę, sięgnął obiema rękami do wroga, który dusił go w mroźnym uchwycie za gardło. Ręce żołnierza trafiły jednak jedynie na własną obolałą szyję. Istota była już dalej.

Spróbował się przetoczyć, by wstać, przez co zablokował drogę podporucznikowi von Orvenowi, biegnącemu do krzyczącej młodej kobiety. Asko również jak długi padł na podłogę. Na dodatek zgubił swój nóż, a przy upadku jego odbezpieczony pistolet wypalił. Głową uderzył ciężko w jakiś mebel stojący pod ścianą.

Delacroix przeskoczył nad nimi, z mroczną stanowczością zaciskając w dłoni swój nóż. Zobaczył Corrisande na końcu korytarza. Opadła na kolana, skuliła się, przyciskając tułów do ud, dłońmi zasłaniając kark, podczas gdy ramionami i łokciami starała się chronić głowę. Cień sprawiał, że jej jasnożółta sukienka zdawała się poplamiona na brązowo. Stwór otaczał dziewczynę niczym kokon, znacząc jej skórę smugami i migoczącymi plamami, jakby badał Corrisande, szukając wejścia. Przestała krzyczeć i drżała tak bardzo, że Delacroix mógł to zobaczyć nawet z paru metrów. Niczym szare welony, cień zawisł nad drżącym ciałem, pieszcząc je ze wzbudzającym wstręt, odpychającym pożądaniem. Macki ocierały się o dziewczynę, zanurzały w jej dekolt i pięły w górę po nogach. Pod żółtym jedwabiem zaczęło się więc gniazdo węży, rozpełzając się po jej skórze.

Spojrzała na niego. Jej błękitne oczy były szeroko otwarte z przerażenia, a twarz trupio blada. Pełzające macki cieni zalewały jej twarz, próbując rozchylić usta.

Delacroix stał teraz zupełnie blisko, oczekując szturm na siebie.

– Zostaw ją w spokoju! – rozkazał ochryple, ukłęknał i pochylił się nad drobną postacią. Ręka z nożem drżała lekko. Czy to była stanowczość? – Przecież wcale jej nie chcesz! Chcesz mnie. Zapomniałeś? To ja jestem tym, którego chcesz przejąć.

Cień zastygł w czarne szkło. W ciągu kilku sekund siedząca w kucki dziewczyna zamieniła się w obsydianowo czarną rzeźbę. Była



zamknięta w sobie, stała się odbijającym światło ciemnym kryształem. Zobaczył na jej policzku czarną łzę zamarzną w połowie drogi.

Delacroix ryknął zawiedziony i pchnął sztyletem z zimnego żelaza.

Dziewczyna roztopiła się, przyjęła znów żywą postać, kiedy cień się od niej oddzielił. Delacroix szarpnął się w bok, zanim nóż zdążył trafić młodą kobietę. Ostrze zadrapało ścianę pod jedwabną tapetą, zaledwie kilka centymetrów od tętnicy szyjnej Corrisande. Delacroix przyjrzał się szybko. Dziewczyna nie była ranna.

Wydała pełen bólu jęk i starając się złapać powietrze, jeszcze bardziej skuliła się przy pułkowniku i jego broni. Z bladej twarzy spoglądały na mężczyzną olbrzymie, przerażone oczy.

– Proszę, nie – błagała, ale nie miał już dla niej czasu, roztrzęsiony rozglądał się, szukając potwora. Gdzie on był?

Wciąż jeszcze tutaj. Ciemne cienie falowały niedaleko, jakby czając się i czekając. Delacroix odwrócił się, nie patrzył już na damę, ale klęknął, by osłonić ją swym ciałem. Machał przy tym ręką w dzikiej próbie osiągnięcia bronią potwora. Ale stwór już umknął spod zasięgu noża.

Istota zbliżała się znowu, a Delacroix cofał się na kolanach, przyciskając młodą kobietę do ściany. Czuł na plecach, że Corrisande drży.

I wtedy upiór zaatakował ponownie niczym wężowa lanca, mierząc śmiertelnie prosto w serce Delacroix. Pułkownik wrzasnął i pchnął nożem. Istota niczym mistrz fechtunku zeszła z linii ataku. Stara blizna nad sercem Brytyjczyka wydawała się palić rozgrzanym do białości płomieniem i Delacroix czuł, jak jego amulet wtapia się w ciało.

Jeszcze raz wydał bojowy okrzyk, machając dziko nożem. Nie wiedział, czy zło wniknęło już w niego, czy jeszcze nie.

I wtedy zobaczył Asko von Orvena rzucającego się w jego stronę długim skokiem. Młody oficer wznosił do ciosu ten bezsensowny mały nożyk do owoców. Dwa ciemne ostrza trafiły się niemal w locie i cień zmarł, po czym zaczął się kurczyć, aż w końcu zniknął.

## Rozdział 26

Mrs Parslow postanowiła rozkoszować się tym dniem. Po tym jak Corrisande upierała się, że nie może opuścić budynku, nie pozostawało jej nic innego, jak wyjść samej. Eliza nie była pewna, czy powinna wierzyć podopiecznej. Postanowienie Corrisande wydawało się dziwne. Jednak, jako kulturalna dama z dobrego domu, Eliza nie wiedziała nic o czymś tak *dégoûtant* jak magia. Koncepcja ta była dla niej czymś obcym i bez wątpienia starsza dama wcale nie miała ochoty jej zgłębiać.

Nie zdarzało się często, by kłóciła się z Corrisande. W gruncie rzeczy lubiła tę młodą kobietę. Może powinna okazać podopiecznej więcej wyrozumiałości? W każdym razie podjęła kroki, by zakończyć tę farsę. Nie powiedziała o tym jeszcze Corrisande, bo Mrs Parslow nie chciała wywoływać kolejnej kłótni. Marie-Jeannette dostatecznie szybko opowie aż za dużo. Jeśli znało się niezwykłą drogę życiową i dotychczasową karierę Corrisande, trudno było i zrozumieć, jak strasznie przewrażliwiona potrafiła być w niektórych kwestiach,

Eliza zawsze prowadziła uporządkowane życie. Robiła to, co należało robić, i nie zbaczała nawet o włos ze ścieżki cnoty. Nigdy nie nauczyła się obchodzić z nożem czy jakąkolwiek inną bronią. Coś takiego nie przystawało damie i nie było konieczne. Nie włamywała się do domów przebrana za ulicznika, co Corrisande w najdzikszych czasach robiła dość regularnie, kiedy jeszcze nie mogła się zdecydować, co zrobić ze swym podwójnym życiem.

A jednak dziewczynie nigdy nie udało się zrobić tego, co naprawdę konieczne. Nie tak jak Eliza, która zawsze robiła to, co niezbędne – zarówno dla siebie samej, jak i dla Corrisande. W końcu ich losy były ze sobą ściśle związane. Miała być towarzyszką panny Jarrencourt, pełnić rolę przyzwoitki albo ciotki, dopóki Corrisande nie znajdzie dobrze sytuowanego małżonka. Tak brzmiała umowa, a nie zrywało się umowy z „Królem”. To nie kończyło się dobrze.

Oczywiście Eliza oczekiwała radośnie chwili, gdy znów będzie panią samej siebie i będzie mogła urządzić życie po swojemu. Do tego

potrzebne są jednak pieniądze, dużo pieniędzy, o ile pragnie się należeć do odpowiednich kręgów. A to znaczyło, że Corrisande musiała bogato wyjść za mąż.

Eliza wyobrażała sobie, że będzie to łatwiejsze. Corrisande była co prawda trochę starsza niż większość debiutantek, trochę za stara na ten coroczny jarmark próżności, ale wyglądała dostatecznie młodo. Była urocza i miała dobre maniery. Ponadto dysponowała przyzwoitym posagiem od tajemniczego ojca „inwalidy”, a sama też nie była biedna. De Lacy rzucił jej pod nogi całkiem miłą sumkę, a ten krótki czas, kiedy zajmowała się kolekcjonowaniem klejnotów innych ludzi, powiększył jej zasoby w znaczący sposób. Gdyby chciała, Corrisande mogłaby prawdopodobnie żyć wygodnie i bez męża, choć może nie w luksusach.

W niektórych sprawach była jednak zdumiewająco porządna i cnotliwa. Dziwne, jeśli weźmie się pod uwagę jej pochodzenie – a może wcale nie. Może właśnie te nietypowe okoliczności sprawiają, że tęskni się za spokojnym, normalnym życiem, za kochającym małżonkiem i porządnym domem.

Eliza wychodziła za mąż trzy razy, zawsze jednak wiedziała, że może polegać tylko na sobie. Mężczyźni byli zbyt niestali. Oczywiście posiadanie małżonka było przyjemne. W świecie, w którym rządzą mężczyźni, ułatwiało to znacznie życie. Niezameżna młoda kobieta była nikim. Jako stateczna wdowa mogła cieszyć się teraz znacznie większą wolnością niż w młodości. Za mąż Eliza już nigdy nie wyjdzie. To nie było konieczne.

Miłość? Miłość była przeceniana, Mrs Parslow zawsze tak uważała. Oczywiście dochodził do tego jeszcze aspekt cielesny. Mężczyźni byli zwierzętami. Przyznawała jednak, że niekiedy brakowało jej intymności we dwoje z mężczyzną. Niektóre rzeczy były całkiem przyjemne. We właściwej chwili pozwoli sobie na romans. Ale nie teraz. Nie jako przyzwoitka Corrisande. To nie podlegało dyskusji.

Był to też jeden z powodów, dla których Eliza Parslow miała nadzieję, że w Monachium się powiedzie. Gdy dziewczyna wyjdzie już za mąż, Eliza będzie mogła znów zmienić swój styl, może rozjaśni włosy. Była pewna, że znajdzie jakiegoś wielbiciela. Bogate wdowy zawsze znajdowały wielbicieli. Oczywiście nie ten typ, by zaraz

wychodzić za mąż, ale mimo wszystko ktoś taki, kto może sprawić, że życie kobiety staje się przyjemniejsze.

Uśmiechnęła się i wzięła łyżeczek napoju. W Tombosi serwowano dobrą kawę. Podziobała trochę w kawałku jabłecznika. Również był wyśmienity. Szkoda, że Corrisande tu nie ma. Goście w kawiarni byli z najlepszego towarzystwa, znać było po nich styl, młoda dama pasowała by świetnie do tego otoczenia.

Gdy Eliza wróciła do salonu, Corrisande była w potwornym stanie. Żółta suknia zakurzona, ale dziewczyna tego nie wyjaśniła. Podeszła do pulpitu do pisania i wzięła pierścień, który tam zostawiła. Nie powiedziała wiele. Tylko tyle, że sprawdziła tylne drzwi i dalej nie zaszła. Następnie zapytała, czy Eliza zamierza gdzieś wyjść, i poprosiła ją, by zajrzała do księgarni i kupiła książkę na temat tych spraw.

Jakich spraw? – zapytała Eliza protegowaną. Magicznych, odparła Corrisande. O feyonach, czarach i tak dalej, po czym dodała, że zdecydowała się dowiedzieć czegoś więcej na ten temat. Eliza była zszokowana. O ile to możliwe, nie mówiło się o takich rzeczach. Im mniej się o tym wiedziało, tym lepiej. Zabobon. Błędne przekonania niższych klas. Mrs Parslow nie uważała też, by lektura książki o magii i feyonach pozwoliła Corrisande złamać zaklęcie wypowiedziane przez profesjonalnego maga. To nie mogło być aż tak łatwe.

Corrisande nie była jednak w nastroju, by jeszcze raz przemyśleć wybór literatury. Siedziała, milcząc ponuro i obracając pierścień na palcu. Coś jej leżało na sercu i Eliza chętnie dowiedziałaby się, co to takiego. Jej podopieczna milczała jednak jak grób. Eliza zdecydowała więc, że wyjdzie z hotelu, by przejść się po sklepach i okolicy i przeżyć przyjemne popołudnie. Sama. To, że w *etablissement* spotkała madame de Rhins-Epitue, było dodatkowym bonusem. Nawet nie musiała się wysilać. Madame de Rhins-Epitue podeszła do niej sama z siebie i zapytała, czy nie wydawało jej się, że widziała Elizę z Miss Jarrencourt. Najwyraźniej ostatniej zimy udało się Corrisande wyrzucić wyjątkowo dobre wrażenie na starszej damie.

Tak, odpowiedziała Eliza i wyjaśniła, że jest ciotką młodej damy. Przyjechały na sezon balowy, by odwiedzić starszą krewną, która mieszkała w Possenhofen. Nazwa tej miejscowości dobrze brzmiała.

Żyła tam boczna linia rodu Wittelsbachów, rodzice i rodzeństwo cesarzowej Elżbiety. Eliza specjalnie nie chwaliła się znajomością z tak dostojną rodziną i madame de Rhins-Epitue, samozwańcza mistrzyni interpretacji, była pod wrażeniem tak oczywistej skromności. Czy mają już zaproszenia na wiosenny bal? – zapytała dama. Odbywa się zawsze na zamku Nymphenburg, w letniej rezydencji króla. To już za kilka dni.

Niestety nie, odparła Mrs Parslow, wzdychając. Krewna Corrisande z Possenhofen miała się o to zatroszczyć, ale w ostatnim czasie trochę zaniemogła. Corrisande będzie zatem musiała zrezygnować z tej zaszczytnej przyjemności. To oczywiście przykre, zwłaszcza dla tak młodego dziewczęcia jak Miss Jarrencourt, ale nie można mieć o to pretensji do starszej damy. Będzie jeszcze dość balów.

Madame de Rhins-Epitue z radością była gotowa pomóc. Wykorzysta odpowiednio swoje wpływy, przyrzekła i pożegnała się z nową przyjaciółką. Tak pięknej i dobrze wychowanej dziewczyny jak Miss Jarrencourt nie powinno zabraknąć przy takiej okazji, wyjaśniła na zakończenie.

Dlatego Eliza uśmiechała się teraz szczęśliwa, popijając kawę. Dobrze wykorzystany dzień. Poszuka najwykwintniejszego zakładu krawieckiego i zamówi nową balową suknię. Coś pełnego godności, a jednak subtelnego.

Nareszcie sprawy zaczęły zmierzać we właściwym kierunku.

## Rozdział 27

Trzej mężczyźni rozglądali się pospiesznie za oznakami obecności istoty, ale w tej chwili nic nie było widać. Delacroix, wciąż na kolanach, trzymał sztylet wyciągnięty przed siebie. Jego oczy przeszukiwały nerwowo korytarz. Asko von Orven podniósł się i groźnie kołysał swym nożykiem. Von Görenczy zbliżył się do nich, niosąc znowu żelazną skrzynkę.

Pustą skrzynkę.

Delacroix miał nadzieję, że uda mu się wstać bez drżenia. Czuł, jak amulet wypala znaki na jego piersiach, gorąco trudne do wytrzymania. Ale talizman powoli stygł. W żadnym wypadku pułkownik nie był pewien, że niebezpieczeństwo już minęło, i nie miał zamiaru dać się znów zaskoczyć przez wyłaniającego się znikąd upiora.

– Wielki Boże, Delacroix! – krzyknął Udolf z podziwem. – Pan to ma nerwy, żeby tak się podkładać temu potworowi. Komplement. Składam hołd pańskiej zimnej krwi.

Von Orven przyklęknął i próbował pomóc młodej kobiecie, która wciąż niczym obraz nieszczęścia kuliła się za Delacroix.

– Dobrze się pani czuje, Miss Jarrencourt? – zapytał i wyciągnął do niej rękę.

Krzyknęła i przycisnęła się jeszcze bardziej do ściany, o ile to w ogóle było możliwe.

– Niech pan mi poda swój nóż – nakazał Delacroix. – Nie chcemy chyba bardziej wystraszyć młodej damy.

Von Orven zaczerwienił się i zrobił, jak mu powiedziano. Nie wiedział, co dalej. Dziewczyna niemal całkowicie zniknęła za postawnym brytyjskim oficerem.

– Sir, czy mógłby pan może... – zaproponował.

Delacroix skoncentrował się i wstał. Napiął mięśnie i potrząsnął nogami, by nie sprawiać wrażenia sztywnego i zdenerwowanego. Rozejrzał się w oczekiwaniu kolejnego ataku.

Von Orven pochylił się nad fałdami żółtego jedwabiu.

– Jeśli mi pani pozwoli, Miss... – zaczął, nie doczekał się jednak odpowiedzi.

– Do diaska, niech jej pan po prostu pomoże, von Orven! Nie jest teraz w stanie prowadzić żadnych kulturalnych konwersacji.

Dość niezręcznie, jakby nie za bardzo wiedział, w jaki sposób może grzecznie dotknąć młodej damy, Asko chwycił ją za ramiona i pociągnął do góry. Bał się, że Corrisande może znowu zemdleć, ale ona tylko stała ze wzrokiem utkwionym w pustkę. Poczował, że jest zimna jak lód i drży. Zastanawiał się, w jaki sposób mógłby zapytać o pozwolenie udzielenia pomocy, dał sobie jednak spokój. Może jednak Delacroix miał rację i nie był to właściwy czas na rycerską powściągliwość.

Podniósł dziewczynę, czując się przy tym dość głupio, jak postać z taniej operetki. Głowa Corrisande opadła na jego ramię. Po raz drugi w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin trzymał Miss Jarrencourt w ramionach i – jak musiał przyznać – czynił to chętnie. Tyle tylko, że życzyłby sobie, aby miało to miejsce w innych okolicznościach. Na przykład przy przenoszeniu jej przez próg.

To nie była właściwa chwila na takie myśli. Asko złapał dziewczynę mocno i pewnie, po czym ruszył korytarzem do jej pokoju.

Delacroix i von Görenczy patrzyli za nimi. Potem ruszyli w tym samym kierunku.

– To było... – von Görenczy szukał właściwych słów – niesamowite.

Delacroix spojrział na niego krytycznie.

– Cholernie blisko byłoby stosowniejszym wyrażeniem – powiedział.

– No tak, to prawda. Trafiło mnie w szyję. Trudno powiedzieć, żebym to lubił. Najobrzydliwszy atak, jaki przeżyłem. Biedne dziecko. Mam nadzieję, że po tym przeżyciu ma jeszcze wszystkie klepki na miejscu. Czy jak to się tam mówi.

– Próba gwałtu byłaby lepszym określeniem – wymruczał Delacroix.

Udolf zatrzymał się nagle.

– Próba gwa...?! – wykrzyknął zdumiony.

– Pst! Ciszej – przerwał mu Delacroix.

– Ale niby jak? To znaczy jest pan pewien?

Delacroix zatrzymał się przed apartamentem dam i odwrócił do Udolfa.

– Niby jak mam być pewien? Wiem tak samo mało jak pan. Ale tak to wyglądało. Z pewnością nie zapomnę wyrazu jej twarzy, gdy ta bestia próbowała wypełznąć w jej usta. Mam tylko nadzieję... – nie dokończył tego zdania.

– Myśli pan... – zaczął Udolf, nie potrafił jednak ubrać swego podejrzenia w słowa.

Mężczyźni spojrzeli na siebie z obrzydzeniem na twarzach.

– Powinniśmy teraz wejść – powiedział w końcu Delacroix – i zmierzyć się z Mrs Parslow.

Ale Mrs Parslow nie było. Zamiast tego za fotelem z zagłówkami kuliła się Marie-Jeannette. Wyglądała na dość poruszoną.

– Nie bój się, dziewczyno – powiedział von Görenczy z udawaną wesołością. – Wybawcy już przybyli.

Asko położył Corrisande na sofie. Dziewczyna wyglądała jak lalka, nieruchoma i wyprostowana. Rękami kurczowo ścisnęła krawędź leżanki.

Patrzył na nią zatroskany.

– Miss Jarrencourt – odezwał się – proszę mi powiedzieć, że dobrze się pani czuje.

Uklęknął przy jej boku, najchętniej wziąłby ją w ramiona i mocno trzymał. Ale to nie było stosowne zachowanie, poza tym można by je zinterpretować, jakby próbował wykorzystać sytuację, z jakiej żaden porządny mężczyzna nigdy by nie skorzystał.

Kłęczał więc przy dziewczynie zatroskany, szukając na jej twarzy znaków, które zdradziłyby mu, jak mógłby pomóc.

Delacroix był mniej delikatny. Przysiadł i ujął jej twarz w swoje wielkie dłonie. Skóra Corrisande była lodowata.

– Miss Jarrencourt! – krzyknął. – Musi pani zostawić teraz to przerażenie za sobą. Musi pani znaleźć siłę, by wrócić. Wiem, że to trudne, ale wiem też, że może to pani zrobić. Chyba nie chce pani, żebym znów wlał w nią zawartość piersiówki podporucznika von Görenczy’ego?



Martwe spojrzenie Corrisande powoli znajdowało drogę do jasnej plamy bezpośrednio przed nią.

– Grzeczna dziewczynka – powiedział Delacroix i pogłaskał kciukiem jej policzek. Asko zacisnął usta i zazgrzytał zębami.

Corrisande wciągnęła powietrze. Było jej zimno. Lodowato. Czuła się brudna. Nie wiedziała, czy obecni przy niej panowie mieli pojęcie, jak potworne, jak niewypowiedziane, jak absolutnie odpychające było to, co próbował zrobić cień. Ta zimna, oślizła kreatura przeniknęła przez ubranie Corrisande, lizala jej skórę i dotykała ją w miejscach, których do tej pory nikt jeszcze nie dotykał. Macki wpełzły w jej dekolt, torowały sobie drogę pod gorset, badały ciało i wiły się w górę nóg. Dziewczyna nie chciała wiedzieć, co tam robiły. Delacroix temu zapobiegł. Wciąż jeszcze słyszała jego głos w swojej głowie. Głos człowieka, którego niemal kazała zamordować.

– O Boże! – powiedziała, po czym spojrzała na von Görenczy’ego i wyciągnęła rękę. Jej dłoń silnie drżała. – Podporuczniku von Görenczy, poproszę o pańską butelkę.

Zapadło pełne zakłopotania milczenie. To nie była dziewczęca reakcja. Z pewnością nie tego oczekiwali panowie, a Eliza zapewne dostałaby nerwowych drgawek. Do diabła z tym.

Gdy podano jej srebrną butelkę, niemal ją upuściła, a potem nie udało jej się odkorkować naczynia, bo za bardzo trzęsły jej się ręce. Ktoś zrobił to za nią. Von Orven.

Corrisande wzięła głęboki łyk i zaczęła kaszleć. Jednak palące doznanie pomogło. Zdawało się oczyszczać ciało, tak jak wypalanie rany. Młoda dama wzięła jeszcze jeden łyk, znów zakaszlała i zauważyła, że mocny alkohol wyciska jej z oczu łzy.

Dobrze. Chciało jej się płakać, tęskniła za prawdziwym katharsis łez. Płacz by jej pomógł, gdyby tylko wiedziała, jak to się robi. Normalnie umiała świetnie płakać, opanowała do perfekcji sztukę ronienia łez. Teraz wydawało jej się to utopią. Niedawno przecież zastygła w kamień. Kamienie nie mogą płakać. Co najwyżej mogą się kruszyć.

Wzięła jeszcze jeden łyk. Mówi się, że koniak pozwala zapomnieć. Zastanawiała się, ile trzeba wypić, zanim pojawi się ten efekt. Może już

wkrótce to odkryje.

Ktoś odebrał jej butelkę. Von Orven. Usiadł przy niej i Corrisande zauważyła, że opiekuńczo objął ją ramieniem.

Wyglądał przy tym na dość onieśmiałego i w żadnym wypadku nie powinna mu na to pozwalać. Najwyższa pora, by skrytykować go za takie zachowanie. Powinna to teraz zrobić. Koniecznie. Nie pozwoliła mu przecież na taką poufałość.

Ale był ciepły. Płynęło od niego życie i dobrze było poczuć, że ktoś ją ochrania. Nie powinna była tego robić, ale oparła się o niego, a on ostrożnie ją przytrzymał.

– Wygląda pani lepiej – zauważył z krzywym uśmiechem pułkownik Delacroix. – A skoro czuje się już pani lepiej, powinniśmy pomówić o tym, co się stało. Przykro mi, ale nie mogę pani tego oszczędzić i musimy rozmawiać jasno i otwarcie, nawet jeśli nie będzie to dla pani przyjemne. Nawet jeśli mielibyśmy poruszać tematy, o jakich raczej nie rozmawia pani z mężczyznami.

Corrisande zauważyła, że młody oficer, który ją podpierał, był zaniepokojony i chciał zaprotestować. Widziała, że sprawa była też niezręczna dla szwoleżera, coś, co raczej nie przytrafia mu się często, spojrzała więc w dziwne bursztynowe oczy pułkownika i wiedziała już, o co ją za chwilę zapyta.

Zarumieniła się potwornie, i wcale nie musiała się starać.

– Nie – powiedziała i próbowała bez słów zmusić go do zrozumienia, że była to odpowiedź na pytanie, którego wcale nie chciała usłyszeć. – Nie.

Z początku wyglądało na to, jakby zamierzał pytać ją dalej, ale później wyczytała z jego oczu, że zaczyna rozumieć.

– Jest pani ranna? – zapytał klinicznie neutralnym tonem.

– Nie, sir – postarała się, by jej głos nie zabrzmiał sentymentalnie, a zachowanie cechowała rezerwa. – Nie sędzę. – Wstała, jej kolana silnie drżały. – Za pozwoleniem, muszę panów na chwilę przeprosić, obawiam się, że zaraz źle się poczuję. Marie-Jeannette!

Rzuciła się na ślepo do sypialni, nie pozwalając sobie na odruch wymiotny przy mężczyznach. Von Orven również zerwał się na równe nogi, jakby chciał ruszyć za nią, ale Delacroix go powstrzymał.

– Sir! – krzyknął Asko wzburzony. – Ona potrzebuje pomocy!

Von Görenczy odpowiedział:

– Zostaw ją w spokoju. Skoro zrobiło jej się niedobrze, z pewnością woli być sama.

Drzwi zamknęły się za dziewczynami. Trzech mężczyzn zostało w salonie. Von Görenczy pociągnął łyk ze srebrnej butelki i podał ją Delacroix. Ten również się napił i podsunął piersiówkę von Orvenowi. Jasnowłosy oficer z początku odmówił, potem jednak powiedział:

– Ach, do diabła z tym! – I też pociągnął łyk.

– Lepiej nie – odrzekł Delacroix.

## Rozdział 28

Hotel był stosunkowo nowy. Wyposażony zgodnie z najnowszymi standardami, co oznaczało, że Corrisande miała w sypialni własny zapas wody. Dziewczyna była za to wdzięczna. W pokoju zawsze znajdował się dodatkowy dzban z wodą. Obmyła rozpaloną twarz. Czowała się tak, jakby znów miała zwymiotować, ale w żołądku nic jej już nie zostało.

Paliło ją w gardle. Przeplukwała je roztworem z mięty i lawendy. Płyn złagodził trochę potworny smak w ustach.

– Pomóż mi zdjąć suknię – rozkazała Marie-Jeannette. – Nie zniosę jej już ani chwili dłużej. No już!

– Przestań się wiercić. W ten sposób nie uda mi się odpiąć haczyków. – Marie-Jeannette było w tej chwili wszystko jedno, czy ktoś słyszy, że była na ty ze swoją pracodawczynią.

Corrisande walczyła z suknią jak z wrogiem. Jedwab darł się na strzępy.

– Psujesz ją! – krzyknęła Marie-Jeannette.

– Wszystko jedno. Już nigdy jej nie założę. Spal to ubranie, które mam na sobie. Nic z tego nie chcę już nigdy widzieć.

Marie-Jeannette była wstrząśnięta.

– Ale nie musisz przecież...

– Rób, co ci każę! – nakazała Corrisande, zbyt zmęczona na uprzejmość. Zrzuciła suknię, potem spód, gorset, krynolinę, halkę, botki, koronkową bieliznę i jedwabne pończochy.

Marie-Jeannette odwróciła się. Nie była przyzwyczajona, by pracodawczyni całkowicie się przed nią obnażała. Corrisande miała jednak teraz inne priorytety. Odrzuciła ubrania, powtarzając przy tym:

– I żebyś mi je naprawdę spaliła. Chcę, żeby zniknęły. Nigdy już nic z tego nie założę.

Następnie stanęła naga za parawanem i rozkazała Marie-Jeannette po drugiej stronie:

– Idź teraz do panów. Powiedz im, że to jeszcze chwilę potrwa, ale że chętnie z nimi porozmawiam. Poproś, by poczekali. Zamów dla nich

napoje i przekąski z kuchni, a potem wróc do mnie. Będiesz mi potrzebna. Musisz mi pomóc się ubrać, a gdy skończę, posprzątasz tu do czysta.

Marie-Jeannette zniknęła z pokoju.

Ręce Corrisande sięgnęły do włosów, wyciągając spinki, grzebyczek i wstążki. Pełna obrzydzenia odrzuciła je. Nie chciała mieć na sobie nic, czego dotknęło mroczne stworzenie. Jej długie, jedwabiste włosy opadły na plecy. Potrząsnęła nimi. Następnie sięgnęła po ręczniczek i kawałek mydła, po czym zaczęła się myć. Metodycznie, starannie, nie pomijając nawet centymetra skóry. Po jakimś czasie odłożyła ręcznik, sięgnęła po szczoteczkę do rąk i zaczęła drapać nią po skórze, ignorując ból. Rozczesała włosy mokrą szczotką.

Gdy skończyła, stanęła przed lustrem, obserwując dokładnie swoje nagie ciało. Czegoś takiego się nie robi. Cywilizowana dama nie spaceruje w stroju Ewy przed lustrem.

Ale musiała być pewna. Szukała znamion na skórze, śladów, które może zostawił po sobie cień. Nie znalazła niczego poza zadrapaniami po szorowaniu się szczotką do rąk i siniakiem. Jedna czerwona linia biegła przez jej szyję. Wyglądała jak oparzenie i bolała. Ale to była jedyna niezwykła rzecz, jaką dziewczyna znalazła.

W pewnym sensie oczekiwała rybiej łuski. Gdy poczuła, że istota zbliża się przez podłogę, rzuciła się biegiem. Nie chciała jeszcze raz popaść w czarne omdlenie i zostać uwięziona, bała się, ponieważ to coś znało imię Corrisande i mogło zadać jej ból. Gdy cień obezwładnił ją na końcu korytarza, na początku nie było to bolesne, nie bolało tak, jak się tego obawiała. Potwór ją pieścił. A nawet więcej. We wzbudzający wstręt, cielesny sposób zalecał się do niej i nagle zrozumiała, że musiał dostrzec coś mu bliskiego. Przyjaciółkę, pokrewną duszę, o ile feyony miały duszę.

To mogło jeszcze wszystko pogorszyć i było to coś, czego mężczyznom w drugim pokoju – którzy tak dzielnie i stanowczo walczyli, by ją uwolnić – Corrisande nie mogła zdradzić. Nie była nawet pewna, czy pojęli, co się wydarzyło. Delacroix to zrozumiał. Trochę go za to nienawidziła.

Musi się zastanowić, co im powiedzieć. Nikt nie powinien się

dowiedzieć, że w żyłach damy z Jarrencourtów płynie krew feyona. O tym, że była dostatecznie feyonem, by wyczuć z wyprzedzeniem zbliżanie się potwora, zanim jeszcze się zmaterializował, i że z powodu zaklęcia przeciw feyonom nie mogła opuścić budynku – a tym samym zmuszona była tkwić tutaj jako samica, do której zalecała się wyposażona w macki kreatura chyba z samego piekła – nie mogła powiedzieć, to pewne.

To coś, cień, musiało zginąć. Trzeba go zabić, nawet jeśli miałyby to oznaczać, że Corrisande pomoże w polowaniu i znów stawi stworowi czoła. Nawet gdyby miało to oznaczać, że dziewczyna znów zastygnie w czarnym szkłe, że znów będzie martwa, bo tak właśnie było. Zmieniła się w pozbawiony życia kawałek kamienia. Czowała, jak jej skóra i żyły w jednej chwili sztywnieją, krew zastyga, serce zamarza. Bolało potwornie, nie do wytrzymania, i instynktownie wiedziała, że to zaledwie początek metamorfozy, prowadzącej do czegoś znacznie bardziej przerażającego.

Kolana ugięły się pod dziewczyną, zachwiała się i uchwyciła ściany. Tylko nie upaść. Opierała się, by nie poddać się swym oczom, które się zamykały i oddawały czerni. Nie chciała bezbronne wystawiać się na ponowny atak. Cień mógł w każdej chwili wrócić.

I od razu Corrisande wiedziała, że istota nie wróci już przed wieczorem. Dziewczyna nie miała pojęcia, skąd wzięła się ta wiedza. Po prostu była. Ta nagła pewność sprawiła, że jej żołądek znów zaczął się buntować. Znów ogarnęły ją mdłości i z trudem z nimi walczyła, rozpaczliwie rozglądając się za wiadrem.

Wyjęła z szafy świeżą bieliznę i zaczęła się ubierać. Próbowwała traktować to, co ukazał jej jasnowłosy lekarz, jak urojenia. Ale to się zgadzało. Musiało się zgadzać. Nazwał ją nereidą. Morską nimfą.

Próbowwała sobie przypomnieć, czy było w historii jej rodziny coś, co dawałoby jakieś wskazówki dotyczące pochodzenia od feyonów. Nic. Gdy jednak Corrisande zaczęła teraz o tym myśleć, uświadomiła sobie, że Jarrencourtowie zawsze mieli synów, nigdy córki. To, że majątek i tytuł przechodziły z ojca na syna, było na porządku dziennym. Jednak to, że na świat zawsze przychodzili synowie, było nienormalne. Wśród Jarrencourtów była pierwszą córką.

Być może dziedzictwo feyonów dotyczyło tylko żeńskiej linii? Być może dlatego nikt tego nie zauważył? Dziewczyna musiała o tym więcej poczytać, ale dopiero we właściwym czasie. W tej chwili ważne było tylko jedno: utrzymać magiczne dziedzictwo w tajemnicy. To się nie może wydostać na światło dzienne. Nikt nie może wiedzieć. Nawet ojciec, który wszystko, co związane z magią, uważał za podejrzanę, ale który z pewnością szybko się przekona, że mógłby wszelkie osobliwe i nienaturalne talenty Corrisande, o ile jakieś posiadała, wykorzystać dla swoich celów. Dziwne i nienaturalne były słowa, których szukała. Corrisande zrozumiała, że jest monstrum.

Marie-Jeannette wróciła do sypialni.

– Panowie dopytywali się o twoje samopoczucie. Teraz popijają kawę. Z herbatnikami. Ten jasnowłosy podporucznik wygląda tak, jakby miał ochotę tu wejść i pomóc ci przy ubieraniu.

Corrisande zmusiła się do uśmiechu.

– To możliwe. Ale nigdy by czegoś takiego nie zrobił. To dżentelmen w każdym calu.

Marie-Jeannette wyszczerzyła zęby.

– Gdybyś mnie pytała, to ja...

– Ale cię nie pytam, Marie-Jeannette, i w tej chwili nie ma to nic do rzeczy. Lepiej pomóż mi z gorsetem i nie wiąż go zbyt ciasno. W moim obecnym stanie nie byłoby to zbyt korzystne. Włożę tę zieloną suknię.

– W zielonym ci nie do twarzy. Sprawia, że wyglądasz blado.

– Nie tylko to. Inne rzeczy też sprawiają, że wyglądam blado.

– Ale w tej bladoliliowej muslinowej sukni wyglądasz o wiele lepiej...

– To nie jest przyjęcie. Cokolwiek wydarzy się przez resztę dzisiejszego dnia, kolor mojej sukni nie będzie miał na to wpływu. Zielona jest szeroka i wygodna, a tego teraz potrzebuję.

W pokoju zaległa cisza. Marie-Jeannette zagryzła wargi. Wyglądała, jakby coś jej leżało na sercu.

– Eeee... – odezwała się w końcu – nie jestem pewna, ale to pismo, które dla ciebie dzisiaj...

– Jakie pismo? – zapytała Corrisande.

– To do reprezentanta „Króla”. O pułkowniku Delacroix...

Corrisande usiadła gwałtownie, gdy ugięły się pod nią kolana.

– Co? – zapytała wstrząśnięta.

– Mrs Parslow dała mi pismo do pana Duponta. Tyle tylko, że go nie było. Podobno jest tutaj, w hotelu. Kto wie dlaczego. Jego „numer dwa” obiecał mi, że natychmiast zajmie się tym przypadkiem.

Corrisande nawet nie pytała, o jaki przypadek chodzi. Ukryła twarz w dłoniach i siedziała tak nieporuszona, jakby zmarła.

– O Boże! – krzyknęła. – Musimy ostrzec pułkownika. Jeśli zginie z naszego powodu, nigdy sobie tego nie wybaczę. Musisz go ostrzec!

– Niby jak? – zapytała Marie-Jeannette. – Nie możemy przecież pójść do niego i wypowiadać mu się, że, niestety, przez przypadek nasłaliśmy na niego mordercę. Nie uwierzy, a jeśli nawet, to będzie zadawał pytania. I co wtedy?

– Wobec tego musisz znaleźć mordercę. Musi się tu pojawić. Powiedz mu, że to wszystko jest nieporozumieniem.

Marie-Jeannette nie wyglądała na szczęśliwą. Nie miała ochoty na jeszcze jedno spotkanie z bandytą. Prawdopodobnie nawet nie zdoła go odszukać.

– Pewnie jest wprawnym skrytobójcą. Będzie uważał na to, żeby nikt go tu nie zobaczył – rzuciła.

Obie siedziały w milczeniu.

– Jakieś anonimowe ostrzeżenie? – podsunęła Marie-Jeannette po chwili. Corrisande podskoczyła.

– Dokładnie. To jest to. Ołówek leży na moim nocnym stoliku. Mamy papier?

– Tylko do papilotów. Papeteria jest w salonie. – Marie-Jeannette podała Corrisande kilka cienkich pasków brązowego papieru, którego normalnie używała do kręcenia loków swej pracodawczyni.

– To musi wystarczyć. Jest mężczyzną. Pewnie nie ma pojęcia, czym jest papier do papilotów.

Corrisande przyklękła przy nocnym stoliku.

„Sir”, zaczęła pisać wyciągniętymi wersalikami, starając się zmienić charakter pisma, „to jest ostrzeżenie. Wysłano za panem skrytobójcę. Uderzy jeszcze dziś”. Podpisała się jako „Przyjaciel”.



Starannie złożyła kawałek papieru.

– Mam go przemyścić do jego pokoju? – zapytała Marie-Jeannette.

– Nie – odparła Corrisande. – Nie wiemy, kiedy do niego wróci. Podrzucę mu go do kieszeni marynarki. Tam go z pewnością znajdzie.

Marie-Jeannette skinęła głową. Jej chlebodawczyni, jak wiedziała, była wyszkolonym kieszonkowcem. Gdyby chciała, mogłaby w ten sposób zarabiać na utrzymanie.

Skończyły z ubieraniem.

Corrisande przejrzała się w lustrze. Wyglądała blado. W zielonym nie było jej do twarzy. Postarzał ją. Prawie obnażał, ile rzeczywiście miała lat, a dekolt był za duży i pokazywał więcej, niż młodej dziewczynie wypada.

– Jest zbyt głęboko wcięty – westchnęła, lecz Marie-Jeannette już nakładała jej na ramiona czarną koronkową chustę, którą udrapowała na dekolcie. Zielony jedwab i czarne koronki. Nie było to coś, czego oczekiwano od osiemnastoletniej panny. Mniejsza z tym.

– Co zrobimy z włosami? – zapytała Marie-Jeannette. – Są jeszcze wilgotne.

– Zostawimy je rozpuszczone. Nie ma czasu na robienie fryzury. Upnij je po bokach.

Marie-Jeannette sięgnęła po dwie spinki i wsunęła je we włosy Corrisande. Następnie przyjrzała jej się krytycznie.

– To nie twój styl – oceniła nieszczęśliwym głosem. Była dumna ze swych umiejętności upiększania kobiet, ale pracodawczym nie wyglądała tak, jak Marie-Jeannette by sobie życzyła.

– Gwiżdżę na styl – Corrisande wyraziła się w sposób, którego zazwyczaj starała się unikać.

Marie-Jeannette spojrzała na nią zdumiona.

## Rozdział 29

Cérise była więcej niż wściekła.

Próba została przerwana, a w końcu odwołana, gdy tenor przysłał wiadomość, że jest niedysponowany. Przeziębienie, jak oznajmił. Musi się najpierw podleczyć, by nie zagrozić swemu zdrowiu w poważniejszy sposób.

Korepetytor przećwiczył więc z resztą artystów tylko dwie arie, a następnie baron von Perfall przesunął wszystkie próby na następny dzień. To się zdarzało i w gruncie rzeczy nie było na tyle ważne, by mogło popsuć Cérise humor. Ten jednak był już zły, w chwili gdy śpiewaczka wchodziła do opery.

Czuła się niedoceniana. Gdy obchodziła budynek, by znaleźć wejście dla artystów od strony wozowni królewskiej, przyszło jej na myśl, że właściwie powinno się po nią posłać, skoro była nową gwiazdą na monachijskim operowym firmamencie. Ale nawet nie zapytano, czy potrzebuje eskorty. Nie żeby Cérise zamierzała przyjąć taką ofertę, w końcu potrafiła sama o siebie zadbać. Jednak ta bezmyślność graniczyła z bezczelnością. W końcu Cérise była primadonną.

W takim właśnie nastroju napotkała przy wejściu portiera. Miał czelność jej nie poznać. Zamiast tego – jak uważała, w sposób poniżający – poinformował ją, że jeśli przyszła po autografy, to może je otrzymać dopiero po przedstawieniu. Ta wypowiedź rozgniewała Cérise. Zaserwowała portierowi ładnie sformułowane i okraszone bogatym słownictwem poszerzenie horyzontów, zapominając przy tym nawet, by wtrącić parę francuskich słów, które miała w zwyczaju wplatać w konwersacje. Mężczyzna nie wydawał się wystarczająco skruszony, by śpiewaczka poczuła satysfakcję.

W każdym razie zdarzenie sprawiło, że się spóźniła i baron von Perfall najwyraźniej nie był zdania, że kwadrans akademicki należy się primadonnie jak psu kość. Inni dyrektorzy teatrów zadawali sobie dużo trudu, by nie złościć swoich gwiazd – wszak to one przyciągały publiczność. Baron natomiast chłodno upomniął Cérise, by w

przyszłości przychodziła punktualnie, bo nikt nie ma ochoty na nią czekać.

Baronowi Cérise także pragnęłaby zaserwować ładnie sformułowane i okraszone bogatym słownictwem poszerzenie horyzontów – nieważne, czy z francuskimi wyrażeniami, czy bez – ale wiedziała, że popełniłaby błąd. Była dobrą śpiewaczką, ale nie jedyną na świecie, a Monachium znajdowało się na najlepszej drodze do tego, by z przeciętnego operowego miasta zmienić się w centrum operowej sztuki. Cérise nie mogła i nie chciała sobie pozwolić na to, by popsuć stosunki z człowiekiem, który nie tylko ustalał obsadę, lecz którego również uważano za szczególnie kompetentnego w sprawach opery, zwłaszcza że zdanie to podzielał Jego Wysokość król Ludwik II.

Dlatego Cérise przeprosiła i poskarżyła się, że portier jej nie rozpoznał i co za tym idzie – nie chciał wpuścić. Oczekiwała, że ten afront wywoła u innych śpiewaków i śpiewaczek wzburzenie, lecz oni uznali zdarzenie za dowcipne. Słyszała, jak chichotali za kulisami.

To nie poprawiło jej nastroju i gdy ją w końcu poinformowano, że pan Franz Nachbaur, tenor, nie dotrze na próbę i że mają ćwiczyć z pianistą oraz jakimś zastępcą z chóru, jej oburzenie sięgnęło zenitu.

Mogła co prawda zrezygnować z próby tego dnia i w gruncie rzeczy przesunięcie terminu powinno być jej aż nadto na rękę, jednak okoliczności nieznośnie Cérise nie sprzyjały. Decyzja o tym, czy próba zostanie przesunięta, czy się odbędzie, powinna należeć do niej.

W każdym razie była to krótka próba, więc niebawem śpiewaczka już wolna mogła wrócić do hotelu. I tak też uczyniła.

Tyle że nie od razu. Między budynkiem opery a hotelem przechodziło się przez Schwabinger StraÙe ze wspaniałymi sklepami, Cérise odwiedziła więc jeden z nich, szukając perfum. Zdecydowała się w końcu na zapach „Biała Orchidea”. Podobał jej się aromat, przypominał jej kwiat, który poprzedniego wieczoru znalazła na swoim łóżku.

Zastanawiała się, czy dziś też znajdzie i kim może być mężczyzna, który je przynosi. Niemal mogła go sobie wyobrazić. W jej fantazjach był szczupły, o ciemnej cerze i podniecająco tajemniczy.

Albo Cérise ponosiła fantazja, albo też miała talent jasnowidzenia,

którego do tej pory nikt nie docenił. Podobnie jak z innymi jej talentami – nigdy ich nie doceniano. Cérise nie była dostatecznie wysoko ceniona, w każdym razie nie tak, jak powinna. Postanowiła nad tym popracować, by wyraźniej pokazać swoją wartość i uzdolnienia. Leniwie i bez pośpiechu zmierzała do hotelu. Nie spieszyła się i bynajmniej nie traciła czasu po to, by przegapić pojawienie się potwora. Pewnie już dawno go nie było, a może nawet został już złapany.

To by się okazało trochę niezręczne. Cérise chętnie byłaby obecna na polowaniu, gdyby chodziło o sławę i uznanie za wypełnienie zadania i schwytanie cienia. Sławę i uznanie dla Cérise, rzecz jasna. W końcu Jego Wysokość osobiście poprosił ją o pomoc.

Estyma, jaką darzono śpiewaczkę w grupie, nie była jednak taka, jak powinna. Cérise zasługiwała na większe uznanie. Może chociaż ten prezent z zimnego żelaza okazał się użyteczny. Niemądrze, że panowie nie pomyśleli, żeby się zaopatrzyć w stosowną broń.

W hotelu zapukała najpierw do drzwi Asko, później von Görenczy'ego, a na końcu do Delacroix. Żadnego z oficerów nie było w pokoju. Zniknęli, zupełnie jakby nie chcieli mieć z nią nic do czynienia. Cérise pozostawiła boyowi hotelowemu wiadomość, że wróciła i że gdyby panowie o nią pytali, jest w swoim apartamencie.

Poszła do siebie. Salon skryty był w półcieniu. Ktoś zaciągnął zasłonę. W samym środku dnia – co za bezsens. Przecież świeciło słońce. Był piękny wiosenny dzień. Podeszła do okna.

– Proszę – odezwał się przyjemnie brzmiący głos, który rozpoznała tylko najgłębiej skryta część jej natury – zostaw je zasłonięte. Ciemność jest znacznie przyjemniejsza, nie sądzisz?

Ujrzała w salonie ciemną sylwetkę i nagle przypomniała sobie nowego przyjaciela, który odwiedził ją poprzedniego wieczoru. Mężczyzna, który przyniósł jej orchideę.

Spoczywał niedbale na sofie. Wyglądał elegancko i bardzo pociągająco.

– Proszę, sir – odezwała się dość poirytowana. – Co robi pan w moim pokoju?

Odchylił się i spojrzał jej w oczy znad okularów, w których ramki oprawione były ciemne szkła.

Zrobił zapraszający gest, a Cérise zbliżyła się i usiadła obok gościa. Zastanawiała się przy tym, czy światowy człowiek nie powinien przypadkiem powstać. Takie zachowanie normalnie by ją rozgniewało, gdyby chodziło o kogoś innego.

Ale ten mężczyzna był feyonem. Właśnie. Był inny.

Jednak Cérise powinna skarcić go za to zuchwałe zachowanie. Nie mogła pozwolić, żeby mężczyźni pojawiali się ot tak, po prostu w jej pokojach i zwracali się do niej per ty. Nawet jeśli byli to atrakcyjni mężczyźni. Nawet jeśli byli to niezwykle atrakcyjni mężczyźni. Więc go skarci. Tylko trochę. Tylko po to, by go nauczyć, że damę należy traktować poważnie. Szacunek coś dla Cérise znaczył.

Otworzyła usta, by go skrytykować, i nagle poczuła jego wargi na swoich. Wydawały się znajome. Całował ją gorąco i miała wrażenie, jakby czas stanął w miejscu.

Gdy mężczyzna przestał, Cérise nie mogła złapać tchu. Powinna coś zrobić, coś powiedzieć. Ale nie mogła sobie przypomnieć co. Stwierdziła, że nie siedzi już obok feyona, lecz na wpół na nim leży. Tył jej głowy spoczywał na jego łonie. Przytrzymał ją ręką. Czowała jego nogę pod swoim ramieniem.

To była dość osobliwa sytuacja, znaleźć się nagle w tej pozycji. Ale Cérise nie broniła się. Mężczyzna głaskał jej gardło i czuła ostre paznokcie, które delikatnie, uważnie i bardzo ostrożnie muskały jej szyję. Przyjrzała się szczupłej dłoni. Długie, wąskie palce, zakończone ostrymi paznokciami. Trochę za długie i za wąskie, jak na światowego człowieka. Przypominały pazury, były lekko wygięte i niemal spiczaste. Cérise przyglądała im się z narastającym uczuciem irytacji.

Feyon zauważył jej spojrzenie i uśmiechnął się. Zapomniała. Teraz trzymał jej rękę w dłoniach.

– Kocham cię – powiedział – i wolałbym, żebyś nie przyszła akurat teraz.

Cérise nie rozumiała logiki tej wypowiedzi. Trochę się zaniepokoiła, czy nie oznaczało to czegoś poważnego.

Uniósł ją, trzymając za ramiona, i ponownie pocałował, a Cérise wiedziała, że tęskni za tym, by ją kochał. Była namiętą kobietą. Już nie dzieckiem. Miewała kochanków, ale jeszcze nikt nie wy dobył takiego

odzewu z jej duszy jak ten mężczyzna. Wibrowała jak struny harfy, na której grał arpeggio. Niemal słyszała akordy.

Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy zdjęła suknię. Upadła w nieporządnym stosie na podłogę, gdy mężczyzna głaskał nagie ramiona Cérise i całował ręce.

– Graf Arpad – powiedziała, ponieważ chciała coś powiedzieć, a nie mogła sobie przypomnieć co.

– Dobrze – odpowiedział – znasz jeszcze moje imię. Bardzo dobrze.

Pocałował wewnątrz jej dłoni i nagle Cérise przeraziła się, gdy przeszył ją króciutki, ostry ból. Feyon wbił zęby w jej ciało. Bała się, ale nie wiedziała czego. Czuła, jak strumień krwi zawraca, jakby od niej odpływał. Dyszała, gdy gwałtowne oburzenie nagle szarpnęło jej sercem.

Chwilę później kochała już to uczucie, wtapiała się i tonęła w nim, miała nadzieję, że będzie trwało wiecznie. Ale kochanek znów przestał. Lizał przegub jej dłoni i widziała, jak zamykają się małe otworki, aż właściwie nic po nich nie zostało, w rzeczy samej nie było po nich ani śladu.

– Muszę iść – powiedział, oddychając ciężko. – Zbyt łatwo mógłbym cię zamordować. Nie chcę cię stracić. – Spojrzał z jednoczesną skruchą i tęsknotą w twarz śpiewaczki. – Przyjdę znów, gdy tylko skończy się polowanie. Gdy tylko się stąd wydostanę.

Znów spróbowała zrozumieć logikę jego słów i odchyliła się, on zaś pocałował ją w zagłębienie między piersiami.

– Pamiętaj, że cię kocham – powiedział.

Cérise leżała na sofie, pod kocem, którym dokładnie ją przykrył. Wziął swoją laskę i dodał:

– Pamiętaj także, że ty też mnie kochasz.

I pamiętała. To było jedyne, co mogła sobie przypomnieć.

## Rozdział 30

Gdy Corrisande weszła do salonu, sprawiała wrażenie, jakby mocno wzięła się w garść.

Obaj podporucznicy skoczyli na równe nogi, Asko wyszedł jej naprzeciw i podsunął ramię. Dziewczyna przyjęła je i pozwoliła doprowadzić się do siedziska. Gdy usiadła, mogła zobaczyć, dlaczego Delacroix nie powstał, tak jak zrobili to pozostali. Spał rozparty w fotelu. Głowa zsunęła mu się trochę za oparcie, usta były lekko otwarte, ukazując imponujący rząd białych zębów. Pochrapywał cicho. Wyglądał tak spokojnie...

Nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Von Orven nie uważał jednak, by ta sytuacja była śmieszna. Jego mina świadczyła, że to dlań przykre.

– Proszę wybaczyć – w głosie młodego oficera zabrzmiało zakłopotanie. – Mało ostatnio spaliśmy, a pułkownik podczas potyczki dziś rano został ranny.

– Musi być bardzo zmęczony – stwierdziła Corrisande ze współczuciem.

– Nie tylko on – burknął von Görenczy.

Von Orven potrząsnął śpiącego lekko za ramię. Pułkownik obudził się natychmiast.

– Proszę mi wybaczyć. – Wstał i uklonił się. – Musiałem na chwilę przysnąć. Cóż za straszne zachowanie. – W jego bursztynowych oczach pojawiły się iskry rozbawienia.

Corrisande nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

– Cóż, sir – odparła taktownie – trochę dzisiaj wycierpieliśmy. Mam jak najgłębsze zrozumienie dla pańskiego zmęczenia.

– Cieszy mnie to – odpowiedział na to pułkownik. – Jak się pani czuje, Miss Jarrencourt? Czy doszła pani do siebie po tej... przygodzie?

Zarumieniła się i nienawidziła go za to.

– Trochę. – Czowała na sobie spojrzenia trzech mężczyzn i mogła odczytać ich uczucia z taką łatwością, jakby wypowiadali je na głos. W

tej chwili żaden z nich nie był w stanie zbyt dobrze ukryć emocji, ona zaś zawsze miała dobry instynkt w tych sprawach.

Von Görenczy nie był nią zbytnio zafascynowany, robił jednak niepokojące wrażenie. Von Orven zachwycił się jej rozpuszczonymi włosami, opadającymi w nieokiełznanym przepychu na plecy, Delacroix zaś krytycznie ocenił, że dziewczyna sprawia wrażenie starszej niż przy wcześniejszych spotkaniach.

Corrisande powinna była posłuchać Marie-Jeannette, w końcu płaciła tej dziewczynie za rady dotyczące stylu i wywieranego efektu.

Siedziała cnotliwie, wyprostowana w fotelu i dała mężczyznom znak, by zajęli miejsca.

– Wygląda pani inaczej – powiedział Delacroix i nie wiedziała, czy ma na myśli jej suknię, czy ogólne wrażenie. – Pewnie uzna mnie pani za bezczelnego, Miss Jarrencourt, ale czy została pani... czy to panią...

– Nie doznałam uszczerbku, ale dziękuję za troskę – przerwała mu szybko. Nie miała zamiaru opowiadać mu, jak w rozpaczliwym pośpiechu oglądała swoje ciało, ani choćby o tym myśleć.

– Dzięki Bogu – powiedział von Orven – mogło się to skończyć inaczej. Mogła pani...

– Nie chcę o tym mówić – przerwała mu, wiedziała jednak, że chciał powiedzieć, iż mogła stracić życie, a nie coś innego.

Zarumienił się i uklonił. Pojmowała, że niebezpieczeństwa, które tak wyraźnie ujął Delacroix, von Orven nigdy nie przyjąłby do wiadomości. Martwił się o jej życie, nie o jej cnotę. Jego ostentacyjna przyzwoitość nie pozwalała mu pewnie pomyśleć o czymś innym i prawdopodobnie nie widział wszystkiego aż tak wyraźnie.

– Miss Jarrencourt – zaczął znów Delacroix – nie wiedzieliśmy, że pani wciąż tu jest. Mademoiselle Denglot poinformowała nas, że zamierzała pani opuścić hotel. Myśleliśmy, że już dawno pani wyjechała.

Corrisande chętnie by to zrobiła. Ale nie mogła się stąd wydostać. Była pewna, że panowie obecni w salonie wiedzieli o czarze rzuconym przeciw feyonom, musiała więc uważać na to, co mówi.

– Zmieniłyśmy zdanie – wyjaśniła. – Moja ciotka dowiedziała się, że wszystkie pokoje w Zur Sonne są zajęte, a ja wciąż jeszcze byłam



zbyt zmęczona po wydarzeniach ostatniej nocy. Postanowiłyśmy więc pozostać, dopóki nie znajdziemy odpowiedniego miejsca, gdzie mogłybyśmy się przeprowadzić.

Brzmiało to przekonująco, a jednak Delacroix nie uwierzył. Nie wiedział dlaczego, ale wydawało mu się, że to wymówka.

Tyle tylko, że po co młoda dama miałaby kłamać? Cóż, nie powinno go to obchodzić. Może jakieś osobiste powody skłoniły ją do pozostania, najprawdopodobniej niezwiązane z tym, co się dzieje w hotelu. Jakieś sprawy rodzinne? Wielbiciel? Corrisande była przecież małą, śmieszna panią. Naprawdę słodką.

– Ta decyzja trochę nas zdziwiła – wyznał von Orven. – Po tym, co opowiedziała nam mademoiselle Denglot, mogło się wydawać, że bardzo paniom zależy, by jak najszybciej stąd wyjechać. Co byłoby zrozumiałe i jak uważam, słuszne. Wciąż jeszcze powinny panie to zrobić.

– Tak czy inaczej – wtrącił Delacroix. – Gdzie ona teraz jest? To znaczy mam na myśli Mrs Parslow.

– Poszła na spacer i chciała zajrzeć do kilku sklepów.

– Zostawiła panią samą? – zapytał von Orven. – Nigdy bym nie pomyślał, że może tak zaniedbać swoje obowiązki. Oczywiście – dodał, rumieniąc się – nie mam żadnego prawa, by ją krytykować.

– Słusznie – przyznała Corrisande. – Nie miałam ochoty na spacer, więc zostałam tutaj. To wszystko. Poza tym nie byłam przecież sama. Towarzyszyła mi pokojówka. Jest tu zresztą także teraz, choć muszę przyznać, że na ochronę się nie nadaje. Ale przecież człowiek nie spodziewa się, że zostanie zaatakowany we własnym pokoju.

– Ale... – zaczął znowu von Orven, który co prawda jej wierzył, ale któremu najwyraźniej nie mogła pomieścić się w głowie myśl, że tak krucha, młoda dama została sama, bez ochrony.

– Przecież słyszałeś – przerwał mu Udolf. – Nie miała ochoty na spacer. Więc została tutaj. To wszystko.

– Dziękuję, panie podporuczniku – powiedział Delacroix. – Ale w tej chwili to i tak wszystko jedno. – Pochylił się, opierając prawy łokieć na kolanie. Jego lewa ręka wciąż jeszcze wisiała na temblaku. – Znów nie daliśmy rady złapać tej istoty, ale tym razem byliśmy bliżej niż

wcześniej. Podporuczniku von Orven, ten mały prezent od mademoiselle Denglot jest najwyraźniej prawdziwy. To zimne żelazo.

Corrisande przypomniała sobie nóż. Jeśli chodziło o pierwsze minuty zaraz po walce, nóż był jedyną rzeczą, którą sobie przypomiwała. Żarzył się jasno, zupełnie jak ten, który miał Delacroix, i w swej niewytłumaczalnej grozie niemal odebrał jej dech. Corrisande odczuwała przed tym ostrzem bezgraniczny lęk i mimowolnie pojmowała, że to najbardziej śmiertelna broń na świecie.

– Zimne żelazo – wyjaśnił von Orven – może zabić feyona. Może mu szkodzić tam, gdzie zwykła broń zawodzi. – Znów obrócił się do pozostałych mężczyzn. – Mamy więc teraz dwa takie ostrza. Lepiej, gdyby były trzy, ale wątpię, by w całym Królestwie Bawarii istniał jeszcze trzeci sztylet. Nie do wiary, że Cérise udało się zdobyć ten nóż. Ciekaw jestem, co musiała dać w zamian.

– O to lepiej nie pytajmy – wymruczał von Görenczy, a von Orven spojrzał na niego karcąco, z iskrą w oku, ale milczał.

– Musimy porozmawiać z Vonderbrückiem – stwierdził Delacroix.  
– On będzie wiedział, kiedy feyon znów się pojawi, i tym razem musimy doprowadzić sprawę do końca.

Spojrzał na Corrisande.

– Czy rozumie pani, co to znaczy, Miss Jarrencourt?

Skinęła tylko i przełknęła ślinę, nie pojmując, w jaki sposób jego głos mógł brzmieć tak spokojnie, zupełnie jakby mówił od niechcienia, choć przecież oczekiwał od Corrisande wielkiej ofiary.

Asko zaatakował go oburzony.

– Nie może pan narażać Miss Jarrencourt na takie niebezpieczeństwo! – krzyknął. – Następnym razem bestia może ją zabić. Zresztą już tym razem niemal to zrobiła.

Nie, pomyślała Corrisande. Zamordowanie mnie nie było jej celem.

– Ale jej nie zabiła – sprzeciwił się pułkownik – i będziemy przy panie Jarrencourt, gdy cię się pojawi. Będzie nam mogła powiedzieć, gdzie się dokładnie zmaterializuje.

– Niech pani wyjeżdża! – prosił von Orven, przyklękając przed Corrisande i patrząc jej w twarz. – Ani pułkownik, ani podporucznik

Görenczy czy ja sam nie jesteśmy w stanie zagwarantować pani bezpieczeństwa. Nie mamy żadnego prawa, by wymagać od pani współpracy. Nie mogę pozwolić, by narażała się pani na takie niebezpieczeństwo.

– Nie ma pan też prawa, by mi na coś pozwalać albo czegoś zabraniać, panie podporuczniku. – Corrisande uśmiechnęła się zmęczona. – Ale dziękuję za pańską troskę. Cenię to, że chce mnie pan chronić. Ale poczułam tego diabła na własnej skórze – zauważyła, że to nazbyt dosłowne porównanie wprowadziło w konsternację grzecznego młodego mężczyznę – i chcę, żeby został zniszczony. Pułkowniku Delacroix – przeniosła wzrok z podporucznika na jego towarzysza i spojrzała w dziwnie żółtawe oczy – będę pańską przynętą.

– O Boże! – wymruczał von Orven i skoczył na równe nogi.

– Dzielna dziewczynka – pochwalił Delacroix i uśmiechnął się, czego nie robił zbyt często. Wyraz jego twarzy zmienił się na chwilę i mimowolnie Corrisande odpowiedziała mu uśmiechem, zanim zdążyła pomyśleć.

– Gratuluję – powiedział Udolf. – Odważna z pani kobieta.

– Teraz jednak, moi panowie – rzekła i powstała majestatycznie, jak królowa, zmuszając mężczyzn, by również wstali – chciałabym się wycofać i odpocząć. Zakładam, że poinformują mnie panowie, kiedy będę potrzebna.

Skłonili się i odwrócili do wyjścia. Corrisande rzuciła Delacroix spojrzenie, które go zatrzymało, gdy dwóch młodych oficerów wyszło już z salonu.

– Pułkowniku – szepnęła, podchodząc blisko i patrząc w jego śniadą twarz południowca – chciałabym, aby mi pan coś przyrzekł. Nie może pan dopuścić, żeby to mnie... to mnie... – zaplątała się w słowach i lekko zadrżała.

Objął ją ramieniem i przytrzymał.

– Nie dopuszczę do tego – przyrzekł. A potem wyszedł.

Corrisande zamknęła za nim drzwi. Karteczka była teraz w jego kieszeni. Ale tylko z tego mogła się cieszyć. Jej umiejętności kieszonkowca nie zardzewiały.

Pułkownik stał na korytarzu i łamał sobie głowę. Sięgnął do

kieszeni i wyjął z niej karteczkę. Dlaczego to zrobiła – i jak? Ledwo to poczuł. Tylko profesjonalny złodziej, jakim sam kiedyś był, mógł coś takiego zauważyć. Ta młoda dama była zręczniejsza i subtelniejsza niż cała rzesza zawodowych kieszonkowców, których osobiście znał.

Rozwinął papier jedną ręką i przeczytał ostrzeżenie.

Miss Jarrencourt jest znacznie bardziej interesująca, niż można sądzić, pomyślał ponuro.

## Rozdział 31

Vonderbrück był zaniepokojony. Wysłuchał, co trzech oficerów miało mu do zrelacjonowania, i zatroskany zamlaskał przy tym językiem.

– Ajajaj! Ajajaj! – powiedział nie po raz pierwszy. – Sądzą panowie, że to naprawdę dobry pomysł? Miss Jarrencourt wydaje się niezwykle odważna. Ale co zrobicie, jeśli coś jej się stanie? Jak wytłumaczymy konieczność wciągnięcia w nasze dochodzenie tak młodej damy, skoro jest to sprawa dla zawodowych śledczych?

Zmartwiony potrząsnął białowłosą głową. Ten pomysł mu się nie podobał, to jasne. Siedział na fotelu pośrodku kręgu wyrysowanego białym proszkiem. Nie tłumaczył tego, ale mężczyźni zakładali, że bariera ma chronić go przed potworem. Podobny krąg znaleźli w pokoju zamordowanej ofiary. Tyle że zamordowany leżał poza kręgiem. Vonderbrück najwyraźniej nie zamierzał popełnić tego samego błędu.

– Też tak myślę – zawtórował Asko. – Nie powinniśmy jej do tego wciągać. Ona ufa, że wyjdzie z tej sprawy bez szwanku, ale nie mam pojęcia, jak moglibyśmy to zagwarantować. Bardzo się o nią martwię. Jest taka młoda i w ogóle nie rozumie, w jakim niebezpieczeństwie się znalazła.

Delacroix spojrział na niego krytycznie. Von Orven stał sztywno wyprostowany przy drzwiach. Wyglądało, jakby nie chciał się dosiąść do towarzyszy. Na jego twarzy widać było pełną dezaprobatę dla sytuacji i tego, jak sobie z nią radzili.

– Z pełnym szacunkiem dla pana wątpliwości – odparł Delacroix – ta dama wie, na co się decyduje. Może pan być tego pewien. Najprawdopodobniej w życiu nie była w gorszej sytuacji niż dzisiaj. I bardzo cierpiała. Ale to była jej decyzja, aby nam pomóc. Męczeństwo uświadomiło jej znacznie silniej niż nam, jakie to ważne, by unieszkodliwić tę istotę.

Udolf postanowił się wtrącić. Siedział niedbale na sofie i palił cygaretkę, mimo że Vonderbrück nie lubił dymu w swoim pokoju.

– Jeśli to coś spróbowałoby ze mną czegoś, co miało zamiar zrobić jej, zadbałbym, by zostało zabite – skomentował.

Asko spojrzał na niego poirytowany. Delacroix zignorował komentarz szwoleżera. Dla niego było jasne, że protesty von Orvena nasiliłyby się, gdyby wiedział, że los, jaki w najgorszym wypadku oczekiwał tę dziewczynę, nazywano gorszym od śmierci, i choć Delacroix nie uważał w swoim poczuciu moralności, że przed- albo pozamażeńskie związki kobiet z płcią przeciwną koniecznie należało określać jako „gorsze od śmierci”, to oczywiście uważał, że w tym przypadku stereotypowe wyrażenie należało rozumieć dosłownie.

– Panie Vonderbrück – zaczął – nie jestem z kamienia. Cierpienie i obawy tej dziewczyny nie są mi obojętne. Jednak nie wiem, jak mógłbym wziąć odpowiedzialność za nasze zadanie, gdybym nie próbował wykorzystać każdej dostępnej możliwości. Wiemy, o co tu chodzi. Jeśli nie ma nam pan do zaproponowania lepszego planu, i to naprawdę lepszego, to i tak nie mamy wyboru, musimy spróbować.

Vonderbrück spojrzał na niego ponuro. Przeczesał ręką włosy i potrząsnął głową.

– Ojoj! Ojoj! – skarżył się. – Prawdopodobnie ma pan rację, pułkowniku Delacroix. Mam nadzieję, że ta dama wie, w co się pakuje. Niech pan sobie wyobrazi, że musiałby pan wytłumaczyć jej ojcu, jej rodzicom, że została ranna, a może, uchowaj Boże, zginęła.

– W każdym razie – przerwał Asko, który wyglądał jak rozbitek chwytający się źdźbła słomy znalezionego na fali – jest za młoda, by mogła sama o tym decydować. Z pewnością nie jest jeszcze pełnoletnia i musimy zapytać jej ciotkę o pozwolenie. Szczerze wątpię, by ta dobra kobieta zgodziła się, żebyśmy narazili jej bratanicę na taką przygodę.

Mężczyźni milczeli. W jakiś sposób udało im się niemal zapomnieć o Mrs Parslow.

– Coś nam przyjdzie do głowy. Pozwólcie mi się tym zająć – wyszczerzył zęby von Görenczy. – Wiem, jak sobie radzić ze starszymi damami. Skoro to konieczne.

– Von Görenczy – roześmiał się Delacroix – ma pan żelazne nerwy, by mówić o Mrs Parslow jako starszej damie, naraża się pan, że ta dama zakłuje pana drutami do robótek. Tak stara to ona znowu też nie

jest. Nie wątpię w pański talent, wszystko jedno, w jakim wieku byłyby kobiety, ale w tym przypadku mogę się założyć, że wgrzyzie się pan w granit. Bo z tego właśnie materiału jest ta dama.

– Ojoj – powtórzył Vonderbrück i złożył ręce na piersiach. Delacroix obdarzył go miażdżącym spojrzeniem błyszczących żółtawych oczu.

– Panie Vonderbrück – powiedział cicho – jeśli ma pan lepszy pomysł, to jest to właściwa pora, aby nas o tym powiadomić. Jeśli nie, to upraszam pana, by zaprzestał pan zamęczania nas tym swoim: „Ojoj”. Myślę, że mógłby się pan postarać. W najwyższych kręgach zdecydowano o przydzieleniu nam do pomocy maga. Muszę jednak przyznać, że podczas naszego starcia z magicznym stworzeniem boleśnie mi tej pomocy brakowało.

Mag spojrzał na niego oburzony.

– Sir – zaczął się skarżyć – przypisuję to pańskiej ignorancji i nieświadomości. Skąd zresztą mógłby pan wiedzieć, ile sił wymaga utrzymywanie czaru przeciw feyonom? Obliczenia, gdzie pojawi się ta zjawia, są niezwykle czasochłonne! Nie zamierzam pozwolić, by mnie pan obrażał! Wysłano mnie tutaj, bym pomógł wam przejąć rękopis. Nikt nie był w stanie przewidzieć śmierci pana Mullera, a tym bardziej zaginięcia rękopisu. Zwracałem się do premiera o posiłki, moja prośba została jednak odrzucona. Uważa się, że dyskrecja ma decydujące znaczenie i że każdy kolejny człowiek zwróci większą uwagę na tę sprawę. Proszę pomyśleć, jaka panika może wybuchnąć!

Von Orven próbował uspokoić maga i tym samym wrócił do swego odwiecznego zadania, mianowicie do utrzymywania pokojowej i cywilizowanej atmosfery dzięki dobremu zachowaniu i manierom.

– Jestem pewien, sir, że w tych warunkach robi pan wszystko, co możliwe. Wiem, że hotel nie przyjmuje już żadnych gości. Ale odmówiono nam, gdy poprosiliśmy, by goście, którzy w nim zamieszkali, opuścili pokoje, zanim doszło do morderstwa.

– To się zgadza – dodał Delacroix. – Może morderca Mullera wciąż tu jest. Nie wiemy tego. Być może też próbuje dostać rękopis w swoje ręce. To, że Mullera zamordował ten potworny cień, to tylko nasza hipoteza. Nie przemawia za tym zbyt wiele. Cienie nie potrzebują

do tego celu tępych narzędzi.

– Słusznie – zawtórował mu von Görenczy – a jest jeszcze sprawa zwłok w piwnicy. W tym przypadku też mieliśmy do czynienia z rozbitą czaszką, a moją też prawie to spotkało.

– Zastanawiam się, kim był ten martwy człowiek – myślał na głos Vonderbrück. – Miał coś przy sobie?

– Nie wiem. Ktoś walnął mnie w głowę, zanim zdążyłem go przeszukać. Mógł mieć około pięćdziesiątki, jak sędzę, i sprawiał wrażenie dość niedołęznego. Ale cóż, był w końcu martwy. W tym stanie nikt by dobrze nie wyglądał.

– Nie wiemy nic więcej – powiedział Delacroix – i nie da się tego zmienić. Możemy się jedynie cieszyć, że napastnik nie zamordował też pana.

– Zastanawiam się dlaczego – mruknął zamyślony Asko.

Von Görenczy spojrział na niego zdumiony, towarzysz wyjaśnił więc dokładniej, co ma na myśli:

– Chcę przez to powiedzieć, że nawet jeśli nie zabił cię pierwszym uderzeniem, to dlaczego nie zrobił tego, gdy byłeś nieprzytomny? Jeśli założymy, że mamy do czynienia z tym samym sprawcą, który może mieć już na sumieniu dwóch ludzi, to musi istnieć jakiś powód, dlaczego akurat ty jeszcze żyjesz. Wydaje mi się to absurdalne.

– Serdeczne dzięki. Jak to miło, że uważasz za absurdalne pozostawienie mnie przy życiu – odparł kwaśno Udolf, zaś spiczaste końcówki jego kręconych wąsów zatrzęsły się z oburzenia. – Psiamać! Twój brak uczuć jest niewiarygodny, a przecież omal nie postradałem życia. Czyżbyś wszystkie ludzkie uczucia skupił wyłącznie na Miss Jarrencourt?

– Moja troska o Miss Jarrencourt, drogi Udolfie, to stosowne i odpowiednie uczucie żołnierza, którego zawód polega na tym, by chronić króla, ojczyznę i niewinnych cywili. A ty jesteś żołnierzem wypełniającym zadanie. Oczywiście strata ciebie byłaby bardzo bolesna, gdybyś zginął w naszej walce, ale twoja śmierć nastąpiłaby podczas wypełniania obowiązków. I taki jest los żołnierza. Natomiast jeśli chodzi o Miss Jarrencourt, to jej dobro jako osoby cywilnej, a także młodej, niedoświadczonej przedstawicielki słabszej płci powinno nam leżeć na



sercu.

Delacroix postanowił zainterweniować.

– Moi panowie – powiedział – nie mamy teraz czasu na kłótnie. Jestem pewien, że wszyscy cieszymy się z tego, że podporucznik von Görenczy przeżył napaść. I to nawet jeśli w tej chwili nie wiemy dlaczego. Być może napastnik jeszcze go potrzebuje. A może ten nieznajomy uważał, że podporucznik jest martwy, i po prostu tego nie sprawdził. A może spieszył się i było mu wszystko jedno. W końcu zwłoki zniknęły, gdy doszedł pan do siebie, panie podporuczniku, a jeśli były tak martwe, jak pan mówi, a nie wątpię w pańską ekspertyzę, to nie mogły przecież opuścić piwnicy na własnych nogach. Ktoś musiał je wynieść.

Analityczny umysł Asko rzucił się na tę zagadkę.

– Dlaczego? – zastanowił się. – Dlaczego ktoś miałby usuwać zwłoki, które zostały już odkryte? Dlaczego narażać się na takie ryzyko? Usunięcie w biały dzień zwłok z hotelu musiało być trudne.

– To się da zrobić – odpowiedział Udolf. – Wejście dla dostawców jest w pobliżu. Napastnik mógł mieć współnika z wózkiem, który, powiedzmy, odbierał z hotelu jakieś rzeczy. Wyniesienie zwłok z piwnicy w boczną uliczkę to nic trudnego. To prywatny dojazd, a nie publiczna ulica. Nikogo tam nie ma. W pobliżu są stajnie. A więc zwłoki do worka i potem na wózek do wywożenia śmieci. Całkiem proste.

– Ale przecież ktoś by go widział? – spytał Vonderbrück.

– Niekoniecznie. Kiedy się tam rozglądałem, było pusto. Natknąłem się na kobiety w pralni, ale na korytarzu nie spotkałem nikogo. Poza Miss Jarrencourt w ogóle nikogo tam nie widziałem.

– Miss Jarrencourt? – zapytało trzech pozostałych mężczyzn, zaś Vonderbrück dodał:

– Ta dama zdaje się pojawiać wszędzie, gdzie się jej najmniej oczekuje.

– Czego szukała na schodach dla służby?

– Cóż, powiedziała mi, że była w foyer i poczuła się słabo. Siedziała naprzeciw otwartych drzwi. Na schodach. Ze względu na świeże powietrze. Kiedy się teraz nad tym zastanawiam, to rzeczywiście dość dziwne. Dlaczego nie posadzono jej po prostu w recepcji albo na

tarasie?

Von Orven wyglądał na wściekłego.

– Przecież to chyba całkiem zrozumiałe! – bronił Corrisande. Zamilkł na chwilę. – Musi być jakieś logiczne wyjaśnienie, gdy się dokładniej o tym pomyśli.

– Ach tak? Przemyślałeś to sobie dokładniej? – naigrywał się z niego Udolf, który wciąż nie mógł przeboleć niedostatecznej estymy przyjaciela.

– Nie przychodzi mi do głowy żadne wyjaśnienie – powiedział Delacroix. – Miss Jarrencourt jest dość zagadkowa. Mam tu jeszcze jedną zagadkę.

Vonderbrück spojrział ze znużeniem i przerwał te rozważania:

– Moi panowie, sprawiacie wrażenie, jakbyście oczekiwali po młodej kobiecie logicznego zachowania. Przecież wiecie, jakie są kobiety. Jeśli szukacie w ich postępkach logiki, to nie uporacie się z tym jeszcze za dwa tygodnie i za każdym rogiem znajdziecie nową zagadkę.

Ta wypowiedź zdawała się uspokoić zebranych mężczyzn.

Jedynie Delacroix wciąż uważał, że zachowanie młodej damy jest trochę dziwne.

– Być może zachowanie kobiet różni się fundamentalnie od naszego, ale w przypadku tej damy znajduję kilka niedorzeczności. Proszę spojrzeć – powiedział i wyłowił z kieszeni anonimową wiadomość.

Vonderbrück przerwał mu jednak:

– Według moich obliczeń ta istota pojawi się znów dziś wieczorem. Powinni panowie wypocząć. Dokładny czas będę mógł podać, gdy skończę szczegółowe obliczenia. – Wstał i wyciągnął ręce ku górze. – Cóż, moi panowie, chciałbym przypomnieć, że muszę się skoncentrować. Mogę prosić?

Oficerowie podnieśli się i uklonili na pożegnanie, po czym opuścili pokój. Na korytarzu Asko powiedział:

– Sam nie wiem. Wciąż mam takie uczucie, jakbyśmy zadawali niewłaściwe pytania. – Ruszył do swego pokoju. – Myślę, że sporządzę listę z pytaniami i odpowiedziami. Może w niektórych rzeczach da się znaleźć więcej sensu, jeżeli spiszę je czarno na białym. Chętnie

przenoszę na papier to, co dotyczy mojej pracy. Myślę, że to zmusza do uporządkowania myśli.

Von Görenczy zgasił cygaretkę w jednej z doniczek ozdabiających korytarz.

– Zrób tak. Jeśli o mnie chodzi, to zjem coś i postaram się nadrobić trochę snu. Skoro mamy polować wieczorem, powinniśmy być wypoczęci. – Odwrócił się do Delacroix. – Zwłaszcza pan. Może pańska rana nie jest niebezpieczna, ale nie powinien pan przesadzać. Nie będzie z pana żadnego pożytku, jeśli będzie pan dziś wieczorem wykończony, że tak to ujmę. – Roześmiał się. – Wiem, że ma pan coś ważniejszego do roboty niż wysłuchiwanie rad akurat ode mnie, ale słyń z nieokrzesańia.

Delacroix uśmiechnął się przyjaźnie.

– Mimo że nie dotarła do mnie jeszcze pańska sława, może pan być pewny, że pańska bezpośredniość nie pozostała niezauważona. Niech pan sobie z tego nic nie robi. Lubię ludzi, którzy mówią to, co myślą, i myślą to, co robią.

Obaj młodzi oficerowie byli już w swych pokojach, gdy Delacroix uświadomił sobie, że w zaciśniętej dłoni wciąż trzyma skrawek papieru. Powinien im o tym powiedzieć. Nie wiedział, dlaczego tego nie zrobił. Ale miał jeszcze czas. Na razie zamierzał się na krótko położyć. Ruszył do pokoju.

## Rozdział 32

Cérise obudziła się. Było jej zimno i zauważyła, że koc zsunął się z sofy. Gdy pochylała się, by znów go na siebie naciągnąć, pojęła swą sytuację. Leżała w samej bieliźnie na małej sofie w salonie i choć zasłony w oknach były zaciągnięte, mogła zobaczyć, że to już środek dnia.

Próbowała sobie przypomnieć, co się stało. Była w operze. Zachowano się strasznie wobec niej i po krótkiej próbie stamtąd wyszła. Coś kupiła.

Jej spojrzenie padło na perfumy. „Biała Orchidea”.

Uśmiechnęła się. Kochał ją.

Myśl ta przysła jej do głowy i nie wiedziała, co z nią zrobić. O czym to właśnie pomyślała? Kto ją kochał? Usiadła i poczuła, że chce jej się pić. Na niskim kredensie stała karafka. Nalała sobie szklanek wody. Jej ręka drżała. Obym nie była chora, pomyślała Cérise. Gdyby dostała teraz kataru, dla jej głosu byłaby to prawdziwa katastrofa. Dla kariery też. Cérise nie miała jednak wrażenia, że się przeziębila. Czuła się trochę dezorientowana, ale raczej szczęśliwa. A właściwie niezwykle szczęśliwa. Sprawdziła podejrzliwie brzmienie swego głosu.

Czuła się zakochana. Przyjemne łaskotanie w brzuchu i to uczucie, że chce się tańczyć, śpiewać, krzyczeć, podskakiwać i każdemu o tym powiedzieć. Ale o czym? Rozrywała ją bezimienna tęsknota. Tęsknota i pożądanie, palące i nieposkromione. Ten rodzaj pożądania, który odczuwa się przy namiętnej miłości.

To nie wyglądało na grypę. To wyglądało na mężczyznę.

Jeszcze raz spojrzała na flakonik z perfumami. „Biała Orchidea”.

To miało coś wspólnego z perfumami, tego była pewna. Ale co?

Cérise wyteżyła myśli. W zakamarkach pamięci pojawił się obraz mężczyzny, szczupłego i tajemniczego. Ale wspomnienie rozmyło się, gdy kobieta próbowała się skupić.

Jak można zapomnieć mężczyznę, którego się kocha?

A ona go kochała. Tego była pewna. Musi go znowu zobaczyć.

Chciała być z nim razem, leżeć przy nim, kochać go-w każdym znaczeniu tego słowa.

Nagle wystraszyła się swoich uczuć. To wszystko było zbyt dziwne, by można było się tym cieszyć bez żadnego podejrzenia.

Ubrała się. Mogła zawołać pokojówkę, ale zrezygnowała. Obejdzie się bez służby.

Ktoś był w pokoju, zdjął z Cérise przynajmniej część ubrań i – nie wiedziała, co z nią robił, ale miała niejasne wspomnienie, że jej się to podobało.

Jednak to było dziwne. Śpiewaczka uznała, że powinna z kimś o tym porozmawiać. Może Vonderbrück będzie umiał wyjaśnić, co ją nawiedziło? W końcu był mistrzem sztuk tajemnych.

I wtedy stało się dla niej jasne, że jeżeli zapyta maga, będzie musiała wyznać, że uczyniła coś niewłaściwego. A nie знаła tego mężczyzny na tyle dobrze, by zwierzać mu się ze swych uczuć i tajemnic.

Ale musi z kimś porozmawiać. Z kimś, kto ma przynajmniej podstawowe pojęcie o magii.

Delacroix. Wiedziała, że w przeszłości Delacroix doświadczył potwornego przeżycia magicznej natury. Może on rozwiąże zagadkę. Rozwiązywanie zagadek było czymś, czym się zajmował.

Jednakowoż Cérise będzie mu musiała opowiedzieć o swoich uczuciach. O swym pożądaniu. A Delacroix nie zechce o tym słuchać. W końcu opuścił ją dlatego, że uważał, że nie jest mu wierna.

Nie żeby nie była mu niewierna. Nie naprawdę. Może w jakimś sensie. Ale to nic nie znaczyło. Dla Cérise to nic nie znaczyło. Tylko przelotny romans z jurnym, młodym, energicznym wielbicielem. W końcu to nie była jej wina, że Delacroix wrócił wcześniej, niż się spodziewała, z jakiejś misji. O wiele za wcześniej. Żeby zobaczyć Cérise. Żeby się z nią kochać. Pędził nocą na koniu, by jak najszybciej do niej dotrzeć. Szybkim galopem przez mrok. Jak jakiś cholerny rycerz z głupiego bohaterskiego eposu. Dotarł akurat na tyle wcześniej, by zobaczyć, jak ten drugi wychodził od Cérise nad ranem.

Pułkownik nie zrobił sceny. Nie wyzwał kochanka śpiewaczki na pojedynek, co z pewnością oznaczałoby przedwczesny koniec dla tego

młodego człowieka. Nie zażądał również od Cérise wyjaśnień i nie obwinał siebie. Poczekał tylko, aż ten drugi odejdzie. Gdyby ją zapytał, na ile poważna była dla niej ta sprawa, śpiewaczka mogłaby odpowiedzieć, że nic dla niej nie znaczyła. Ale Delacroix nigdy nie zapytał. Pożegnał się, nie pozwalając, by Cérise się wytłumaczyła.

Głupia historia. Cérise była na niego wściekła. To był naprawdę ostatni człowiek, z którym miałyby ochotę porozmawiać o swym osobliwym doświadczeniu.

Ale był też prawdopodobnie jedynym, u którego jej tajemnica byłaby bezpieczna. Nie będzie zgorszony namiętnością Cérise – zresztą wiedział, że jest ona namiętną kobietą – i wysłucha jej bez cnotliwego oburzenia.

Będzie musiała znieść jego gorzkie kpiny. Niestety. Pułkownik także był namiętnym człowiekiem, który swe żarliwe, dzikie uczucia zazwyczaj skrywał pod maską żelaznego opanowania. Czasami jednak owe uczucia przebijały w jego słowach, którymi potrafił ciąć jak ostrzem rapiera – precyzyjnie i boleśnie.

Cérise zastanawiała się, co wywoływało w niej większe resentymenty: posiadanie kochanka zjawy czy urazy po gorzkim cynizmie mężczyzny, którego kiedyś oszukała. Cóż, nie oszukała. Nie w tym sensie. Cérise nie postrzegała tego jako oszustwa. Pułkownik tak to widział. To on zdecydował, by tak na to patrzeć.

Pozapinała swoją suknię, na ile to było możliwe bez pomocy. Stała niezdecydowana na środku pokoju. Czowała się bezbronna. Zatrważające uczucie. Zazwyczaj go nie doświadczała.

Cóż, zobaczy, co się wydarzy. Jeżeli okaże się, że Delacroix jest w tym swoim niemiłym humorze, zawsze będzie mogła od niego wyjść. Przecież pułkownik nie zabije jej od razu. Na pewno.

Prawie na pewno. Cérise wyszła z pokoju i ruszyła korytarzem. Stała przed drzwiami z uniesioną ręką, by zapukać. Próbowwała zebrać się na odwagę. To dość niezwykle, by prosić byłego kochanka o ocenę erotycznych przeżyć najbardziej niesamowitej natury. Może jednak powinna dać sobie z tym spokój?

Kobieta stała tak przez chwilę bez ruchu, zastanawiając się nad tym. Dlaczego miałyby się narażać na niezręczną sytuację? Cérise nie

poniosła przecież żadnej szkody. Nic jej się nie stało. Była szczęśliwa. Zakochana. Może powinna po prostu wrócić do pokoju? Niektóre problemy rozwiązują się same z siebie, jeśli ignoruje się je dostatecznie długo. A ona była dobra w ignorowaniu problemów.

Zza drzwi dobiegł ją hałas, jakby ktoś przewrócił mebel. Może Delacroix był w jednym z tych swoich nastrojów? Ale rzucić tylko jednym meblem w takiej sytuacji było zupełnie do niego niepodobne. Cérise widywała pułkownika w złym stanie, w najczarniejszych i najgroźniejszych humorach. Kiedy uważał, że nie potrafi zapanować nad wściekłością, brał konia albo szedł fechtować lub się poboksować. Nie rozbijał mebli. Dziwne.

Cérise była dumna ze swej kobiecej intuicji. Ten instynkt pozwalał jej między innymi reagować szybko i bez namysłu; cecha charakteru, która doprowadzała Delacroix do szału, kiedy wspólnie pracowali nad jakąś sprawą. Ale panna Denglot taka już była. Od czasu do czasu robiła coś nie tak, ale często jej natchnienie okazywało się szczęśliwym zrzędzeniem losu.

Otworzyła więc cicho drzwi, nie pukając. Ostrożnie zajrzała do pokoju.

Mężczyzna w kraciastym ubraniu stał odwrócony do niej plecami. Przed nim klęczał Delacroix i gwałtownie wymachiwał zdrową ręką. Mężczyzna dusił pułkownika.

Cérise stłumiła okrzyk: *Mon Dieu!*

Szybkim ruchem sięgnęła po drewnianą skrzynkę na małym stoliku przy drzwiach, w której były kochanek trzymał pistolety. Śpiewaczka zrobiła dwa kroki i uderzyła napastnika z całych sił w głowę.

Ten jednak nie upadł, choć puścił Delacroix i odwrócił się. Cérise machnęła skrzynką jeszcze raz, z dołu do góry, i trafiła obcego po raz drugi, tym razem w podbródek.

Nieznajomy potknął się o stół, niemal upadając na Delacroix. Ale miał szczęście. Upadł tak, że udało mu się sięgnąć po leżący na stole nóż pułkownika. Złapał go i bez słowa ruszył na kobietę.

Chciała krzyczeć, ale głos odmówił jej posłuszeństwa. Widziała, jak obcy rzuca się na nią z nożem gotowym do pchnięcia. Napastnik był

niesamowicie szybki, Cérise mogła tylko stać, zaciskając palce na drewnianej skrzynce, i zastanawiała się, czy zdąży ją otworzyć i wyjąć broń. Była dobrym strzelcem. Ale czy pistolet był naładowany? Cérise pomyślała jeszcze, że powinna raczej skorzystać z okazji i uciekać, wybiec z pokoju, wezwać pomoc. Napastnik doskoczył do niej, mierząc od dołu nożem w serce kobiety.

Nie trafił.

Delacroix złapał go od tyłu i uwięził w silnym uścisku. Wykreślił przeciwnikowi rękę. Napastnik upuścił sztylet i wywinął się z uchwytu. Z tylko jedną zdrową ręką Delacroix był w znacznie gorszej sytuacji niż jego zwinny wróg – teraz już wolny i umykający do drzwi. Jednak na drodze stanęła mu Cérise, nadal kurczowo trzymając drewnianą skrzynkę.

Znow ją uniosła i trafiła obcego w głowę. Tym razem upadł z niehumanicznym jękiem, po czym zadrżał i już się nie podniósł.

Delacroix i Cérise patrzyli na intruza. Mężczyzna leżał bez ruchu.

– Cofnij się – rozkazał pułkownik prawie niesłyszalnie, ochryple. Stopą obrócił leżącego.

Mężczyzna upadł na nóż. Był martwy. Z całą pewnością nie żył. Jego oczy spoglądały w sufit, a na piersiach wykwitowała czerwona plama krwi.

– Cholera – mruknął Delacroix. – Teraz już się nie dowiemy, kto go przysłał.

Słaniał się na nogach i Cérise było go żal. Nie zaproponowała mu jednak pomocy – nie popełnia się dwa razy tego samego błędu. Zignorowała to swoje uczucie. Przynajmniej próbowała. Ale jej się to nie udało.

– Jesteś poważnie ranny? – zapytała.

Pułkownik spojrzał na nią karcąco, jakby go uraziła. Wytrzymała to jasnożółte spojrzenie. Ich wzrok się spotkał, zielone oczy i jasnożółte, ale wściekłość w tych ostatnich bladła. Delacroix nie mógł już wytrącić Cérise z równowagi. Nigdy więcej.

– Mogło być gorzej – przyznał w końcu markotnie. Następne, niestrawne słowo z trudem przeszło mu przez gardło: – Dziękuję. Wygląda na to, że mnie uratowałaś.



Pochylił się i podniósł przedmiot, który wyglądał jak fortepianowa struna z drewnianymi uchwytyami.

– Proste, bezgłośnie i śmiertelne – dodał niemal od niechcienia. – To ty nasłałaś na mnie tego faceta?

Cérise spojrzała na niego ze złością.

– Może powinnam to zrobić, ale nie. To nie byłam ja, daruj sobie tę wrogość wobec mnie. Masz już wystarczająco wielu wrogów i zapewne przybywa ich z każdą godziną.

Parsknął. Niezbyt kulturalne zachowanie wobec damy. Uklęknął i przeszukał ubranie zmarłego.

– Jeszcze nigdy nie widziałem tego typu. Ciekaw jestem, jak on pasuje do sytuacji. Dlaczego chciał mnie zabić? Gdyby chciał doprowadzić do niepowodzenia naszej sprawy, zamordowałby Vonderbrücka. Ale mnie? To nie ma sensu. Chyba że ten zbir zamierzał zlikwidować nas wszystkich.

Na twarzy Delacroix pojawił się niepokój.

– Musimy sprawdzić, co z podporucznikami. Jeżeli zabójca dorwał ich podczas snu, to byłoby... niefortunne – Spojrzał na Cérise z ironią. – Może chciałabyś zobaczyć, czy mocno śpią? Co tu kryć, jeden z nich już wie, jak to jest budzić się obok ciebie.

Śpiewaczka trzasnęła drewnianą skrzynką w stolik z taką wściekłością, że zabrzmiało to jak wystrzał.

– To nie było konieczne, Delacroix – wyszczała. – Ani trochę. To nie jest właściwy moment na kłótnie. Nie przyszłam tu, żeby się kłócić. Chciałam prosić o pomoc. Ale nie będę już prosić. Właśnie sobie na nią zasłużyłam. Bądź więc tak miły i panuj nad słowami. Nie róbmy scen.

Pułkownik uśmiechnął się do niej kpiąco.

– Dla nas czas na sceny już minął.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i podporucznik Udolf von Görenczy wtargnął do pokoju ze szpadą w gotowości.

Potrzebował kilku sekund, by stwierdzić, że nikt nie jest w niebezpieczeństwie.

– Słyszałem strzał – powiedział, opuszczając broń. Starał się ignorować obecność śpiewaczki w pokoju Delacroix.

Pułkownik usiadł na łóżku.

– Fałszywy alarm – wyjaśnił. – Napastnik chciał mnie udusić i skończył z nożem w piersiach. Płatny morderca. Prawie mnie dopadł.

Odpiął guziki pogniecionego kołnierzyka. Na szyi wyraźnie widać było cienką czerwoną linię. Delacroix dotknął jej ostrożnie, oddychając z sykiem.

– To nie jest mój dzień – wyjaśnił i odwrócił się. – Moglibyście zrobić mi przysługę i wyjaśnić to z królewską bawarską żandarmerią? Myślę, że potrzebuję trochę spokoju. Ten dzień dostarczył mi już więcej rozrywek, niż to potrzebne dla mojego dobrego samopoczucia.

Von Görenczy skinął głową.

– Zabiorę go stąd – powiedział i pochylił się, by podnieść zwłoki.

– Nie – przerwał Delacroix. – Niech pan poczeka, aż pojawi się policja. Chyba nie chcemy, by Mrs Parslow musiała przeskakiwać przez zwłoki, kiedy wróci ze spaceru.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu – powiedziała Cérise – przyjdę jeszcze później, by porozmawiać. Niezbyt chętnie dzielę pokój z martwym człowiekiem.

Delacroix otworzył usta, by wypowiedzieć jakąś kąśliwą uwagę, zdusił jednak to pragnienie z wyraźnym wysiłkiem. Spojrzał na von Görenczy'ego, który wciąż daremnie próbował nie dostrzegać obecnej w pokoju kobiety i z tego powodu nieugięte milczał.

## Rozdział 33

Udolf odpowiedział policji na nieuniknione pytania. Czy znał tego człowieka? Czy widział go kiedyś? Czy może sobie wyobrazić powód, dla którego ten łotr zaatakował Delacroix?

Rutyna. Policjanci byli uprzejmi. Najwyraźniej poinformowano ich, że zespół w hotelu podlega bezpośrednio Jego Wysokości. Ciekawość niemal pożerała funkcjonariuszy. Von Görenczy nie był jednak w nastroju, by opowiadać im o misji, nie miał zresztą na to pozwolenia. Mówił więc jedynie o „zadaniu najwyższej wagi” w nadziei, że policjanci zadowolą się takim wyjaśnieniem.

W gruncie rzeczy niczego im nie wyjaśnił. Po wszystkich pytaniach policja wreszcie sobie poszła i zabrała zwłoki. Żandarmi znieśli je na przykrytych noszach schodami dla służby Jedynego funkcjonariusza, który nie nosił munduru – prawdopodobnie przełożony – przed odejściem zwrócił się skwapliwie do von Görenczy’ego:

– Mam pewne podejrzenie, kto to może być, podporuczniku. Jeśli moje podejrzenia są słuszne, może on należeć do bandy jednego z największych łajdaków w Monachium. Rabunek i przemyt. Człowiek z bandy „Króla”.

Von Görenczy spojrział na niego z niedowierzaniem.

– Króla? – powtórzył, nie pojmując, jak królewski bawarski urzędnik mógł pozwolić sobie na taką obrazę majestatu.

– Prawdopodobnie nic to panu nie mówi. – Urzędnik uśmiechnął się gorliwie. – Mamy powód, by zakładać, że zabity należy do bandy odpowiedzialnej za przestępstwa w wielu europejskich krajach. To dobrze zorganizowana grupa. Granice państwowe nie znaczą dla niej wiele. Jak do tej pory nigdy nie udało nam się udowodnić podejrzanym żadnego przestępstwa, nie wiemy też, kto za tym wszystkim stoi. Wiemy jedynie, że głowę tej bandy zwa „Królem”. To może być niemal każdy. Wszędzie. Służby wielu państw od lat próbują dowiedzieć się czegoś o grupie. Ale jej członkowie nie dają się tak po prostu złapać. Są piekielnie dobrze zorganizowani. Mam nadzieję, że pański przyjaciel nie

uczynił sobie z nich wrogów. Są niebezpieczni.

Policjant zaszalutował. Wyglądało to dziwnie, bo nie był w mundurze.

– Przyjdę później, panie podporuczniku – zapewnił, jakby przypomniał sobie nagle o jego stopniu. – Muszę przesłuchać pułkownika Delacroix. Nie mogę mu tego oszczędzić. Może jego odpowiedzi rzucają jakieś światło na tę sprawę.

Policjanci odwrócili się do wyjścia. Udolf zatrzymał ich.

– Jeszcze jedno – powiedział. – Może lepiej będzie, jeśli jeszcze raz przeszukacie hotel. Ktoś napadł na mnie w piwnicy pod schodami dla służby, gdy odkryłem tam zwłoki. Niestety, znikły, gdy doszedłem znów do siebie.

– Znikły?

– Nie ma ich. Ktoś przywalił mi od tyłu. Przez jakiś czas byłem nieprzytomny. Wtedy ktoś musiał zabrać ciało. Najprawdopodobniej już dawno nie ma go w hotelu. – Przedstawił im krótki raport i opisał martwego człowieka najlepiej jak potrafił.

– Panie podporuczniku, mamy rozkaz, by w tym przypadku, na ile to możliwe, nie rzucać się w oczy. Ale zrobimy, co się da.

Wyszedł.

Von Görenczy nie od razu poszedł do swojego pokoju na górze. Najpierw udał się do salonu dla panów, zapalił cygaretkę i zamówił dużą lampkę koniaku. Właśnie tego teraz potrzebował. Przerwanie zasłużonej drzemki przez domniemany strzał w sąsiednim pokoju dało mu się we znaki. Oczywiście von Görenczy sięgnął po szablę i ruszył do szturmu. Ale Bóg wie, że nie spodziewał się Cérise w pokoju Delacroix, i to mocno poirytowało młodego oficera. Na ile to możliwe, nie rozmawiał z nią, a po zachowaniu pułkownika było widać, że jego uczucia wobec tej kobiety niewiele się różnią od uczuć podporucznika. Obaj byli kochankami pięknej śpiewaczki. Romans von Görenczy’ego trwał krótko, ale szwależer kochał ją namiętnie. Zawsze kochał namiętnie. Bo niby jak inaczej? Tyle tylko, że tym razem znaczyło to dla niego więcej niż romans. Romanse von Görenczy miewał nieustannie. Nie były dla niego ważne. Młode kobiety, często z niższych sfer, dla których schludny mundur i dziarska postawa stanowiły nieodpartą pokusę. Von

Görenczy traktował ich podziw jako coś oczywistego. Dzięki podbojom miłosnym przyjemnie spędzał czas, wszak każdemu bohaterowi należą się hołdy niewiast.

Był młody, dobrze wyglądał i miał mnóstwo energii. Oczywiście, że kobiety go lubiły. Zachowywał się, jak przystało na szwoleżera. Wszyscy żołnierze z pułku von Görenczy'ego byli pod tym względem podobni: śmiali i uwodzicielscy. Ostrzegano przed nimi dziewczyny.

Młode damy, które nie słuchały mamusi i którym wydawało się, że wiedzą lepiej, musiały więc ponosić tego konsekwencje. Udolf von Görenczy nigdy się nad tym nie zastanawiał. Był mężczyzną, miał swoje potrzeby i uważał, że żądze należy zaspokoić, a pilnowanie moralności młodych dziewczyn nie należy do zadań szwoleżera. To sprawa rodziców, jak powinny zachowywać się córki, by nie ponieść żadnych szkód. Od von Görenczy'ego nie można było tego wymagać. Szwoleżerowie słynęli z tego, że pozostawiali po sobie szlak złamanych serc. Kawaleria kochała i ruszała dalej. Tak po prostu było.

Dlatego młody oficer nie spodziewał się, że to on zostanie porzucony. Kobiety przecież tak nie robią, myślał. Kobiety były łagodne i uступliwe, naiwne i romantyczne, chętne i często łatwowierne.

Oczywiście każdy wiedział, że dziewczyny z opery albo z baletu były trochę swobodniejsze. I dobrze. Zarabiałały na siebie i żyły zazwyczaj bez ochrony, jaką dawała rodzina czy małżonek. Musiały zatem same za siebie odpowiadać.

Cérise bynajmniej nie ułatwiła niczego Udolfowi. Trzymała go długi czas na dystans, ale potrafiła go w sobie coraz mocniej rozkochać. Była przepiękna i kapryśna. Bawiła się ze szwoleżerem. Na zmianę przyjmowała jego starania albo traktowała go z obojętnością, obdarzała słodkim uśmiechem, a mimo to nie dopuszczała do zbliżeń. W jej obecności von Görenczy czuł się, jakby umierał z głodu. Śpiewaczka całkiem zawróciła mu w głowie, aż nie wiedział, jak okazywać swoją adorację, a wtedy nareszcie, pewnej księżycowej nocy, uległa. Zaprowadziła go do sypialni i oddała mu się, a Udolf łudził się, że po raz pierwszy pojmuje, czym jest miłość. Utonął w namiętności. Zgubił się w niej.

Zgubił się i był zgubiony, gdy poprosił ją bowiem o rękę, Cérise

tylko się roześmiała. Odrzuciła oświadczyzny. Nie potrzebowała Udolfa. Dla niej był po prostu jeszcze jednym kochankiem, nikim więcej. Nie powinien się ośmieszać. Cérise wcale nie chciała ranić jego uczuć, ale musiał zrozumieć, że to było zupełnie, ale to zupełnie niemożliwe.

Najboleśniej w tym wszystkim było to, że Cérise użyła takich samych argumentów, do jakich często uciekał się szwoleżer wobec zakochanych w nim dziewcząt. Tym bardziej jego wściekłość miała podwójnie gorzki smak.

Próbował o tym nie myśleć. Bez sensu, żeby rozmyślać dłużej o takim romansie. Von Görenczy miał po prostu pecha, że ta kobieta wciąż pojawiała się na jego drodze. Ale oficer się przyzwyczaił. Była tylko śpiewaczką. Jeśli spojrzeć na to chłodno, miała niższą pozycję niż von Görenczy. Gdyby się z nią ożenił, jego rodzina byłaby przerażona.

A więc dobrze się stało, że się nie ożenił. Gdyby najstarszy syn przyprowadził do domu synową występującą na scenie, ojciec pewnie by go wydziedziczył. W każdym razie sytuacja byłaby trudna. Cérise nie mogła należeć tylko do jednego mężczyzny. Była zbyt piękna, zbyt sławna, ludzie ją kochali i podziwiali. Wielu ludzi. Wielu mężczyzn.

Ale czego szukała w pokoju Delacroix? Nie miała prawa tam być. Delacroix to towarzysz broni, kolega. Nie powinna go odwiedzać.

Chociaż nie wyglądało to na tete-a-tete. Zwłoki temu przeczyły.

Uratowała mu życie. Tak powiedział Delacroix, zanim przybyła policja i po tym jak Cérise wyszła. Gdyby nie ona, byłby już martwy.

Udolf skinął tylko głową. Nie chciał tego wiedzieć. Ratowanie życia było czymś tak osobistym, że niemal intymnym. Coś takiego tworzyło więź, dożywotni związek.

Udolf cieszył się, że Delacroix przeżył. Cieszyłby się jeszcze bardziej, gdyby to on go uratował.

Cholerny pokój dla bab. Dopił koniak i wstał. Najwyższy czas, by przekazać pułkownikowi informacje, jakie uzyskał od zandarmerii. A także Asko, który miał talent do wyciągania logicznych wniosków i uwielbiał rozwiązywać zagadki.

Von Görenczy nie wiedział, co z tym wszystkim począć. Banda przemytników działająca w wielu krajach – co to może mieć wspólnego z rękopisem i z potworem? Jaki interes mogli mieć w tym, by zniszczyć

świat, i dlaczego nasłali na Delacroix mordercę? Miało to w ogóle coś wspólnego z ich sprawą? A może Delacroix narobił sobie wrogów podczas wcześniejszych spraw i to oni śledzili go, i chcieli zlikwidować?

Udolf i jego towarzysze wiedzieli o wiele za mało. Stali przed niemal niewykonalnym zadaniem. Udolf nie był tchórzem, jednak świadomość, że losy świata zależą od działań niewielkiej grupy, budziła w nim niepokój. Lubił wrogów, których można zobaczyć, mężczyzn z ostrą bronią występujących przeciw sobie w otwartej walce. Przeciwnika, z którym się walczy oko za oko, ząb za ząb. Jeden człowiek przeciw drugiemu albo przeciw większej liczbie, jeśli to konieczne. Przed takim starciem von Görenczy nie czuł lęku. Nie bał się śmierci na polu chwały. Nie bał się, że może zginąć za króla i za ojczyznę.

Ale obecne zdarzenia niepokoiły go w niemal poniżający sposób. Oczyma wyobraźni znów widział Miss Jarrencourt, jak w przerażeniu kulila się na podłodze, podczas gdy mroczne stworzenie owijało się wokół niej i – o ile Delacroix miał rację – próbowało zhańbić.

Wyprostował się. Był szwoleżerem. Strach? Rzucił serce przez płot i skacze za nim. Wszystko jedno dokąd. Obowiązek to obowiązek. Nawet ta mała dama nie uchylała się od obowiązku i postanowiła stawić czoła cieniowi, a przecież musiała bać się znacznie bardziej niż reszta grupy. Odważna. Asko miał dobry gust.

Oczywiście nigdy nie wiadomo, czy Miss Jarrencourt nie zmieni zdania i nie ucieknie, zaś jej broniąca przyzwoitości smoczyca z pewnością miała własną opinię w tej sprawie. Ale jednak ta drobna, mała kobietka ma chyba więcej silnej woli, niż się wcześniej wydawało. Jej opanowanie było godne podziwu. Von Görenczy zgasił cygaretkę i skierował się do schodów na trzecie piętro. Cholerna zjawa. Cholerne czary-mary. I cholerna Cérise.

## Rozdział 34

Czuł straszny głód i jego myśli krążyły teraz tylko wokół tego, by go zaspokoić. W tym stanie był niebezpieczny, bardziej niebezpieczny, niżby sobie życzył. Ale racjonalne myśli przesłaniało pożądanie, fizyczna żądza.

Miał nadzieję, że czar wkrótce zostanie złamany. Wiedział, jak ciężko człowiekowi utrzymać taką barierę. Potrzeba jednego lub więcej dobrze wyszkolonych magów, by czar był szczelny. Jednak bariera nie zniknęła. Widział migoczące powietrze wokół hotelu, widział kryształowy blask magicznej siły, którą tylko feyon umiał rozpoznać.

Graf Arpad znalazł się w potrzasku. Przeklinał się za to, że przez ostatnie dwie noce nie wyruszył na polowanie, ale pierwszej dopiero tu przybył, a w drugą przygotowywał się do spotkania z patriotami i teraz nie mógł się stąd wydostać, był w pułapce, której – bez wątpienia – nie zastawiono na niego. Ale to nie miało znaczenia. Oczywiście nie mógł przewidzieć, że zdarzy się coś takiego. Powinien jednak bardziej zważać na swoje potrzeby. Potrzeby sprawiały że był, kim był, nieustannie i bez przerwy.

W ciągu długiego życia stało się dla Arpada regułą, że nie polował tam, gdzie spał. Jednak w miarę jak mijały godziny, wiedział, że będzie musiał zrobić wyjątek. Będzie musiał polować w hotelu, zanim straci panowanie nad sobą i dopóki jest w stanie klarownie myśleć. Jeśli pokona go głód, stanie się niebezpieczny nie tylko dla swej zdobyczy, lecz również dla siebie samego.

Zasadniczo starał się nie zabijać. Nie musiał zabijać, aby się pożywić do syta. Arpad szanował życie, choć może nie był altruistą. Szanował jednak różnorodność bytu i jego upartą wytrwałość. Aby przeżyć, potrzebował krwi. Niekoniecznie ludzkiej, chociaż tę preferował. Lubił jej smak i delectował się, gdy ją pił. Pożądanie i głód były tym samym dla takich jak on.

Ludzie zwali go wampirem – głupie słowo, które powiązali z jeszcze głępszym pomysłem. Za grafem Arpadem nie ciągnął się zapach



cmentarza. Żył. Czuł się bardziej żywy niż jego ofiary, odczuwał wszystko intensywniej, jego zmysły wyostrzyły się przez setki tysięcy świetlistych, ciepłych od krwi nocy.

Noc była jego domeną. Wśród tysięcy kolorów widział swoje barwy. Tam, gdzie ludzie byli bezbronni i ślepi, on umiał dostrzec każdy szczegół otoczenia. Mógł spoglądać w mroczne dale, dostrzegać ciepło wybranych ciał, pulsujące w nich życie, bicie serca, które wzywało Arpada i jemu podobnych niczym dzwonek na posiłek.

Jego zmysły wyostrzały się, gdy odczuwał głód albo biedował. Tylko wąska grań dzieliła jego nadwrażliwość od zapomnienia o ostrożności i czujności, od wolnej woli i zdolności do planowego działania. Żądza groziła wtedy, że przejmie nad Arpadem władanie, popychała go na niebezpieczną drogę bezwzględnego zaspokojenia, oferującą co prawda słodkie łowy, ale oznaczającą też niebezpieczeństwa, a niekiedy także niemiłe konsekwencje.

Ludzie to wątłe istoty. Tak łatwo można było ich zabić. Graf Arpad starał się tego nie robić. Pozbawione krwi zwłoki budziłyby jedynie nieprzyjemne pytania i prowadziły do szalonej nagonki. A Arpad był śmiertelny. Można było go zabić, o ile wiedziało się jak.

Ciosane kołki nie budziły w nim strachu. Bo niby dlaczego. To tylko ludzkie stereotypy zrodzone ze strachu, z przeczucia, że może istnieć stworzenie takie jak on, graf Arpad. Gromadzenie zabobonów stanowiło jego hobby. Niektóre z wyobrażeń pozbawione były jakiegokolwiek odniesienia do rzeczywistości, inne zaś okazywały się bardzo bliskie prawdy.

Pewnego dnia, myślał, napiszę książkę o wampirach. Zamierzał w niej obnażyć każdy zabobon, na jaki się natknął i jaki dodał do swych zbiorów. To będzie książka o namiętności, miłości i niebezpieczeństwie, o mrocznych ruinach zamków, krucyfiksach, śmierdzącym czosnku i przekrwionych oczach. Zabawne będzie o tym napisać albo namówić kogoś do napisania. W tej chwili jednak Arpad nie miał czasu ani ochoty.

Arpad musiał się napić. Nie może sobie teraz zawracać głowy mrzonkami. Musi ruszyć na polowanie, znaleźć tutaj, w hotelu, kogoś, kto był sam. Przychodziła mu na myśl dziewczyna albo kobieta. Ale

równie dobrze mógł to też być mężczyzna. Graf musi tylko znaleźć miejsce, w którym nikt nie będzie mu przeszkadzał. Co wcale nie było łatwe.

Noc jeszcze nie nadeszła. Zaciągnął zasłony, jednak na korytarzu przez okna wciąż jeszcze wpadało zbyt jasne światło dnia. Nienawidził jasnego światła, oślepiało go, ograniczało możliwości widzenia, w podobny sposób jak ciemność oślepiała ludzi. Słońce spalało skórę Arpada, dlatego go unikał. Pogodny letni dzień bardzo grafa osłabiał.

Zachmurzone wiosenne popołudnie sprawiało, że gorączkował, a jego zmysły tępiały. Ale jakoś sobie poradzi.

Nałożył ciemne okulary. Praktyczny ten postępek. Okulary przeciwsłoneczne były ulubionym wynalazkiem grafa. Niemniej jednak Arpad musiał zachować czujność. Bezwzględnie. Widział mnicha w habitie spacerującego po hotelu, z obliczem skrzywionym podejrzliwością. Mnisi nie zatrzymywali się w drogich hotelach. Arpad znał tylko jedno stowarzyszenie zakonne, które z określonych powodów stanowiło wyjątek od tej reguły. Co oznaczało, że przedstawiciele owego zakonu byli w hotelu. Wrogowie Arpada. Wrogowie wszystkich feyonów, wszystkich SÍ.

Ci mnisi próbowali oczyścić ziemię z jego braci i sióstr, dążyli do uboższej wersji świata, tylko dla ludzi, których zwali dziećmi bożymi. Przez stulecia zniszczyli wielu z rasy grafa Arpada, zaś wiedza i umiejętności zakonu z biegiem lat stawały się coraz większe. Zakonnicy powoli doprowadzili do perfekcji metody wyniszczania inteligentnych, niehumanoidalnych form życia, zmienili je w mroczną sztukę, którą uprawiali pod egidą Kościoła, ten zaś przyglądał się ich wysiłkom beznamyślnie i pobłażliwie, choć nigdy nie przyznał, że tacy mnisi istnieją.

Zresztą dla Kościoła i jego dogmatów tacy jak Arpad w ogóle nie istnieli. A jednak istniało Bractwo, założone po to, by ścigać istoty podobne do grafa. Nie rozumiał religii, nie był przekonany do religijnej mistyki i jej przyziemnych aspektów. Rozumiał jednak, że najlepiej trzymać się z dala od myśliwych.

Ongiś nie musiał się ich obawiać. Ale ludzie wiele się nauczyli. Arpad zdawał sobie sprawę, że posiadają wiedzę, za pomocą której w

końcu zniszczą takich jak on. Rzadko jednak musiał się nimi przejmować. Epoka polowań na czarownice już przeminęła i w tym stuleciu fanatyczni mnisi byli tylko małą grupką w wielkim, świątym i mało zabobonnym świecie. Zastanawiał się, co tutaj robili. Ich obecność niepokoiła go, jednak potrzeby ciała nie pozwalały mu porządnie tego przemyśleć. Cele Bractwa były mniej istotne od jego własnych.

Arpad otworzył drzwi swojego pokoju i wyjrzał. Na korytarzu nie było zbyt wielu ludzi. Nie wyglądali niebezpiecznie. Kobiety mógł pominąć. Tylko mężczyźni mogli przynależeć do Bractwa. Nie musieli nosić widocznych znaków zakonnych i rzadko pojawiali się samotnie. Z pewnością w hotelu nie zatrzymał się tylko jeden mnich.

Graf skoncentrował się, wyczuł linie energii w otoczeniu. Czary. Ktoś manipulował precyzyjnym dostrajaniem rzeczywistości. Arpad czuł to w opuszkach palców. Nie udało mu się jednak zlokalizować źródła. A to oznaczało, że było więcej niż jedno. Najwyraźniej w hotelu nie działał tylko jeden mistrz sztuk tajemnych. Ale o tym Arpad wiedział już od jakiegoś czasu.

Mógł podjąć walkę, owszem, ale mógł ją też przegrać, a miał inne priorytety. Liczyło się polowanie i nic więcej. Zapanował nad błądzącymi myślami, postarał się wyglądać normalnie, nie wywoływać żadnych czarów i nie manipulować niczym umysłem. Przychodziło mu to z trudem, ponieważ naginanie i formowanie postrzegania ludzi, by myśleli, czuli i widzieli to, czego chce graf, było częścią jego natury. Robił to nieustannie i od dawna. Kiedy był syty i zachowywał się racjonalnie, łatwo mu było panować nad sobą, jednak teraz wymagało to wysiłku.

Arpad wyszedł na korytarz i zamknął za sobą drzwi. Obok przeszły dwie damy. Młodsza uśmiechnęła się do niego. Graf zmusił się, by odwrócić wzrok od jej szyi, schował szpony. Nie teraz. Nie tutaj. Nie ona. Chociaż szkoda. Z trudem odwrócił się i ruszył w przeciwnym kierunku, choć czuł obecność dziewczyny przez skórę. Ciało Arpada reagowało. Budziło się w nim fizyczne pożądanie, które wyzwoliła pieszczota jednego uśmiechu.

Graf skierował się do schodów dla personelu, wśliznął się niewidziany do części hotelu niedostępnej dla gości. Przemknął po

stopniach, minawszy szafki z bielizną i wózek kelnera. Pachniało tutaj czystością i mydłem, którego woń była dla grafa niemal nie do zniesienia. Nie życzył sobie teraz żadnych intensywnych zapachów. Jego nadwrażliwy nos odczuwał je w przytłaczający sposób.

Mężczyzna znalazł to, czego szukał. Z jednego z pomieszczeń wyszła młoda praczka. Miała zaokrąglone i silne ciało, poruszała się pewnie. Arpad otworzył usta. Śledził ją, wchłaniał zapach jej skóry, nawet na odległość, nawet przez przesycone wonią mydła powietrze klatki schodowej. Z rozkoszą podjął trop.

Kobieta zatrzymała się i obróciła zaniepokojona. Ale nie widziała Arpada. Odruchowo wtopił się w cienie. Praczka patrzyła w jego stronę, ale nic nie dostrzegłszy, obróciła się i ruszyła dalej. Graf zastanawiał się, dokąd kobieta niesie pranie, i miał nadzieję, że będzie to jakieś odosobnione miejsce. Gdy otworzyła drzwi, wśliznął się za nią. W pomieszczeniu rozciągnięte były sznurki do suszenia i gdzieś tam wisiły na nich prześcieradła. Zastłaniały wyjście.

Poruszał się bezgłośnie pomiędzy rozwieszonym płótnem i w końcu ją dopadł. Kobieta wystraszyła się, gdy graf się pojawił, otworzyła usta do krzyku, westchnęła jednak, gdy wampir przejął kontrolę nad jej myślami. Nie była piękną, nie była nawet ładną, ale w tej chwili Arpad nie był zbyt wybredny. Przyciągnął praczkę, przycisnął zwinne ciało do jej ciała, podtrzymując jej plecy lewym ramieniem. Przyglądała się jego kłom, nie rozumiejąc, co się dzieje.

Prawą ręką graf pogłaskał czule piersi kobiety, potem dotknął jej gardła i podbródka, delikatnie go odchylił, by odsłonić miejsce, do którego zmierzał, które chciał i musiał zdobyć. Praczka roześmiała się poirytowana i pełna oczekiwania, co sprawiło, że wyglądała niemal pięknie. Jej piersi unosiły się i opadały przy każdym oddechu. Arpad pochylił się ku niej, ku źródłu, ku spełnieniu. Wbił zęby w jej żyły i zaczął zachłannie wysysać krew.

Kobieta stęknęła, oddając mu się niczym kochanka, Arpad zaś pił, łapczywie, jak opętany, trzymając ją mocno w ramionach.

Po jakimś czasie straciła przytomność, zasnęła w jego objęciach, on zaś zebrał resztki rozsądku i siły woli, by się uwolnić. Nie był jeszcze syty, ale poczuł zadowolenie.

Nie chciał jednak zabić, a wiedział, że niewiele brakowało. Gdyby pił dalej, zabiłby tę młodą praczkę. Dlatego położył ją na podłodze i rozrzucił jej rzeczy, by wyglądało, jakby się potknęła i przewróciła. Graf pochylił się nad nią raz jeszcze, jednak tylko po to, by polizać ranę i tym samym ją zagoić. Małe dziurki na szyi zamknęły się i wyglądały teraz jak dwa ukąszenia komara. Kobieta będzie osłabiona. Ale przeżyje. To pewne.

Dwa, trzy kroki i Arpad już był przy drzwiach. Potrzebował więcej krwi, ale zapuluje teraz gdzieś indziej. Inaczej będzie się to rzucać w oczy. Trzeba często zmieniać miejsca, nigdzie nie przebywać zbyt długo, o ile zamierzało się uniknąć niebezpieczeństwa i nie chciało wchodzić w drogę mężczyznom, którzy zabijali przedstawicieli rasy Arpada.

Nie spóźnił się nawet o sekundę, przyczał się za drzwiami, które właśnie się otwierały. Do pomieszczenia weszła matrona, krzyżąc: „Creszenz!”

Graf prześliznął się za jej plecami niezauważony. Na górę, na strych, do pokojów dla służby. Obiecywały dobre polowanie. A może powinien jednak spróbować odnaleźć tę młodą kobietę, która przechodziła obok Arpada korytarzem? Uśmiechnęła się do niego.

Może jest już sama w pokoju? Arpad znajdzie ją, musi tylko podążać za zapachem. Jeśli dziewczyna była sama, graf weźmie ją jak inne. Czule i nieodparcie. Przedsmak jej ciała i ciepłej krwi zaparł mu dech w piersiach.

Wampir czuł się teraz lepiej. Był wciąż głodny, jednak pożądanie i zachłanność nie dręczyły go za bardzo. Musiał zachować trzeźwość myślenia. Ze względu na to, co planował.

## Rozdział 35

Corrisande nie cieszyła się na kłótnię z Mrs Parslow. Nie cieszyła się również z tego, co miało przyjść później. W ogóle z niczego się nie cieszyła. Położyła się na łóżku, by trochę wypocząć, ale nie mogła zasnąć. Strach ścisnął jej serce, ciążył jak lód w żołądku, dręczył niczym fizyczny ból. Dziewczyna leżała tylko, na wpół ubrana, nieszczęśliwa i rozdarta niepewnością. Popołudnie minęło niemrawo, a jednak o wiele za szybko.

Przez krótką chwilę zastanawiała się, czy nie spróbować znów wyjść. Zdecydowała, że jednak nie. Nie miała pojęcia, ilu ludzi wiedziało o zaklęciu rzuconym na feyony, ale nie chciała zwrócić na siebie uwagi. Gdyby uznano ją za odmienca, obcą i niesamowitą, zrujnowałoby to szanse i przyszłość Miss Jarrencourt, niczym skandal nagłośnionego romansu.

Nikt nie mógł się dowiedzieć. Poinstruowała Marie-Jeannette, by nie mówiła nikomu, że Corrisande nie może opuścić hotelu, i wbiła pokojówce do głowy, by nawet o tym nie wspominała. Miss Jarrencourt nie zamierzała też opowiedzieć „przyzwoitce” o nadchodzącej „przygodzie”. Eliza jedynie nalegałaby na „natychmiastowy i bezzwłoczny wyjazd”. Starsza dama nie rozumiała, że problemu Corrisande nie da się rozwiązać odrobiną stanowczości i silnej woli.

Nie znała powodów, a Corrisande nie zamierzała jej się z tego zwierzać. Nikomu nie mogła powiedzieć. Wątpliwe pochodzenie, co z tego, że magiczne, miało tylko minusy. Corrisande nie posiadała nadnaturalnych zdolności, pomijając tę, że potrafi wyczuć zbliżające się potwory. Nie była jasnowidzem, nie miała jakiegoś niezwykłego szczęścia, nie wydawała się też w żaden sposób tajemnicza – zresztą to ostatnie i tak w niczym by nie pomogło.

Medyk powiedział o niej: nereida. Corrisande zawsze lubiła wodę. Ale co to za argument? Może młody wygląd zdradzał pokrewieństwo z nereidami? Te stworzenia, jak mówiono, żyją bardzo długo albo są wręcz nieśmiertelne. Dziewczyna nie wiedziała. Ale na pewno nie była

nieśmiertelna. Słyszała, że istnieją ludzie, którzy polują na nadprzyrodzone istoty i je zabijają. Większość społeczeństwa traktowała jednak te opowieści jak czyste wymysły. Corrisande też uważała je za fikcję i w gruncie rzeczy nic się nie zmieniło. Pochodzenie od nereid nie miało dla Miss Jarrencourt znaczenia.

Przypomniała sobie wszystko, co wiedziała o swojej rodzinie, o krewnych i przodkach. Ci, którzy nie zginęli na wojnach albo nie zostali zastrzeleni w pojedynkach, rzeczywiście cieszyli się długowiecznością. Pradziadek ze strony ojca dożył stu czterech lat. Corrisande miała jeszcze okazję go poznać. Mieszkał z nią i jej matką w Jarrencourt Hall. Dziadek umarł w Chinach podczas wojen opiumowych. Ojciec dziewczyny był wtedy jeszcze młodym mężczyzną.

Po śmierci matki ojciec wyrócił swoje życie do góry nogami; został „Królem”. Było to niezwykle, a w dodatku bezprawne. Ale nie miało nic wspólnego z rzekomym dziedzictwem feyonów u Corrisande. Nic na to nie wskazywało.

Nigdy nie pytała, co sprawiło, że został tym, kim był dzisiaj. Czy miało to coś wspólnego z przedwczesną śmiercią jej matki? Nigdy tego nie wyjaśnił. W innych sprawach był bardziej przystępny. Nie ukrywał przed córką pozycji, jaką zajmował w podziemiu. Był dobrym ojcem. Corrisande nie mogła się uskarżać. Zapewnił jej dobre wychowanie i edukację, nigdy nie zmuszał do robienia czegoś, czego wolałaby nie robić. Chronił ją wcześniej i teraz.

Ale nigdy nie mówił o Si w linii przodków i dziewczyna była pewna, że gdyby coś o tym wiedział, na pewno by ją uprzedził.

Usłyszała, jak otwierają się drzwi do salonu. Wróciła Eliza. Corrisande zmusiła się do uśmiechu. Niezbyt przekonującego, ale musiało wystarczyć.

Wstała z ociąganiem, poprawiła ubranie, przyglądała chustę. Będzie musiała przywołać Marie-Jeannette do pomocy przy czesaniu. Jaką fryzurę należało nosić, gdy się zamierzało wcisnąć rzekomej ciotce stek kłamstw, i jaki styl był odpowiedni dla przynęty rzucanej potworowi w okresie godowym? Czy istniał specjalny strój dla dziewcząt składanych w ofierze smokom?

Drżała, znów osunęła się na łóżko. Tak być nie może. Corrisande

musi popracować nad swoim opanowaniem. Grzeczne dziewczęta uśmiechają się zazwyczaj słodko, radośnie i ufnie spoglądają na świat.

Znów wróciło wspomnienie oślizłych macek pnących się po jej udach, strach i obrzydzenie zaparły dziewczynie dech w piersi. Ponownie uświadomiła sobie, jak niewiele brakowało i przed czym uratował ją pułkownik Delacroix.

Dziwny mężczyzna. Osobliwe oczy irytowały Corrisande, budziły w niej dreszczyk lęku, przynajmniej wtedy, gdy nie rozświeślały ich iskierki uśmiechu. Ale pułkownik miał coś w sobie, jakiś szczególny sposób zachowania, nieokreśloną cechę, której dziewczyna nie potrafiła opisać, lecz jedynie wyczuć – przyciągającą i poruszającą. A przecież Delacroix nawet nie czynił Corrisande awansów.

Von Orven najchętniej zabrałby ją natychmiast jak najdalej od niebezpieczeństwa, pułkownik jednak nie wahał się wystawić dziewczyny na przynętę ociekającemu pożądaniem potworowi. Dżentelmen z pewnością by czegoś takiego nie zrobił. Lecz Corrisande była pewna, że w przypadku niebezpieczeństwa wolałaby polegać na pułkowniku niż Asko. Z brytyjskiego oficera promieniowała stanowczość, która wskazywała, że nie zwlekał, gdy należało coś załatwić. Nie zastanawiał się, jaki świat być powinien, widział go takim, jakim rzeczywiście był. Pułkownik dostrzeże, rozpozna i zwalczy niebezpieczeństwo zawsze, kiedy to będzie konieczne.

Niebezpieczny człowiek. Musi być czujna. Mężczyźni mówili, że szukają mordercy. A to znaczyło, że Delacroix prawdopodobnie był kimś w rodzaju policjanta, i to w dodatku jeszcze z ojczystego kraju Jarrencourtów. Z angielską policją Corrisande nie chciała mieć do czynienia. Nie mogła sobie pozwolić na takie ryzyko. Pozycja jej ojca, ale również jej własna była zbyt niepewna. Wszak dziewczyna nie prowadziła raczej nienagannego życia. Co prawda nie zabiła nikogo, choć znała sztuki samoobrony. Ale kradła. W Anglii deportacja groziła nawet za kradzież jabłka, a to nie jabłka zmieniły właściciela, przechodząc w ręce jej i ojca.

Rozległo się pukanie, a zaraz po nim dał się słyszeć głos Elizy:

– Jesteś tam, moja droga?

– Tak – odpowiedziała Corrisande. – Wejdz.



Eliza weszła do pokoju z triumfalnym uśmiechem.

– Po prostu nie zgadniesz, co mi się przytrafiło! – krzyknęła. – Spotkałam madame de Rhins-Epitue i ona sobie ciebie przypomniała. Lubi cię. Musiałas na niej wyrzucić bardzo silne wrażenie. Czyż to nie wspaniale? Obiecała, że postara się o zaproszenia dla nas na bal na dworze. Powoli zaczynam wierzyć w to, że tutaj nam się poszczęści. Pomyśl tylko, przy odrobinie szczęścia zostaniesz przedstawiona Jego Wysokości! Czyż to nie szczęśliwe zrządzenie losu? Spotkamy *creme de la creme* bawarskiego towarzystwa! Jeśli właściwie wykorzystamy nasze atuty, zostaniesz żoną bawarskiego szlachcica, jeszcze zanim skończy się sezon balowy.

– To wspaniale! – Corrisande uśmiechnęła się słodko i radośnie, patrząc z pełnym zaufaniem na świat, dokładnie tak, jak tego po niej oczekiwano. Przez chwilę obawiała się, że Eliza może przejrzeć tę mierną grę aktorską, przyzwoitka знаła w końcu wszystkie sztuczki Corrisande, ale pod wpływem entuzjazmu Mrs Parslow chyba straciła trochę ze swojej przenikliwości.

– No właśnie – mówiła dalej i usiadła na krzeselku przy toalecie. – Prosiła, by cię pozdrowić, i ma nadzieję, że wkrótce poczujesz się lepiej. Powiedziałam jej, że chorujesz po podróży. A właśnie – urwała, gdy w końcu dostrzegła jednak coś niezwykłego – dlaczego, na Boga, masz na sobie tę straszną sukienkę? Nie powinnaś była jej w ogóle kupować. Coś takiego noszą kobiety chodzące do kasyna, a nie miłe młode dziewczyny, które chcą wyjść za przyzwoitego mężczyznę. Nie podoba mi się ten strój. Nie jest ci w nim dobrze i sprawia, że wyglądasz blado. Dlaczego Marie-Jeannette wybrała ci taką suknię? Przed kolacją musisz się przebrać. Co się stało z tą śliczną żółtą, którą miałaś na sobie dziś rano?

– Przykro mi. Musiałam się przebrać. Zrobiło mi się niedobrze i doprowadziłam tę suknię do ruiny. Musiałam się przebrać w coś luźnego, żebym znowu nie...

– Och, na Boga! – w głosie Elizy zabrzmiały nuty oburzenia. – Mam nadzieję, że nie zaprzepaścisz okazji przez bezsensowne omdlenia. To do ciebie zupełnie niepodobne.

Lepiej otwórz okno, wpuść trochę świeżego powietrza i wyszykuj

się do kolacji. Madame de Rhins-Epitue mówiła mi, że lubi jadać wcześniej. My też tak zrobimy dziś wieczorem. Musisz podziękować madame za zaproszenia. Nie możemy ryzykować, by przypadkiem o nich zapomniała.

Przyglądała się Corrisande z mieszaniną niepewności i troski.

– Jesteś strasznie blada, moja droga. Marie-Jeannette musi pilnie nałożyć ci trochę różu. Co sobie ludzie pomyślą, jeżeli młoda dziewczyna, kandydatka na żonę, przedstawia sobą obraz takiego zniechęcenia? W końcu – ciągnęła dalej – jest jakaś różnica między wytworną a chorowitą bladością. Twój ojciec nie byłby szczęśliwy, gdyby zobaczył cię w takim stanie.

– Oczywiście – odpowiedziała Corrisande. – Postaram się wyglądać szczególnie dobrze. Mogłabyś, proszę, przysłać do mnie Marie-Jeannette? Zaraz zacznę się szykować. Ach! – dodała, jakby właśnie przyszła jej do głowy nowa myśl. – Może napiłybyśmy się jeszcze po filiżance herbaty, zanim zejdziemy na dół? Z pewnością pocuję się po tym lepiej. Napijesz się ze mną?

Mrs Parslow chętnie uległa takiej pokusie.

– Wspaniały pomysł. Napijemy się razem herbaty i od razu poczujesz się lepiej. Sprowadzę tu tę beużyteczną dziewczuchę. Przecież do jej zadań należy, byś ładnie wyglądała.

Pozostawiła Corrisande w sypialni i dzwonkiem wezwała Marie-Jeannette.

Corrisande zrzuciła zieloną suknię i chustę na łóżko.

Do pokoju weszła Marie-Jeannette i spojrzała na nią pytająco.

– Jak myślisz? – zapytała Corrisande. – Czy do kolacji z madame de Rhins-Epitue ta chabrowa muślinowa suknia będzie odpowiednia?

Marie-Jeannette wciąż patrzyła pytająco, zauważyła jednak, że Corrisande pokazuje jej wzrokiem na wpół otwarte drzwi do salonu.

– O tak – odparła. – Świetnie pasuje do twoich oczu. Ale będę musiała cię ciaśniej zasznurować.

Corrisande skinęła z westchnieniem. Obróciła się w nadziei, że tym razem nie zrobi jej się niedobrze. Trzymała się ramy łóżka, podczas gdy Marie-Jeannette ścisnęła jej talię do zachwycającego „prawie nic”. Hugo, gdy zobaczył Corrisande w tej sukni, stwierdził, że mógłby objąć

ją dłońmi w talii. Nigdy jednak mu na to nie pozwoliła. Była dumna z tego, jak się prezentowała. Strój podkreślał jej naturalną kruchość i delikatność. Corrisande nie powiedziała już wiele więcej przez ten czas, gdy Marie-Jeannette odziewała ją w ciemną chabrową suknię z seledynową obszywką i upinała wysoko włosy młodej damy. Rzekoma pokojówka była w swoim zawodzie tak dobra, że Corrisande po jednym spojrzeniu w lustro mogła stwierdzić, że znów wygląda zdrowo i świeżo.

– Dziękuję – westchnęła. – Teraz jest dobrze. Proszę, zamów nam teraz do pokoju herbatę.

Gdy Marie-Jeannette opuściła pokój, Corrisande jeszcze raz przejrzała się krytycznie w lustrze. Wyglądała normalnie. Nie miała łusek ani nic z ryby. Nie wiedziała, jak w rzeczywistości wyglądały nereidy, ale z pewnością nie tak jak ona. Sprawiała wrażenie miłej i schludnej, ślicznej i bardzo ludzkiej.

Dzięki Bogu.

Sięgnęła po skórzaną torebkę i ostrożnie wyjęła z niej szklaną fiolkę, nie większą niż kciuk, którą ukryła pod szeroką suknią. Trzy krople wystarczą, by Eliza zaznała niezmaconego snu przez całą noc. Mikstura była bardzo skoncentrowana i trzeba było niezwykle uważać. Kropla za dużo i osoba, którą zamierzało się uśpić, nigdy się już nie budziła. Coś takiego nie ma prawa się zdarzyć.

Dla wszystkich zainteresowanych będzie jednak lepiej, jeśli Eliza zaśnie, zamiast wtrącać się i jeszcze bardziej wszystko utrudniać. Może nawet nie zauważy, że została uśpiona.

Głupie myślenie życzeniowe. Oczywiście, że zauważy. Przecież trucizna należała do niej, a Corrisande nie chciała nawet wiedzieć, po co jej przyzwoitka ma tę buteleczkę zawsze przy sobie. Na pewno zauważy. Ale tego nie można było zmienić. Pozostaje nadzieja, że zanim Eliza się obudzi, Corrisande zdąży znaleźć jakąś wymówkę, dlaczego chciała uśpić swoją towarzyszkę.

Trzy krople i ani jednej więcej. Niełatwo będzie postępować z taką precyzją. A trzeba jeszcze wypić z Elizą herbatę, uśmiechając jej się w twarz. W końcu znała Corrisande na wylot.

Są jednak sprawy, o których Eliza nie musi wiedzieć.

Dziewczyna uśmiechnęła się do lustra. Wszystko stało się nagle bardzo skomplikowane i nieprzewidywalne. Nie cierpiała niepokoju, który wtargnął w jej życie. Niepokój był czymś, bez czego spokojnie mogła się obejść. W ostatnich latach miała go i tak za wiele.

To było nieuczciwe. Chciała jedynie spokojnego, wygodnego życia. Męża, dzieci – synów. Na wszelki wypadek synów. Żadnych morskich syren. Czy oczekiwała zbyt wiele? W gruncie rzeczy nie.

## Rozdział 36

Ojciec Emanuele z wyraźną niechęcią siedział w magicznym kręgu. Nie wątpił w swe moralne prawo używania magii dla dobrego celu; po prostu nie podobało mu się to uczucie. Nie był magiem, jednak miał dostatecznie dużą wiedzę o sztukach tajemnych, by wśród laików uchodzić za specjalistę. Oczywiście ochronny krąg był potrzebny. W rzeczywistości mnisi musieli chronić się nie tylko przed wpływami z zewnątrz, lecz przede wszystkim trzymać mroczną kreaturę z daleka od swych pokoi. Trzej bracia w wierze mieli często do czynienia z magią i jej dotknięciem, przez co dla istoty-cienia, o której mocach brat Michael tak szczegółowo opowiedział, stanowili niemal tarczę strzelniczą.

Giuseppe odmówił wejścia do kręgu. Można było tylko mieć nadzieję, że jego szczególna natura go ochroni. Właśnie wstał z klęczek po długiej modlitwie i ojciec Emanuele się uśmiechnął. Ten młody mnich był w swej wierze równie niezachwiany co porywczy.

Brat Michael zwrócił się do kapłana:

– Nie jestem pewien, ale według obliczeń, które przeprowadziłem, powiedziałbym, że mamy tu do czynienia z działaniem więcej niż jednego Si. Odkryłem cztery różne sygnatury.

– Cztery? To niemożliwe! Czy wliczasz w to Miss Jarrencourt?

– Trudno to potwierdzić.

– Możemy ją przepytąć – rozmyślał ojciec Emanuele. – Ale nie wiem, czy to dobry pomysł. Poprosiłem, by z archiwum przesłano nam telegraficznie więcej informacji o tej damie i jej rodzinie. Wkrótce powinniśmy dostać odpowiedź. To by nie było dla nas zbyt korzystne, gdyby Giuseppe się przesłyszał i okazało się później, że ta panienska jest jedynie angielską Miss, która przybyła tu na sezon balowy. Nazwisko Jarrencourt figuruje w Burkes Peerage. Zatem ani nazwisko, ani tytuł nie są wymyślone. Jarrencourtowie to brytyjska szlachta ziemska. Niestety, pomimo wysiłków nasze wpływy w tym kraju innowierców są żałośnie małe.

– Archiwum zawiera z pewnością więcej informacji – stwierdził

brat Michael. – Nasi bracia są nadzwyczaj dokładni. Udokumentowali niemal wszystko. Przykre, że całej tej wiedzy pojedynczy człowiek nie zdoła już ogarnąć. Ale jesteśmy przecież tylko ludźmi, a nasza pamięć nie jest doskonała.

– Bóg obdarzył nas taką pamięcią, jakiej potrzebujemy, bracie Michaelu.

– Amen – dołączył brat Giuseppe. – Proszę mi pozwolić przesłuchać Miss Jarrencourt. Mogę z niej wszystko wydobyć. Przede mną niczego nie uda się przemilczeć.

– Wiem. – Ojciec Emanuele uśmiechnął się słabo. – Ale musimy być pewni, że nie wzbudzimy niepotrzebnej sensacji. Nie chcę żadnych kłopotów. Zaczekamy, aż dowiemy się więcej. Może nawet nie będziemy musieli niepokoić tej młodej Miss, jeśli okaże się człowiekiem.

Nie dodał, że wolałby, aby tak było. Nie miał żadnych zahamowań i przy wypełnianiu obowiązków nie wahał się, gdy należało zrobić wszystko, co konieczne. To było częścią walki z ciemnymi mocami. Jednak wizja młodej damy w rękach brata Giuseppe nie podobała się kapłanowi. Dopóki ojciec Emanuele nie zyska całkowitej pewności, kim jest Miss Jarrencourt, żaden mnich nie powinien jej niepokoić.

Jeśli jednak podejrzenie rzeczywiście się potwierdzi, to *padre* wiedział, co należało uczynić. Nie miało znaczenia, czy mu się to podoba, czy nie – ojciec Emanuele robi to, co konieczne. Zakonnikom wpojono, by wypełniali swoje obowiązki, zależnie od talentu i predyspozycji robili chętnie to, co najlepiej umieli.

Kiedyś ojciec Emanuele pokładał wielkie nadzieje w Delacroix. Utalentowany chłopak. Nigdy jednak nie należał do braci. Sceptycyzm uniemożliwiał mu bezgraniczne posłuszeństwo, nie można było chłopaka do tego skłonić. Nie można go było także nagiąć ani złamać. Może odgrywała tu rolę jego kryminalna młodość, fakt, że Delacroix nie chciał się podporządkować żadnym siłom, a może chodziło o tajemnicze dziedzictwo, które zdobył mimowolnie. W każdym razie wciąż się buntował. Nie udało się przywrócić chłopakowi wcześniejszego wyglądu. Mnisi nie zdołali również zmienić poglądów Delacroix. Był jak ze stali.

Trzaśnięcie drzwi wyrwało ojca Emanuele z zamyślenia i wystraszyło. Giuseppe wyszedł z pokoju. *Padre* powinien jeszcze raz przypomnieć mu, by panował nad entuzjazmem. Giuseppe robił rzeczy, które wykraczały poza ustalone plany.

I nigdy nie łamał sobie głowy skutkami swoich nierozważnych zachowań. Nie myślał ani o swojej opinii, ani o konsekwencjach, jakie poniesie zakon. Nie miał absolutnie żadnego wyczucia w sprawach politycznych.

Talenty młodego mnicha polegały na czymś zupełnie innym.

– Jeśli założymy, że Miss Jarrencourt jest jednym z szukanych przez nas stworzeń, a wiatrochod kolejnym, to muszą istnieć jeszcze dwa demony, którymi musimy się zająć.

Brat Michael skinął.

– Wydostać się nie mogą. Ale to nie oznacza, że łatwo je wyśledzić. Potrafię je wyczuć, ale, niestety, nie mogę określić dokładnego miejsca czy kierunku. Mogą być gdzieś tutaj albo na zewnątrz, w pobliżu budynku. Nie jestem w stanie powiedzieć, w jaki sposób zakłęcie je ogranicza. Mogę oczywiście sprawić, by było jeszcze szczelniejsze, ale wtedy zauważy to mag Vonderbrück. Choć prawdopodobnie nie jest zbyt dobry. Czar złamałby się już kilka razy, gdybym nie pomagał przy jego utrzymywaniu. Czuję, że od czasu do czasu mag opuszcza krąg i gdzieś się udaje, fizycznie albo mentalnie.

Ojciec Emanuele skinął głową.

– To bardzo dziwne. Zapewniano mnie, że mistrz sztuk tajemnych, którego wysłano jako wsparcie, jest kompetentny. Widocznie należy założyć, że von der Pfordten nie zna właściwych ludzi. Powinien tę sprawę pozostawić nam.

Brat Michael odchylił się w siedzeniu i uśmiechnął z wyższością.

– Określenie różnic w sposobie panowania nad naszą wiedzą jest dla laików trudne. Vonderbrück mógł wywierać wrażenie na dostojnej publiczności podczas wieczorów towarzyskich i w ten sposób zyskać sobie sławę potężnego maga. Większość ludzi nie wierzy w sztuki tajemne, dlatego odróżnienie salonowego czarodzieja od wielkiego mistrza jest po wielokroć trudniejsze. A Vonderbrück salonowym czarodziejem akurat nie jest. Posiada pewną wiedzę, choć może nie tak wielką, jak

bym się spodziewał po magu oficjalnie przydzielonym przez rząd do pokonania demona.

Ojciec Emanuele tylko się skrzywił. Coś się nie zgadzało. Miał zdolność wczuwania się we wzorce zachowań, a w tym wzorcu coś mu się nie podobało. Jego strategiczny talent był wspaniały. Kapłan wyczuwał, co brat Michael rozumie przez linie pola mocy. Lubił moc i to sprawiało, że był wrażliwy na jej strukturę i wibracje – a tutaj coś było nie tak.

– Istnieje więcej możliwych interpretacji – powiedział w końcu. – Ten człowiek może być zarozumiałym, mającym jednak dobrą opinię szarlatanem, który wodzi za nos naszego pełnego dobrych chęci premiera i pozwala mu wierzyć, że dokonał właściwego wyboru. Ale może być też fachowcem, który nie ukazuje w pełni swych zdolności, z jakiegokolwiek powodu, na przykład dlatego, że realizuje własne plany, plany, które wcale nie są zgodne z tymi, jakie realizuje reszta grupy.

– To mogłoby tłumaczyć niektóre z jego błędów, ale równie dobrze może to być niekompetencja – zgodził się brat Michael. – Jeśli nie jest całym sercem oddany sprawie, nie da się uniknąć błędów. Sytuacja należy do zbyt niebezpiecznych i złożonych, by pozwalać sobie na gierki.

Obaj spojrzeli na siebie z niepokojem.

– Musimy dowiedzieć się o nim więcej – ciągnął brat Michael. – To znaczy zakładam, że musimy wysłać jeszcze jeden telegram do archiwów.

Ojciec Emanuele skinął głową.

– Znaczy to, że jeszcze raz będę musiał poprosić o audiencję. Muszę dowiedzieć się czegoś o tym człowieku. Nie będzie mi łatwo. Jego Wysokość raczy nas nie lubić, von der Pfordten zresztą podobnie, zaś Jego Eminencja biskup najchętniej udawałby, że nas w ogóle nie ma. Uwielbia, gdy jego życie biegnie prostym, spokojnym torem.

– Cóż – westchnął brat Michael – jeśli biskup nas poprze, możemy postarać się o to, by jego życie dalej biegło spokojnie.

Na jakiś czas zapadło milczenie, a później rozmowę znów podjął ojciec Emanuele:

– Mag czy nie, ale mamy jeszcze dwie mroczne bestie, o których w



ogóle nic nie wiemy. Powi...

Otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Giuseppe. Wciągnął do środka dziewczynę, która broniła się z całych sił. Młody mnich zasłaniał jej usta.

– Wielkie nieba! – krzyknął ojciec Emanuele. – Co ty zrobiłeś?

Brat Michael przytomnie zamknął za wchodzącymi drzwi.

– Spotkałem tę babę na korytarzu. Jest pokojówką tego nienaturalnego stwora. Musimy ją przesłuchać – powiedział Giuseppe, a potem mocno i szybko uderzył młodą kobietę w twarz, gdy ugryzła go w rękę. Zanim zdążyła krzyknąć, znów zasłonił jej usta.

– Nikt mnie nie widział – zapewnił. – Pan w swej łasce ofiarował nam tę możliwość. Wiedziałem, że byłoby to marnotrawstwo, gdybym pozwolił jej tak po prostu przejść.

Obaj nieszczęśliwi mężczyźni spojrzeli na pokojówkę. Będzie ją trzeba zmusić do milczenia. Tak czy inaczej. Do absolutnego, wiecznego milczenia. Ojciec Emanuele wolałby, żeby Giuseppe nie podejmował spontanicznych działań, I miał nadzieję, że brat Michael znajdzie rozwiązanie, które nie będzie wymagało usuwania zwłok. *Padre* był sługą bożym. Nie przepadał za morderstwami, nawet jeśli rozumiał, że czasami były konieczne.

Brat Michael podszedł do pokojówki i przyjrzał jej się z ciekawością. Była piękną młodą kobietą. Jeśli miała taką pozostać, musi działać już teraz.

– Dziewczyno – oznajmił – poproszę Giuseppe, by cię puścił, jeśli przyrzekniesz, że będziesz cicho. Zabije cię, jeśli wydasz z siebie choćby jeden dźwięk albo spróbujesz uciekać. Kiwnij głową, jeśli mnie zrozumiałaś.

Dziewczyna kiwnęła głową. W jej oczach zabłyśła panika. Czepek pokojówki był przekrzywiony, a tycjanowskie włosy opadały jej na twarz. Dyszała, bo ciężka dłoń zakrywała jej usta i utrudniała oddychanie.

Giuseppe cofnął rękę z twarzy dziewczyny na jej ramię. Mag niemal widział, jak pod palcami jego klasztorного brata, wbijającymi się w ciało pokojówki, powstają siniaki.

– Spójrz na mnie – rozkazał brat Michael. – Tak dobrze. Patrz na

mnie. – Wykonał kilka gestów przed jej oczyma i pokojówka się rozluźniła.

– Tak. – Wykonał jeszcze kilka drobnych, precyzyjnych ruchów ręką. – Jesteś tu i tego już się nie da zmienić. Ale skoro już tu jesteś, zadam ci kilka pytań, a ty odpowiesz zgodnie z prawdą. Na wszystkie pytania, jakie ci postawię. O wszystkim, co chcę wiedzieć. A kiedy już skończymy, każę ci wyjść i policzyć do trzech. Przy trzech zapomnisz o wszystkim.

Wciąż przesuwając rękę w tę i z powrotem przed oczyma młodej kobiety. Były zielone i okrągłe. Pokojówka nawet nie mrugnęła.

– Co będziesz teraz robić? – zapytał niemal przyjaźnie i dał Giuseppe znak, by puścił młodą kobietę.

– Odpowiadać zgodnie z prawdą na pytania. Wszystkie pytania. O wszystkim, co chce pan wiedzieć – odparła Marie-Jeannette, chwiejąc się niczym młoda brzoza na wietrze. Na jej ustach pojawił się nieobecny uśmiech, twarz przybrała euforyczny, pełen zachwyty wyraz, wargi lekko się rozchyliły, a zielone oczy spojrzały w dal.

– Dobrze – pochwalił ją brat Michael i kiwnął głową ojcu Emanuele, by ten pomógł mu podczas przesłuchania. – Bardzo dobrze. Zaczynamy.

## Rozdział 37

Cérise z satysfakcją przeglądała się w lustrze. Cokolwiek jej się przytrafiło, nie pozostawiło wyraźnych śladów. Była piękna jak zawsze. Nawet piękniejsza. Miłość dodawała jej krasy, swoistego blasku. Mogła ten blask niemal zobaczyć. Promieniowała szczęściem.

Powoli zaczęła nucić gamy, w górę i w dół, w górę i w dół. Nie ćwiczyła dostatecznie dużo. Niezbyt chętnie ćwiczyła w hotelach. Z jednej strony ludziom to przeszkadzało, z drugiej zaś Cérise nie podobała się myśl, by mieć publiczność – choć całkowicie anonimową – która mogła słuchać jej sztuki nieukończonych i niedoskonałych.

Rozległo się pukanie.

Otworzyła niemal z nadzieją, że to tajemniczy nieznajomy, którego kochała, choć bez pamięci.

Ale to był tylko Delacroix. Zmienił kołnierzyk i garnitur i nie wyglądał już na sfatygowanego i ранego. Jego upór był zadziwiający. Prawdopodobnie wciąż odczuwał ból, Cérise wiedziała jednak, że takie drobiazgi go nie powstrzymają.

Ale po co przyszedł?

– Mogę wejść? – zapytał, zaś brzmienie jego głosu zdradzało, że niedawno próbowano go udusić. Cóż za potworny pomysł, wzdrygnęła się Cérise, by wycisnąć komuś z gardła głos razem z oddechem. Razem z życiem. Wolą nawet o tym nie myśleć.

– Proszę – odpowiedziała, zerknąwszy w korytarz, by upewnić się, że nikt nie widzi, jak wpuszcza do pokoju mężczyznę. Zawsze pozostawała czujna. Jako śpiewaczka nie cieszyła się dobrą reputacją, lecz nigdy by sobie nie pozwoliła na jawny skandal.

Zamknęła drzwi za Delacroix, on zaś stanął niezgrabnie pośrodku pokoju. Wydawał się za wielki, zbyt szeroki w ramionach, zbyt masywny i muskularny. Widziała go w nowym świetle i oczekiwała, że jego postać nagle stanie się smuklejsza, elegantsza, subtelniejsza, przestanie przypominać skałę wśród fal przyboju. Cérise nie zadała sobie pytania, co nakazuje jej tak myśleć.

– Usiądź! – zaprosiła, pułkownik jednak nie skorzystał, tylko odwrócił się do śpiewaczki. Jego twarz była niczym kamienna maska. Cérise знаła ten wyraz: Delacroix w chłodnym nastroju. To, co miało teraz nastąpić, nie będzie ani łatwe, ani przyjemne.

– Prosiłaś mnie o pomoc – jego głos brzmiał beznamiętnie. – Powiedziałaś, że zasłużyłaś sobie na tę pomoc. Uratowałaś mi życie, więc prawdopodobnie masz rację. – Jego żółtawe oczy wpatrywały się w nią uparcie. – A więc: co mogę dla ciebie zrobić?

Trzeba było naprawdę dobrze go znać, by zauważyć, z jakim trudem mu to przyszło, Cérise zaś dobrze go znała i była pewna, że pułkownik nie utrzyma długo tej pełnej rezerwy postawy. Ponownie spróbowała skłonić go, by usiadł, jednak zignorował również to zaproszenie.

– Potrzebuję rady w pewnej delikatnej sprawie. Z własnego doświadczenia wiesz coś o okultyzmie. Sam mi o tym wspominałeś.

Usta Delacroix wykrzywiły się w cynicznym uśmiechu.

– Żałuję, że to zrobiłem. Zakładam, że już za późno na prośby, abyś zapomniała o tajemnicach mojego życia.

– O wiele za późno – przytaknęła Cérise. – Zwłaszcza że nie posiadasz talentu mojego najnowszego wielbiciela, który potrafi sprawić, bym o wszystkim zapominała. – Spojrzała dawnemu ukochanemu w oczy. – Prawdopodobnie będziesz mnie za to nienawidzić, ale jestem zakochana i nie potrafię sobie przypomnieć w kim.

Jego rozbawienie było niemal namacalne.

– Czy uważasz to za całkiem nowy aspekt twojego normalnego zachowania?

Tupnęła stopą ze zdenerwowania.

– *Mon Dieu*, Delacroix, jeśli nie chcesz mi pomóc, to bądź tak dobry i od razu sobie idź. Nie obciążałabym ciebie *mes affaires*, gdybym nie uważała, że są głęboko niepokojące. Jesteśmy w samym środku polowania na zjawę, że tak to ujmę, i to, co mi się przydarza, może mieć z tym coś wspólnego. Spróbuj się przełamać, podobnie jak ja to zrobiłam. A może myślisz, że bawi mnie opowiadanie o moich sercowych sprawach mężczyźnie, który mnie opuścił?

Delacroix milczał przez chwilę. W końcu usiadł na krześle w drugim końcu pokoju.

– Istnieje pewien powód, dla którego cię opuściłem – powiedział wreszcie i wysunął nogi, jakby chciał się przeciągnąć.

– Może i tak. Jakkolwiek nie ma to nic wspólnego z tym, co się tutaj dzieje. Nasz związek jest *passee*. Mogłeś mi wybaczyć. Zdecydowałeś się tego nie robić. Nie będziemy tego teraz rozważać. *Pas du tout*. To już skończone, raz na zawsze.

Delacroix znów milczał, jedynie jego brwi uniosły się odrobinę. Milczenie stawało się ciężkie jak ołów. I Cérise nie wiedziała już, jak rozpocząć rozmowę. Załamała ręce i wbiła wzrok w podłogę. Czuła nieugięte, beznamietne spojrzenie Delacroix. Czekał, aż kobieta coś powie.

Nie wiedziała co.

Po jakimś czasie pochylił się nieco.

– Powiedziałaś, że jesteś zakochana – zaczął neutralnym tonem, trochę jak lekarz, który stara się zdiagnozować chorobę.

– Tak – odparła. – Nawet bardzo. Obudziłam się dziś po południu i byłam... No cóż... Częściowo rozebrana. Jestem pewna, że ktoś mnie odwiedził, ale niczego nie mogę sobie przypomnieć. Mam jednak dziwne uczucie, że cokolwiek się wydarzyło, bardzo mi się podobało. To wszystko. To i jeszcze ten drżący wewnętrzny śpiew, który się czuje, gdy jest się zakochanym. To bardzo dziwne – uśmiechnęła się smętnie – i raczej nieuczciwe, jak myślę.

Wyglądał na zaniepokojonego.

– Czy piłaś coś? A może połknęłaś jakiś środek?

– Nie. Nic takiego nie robiłam. I nie boję się. Nie tak naprawdę. Gdyby nie chodziło o zadanie, jakie mamy do wykonania, może nawet rozkoszowałabym się taką nikczemną miłością. Ale w tych okolicznościach...

– ... podjęłaś słuszną decyzję, by mnie o tym powiadomić – dopowiedział pułkownik. – Tyle tylko, że nie wiem, jak ci pomóc. Mistrzowie sztuk tajemnych znają mesmeryzm i mogą sprawić, by działały się rzeczy, których później nie możemy sobie przypomnieć. Feyony też to potrafią, przynajmniej niektóre. Dokładnie tego

oczywiście nie wiadomo, jak zawsze, gdy chodzi o feyony. Nie znamy ich talentów i możliwości ani celów. Niektóre lekarstwa i choroby psychiczne również mogą prowadzić do utraty pamięci.

– Chcesz mi wmówić, że właśnie ogarnia mnie szaleństwo? – oburzyła się Cérise.

– Uważam to za nieprawdopodobne. Ale inne możliwości wcale nie są lepsze. W budynku mamy przynajmniej dwóch magów...

– Dwóch? Wiem tylko o jednym! – przerwała mu kobieta. – Kim jest ten drugi?

– Nie wiem. Spotkałem starego znajomego. Zawsze podróżuje w towarzystwie mistrza sztuk tajemnych. Nie twierdzę, że tym razem też tak jest, ale byłbym gotów się o to założyć. Nie sądzę jednak, by cię w ten sposób... zaatakował. Żyje w celibacie. Poza tym jest jeszcze ten młody lekarz, który opatrywał mi ranę. Wspominał, że studiował nauki tajemne. Jest młody i dobrze wygląda. Być może swą teoretyczną wiedzę wykorzystuje w praktyce na „bogini sztuki śpiewu”.

Wstał i podszedł bliżej.

– Mogę? – Pochylił się nad Cérise. Zbadał jej twarz i szyję. Nic nie było widać.

– Czego szukasz? – zapytała śpiewaczka, zaniepokojona nagłą bliskością Delacroix i dotykiem jego wielkich dłoni na twarzy, przywołującym wspomnienia. Znów jego ręce wydały się kobiecie zbyt wielkie i szorstkie. Wolałaby poczuć na swej skórze szczuplejsze dłonie. Długie, szczupłe palce z... czymś...

– Nie wiem. Znaków. Sprawdziłaś swoje ciało? Szukałaś śladów? Znalazłaś coś podejrzanego?

– Nie – odparła. – Niczego nie było, jak mi się wydaje. Zresztą nie byłam... całkiem rozebrana, gdy się obudziłam. Nie czułam się tak, jakby mnie ktoś... zranił.

Odstąpił od niej.

– Nie wiem, jak mógłbym ci pomóc – powiedział pułkownik. – Ale masz rację. Twoja przygoda jest niepokojąca.

Czy mogło się zdarzyć, że miałaś po prostu bardzo żywy sen?

Parsknęła w sposób, jaki nie przystoi damie.

– Delacroix, nie jestem małą dziewczynką. Nie śnię o księciu z

bajki, leżąc w łóżku w zaczarowanym zamku, obok mojego magicznego kołowrotka. Uczucia i pożądanie, które czułam, nie pasują do podlotka. To było bardzo fizyczne. Namiętność, Delacroix. Prawdziwa, szalona namiętność. Libido.

Cofnął się jeszcze bardziej i popatrzył na nią z wściekłością. Nie wiedział, co powiedzieć.

– Och! Nie patrz tak na mnie! Wiesz przecież, że jestem namiętną kobietą. Zresztą ja też wiem, że ty jesteś namiętnym mężczyzną. Ponad wszelką miarę namiętnym. Szalonym, gwałtownym, burzliwym i czasami wyuzdanym.

– Nie będziemy tu dyskutować o moich uczuciach, Cérise – przerwał jej. – To nie jest temat naszej rozmowy.

– A jednak – uśmiechnęła się i wiedziała, że teraz go rani – była naprawdę nadzwyczajna, ta twoja namiętność, bez żadnych zahamowań, jeśli mogę tak powiedzieć.

– Nie możesz. – Próbował spleść dłonie za plecami, przy czym na chwilę zapomniał, że lewe ramię wciąż nosi na temblaku. Skulił się.

Cérise uniosła brew z sarkazmem.

– Znam ten gest – zauważyła słodko. – Zawsze splatasz ręce za plecami, kiedy jesteś tak wściekły, że najchętniej skrzyłbyś komuś kark.

Uśmiechnęła się. W pokoju znów zapadła cisza.

– Cérise! – zaczął po chwili pułkownik, a jego pełen dystansu ton, o czym kobieta wiedziała, wymagał nadludzkiego panowania nad sobą. – Nie było cię podczas naszego ostatniego polowania. Miss Jarrencourt została zaatakowana przez tę istotę. Jestem pewien, że bestia próbowała ją zgwałcić. Miss zapewniła potem, że nic jej się nie stało. Ale nie wiem, czy powiedziałaaby nam, gdyby doszło do gwałtu. Jest młodą dziewczyną i prawdopodobnie nie wie zbyt wiele o namiętności. W każdym razie byłem przy tym, gdy cień próbował ją posiąść, i doprawdy nie sprawiało jej to żadnej przyjemności. Nawet ty, z doświadczeniem w cielesnej miłości, prawdopodobnie odczułabyś wstręt i obrzydzenie po podobnym spotkaniu.

– Dziękuję za opinię – zauważyła sztywno Cérise.

– Nie wierzę więc – kontynuował Delacroix, jakby w ogóle mu nie przerywała – że to nasz potwór cię nękał. Nie możemy tego jednak

wykluczyć. Dziś wieczorem znów zapolujemy na to stworzenie, tym razem z pomocą Miss Jarrencourt. Będzie nam potrzebny nie tylko talent i umiejętności, lecz także dużo szczęścia, aby złapać stwora, nie poświęcając przy tym tej dziewczyny. Niebezpieczeństwo, w jakim znajduje się Miss Jarrencourt, jest duże. Tyle tylko, że nie wiem, jak możemy sobie poradzić bez niej.

Spojrzała na niego, nie rozumiejąc, co chciał jej przez to powiedzieć.

– Też wam pomogę – zapewniła. – Dziwi mnie jednak, że ta dziewczyna wciąż jeszcze tu jest. Myślałam, że wyjechała. Pójdę z wami na to polowanie. Ta mała będzie się cieszyć, że ma przy sobie przynajmniej jedną kobietę.

Pułkownik wzruszył ramionami.

– Może i tak. Ale nie tego od ciebie chcę. Chcę, żebyś wyjechała. Nie możemy uważać na was obie. Poczuję się lepiej, gdy będę wiedział, że jesteś poza zasięgiem ataków. Nie wiemy, co nas czeka. Wyprowadź się. Zaczynaj się pakować.

Patrzyła na niego wstrząśnięta.

– Ależ, Delacroix, nie mogę. Jego Wysokość król wyraźnie mi...

Przerwał jej gwałtownie:

– Jego Wysokość król Bawarii jest bardzo młodym, jeszcze nawet nie pełnoletnim entuzjastą. Z pewnością jednak nie chciałby, żeby coś ci się przytrafiło. Wielbiciel... opery, prawda?

Kpina w jego głosie rozzłościła Cérise.

– Potrafię sama bardzo dobrze na siebie uważać, wielkie dzięki! – syknęła.

– Ach tak? – wysyczał w odpowiedzi Delacroix. W jego bursztynowych oczach zapłonął ogień. – Uważasz, że po tym jak odwiedził cię kochanek, którego nie jesteś w stanie pamiętać, i gdy obudziłaś się półnaga, możesz być na tyle bezczelna, by twierdzić, że sama potrafisz na siebie uważać?

– Nie masz prawa tak ze mną rozmawiać! – fuknęła. – Chciałam twojej pomocy, a nie prawienia morałów. Straciłeś wszelkie prawo, by czynić mi wyrzuty, po tym jak wyszedłeś paradnym krokiem, nie pozwalając mi się wytłumaczyć.



– Sytuacja nie wymagała żadnych tłumaczeń. Wymagała decyzji i podjąłem ją.

– Ach tak, oczywiście. Jaki ty jesteś dobry w podejmowaniu decyzji! Oficer i dżentelmen, zawsze gotów, by podejmować decyzje za innych. Nic nie mówić, o nic nie pytać, tylko dzielnie naprzód. Kochający się ludzie podejmują decyzje wspólnie. Znajdują wspólnie rozwiązanie problemów.

– Dziękuję za lekcję, moja droga – odparł jej cynicznie. – Gdybym wiedział o tym wcześniej, to po demokratycznym głosowaniu sprowadziłbym z powrotem do twojej sypialni tego młodego mężczyznę.

Cérise zerwała się na równe nogi, dramatycznie uniósłszy ręce, jakby zamierzała zemdleć.

– Nie ma sensu z tobą rozmawiać. Powinnam była o tym wiedzieć – warknęła. – Nie potrafisz wytrzymać nawet pięciu minut, by nie wylewać zaraz swoich żalów. Zraniłam twoją dumę! No i? Mieliśmy romans. Nic więcej. Nigdy nie zabiegałeś o moją rękę i nigdy nie wspominałeś o wspólnej przyszłości. Nigdy A wyobraź sobie, że są ludzie, którzy tak robią!

– Wiem – odpowiedział z cynicznym uśmiechem – i znam też twoją odpowiedź.

Patrzyła na niego w osłupieniu. Typowe dla mężczyzn! Przesiadują ze sobą, opowiadając o miłosnych podbojach i zawodach.

– Nie patrz tak na mnie. – Uśmiech Delacroix tym razem wyrażał rozbawienie. – Tajemnice to mój chleb powszedni. Ale odeszliśmy od tematu. Prosiłaś mnie o pomoc. Nie jestem w stanie ci żadnej zaoferować. Nie wiem, co ci się przytrafiło, i nie mogę cię ani pilnować, ani chronić.

– Nie prosiłam cię, byś mnie chronił – przerwała mu, została jednak zignorowana.

– Dlatego też usilnie cię proszę, abys niezwłocznie opuściła hotel. Cérise, choć ten jeden raz zrób to, co ci mówię. – Patrzył na nią i zauważyła, jak bardzo był zmęczony. – Proszę.

Wbił wzrok w podłogę i odwrócił się do drzwi. Zatrzymał się z ręką na klamce.

– Cérise, mamy ze sobą problemy, ale świat nie powinien stracić

takiej śpiewaczki jak ty.

Uśmiechnęła się melancholijnie.

– Dziękuję.

Pułkownik jeszcze raz się odwrócił przed wyjściem.

– Wyjedziesz? – zapytał.

Unikała patrzenia mu w oczy.

– Pomyślę o tym.

I już wiedział, że kobieta zostanie. Nie było żadnego sposobu, by skłonić ją do zmiany decyzji.

Niezgrabnie odpiął kołnierzyk i wyciągnął amulet. Zdjął go niezdarnie jedną ręką, podszedł i podał wisior Cérise.

– Czy zgodzisz się chociaż nosić ten wisior? Nie mogę zagwarantować, że zadziała, ale może się okazać pomocny. Nie, to nie prezent – wyjaśnił szybko, gdy rozpoznał po wyrazie jej twarzy, że kobieta zamierza odmówić. – Nie przystąpiłem znów do grona twoich wielbicieli, zarzucających cię bizuterią. Kiedyś będę chciał to odzyskać. Proszę, noś to. Zrób mi tę przyjemność.

Zawiesiła sobie łańcuszek na szyi i schowała talizman pod ubranie. Amulet na jej skórze był ciepły, rozgrzany od skóry Delacroix. Cérise przypomniała sobie, jak gorące było zawsze jego ciało, i stwierdziła, że właściwie powinno być trochę chłodniejsze. Ta myśl wydała jej się osobliwa.

– Dobrze – powiedziała – skoro tego chcesz. Dziękuję za pożyczenie.

Skinał głową i otworzył drzwi.

– Bądź ostrożna – z tymi słowy wyszedł.

Gdy drzwi się zamknęły, do Cérise dotarło, że Delacroix oddał jej swój amulet.

Miała nadzieję, że nie będzie go potrzebował.

## Rozdział 38

Musi czekać. W swym czarnym cesarstwie, gdzie czas jest jedynie sporadycznym gościem. Władca buduje z własnych wzorców, tka własne sieci, zasiewa własne lodowate zamki. Wie, że czas płynie, przemyka obok, niczym obcy w podróży, który nie należy do tego miejsca i pozostawia jedynie niechciane odbicie. Wie, że to, co zamieszkuje Jego pamięć, jest już przeszłością, a to, co jest Jego pożądaniem i pragnieniem, nie może się jeszcze wydarzyć.

Życie jest okręgiem. Gdy Władca utka już swój świat i uczyni z niego centrum, usuwa go. Przebija się przez środek z przezroczystego, czarnego, opalizującego kamienia. Krąg jest zawsze taki sam, a jednak uporządkowany za każdym razem w nowe wariacje. Gdyby istniał dla Władcy czas, byłby zawsze taki sam, w każdej chwili identyczny.

Władca wie, że poza Jego sferą czas upływa w inny sposób i podlega innym prawom. Wie, że dla istot, które Go postrzegają, gdy odwiedza świat żywych, te krótkie przedziały czasu, w których Władca im się ukazuje, pojawiają się w różnych odstępach. Żywe stworzenia postrzegają Go i umierają, podlegają czasowi. Wie, że niektóre z tych stworzeń posiadają konieczną wiedzę, by obliczyć Jego powrót do ich świata. To je Władca chce zniszczyć, bo znają Jego tajemnicę. Ale nie może. Posiadają konieczną wiedzę, by trzymać Go na dystans.

Siedzi i tka sieć w pełnym ostrych krawędzi świecie z obsydianu. Planuje i myśli. I nienawidzi. W wyobraźni rozkoszuje się już upadkiem tych, którzy występują przeciw Niemu, oraz tych, którzy mają śmiałość, by wyliczyć Jego dzieło, jakby Jego wizje były czymś, co ich małe, nieuporządkowane, zatrute czasem umysły choćby w przybliżeniu mogły pojąć.

Czuł obecność myśliwych, gdy przedarł się ostatnim razem, pojawił współrzędne w ich boleśnie barwnym świecie, podobnie jak granice, które próbowali Mu wytyczyć.

Władca chętnie by ich zniszczył, z czarnym krzykiem wdarł się w ich ochronne powłoki ze skóry i magii, wśliznął w ich ciała i przejął dla

siebie. Tylko w ten sposób mógł się poruszać swobodnie w świecie ludzi, wnikając w ich kruche ciała, które nosiły Go później jako swój ciężar i swego pana.

Przybył z samotnych stepów, które kiedyś były Jego dostępem do świata barw, przybył przez splątaną domenę ludzi. Przejął wiele ciał i wszystkie poświęcił, by dotrzeć tak daleko. Nie liczył straconych istnień kobiet i mężczyzn, tak jak nie liczył epok – ludzkie życie, jak i czas nie miały dla Niego znaczenia. Nie pamiętał swoich nosicieli, wykorzystywał ich tylko do podróży.

Ludzie byli słabi. Tylko niewielu wytrzymało dłużej taką inwazję. Ich ciała stawały się Jego powłoką, w nich podążał do swego celu.

Miał tak wiele życzeń i wyglądał chwili, która miała dopiero nadejść – chwili, gdy owe życzenia się spełnią. Jego najgorętszym, najbardziej wytęsknionym pragnieniem było posiadać każdego człowieka. Ale musi czekać, póki nie spotka stworzenia dostatecznie dotkniętego magią. Tylko takie otwierały się dla Władcy zapraszająco jak domy, w których nie zamykano drzwi, jak statki połączone trapami z lądem.

Niemal już tego dokonał. Znalazł jednego, niechroniony egzemplarz, który Władca mógł przejąć. Ale wtedy pojawiło się przekleństwo zimnego żelaza. Poczul ból, dziwne, niechciane uczucie, które przypomniało Mu, że też jest śmiertelny.

Zniszczy to stworzenie, które już dwukrotnie Mu się przeciwstawiło i które za drugim razem nie tylko miało ochronę, ale też zabrało Władcy kobietę, którą sobie wybrał. Z początku nie rozpoznał, że należy do Niego; jej dziedzictwo, krew feyonów była zbyt słaba. Ale później posmakował jej białej skóry, tak słodkiej, młodej i uwodzicielskiej. Zbadanie jej stało się Jego celem.

Nie udało Mu się poznać dobrze tej kobiety, przeszkadzono Mu. Znowu zimne żelazo. Zostawił ją, zanim stało się to dla Niego zbyt niebezpieczne. Dlatego nie mógł jej zabrać, przenieść do swego królestwa i uczynić z niej wylęgarni dla swego nasienia. Nie przeżyłaby zbyt długo, nie w Jego świecie, nie jako człowiek, którym w większej części była. Ale wytrzymałaby dostatecznie długo. Zakłęcie jej w

ciemne, zimne jak lód szkło zachowałoby w niej życie na tyle długo, by mogła wydać potomstwo.

Władca tęsknił za nią, podczas gdy mroczne pożądanie narastało w Jego obsydianowym cesarstwie. Wkrótce posiadzie tamtą kobietę. Już tak niedługo, że niemal czuł jej skórę pod dotykiem swego cienia. To było nowe doznanie i zastanawiał się, czy to właśnie uczucie ludzie w świecie barw nazywali „miłością”.

Tak, to musi być miłość. Kochał. Weźmie kobietę. Tym razem, tym kolejnym razem przełamie wszelki opór. Zniszczy każdego, kto spróbuje Go niepokoić. Śmiertelnych łatwo zabić. Nie to co Jego. Nie takich jak On. Ale nawet z własną rasą Władca nie czuł się związany. Zepsuło ich istnienie w świecie barw.

Jego tęsknota tknęła nowy wzorec w mrokach Jego sfery. Będzie mordował. Ta myśl Go ucieszyła. Kochał życie właśnie dlatego, że można je było odbierać, i kochał je odbierać.

Nadano Mu wiele imion. Ale niedługo będzie się liczyć tylko jedno. Pan.

## Rozdział 39

Delacroix był na siebie wściekły. Zatrzasnął drzwi swego pokoju z większą siłą, niż to było konieczne. Schrzał. Cérise zawsze potrafiła wyprowadzić go z równowagi. Pułkownik był wobec siebie na tyle szczerzy, by przyznać, że jego panowanie nad sobą też pozostawiało wiele do życzenia. Nie należał do zbyt opanowanych mężczyzn, choć na tych, którzy nie znali go zbyt dobrze, często udawało mu się wywierać takie właśnie wrażenie.

Oddanie amuletu Cérise było spontaniczną decyzją. Delacroix wiedział, że nie powinien tego robić. Prawdopodobnie sam będzie go potrzebował.

Choć nie kochał już tej kobiety, nie mógł znieść myśli, że ktoś ją wykorzystywał, i nawet jeśli przez większość czasu pułkownik był na nią wściekły, to jednak cenił odwagę śpiewaczki i jej niekiedy bardzo rzeczowe i bezpośrednie podejście do problemów. Te właśnie cechy sprawiły, że się w niej zakochał, a nie powab czy inne fizyczne zalety. Cérise nigdy tego nie zrozumiała. Zawsze traktowała Delacroix jak kolejnego łatwego do kierowania wielbiciela jej sztuki i urody.

Sama to powiedziała, wszystko to passe i jedynie zraniona duma, a nie zawiedziona miłość, doprowadzała pułkownika tak często do wybuchów wściekłości, gdy przebywał z panną Denglot.

Duma była jednak ważna dla Delacroix. Czasami pozostawała mu tylko duma. W Syrakuzach jako dziecko ulicy był dumny z tego, że potrafił przeżyć z dnia na dzień. W latach, kiedy wychowywali go członkowie Bractwa, Armii Światła, jak sami się czasem nazywali, trzymał się tej dumy, kiedy próbowano złamać jego wolę i zmienić w oddanego współnika. Tylko duma ratowała Delacroix, stała się jego kotwicą. Podczas nieustannego cyklu chłosty, biczowania i poniżeń mężczyzna trzymał się jej, by nie zatracić samego siebie.

Zawziętym, upartym i krnąbrnym nazywali Delacroix bracia, z gruntu złym i bezwartościowym. Nie był dla nich nikim więcej, o ile nie nauczy się podporządkować. A tego nigdy się nie nauczył.

Minęło trochę czasu, zanim się dowiedział, że za jego kształcenie w klasztorze płacił angielski dżentelmen, który oficjalnie adoptował chłopaka. Delacroix musiał nauczyć się obcego języka, by napisać do tego człowieka list, kiedy już udało mu się zdobyć adres. W tym celu włamał się do głównego biura zakonu, co było przestępstwem, za które – gdyby go złapano – zapłaciliby życiem. Aby wysłać list, musiał potajemnie wymknąć się z seminarium, ukraść pieniądze na opłatę pocztową i nadać pismo, zanim bracia znów go złapią. To było trudne, ale dał radę.

Złapali go w niecałą godzinę. Seminarium Bractwa było dobrze strzeżone. Uciekinierów nie tolerowano, podobnie jak kontaktów ze światem zewnętrznym. Nowicjuszy, którzy opuszczali teren szkoły, brutalnie karano. Delacroix wiedział o tym. A jednak zaryzykował dla małej szansy, że otrzyma odpowiedź od człowieka, który oficjalnie – choć z niezrozumiałego dla chłopaka powodu – tak jakby został jego ojcem.

Bracia niemal zatłukli Delacroix na śmierć, bo wierzyli, że próbował wrócić do swojego dawnego życia jako złodziej. Nie dowiedzieli się jednak nic o wysłanym liście, choć Delacroix przez dłuższy czas nie był tego pewien. Członkowie Bractwa byli złymi, zaślepionymi ludźmi, którzy próbowali uczynić ze swych wychowanków ludzi równie złych i zaślepionych. Ich taktykę stanowiło: wiedzieć wszystko bez obwieszczenia, co wiedzą.

W seminarium Delacroix spędził cztery lata i wiele się przy tym nauczył. Modlić nauczył się jednak dopiero wtedy, gdy wysłał list. Z nietypową dla młodego wieku klarownością zobaczył, że dotarł niemal do kresu wytrzymałości. Załamie się i będzie taki jak bracia. Będzie zaszczną ludzką skorupą, pełną nienawiści i podejrzliwości. Będzie dostrzegał spisek i herezję w każdej pojedynczej myśli, w każdej wypowiedzi odbiegającej od okropnego, obojętnego świata, który oni stworzyli.

Uratowali go. Był za to wdzięczny. Jego wdzięczność nigdy jednak nie była wystarczająca, nigdy dość głęboka, ponieważ nie obejmowała pełnego poddania, którego od Delacroix oczekiwano.

Jego sprzeciw odczytywano jako oznakę ciemnej mocy, która

może wciąż w nim działała i którą należało z niego wypędzić. Chłopaka dotknęła i zmieniła ręka zła. Bracia nienawidzili tej domniemanej odmienności, jednak ani bicie kijem, ani biczowanie, niezależnie od tego, jak dużo tego było, nie mogły na powrót zmienić Delacroix w tego, kim był wcześniej. Jego oczy nie stały się znów ciemne, nigdy już nie powróciła mu postura małego, wychudzonego ulicznika.

Oczekiwanie na ratunek trwało wiele tygodni i niemal się już poddał. Aż pewnego dnia jakiś rozwścieczony brat, bijąc go całą drogę, zaciągnął chłopaka do opata. Tam Delacroix zobaczył jasnowłosego, jasnoskórego mężczyznę w ubraniu marynarza. Przypomniawszy sobie. Chłopak widział go owej strasznej nocy, gdy utracił część siebie i stał się kimś innym.

Mężczyzna przyjrzał mu się, nie mówiąc ani słowa. Delacroix stał tak, świadomy, co ten mężczyzna widzi przed sobą: zbyt wyrosniętego, tyczkowatego wyrostka o niesamowitych oczach i śniadej skórze. Ale ten człowiek widział więcej. Dostrzegł świeże rany i stare blizny na twarzy chłopca i wiedział, co o tym myśleć.

Jeszcze tego samego dnia Delacroix opuścił seminarium, wcześniej zdążył jednak otrzymać ostatnią chłostę, podczas gdy jego nowo pozyskany krewny kłócił się z opatem i targował o chłopaka, do którego rościł sobie prawa.

Mężczyzna wziął go na swój statek. Przedstawił się jako Charles Fairchild, Delacroix znał już jednak jego nazwisko, bo sam otrzymał nowe: Philipp Fairchild. Mężczyzna nie był zbyt szczęśliwy, że zaadoptował chłopaka, który nie dość, że wyrósł w podejrzanym zakonie, to jeszcze miał za sobą kryminalną przeszłość. Niechlubne pochodzenie. Wykształcenie pasierba też było niedostateczne, na dodatek brakowało mu manier. Marynarz żałował, że dał sobie wówczas narzucić odpowiedzialność za obcego dzieciaka. Dał wyraźnie do zrozumienia, że w żadnym wypadku nie chce, by nazywać go ojcem, i w rzeczy samej Delacroix nigdy nie nazwał go inaczej niż kapitan Fairchild albo później sir Charles.

Kapitan Fairchild nigdy nie był kochającym ojcem i Delacroix zawsze wiedział, że bez wahania uratowałby własnego syna, poświęcając sycylijskiego łobuza, gdyby tylko miał wybór. Ale takiego



wyboru nigdy nie miał. Za to był człowiekiem, który poważnie traktował swoje zobowiązania.

Wypełniał zatem obowiązki wobec chłopca, którego ojcem stał się w tak nieprzemyślany sposób, choć nie rozumiał, jak ta kukułka trafiła do jego gniazda, i nie wiedział, jak zaakceptować tę sytuację. Delacroix dostał dobrych nauczycieli, którzy skierowali jego niezbyt powszednią wiedzę i niezwykle talenty na normalniejsze tory.

Niezwykłe, wyjątkowe wykształcenie zamknęło Delacroix drogę do Oksfordu, okazało się jednak dobrą podstawą dla kariery w wojsku. Nie obrał jednak wzorem sir Charlesa kariery w marynarce, lecz wstąpił do pułku kawalerii. Podczas wojny krymskiej po raz pierwszy wykorzystano szczególne zdolności młodzieńca w tajnych operacjach. Od tego czasu przydzielono go do zadań specjalnych i rzadko był u siebie, ze swoim pułkiem.

Delacroix niemal podskoczył, gdy rozległo się pukanie do drzwi. To pewnie bawarscy podporucznicy. I faktycznie, stali na progu, jeden z zamyśloną i zatroskaną miną, drugi zaś zawadiacki i beztroski jak zawsze.

Delacroix poprosił, by weszli. Przyszła pora, by przedyskutować metody działania i w miarę możliwości opracować „plan bitwy”.

Usiedli.

– Zanim zaczniemy – rozpoczął zrezygnowanym głosem von Orven – chciałbym zwrócić uwagę, że nie popieram dopuszczenia Miss Jarrencourt do polowania. Nie potrafię jednak zaproponować lepszego planu i wiem, o co toczy się gra. Dlatego też chciałbym jeszcze raz podkreślić, że ta młoda dama podlega naszej ochronie. – Przerwał, a zaraz dodał jeszcze bardziej żałośnie: – Jeśli coś jej się przytrafi, nigdy sobie tego nie wybaczę.

Von Görenczy skinął krótko. Pomyślał, że sądząc po dotychczasowych wydarzeniach, Miss Jarrencourt na niewiele zda się ta ochrona. A to drażniło jego żołnierski honor.

– Po tym, co przytrafiło jej się do tej pory, nie byłbym zdziwiony, gdyby zmieniła decyzję, podwinęła ogon pod siebie i uciekła – zauważył.

– To by było zrozumiałe – odparł Delacroix – ale wierzę, że ona to

zniesie. Jej zachowanie po ataku pozwala przypuszczać, że jest odważną młodą damą. Niemniej jednak powinniśmy się zastanowić, jak będziemy działać.

Zdjął temblak, krzywiąc się przy tym z bólu. Następnie wsunął sztylet z zimnego żelaza do pochwy przy pasku.

– Proponuję – powiedział przy tym – że pan, Görenczy, znów weźmie skrzynkę, podczas gdy von Orven i ja spróbujemy zapędzić tego stwora naszymi nożami we właściwym kierunku. Kiedy próbował pan ostatni raz złapać go do pudła, wydawał się bardzo silny, ale miał też dość czasu, by urosnąć. Mam nadzieję, że tym razem będziemy mogli złapać go od razu. Przy odrobinie szczęścia będziemy już mieli cień w skrzynce, zanim zbliży się do tej młodej damy.

Von Orven poważnie skinął głową.

– To dobre rozwiązanie. Niemiła jest dla mnie myśl, że ten nieczysty stwór ponownie mógłby zagrozić Miss Jarrencourt.

Ta myśl była niemiła wszystkim. Przez chwilę Delacroix nasłży wspomnienia z własnej przeszłości, poczuł pod sobą kamienny ołtarz i powoli wbijający się sztylet. Wiedział, jak to jest, gdy obca moc przejmowała władzę nad ciałem i duchem. Zmusił się, by stłumić to wspomnienie. Czuł się jednak tak, jakby tym razem to on sam kładł tę młodą damę na ołtarzu. Zmieniły się role. Delacroix był teraz mrocznym kapłanem unoszącym sztylet. I brzydził się tej roli. Przypomniawszy sobie oczy dziewczyny zamieniającej się w czarny kamień. Poczuł jej panikę tak wyraźnie, jakby sam ją odczuwał. I nagle ogarnął go strach, że straci tę młodą damę.

Milczał. Taktyka nakazywała nie niepokoić towarzyszy broni.

– Chciałbym panom jeszcze raz przypomnieć, o co toczy się gra. To stworzenie wydaje się kluczem do zagubionego rękopisu. Rękopis umożliwia zniszczenie naszego świata. Nie wiem jak, ale tak nam powiedziano. Zabije nie tylko Miss Jarrencourt, ale nas wszystkich, panów przyjaciół, panów rodziny, wasze królestwo i moje, każdego, kogo kochamy, i wszystko, co dla nas święte. To ważne, abyśmy nie tracili tego z oczu. W tej walce należy się liczyć ze stratami. Nie może nas to jednak powstrzymać przed działaniem.

Obaj młodzi mężczyźni byli zbyt dumni, by coś do tego dodać.

Delacroix nie był pewien, czy go zrozumieli, czy naprawdę zrozumieli, że ratowanie dziewczyny nie jest najwyższym priorytetem. Jeśli nie będzie innej możliwości, muszą ją poświęcić. Oczekiwał niemal, że podporucznik von Orven zaprotestuje i doda jakąś uwagę do jego małej przemowy – w stylu: bezpieczeństwo dziewczyny ponad wszystko. Młody mężczyzna nie powiedział jednak ani słowa, tylko patrzył z powagą przed siebie.

Znów rozległo się pukanie. Von Görenczy wstał i otworzył, a do pokoju wkroczył policjant i dziarsko zasalutował.

– Przesłano mnie, bym poinformował panów o wynikach naszego dochodzenia – powiedział, trzymając w ręku tekturową teczkę. Był w niej nadpalony kawałek papieru z resztkami pisma. – Widziano tego drania, który zaatakował pułkownika Delacroix, jak odpalał papierosa kawałkiem tego papieru. Pałący się papier wrzucił do popielniczki. Ugasił go portier w obawie, że może spowodować pożar. Fragmenty na tej kartce są jeszcze czytelne. Pan komisarz prosił uprzejmie zapytać, czy coś to panom mówi.

– Proszę przekazać nasze podziękowania pańskiemu przełożonemu – odezwał się von Görenczy i wziął kartonową teczkę – i powiedzieć mu, że z całą pewnością go powiadomimy. W tej chwili jesteśmy jednak zajęci i prosimy o cierpliwość.

Mężczyzna zasalutował i wyszedł.

Udolf wyjął kartkę papieru i rozłożył na stole. Cała trójka patrzyła na niego jak zaczarowana.

„Szanowny Panie! Ufam... przewidy... Monsieur J... poinformowany... w Monach... jego szczególną ochroną... przysługę... nieprzyjemnej sprawie ... ika Delacroix... magiczne zdoln... Najwyraź... nałożył ... akłęcia ... ięcna... wsparcie ... ilnie opuścić... jeszcze dzisiaj. O ile... czar nie może przetrwać śmierci tego, który... ”

Niektóre części były zwięzłe, inne całkiem czytelne. Brakowało podpisu. Zamiast tego pod tekstem znajdował się herb przedstawiający syrenę. Jedyne nazwisko, które można było odcyfrować, to „Delacroix”.

– Cóż – powiedział – moje nazwisko wymieniono tu całkiem wyraźnie, możemy więc założyć, że to zlecenie morderstwa. Żadnego podpisu. Chociaż przy tego rodzaju dokumentach nie oczekiwałbym

podpisu. Co do herbu, być może uda nam się dowiedzieć czegoś później.

– Ale dlaczego? – zapytał Asko. – Wymieniono tu tylko jedno inne nazwisko, Monsieur J. Zna pan jakiegoś Monsieur J?

– W tej chwili nikt nie przychodzi mi do głowy. Ale jest wiele imion, które zaczynają się na J, John, James, Jim, Jean, Jacques...

– Jarrencourt – uzupełnił Udolf.

– Nie bądź dziecinny – naskoczył na niego Asko. – Tutaj chodzi o jakiegoś Monsieur J, a nie o Miss J, i dlaczego niby miałyby napisać taki list?

No właśnie, pomyślał Delacroix. To nie miało żadnego sensu. A jednak charakter pisma wyglądał na kobiecy. Corrisande ostrzegła go przed zamachem. A więc musiała coś wiedzieć – tylko skąd? Trzeba ją o to zapytać, ale lepiej nie przed polowaniem. Później okaże się, czy pismo jest ważne i na ile.

Spojrzał na zegarek.

– Moi panowie – powiedział – obawiam się, że brakuje nam teraz na to czasu. Podporuczniku von Orven, jest pan dobry w rozwiązywaniu zagadek. Niech pan spróbuje, proszę, coś z tych resztek wydedukować. A pan, podporuczniku von Görenczy, czy byłby tak miły i uwolnił Miss Jarrencourt ze szponów jej ciotki? Zaoferował się pan podjąć walkę z tą imponującą damą. Darzbór! Według naszego maga mamy jeszcze dość czasu, ale parę razy pomylił się już w obliczeniach. Wolę być za wcześnie, niż się spóźnić.

Von Görenczy skłonił się i opuścił pokój. Von Orven zatopił się w tekście nadpalonego listu, Delacroix zaś rozmyślał o filigranowej, niebieskookiej dziewczynie, która niespodziewanie zaczęła odgrywać w jego życiu tak złożoną rolę.

## Rozdział 40

W głowie Corrisande pobrzmiwały słowa wiersza, którego jako dziecko nauczyła się od szkockiej opiekunki. Dawno o nim nie myślała. Jednak gdy siedziała w jadalni hotelu Nymphenburg i nieustannie uśmiechała się do madame de Rhins-Epitue i Elizy, dziobiąc widelcem w kolacji, wersy wracały do niej ze wspomnień.

„Najlepsze plany myszy i ludzi nie zawsze się powiodą”, pomyślała, wspominając twardy akcent niani. Lubiła ją, ale p cieszyła się nią krótko. Szkocki charakter, a przede wszystkim silny akcent skłoniły ojca Corrisande, by szybko zrezygnował z usług tamtej opiekunki, zwłaszcza gdy stwierdził, że jego mała córeczka cytuje Roberta Burnsa w oryginale, posługując się szkockim z wyżyn.

Jej plan też się „nie powiódł” albo jakoś tak. Gdy Corrisande wyszła ze swego pokoju, wystrojona w modrą suknię, Eliza, nie namyślając się długo, postanowiła zrezygnować z picia herbaty i od razu udać się do jadalni. Przecież nie zamierzały zaprzepaścić spotkania z madame de Rhins-Epitue. Potrzebowały tych zaproszeń. Nie powinny dopuścić, by tak wspaniała okazja wymknęła im się z rąk, a Marie-Jeannette nie zamówiła dość szybko herbaty i wciąż jeszcze nie wróciła. Eliza była z tego powodu poirytowana i przez całą drogę na dół zdążyła ująć swe żale w wiele starannie dobranych słów.

Wypchnęła po prostu Corrisande z pokoju, nie mając najmniejszego zamiaru słuchać jej argumentów, Corrisande zaś nie chciała wzbudzić podejrzeń, nadmiernie się dąsając. W innych okolicznościach sama z równie wielkim zapałem starałaby się o urzeczywistnienie wzniesłego celu, czyli uzyskanie podstępem dwóch zaproszeń na bal na dworze. Obecne okoliczności dziewczyna chciała za wszelką cenę zachować w tajemnicy.

Musiałyby zbyt wiele wyjaśnić, a niektórych rzeczy nie mogła lub nie chciała tłumaczyć Elizie. Dlatego tylko uśmiechała się i poszła z opiekunką, głęboko w duszy skrywając lęk przed nadchodzącą walką, której Corrisande nie mogła wygrać.

Tak wiele zagadek. Tak wiele niemożliwych do zrozumienia tajemnic. Dopiero co przyzwyczajała się do myśli, że jest córką arcyprzestępcy i że sama była kryminalistką, gdyby ocenić jej młodzieńcze sukcesy w łamaniu prawa. Ale zdecydowała, że nie chce być złodziejką. Nie chciała prowadzić życia na skraju przepaści, nie chciała żyć poza społeczeństwem. Corrisande miała wybór. W każdym razie wierzyła w to do teraz.

Teraz jednak znów była „poza”, i to jeszcze bardziej niż kiedykolwiek. Jej prawo, by swobodnie decydować o swoim życiu, rozplynęło się w nicłość. Jej nowa wiedza o najmroczniejszej tajemnicy przytłaczała dziewczynę. Feyon. Była jedną z Sí. Nikt nie może się o tym dowiedzieć.

Roześmiała się i powiedziała:

– Też jestem dokładnie tego zdania, madame de Rhins-Epitue. – Nie słuchała, o czym opowiadała ta miła dama, jednak brzmiało to tak, jakby wymagało potwierdzenia, a więc Corrisande przytaknęła.

Roześmiała się zachwycona, a jednak wstydliwie i jakby przygaszona, słysząc nudny bon mot, który dama uważała za świetny. Twarz bolała ją z wysiłku, jednak dziewczyna dobrze odgrywała swoją rolę. Przyzwoite zachowanie musi się stać twoją naturą, nie można go odgrywać, wpajała Marie-Jeannette. Wszystko jedno, wrodzony czy wpojony, jej dystyngowany wdzięk pozwolił Corrisande przetrwać posiłek i konwersację.

Myślami była gdzie indziej, jednak jej odpowiedzi nie zdradzały rozproszonej uwagi. Corrisande wiedziała, że wygląda ślicznie i niewinnie, a jej dołeczki stają się głębsze, gdy się śmieje. W jednej tylko chwili sprawiała wrażenie nieszczęśliwej, gdy madame de Rhins-Epitue wyznała, że myślała, iż ten miły, młody *comte* de Lacy poprosi dziewczynę o rękę. Cóż za tragedia. Taki młody mężczyzna odszedł w kwiecie wieku i nawet nie udało się znaleźć jego mordercy. Straszne, po prostu straszne.

Corrisande nie musiała się zbytnio wysilać, by wycisnąć łzę, która zaślśniła na jej rzesach, to jednak przekonało wpływową damę, by zmienić temat. Była zbyt dobroduszną, aby rozmawiać o sprawie, która wywoływała zmartwienie u młodej dziewczyny, ale ostatecznie nie byli

przecież nawet zaręczeni, prawda?

Więc mówiły znów o balu. O wspaniałym balu. Imponującym. Otworzy go młody król. W jakim był teraz wieku? Dwadzieścia? Dwadzieścia jeden? Z pewnością był teraz najbardziej romantycznym suwerenem w całej Europie.

Eliza zapytała madame de Rhins-Epitue o opinię, gdzie najlepiej zlecić uszycie stosownej garderoby na taką okazję, dama zaś zaczęła wykladać swoją opinię o stosownym stylu dla przyzwoitych młodych dam i godnej pożałowania tendencji u młodych ludzi w ogóle, by ubierać się wyzywająco.

Corrisande udało się zarumienić w odpowiednim momencie i zauważyła, jak madame de Rhins-Epitue coraz bardziej ulega jej urokowi. Powinna być dumna ze swego zachowania i zdolności, które okazywały się tak przydatne, jej myśli skupiały się jednak na czymś innym. Corrisande niemal drżała.

Bała się. Z każdą mijającą minutą strach stawał się coraz większy. Otulał ją, chwycił za serce lodowymi palcami. Znów do głowy przyszedł jej wiersz Burnsa: „Ty biedne małe, skulone stworzenie, w twym sercu tylko przerażenie!”. Przerażenie było w sercu Corrisande. Próbowwała odsunąć od siebie trwogę, uwięzić za murem. Ale to nic nie zmieniało. Wkrótce nadejdzie czas. I wtedy cienisty potwór znów będzie polował na dziewczynę, i nie miała żadnych wątpliwości, że drugiego takiego ataku jak poprzedni nie będzie w stanie znieść.

Pułkownik przyrzekł, że do tego nie dopuści. Widziała oczyma wyobraźni kanciastą twarz Delacroix i tak bardzo chciała mu wierzyć. I wtedy Corrisande uderzyła myśl, że nawet nie wie, czy pułkownik jeszcze żyje. Mężczyźni na usługach jej ojca znali się na swoim rzemiośle. Delacroix mógł być już martwy. Jedyne człowiek, o którym Corrisande myślała, że jest w stanie przeprowadzić ją żywą przez mękę, mógł zostać zamordowany.

Nie wiedziała nawet, dlaczego ufała bardziej jemu niż innym. Nie wątpiła w dzielność i umiejętności von Görenczy'ego ani w ofiarnego ducha walki von Orvena. Nie potrafiła jednak tak do końca uwierzyć, że ci dwaj będą wiedzieć, co trzeba zrobić, by ją uratować. Pierwszy był zbyt pewny siebie i zuchwały, drugi zbyt zajęty niuansami właściwego

zachowania, by w razie konieczności okazać bezwzględne i śmiercionośne zdecydowanie.

– Naprawdę pani uważa, że powinnam ubrać się na biało? – zwróciła się z pytaniem do madame de Rhins-Epitue, która to właśnie zasugerowała. Corrisande przytaknęła, gdy obie starsze damy dyskutowały o zaletach kremowej sukni, która co prawda nadawała dziewczynie status debutantki, nie stawiała jej jednak w całym szeregu nobliwych Bawarek, które na tym balu zostaną wprowadzone do towarzystwa.

Wiedziała, że Asko w każdym przypadku byłby gotów zaryzykować dla niej życie – ponieważ było to jego obowiązkiem, lecz również dlatego, że jego uczucia wobec Corrisande nakazywały mu ją chronić. Miała nadzieję, że te uczucia nie będą mu przeszkadzać w zwracaniu uwagi na to, co ważne, i robieniu tego, co konieczne.

Delacroix zawsze robił to, co niezbędne. Corrisande podpowiadała to intuicja. Nagle znów poczuła jego silne, kościste ręce na twarzy, czuła jego kciuk, którym pogłaskał ją po policzku. To wspomnienie przeszło jej ciało niczym słodko-gorzki oszczep. To było uczucie, jakiego jeszcze nigdy nie przeżyła. Tęskniła za tym, by to przemyśleć.

Najpierw jednak musiała doprowadzić ten posiłek do pomyślnego i szybkiego końca, i to w sposób, który nie rzucałby się w oczy i pozwalał znaleźć okazję, by uspić Elizę. Poza tym Corrisande musiała odprawić Marie-Jeannette, chociaż pokojówka wiedziała oczywiście o czekającej chlebodawczynię „przygodzie”. Więcej jednak nie powinna wiedzieć. Nic nie byłoby gorsze niż danie Marie-Jeannette powodu, by zaczęła się zastanawiać nad dziwnymi wydarzeniami ostatnich godzin i ewentualnie dodała dwa do dwóch. Co prawda Corrisande prędzej powierzyłaby tajemnicę Marie-Jeannette niż Elizie, ale przypuszczalnie pokojówka byłaby przerażona i zdumiona, gdyby poznała przygniatającą prawdę o swej pracodawczyni.

Tak wiele było jeszcze do zrobienia, tak wiele problemów do przemyślenia i wszystko tylko po to, by robić coś, czego Corrisande wcale nie chciała robić, a mianowicie zmierzyć się z niebezpieczeństwem, którego wcale nie chciała dostrzegać. Pod nią otwierała się otchłań, Corrisande zaś balansowała na źdźbłe słomy.



Tęsknie spojrzała na frontowe drzwi. Gdyby tylko mogła stąd odejść! Zniknęłaby w okamgnieniu. I nigdy nie wróciła.

Ale nie mogła wyjść. Drzwi wyglądały tylko na otwarte. Przed nią były zamknięte. Przypomniła sobie palący ból w ręce, gdy próbowała opuścić hotel. Przed oczyma duszy znów widziała uśmiech lekarza, Corrisande pamiętała, jak jej dotknął i obudził wspomnienie zdarzenia, które nie było częścią jej życia. W kilku przyjaznych słowach postawił całe jej życie na głowie. I odarł dziewczynę z pewności siebie.

Bawiła się jedzeniem. Nie potrafiła się nim cieszyć, choć hotelowy kucharz rzeczywiście był pierwszej klasy. Eliza zauważyła jej słaby apetyt, nie skomentowała tego jednak. W tej sukni i tak zazwyczaj nie dało się wiele zjeść. Była zbyt ciasna.

Madame de Rhins-Epitue skończyła posiłek. To pozwoliło Corrisande mieć nadzieję. Chciała zakończyć tę mękę, choć zaraz po niej miała się zmierzyć z czymś znacznie większym. Wraz z nieuchronnym zbliżaniem się tej chwili stwierdziła, że w jej głowie zbiera się coraz więcej różnorodnej wiedzy, jakby wyłaniającej się z niczego. Zdobywała przestrzeń cal po calu, niczym przypływ, który w niemal niezauważalny sposób w końcu pochłaniał plażę. Corrisande zdawało się, że rozumie coraz więcej, myśli i uczucia porządkowały się jakby same. Nagle wiedziała, ile pozostało jej czasu, zanim potwór znów się pojawi. Wiedziała też, gdzie to nastąpi. W piwnicy. Mężczyźni będą na niego czekać i spróbują go złapać, póki będzie jeszcze dostatecznie mały.

Musi im powiedzieć, gdzie dokładnie pojawi się cień. Zależało od tego jej życie.

– Dziękuję, madame de Rhins-Epitue – powiedziała uprzejmie i uśmiechnęła się nieśmiało. – Ciocia Eliza zawsze mi pomaga w wyborze garderoby. Ma bardzo wyszukany gust.

Długotrwała konwersacja szarpała jej nerwy. Upiła łyżeczek wina.

– O tak, moje dziecko – zgodziła się madame de Rhins-Epitue. – W niebieskim wygląda pani szczególnie pięknie. To podkreśla pani oczy. Co za pogodny błękit! Człowiek mimowolnie myśli o morzu.

Corrisande zachłysnęła się i zaczęła kaszleć, co przyniosło karcące spojrzenie Elizy, która natychmiast podjęła rozmowę, odwracając uwagę

od podopiecznej. Jeszcze dzień wcześniej taki opis jej oczu Corrisande odebrałaby jako komplement, i to nawet bardzo miły. Właściwie powinna być szczęśliwa i cieszyć się, że madame de Rhins-Epitue z taką oczywistością przyjęła ją pod swe skrzydła. W końcu starsza kobieta nie miała ku temu żadnego powodu, po prostu była miła. Jednak ekscentryczna dama upodobała sobie Corrisande i najwyraźniej sprawiało jej przyjemność zaangażowanie się w przygodę polegającą na znalezieniu młodej znajomej jakiejś dobrej partii. Niektóre kobiety takie już były: szczęśliwe tylko wtedy, kiedy mogły się o kogoś troszczyć. Corrisande powinna być za to wdzięczna.

Jednak strach ją pożerał. Odbierała to jak fizyczny ból. Mogła wyczuć narastającą panikę, opanowującą jej ciało. Trwoga ścisnęła żołądek Corrisande i miażdżyła serce w żelaznym uścisku.

Myśli pędziły jak szalone. Z całkowitą jasnością wróciło wspomnienie uczucia, gdy cień jak węgorz wślizgiwał się pod jej ubranie, pieścił i konsekwentnie, pożądliwie badał. Tym razem weźmie Corrisande do swego świata. Dziewczyna знаła to niepojęte czarne miejsce, gdzie najwyraźniej przebywała podczas omdlenia, i wiedziała, że tam ją zabierze. Znów przekształci ją w kamień i szkło, sprawi, że zastygnie we własnym rodzaju śmierci, a cień zabierze Corrisande w przerażającą rzeczywistość, by spędziła tam resztę życia, w którym potwór będzie mógł z nią robić, co zechce. Na tę myśl ścisnęło jej się gardło.

Próbowała odepchnąć te myśli, zauważyła, jak jej uśmiech, radosna i niewinna mina, wymyka się spod kontroli. Kolacja niemal dobiegła końca. Corrisande musi zrobić jeszcze tylko jedno.

Wykonała niezgrabny ruch i wylała przy tym do połowy pełen kieliszek.

– Ojej! – krzyknęła przeproszająco i natychmiast podskoczyła, by zapobiec poplamieniu winem sukni Elizy. – Tak mi przykro! Jaka jestem niezgrabna! – Zarumieniła się, otarła serwetką mokry obrus i jednocześnie wlała kilka kropel środka usypiającego z fiołki, którą skrywała w dłoni, do kieliszka Elizy.

Nie więcej niż trzy. Miała nadzieję, że nie było więcej. Ale nie mogła tego wiedzieć dokładnie. Nie zamierzała popełniać morderstwa.

Może lepiej będzie, jeśli powstrzyma Elizę przed wypiciem? Ale co potem? Wykonanie tej sztuczki tak, by nie zauważyła tego żadna z jej towarzyszek, wymagało wszystkich umiejętności. Corrisande była pewna, że nic nie widziały. Podobnie jak ona sama. Mogła mieć tylko nadzieję, że choć nie patrzyła, dobrze wyliczyła dawkę.

Przyszedł kelner, by pomóc uprzątnąć to małe *malheur*. Wciąż jeszcze Corrisande nie przestawała przeproszać. Eliza spojrzała na nią lekko poirytowana. Normalnie podopiecznej nie zdarzały się takie niezręczności. Madame de Rhins-Epitue była jednak wielkoduszną. Przecież to nic takiego, rozlało się trochę wina. Każdemu może się przytrafić. Pewnie Miss Jarrencourt była troszeczkę zdenerwowana? To zrozumiałe. Monachium musiało jej się wydawać nowe i obce. Podróżowanie było dla młodych dam tak ekscytujące.

Corrisande przytakiwała i wciąż się uśmiechała. Rzeczywiście, to wszystko było bardzo ekscytujące. Ci ludzie i te rzeczy, to było takie nowe. I takie imponujące. Madame de Rhins-Epitue wstała, Corrisande i Eliza wstały również, pożegnały się, życząc starszej pani dobrej nocy.

– Może zamówimy jeszcze po filiżance kawy do salonu dla dam? – zaproponowała Eliza. Corrisande jednak podziękowała. Chciała, by znalazły się w pokoju, zanim środek usypiający zacznie działać. Nie miała ochoty na kawę ani na żadną konwersację. Chciała jedynie, żeby już było po wszystkim.

– Chodźmy lepiej na górę. Tam będziemy mogły swobodnie rozmawiać – zaproponowała, a Eliza się zgodziła. Ruszyły na schody.

Gdy dotarły do pierwszych stopni, naprzeciw zdecydowanym krokiem wyszedł im von Görenczy. Miał ją zabrać, Corrisande wiedziała to i żywiła nadzieję, że szwoleżer nie zacznie rozmawiać o tym, co miało wkrótce nastąpić. To była ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebowała.

Podporucznik zastąpił im drogę i grzecznie zasalutował. Eliza spojrzała na niego karcącym wzrokiem. Nie zapomniała jego zachowania z poprzedniego wieczoru, a już tym bardziej mu go nie wybaczyła.

Ruszyła więc dalej po schodach, ignorując go i zmuszając tym samym, by ustąpił jej z drogi. Tyle tylko, że tego nie zrobił. Wzburzone

przyzwoitki nie znajdowały się na liście niebezpieczeństw, których się obawiał.

– Dobry wieczór – powiedział. – Jak to dobrze, że panie tu znalazłem. Nie wiem, czy Miss Jarrencourt...

Corrisande przerwała mu:

– Znalazł już pan to, czego szukał?

Spojrzał na nią zdumiony.

– Czego szukałem...? – zapytał, próbując wyczytać coś w jej oczach.

– Wyobraź sobie, ciociu Elizo – powiedziała Corrisande i zaczęła wchodzić po schodach, zmuszając tym samym Udolfa i przyzwoitkę, by ruszyli za nią – że podporucznik von Görenczy opowiedział mi, że w hotelu ktoś ukradł zamówioną dziczyznę. Jelenia. Wciąż go pan szuka? Zastanawiam się, co to może mieć wspólnego z tym morderstwem. Dość dziwne, nieprawdaż?

– Ach, o to chodzi. – Zakaszłał nienaturalnie. – Zupełnie o tym zapomniałem.

Eliza przyglądała mu się.

– Co proszę? – zapytała lodowatym tonem. – Chce mi pan powiedzieć, że nawiedził nas pan wczoraj, ponieważ zaginęło trochę dziczyzny? A może chce pan przez to powiedzieć, że pańska poprzednia przygoda następnego dnia nie jest już dla pana interesująca?

– Cóż – roześmiała się Corrisande i nie mogła sobie darować, by wpędzić Udolfa w jeszcze większe zmieszanie. To było tak, jakby mogła przerzucić na niego część swego cierpienia. Nie bardzo jej to pomogło. Wciąż bała się tak samo, jednak po tym jak swej domniemanej ciotce podała środek usypiający, nie miała ochoty wdawać się w dyskusję o ryzyku, jakie miała podjąć albo i nie, a już na pewno nie o powodach, które skłaniały Corrisande, by takie ryzyko podjąć. – To właśnie wyjaśniał mi dziś rano pan podporucznik. Oczywiście jest już wieczór i być może nie przypomina sobie tego tak dokładnie, ale skoro zdążył już o tym zapomnieć, najwyraźniej nie było to aż tak ważne. Prawda, panie podporuczniku?

– Eeee... nie – odpowiedział Udolf. I poprawił: – To znaczy może jednak tak. Dziczyzna się odnalazła. Zaszło pewne nieporozumienie. –

Znów nerwowo zakasłał, nie wiedząc, co powiedzieć. W każdym razie dotarło do niego, że nie powinien zapoznawać Mrs Parslow z planami na ten wieczór. Zastanawiał się, w jaki sposób Corrisande zamierza spełnić obietnicę i pomóc, skoro do tej pory nie omówiła tego z ciotką.

Zdecydował się grać dalej swą rolę. Uśmiechnął się grzecznie i czekał na jakieś hasło.

– To wspaniale – skomentowała Corrisande. – Trochę się już martwiłam. Nie chodzi o mięso jelenia, ale byłabym rozczarowana, gdyby się okazało, że w tym hotelu nie można już zamówić dziczyzny. Chociaż w tym kraju to chyba nie jest jakiś rzadki i niezwykle przysmak. – Obdarzyła go czarującym uśmiechem, on zaś zauważył jej dołeczki. Śliczniutka ta mała panienska, która tak bardzo wpadła w oko Asko. I pełna niespodzianek. Zupełnie nieobliczalna.

Dotarli na drugie piętro, gdy Mrs Parslow nagle zaczęła się chwiać na nogach.

Corrisande ujęła ją pod ramię, a von Görenczy natychmiast doskoczył z drugiej strony.

– Dobry Boże! – skarżyła się dama. – Czuję się trochę zdezorientowana. To dość osobliwe.

– Pospieszmy więc do naszego pokoju – odparła Corrisande i dała znak Udolfowi, by podpierał Elizę. Wziął ją pod rękę i choć z początku wyglądało na to, że Eliza nie zamierza mu pozwolić sobie pomóc, dała jednak poprowadzić się po schodach.

Gdy dotarli na trzecie piętro, nogi podtrzymywały ją już bardzo niepewnie.

– Wielkie nieba – wymruczał Udolf. – Może powinniśmy sprowadzić lekarza?

– To nie będzie konieczne – zapewniła go Corrisande, martwiąc się jednocześnie, że środek usypiający zadziałał zbyt szybko i z większą siłą, niż sądziła. To ją niepokoiło. – Moja ciotka jest trochę zmęczona. Musi się po prostu porządnie wyspać. Gdyby był pan tak miły i zechciał odprowadzić nas do pokoju. To by było bardzo pomocne.

– Na Boga! – mruknęła Eliza, rzucając Corrisande spojrzenie, które jasno mówiło, że powoli dociera do niej, co się stało. – Co ty zrobiłaś?!

– Uspokój się, ciociu Elizo. Nie ma żadnego powodu do niepokoju.

Udolf próbował zrozumieć coś z tej rozmowy, stwierdził jednak, że jej treść mu umyka. Później nie musiał się już tym zajmować, bo krótko przed drzwiami prowadzącymi do apartamentu dam Eliza osunęła się na kolana.

– Proszę ją podnieść, panie podporuczniku – poprosiła Corrisande i otworzyła przed nim drzwi. – Gdyby był pan tak miły i położył ją na łóżku. – Otworzyła drzwi sypialni i wpuściła Udolfa do środka. – Jaka szkoda, że nie ma tu Marie-Jeannette, pomogłaby jej. Napiszę jej wiadomość. Niech pan się nie martwi o Mrs Parslow. Nie spała ostatniej nocy, a jest bardziej chorowita, niż może się wydawać. Niezmacony sen dobrze jej robi.

Kłamstwo przyszło łatwo. Corrisande była w tym dobra. Teraz jednak zastanawiała się, czy jej obłuda nie była przypadkiem znakiem rozpoznawczym świadczącym o jej pochodzeniu. Była oszustką, przebiegłym, wybitnie utalentowanym kłamcą. Wstydziła się tego.

Ale to w niczym nie pomagało. Tak musiało być.

– Gdyby zechciał mnie pan teraz na chwileczkę zostawić samą, panie podporuczniku – poprosiła. – Zaraz do panów dołączę. Mamy jeszcze trochę czasu, prawda? Proszę mi pozwolić ułożyć ciotkę wygodnie w łóżku.

Skłonił się i wyszedł.

Potrzebowała wszystkich sił, by utrzymać Elizę w pozycji, która pozwalała zdjąć z niej suknię i poluzować gorset. We śnie powinno się przynajmniej swobodnie oddychać.

Pochyliła się nad twarzą Elizy i nasłuchiwała jej oddechu. Był spokojny i regularny. Spała głęboko.

Corrisande podeszła do sekretarzyka. Napisała wiadomość dla Marie-Jeannette:

„Zatroszcz się dobrze o Mrs Parslow. Wzięła środek nasenny i musisz pilnować, by nie poczuła się źle i nie miała problemów z oddychaniem. Jestem z oficerami na polowaniu. Gdyby Mrs Parslow się obudziła, nic jej o tym nie mów. Tylko by przeszkadzała”.

Myślała o tym, czy nie zdjąć pierścienia, który stał się tak

niezaprzeczalną wskazówką jej inności. Corrisande czuła, że na jej ręce był niczym zaproszenie dla tego czarnego potwora. Był też jednak kluczem do ludzi jej ojca, gdyby się okazało, że dziewczyna ich potrzebuje, i nie powinien wpaść w niewłaściwe ręce, w których najwyraźniej był już wcześniej. Dlatego go nie zdjęła.

Szybko przeszła jeszcze do swego pokoju i otworzyła walizkę. Wyjęła sztylet w skórzanym pochwie i wsunęła go do głębokiej kieszeni ukrytej w fałdach sukni. Wiedziała, że nie pokona w ten sposób potwora, ale gdy już miała nóż przy sobie, poczuła się pewniej.

Nagle, niczym czarny przyptływ, zalał ją strach i ugięły się pod nią kolana. Musiała usiąść na chwilę, aby nie upaść. Co za potworna sytuacja. Jej ojciec zawsze mówił, że człowiek ma wybór albo szansę znalezienia jakiegoś wyjścia, Corrisande nie widziała jednak niczego oprócz konsekwencji. Miała nadzieję, że nie otruła Elizy. Gdyby jej towarzyszka umarła przez ten środek usypiający, oskarżono by Corrisande o morderstwo. Morderców wieszano, zarówno tutaj, jak i w każdym innym kraju, ale istniały duże szanse, że dziewczyna nie będzie żyła dostatecznie długo, by zastanawiać się nad skutkami swych czynów. Dotarło do niej, że może nie przeżyć tej nocy. Śmierć była jedną z możliwości. Szanse Corrisande też wcale nie przedstawiały się najlepiej... i wtedy do głowy przyszła jej kolejna myśl: ze wszystkiego, co może jej się przytrafić, śmierć wcale nie była najgorsza.

Podniosła się z wysiłkiem i przejrzała w lustrze. Spojrzenie na jej napiętą, bladą twarz pomogło zdusić szloch, w który najchętniej Miss Jarrencourt by uciekła. Płacz sprawiał, że wyglądało się okropnie, a kobieta musi wyglądać pięknie.

Przynajmniej do wczoraj było to jej głównym zadaniem. Ale sytuacja zmieniła się w sposób nieodwracalny. Dziewczyna wzięła głęboki oddech.

– *Contenance*, Corrisande! – wyszeptała do siebie, zmuszając się, by choć w przybliżeniu sprawiać wrażenie spokojnej. Jeśli rzeczywiście miała umrzeć tej nocy, to chciała przynajmniej dobrze wyglądać. Corrisande pożałowała, że nie była religijna, bo mogłaby odprawić teraz jakiś rytuał, który przygotowałby ją na to, co miało nadejść. Bawaria była katolickim krajem i w każdym pokoju przy drzwiach wisiły małe

porcelanowe miseczki ze święconą wodą. Dziewczyna zastanawiała się, czy się nią nie przeżegnać, dała sobie jednak spokój. Westchnęła głęboko, rozejrzała się po pokoju, jakby się żegnała.

    Nie wiedziała, czy znów go zobaczy.

    Wyszła na korytarz. Trzech oficerów czekało już gotowych pod jej drzwiami. Spojrzeli na nią z powątpiewaniem.

    – Dobry wieczór – pozdrowiła ich uprzejmie i po raz pierwszy w życiu udało jej się nie połączyć tego pozdrowienia z uśmiechem.



## Rozdział 41

Po policzkach Marie-Jeannette spływały łzy. Nie była świadoma, że płacze, niczego nie była świadoma i w gruncie rzeczy nie płakała tak naprawdę, ale już tak długo trzymała wciąż otwarte oczy, nie opuszczając powiek, że łzawiły. Stała tak tylko i odpowiadała na pytania. Jej pamięć została rozebrana na części przez ekspertów. Niczym chirurdzy wcinający się coraz głębiej w ciało, warstwa po warstwie wnikali w jej myśli i wspomnienia, w jej wiedzę i opinie, jej plany i charakter.

Wiedzieli już, że była nieślubnym dzieckiem kobiety, która co prawda dość dobrze zarabiała, ale o moralność trudno ją było posądzić. Znali umiejętności i plany Marie-Jeannette. Nie byli wstrząśnięci. Nigdy nie byli. Cnotliwe oburzenie było dobre dla księży na plebanii, nie zaś dla polityków Bractwa Światła. Wykolejenia postrzegali jedynie jako pewnego rodzaju wkład oszczędnościowy, grzechy tworzyły informacyjny kapitał, który odkładano do późniejszego wykorzystania, tak jak odkłada się pieniądze w banku. Marie-Jeannette była już częścią archiwów. Wszystko, co wydarza się w świecie tajemnic, daje się wykorzystać. Każde najmniejsze odstępstwo od normy można zamienić w siłę sprawczą, pozwalającą, by pewne rzeczy się działy i by zmusić ludzi, aby te rzeczy robili – o ile posiadało się stosowne informacje.

Nie byli więc zszokowani, że Marie-Jeannette pragnie zostać kurtyzaną dużego formatu, damą do towarzystwa dla wpływowych albo choćby tylko bogatych mężczyzn, damą z manierami, dowcipem i wdziękiem, gospodynią eleganckiego salonu i posiadaczką drogiego łóżka. Wręcz przeciwnie. Ojciec Emanuele wyraźnie widział, jak pożyteczna będzie w przyszłości ta przepiękna istota. Bracia będą z zainteresowaniem śledzić jej rozwój i jeśli to konieczne, będą jej pomocni, by mogła zawrzeć właściwe znajomości. Nie powinno to przysporzyć żadnych problemów, ponieważ pokojówka była uderzająco piękna i jej cielesne atrybuty przyciągną głodnych miłości mężczyzn z najwyższych sfer – tak jak kupa gnoju przyciąga muchy. Najwyraźniej

też była inteligentna, uczyła się szybko i nie miała zbyt wielu moralnych skrupułów.

Te informacje były jednak zaledwie ubocznym produktem wysiłków braci. Większość pytań, które stawiali uwięzionej, dotyczyła Corrisande i jej przyzwoitki.

Kim byli rodzice Miss Jarrencourt? Czy byli ludźmi? Czy jest tego pewna? Czy mieli jakieś nadzwyczajne zdolności? Czy szukała towarzystwa istot ciemności, feyonów, Sí? Co robiła w Monachium? Czego chciała? Jakie miała plany? Co miała wspólnego z wydarzeniami w hotelu?

Nie mogli wręcz uwierzyć, że największym pragnieniem Corrisande Jarrencourt było poślubienie bogatego, dobrze sytuowanego mężczyzny i spokojne, przyjemne życie. W tej kwestii Marie-Jeannette musi się mylić. Co za kreatura. Cele, którymi się zasłaniała, nie mogły być niczym innym niż płaszczykiem ukrywającym mroczne intrygi. Czy nie chodzi raczej o to, że chce opętać mężczyzn, by wykorzystywać ich później do swoich celów?

Wcale nie, odparła Marie-Jeannette. Corrisande była miła i przyzwoita i zachowywała się bardzo porządnie. Kłamała, jeśli chodzi o swój wiek, była bowiem starsza, niż się do tego przyznawała. Kłamała, gdy chodziło o jej ojca, ponieważ był on szefem przestępczej bandy i w jego kręgach nazywano go „Królem”.

Ojciec Emanuele wstrzymał oddech.

– „Królem”? – zapytał cicho. – To bardzo cenna wiadomość. Korzystamy czasem z jego sieci, by dotrzeć do informacji. Jest dobrze zorganizowany i nie ma żadnych skrupułów, by sprzedać absolutnie wszystko, jeśli ktoś jest gotów zapłacić odpowiednią cenę. Musimy być ostrożni. Możemy jeszcze kiedyś potrzebować jego pomocy. Zawsze wiedziałem, że ma jakieś nazwisko, ale sądziłem, że brzmi ono Javrau. A więc nazywa się Jarrencourt. Ciekawe. O ile to możliwe, wolałbym nie wchodzić mu w drogę. Pomimo że nasze Bractwo w każdej chwili mogłoby sobie z nim poradzić. Ale jednak. Nasza sporadyczna współpraca była zbyt korzystna, by tak po prostu z niej zrezygnować. Proszę zapytać ją o rolę córki w organizacji jej ojca.

Brat Michael znów odwrócił się do pokojówki i zaczął wypytywać.

Ale Marie-Jeannette wiedziała niewiele. Wiedziała, że Corrisande odebrała normalne, staranne wychowanie, jak każda młoda dama z wyższych sfer. Gdy miała piętnaście lat, ojciec wprowadził ją w tajemnicę swego podwójnego życia i poszerzył jej wykształcenie o kilka umiejętności, które normalnie nie należą do edukacji córek ludzi z wyższych klas. Corrisande potrafiła rzucać nożem, otwierać zamki i wspinać się po ścianach domów. Przez jakiś czas była włamywaczką i złodziejką, ale szybko przestała to lubić. W gruncie rzeczy wolała uporządkowane życie w dobrym towarzystwie od ekscytacji, jaką oferowała kryminalna, choć jednocześnie lukratywna kariera.

– Przecież to nie może być prawda – wymruczał pod nosem ojciec Emanuele.

– Cóż – odpowiedział brat Michael. – Ta pokojówka wierzy, że to prawda, bo inaczej by nam tego nie opowiadała. Nie oznacza to jednak, że rzeczywiście zna prawdę. Może wie tak samo mało jak wszyscy inni. Dlaczego ta Jarrencourt miałaby się jej zwierzać?

Marie-Jeannette nie słyszała nic z tej wymiany zdań. Nie docierało do niej nic, co nie było bezpośrednio do niej skierowane.

– Wszystko wskazuje na to, że nie wyciągniemy od tej młodej osoby nic pożytecznego – powiedział ksiądz.

– Powinniśmy ją złapać, tego potwora, i przepytąć – przerwał im brat Giuseppe, który przez ostatnią godzinę prawie się nie odzywał. Teraz jednak w jego głosie pobrzmiwał zapal. – Już ja będę umiał wycisnąć z niej odpowiedzi. Rozpalonymi szczypcami wyrwę z jej serca i mózgu mroczne knowania.

– Ale nie tak od razu – zaprotestował ojciec Emanuele. – Zatrzymamy sobie to na sam koniec. O ile to możliwe, wolałbym nie rozpoczynać wojny z najlepiej zorganizowaną bandą francuskiego podziemia. Nawet jeśli wiadomo, że byśmy taką wojnę wygrali.

Brat Michael przytaknął.

– To możliwe, że pokojówka mówi prawdę. Z moich obliczeń wynika, że ta dama może mieć tylko niewielką domieszkę krwi Si. Niemal niezauważalną. Jej rodzice byli najwyraźniej chrześcijanami, wszystko jedno, kryminaliści czy nie. Krew feyonów może być czasami ukryta w rodzinie przez stulecia i potem znów nagle wypłynąć na

powierzchnię. Próbowwała opuścić hotel, a to przemawia za tym, że nie wiedziała, iż budynek obłożony jest czarem przeciw feyonom. Nie może go widzieć. Niewykluczone, że nic nie wie o swoim dziedzictwie. – Odwrócił się znów do Marie-Jeannette. – Co twoja pani myślała o tym, że nie może opuścić hotelu?

Marie-Jeannette tego nie wiedziała. Corrisande była zaniepokojona i przygnębiona. Pokłóciła się nawet z tego powodu z Mrs Parslow i ta ostatnia pomyślała chyba, że to wszystko jest winą Delacroix. Wysłała wiadomość, by go usunąć.

– Przyzwoitka wynajęła skrytobójcę? Jesteś pewna, że nie zrobiła tego osobiście Miss Jarrencourt?

Marie-Jeannette była pewna. Miss Jarrencourt przeżyła straszny wstrząs i przekazała Delacroix ostrzeżenie.

Mężczyźni uznali, że to dziwne.

– Może go jeszcze potrzebowała? – podsunął brat Michael i zapytał wprost: – Czy potrzebuje go jeszcze do czegoś?

Nie. To oni potrzebowali jej. Do polowania na potwora. Marie-Jeannette nie wiedziała o tym za wiele, tylko tyle, że zaatakował jej panią i że zgodziła się pomóc w polowaniu. Chlebodawczyni nie czuła się dobrze i pokojówka nie sądziła, że to była właściwa decyzja. Ale tak ustalono. Była przy tym, kiedy to omawiano i gdy jej pracodawczyni czuła się źle po napaści. Musiało zajść coś strasznego. Ale Marie-Jeannette nie widziała tego. Schowała się za fotelem. Słyszała jedynie wołanie o pomoc i okrzyki.

– Dziwne – skomentował brat Michael.

– Nie możemy pozwolić, by ta Jarrencourt przeszkadzała w polowaniu – powiedział brat Giuseppe, wstał i uśmiechnął się rozmarzony. – Trzeba ją powstrzymać, zanim spowoduje jakieś nieszczęście.

– Wręcz przeciwnie – zaproponował ojciec Emanuele. – Będzie naszym narzędziem i jeśli zostanie ranna, odwróci uwagę oficerów. Powinno nam to ułatwić dotarcie do rękopisu, o ile go będą mieli. – Spojrzał na Giuseppe. – Nie tkniesz jej. Nie będziesz się wtrącał. Nawet się do niej nie zbliżysz. Będziemy ją obserwować. Być może jest błogosławieństwem wbrew swojej woli. I gdyby się okazało, że

zamierza przejąć rękopis, jesteśmy tu po to, by ją przed tym powstrzymać. A wtedy, bracie Giuseppe, ale dopiero wtedy ci ją przekażę. I wówczas możesz z niej wycisnąć, jakimi motywami się kierowała. Jestem pewien, że nie będzie w stanie oprzeć się twojej stanowczości.

Uśmiech brata Giuseppe był pełen słodkiej tęsknoty, ale było w nim też coś drapieżnego. Brat Michael uniósł rękę, nakazując im milczenie.

– Ktoś podsłuchuje – syknął i ujął niewielki metalowy pręt, zakończony po obu stronach jak widelec. Odwrócił się powoli. Dziwna różdżka zaczęła wibrować, wskazując najpierw jeden, a później drugi kierunek.

– Znajdź go – nakazał bratu Giuseppe.

Metalowa różdżka znieruchomiała. Giuseppe zerwał się na równe nogi i błyskawicznie opuścił pokój.

Mag podszedł do pokojówki.

– Muszę ją uwolnić – powiedział – bo w przeciwnym razie nie będę mógł zlokalizować tego, kto nas podsłuchiwał. – Wziął Marie-Jeannette za ramiona i obrócił do drzwi, uchylił je lekko i wyjrzał przez szparę. Gdy już się upewnił, że nikt go nie obserwuje, wypchnął dziewczynę na korytarz. – Licz do trzech – powiedział i zamknął drzwi.

Następnie stanął na środku pokoju i zaczął obracać się powoli wokół własnej osi. Wyciągnął dłonie zwrócone ku górze.

– Najprawdopodobniej feyon – powiedział. – Sygnatura już zanika. Najwyraźniej jest w ruchu.

– Może brat poznać, kto to był? – zapytał ksiądz.

– Nie – odparł brat Michael. – Ale promieniowanie było stosunkowo silne. Silniejsze, niż mógłbym się spodziewać po Miss Jarrencourt. Ale przecież mamy świadomość, że w budynku są jeszcze dwie inne mroczne istoty, o których nic nie wiemy. To mogła być jedna z nich.

Ojciec Emanuele wyglądał na zatroskanego.

– A to oznacza, że prawdopodobnie przynajmniej jedna z nich jest w to bezpośrednio zamieszana. Najprawdopodobniej obie. W przeciwnym razie nie miałyby powodów, by nas szpiegować. Ta sprawa

staje się z minuty na minutę coraz bardziej skomplikowana.

Dla ojca Emanuele rozwiązywanie sytuacji takich jak ta było misją i prawdziwą przyjemnością. Jeśli rzeczy okazywały się zbyt proste, popadał w podejrliwość. W miarę upływu lat stał się bardzo dobry w tym, co robił, zaś jego nieufność rosła z każdym dniem.

– Może powinniśmy ostrzec tego odszczepieńca? – zaproponował brat Michael. – Jestem niemal pewien, że natrafi na więcej przeciwników, niż tego oczekiwał.

Na twarz kapłana wypełził chłodny uśmiech.

– Nasz były wychowanek jest dzielnym wiarusem, zaś jego dezercja kosztowała go przywileje, o ile w ogóle jakieś miał. Żadnej pomocy. Sam powinien znajdować swoich wrogów. – Ojcu Emanuele zdawała się podobać ta myśl. – Przypuszczam, że w sprawę zaangażowane są więcej niż tylko dwie strony, ale mamy przewagę nad Delacroix, jeśli chodzi o informacje. Polowanie na potwora, ściganie feyonów, łapanie Sí, wszystko to nie jest teraz naszym głównym celem. Potrzebujemy rękopisu i im więcej grup o niego walczy, tym łatwiej przyjdzie nam w końcu go przejąć. Niech się nawzajem pozabijają. To nam oszczędzi pracy, nie szkodząc przy tym naszej reputacji. Nawet jeśli Giuseppe wolałby zupełnie inny sposób działania. Tak łatwo wzbudzić w nim zapał.

– Zbyt łatwo – zauważył brat Michael. – Daje się ponieść tęsknotom i namiętnościom, zamiast słuchać rozumu. Są takie chwile, kiedy uważam, że ma nazbyt pomieszane w głowie i myśli tylko, by własnoręcznie i całkiem sam wyrznąć z tego świata każdego feyona.

– Pan obdarza nas talentami z różnych powodów, w tym również jego – odparł ojciec Emanuele. – Wyciąganie informacji z tych, którzy nie chcą ich udzielić z własnej woli, od zawsze należało do działań, jakimi zajmowało się nasze Bractwo. W porównaniu z początkami inkwizycji nadaliśmy temu niemal wymiar sztuki. Niech brat sobie wyobrazi, że Giuseppe jest artystą. Formuje życie, a jego narzędziem jest ból. Oczywiście zakładając, że nie popełnia się grzechu, nazywając egzystencję feyona życiem. Zwykły obywatel z takim zamiłowaniem jak Giuseppe powinien siedzieć za kratkami, ale w jego przypadku te szczególne skłonności nabierają świętego i czystego znaczenia.

Stanowimy granicę między otchłanią a Światłem Boga – zacytował. – Jesteśmy obrońcami dzieci bożych na ziemi. Zjednoczeni stajemy przeciw czeluściom piekielnym zrodzonym z podłości. Znasz te słowa, bracie. Przysięgał brat na nie, tak jak i ja. Musi w nie brat też wierzyć. Nie chciałbym, żeby zabrakło ci wiary.

W jego przyjaznym głosie nie można było wyczuć nawet cienia groźby. Brat Michael nie zwlekał jednak z rozwianiem wątpliwości:

– Oczywiście. Proszę o wybaczenie, jeśli zgrzeszyłem. Wszyscy robimy to, co najlepiej umiemy, by służyć jednemu celowi.

Ojciec Emanuele z uśmiechem skinął głową.

– To właśnie robimy, bracie, i amen. Ja planuję i działam. Brat kieruje sprawami, a Giuseppe dokonuje zemsty. – Zachichotał. – Proszę mi wybaczyć moje poetyckie uniesienie. Nie chciałem, by zabrzmiało to jak żart. W gruncie rzeczy rozumiem brata obawy związane z Giuseppe. Zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że zrobi coś nieprzemysłanego i zaszkodzi naszej reputacji. Mam nadzieję, że nie robi akurat teraz czegoś strasznie głupiego.

– Wątpię w to – powiedział brat Michael. – Ktokolwiek próbował nas podsłuchiwać, wszystko jedno, on czy ona, prawdopodobnie i tak nic z naszej rozmowy nie usłyszał. Podsłuchiwanie na odległość wymaga bardzo silnej koncentracji i dużych magicznych umiejętności. Ale gdy podsłuchujący namierzył już podsłuchiwanego, to doświadczony specjalista i tak szybko potrafi to dostrzec.

Ojciec Emanuele skinął powoli głową.

– Jest brat pewien, że to nie był mag przysłany do wsparcia tej grupy?

Brat Michael potrząsnął głową.

– Nie sądzę, ojciec – odparł. – Aurę feyona można poczuć dość wyraźnie.

Do pokoju wrócił brat Giuseppe z rozpaczliwie zasmuconą miną.

– Nie znalazłem jej – powiadomił rozczerowany.

– Albo jego – poprawił go brat Michael.

Na te słowa twarz brata Giuseppe przybrała jeszcze smutniejszy wyraz.

– Albo jego – powtórzył i nagle się roześmiał. – Albo jej.

## Rozdział 42

Nasz mistrz sztuk tajemnych poinformował, że powinniśmy zejść do piwnicy – wyjaśnił Asko i uśmiechnął się do Corrisande, próbując dodać jej otuchy. Lubiła jego uśmiech. Był łagodny i przyjazny.

– Chodźmy – nakazał Delacroix i skierował się do głównych schodów. Obaj oficerowie ruszyli za nim.

Corrisande nie drgnęła.

– Chwileczkę, proszę. – Zatrzymała oficerów ruchem ręki. – W tych okolicznościach mogą panowie uznać moje skrupuły za nieistotne, proszę jednak o zrozumienie, że nie mogę sobie pozwolić na to, by widziano mnie samą w towarzystwie trzech panów z wojska i maszerującą przez hotel w poszukiwaniu jakiejś przygody. Czyli, jak mówi moja ciotka, bez ochrony. Takie zachowanie byłoby wysoce niestosowne.

Delacroix się skrzywił. Był poirytowany. Najwyraźniej nie dostrzegał tego problemu.

Asko zaś jak najbardziej. Skinął głową, ale nie był dostatecznie szybki, by powiedzieć to, co zamierzał. Delacroix doskoczył do dziewczyny. Zaczął mówić spokojnym tonem, starając się nie okazać swojego zniecierpliwienia.

– Miss Jarrencourt, po tym jak pani ciotka wyjątkowo szybko i nagle wpadła w ramiona Morfeusza, będziemy musieli jakoś poradzić sobie bez jej moralnego wsparcia. Pani wątpliwości są jak najbardziej właściwe i cnotliwe, w tej jednak sytuacji nas ograniczają. – Uśmiechnął się z lekkim rozbawieniem. – Kiedyś będzie mi pani musiała opowiedzieć, jak udało się pani przekonać jej krewną, by poczuła się tak strasznie zmęczona, i to w tak krótkim czasie. Ale ponieważ zażywa teraz wypoczynku, obawiam się, że musi pani zadowolić się naszą ochroną.

Corrisande spojrzała na niego ze złością.

– Proszę, sir – odparła – to nie jest zabawne. Ta sytuacja, jak pan to nazywa, jest dostatecznie zła i aż nazbyt dobrze wiem, jak nikłe mam



szanse. Wiem to znacznie lepiej, niż się panu wydaje. Jeśli jednak przeżyję, niezbyt bym sobie życzyła, abym straciła reputację z powodu domniemanego występku, który krytyczne i karcąco nastawione towarzystwo mogłoby mi zarzucić w wyniku nieporozumienia.

– Ależ oczywiście – powiedział von Orven. – Koniecznie musimy...

Delacroix mu przerwał:

– Ten problem da się całkiem łatwo rozwiązać, Miss Jarrencourt. Panowie podporucznik von Orven i von Görenczy pójdą głównymi schodami, zaś my dwoje, po cichutku i nie rzucając się nikomu w oczy, zejdziemy tylnymi. Teraz, bez dalszej zwłoki.

Nie zwracając uwagi na wściekle spojrzenie Asko, przeszedł przed jego nosem, prowadząc Corrisande do przejścia dla służby.

– Sir! – krzyknął oburzony Asko.

– Zobaczymy się na dole, moi panowie. – Delacroix przytrzymał młodej damie drzwi. Nie obejrzał się. Wściekli czy nie, zrobią to, co powiedział.

Schody były puste. O tej godzinie kucharze i kelnerzy zajmowali się przygotowaniami do kolacji, zaś służące zapewne już się wycofały, ponieważ od rana, jeszcze na długo przed wschodem słońca, znów będą musiały pilnie pracować.

Barczysty mężczyzna i filigranowa dziewczyna schodzili obok siebie stopień po stopniu. Delacroix szukał słów, które mogłyby dodać jej otuchy, jednak jego umysł był dziwnie pusty. Od czasu do czasu czuł na sobie spojrzenie wielkich błękitnych oczu. Corrisande nie sięgała mu nawet do ramion i aby spojrzeć mu w twarz, musiała zadzierać głowę. Tak właściwie nie robiło to żadnej różnicy, ale przez to wydawała się jeszcze bardziej krucha.

Na kolejnym półpiętrze zatrzymała się i odwróciła, blokując Delacroix drogę.

– Pułkowniku – powiedziała niezwykle napiętym głosem – zostało nam już mało czasu. Proszę mnie nie pytać, skąd to wiem, to nieważne. Po prostu wiem. Proszę mnie wysłuchać. – Zarumieniła się i przygryzła wargę, przez co wyglądała na bardzo młodą i zawstydzoną. Spojrzał w jej udreżoną twarz i zupełnie bez potrzeby stwierdził, że czuje zapach

jej perfum. Dzikie kwiaty. Dziwne zachowanie, pomyślał, ubierać się pięknie i używać perfum na taką okazję. Nawet jej fryzura była kunsztownie ułożona. – Pułkownik Delacroix – zaczęła jeszcze raz, on zaś zauważył, że dziewczyna ma trudności z wyrażeniem tego, co chciała powiedzieć.

– O co chodzi...? – zapytał cicho, w ostatniej chwili gryząc się w język, by nie powiedzieć „dziecko”. Sprawiała wrażenie tak niesamowicie młodej.

– Wie pan, co to stworzenie chciało mi zrobić. – Starła się unikać jego wzroku. – Proszę. Nie będziemy o tym więcej mówić – dodała szybko, a jej rumieńce jeszcze się pogłębiły. – Pan to wie i ja to wiem. Nie wspomniałam o pewnej rzeczy. O pewnym złym przeczuciu. Wiem, że to coś... to coś... ponownie spróbuje to zrobić. Spróbuje też jeszcze raz zamienić mnie w kamień – słowa wydobywały się z niej jedno po drugim, jakby musiały przebijać się przez ścianę. – ... bo wtedy może mnie zabrać. Tam, dokąd chce, gdziekolwiek to jest. Aby mnie tam... zatrzymać. Aby mnie... Obiecał mi pan, że do tego nie dopuści...

Zabrakło jej słów.

– Obiecałem to pani – powiedział Delacroix – i nie dopuszczę do tego.

Krzywoprzysięstwo czy kłamstwo? Jak dawno temu zdefiniował swoje priorytety? Potrzebowali rękopisu, nawet gdyby miało to oznaczać straty.

Corrisande skinęła głową.

– Nie wątpię w pana dzielność i niezłomność – powiedziała i zupełnie niestosownie dla damy zagryzła wargi. – Musi mi pan uwierzyć. Po moim ostatnim spotkaniu wiem, że ani pan, ani pana towarzysze mogą nie dać rady tej istocie.

Starł się uspokoić ją uśmiechem i pocieszającym gestem, powstrzymała go jednak i złapała jego nadgarstek w małą dłoń. Trzymała dość silnie, szczery gest, który go zaskoczył.

– Proszę! – powiedziała, Delacroix zaś widział, że z całych sił starała się sprawiać wrażenie spokojnej i opanowanej. – Niech pan mu nie pozwoli mnie zabrać. Proszę! Nie może pan do tego dopuścić. Jeśli spróbuje to zrobić, nie może pan pozwolić, bym znalazła się w jego

rękach. Nie żywa. Nie może dostać mnie żywej. Rozumie pan?

Teraz patrzyła mu prosto w oczy.

Delacroix rozumiał. Nie wiedział, co powiedzieć. Jeszcze nigdy nikt nie prosił go o tak straszną przysługę. Istniał los gorszy od śmierci, dziewczyna zaś prosiła go, by ją przed nim uchronił. Najprawdopodobniej był to nawet pewien rodzaj zaszczytu, groteskowy dowód zaufania. Przełknął ślinę.

Jej drobna dłoń wciąż trzymała go za nadgarstek, zbyt mała, by go objąć. Corrisande wciąż wpatrywała się w Delacroix tymi niesamowicie wielkimi niebieskimi oczyma, które przypominały mu morze. I nagle stało się dla niego jasne, że jeszcze nigdy nie poproszono go o coś równie trudnego. Brzydził się swą rolą w tym makabrycznym spektaklu. To ona była teraz człowiekiem na kamieniu ofiarnym, ze sztyletem nad sobą. Pułkownik czuł się tak, jakby dopiero teraz zrozumiał, jak strasznie musiała się bać. Nie zastanawiał się, zajmował się tylko tym, by dotrzeć do celu. Teraz prowadził ją niczym baranka na rzeź. Ofiarna panna. Askó miał rację. Nie mieli do tego żadnego prawa.

Był oficerem i bywał na wojnie. Zabijał, w bitwie, w samoobronie, a kiedy nie dało się inaczej, również z zimną krwią. Ale teraz nie godziło się to z jego moralnością. Nie minęła jeszcze nawet godzina, odkąd spokojnie mówił o możliwych stratach. Nie liczył się z tym, że sam będzie musiał zostać katem.

– Rozumie pan? – zapytała jeszcze raz, wyraźnie starając się nad sobą zapanować.

Uwolnił przegub i chwycił dziewczynę za rękę. Mała dłoń całkowicie zniknęła w jego.

– Rozumiem – odpowiedział szorstko i uścisnął pokrzepiająco rękę Corrisande. – Niech pani spróbuje się nie bać. Będę... będziemy panią chronić.

– Ale, pułkowniku – krzyknęła głośniejszym i bardziej zdenerwowanym głosem niż przedtem – czy pan rozumiał... czy pan...

Delacroix przerwał jej wybuch, kładąc jej palec na ustach. Milczała, on zaś głaskał jej wargi, potem twarz, potem znów wargi kciukiem. Jej skóra była delikatna i miękka.

– Gdyby miało dojść do najgorszego, Corrisande, może pani wtedy

na mnie polegać – przyrzekł, zapominając, że odmówiła mu prawa, by zwracał się do niej po imieniu. Jej niepojęta prośba zbliżyła ich do siebie. – Zrobię wszystko, co będzie trzeba. Przyrzekam, że zrobię to szybko. – Jego dłoń wciąż spoczywała na jej policzku, a kciuk na rozchylonych ustach. Cofnął rękę. – Ale to nie będzie konieczne – zapewnił, mając nadzieję, że słowa brzmią przekonująco.

– Dziękuję, sir – odparła uprzejmie, jakby właśnie zaprosił ją do tańca. Następnie odwróciła się szybko, Delacroix zaś po jej ruchach poznał, że dziewczyna ociera łzy. Stał obok bezsilny, z chęcią wziąłby ją w ramiona i uniósł. Ale to było niemożliwe. W końcu to on wciągał ją w to niebezpieczeństwo. To on zdecydował, by Corrisande była w tej nagonce jednocześnie psem tropiącym i przynętą. Nie mógł inaczej. Świat był ważniejszy od Corrisande Jarrencourt. Choć w tej chwili Delacroix jakoś nie potrafił sobie wyobrazić, co tak właściwie mogło być na świecie ważniejsze od niej. Nie przychodził mu do głowy żaden przykład. I ta myśl trafiła go jak cios.

Gdy dama znów odwróciła się do niego, na jej twarzy nie było śladu łez. Nie uśmiechała się, ale sprawiała wrażenie, że wzięła się w garść. Uprzejmie podał jej ramię, ona zaś je ujęła.

– Chodźmy – powiedział, a ona tylko skinęła głową. Ruszyli dalej.

Pół piętra wyżej stała Cérise i przyglądała się parze. Nie mogła słyszeć treści rozmowy, ale widziała twarz Delacroix. Twardy wojak i dziewczyna.

Niemal była z tego powodu wściekła. Skoro ten uparty tępak musiał się znów zakochać, to powinien przynajmniej w kimś szczególnym. W kuszącej, niezwykle pięknej kobiecie. Ta mała zaś nie była równorzędną rywalką. A tak właściwie to przecież w ogóle nie była rywalką. W końcu Cérise wcale nie chciała Delacroix z powrotem. To nie był już jej Delacroix. Jednak mimo wszystko denerwowało ją to równie silnie co fascynowało.

Zastanawiała się, czy scena, którą podejrziała, była rozmową kochanków. A może jednak nie? Było w tym coś dziwnego. Bardzo dziwnego. Cérise dowie się tego. Ruszyła za nimi. Tym razem nie przepuści pojawienia się cienistej istoty. W końcu Jego Wysokość osobiście prosił Cérise o pomoc. Zatem Cérise będzie przy tym, mimo

że grupa jakoś zapomniała ją powiadomić o polowaniu.

Nie zdarzyło się nigdy, by Delacroix nie zauważył, gdy ktoś go śledził. Musiał być myślami daleko, skoro Cérise mogła po prostu skradać się za nim niezauważona. Stawał się nieostrożny. Lepiej, żeby tego nie robił. Trzeba mu będzie to powiedzieć. Koniecznie. Przecież miał już miejsce zamach na jego życie. Nie mógł polegać na Cérise i liczyć, że śpiewaczka pojawi się zawsze, by go uratować, kiedy akurat ktoś skoczy mu do gardła. Bóg wie, że przy jego stylu życia było to zadanie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Cérise nie zauważyła mężczyzny, który podążał za nią. Piętro wyżej skradał się bezszelestnie od jednej plamy cienia do kolejnej. Nie słyszała go ani nie czuła jego obecności. Była tak zajęta rozmyślaniami nad tym, co zobaczyła, że nie przyszło jej do głowy, by się odwrócić. Nie zauważyła też, że wisiołek, który nosiła przy skórze pod ubraniem, stał się cieplejszy. Być może trochę ją irytował, ale nie dostatecznie, by świadomie zwróciła na niego uwagę.

Co za niemożliwy związek, myślała dalej. To dla tych dwojga całkowity *mesalliance*. Coś przeszkadzało jej w tej dziewczynie. Ten wdzięk lalki był jak z podręcznika dobrych manier. Nazwała tę małą chodzącym wzorem cnót niewieścich, a Asko wściekł się na nią za taką ocenę. A tak w ogóle to co się z nim stało? Sprawiał wrażenie, jakby podobała mu się ta delikatna Miss. To było oczywiste, że przypadła mu do gustu. Był takim śmiesznym pedantem, gdy chodziło o wojskowy rygor i przyzwoitość. Dobre wychowanie Corrisande Jarrencourt było prawdopodobnie dokładnie tym, czego szukał w kobiecie.

Delacroix był inny. Jego wychowanie i wojskowa kariera nie zrobiły z niego doskonałego dżentelmena, chociaż jak najbardziej znał reguły. Tyle tylko, że rzadko się ich trzymał. Cérise wiedziała, że poprzez swego ojczyma mógłby liczyć na zamożne, bardzo przyzwoite wsparcie ze strony rodziny. Nie dopasował się jednak, choć mógł, gdyby tylko chciał albo widział w tym głębszy sens. Odgrywał później oficera i dżentelmena, i robił to dobrze. Na życie spoglądał jednak z innego punktu widzenia niż większość ludzi. Z tego też powodu reagował często inaczej, niż można było oczekiwać, i to właśnie było jedną z jego najbardziej fascynujących cech. Jego życie nie podlegało żadnym

konwencjom. Wydawało się raczej, że pułkownik tylko przyglądał się codziennemu życiu, niczym dobrze zorientowany w otoczeniu gość.

Co więc takiego zobaczył w tej słodkiej jak miód paniusi? Ta dziewczyna była dla niego o wiele za młoda, pomyślała Cérise, a ponadto o wiele za mała i za chuda, i nie sprawiała też wrażenia, że jest w stanie wytrzymać z tak niesamowicie namiętnym człowiekiem jak Delacroix.

Ale czegoś takiego nie da się przewidzieć. Cérise Denglot uśmiechnęła się cynicznie.

## Rozdział 43

Von Orven był wściekły. Pędził po schodach z szybkością, która graniczyła z nieuprzejmością, i zmuszał do ustępowania mu z drogi. Dzięki Bogu, na schodach nie było już zbyt wielu gości, ponieważ opuścili hotel. Podporucznik von Görenczy z trudem nadażał za szturmowym tempem towarzysza.

– Asko! – krzyknął. – Do diabła, nie ma potrzeby, żebyśmy sfruwali z tych schodów! Według maga mamy jeszcze dość czasu.

Asko nawet się nie odwrócił.

– Asko, pomyśl o wrazeniu, jakie robisz na ludziach. Wyglądasz, jakby goniły cię wszystkie diabły z piekła.

Tym razem Asko zwolnił, a nawet odwrócił się do przyjaciela. W jego jasnoniebieskich oczach pobłyskiwały iskry, a z zazwyczaj rozważnej postawy pozostało niewiele.

– Zrobił mi to specjalnie! – wysyczał, a w jego głosie pobrzmiwała wściekłość.

– Co takiego zrobił specjalnie? – zapytał von Görenczy.

– Że sam schodzi z Miss Jarrencourt schodami dla służby. Nawet nie dał mi czasu, bym mógł się nad tym zastanowić. Nie ma pojęcia, co się dzieje. Jest zimny jak lód i pozbawiony jakiegokolwiek współczucia. Nie można przecież tak przyzwoitej dziewczyny ciągać po prostu po schodach dla służby. Czegoś takiego się nie robi. To niedopuszczalne.

A poza tym Delacroix był z nią sam i Asko miał pewność, że nie powinno się tak zdarzyć. Asko nie chciał, by Miss Jarrencourt była sama z takim człowiekiem.

– Asko, ona już zna schody dla służby. Już tam była i dziś rano chodziła po nich sama, i miała nawet czelność odmówić mi, gdy chciałem ją eskortować.

Asko zatrzymał się nagle.

– Naprawdę? Przedziwne. Zastanawiam się, czego tam szukała.

– Cóż, powiedziała, że nie chce, by myślano, że spotyka się potajemnie z panami z wojska.

– Co takiego? O czym ty w ogóle mówisz?

– O tym, że absolutnie nie chciała, bym ją eskortował!

Asko spojrzał na niego zły.

A potem znów podjął drogę na dół, tym razem już bardziej umiarkowanym krokiem.

– Udolfie – westchnął – to szanowana młoda dama z najlepszych kręgów. Oczywiście, że nie chciała, byś ją odprowadzał. Prawdopodobnie nawet trochę się ciebie obawiała. Jak by nie było, o twoich manierach można by powiedzieć, że są dość nieokrzesane.

Von Görenczy sapnął wzgardliwie i podkreślił wąsa.

– Z pewnością się mnie nie bała. Zresztą, do diabła, dlaczego miałyby się bać? Dziewczyna, która ma dość odwagi, by po raz drugi stanąć naprzeciw potwora, który niemal ją zgwałcił, z pewnością nie czuje strachu przed pocziwym Udolfem. Była nawet na tyle zuchwała, by powiedzieć mi, że i tak wie, iż uważam jej pokojówkę za piękniejszą od niej.

– Co? – Von Orven zatrzymał się po raz drugi. Patrzył z otwartymi ustami na Udolfa, policzki oblał mu rumieniec.

– No przecież to prawda. Uważam jej pokojówkę za ładniejszą od niej. Każdy uważałby jej pokojówkę za ładniejszą. Widziałeś ten dekolt? I te zachwycające zielone oczy, i te słodkie łyd... Natychmiast przestań!

Asko złapał go za okazały mundur i potrząsnął.

– Co powiedziałeś?

– Że jej pokojówka, Marie-Jeannette, jest...

– Nie. Wcześniej!

Von Görenczy zmuszony był stwierdzić, że popełnił błąd.

– Och. Ach. Nic – wymruczał, przeklinając się za to, że wciąż jeszcze nie posiadał sztuki, by najpierw myśleć, a później działać.

– Powiedziałeś, że to coś ją... zhańbiło?

– Nie. Nie. Wydaje mi się, że powiedziała, że nie. Nie tak naprawdę. Reagowałaby chyba zupełnie inaczej, gdyby stwór to zrobił, prawda? W końcu Delacroix zapytał ją, czy...

– Delacroix o tym wiedział? Ty o tym wiedziałeś?

– Asko, do diabła! Przestań mną potrząsać albo będę zmuszony przyłożyć ci w szczękę. Puść mnie! Wiesz przecież, że z bardziej



bląhych powodów wyzywałem ludzi na pojedynek.

Asko von Orven cofnął się o krok i patrzył na przyjaciela zdumiony.

– Wiedziałeś o tym? – zapytał znów, cały sztywny, gdy próbował zapanować nad sobą.

– Oczywiście. Przecież byłem przy tym. Ty zresztą też. Nie wiedziałeś, jak to coś wpęzało pod jej ubrania?

Asko patrzył na niego z konsternacją.

– Nie – powiedział. – Nie widziałem. Przewróciłem się i uderzyłem w głowę. Byłem trochę otumaniony. – Z trudem przełknął ślinę. – Wiedziałeś o tym i nie powiedziałeś mi? Wiedziałeś i pozwoliłeś, by narażała się na to jeszcze raz? Jeśli nie zważasz już na swój honor, to czy przynajmniej jej nie powinien mieć dla ciebie jakiegoś znaczenia? Nie mówiąc już o bezpieczeństwie czy życiu Miss Jarrencourt?

– To niesprawiedliwe – skarżył się Udolf. – Oddała się do dyspozycji z własnego wyboru. Przecież słyszałeś!

– Delacroix ją w to wmanewrował. Wielki Boże! Zaczynam rozumieć! – Był wściekły na siebie. – Musiałem być ślepy! A więc to miała na myśli, kiedy mówiła, że czuła tego diabła na skórze. Święta Mario, Matko Boska! Już na samą myśl o tym robi się człowiekowi niedobrze. Już sama myśl jest poniżająca. Jeśli nie będziemy mogli powstrzymać tej istoty tym razem, to nawet nie chcę sobie wyobrażać skutków. Nigdy sobie nie wybaczę, jeśli coś się stanie tej damie. To znaczy jak można powstrzymać przeklęty cień przed tym, by... nawet nie wolno sobie wyobrażać, że taka diabelska istota może z tą dziewczyną kopulo... – nie dał rady dokończyć zdania.

Udolf poklepał swego przyjaciela po ramieniu, próbując dodać mu otuchy.

– Asko, robisz wokół tego za dużo zamieszania. Jeśli ta dama ma na tyle odwagi, by znów zmierzyć się z niebezpieczeństwem, to powinniśmy znaleźć w sobie na tyle wytrwałości, by wyciągnąć ją z tego cała. Żałuję, że to powiedziałem. Mam nadzieję, że mimo wszystko będziesz w stanie się skoncentrować. Musimy naprawdę wziąć się w garść. Zważywszy, że znamy stawkę.

– Oczywiście, a ten szlachetny Delacroix wyjaśnił nam przecież, o co chodzi. I że poniesiemy straty. Teraz wiem, co miał na myśli – wysyczał oburzony Asko. – Wypada mi tylko spełnić mój obowiązek. Ale gdy to wszystko się już skończy, wyzwę Delacroix na pojedynek. Pułkownik pilnie potrzebuje lekcji. Będiesz moim sekundantem? – Biegli dalej przez hotelowy hol i kuchnię. Stąd do piwnicy prowadziły małe drewniane schody.

– Jeśli nalegasz, to będę – odparł von Görenczy. – Ufam jednak, że przemyślisz to raz jeszcze. Po pierwsze, ten człowiek wypełnia jedynie swój obowiązek. Z drugiej strony, nawet jeśli ci się to nie spodoba, nie jestem pewien, czy masz prawo, by wyzywać go na pojedynek za jego zachowanie wobec damy, która nie jest twoją krewną i za którą nie jesteś osobiście odpowiedzialny. Możesz oddać życie za coś, co w ogóle nie jest twoją sprawą, i twoje czy Delacroix przedwczesne zejście z tego świata w żaden sposób nie pomogą Miss Jarrencourt. Ale nie myślmymy teraz o tym. Musimy się skoncentrować na innych sprawach.

Nie dodał, że pojedynki są zabronione. Obaj wiedzieli, że – przynajmniej jeśli chodziło o Udolfa – to prawo dawno zostało już złamane. Niektórych praw po prostu nie da się w wojsku utrzymać. Tego typu wykroczenia starano się załatwiać wewnątrz pułku. Ale tu chodziło jeszcze o coś innego. Udolf nie wiedział co prawda, jakie doświadczenie może mieć jego przyjaciel na tym polu, ale nawet jeśli było ono większe, niż przypuszczał, to szwoleżer i tak nie wierzył, że wygranie walki z Delacroix byłoby łatwe. Nie była to jednak przeszkoda, która mogłaby powstrzymać oficera o odpowiednim stopniu i pozycji.

Dotarli na dół schodów. Drzwi piwnicy były otwarte. Weszli. Z wielkiego pomieszczenia prowadził korytarz, ten zaś wiódł jeszcze głębiej do hotelu. W niektórych latarniach paliły się świece, zdawały się jednak rozsiewać więcej cienia niż światła. Asko w ogóle się to nie podobało.

Delacroix stał z Corrisande w pierwszym pomieszczeniu. Wyglądał ponuro i gniewnie. Jego twarz wyrażała stanowczość, twardość. Zdawał się zamknięty w sobie. Corrisande stała tylko kilka kroków od niego. Coś było nie tak z jej oczami, zauważył von Orven. Błyszcząły. I wtedy zrozumiał, że musiała płakać.

Pistolety czy szpady, myślał Asko, strzelanie czy szermierka? Był dobrym strzelcem. W przypadku pojedynku na szpady prawdopodobnie przegrałby z silniejszym mężczyzną. Pułkownik miał większy zasięg i mimo swej masywności był zadziwiająco zręczny i szybki. Człowiek honoru już choćby z tego powodu nie wybrałby szpady. Ale Asko nie był wcale pewien, czy Delacroix jest człowiekiem honoru. Wręcz przeciwnie.

Uśmiechnął się do Corrisande.

– Dobrze się pani czuje? – zapytał, rozpaczliwie szukając w myślach czegoś, co mogłoby dodać jej otuchy. Nic mu nie przychodziło do głowy. Chętnie wzięłby dziewczynę w ramiona, by ją pocieszyć. Ale coś takiego było nie do pomyślenia.

– Dziękuję, panie podporuczniku, czuję się dobrze – odparła, ale nie odpowiedziała uśmiechem. Tęsknił za jej uśmiechem i za tymi dołeczkami, które tworzyły się wtedy w jej policzkach. Wiedział jednak, że Miss Jarrencourt nie ma żadnego powodu, by się uśmiechać.

Drzwi znów się otworzyły, Delacroix w jednej chwili trzymał w ręce gotowy do rzutu nóż, jeszcze zanim można było dostrzec intruza.

Ale to była tylko Cérise.

– Bądź tak dobry i nie próbuj mnie od razu zasztyletować! – oznajmiła. – Przyszłam tu, by pomóc, a nie po to, by pozwolić, abyś mnie przyszpilił.

– Nie powinno cię tu być – odparł Delacroix i opuścił broń. – Nie możesz nam pomóc. Narazisz się jedynie na niebezpieczeństwo. Przecież mówiłem, że nie będziemy cię mogli chronić.

Uśmiechnęła się tak słodko, że von Görenczy nie mógł się powstrzymać, by dodać trochę jadu do tej konwersacji:

– Będzie pani tylko przeszkadzała. Dlaczego nie pójdzie pani po prostu przeciwzyć gam albo coś? Jesteśmy zajęci.

Jej uśmiech zamarł.

– Widzę. Nawet strasznie zajęci pilnowaniem Miss Jarrencourt. Ale jeśli mogę zapytać, kto chroni Miss Jarrencourt przed wami? Trzej kawalerowie z młodą dziewczyną bez opieki. Miss Jarrencourt z pewnością będzie wdzięczna, jeśli przynajmniej będę chronić jej reputację. Prawda, moja droga?

Na twarzy Delacroix pojawił się cyniczny uśmiech.

– Paradne – parsknął. – Tylko nie mów, że zadałaś sobie trud, by zejść tu, aby oferować swoje usługi jako przyzwoitka. *La filie malgardée*, nawet kozioł może być ogrodnikiem. Jakież to bezinteresowne, że przyszłaś nam pomóc.

– Nie kłóćmy się – odpowiedziała Cérise. – Czy nie powinni się panowie przypadkiem wszyscy troszczyć o jakieś nadprzyrodzone fenomeny? – Stała przy ścianie blisko drzwi i strzepnęła pyłek kurzu z kremowej sukni zdobionej seledynowym haftem, która bynajmniej nie wyglądała tak, jakby była przeznaczona do zadań w piwnicy. – Stanę sobie tu po prostu i nie będę panom przeszkadzać. W ten sposób będą mieli panowie dość miejsca na heroiczny bój, na który się panowie tak cieszą. Jestem pewna, że będzie ciekawie. My zaś, przedstawicielki słabszej płci, popatrzymy z podziwem. Prawda, Miss Jarrencourt?

## Rozdział 44

Corrisande nie przysłuchiwała się tej bezużytecznej utarczce. Uwagę dziewczyny przyciągnęło coś innego. Powoli zaczęła się obracać wokół własnej osi, wyciągając ręce na boki. Nie wiedziała dlaczego, ale wydawało jej się to ważne. Czowała, jak czarny kamień wpada w ciemną wodę.

Jej serce tonęło. Cień nadchodzi. Zbliża się. Bariera między jego światem i jej pękła niczym skorupka jajka, a każde pojedyncze pęknięcie przenikało Corrisande do szpiku kości.

– Prawie tu jest – powiedziała beznamiętnym głosem, który jej samej wydał się obcy.

Rozmowa nagle się urwała. Mężczyźni obrócili się. Trzymali broń i próbowali coś dostrzec w mroku piwnicy. Płonące świece układały plamy światła i cienia na ścianach, suficie i podłodze w coraz to nowe wzory.

Corrisande obracała się na środku pokoju, wciąż z wyciągniętymi ramionami. Powoli traciła orientację. Oddychanie przychodziło jej z trudem. Powietrze było o wiele za suche i czuła się tak, jakby zmuszano ją do wdychania piasku, czarnych odłamków kryształu, które powoli ją dusiły.

Chciała uciekać. Z całych sił zmuszała się, by tego nie zrobić. Ucieczka nic nie da. Cień znajdzie Corrisande. Obezwładni ją, zamrozi, jeszcze zanim uda jej się wspiąć po schodach.

Zobaczyła, że oficerowie utworzyli wokół niej trójkąt. Jeden trzymał błyszczącą skrzynkę, dwaj pozostali noże, które żarzyły się w ciemności. Bała się tej broni, ale ten strach był niczym w porównaniu z przerażeniem, które objawiało się wokół i przenikało ją.

Nadchodzi. Najobrzydliwszy stwór, jakiego można sobie wyobrazić. Chce zawlec ją i uwięzić w czarnej otchłani i Corrisande cieszyła się z towarzystwa mężczyzn, jednego ze skrzynką, drugiego z nożykiem do owoców i trzeciego, który obiecał, że ją zabije. Och, i jeszcze ta śpiewaczka operowa, która troszczyła się o jej reputację.

Absurdalność tej sytuacji uderzyła dziewczynę z potworną siłą, nie pomogła jednak nawet za grosz. Corrisande była stracona. Teraz już to wiedziała. Mogła tylko mieć nadzieję, że to nie potrwa długo. Pułkownik obiecał, że to się stanie szybko. Nie wątpiła, że ten mężczyzna potrafi szybko zabijać. Wyglądał na takiego.

Wielki Boże, niech to się dzieje szybciej.

I nagle uświadomiła sobie, że nie chciała umierać. Oczywiście nigdy nie chciała umierać, ale też nigdy się nad tym nie zastanawiała. Jej życie było przecież dość przyjemne. Miała swobodę, mogła decydować o sobie i była dostatecznie zamożna, by to robić – przynajmniej na tyle, na ile było to możliwe dla niezamężnej kobiety. Wszystko, co ją złościło, i własne potrzeby wydały jej się nagle błahe. Głupie uskarżanie się rozpieszczonej panienki. Miała dobre życie. I lubiła żyć. Jak do tej pory lubiła żyć.

Kolista fala uderzyła w jej myśli i uczucia, czarna i oleista, niewidoczna, a jednak boleśnie obecna. Zalała Corrisande i dotknęła jej serca spienionym czarnym grzbietem.

Dziewczyna zatoczyła się, odzyskała równowagę, głośno starając się złapać oddech. A potem wskazała. Szepnęła zachrypniętym głosem:

– Tam. Nad latarnią. Nadchodzi.

Czuła, że Udolf mija ją w pośpiechu, a później już go nie widziała, ponieważ kolana ugięły się pod nią. Osunęła się na ziemię i skuliła. Przewróciła się na bok, przetoczyła na plecy. Nie była w stanie się poruszyć. Leżała sparaliżowana tak, jak upadła.

Mogła niemal słyszeć nadejście cienia. Brzmiało tak, jakby świat naraz się rozdarł. Potwór się przebił. Mogła dostrzec blask czarnych, obsydianowych stalagmitów. Czekwały na nią – w świetle, w którym cień odbierze jej duszę.

Zmusiła się, by patrzeć w swój świat, a nie w tamten. Z miejsca, w którym leżała, Corrisande mogła zobaczyć, jak von Görenczy trzyma skrzynkę pomiędzy nią a plamką cienia na ścianie. Czuła, jak to coś wypełza ze swej domeny do świata. Przeciskało się do rzeczywistości niczym lepka, gęsta maź, nie zaś jak lanca i nie jak cień. Opłynęło skrzynkę niczym gęsty olej i rozdzieliło się ku górze, do sufitu, gdzie oficerowie nie byli w stanie go dosięgnąć.

Podporucznik nie złapał stwora. Cień uciekł. Corrisande była stracona. Usłyszała pełne strachu pojękiwanie. Jej własne.

Delacroix i Asko ruszyli jednocześnie. Skoczyli, chcąc oddzielić ją od czarnej istoty, próbującej przybrać przybliżoną formę mężczyzny przyczajonego pod sufitem. Obaj oficerowie wbiegli na siebie i zderzyli się. Mniejszy zachwiał się, odrzucony pędem większego.

Delacroix był zrozpaczony. Ich plan znów zawiódł. Ten stwór był silniejszy, sprytniejszy i bardziej śmiertcionośny, niż zakładali, zaś von Orven stał pułkownikowi na drodze. Obaj przeszkadzali sobie nawzajem, wyciągając w stronę cienia swoje noże, próbując za wszelką cenę nie dopuścić, by ta istota dosięgła dziewczyny. Każdy był całkowicie zdecydowany, by nie pozwolić stworowi jej dotknąć, a jednocześnie wiedział, że nie mieli zbyt dużej szansy, aby temu zapobiec.

Gdy cień dosięgnie Corrisande, Delacroix będzie musiał ją zabić. Stało się dla niego jasne, że najpierw musi unieszkodliwić Asko, bo w przeciwnym razie ze swym instynktem obrońcy młodszy oficer nie pozwoli tego uczynić. A przecież Delacroix wcale nie miał ochoty tego zrobić. Dał jednak słowo.

Był taki pewien, że mogą złapać cień. To nie do końca prawda, przyznał przed sobą. Nigdy nie był tego pewien, ale miał nadzieję. A teraz zawiódł.

Stworzenie nie poruszało się, unosiło się jedynie pod sufitem, poza zasięgiem ostrzy. Nabierało fizycznych kształtów i znów się stapiało, przyjmując najróżniejsze męskie formy. Wyglądało, jakby się naśmiewało z oficerów, i jeśli to w ogóle było możliwe, Delacroix jeszcze bardziej nienawidził za to tej zjawy. Czyhała zadowolona z siebie, przybierając człekokształtne formy, tworząc na krótką chwilę różne części męskiego ciała, by potem znów rozpuszczać je w wirze cieni, niczym mroczna woda płynąca korytem rzeki raz w górę, raz w dół.

Nagle cień wystrzelił niczym oszczep wzdłuż sufitu, zbyt szybko dla obu mężczyzn. Rozciągnął się, przelatując nad nimi, zbyt wysoko, by mogli go dosięgnąć. Delacroix skoczył przed Corrisande, próbował ochronić ją własnym ciałem, podczas gdy von Orven przeskoczył nad

nimi, ruszając za cieniem, który sunął do przeciwległej ściany, dokładnie w kierunku wystraszonej Cérise Denglot, zastygłej bez ruchu przy drzwiach.

Raptem poruszył się drugi cień. Zwinna ciemna postać pojawiła się zupełnie znikąd i skoczyła ku Cérise. Jakiś mężczyzna poruszający się tak szybko, że prędkość ruchów rozwiała mu ciemne włosy. Potworny cień zatrzymał się w połowie drogi, jakby musiał na nowo przemyśleć swoją taktykę. Obcy trzymał ręce uniesione w jego stronę w obronnym geście. Był bez broni, ale upiór go nie atakował. Wyglądało to raczej tak, jakby się w siebie wpatrywali. Takie właśnie sprawiali wrażenie, choć Delacroix nie wiedział nawet dlaczego, cień nie miał bowiem oczu. Jednak obaj przeciwnicy zdawali się nawzajem rozumieć. Sprawiali wrażenie, jakby oceniali swoje siły. Delacroix przypominało to z niesamowitą wyrazistością uczucie, jakiego doznaje się podczas pojedynku.

W oczach nowo przybyłego kryła się bezdenna czerń. Wciąż trzymał ręce wyciągnięte do wroga. Wnętrza dłoni zwrócone były do potwora, palce zaś zakrzywione niczym pazury. To były pazury, stwierdził Delacroix i w jednej chwili zrozumiał, na kogo patrzy. Przybył tajemniczy wielbiciel Cérise, by ją chronić.

Nie miał czasu, by dalej o tym myśleć, Asko bowiem dotarł do cienia i zamachnął się małym sztyletem z zimnego żelaza. Stwór był o wiele za szybki dla niego, rozciągnął się w niewyraźne pojedyncze pasma, które znów pędziły przez pomieszczenie. Siłą tego samego zamachu nóż zmierzał do obrońcy śpiewaczki, który ze zwierzęcym pomrukiem jedną ręką złapał ramię podporucznika, drugą zaś jego mundur i po chwili młody oficer przeleciał wiele metrów w powietrzu i ze zduszonym przekleństwem walnął w ścianę po przeciwnej stronie. Delacroix nie tracił czasu, by się za nim oglądać. Nóż Asko upadł z brzękiem na podłogę, bezużyteczny.

Oczywiście, dotarło do Delacroix. Feyon. Dla niego ta broń była równie niebezpieczna co dla potwora. Na zastanawianie się nie było już więcej czasu, w tym momencie ramiona cienia wystrzeliły bowiem w dół. W ułamku sekundy śmignęły do Corrisande, mimo że Delacroix próbował zasłonić ją własnym ciałem. Bezsensowny czyn, oczywiście.



Delacroix nie był chroniony i stworzenie mogło go po prostu przebić. Musiało tylko wniknąć w jego ciało, tak jak to już raz uczyniło.

Ale potwór tego nie zrobił. Ominął pułkownika wieloma ramionami, zwinnymi jak węgorze, prześliznął się po jego twarzy, nie zadrapując nawet skóry. Delacroix zadrżał i spojrzał w twarz Corrisande. Ich spojrzenia się spotkały, zatrzymały, jakby przez krótką chwilę dzielili ze sobą to samo poczucie beznadziei. A potem to coś jej dosięgło, ślizgało się po niej, pełzało po sukni, włosach i twarzy. Corrisande wciąż patrzyła na Delacroix, podczas gdy jej skóra zaczęła szarzeć, twardnieć, w miarę jak pochłaniała ją ciemność. Stopniowo zamieniała się w kamień, połyskując obsydianowy kryształ.

Delacroix uniósł nóż i pchnął go szybkim, mocnym ruchem, celując w serce młodej kobiety. Nie wahał się. Jego mózg był dziwnie pusty i dbał o to, by tak właśnie było.

Ostrze noża nie dosięgło ciała. Ktoś trzymał jego ramię i hamował ruch. Von Orven, pomyślał, ale to był ten niesamowity wielbiciel Cérise. Był nieprawdopodobnie silny. Delacroix nie był w stanie przesunąć ręki nawet o milimetr. Feyon trzymał ją w stalowym uścisku. Słyszał oddech tego człowieka, szybkie, pełne bólu oddechy. Myśli Delacroix pędziły jak szalone. Złamał dane słowo. Z każdą upływającą sekundą szanse, by wybawić Corrisande, zanim zostanie zabrana i zniknie na zawsze, były coraz mniejsze. Wciąż na niego patrzyła, z szeroko otwartymi, nieruchomymi oczyma. Jednak lazur jej tęczy powoli, coraz bardziej zamieniał się w lśniący obsydian. Nie wiedział nawet, czy jeszcze go widziała.

– Puść – krzyknął do mężczyzny obok, który choć szczupły, miał tak nieprawdopodobną siłę, że był w stanie zatrzymać cios pułkownika. Delacroix chętnie wytłumaczyłby mu teraz, co robił i dlaczego, ale nie było na to czasu, miał też wrażenie, że jego przeciwnik nie potrzebuje żadnego wyjaśnienia.

Mężczyzna nie puścił. Delacroix przyszła do głowy myśl, że mógł to być wynik cichej komunikacji pomiędzy dwoma nienaturalnymi stworzeniami. Cień weźmie dziewczynę, ale zostawi Cérise? To możliwe i za coś takiego zabiłby tego czarnowłosego feyona. Ale wtedy mężczyzna poprowadził jego rękę w dół, kierując nóż w dłoni Delacroix

niemal na obrzeża coraz czarniejszego kamienia. Czubek ostrza niemal dotknął zarysów bezbronnej kobiecej postaci, ale nie poruszył się ani o jotę. Czerń odskoczyła, uchyliła się przed dotknięciem ostrza. I teraz Delacroix pojął. Pozwolił kierować swą ręką, obrysowując ostrą stałą zarysy ciała Corrisande, a cień wycofywał się z niej, próbując uniknąć noża.

Pokonał go, pomyślał Delacroix. Nie miał więcej czasu na myślenie. Cień stanął przed nim, zostawiając leżącą na podłodze Corrisande jak szary worek lodu.

Potwór materializował się, przybierając formę kryształowej lancy. Lśnił jak szlifowane szkło albo jak gigantyczny diament. Ostrze celowało prosto w serce Delacroix. Jakby przez mgłę docierało do niego, że rycerz Cérise go puścił i w jednej chwili stał już daleko. Pułkownik nawet nie zauważył, kiedy feyon się oddalił.

Delacroix skupił się na grożącej mu lancy i zastanawiał się, jak może z nią walczyć, mając do dyspozycji jedynie sztylet. Sytuacja nie wyglądała dobrze. Właściwie było już po nim. Nikt nie postawiłby teraz nawet grosza, że to przeżyje.

W pomieszczeniu zawibrował wysoki ton. Nie od razu wiedział, co to za dźwięk, potrzebował pół sekundy, by zrozumieć, że to była Cérise, która wydobywała z siebie najwyższą nutę, do jakiej zdolny był jej głos. Bębenki w uszach Delacroix wibrowały boleśnie. Mroczny feyon opadł na kolana, zacisnął ręce na uszach i wydał bardzo ludzko brzmiący okrzyk bólu.

Lanca pękła.

Rozprysła się na małe kawałki, które spadły na podłogę lawiną sopli. Odłamki rozbijały się na jeszcze mniejsze, a siła uderzenia rozrzuciła je po pomieszczeniu. Ostre kawałki fruwały w powietrzu jak szrapnele, a Delacroix pochylił się jeszcze bardziej nad dziewczyną, by ją zasłonić. Przez chwilę wyglądało to tak, jakby ktoś upuścił kryształowe lustro.

A potem zapadła cisza. Wysoki ton Cérise wciąż rozbrzmiewał w uszach Delacroix, ale poza tym nie rozlegał się żaden inny dźwięk. Pułkownik widział, jak odłamki leżące na podłodze traciły swe ostre kontury, stawały się płynne, zamieniały w ruchliwe krople, pełzające po

podłodze niczym czarna rtęć, by znów uformować się w jedną istotę.

Zebrały się w małą, bladą kupkę. W jednej chwili podporucznik von Görenczy doskoczył do niej i zgarnął do skrzynki. Poruszał się tak zwinnie, że Delacroix nawet nie zauważył, kiedy szwoleżer zamknął wieko. Ale było zamknięte. Kliknął rygiel.

– Mam cię, cholera! – krzyknął Udolf, a jego zadowolony głos przerwał pełną napięcia ciszę. To było tak, jakby pomieszczenie razem z ludźmi, którzy w nim byli, wypuściło długo wstrzymywane powietrze. Delacroix się rozejrzał. Twarz Corrisande powoli przybierała normalną barwę. Jej oczy nie były już czarne. Zamrugła, ale to był jedyny ruch, który zdradzał, że żyje. Jej oddech był nieregularny i sprawiał ból. Walczyła o powietrze.

Cérise wciąż stała przyciśnięta plecami do ściany. Przestała śpiewać, jej twarz zmieniła się w przerażoną maskę, o oczach szeroko otwartych. Zauważyła spojrzenie Delacroix i zebrała się w sobie, zamknęła usta, sprawdziła swój wygląd i przyglądała suknię. Stuprocentowa kobieta, która świetnie potrafi sama na siebie uważać.

Czarnowłosa Sí wstał z ociąganiem. Spuścił głowę, jakby próbował wyrzucić z pamięci wspomnienie krzyku, który dosięgnął go w tak nieprzyjemny sposób. W jednej chwili był już przy Cérise, zbyt blisko, zbyt intensywnie. Szeptał jej coś do ucha, niemal dotykając ustami. Wyglądała na niepewną i rozzłoszczoną. Przez chwilę Delacroix sądził, że powinien interweniować. Było w tym mężczyźnie coś, co mu się nie podobało, choć nie mógł zaprzeczyć, że jego obecność okazała się przydatna. Ale mimo wszystko. W najgłębszych zakamarkach jego mózgu pojawiło się uczucie zagrożenia, instynktowny sygnał ostrzegawczy, a Delacroix przez lata zdążył się nauczyć, by tego sygnału słuchać.

Szczupły, młody mężczyzna odwrócił się w jego stronę, spojrzał i wzrok Delacroix powędrował dalej.

Udolf wciąż klęczał nad swoją skrzynką. Trzymał rękę na pokrywie, choć dawno już była zamknięta i zaryglowana. Po jego twarzy błędził triumfalny uśmiech. Końcówki kręconych wąsów drżały w poczuciu zwycięstwa. Wygrał. Jego serce było odurzone zwycięstwem do tego stopnia, że nie docierało do niego nic innego.

– Mam cię, cholerny draniu – powiedział raz jeszcze, a Delacroix niemal oczekiwał na protesty Asko. To z pewnością nie był sposób, w jaki należało się wyrażać przy damach.

Pułkownik zauważył, że Asko nie wydał jeszcze ani jednego dźwięku. Starszy mężczyzna obrócił się w obawie, że zobaczy oficera nieprzytomnego pod ścianą. Ale mógł sobie darować te obawy. Podporucznik stał za nim. Siniak szpecił jego twarz w miejscu, w którym zbyt blisko zapoznał się ze ścianą. Poza tym wyglądało, że nic mu nie jest.

Był jednak bardzo, ale to bardzo wściekły. Zanim Delacroix zrozumiał, co się dzieje, mniejszy od niego mężczyzna unosił go już za klapy, katapultując do ściany.

– Próbował pan ją zabić! – wrzeszczał. – Niech pan będzie przeklęty! Próbował pan ją zabić! To był pański plan? Wykorzystać ją jak padlinę, na którą łapie się węgorza, a potem zabić? – Z niebieskich oczu sypały się iskry wściekłości i oburzenia. – Pociągnę pana za to do odpowiedzialności, pułkowniku! – powiedział. – Pozostawiam panu wybór broni!

## Rozdział 45

Świat Corrisande powoli nabierał kształtów. Próbowwała zebrać bezładne myśli. Nie była nieprzytomna, nie naprawdę. Ale jej zmysły skurczyły się i zwiotczały. Słyszała dźwięki i głosy, ale nie potrafiła przypisać ich do obecnych ludzi ani nadać im jakiegoś znaczenia. Przez większość czasu była w stanie widzieć, choć jej wzrok coraz bardziej słabł, gdy świat stawał się coraz ciemniejszy. Jej zmysły nie zanikły całkiem, ale nie znajdowała myśli, które pozwalałyby przemienić wrażenia w coś zrozumiałego. Tak to w każdym razie odczuwała.

Znów czuła na skórze zimne macki, gdy ten potworny cień nad nią zapanował. Znów wśliznął się pod ubranie Corrisande, tulił się do jej ciała wężowymi ramionami. Wciąż czuła lodowate zimno na piersiach, gdzie ta istota pożądliwie spoczywała. Nic do niej nie mówiła, ale Corrisande czuła żądzę cienia i robiło jej się od tego niemal niedobrze. Tym razem nie zapuścił się dalej. Zamiast tego szykował się, by przenieść ją do swojego świata, by tam bez przeszkód robić z dziewczyną to, na co miał ochotę.

Czuła, jak kamieniała jej skóra. To był bolesny proces, jakby się zamarzało. Czuła, jak jej krew została zmuszona, by się zatrzymać, jak mięśnie i ścięgna stawały się twarde i kruche, a każdy nerw buntował się z bólu. Czuła, jak od skóry ku wnętrzu zaczyna się krystalizować.

Nie wierzyła już, że przeżyje. Widziała nad sobą Delacroix z nożem i co dziwne, nie bała się. Jej strach i agonია były już tak oczywiste, że nie pozostało więcej miejsca na to, by Corrisande bała się, że nóż wycelowany w jej serce przyniesie śmierć. Bezgranicznie ufała Delacroix. Dostrzegła jego twarz nad sobą i jeszcze ból oraz poczucie winy w jego żółtych, wilczych oczach i przez ten krótki czas, kiedy mogła jeszcze myśleć i czuć, zrobiło jej się go żal.

Ale pchnięcie nożem nie nadeszło. W swoim coraz mroczniejszym świecie zobaczyła obcego. Pojawił się nagle, wtrącił się. Jego ciemne oczy przypominały jej miejsce, w którym wkrótce miała się znaleźć, zaś jego ingerencja przeraziła ją tym bardziej, że rozpoznała feyona. Był

taki jak jej dręczyciel, był taki jak ona. Chciała krzyknąć, nie była już jednak zdolna do żadnego działania. Była uwięziona w sobie, zakonserwowana i pogrzebana we własnym ciele.

A potem wszystko było już tylko czarne. Przez nieskończone sekundy, minuty, a może godziny jej zmysły nie odbierały żadnych bodźców. Jej postrzeganie nie istniało. Nie słyszała, nie widziała, nie czuła nawet bólu. Wiedziała, że jej przejście do innego królestwa już się zaczęło. Nie mogła nic zrobić, tylko czekać na to, co przyjdzie, na to, co się stanie.

Nie mogła nawet płakać. Z niepokojącą jasnością Corrisande zrozumiała, że za każdym razem, kiedy spotykała to stworzenie, rosła jej świadomość tego, co miało się z nią stać. I tej świadomości się bała. Cokolwiek ją oczekiwało, będzie nie do zniesienia dla ciała i duszy i dziewczyna głęboko pragnęła, by nie mieć świadomości zadawanych jej tortur.

Ale świadomość nie opuściła jej ani na chwilę.

Gdy poczuła gorący, żrący żar, pomyślała najpierw, że to stworzenie zaczęło ją torturować. Odczuwała to tak, jakby ktoś drapał wzdłuż jej ciała rozpaloną do czerwoności igłą. Czuła gorąco, ale nie ostrze. Ale bolało tak bardzo, że rozpaczliwie łapała powietrze i chciała krzyknąć. A później wiedziała, że to nie porwacz ją dręczył. Nie potrafił stwarzać gorąca. Wszystko, czym promieniował, było chłodem. Spalał ją ktoś inny.

Świat wokół niej stawał się jaśniejszy. Czarne szkło w jej oczach topiło się i zaczęła widzieć rozmazane światła i ruch, nie mogła jednak przypisać im żadnego znaczenia. Jej biedny, przeciążony umysł był niezdolny do pojmowania.

A później poczuła pod sobą twardą podłogę i była za to wdzięczna, ponieważ dało to Corrisande jakiś punkt odniesienia i mogła pojąć, co to takiego.

Nad nią połyskiwało coś długiego i cienkiego. Przerazająco wysoki ton rozrywał bębny w jej uszach i dopiero teraz omdlała, może na parę sekund. Gdy doszła do siebie, czuła, że jej prześladowca zniknął. Zamiast tego klęczał nad nią tajemniczy Śi. Był zastanawiająco blisko, a jego półdługie, jedwabiste włosy niemal opadały na jej twarz.

Corrisande mogła dostrzec lekko spiczaste uszy, które nadawały nieznanemu demoniczny wygląd.

Nie wiedziała, czego chce feyon, i bała się jego bliskości. Ale on się uśmiechnął i poznała, że był to przyjazny uśmiech, który miał ją uspokoić. Następnie obcy sięgnął, a ona chciała krzyczeć, nie była jednak w stanie. Dotknął jej gardła, z kciukiem z jednej strony i czterema palcami ze spiczastymi, ostrymi paznokciami z drugiej, zupełnie tak, jakby chciał ją udusić. Przełknęła ślinę wystraszona.

Nie zrobił jej krzywdy. Jego dotyk był pobieżny i ciepły. Palce przesunęły się po jej szyi i karku, jakby ją czule pieścił. Corrisande zrozumiała, że był to sposób, w jaki feyon sprawdzał jej stan. Nagle łatwiej jej było oddychać.

– A więc znów jesteś wśród nas – powiedział cicho, a jego głos był głęboki i pełen współczucia. – To dobrze.

Przytrzymując kciukiem podbródek, obrócił jej głowę i odgarnął lekko włosy z ucha. To wprowadziło ją w pomieszanie. A potem zrozumiała, co sprawdzał. Zauważyła, że się rumieni.

Nie pomógł jej wstać, uśmiechnął się tylko, nie otwierając ust. Podeszedł do Cérise. Śpiewaczka przyglądała mu się z dziwnie poirytowaną miną, z której Corrisande nic nie potrafiła wyczytać.

Dopiero teraz mogła usłyszeć wymianę słów. O ile można to było nazwać wymianą słów. To była raczej kłótnia, bitwa. Spojrzała w stronę dobiegających ją głosów.

Delacroix stał plecami do ściany, podczas gdy podporucznik von Orven głośno go atakował. Wczepił się przy tym rękami w ubranie większego od niego mężczyzny. Musiała się skoncentrować, by nadażyć za dyskusją podenerwowanych mężczyzn.

– Oczywiście, że nie przyjmuję pańskiego wyzwania, ty błazeński żółtodziobie – syczał pułkownik. – To niewłaściwe miejsce, niewłaściwy czas i niewłaściwa reakcja. Jesteśmy na tej misji razem, a pan w żaden sposób nie jest odpowiedzialny za Miss Jarrencourt, a jeśli chodzi o moje działania, to nie mam obowiązku się z nich przed panem tłumaczyć.

Twarz podporucznika była bardzo czerwona. Niemal splunął z oburzenia.

– Gdyby był pan dżentelmenem, nie próbowałby się pan wykręcić od tej walki. Pański stopień nie jest na tyle wyższy od mojego, bym nie mógł pana wyzwać, a jeśli chodzi o Miss Jarrencourt, to nie ma ona poza mną żadnego obrońcy. Chciał ją pan zabić, niech pan nie próbuje temu zaprzeczać! Wyraźnie to widziałem i jeśli nie jest pan skończonym tchórzem, to niech pan określi, jaką bronią mamy walczyć, i poda nazwisko swojego sekundanta.

Oczy Delacroix zaczęły niebezpiecznie błyszczeć.

– Nie powinien pan nalegać. Naprawdę nie. Ale jeśli już pan to zrobi, chętnie udzielenie panu lekcji.

– Dość! – głos Corrisande brzmiał bardziej stanowczo i silniej, niż sądziła, że jest to możliwe. Na wpeł usiadła, podpierając się na łokciach, a czynność ta kosztowała ją bardzo dużo sił.

Obaj mężczyźni podskoczyli do niej i przyklękli po obu stronach. Miała swoich dwóch bohaterów. Jeden dostatecznie nierozważny, by oddać za nią życie, drugi zaś na tyle stanowczy, by uchronić ją przed losem gorszym od śmierci. Tak się obaj troszczyli o Corrisande, a jednak woleli ze sobą walczyć, zamiast sprawdzić, jak się czuje.

Obaj spojrzeli na nią, twarda, spalona słońcem twarz Delacroix ukazywała tę samą troskę co wzburzona i blada twarz Asko. Musi ich powstrzymać przed walką. Dziewczyna uznała, że to wstętnie z ich strony, by nie dać jej czasu na dojdęcie do siebie. Wciąż brakowało jej tchu i nie mogła wydobyć z siebie głosu. Pragnęła odrobiny spokoju, by skoncentrować się na tym, co się wydarzyło.

Nie miała ochoty na przemówienia, a już tym bardziej na to, by kogoś do czegoś przekonywać. Wdychanie suchego, pełnego kurzu powietrza było dostatecznie trudne. Nie życzyła sobie być obiektem kłótni dwóch mężczyzn, którzy chcieli się pozabijać. Wiedziała jednak, że nie może im pozwolić, by powiedzieli rzeczy, których później nie można już będzie uznać za niebyłe. Gdy już przekroczą w kłótni granicę, będą zmuszeni walczyć, by nie stracić honoru. Nic, co by później powiedziała Corrisande, nie miałoby już na to wpływu.

– Proszę – powiedziała zmęczona – to wszystko było strasznie nieprzyjemne. Proszę nie czynić tego jeszcze nieprzyjemniejszym, kłócąc się ze sobą. – Wyciągnęła ręce do obu, na prawo i lewo.



Wspólnie pomogli jej wstać i podtrzymywali ją ostrożnie.

– Dobrze się pani czuje, Miss Jarrencourt? – zapytał Asko, ona zaś przypomniała sobie, że zadał jej już to samo pytanie, gdy zszedł do piwnicy. Wydawało się, że od tego czasu minęły eony.

– Dziękuję, panie podporuczniku. Czuję się dobrze – skłamała automatycznie. – Ale jestem trochę wyczerpana i byłabym wdzięczna, gdybym mogła udać się już do siebie.

Delacroix milczał, pochwycił jedynie jej spojrzenie. W jego rysach widać było skruchę. Rozumiała, że czuł się winny, bo nie mógł jej pomóc. Złamał dane słowo. Nie wiedział, co powiedzieć.

– Złapali to panowie? – zapytała, gdy cisza stała się już przygniatająca.

– Złapaliśmy, Miss, złapaliśmy – usłyszała głos Udolfa zza pleców.

Uśmiechnęła się i nagle zrobiło jej się słabo. Kolana ugięły się pod nią, ale nie upadła. Obaj mężczyźni mocno ją podtrzymywali. Patrzyli przy tym na siebie z wściekłością. W końcu Delacroix ustąpił i teraz podtrzymywał ją tylko Asko. Utrata ciepłego dotyku pułkownika zabolęła. Ale przecież nie mogła prosić, by wrócił.

– Von Orven – powiedział zimno i z nieprzystępną miną Delacroix – proszę odprowadzić Miss Jarrencourt do jej pokoju. Von Görenczy i ja pójdziemy z naszą zdobyczą do Vonderbrücka. Zobaczymy, co na to powie. Oczekujemy pana u nas, gdy tylko się pan upewni, że młoda dama otrzymała wszystko, czego jej potrzeba.

Pochylił się i podniósł coś z podłogi.

– Czy zgubiła pani pierścień? – zapytał, ona zaś rozpoznała w jego ręku swój sygnet z pieczęcią. Musiał jej się zsunąć podczas ataku. To nie był rodzaj biżuterii, który można było lekkomyślnie gubić. To zbyt niebezpieczne. Serce niemal przestało jej bić, gdy zobaczyła pierścień w dłoni Delacroix. Nie powinna była nosić tego sygnetu.

– O tak. To mój. – Wyciągnęła rękę. Ale Delacroix nie podał go, tylko ujął jej dłoń i wsunął pierścień na palec, tak jak czyni się to z obrączką. Ten poufaly gest uwolnił mechanizm otwierający pierścień. Kamień odsunął się, odsłaniając wizerunek nereidy. Delacroix wciąż trzymał jej dłoń i unióś ją bliżej oczu. Potem spojrzał na Corrisande i

zmieszanie powoli zamieniło się w zrozumienie. W jego oczach pojawiło się coś twardego, a twarz przybrała dziki i niebezpieczny wyraz. Najwyraźniej musiał już widzieć kiedyś ten herb, a nie było zbyt wiele miejsc, gdzie mógł go zobaczyć. Patrzył na dziewczynę z narastającym gniewem, po czym cofnął się o krok.

– Porozmawiamy później, Miss Jarrencourt – powiedział zimno i skłonił się. Odwrócił się. Chciała go zapytać, co miał na myśli, zmusić go, by wyjaśnił swoje zachowanie, ale nie wiedziała jak, nie wiedziała, w jaki sposób powinna zacząć. Patrzyła tylko wystraszona, ale Delacroix klęczał już przy podporuczniku von Görenczym i badał żelazną skrzynkę.

Odwrócił się do Corrisande plecami.

## Rozdział 46

Wydaje mi się, że go mają – ogłosił brat Michael, podczas gdy jego oczy śledziły linie na piasku rozsypanym na stole we wspólnym salonie trzech braci zakonnych. Piasek był przydatny jako środek pomocniczy, by móc lepiej koncentrować się na tym, co działo się w duchowym świecie. Brat Michael nigdy nie podróżował bez piasku.

– Jest martwy? – zapytał zachwycony brat Giuseppe.

– Nie. Chyba nie jest martwy. Ale nie mogę tego powiedzieć z całkowitą pewnością. Zakładam, że złapali go do wzmocnionego zimnym żelazem pojemnika. Miejmy nadzieję, że jest dobrze zamknięty.

– Musimy go przesłuchać – powiedział brat Giuseppe i wstał. Przez cały cichy czas oczekiwania modlił się, różaniec po różańcu. Teraz wydawało się, że Pan wysłuchał jego modlitw. Mroczny potwór wpadł śledczym w sieci. Brata Giuseppe czekała praca, słodka praca.

To że nie złapali tej istoty osobiście, nie miało większego znaczenia. Bractwo czuło się odpowiedzialne za to, by zajmować się wszystkimi nienaturalnymi wydarzeniami. Wkroczą we właściwym momencie. To stworzenie było już właściwie w ich rękach.

– Nikt jeszcze nigdy nie przesłuchiwał wiatrochoda – dał do zrozumienia brat Michael.

– Ale to nie musi oznaczać, że to niemożliwe – odparł ojciec Emanuele, który do tej pory milczał. Zastanawiał się nad możliwościami, jakie dawała im ta sytuacja. Istniała więcej niż jedna droga, jaką mogli obrać od tego punktu, i każdy kolejny krok miał swoje konsekwencje, dlatego należało poruszać się rozważnie.

Brat Michael przytaknął.

– Tyle tylko, że nie mam pojęcia jak. Ta istota ma głos tylko wtedy, gdy przejmie jakiegoś człowieka. Przynajmniej według naszych archiwów. Nie ma jednak żadnych rozpraw, które informowałyby o tym, że ktoś tego próbował. Może potrafi się komunikować z innymi stworzeniami ciemności. Kto wie? Jeśli będziemy chcieli sami tego spróbować, wkroczymy na zupełnie nieznaną teren. Muszę przyznać, że

niechętnie zrobiłbym coś takiego bez drugiego mistrza u boku.

– W imię sprawy przyjmujemy na siebie ryzyko – zacytował Giuseppe. – Dla sprawy robimy to, co robimy. Dla sprawy przezwyciężamy nasze lęki i wątpliwości.

Brat Michael spojrział na niego złym wzrokiem.

– Oczywiście – odparł zwięźle i znów odwrócił się do księdza. – W żadnym razie nie chcemy przypadkowo tego czegoś uwolnić. Wskazane jest, byśmy starannie planowali. Jest zbyt wiele rzeczy, których nie wiemy. Nie powinniśmy działać pochopnie.

– A jednak – odpowiedział padre – musimy działać. Złapali go. Będą próbowali go zmusić, by oddał rękopis. Nie mają go jeszcze, prawda?

Znawca magii pochylił się nad wzorami w piasku.

– Nie sędzę – powiedział.

– Lepiej by było, gdyby był brat pewny – zauważył chłodno ksiądz. – Potrzebujemy tego rękopisu. Nie może trafić w niewłaściwe ręce. Chyba nie muszę bratu przypominać, że wszystkie ręce oprócz naszych są niewłaściwe.

Brat Michael skinął, nie patrząc na niego.

– Rękopis jest potężnym instrumentem – powiedział. – Ma aurę, którą można łatwo wyczuć. I w rzeczy samej, wyczuwałem wyraźnie jego obecność w ostatnich dniach, gdzieś w pobliżu, tuż poza zasięgiem. Wyczekuje w ukryciu, schowany tak, że nie można go zobaczyć. I wciąż mam takie samo wrażenie.

Trzymał otwarte dłonie nad stołem i choć nie dotykał piasku, jego ziarna unosiły się i obniżały, tworząc miniaturowe ruchome wydmy.

– Ale jesteśmy blisko. Mówił ojciec, że Delacroix nie chce z nami współpracować. Ale może teraz zmieni zdanie, kiedy ma niebezpiecznego potwora, którego musi pilnować, ale nie dotarł do rękopisu. Możemy mu zaoferować pomoc.

– Nie – odpowiedział ksiądz. – Proponowaliśmy mu już pomoc. Odmówił. Nie narzucamy się. Bierzemy, co nam się należy.

– Dla sprawy – podszepnął brat Giuseppe.

– Właśnie – powiedział ojciec Emanuele. – Trzeba coś postanowić. Przynajmniej musimy być w pobliżu, gdy ten salonowy czarodziej

spróbuje się zająć tą istotą. Może mu się poszczęścić i faktycznie dotrze do rękopisu.

– Wtedy wciąż jeszcze mamy czas, by wkroczyć. Chciałby ojciec rzeczywiście być w pobliżu, jeśli ten człowiek popełni błąd i znów uwolni potwora?

– Może powinniśmy przejąć sprawę już teraz. Może brat zablokować tego maga albo go wyłączyć?

Brat Michael spojrzał na księdza z powątpiewaniem.

– Nie stąd. W tym celu musiałbym go odwiedzić. To z kolei skutkowałoby otwartą konfrontacją nie tylko z tym człowiekiem, ale również z oficerami i przynajmniej z jednym Sí. Nie wspominając o samym wiatrochodzie. Poczulem przy ludziach silną obecność feyona, gdy złapali to coś. Ale nie mogłem go dokładnie określić. Ktokolwiek to jest, wie, jak się ukrywać.

Ojciec Emanuele sprawiał wrażenie zamyślonego.

– Może to być ta Angielka?

Brat Michael wzruszył ramionami.

– To by oznaczało, że jak dotąd wciąż ukrywała swoje zdolności przed światem. Poza tym podczas procedury wydała mi się słaba. Oczywiście nie przez cały czas. To niewykluczone. Nie jest to jednak jedyna możliwość. Jakąkolwiek mroczną pomoc otrzymała grupa, nie ułatwi to sprawy. Nie wiemy, jakie plany mają te stworzenia osobno, ale z całą pewnością można założyć, że są wobec nas wrogo nastawione. Zresztą jak mogłoby być inaczej?

– Musimy je wszystkie załatwić. Natychmiast – ucieszył się brat Giuseppe i został zignorowany. Nastąpiła pełna refleksji cisza. Pierwszy odezwał się ksiądz:

– Szkoda, że nie może brat stąd wyłączyć specjalisty tych oficerów. W zasadzie jest to możliwe. Widziałem już coś takiego.

W jego głosie pobrzmiwała lekka krytyka, ale brat Michael natychmiast spojrzał na niego z poczuciem winy.

– Przykro mi, *padre* – zapewnił skruszony – ale człowiek potrzebuje całego życia, aby poznać nauki tajemne. To nie jest rzemiosło, którego można się nauczyć w trzy lata i w pełni opanować przez następne trzy, jako czeladnik. Może starszy, bardziej

doświadczony specjalista mógłby działać więcej.

– Albo ktoś z większym magicznym talentem – stwierdził ojciec Emanuele z odpychającym uśmiechem.

Brat nie bronił się przed tą krytyczną oceną, choć wiedział, że tylko niewielu ludzi dorównuje mu w magicznych zdolnościach. To właśnie ten talent był przyczyną, że Bractwo zwróciło na Michaela uwagę. Zawsze poszukiwało ludzi z magicznymi zdolnościami. Mnisi potrzebowali sztuk tajemnych, by wypełnić swe zadanie. Przeciw Si z ich wrodzonymi magicznymi mocami inne formy ataku nie mogły nic działać.

– Nie możemy tego zmienić. Jakie inne możliwości może nam brat zaproponować, abyśmy mogli śledzić wydarzenia z bliska, ale niezauważeni?

– Na krótko mogę sprawić, że będę niewidzialny. Mogę utkać czar, który sprawi, że nikt nie będzie świadomy naszej obecności. Wątpliwe jednak, czy taka magia zmyli feyona, i nie jestem też pewien, jakie są możliwości mojego kolegi po fachu. Zatem to ryzykowne rozwiązania. Poza tym – nagle wyglądał na zakłopotanego i boleśnie dotkniętego – sprawdzam linie mocy, badam ich obecność, utrzymuję zakęcie i osłaniam nasze pokoje tak dobrze, jak to możliwe. Obawiam się, że dla dalszych równoległych działań musiałbym z którejś z tych aktywności zrezygnować.

Ojciec Emanuele potrząsnął głową. Nie musiał nawet mówić, że był to kolejny nieprzyjemny dowód niedostatecznych umiejętności zakonnego brata. Sam nie wiedział, czy uważał, że to dobre, czy złe. Stary dylemat. Z jednej strony odpowiadało mu, że nawet dobry mistrz wiedzy tajemnej ma swoje granice, z drugiej jednak teraz akurat chciał mieć do dyspozycji więcej magicznego potencjału.

– Mimo to powinniśmy przyglądać się wydarzeniom z bliższej odległości. Jeśli opuścimy to pomieszczenie, nie trzeba będzie go chronić. To powinno być dla brata jakimś ułatwieniem. Niech brat sprawi, byśmy byli niewidzialni!

Brat Michael odwrócił się ku niemu.

– Nie mogę. Nie tak naprawdę, a już zupełnie nie jest to możliwe z bratem Giuseppe. Wie ojciec przecież, że Giuseppe ma pewną

odporność na magię. Hamuje ona również moje zdolności.

– Cóż, niech brat wobec tego robi to, co może. Ale niech brat to zrobi teraz, na Boga! Nie wiemy, ile mamy czasu, zanim całe podziemie zwali nam się na głowę tylko dlatego, że kilku sprowadzonych na złą drogę heretyków nie docenia niebezpieczeństwa. – Ksiądz przerwał na moment. – I wcale nie mam przy tym na myśli czających się istot ciemności, o których planach nie mamy żadnego pojęcia.

– Musimy ich wszystkich załatwić – powiedział brat Giuseppe. Na jego twarzy pojawił się zawzięty uśmiech. – Znajdę tę dziewczynę i...

– Zostaniesz i zrobisz to, co ci każę – prychnął na niego ksiądz.

Brat Michael uniósł się i stanął naprzeciw kapłana.

– Ojciec – rzekł – nosi ksiądz ochronny amulet. Proszę go zdjąć albo czar nie zadziała.

Ksiądz dość niechętnie zdjął amulet z zimnego żelaza. Nosił go już tak wiele lat, że bez swojego wisiora czuł się nagi i odsłonięty na ataki.

Niechętnie opuścił go na komodę.

Brat Michael nakreślił w powietrzu znak. Potem jego oczy rozszerzyły się, zaczął sapać i dotykać swej szyi. Przewrócił oczami i upadł jak powalone drzewo. Z hukiem uderzył o podłogę.

Zanim jeszcze jej dotknął, ojciec Emanuele zdążył już sięgnąć z powrotem po amulet i przewieszał go sobie przez głowę.

Oczekiwany atak jednak nie nadszedł.

Rozejrzał się. Brat Giuseppe był już w połowie drogi do drzwi, by złapać grzesznika, który to zrobił.

Brat Michael leżał bez ruchu na podłodze. Ojciec zastanawiał się przez chwilę, czy nie byłoby lepiej popędzić za Giuseppe, by zapobiec czemuś jeszcze gorszemu, zdecydował jednak pozostać i zbadać mistrza sztuk tajemnych.

Jego puls był powolny, lecz równomierny, oddech płytki, ale miarowy. Nie można go było jednak obudzić. Brat Michael leżał jak marmurowa rzeźba. Wyglądał jak człowiek, który doznał porażenia.

To źle. Znaczyło to, że ktoś rzeczywiście czyhał właśnie na to, że mnisi zdejmą czar, który ochraniał ich pokoje. Podśluchiwanie nie było jedynym atakiem na ich prywatność. Dokładnie w momencie, w którym brat Michael zmienił cel swej mocy, przeprowadzono atak.

To, czy mag się obudzi, mógł z niejaką dozą pewności stwierdzić tylko inny specjalista sztuk tajemnych, a jedyny, który znajdował się w pobliżu, nie był sojusznikiem.

Może nie docenili tego człowieka. To znaczy Michael go nie docenił. Był zbyt pewny siebie, zbyt arogancki, zbyt wyniosły i dumny z siebie jako mistrza sztuk tajemnych, by przyznać, że inni specjaliści też mogą kryć asa w rękawie.

O ile mnich obudzi się z tego snu, będzie musiał to odpokutować. Trochę więcej cieszącej Boga skromności dobrze mu zrobi.

Ale te myśli były teraz bezużyteczne. Ojciec Emanuele miał inne priorytety. Telegram do Rzymu i posłaniec do bawarskiej kryjówki były teraz pilniejsze. Przynajmniej to ostatnie musi nastąpić natychmiast. *Domus refugii* Bractwa znajdował się na północnym wschodzie Monachium, poza granicami dawnych murów miasta. Pobliski żeński klasztor służył jako kamuflaż tego domu. Rejon ten nazywano St. Anna. Było raczej nieprawdopodobne, by bracia w tej chwili mieli u siebie mistrza sztuk magicznych. Będą jednak z pewnością wiedzieli, jak szybko znaleźć takiego, który będzie współpracował. Tutejsze przedstawicielstwa Bractwa były zawsze świetnie poinformowane o wszystkim, co działo się w otoczeniu i dotyczyło tego, czym się zajmowało Bractwo Światła.

Delacroix zapłaci za to. Ojciec Emanuele nie wątpił, że zawdzięcza tę sytuację byłemu podopiecznemu. Karcił się w myślach za to, że nie docenił tego człowieka. A Delacroix był przecież jego uczniem. Ojciec Emanuele powinien się więc liczyć z tym, że ten odszczepieniec podejmie jakieś środki zaradcze.

Opuścił pokój i zamknął za sobą drzwi. Musi zejść do wyjścia, by przesłać wiadomości. Potem spróbuje znaleźć Giuseppe. Miał nadzieję, że ten młody człowiek nie ruszył natychmiast do natarcia i nie zacznie torturować dziewczyny, aby wymusić z niej przyznanie się do winy. Oczywiście ksiądz nie mógł być pewien, ale nie wierzył, że to młoda dama stała za tym atakiem.

Musiał się spieszyć, biegł więc szybciej. W ogóle nie zauważył mężczyzny, który wyszedł z sąsiedniego pokoju. Ten pozdrowił go grzecznym ukłonem i również udał się do schodów. Tyle tylko, że ruszył



nimi na górę, a nie tak jak ojciec Emanuele na dół.

Och, Delacroix zapłaci za to. Ojciec Emanuele jeszcze nie wiedział jak, ale znajdzie jakiś sposób. Dobra okazja, by skorzystać z Giuseppe. W końcu istniały rzeczy, w których ten młody mnich był znacznie bardziej kompetentny niż *padre*.

Ojciec Emanuele będzie się rozkoszował upadkiem byłego ucznia. Ta krzepiąca myśl przeszła mu przez głowę. Jak do tej pory nie było wskazane, by bezpośrednio zaatakować tego odszczepieńca, zdrajcę i dezertera. W tej sytuacji stało się to wręcz słodkim obowiązkiem. Mnisi byli szkoleni tak, by wypełniać swój obowiązek, i w zależności od uzdolnień i talentu cieszyli się z powinności, które wypełniali.

Delacroix natomiast nie będzie się cieszył zupełnie niczym.

## Rozdział 47

Mogę panią wnieść, jeśli mi pani pozwoli – zaproponował von Orven.

Potrząsnęła głową. Wolą iść sama. Nie chciała, by ograniczał jej swobodę ruchów albo odebrał kontrolę. Kontrola była tym, czego teraz Corrisande potrzebowała najbardziej. Rzeczy działały się wokół niej, popychały od jednej katastrofy do następnej i dziewczyna mogła tylko reagować i czekać na kolejną katastrofę. Corrisande nie chciała takiego życia. Była przyzwyczajona do planowania i decydowania, przywykła do panowania nad tym, co się dzieje.

Tego dnia jednak nie panowała nad niczym. Było po prostu strasznie.

– Myślę, że mogę iść sama – odparła. – Jeśli zechciałby pan jedynie podać mi ramię, panie podporuczniku, będzie to dostateczną pomocą.

Zobaczyła, że śpiewaczka i feyon opuścili już pomieszczenie, i dziwiła się, że nikomu nie zdawało się ich brakować.

Ruszyli tylnymi schodami. Corrisande czuła się dziwnie rozdarta. Z jednej strony za niczym tak nie tęskniła jak za tym, żeby być sama. Z drugiej była zadowolona, że ma kogoś przy sobie, kto się troszczy, by nie spadła. Oficer wspinał się po schodach tuż za Corrisande, pilnując, by nie spadła. Schody wydawały się nieskończenie długie i strome, ale miała wrażenie, że dochodzi do siebie po ataku szybciej niż poprzednio. Zastanawiała się dlaczego. Czy można się przyzwyczaić do takich potworności? A może się zmieniała? Czy wiedza, że nie była człowiekiem, coś w Corrisande uwolniła? A może ten obrzydliwy stwór, który ją dwa razy obezwładnił, zrobił jej coś, co ją zmieniło?

Żadna z tych możliwości nie była szczególnie uspokajająca. Dziewczyna nie chciała o tym rozmyślać, ale wciąż wracała w pamięci do potworności, którą przeżyła. Próbowwała sobie wmówić, że jest już bezpieczna, jednak choć niebezpieczeństwo zdawało się na razie odsunięte, w polu widzenia pojawiły się zwiastuny dalszych

nieprzyjemności. Nie potrafiła się uspokoić. Wiele rzeczy chodziło jej po głowie, gromadząc się w falę drążących, biczujących myśli. Było wśród nich to fizyczne uczucie rozkoszy, jakie płynęło od strasznej istoty. Jeśli chodziło o sprawy intymne, Corrisande wychowano na grzeczną, przyzwoitą dziewczynę, a jej osobisty horyzont doświadczeń w sprawach cielesnych nie wykraczał poza jeden pocałunek Hugona, którym przypieczętowali swoje potajemne zaręczyny. Ten pocałunek sprawił jej przyjemność. Natomiast dzisiejsze spotkanie mieściło się w zupełnie innej skali. Corrisande zastanawiała się, czy kontakt cielesny zawsze jest taki odpychający i wstrętny.

Nie mogła przecież o to zapytać. Chociaż może zapyta Elizę, gdy ta się obudzi. Pod warunkiem, że dama wciąż jeszcze będzie z dziewczyną rozmawiać. Całkiem możliwe, że przynajmniej przez jakiś czas Mrs Parslow nie będzie tego robić. Elizie nie spodoba się, że ją uśpiono i zlekceważono. Będzie z tego powodu stosownie rozgniewana.

To znaczy Eliza będzie rozgniewana, jeśli Corrisande miała szczęście. Rozgniewana, ale żywa. Dziewczyna mogła mieć tylko nadzieję, że jej towarzyszka dobrze się czuje. Myśl, że może wrócić do pokoju i zastać przyzwoitkę martwą – i to przez Corrisande – wpędziła dziewczynę w panikę. Nigdy nie powinna była używać tej trucizny. Zastanawiała się, dlaczego Eliza w ogóle wszędzie zabierała ze sobą ten specyfik. Przecież miała zdrowy sen i nigdy nie brała żadnych środków.

– Źle się pani czuje? – zapytał von Orven. Jej wystraszona mina zaniepokoiła oficera.

Corrisande potrząsnęła głową.

– Dziękuję, panie podporuczniku. Za bardzo się pan o mnie troszczy. Jestem tylko zmęczona. Spokojnie przespana noc jest wszystkim, czego potrzebuję – powiedziała, licząc na to, że go przekona, by nie wchodził za bardzo w rolę jej opiekuna.

Jej sprzeciw okazał się jednak bezużyteczny.

– W żadnym razie się „za bardzo o panią nie troszczę”. To inni troszczą się o panią za mało. Nie powinna się pani zgadzać na coś tak straszego jak dzisiejsze wydarzenie. Żałuję, że nie wywiozłem pani natychmiast z hotelu, gdy tylko po raz pierwszy pojawił się pomysł, by wzięła pani udział w polowaniu. Mam wielką nadzieję, że może mi pani

wybaczyć to uchybienie obowiązków.

Jego głos wyrażał żal, szczerłość i naprawdę głęboką skruchę. Von Orven był typem mężczyzny, który zawsze utrzymuje troski z dala od kobiety. Mężczyzny, przy którym można się było poczuć wygodnie i bezpiecznie. Przyjazny i opiekuńczy, łatwo dawał się lubić. Przez chwilę zastanawiała się, jakie to musi być piękne mieć takiego opiekuna. Gdyby miała czas, by skoncentrować się na tym, po co przyjechała do Monachium, i wykorzystać wszystko, co oferowały talenty i możliwości, mogłaby go nawet zachęcić, by poprosił o jej rękę. Łatwe zadanie, gdyby Corrisande, Eliza i Marie-Jeannette skupiły siły na tym celu.

A potem znów poczuła niepewność. Ten oficer widział dziewczynę w obrzydliwej sytuacji. Widział, jak ten stwór zbrukał ciało Corrisande w każdym tego słowa znaczeniu, i to, że wzięła udział w polowaniu i narażała życie, nie miało znaczenia. Von Orven nie mógł wiedzieć, jak daleko sięgał ten atak, a Corrisande nie mogła mu powiedzieć. Atak na pewno zmienił jego nastawienie. Mężczyźni nie lubili skalanego towaru, a ona czuła się zbrukana. Czuła też palący ból po rozżarzonej igle, którą jedynie poczuła, a której nigdy nie widziała. Ale ten ból był niczym w porównaniu ze wstydem, jaki odczuwała, gdy wspomniała, jak stwór głąskał mackami jej piersi.

Wspomnienie sprawiło, że się zachwiała, a ramiona oficera natychmiast ją podtrzymały. To miłe, pomyślała, mężczyzna, który jest zawsze na miejscu, gdy kobieta się potyka, i łapie ją, gdy upada.

– Czy jest pani pewna, że da pani radę sama pokonać te schody, Miss Jarrencourt? – zapytał.

– Z pewnością. Jestem wdzięczna za pańską pomoc, ale nie powinien mnie pan tak rozpieszczać. Jestem silniejsza, niż się panu wydaje.

Jeszcze nigdy nie powiedziała czegoś takiego mężczyźnie i nie wiedziała, dlaczego zrobiła to akurat teraz. To był napad przesadnej szczerłości, jaki się Corrisande nigdy jeszcze nie zdarzył.

Asko uśmiechnął się nieśmiało.

– Ależ bardzo chętnie będę panią rozpieszczał – powiedział, czerwieniąc się przy tym. To z pewnością nie była właściwa chwila na flirt. Przez chwilę milczał, a potem ciągnął dalej: – Wiem, jakie to dla

pani straszne. Musiała pani znosić potworne rzeczy. W żadnym wypadku nie chciałbym się dodatkowo przyczynić do pani dolegliwości, mam jednak wielką nadzieję, że pozwoli mi pani, bym w stosownym momencie cieszył się pani towarzystwem. Monachium to cudowne miasto i będę zaszczycony, jeśli mógłbym panią i Mrs Parslow troszeczkę po nim oprowadzić, kiedy już zakończy się ta historia.

Skinęła i uśmiechnęła się uprzejmie. Jeszcze kilka minut temu von Orven palił się do pojedynku o nią, a teraz chciał Corrisande pokazywać miasto? Mężczyźni byli jednak dziwnymi istotami.

– Chętnie przyjmujemy pańskie zaproszenie, gdy tylko trochę dojdziemy do siebie. To znaczy kiedy ja dojdę do siebie. Ale jedną rzecz musi mi pan obiecać!

– Co tylko sobie pani życzy.

– Proszę nie walczyć z pułkownikiem – poprosiła i widziała, jak jego twarz się zmienia. Stała się twarda i nieprzystępna, pełna urażonej godności. Nie wypadało, by kobieta wtrącała się do takich kwestii. To była sprawa między mężczyznami; urażeni panowie stworzenia załatwiali to między sobą. Dziwne, pomyślała Corrisande, przynajmniej połowa pojedynków toczyła się o kobiety, ale nie przyznawano im nawet prawa, by mogły wyrazić swą opinię. Mężczyźni!

– Proszę nie obciążać się myśleniem o tym, Miss Jarrencourt. To nie jest coś, o co dama powinna się troszczyć. Bardzo mi przykro, jeśli dałem pani powód do zmartwień.

Nie obiecał niczego, jak zauważyła Corrisande. Ale wiedziała, że musi go powstrzymać przed realizacją zamiarów, nawet jeśli to nie przystoi damie.

Dotarli na trzecie piętro i zatrzymali się przed drzwiami prowadzącymi do pokoi dla gości.

Odwróciła się.

– Poruczniku von Orven. Oczywiście ma pan rację, uważając, że nic nie wiem o takich rzeczach – powiedziała i pomyślała, jak by zareagował, gdyby wiedział, że zna z imienia jednego z największych przestępców Europy. – Jednak jest pan niesprawiedliwy wobec pułkownika. Proszę mnie nie zmuszać, bym wyraziła to jaśniej, ale człowieka może spotkać los gorszy od śmierci i w żadnym wypadku nie

chciałam czegoś takiego znieść. – Tym razem nie musiała się wysilać, aby się zarumienić. – Nie wiem, jak mam to panu powiedzieć, panie podporuczniku, ale pułkownik Delacroix próbował mnie chronić w jedyny możliwy sposób, jaki mu jeszcze pozostał.

Przez chwilę oboje milczeli.

– Wielki Boże – wydusił w końcu von Orven. Pobladł. Jego ręka drgnęła, jakby chciał ją wyciągnąć do Corrisande, powstrzymał jednak ten odruch.

Corrisande była pewna, że ją zrozumiał. Mimo to chciała mu wyjaśnić jeszcze dokładniej:

– Gdyby to pan był przy mnie w tamtej chwili, oczekiwałabym takiej samej przysługi.

Porucznik wpatrywał się w nią, Corrisande zaś widziała, że jej uwierzył. Widziała też, że cieszył się, iż to nie on był w sytuacji, w której musiałby taką przysługę wyświadczyć; wiedziała również, że nie byłby do tego zdolny. We wspomnieniach znów zobaczyła wyraz twarzy Delacroix, gdy skierował nóż w jej stronę. Przełknęła ślinę.

– Jest pani niezwykłą kobietą, Miss Jarrencourt – powiedział w końcu von Orven. – Pani przyzwoitość i odwaga zawstydzilyby większość mężczyzn.

– Jeśli to panu nie przeszkadza, wołałabym już więcej o tym nie mówić. Przeżyłam. Nic mi się nie stało. Proszę mi teraz przysiąc, że nie będzie pan z tego powodu walczył z pułkownikiem.

Sięgnął po jej dłoń, na chwilę przycisnął do niej usta w geście, który jak na mężczyznę o jego powściągliwości był niemal śmiały i zuchwały.

– Przysięgam – powiedział – i chylę czoła przed pani odwagą. Przysięgam, że już nigdy się nie zdarzy, bym pani nie docenił.

– Dziękuję – szepnęła Corrisande.

Ruszyli dalej. Czuła, że chętnie wypytałby ją o szczegóły, ale ze względu na poczucie przyzwoitości wolał tego nie robić. Sama nic mu nie powie. Niech podporucznik myśli, co chce. Najważniejsze, żeby nie pojedynkował się z Delacroix.

Uświadomiła sobie, że troszczy się bardziej o życie pułkownika niż podporucznika, na dodatek miała pewność, że szanse tego ostatniego

w walce nie byłyby zbyt duże.

Zastanawiała się, dlaczego nie obdarza współczuciem obu mężczyzn po równo, i doszła do wniosku, że jest niesprawiedliwa wobec młodego oficera, który nie okazywał Corrisande niczego prócz życzliwości i sympatii.

Dotarli do jej pokoju. Weszła, a on za nią, choć nie został zaproszony. To było zuchwałe. Podporucznik musiał się bardzo zaangażować uczuciowo, skoro tak mocno odstąpił od reguł, jakie nakazywała mu przyzwoitość.

Mały salon nie był pusty. Marie-Jeannette siedziała na sofie. Trzymała poduszkę i szlochając, wylewała w nią łzy.

– Wielkie nieba, co się... – zaczęła Corrisande, ale zaraz ogarnęło ją straszne przeczucie. To mogło oznaczać tylko jedno. Zabiła Elizę.

Obróciła się na pięcie i pobiegła do sypialni towarzyszki, niemal frunąc do jej łóżka. Mrs Parslow wciąż leżała w tej samej pozycji, w jakiej ją zostawiła. Nie poruszyła się ani o milimetr. Była blada i sztywna.

Corrisande rzuciła się na kolana przy jej łóżku. Z drugiego pokoju wciąż słyszała łkanie Marie-Jeannette. Ujęła nadgarstek Elizy i gorączkowo starała się wyczuć puls. Nie poczuła niczego. Drżącymi palcami niezgrabnie nacisnęła ciężką jak z ołowiu, bezwładną rękę, jęknęła ze strachu. Eliza wyglądała jak martwa.

Zabiła ją. Corrisande rozejrzała się. Von Orven nie poszedł za nią. Nie zrobi tego tak długo, dopóki go nie zawoła. Powinna to zrobić?

Co powie, kiedy będą ją przesłuchiwać? I gdzie zostawiła truciznę? Nie mogła sobie przypomnieć. Nie zwróciła na to uwagi, była zbyt rozkojarzona przed spotkaniem. Musi znaleźć fiolkę i sprawić, by zniknęła. Dziewczyna zastanawiała się, ile czasu pozostało, zanim policja zacznie pościg. Koniecznie trzeba stąd zniknąć. Ojciec z pewnością będzie mógł umieścić córkę w którejś z kolonii. To tam zazwyczaj ukrywają się mordercy, jeśli mają na to dość środków. A tym teraz była Corrisande – morderczynią.

I wtedy Eliza zaczęła cicho chrapać. Corrisande niemal upadła z wrażenia. Kurczowo chwyciła się ramy łóżka i podźwignęła z wysiłkiem. Jej kolana drżały. To było za wiele. Czuła się tak, jakby ktoś

systematycznie popychał ją do granic wytrzymałości. Nie minęły jeszcze dwadzieścia cztery godziny od chwili, kiedy stała na balkonie i po raz pierwszy widziała von Görenczy'ego. Wówczas jeszcze jedynym celem Corrisande było znalezienie bogatego małżonka. Wszystko zmieniło się w tak krótkim czasie. W głowie jej huczało i czuła się słabo od hałaśliwych i rozpedzonych, pomieszanych myśli. Zastanawiała się, jak to może być, że dalej mówiła i myślała, czasami nawet formułując coś sensownego, skoro miała wszelkie prawo, by całkowicie stracić rozum. Chciała krzyczeć. Może powinna to zrobić? Może wtedy poczułaby się lepiej? Może powinna po prostu ukryć twarz w bawarsko niebieskim mundurze von Orvena, wtulić się w jego ramię, wypłakując na epeolety, schować w jego objęciach i pozwolić, by ją uratował. Perspektywa zrzucenia na jego barki wszystkich ciężarów i lęków i uwolnienia się od tej strasznej sytuacji miała w sobie coś kuszącego. Asko weźmie Corrisande w ramiona, zanieśie gdzieś daleko i będzie się troszczył o to, by nic nie mogło jej się przytrafić.

Jeśli jednak hotel wciąż obłożony był zaklęciem, nie przejdzie z nią nawet przez drzwi.

Marie-Jeannette wciąż płakała. Corrisande opanowała się, co wymagało niemal fizycznego wysiłku, i próbowała zdobyć się na to, by w jej myślach pojawiła się przynajmniej odrobina rozsądku i ładu. Strzepnęła kurz z sukni. Przykryła Elizę drugim kocem. Otworzyła trochę okno, by wpuścić świeże powietrze. Następnie wróciła do salonu z wymuszonym uśmiechem na ustach.

Von Orven spojrział na nią z troską w oczach.

– Czy coś się stało?

– Nie, wszystko w porządku. – Ale nic nie było w porządku. Ani trochę. Uśmiech kosztował Corrisande dużo wysiłku. – Musiałam tylko sprawdzić, co z moją cicią. Nie czuła się dobrze po jedzeniu. Ale wygląda na to, że wszystko dobrze. – Znów dobrze. Uspiona, prawie otruta, ale w porządku... I pewnie zaraz Corrisande zacznie histerycznie krzyczeć.

Zamiast tego odwróciła się do pokojówki.

– Co się stało? – zapytała, zdejmując jej poduszkę z głowy. Jedną stronę twarzy służącej szpecił wielki niebieski siniak. – Co się stało? –



zapytała jeszcze raz Corrisande.

Marie-Jeannette dalej płakała.

– Czy ktoś cię skrzywdził? – Młoda dama usiadła obok pokojówki.  
– Musisz mi to powiedzieć!

Asko stał przy nich i przyglądał się twarzy dziewczyny.

– Ktoś ją uderzył – powiedział. – Niemal można zobaczyć odcisk pięści.

– Kto to był? – zapytała Corrisande, jednak Marie-Jeannette zwiesiła jedynie głowę i nieszczęśliwa pociągała nosem.

– Czy ktoś panią zaatakował? – zapytał Asko.

Marie-Jeannette spojrzała na niego.

– Już nic nie wiem – płakała. – Po prostu nic już nie wiem. Byłam w drodze na dół, do recepcji, by zamówić herbatę, i wtedy... – Znów zaczęła szlochać. – Nic więcej nie wiem. Coś było. Ale w ogóle nie pamiętam niczego, jakby uciekł mi czas. Nie pamiętam w ogóle niczego z trzech kwadransów. Byłam w drodze do recepcji, a potem bolało mnie już tylko.

– To nie brzmi dobrze – rozzłościł się Asko. – Delacroix będzie pewnie wiedział coś Więcej. Zapytamy go, i może też naszego maga. I tak są teraz razem. Jego pokój jest na końcu korytarza. Pan Vonderbrück.

– Vonderbrück – powtórzyła Corrisande. To nazwisko zaniepokoiło ją już wtedy, gdy słyszała je po raz pierwszy. Często spotykane miano w tym kraju. „Von der coś tam” z reguły oznaczało szlacheckie nazwisko. Ale dlaczego „Brücke”?

Tak jak Dupont.

I nagle zrozumiała, że pozostali poszli do najniebezpieczniejszego przestępcy w Monachium, do człowieka, który dostał zlecenie, by zamordować Delacroix. A był on nie tylko mordercą, ale też mistrzem sztuk tajemnych.

Skoczyła na równe nogi, blada jak ściana.

– On jest w wielkim niebezpieczeństwie! – wyszeptała.

– Kto? – zapytał zdenerwowany Asko.

– Delacroix. Muszę go ostrzec. – Wiedziała, jak szaleńczo musiało to zabrzmieć i że jej młody bohater potrzebował jakiegoś lepszego

wyjaśnienia dziwnego zachowania. – Mam powód, by przypuszczać, że ten pański Vonderbrück jest o wiele niebezpieczniejszy, niż panowie zakładają – powiedziała niecierpliwie. – Musimy ostrzec pańskich przyjaciół.

Określiła się w miejscu i wybiegła, słysząc za sobą zdumiony okrzyk Asko. Zaraz też zabrzmiały jego kroki, gdy przebiegał za Corrisande korytarzem.

– Pani musi się mylić! – krzyczał. – Przysłało go nam najwyższe dowództwo. Miss Jarrencourt! Niech pani poczeka! To jest nierozsądne!

Dogonił ją. Razem pobiegli do drzwi. Asko zdążył jeszcze objąć ją w tali i odciągnąć, zanim otworzyła. Jednym ruchem sprawił, że stała za nim.

– Zapewniam panią, Miss Jarrencourt, że pani obawy są bezpodstawne. Ale skoro wierzy pani, że to może być niebezpieczne, to przynajmniej proszę pozostać za mną.

Otworzył drzwi i wbiegł do pokoju, a Corrisande podążyła tuż za nim.

## Rozdział 48

Podporucznik Udolf von Görenczy z początku w ogóle nie przyznał, że się bał. To było nie do pomyślenia, żeby obawiać się metalowej skrzynki. Strach zresztą nie był czymś, czego władzę uznawał. Zdarzało mu się już bywać w kiepskich sytuacjach. Fechtował się w pojedynkach, które swobodnie mógł przegrać, i mierzył się z niebezpieczeństwami, które daleko wykraczały poza codzienność.

To jednak było dla niego nowe. Czuł, że to ponad jego siły. Czym innym było sięgać po broń i zwalczać potwora, czym innym jednak siedzieć z tym potworem w zamkniętym pomieszczeniu, kiedy od piekielnej istoty dzieliła Udolfa jedynie cienka ściana.

Nie wiedział, co się działo, i to złościło go jeszcze bardziej. Opuścili piwnicę wkrótce po tym, jak wyszli z niej Asko i Miss Jarrencourt. Pułkownik był wyjątkowo milczący i zdawał się zmagać z własnymi myślami. Udolf nie mógł odgadnąć powodów takiego zachowania. Nie wierzył, że mogło chodzić o wyzwanie na pojedynek. Anglik nie potraktował tego poważnie.

Udolf za nic nie potrafił sobie wyobrazić, co tak rozzłościło Delacroix. Wszyscy przeżyli. Złapali to stworzenie. Nareszcie ich działania zakończyły się sukcesem i, na ile był w stanie to stwierdzić, nawet dziewczynie nic się nie stało. Ta mała robiła jednak wrażenie bladej i roztrzęsionej. Ale to zrozumiałe. Zamiana w kamień musiała ją wstrząsnąć. Jak się zastanowić, zapewne musiało to być paskudne. Ciekawe, czy bolało. Dziewczyna nie płakała. Najwyraźniej nie była beksą.

Udolf powinien znów zaoferować jej trochę koniaku. Może by jej to pomogło. Ostatnim razem rzeczywiście zadziałało i Asko był z tego powodu niemal oburzony. Jak tak się nad tym zastanowić, Asko w ogóle zbyt szybko się oburza. Zdecydowanie za szybko. A potem przesadnie reagował. Pojedynek z Delacroix – co za absurdalny pomysł.

Chociaż tym razem Udolf niemal potrafił zrozumieć reakcję swego przyjaciela. On również widział, jak Brytyjczyk celuje sztyletem w serce

dziewczyny. Szwoleżer zastanawiał się nawet, czy nie powinien interweniować. Nie był jednak dostatecznie szybki i w końcu okazało się, że to niekonieczne. Z jakiegoś powodu, którego w tym momencie Udolf nijak nie potrafił sobie przypomnieć.

W przeciwieństwie do swego znacznie wrażliwszego przyjaciela szwoleżer świetnie rozumiał, co pułkownik próbował zrobić i dlaczego. Widział wyraz twarzy Brytyjczyka. Nie trzeba być jakąś wydelikacaną przyzwoitką, by zrozumieć takie spojrzenie. Cholernie paskudna sytuacja. Nie do pozazdroszczenia.

W drodze na górę Delacroix zatrzymał się. Nasłuchiwał, czy nie ma kogoś w pobliżu, ale nic nie było słychać.

– Myślę – wyszeptał – że postąpimy jednak inaczej. Proszę, by udał się pan najpierw do swego pokoju i pozostał tam z tą skrzynką. Ma pan wciąż moją broń. Jest naładowana? Proszę trzymać ją pod ręką gotową do strzału. Niech pan zamknie drzwi na klucz i zastrzeli absolutnie każdego, kto spróbuje pana odwiedzić, poza von Orvenem i mną. Niech pan się nie zastanawia. Najpierw strzelać, potem pytać. Przyjdę po pana, gdy porozmawiam już z naszym magiem. Proszę mnie nie pytać o powody, ale nie ufam temu człowiekowi. Wolałbym, żebyśmy nie przekazywali mu od razu naszej zdobyczy.

Von Görenczy zaakceptował to bez sprzeciwu. Poznał już instykt Delacroix i wiedział, że człowiek ten, podejmując decyzję, nigdy nie kieruje się paniką czy zdenerwowaniem. Jednak te argumenty do szwoleżera nie przemawiały. Ale w końcu był żołnierzem. Nie musi rozumieć całokształtu sytuacji. Robił to, co było do zrobienia, i szedł tam, gdzie był potrzebny.

W tej chwili widocznie był potrzebny w swoim pokoju, za zamkniętymi drzwiami, z naładowaną bronią, gotów wycelować ją w ewentualnego intruza. Zanim się rozstali, Delacroix powiedział mu coś jeszcze:

– Cokolwiek się wydarzy, niech pan strzela. Niech się pan nie zastanawia, nawet jeśli przybysz będzie wyglądał niegroźnie, jak jakiś miły, mały ksiądz albo jak pański spowiednik. Zakładam, że jest pan katolikiem?

Oczywiście, że Udolf nim był. Jak każdy Bawarczyk.

Przynajmniej zazwyczaj. Protestantów tolerowano w Bawarii od czterdziestu lat i mieli nawet prawa obywatelskie. Tolerancja religijna była spadkiem po Napoleonie. Niemniej konkordat, który regulował te sprawy, to tylko kawałek papieru. Bawaria była katolicka, a mniejszość protestancka mogła mieć na papierze te same prawa, rzadko jednak cieszyła się tym samym szacunkiem.

Dlaczego Delacroix zapytał, czy Udolf jest katolikiem? Von Görenczy'emu nie przychodziło do głowy żaden powód. Miał gorącą nadzieję, że nie będzie musiał zastrzelić swojego spowiednika. Udolf zrobiłby to naprawdę niechętnie. Jego matka nigdy by mu tego nie wybaczyła.

Jednak, jak mu nakazał Delacroix, nie zamierzał nawet przez chwilę się wahać. Ten człowiek wiedział coś, o czym nie powiedział ani von Görenczy'emu, ani Asko, to pewne. Rozkaz był zbyt absurdalny, by wynikał z jakiegoś przypadkowego przeczucia.

Przy następnej okazji szwoleżer zapytał pułkownika o to wprost i lepiej, żeby ten następny raz był jak najszybciej. Czekanie doprowadzało von Görenczy'ego do szału. Ale trwało rzeczywiście długo. Za długo. O czym tak bez końca mogli rozmawiać oficer i mag?

Sprawa śmierdziała. Von Görenczy nie miał pojęcia, co o tym myśleć. Najpierw ofiara morderstwa, zraniona w głowę, która miała przekazać Delacroix cholerny rękopis, potem Delacroix, który nie przybył na czas, ponieważ jego pociąg się spóźnił, a wiadomość o tym, gdzie mieli się spotkać, nigdy do niego nie dotarła. Może jedno i drugie. Może gdyby przybył punktualnie, mógłby zapobiec morderstwu? Albo utracie dokumentu?

Poza tym jeszcze ten brytyjski mistrz sztuk tajemnych, którego na początku kryzysu nigdzie nie można było znaleźć i nikt nie wiedział, gdzie jest. Delacroix powinien był go wziąć ze sobą, ale nie zaczekał. Sprawa była zbyt nagła i pilna, powiedział, i wyruszył sam.

Von Görenczy nie był już pewien, kto właściwie jest po czyjej stronie, i miał nadzieję, że zadanie wkrótce dobiegnie końca. Był szwoleżerem, a nie politykiem – a już na pewno nie magiem. Mógł pędzić na koniu w bitwie i walczyć lepiej niż większość ludzi. Ale nie wiedział, co począć z tajemniczymi napomknieniami, a już w ogóle nie

miał pojęcia, co myśleć o strzelaniu do spowiedników, w tym do własnego. Nie wiedział też, dlaczego miałyby nie ufać specjaliście, którego rząd przysłał jako wsparcie. Jego Wysokość król albo przynajmniej premier. Jeśli już von Görenczy miałyby komuś nie ufać, to wolałyby nie ufać obcokrajowcom.

Poza tym naprawdę nienawidził wysiadywania w pokoju z szatanem zamkniętym w skrzynce.

Nasłuchiwał. Czasami miał wrażenie, jakby słyszał jakieś łagodne szepty z metalowej skrzynki, gdy jednak wsłuchiwał się dokładniej, nie docierał do niego żaden dźwięk. Miał nadzieję, że zamek wytrzyma. Po tym jak to stworzenie pokazało, do czego jest zdolne, von Görenczy jakoś nie wierzył, by wydostanie się z więzienia miało cieniowi sprawić szczególnie wielkie problemy. O ile w ogóle jeszcze był w środku. Przecież szwoleżer nie mógł nawet sprawdzić. Poczuł nagłą potrzebę, by otworzyć zamek i przekonać się na własne oczy.

Głupi pomysł. A nawet wyjątkowo głupi. A jednak jego ręce drgnęły, uniosły się do skrzynki i podporucznik musiał skoncentrować się z całych sił, by jej nie otworzyć. Gryzło go niemal pożądlive pragnienie wiedzy. Tylko jedno spojrzenie? Otworzyć skrzynkę tylko odrobinę, by sprawdzić, czy to coś jeszcze tam jest? W końcu lepiej wiedzieć, jeżeli cień zniknął. Może von Görenczy pilnuje jedynie pustej skrzynki? Może demon znów szalał w hotelu, atakował ludzi, napadał na kobiety, podczas gdy on siedzi tu, zamknięty w pokoju z pustą skrzynką?

Powinien do niej zajrzeć. Tylko na chwilę.

Nagle von Görenczy stwierdził, że stoi już przed szkatułą. Jego ręce manewrowały przy zamku.

Cholera! Co on takiego robił? Prawie wypuścił potwora.

Odsunął ręce od skrzynki i zauważył, że drżały przy tym z wysiłku. Gdzie zostawił pistolet? Na kredensie. Nie zauważył, że go tam odłożył. Nie nadawał się na wartownika. Rozzłoszczony przyjrzał się szkatule i zdecydowanie zrobił dwa kroki wstecz. Przez chwilę wydawało mu się, że znów słyszy syk i szepty. Ale nic nie zakłócało ciszy.

Wziął do ręki broń i sprawdził, czy drzwi wciąż były zamknięte na

klucz. Następnie podszedł do okna i wyrzwał w noc. Niebo okryły chmury i panowały ciemności. Na ulicy paliło się kilka gazowych latarni, oświetlały jednak tylko małe kręgi. Cienie wydawały się wspinać po ścianach hotelu. Trudno było dostrzec, czy rzeczywiście ktoś się wspinał, czy też były to tylko mary, które mieszały mu w głowie.

Von Görenczy nie wiedział, co o tym myśleć, postanowił jednak przygotować się na atak z każdego możliwego kierunku. Cofnął się pod ścianę, starając się mieć na oku wszystkie wejścia. Ciężkie zadanie. Nie umiał przeniknąć wzrokiem przez drzwi, by sprawdzić, co się dzieje na korytarzu, zaś jeśli chodzi o okno i balkon, to dla ewentualnego napastnika Udolf był stamtąd świetnym, dobrze oświetlonym celem, podczas gdy wróg mógł się kryć w ciemnościach.

Szwolęz przykręcił gazową lampę. Pełen cieni mrok nagle wydał mu się złowrogi. Spojrzenie Udolfa znów spoczęło na skrzynce i poczuł, że jego palce zadrżały. Znow wróciło to uporczywe uczucie z tyłu głowy, które podpowiadało mu, że powinien podejść do szkatuły i ją otworzyć. To było jak fizyczna potrzeba i musiał użyć całej swej stanowczości, aby jej nie ulec.

Gdzie, do diabła, był Delacroix i gdzie podziewał się ten arcyprzebiegły mistrz sztuk tajemnych? Nie dla kawalerzysty pilnowanie potwora, von Görenczy'ego doprowadzało to do szaleństwa. Stwór musiał być silny, by tak na niego wpływać! W końcu szkatuła została umiejętnie skonstruowana, żelazo w środku, zimne żelazo na zewnątrz. Feyon mógł w niej przeżyć, ale nie mógł się z niej wymknąć.

Chyba żeby ją otworzyć. Ale von Görenczy tego nie robi. Sprawdzi tylko zamek. Tylko zamek. Trochę nim potrząśnie, by sprawdzić, czy wciąż trzyma. Nie otworzy go. Na pewno nie.

Zauważył, że znów odłożył broń i z powrotem stał przed metalową skrzynką. Jego ręce wyciągały się w jej stronę.

Odskokzył, jakby użądlił go szerszeń, i znów wziął broń do ręki.

Teraz stwór prawie go już miał. Co jest, na Boga? To męczące. Co im tak długo zabiera czas? O czym, do diabła, Delacroix i Vonderbrück tak długo dyskutowali i gdzie podziewał się Asko? Przecież to niemożliwe, żeby wciąż jeszcze był u Corrisande. Nie Asko. Udolf oczywiście zostałby, żeby ją pocieszyć. Ale Asko był zbyt przyzwoity i

nigdy nie wykorzystałby chwili słabości kobiety, by się do niej zbliżyć.

W dodatku do kobiety, której zazwyczaj bardzo czujna towarzyszka śpi tak mocno, że zaczęła już zasypiać po drodze na górę. Kto by pomyślał? Corrisande na pewno miała co nieco za uszami. Von Görenczy nie miał nawet cienia wątpliwości, że ta mała podała przyzwoitce środek usypiający. To raczej nie było zachowanie, jakiego można się spodziewać po delikatnej, grzecznej paniencie. Oczywiście polemika z Mrs Parslow byłaby czystą stratą czasu i nie miałyby sensu. Ale jednak – to dawało do myślenia. A przynajmniej dawało do myślenia von Görenczy'emu, dało też do myślenia Delacroix, na ile mógł zauważyć.

Asko w ogóle nie był zdumiony, że Mrs Parslow tak szybko położyła się do łóżka, i to w dodatku przy pomocy szwoleżera. Dla niego kobiety były delikatnymi istotami, a nagle napady fizycznej lub psychicznej słabości były czymś, czego zawsze i wszędzie można się było po nich spodziewać.

Asko spotka kiedyś naprawdę niemiłą niespodzianka, pomyślał Udolf.

Od drzwi dobiegł słaby dźwięk. Zobaczył, że klamka powoli się porusza. Najchętniej krzyknąłby: „Stój, kto tam?”. Zdecydował jednak inaczej. Będzie robił dokładnie tak, jak mu powiedziano. Z bliska kula przebijie drewniane drzwi jak masło. Strzelił.



## Rozdział 49

Delacroix postrzegał pokój maga przez zasłonę kryształowych płomieni. Rzucono nim o ścianę, gdzie stał teraz jak przyklejony, skazany na bezruch, sparaliżowany, z rękoma wyciągniętymi na boki. Zupełnie jakby go ukrzyżowano. Na środku pokoju Vonderbrück celował w niego palcem. Śmiał się.

Jego uśmiech był tak nieprawdopodobnie złośliwy, że Delacroix zastanawiał się, jak mógł w ogóle kiedykolwiek zaufać temu człowiekowi.

– Ma pan to. Gdzie to jest? – Vonderbrück przywitał go tym pytaniem z nadgorliwym, zachłannym błyskiem w oku. Rysy maga się zmieniły, zdradzały nowy rodzaj intensywności i bezwzględności. Na widok jego miny Delacroix powiedział:

– Złapaliśmy tę istotę i musimy teraz przedyskutować, jakie kroki należy dalej podjąć. Nie mam najmniejszego zamiaru poruszać się w tej sprawie na ślepo.

I w tym właśnie momencie mężczyzna zaczął się śmiać, bez ostrzeżenia wznosił ręce i rzucił Delacroix na ścianę, nie zbliżając się przy tym do niego nawet o milimetr. Postawny Brytyjczyk został pokonany. Energia zaklęcia lizała jego skórę niczym przenikliwe płomienie. Ból był do zniesienia, ale Delacroix wiedział, że to dopiero początek. Jeśli nie uda mu się uwolnić, będzie marionetką w rękach maga. Ten człowiek mógł z nim zrobić, na co tylko miał ochotę.

Słabość doprowadzała Delacroix do wściekłości. Nigdy nie powinien był ufać temu człowiekowi. Od samego początku go nie lubił. I nigdy też nie powinien był oddawać ochronnego amuletu. Teraz naprawdę by się przydał. Może nie sprawiłby, że Delacroix byłby niezniszczalny, ale dałby mu możliwość obrony. Szanse na to zostały pułkownikowi odebrane. Stał teraz całkowicie sparaliżowany.

– Na ślepo? – powtórzył złośliwie mag. – Przecież wy wszyscy jesteście ślepi. Małe, ślepe i głuche stworzenia, dostatecznie zadufane, by sięgać po coś, co pozwoliłoby w waszych niezgrabnych, głupich

rękach zapanować nad przyszłością. Niczego pan nie pojął, Delacroix, absolutnie niczego. Jest pan jak pionek na o wiele za dużej szachownicy. Zbędny. Od samego początku chodziło tylko o mnie. Był pan nawet za głupi na to, by sprawdzić, czy rzeczywiście zostałem przysłany jako wsparcie przez najwyższe dowództwo, a pana kolega von Görenczy nawet znalazł tego wysłanego maga, a i tak nie potrafił pan dodać dwa do dwóch. Diabelnie głupie, Delacroix, po prostu diabelnie głupie. A teraz niech mi pan odda rękopis!

Delacroix cieszył się, że nie miał zwoju, a jeszcze bardziej cieszył go, że Vonderbrück nie miał o tym pojęcia. To znaczyło, że mag wiedział mniej, niż przypuszczał.

Tyle tylko, że nic to Delacroix nie dawało. Przeciwnie bezpośredniemu magicznemu atakowi nie był w stanie nic zrobić. Jego boleśnie okupiona wiedza w tej dziedzinie była czysto teoretycznej natury. Potrzebował pomocy specjalisty. Tyle tylko, że nie było nikogo, kto mógłby w tej chwili pomóc.

Może poza Bractwem. Ale nawet gdyby Delacroix był gotów ustąpić i przyjąć wsparcie zakonu, i tak nie mógł zawołać Bractwa Światła na pomoc. Poza tym nie był pewien, czy inkwizytorzy by przybyli. Prawdopodobnie wiedzieli nawet, co się wydarzyło. Delacroix oczekiwał ich interwencji, po tym jak złapali potwora. Ale nie pojawili się. Znał ich zbyt dobrze i dlatego wiedział, że stał się dla nich nie tylko zbyt cenny, ale nawet groźny. Prawdopodobnie dopuściliby do tego, by Vonderbrück użył siły, aby Delacroix zabić. A wtedy mnisi mogliby wkroczyć, nie podejmując ryzyka.

Najprawdopodobniej ojciec Emanuele siedział sobie błogo rozparty w fotelu, z triumfalnym uśmiechem na chytrej twarzy i rozkoszował się wiedzą, że jego zbuntowany wychowanek właśnie jest mordowany. Wściekłość wzbierała w Delacroix i gromadziła się w jego duszy jak wrzący olej, który nie miał ujścia. Coraz trudniej było to znieść.

– Chcę rękopisu. Teraz! – rozkazał Vonderbrück i nowe wyładowanie energii ogarnęło płomieniami Delacroix, który w męczarniach walczył o powietrze.

– Po co? – wydusił. Może będzie miał jakąś szansę, jeśli uda mu

się dostatecznie długo skłaniać tego człowieka do rozmowy. Von Orven powinien pojawić się lada moment. To powinno złamać na chwilę koncentrację maga. Jeśli podporucznik zareaguje dostatecznie szybko, może będzie mógł coś zrobić, zanim wróg skupi się również na drugim celu.

– Po co, pyta pan? – zachichotał Vonderbrück. – Ponieważ, mój drogi pułkowniku, rękopis jest tak potężny, że każdemu, kto go posiada, daje władzę zmieniania świata. Widzi pan, już od dłuższego czasu zastanawiam się, czy nie powinienem zająć się polityką, a taka kariera jest najbardziej interesująca, kiedy jest się na samej górze. Wszystko inne to mydlenie oczu. Będzie się pan cieszył, oddając mi hołdy jako monarsze? – zaśmiał się. – Choć w rzeczy samej nie na długo zazna pan radości poddanego, jeśli naprawdę szybko nie zrobi pan tego, co mówię. – Obdarzył Delacroix oceniającym spojrzeniem. – Jest pan silnym człowiekiem. Lubi pan mieć wszystko pod kontrolą, prawda? Pańska arogancja jest niewyobrażalna. Tyle tylko, że pański okres nauki jeszcze nie minął. Chciałbym panu udzielić jeszcze kilku lekcji. Jak się panu spodoba, jeśli powoli obiorę pana całego ze skóry? Tego jeszcze nigdy nie próbowałem, jestem jednak pewien, że to nie może być zbyt trudne. Wszystko, co sobie można wyobrazić, można też osiągnąć, a mam ogromną wyobraźnię. W przeciwieństwie do opinii, którą bezczelnie raczył pan sobie o mnie wyrobić, jestem wyśmienitym magiem.

I kocham władzę. – Przesunął językiem po zębach. – Trzeba naprawdę lubić władzę, by coś osiągnąć w tej dziedzinie, a ja naprawdę lubię mieć władzę.

Lekki ruch jego palców i Delacroix miał wrażenie, jakby coś trafiło go w ranę na ramieniu. Chciał krzyknąć, ale nie starczyło mu powietrza. Gwałtowny ból w połączeniu z całkowitą bezradnością sprawił, że wściekłość w Delacroix się przelewała. Jego gniew był jeszcze silniejszy niż ból, rozniecając płomienie woli przetrwania. Pierwotne doznania mogły być jego ratunkiem. Uchwycił się ich, a one pomagały mu się nie poddawać. Płonęła w nim nienawiść, która sprawiała, że jego myśli tańczyły jak na sabacie czarownic.

– Monarchowie i monarchinie, książęta i szlachta oraz każdy wyższego stanu, kto myśli, że ma prawo decydować o naszym losie –

kontynuował cynicznie mag – są niczym. Nawet królowie podziemia, którzy dowodzą swymi niewidzialnymi hordami, i te ich małe nadworne damy będą musieli ukorzyć się przede mną w pyle. Te ich śliczniutki, malutkie księżniczki.

Delacroix wydierał z siebie słowa. Wyduszał je pojedynczo, niemal bezgłośnie. Nie dorównywały przyptywowi magicznej energii, która przyciskała go do ściany.

– To był pan? To pan nasłał na mnie skrytobójcę? To pan jest jednym z ludzi „Króla”? – Ból zdawał się go podburzać. Złość pozwalała Delacroix się nie poddawać. Jego rozpalona, kipiąca złość pozwalała mu nie dawać za wygraną.

Vonderbrück wydawał się zmieszany. Najwyraźniej nie wiedział, o czym jego więzień mówił. Przez ułamek sekundy energia wydawała się słabnąć, ale nie na tyle, by Delacroix mógł to wykorzystać, aby się uwolnić.

– Skrytobójca? Ja żadnego na pana nie nasyłałem. Musi się pan zwrócić pod inny adres.

W tym momencie drzwi otworzyły się z hukiem i von Orven szturmem wpadł do pokoju, a tuż za nim pojawiła się Miss Jarrencourt. Oficer potrzebował chwili, by ocenić sytuację, podobnie zresztą jak mag. Delacroix widział, jak oczy Asko rozszerzają się ze zdumienia. Młody Bawarczyk zatrzymał się, a dziewczyna, która prawdopodobnie nie widziała dokładnie, co się dzieje, wpadła na niego.

To odwróciło na ułamek sekundy uwagę podporucznika, było to jednak wszystko, czego potrzebował Vonderbrück, aby wziąć się w garść. Wyciągnął rękę do nowo przybyłych i oboje unieśli się, odrzuceni do ściany, podczas gdy drzwi zamknęły się z głośnym hukiem. Asko wydał zduszony okrzyk, a potem on i młoda kobieta opadli razem, przy czym żołnierz leżał plecami na niej. Jego większe i szersze ciało przysłaniało delikatną postać.

Leżeli bez ruchu. To tyle, jeśli chodzi o posiłki, stwierdził Delacroix i zaklął w duchu. Bitwa była przegrana. Von Görenczy ma rozkaz, by nie ruszać się z pokoju, a von Orven leży nieprzytomny, a może nawet martwy na podłodze. Był blady jak trup i pułkownik nie dostrzegł, by młody oficer oddychał.

Delacroix zastanawiał się, co z Corrisande. Tym razem opuściło ją szczęście. Po dwóch atakach demonicznej istoty zginęła w końcu z rąk człowieka. Nie poruszała się. Nie żyła? Przeniknęło go poczucie straty. Nie może być martwa.

W każdym razie nie może umrzeć, dopóki nie wyjaśni mu sprawy z sygnetem i zleceniem morderstwa. To wspomnienie na nowo rozpalilo jego wściekłość i w ogniu gniewu spłonął na popiół niepokój Delacroix o Corrisande. Miał ochotę zabić ją własnymi rękoma. Tym razem to by było łatwiejsze, pomyślał gorzko. To by było łatwe, zamordować ją, o ile przeżyje tutaj. Jego uznanie dla umiejętności mistrza sztuk tajemnych rosło wraz z wściekłością. Ten człowiek unieszkodliwił dwóch wrogów naraz, nie zmniejszając przy tym strumienia energii, który utrzymywał czar rzucony na Delacroix.

– A propos księżniczek, oto nasza śliczna mała przynęta – skomentował Vonderbrück i uśmiechając się, znów przesunął językiem po zębach. – Szkoda. Tak bardzo chciałem, żeby to zobaczyła. Takie wartościowe maleństwo. Bardzo wytworne, Delacroix, a pan znów nie ma pojęcia, o co tu w ogóle chodzi, prawda? Nawet pan nie wie, kim ona jest, czyż nie? – Roześmiał się. – Dama daje królowi mata. Jest pan szachistą? Założę się, że grywa pan w szachy. Nieważne. Chcę czegoś od pana, mój przyjacielu, i musi pan zarzucić nadzieję na pomoc z zewnątrz. Są już moi. A więc gdzie jest ten rękopis?

– Nie wiem – wydusił Delacroix. Nie kłamał, ale to nie było to, co mag chciał usłyszeć. Mlasnął wzgardliwie.

– Dlaczego pan sobie to jeszcze bardziej utrudnia? Nie może pan wygrać. A więc dlaczego nie chce się pan zgodzić na współpracę? To musi być chyba miłe wyobrażenie, móc znów normalnie oddychać.

Delacroix rozpaczliwie walczył o powietrze, podczas gdy jego tchawica coraz bardziej się zaciskała.

Ale Vonderbrück potrzebował go żywego. Przez zasłonę rozpalonej nienawiści oficer Delacroix zanalizował sytuację. Ten człowiek chciał informacji – tego Delacroix był pewien – i rozkoszował się swoją sytuacją. Lubił władzę, jak to powiedział. Zabicie więźnia oznaczałoby dla niego, że przegrał ze śmiercią.

Teraz Delacroix zaczął mieć nadzieję na interwencję Bractwa, co

nigdy by mu się nawet nie przyśniło i co w rzeczywistości doprowadzało go do jeszcze większej wściekłości, i to zarówno na siebie, jak i na przeciwnika. Jednak zakon był jego jedyną szansą. Udolf nie przybędzie i Cérise też nie. Przynajmniej miał taką nadzieję.

W natłoku magicznych ataków znów przypomniał sobie szczegóły sceny w piwnicy. O tym Sí, który się w to wmieszał i przyczynił się do tego, że jedna z najbardziej odpychających istot z jemu podobnych została przez nich pokonana. Zupełnie go pomiął. Gość Cérise, który sprawia, że ludzie zapominają.

Ale to już za wiele, by mieć nadzieję, że feyon znów się wtrąci. I czy w ogóle by tego chciał? Czy to możliwe, że był współgraczem w tym skomplikowanym scenariuszu? Jego ingerencja pozwalała na różne interpretacje. Delacroix musiał się tego dowiedzieć. Musiał uzyskać więcej informacji i z niemal równą siłą tęsknił za tym, by wycisnąć to z feyona tak jak ze swego prześladowcy.

– Chce mnie pan zabić. Czemu miałbym panu pomagać? – Wypowiedzenie tych słów przyszło mu z wielkim trudem. Wyrzucał je z siebie energią rozpaczliwego gniewu, przełamując własną bezradność. Walczył o powietrze. – Niech mi pan powie, o co chodzi. Pańska wiedza za moją.

– Wciąż jeszcze bezczelny i wojowniczy? A co szanowny pan chciałby wiedzieć? Jakiego rodzaju przedśmiertnego olśnienia chciałby pan doznać, mój drogi panie?

Mistrz sztuk tajemnych uśmiechnął się.

– Miss Jarrencourt. – Nie powinien był o to pytać. Inne sprawy były ważniejsze. Ale musiał to wiedzieć, niemal dusiły go te pytania. – Jaka jest jej rola w tym wszystkim?

Mężczyzna zaczął się głośno śmiać.

– Corrisande? Kto wie, może w ogóle nie odgrywa żadnej roli? Nie jest zbyt ważna, może tylko dla człowieka, który uważa się za zbyt silnego i potężnego. Jego Najmniejsza Wysokość, a może nawet i to nie. Możliwe, że ma więcej niż jedną protegowaną. W jego otoczeniu powabne, młodziutkie kobiety są łatwym towarem. – Roześmiał się i znów spojrział prosto w oczy pułkownika. – Czyżby nasz mały ptaszek pana interesował? Wydawało mi się, że wpadła w oko naszemu

leżącemu tu przyjacielowi. Cóż, to by była oczywiście tylko kwestia ceny. Co wcale nie znaczy, że kiedykolwiek by się nią nacieszył. Ona...

Przerwał w połowie zdania, patrząc niemal z niesmakiem na nóż, który nagle wystawał z jego piersi. Jego oczy zrobiły się okrągłe ze zdziwienia. Obrócił się w kierunku, z którego nadleciał sztylet.

Corrisande Jarrencourt próbowała wydostać się spod podporucznika, który wciąż bez życia leżał na podłodze. Bezwładne ciało było ciężkie i dziewczynie nie udało się wyplątać spod jego nóg, które utknęły w fałdach jej szerokiej sukni. Ale potrzebowała jedynie prawego ramienia. Vonderbrück bez słowa zwałił się na ziemię. Przy przeciwległej ścianie Delacroix, dysząc i rżąc, osunął się na kolana.

## Rozdział 50

Jeszcze nigdy nie zabiła człowieka. Włamywała się do domów, kradła klejnoty, знаła morderców. Ale sama nikogo nie zabiła. Człowiek, który nauczył ją rzucać nożem, był skrytobójcą. Wiedziała o tym, ale nigdy o nic nie pytała. Zaczynał od rzucania nożami w cyrku, by później przyjąć pracę w służbie ojca, która pozwalała znacznie lepiej zarabiać.

Był dobrym nauczycielem. Nie zapomniła z tej sztuki niczego, choć rzadko ćwiczyła. Jednym jedynym precyzyjnym ruchem wycelowała i rzuciła. Trafiła mężczyznę w serce. Rozległ się dziwny dźwięk, gdy sztylet wbił się w ciało, mag żył jeszcze na tyle długo, by spojrzeć jej w oczy.

Pragnęła zapomnieć to spojrzenie. Był taki zaskoczony! Jej nauczyciel przygotował ją na taką reakcję, ale Corrisande nigdy się nad tym nie zastanawiała – nad zdziwieniem na twarzach ludzi, których się zabijało. Zdziwienie i odrobina oburzenia. Wielki mag powalony ręką dziewczicy. Jak w bajce.

Próbowała się otrząsnąć. Czuła się nieswojo, ale nie zrobiło jej się niedobrze. Tak naprawdę to czuła się raczej senna.

Być może były to pozostałości po magicznym ataku. Tylko że to Asko był jego głównym celem. A może znużył ją dzień, który był zbyt straszliwy, by o nim rozmyślać.

Próbowała przetoczyć podporucznika, by się spod niego wydostać, ale był zadziwiająco ciężki. Upadł dokładnie na nią i czuła na sobie ołowiany ciężar jego całego bezwładnego ciała. Na początku obawiała się, że Asko nie żyje. Ale potem usłyszała słaby oddech. Żył i Corrisande była za to wdzięczna.

Gdy się przewrócili, nie straciła przytomności. Przez głowę dziewczyny przetoczył się ból, niczym paraliżująca migrena, i ustępował bardzo powoli, zanim przestał ją męczyć. Z początku zmysły Corrisande reagowały bardzo niewyraźnie, ale uczucie to minęło po kilku sekundach. Do tego czasu Vonderbrück zdążył się już od niej odwrócić,



sądząc, że jest nieprzytomna albo martwa. Nie poruszyła się od razu, leżała tylko przyciśnięta ciężarem Asko. Jego jasne włosy opadały jej na twarz.

Corrisande nie widziała zbyt wiele, ale szybko się zorientowała, że stojący na środku pokoju mężczyzna był nie tylko pozbawionym skrupułów przestępcą, lecz również kimś, komu sprawiało piekielną przyjemność tarzanie się we własnym poczuciu władzy. Nieskończenie zły. Przepytywał Delacroix i jeszcze zanim się odezwał, Corrisande wiedziała, że mag będzie torturował pułkownika tak długo, aż zameczy go na śmierć. Ale nie rozumiała, czego chciał. Jakiś rękopis. Nie wiedziała nic o żadnym rękopisie. Słyszała o morderstwie, może o dwóch. O jaki rękopis może mu chodzić?

To miało drugorzędne znaczenie. Musiała z tym skończyć.

Sięgnęła pod suknię. Nóż wciąż tam był. Z trudem wyjęła ostrze najpierw z kieszeni, a potem z pochwy, nie robiąc przy tym żadnego hałasu i nie poruszając się prawie wcale. Powoli. Bardzo powoli. W tym czasie mężczyzna wciąż mówił, oczerniając Corrisande jak jakieś sprzedajne babsko i wpędzając ją w coraz większe kłopoty.

Von Orven tego nie słyszał, ale nie miała żadnych wątpliwości, że Delacroix powtórzy mu to wszystko, jeśli tylko sam przeżyje.

Musiał przeżyć. Myśl o tym, że ten chory na umyśle mag wyciska czarną magią życie z ciała Delacroix, była dla Corrisande nie do zniesienia. Przypomniła sobie, jak na schodach pułkownik trzymał jej rękę, jak patrzył jej w oczy, nagle traktując ją poważniej niż jakikolwiek człowiek dotąd.

Musiała coś zrobić.

Miała tylko jedną szansę. Jeśli dziewczyna nie trafi, Vonderbrück zabije ją bez wahania. Zanim rzuciła nożem, wytarła wilgotne ręce o suknię. Nigdy jeszcze nie rzucała z pozycji leżącej, w połowie pogrzebana pod bezwładnym ciałem. W ogóle jeszcze nigdy nie rzucała nożem w człowieka. Ale nie myślała o swoich szansach, tylko po prostu działała.

Dopiero teraz udało jej się całkiem zrzucić z siebie bezwładne ciało Asko. Przetoczył się na bok, a Corrisande uklękła przy nim i pochyliła się, próbując usłyszeć, czy oddycha. Oddychał płytko i powoli.

Mogła sobie wyobrazić, przez co właśnie przechodzi. Bezradnym i niepewnym ruchem odgarnęła jego jasne włosy.

Nagle nad dziewczyną pojawił się masywny cień. Spojrzała w górę. Obok stał Delacroix. Jego wilcze oczy płonęły gniewem. Usta wykrzywione były w cynicznym grymasie, a oddech aż syczał nienawiścią. Miał rozczochrane włosy. Na ramieniu surduta widać było małą plamkę krwi.

Naraz poczuła przed nim potworny strach.

Uklęknął przy Corrisande, złapał przegub Asko, starając się wyczuć puls. Następnie szorstko odepchnął jej rękę z czoła młodego mężczyzny.

– Dziękuję za pani wysiłki – powiedział lodowatym tonem – ale podporucznik von Orven jest w tej chwili niezdolny do tego, by pani za to zapłacić.

Przełknęła ślinę i zarumieniła się bardzo mocno. Nie wiedziała, co na to odrzec. Co niby mogła powiedzieć? Delacroix jej nie uwierzy. Nie rozumiała tego, że tak łatwo uwierzył człowiekowi, który go zdradził. W jaki sposób ktoś taki mógł być bardziej przekonujący i wiarygodny niż zachowanie, maniery, styl Corrisande i wszystko, co pułkownik w niej do tej pory widział?

– Cóż – dodał. – Potrafi się pani ślicznie obchodzić z nożem. Pani umiejętności wprawiają mnie w coraz większe zdziwienie.

– Czy on jest martwy? – zapytała zmieszana. Uświadomiła sobie, że nawet tego nie sprawdziła. Była po prostu pewna.

– O tak – odparł bez zastanowienia Delacroix. – Zupełnie martwy. Zrobiła mu pani dziurę w sercu z godną uznania precyzją. Często to pani robi? Czy w najlepszych kręgach, do jakich pani najwyraźniej należy, zrobiło się to teraz modne? Mój zawód nie pozostawia mi zbyt wiele wolnego czasu w Anglii, ale kiedy byłem tam ostatnio, rzucanie nożem nie należało do niezbędnego repertuaru zachowań damy z wyższych sfer. Ale – spojrzał na nią złośliwie – oczywiście nie jestem fachowcem w tej dziedzinie.

Teraz ona również zaczynała być zła. Jego cynizm sprawił jej ból.

– Jeszcze nigdy nikogo nie zabiłam – oburzyła się. – Ma pan o mnie błędne wyobrażenie. To, co ten człowiek o mnie powiedział, wcale

nie jest prawdą. – Nawet w jej uszach brzmiało to jak głupia wymówka.  
– Poza tym, gdybym się nie wtrąciła, byłby pan teraz martwy.

Taksował ją krzywym spojrzeniem. A potem sprawdził swoje ramię.

– Może to kwestia pogody, że już po raz drugi dzisiejszego dnia zostałem uratowany przez damę o wątpliwej moralności. Powinna pani wiedzieć, że mademoiselle Denglot zabiła dziś pani skrytobójcę. To tylko tak na wypadek, gdyby się pani zastanawiała, dlaczego jestem jeszcze przy życiu.

Jego bursztynowe oczy znów skoncentrowały się na niej, iskrząc zimnym gniewem. Teraz jednak była już równie wściekła jak on.

– Tego pytania w ogóle nie muszę sobie stawiać, pułkowniku. Żyje pan, bo właśnie uratowałam panu życie. Nie nasłałam na pana żadnego mordercy. Jak pan widzi, potrafię sama, bez pomocy wynajętych przestępców, wyprawiać ludzi na tamten świat.

Natychmiast wiedziała, że wypowiadając ostatnie zdanie, popełniła błąd. Ale nie miała pojęcia, jak mogłaby to ująć inaczej.

Patrzyli na siebie ze złością. Przez chwilę Corrisande bała się, że pułkownik ją złapie i skreśli jej kark. Delacroix nie poruszył się jednak, nawet nie drgnął, jakby zamarł.

Odwróciła się znów do von Orvena.

– Lepiej pomóżmy pańskiemu przyjacielowi, pułkowniku – powiedziała, starając się uwolnić konwersację od jadowitej goryczy. Była zbyt zmęczona na takie intensywne uczucia. – Jeśli jego utrata przytomności przypomina to, co przeżyłam wczoraj, to jest bardzo nieprzyjemna.

Obdarzył ją nieprzeniknionym spojrzeniem. Zastanawiała się, czy w ogóle choć trochę jej wierzył. Może Delacroix nie uwierzył nawet w obsydianowoczarne piekło, o którym mówiła. Straciła reputację za sprawą kilku słów rzuconych przez chorego na umyśle. Pułkownik był na nią wściekły i nie rozumiała dlaczego. Nic mu nie zrobiła.

Ale w to Delacroix też nie uwierzył.

– Jest w stanie nieświadomości wywołanym przez magię – powiedział chłodno – podobnym do tego, jakiego doświadczyła pani ostatniej nocy. To jak silne uspienie. Potrzebujemy fachowca, by go z

tego uwolnić. Chociaż... – Przyklęknął przy młodym oficerze i uniósł jego powieki. Corrisande zobaczyła, że źrenice wywróciły się całkiem. – ... może pani mogłoby go z tego wyciągnąć.

– Ja? – zapytała. – Co muszę zrobić?

Uśmiechnął się szyderczo.

– Coś, co z pewnością dobrze pani potrafi. Niech go pani pocałuje. Niech pani stymuluje jego ciało. Przecież będzie pani wiedziała, jak to zrobić. Z pewnością ma pani dość doświadczenia. Niech pani rzuci mu koło ratunkowe, jakiś powód, by wrócić. Na tę chwilę nic innego nie zadziała. Pieszczota słodkiej, niewinnej Miss Jarrencourt może go na tyle zszokować, że dobrowolnie wyrwie się ze śpiączki.

Corrisande wyprostowała się gwałtownie, blada z gniewu.

– Chciałabym pana niniejszym powiadomić, pułkowniku – syknęła – że maluje pan sobie fałszywy obraz, jeśli uważa pan, że jestem kobietą o wątpliwej moralności, jak pan to ujął. Przykro mi, ale nie posiadam doświadczenia, które mi pan przypisuje, i proszę pana, by mnie pan więcej nie obrażał!

On też powstał, zrobił krok w jej stronę. Był wielki i bardzo blisko. Corrisande cofnęła się, ale Delacroix znów zrobił krok. Jej plecy trafiły na ścianę. Teraz dziewczyna znów się go bała. Z jego spojrzenia trudno było coś wyczytać. Zerknęła na drzwi. Może powinna stąd uciec? Uciec to najlepsze, co mogła zrobić.

Zaprzepaściła chwilę, w której to było możliwe. Ręce Delacroix złapały ją za ramiona, ścisnęły mocno jak imadło. Wciągnęła powietrze z bólu.

– Niecałowana, słodka Corrisande? – zapytał zgryźliwie. – Niech pani pozwoli, że zmienię ten stan. Wychowano mnie tak, bym mógł robić najprzedziwniejsze rzeczy, dla sprawy.

Pochylił się i pocałował ją, wyginając przy tym jej ciało i głowę do tyłu. Corrisande próbowała się bronić, ale trzymał ją w żelaznym uścisku. Jego usta przycisnęły się mocno do jej ust, czuła, jak jego zęby dotknęły jej warg. Jego język wcisnął się w jej usta.

To w ogóle nie przypominało pocałunku Hugona.

Walczyła i wiała się rozpaczliwie, trzymał ją jednak bezwzględnie. Czuła, jak jego potężne ciało przyciska się do jej ciała, była zaklinowana

między nim a ścianą. Ucieczka była niemożliwa.

Pragnęła, by ją pocałował, teraz to wiedziała. Od momentu, gdy schodzili po schodach i jego palec dotknął jej warg, tęskniła za tym. Ale nie w ten sposób. To było złe. To było poniżające i brutalne.

Ku własnemu zaskoczeniu przestała się bronić i zaczęła płakać. Nie była w stanie nad sobą panować. Jej ramiona się trzęsły, łzy płynęły po twarzy.

Delacroix natychmiast ją puścił. Czuł się zbity z tropu. Dyszał.

Nie mogła znieść jego spojrzenia, odwróciła się do ściany, by otrzeć łzy, próbowała odzyskać panowanie nad sobą. Ale nie mogła przestać płakać. Strach minionych dwudziestu czterech godzin uderzył teraz z całą siłą. Tama pękła. Corrisande drżała na całym ciele i ukryła twarz w dłoniach.

Delacroix wyciągnął ku niej rękę. Znów ogarnął ją strach i gwałtownie przykucnęła, osłaniając głowę ramieniem. Przez chwilę bała się, że mężczyzna chce ją uderzyć.

Nie dotknął jej.

– Wielki Boże, dziewczyno! Nic pani nie zrobię – usłyszała jego dziwnie brzmiący głos. Ale przecież już coś zrobił. Zadał jej ból. Głęboko zranił. Złamał jej dumę.

Corrisande się wstydziła. Spazmy płaczu nie były w jej stylu. Zmusiła się, by oddychać spokojniej, i powoli wstała. Otarła łzy, odwracając się przy tym do Delacroix plecami. Czowała na sobie jego spojrzenie jak ciężar.

Gdy znów się odwróciła, już nie płakała. Wciąż jednak drżała. Jej oczy na ułamek sekundy spotkały jego, a potem odwróciła wzrok i strasznie się zarumieniła. Patrzył na nią jakby z ukontentowaniem. Nie była w stanie nawet w najmniejszym stopniu odgadnąć jego uczuć. Ale nie wyglądał już na wściekłego. Wyglądał na zagubionego.

Milczenie stawało się nieznośne. Teraz mogła go poprosić, by uwierzył. Mogła go zapytać, dlaczego Delacroix daje więcej wiary przestępcy i morderczemu pomyłkowemu niż jej. Dlaczego zbrodniarz był bardziej godny zaufania niż ona. Dlaczego Delacroix tak się nią brzydzi po tym wszystkim, co zrobiła i co wycierpiała.

Ale nic z tego nie była w stanie zrobić. Nie chciała dodawać

jeszcze więcej do swego poniżenia.

Dygnęła kulturalnie.

– Dziękuję za pańskie nauki, pułkowniku Delacroix – powiedziała tak chłodno, jak tylko umiała.

Podczas gdy on nadal patrzył na nią zdumiony, odwróciła się i przyklękła przy wciąż nieprzytomnym podporuczniku. Ujęła jego twarz w dłonie, pochyliła się nad nim i pocałowała go czule i bardzo długo.

Słyszała, jak stojący za nią Delacroix próbuje złapać powietrze. Brzmiało to prawie jak syk. Nic jednak nie zrobił. Milczał, ale wciąż mogła czuć jego ciało zaledwie o krok. Próbowwała go ignorować, jednak fizyczna obecność Delacroix z intensywnością wypalała się w świadomości Corrisande. Nie mogła przestać myśleć o tym, jak Delacroix stoi tak nad nią i patrzy tymi swoimi gniewnymi żółtymi oczyma.

Ciężko jej było skoncentrować się na tym, co robiła, zwłaszcza że nie wiedziała, jak powinna to robić. Wargi Asko były zimne, podobnie jak twarz. Ale Corrisande ogrzewała go, czuła to. Nie golił się od śniadania i jego skóra była szorstka i drapała jak papier ścierny. To było dziwne, nowe doświadczenie.

Usta podporucznika były jednak miękkie. Corrisande miała zamknięte oczy. Była w niewygodnej pozycji. Klęczała obok Asko, na wpół wyciągnięta nad jego tułowiem.

I wtedy się poruszył. Jego ramiona objęły dziewczynę i niespodziewanie zareagowały też jego usta, kosztując jej ust z czułym zapalem.

Otworzyła oczy i odsunęła się od jego twarzy.

Podporucznik popatrzył na nią poirytowany, a jego oczy powoli zaczynały ją dostrzegać.

Jego ręce wciąż spoczywały na plecach dziewczyny, ale nie trzymał jej mocno. Nie stosował żadnej przemocy. To było delikatne. Patrzył na nią tylko.

Poczuła się nieswojo i odsunęła ręce od jego twarzy.

– Corrisande – wyszeptał z entuzjazmem Asko.

– Tak – odpowiedziała. – Czuje się pan lepiej? Był pan nieprzytomny.

Starał się skoncentrować.

– Zaatakowano nas – przypomniał sobie.

– Tak. Wasz mag obezwładnił pana. Pułkownik Delacroix – prawie udusiła się, wymawiając jego imię – polecił mi w ten sposób przywrócić pana do życia. Proszę mi wybaczyć, jeśli posunęłam się zbyt... – nie była w stanie mówić dalej, czuła się głupio i niezręcznie.

Asko zauważył, jak krępujące było dla niej to wszystko, i puścił ją. A potem ujął jej dłoń i zbliżył do ust.

– Postaram się częściej wpadać w takie tarapaty, jeśli potem będę budzony w tak uroczy sposób. – Pocałował czubki palców dziewczyny, a później wierzch jej dłoni, przesuając ustami po skórze. To było coś znacznie więcej niż uprzejmy gest. Na szczęście Asko zauważył, że zachowuje się nietaktownie, i wziął się w garść. Puścił rękę dziewczyny.

– Doszedł pan do siebie? – Corrisande usłyszała głos Delacroix za plecami. Brzmiał neutralnie słodko. – Jeśli tak, to musimy działać dalej. Mamy co robić. – Jego uśmiech przypominał raczej szczyrzenie zębów. – I mam nadzieję, że Miss Jarrencourt, pomagając panu, dała z siebie wszystko, na co ją w tej chwili stać.

Pułkownik wyciągnął rękę i pomógł von Orvenowi wstać. Ten spojrzał na niego zdziwiony, pozwolił jednak sobie pomóc. Naprężył mięśnie i potrząsał głową jak pies, który wyszedł z wody. Potem znów spojrzał na Corrisande, która wciąż jeszcze klęczała na podłodze, zwrócona plecami do Delacroix.

– Dobrze się pani czuje, Miss Jarrencourt? – zapytał Asko, po raz trzeci tego wieczoru, i jak zawsze odpowiedziała mu:

– Dziękuję, panie podporuczniku. Czuję się dobrze.

Von Orven nie skomentował jej formalnej odpowiedzi, nawet jeśli to spostrzegł. Zamiast tego ruszył na środek pokoju, gdzie zauważył ciało. Nóż wciąż tkwił w piersi maga.

– Wielki Boże, on nie żyje! – wykrzyknął.

Corrisande z trudem wstała. Jej kolana wciąż drżały i cieszyła się, że nie widać tego pod szeroką suknią. Zastanawiała się, jak bawarski oficer zareaguje, gdy się dowie, że to ona zasztyletowała Vonderbrücka – i gdyby wiedział, że Corrisande wcale nie ma ochoty widzieć jego reakcji. Ruszyła do drzwi, nie odwracając się. Teraz drżała już na całym

ciele, było jej lodowato zimno i czuła się nieskończenie zmęczona.

– Zabił go pan – powiedział Asko do Delacroix.

Nastąpiło milczenie. Zdawało się ciągnąć godzinami. Próbowwała otworzyć drzwi, ale jej ręce drżały już tak bardzo, że trudno jej było trafić na klamkę.

– Tak – odparł Delacroix. – Jakoś mi to umknęło.



## Rozdział 51

Cérise Denglot przyglądała się szczupłemu, eleganckiemu młodemu mężczyźnie siedzącemu na sofie. Po wydarzeniach w piwnicy wszedł razem z nią na górę, zupełnie jakby należał do śpiewaczki. Odprowadził ją aż do jej pokoju i tam, zamiast się pożegnać, wszedł, zachowując się, jakby miał do tego prawo.

Cérise wiedziała, kim był. Wspomnienia jego krótkich wizyt stopniowo powracały. Gdy pojawił się pomiędzy nią a potworem, by ją chronić, od razu rozpoznała tajemniczego wielbiciela. Wtedy też zrozumiała, że wielbiciel był Sí, feyonem, w których istnienie jeszcze rok wcześniej nawet nie wierzyła. Zresztą sporo ją wówczas kosztowało, by się przełamać i zaakceptować, że te mity były czymś więcej niż bajkami dla dzieci. Nie wątpiła już w istnienie mistycznych stworzeń, jednak spotkanie z ich przedstawicielem to co innego. Powinna się bać. I rzeczywiście Cérise była zdenerwowana.

Powinna go odprawić, ale poprosił uprzejmie o rozmowę, a przecież w końcu to on ją uratował. Nie wypadało więc odmówić.

Wyglądał o wiele za dobrze. Przypomniała sobie, że ją całował. Wspomnienie to powiedziało jej też, że rozkoszowała się tym znacznie bardziej, niż miała ochotę przyznać.

– To był pan, wczoraj w nocy i dziś po południu – zauważyła z lekkim odcieniem wrogości w głosie.

– Tak, to byłem ja – odpowiedział z uśmiechem.

Amulet nagle zaczął palić jej skórę. Cérise krzyknęła.

– Niech pan przestanie! – Spojrzała na niego karcąco. – To boli!

– Co mam przestać? – Wyciągnął ku niej rękę.

– Cokolwiek pan robi. Niech pan przestanie!

Próbowała odsunąć wisiołek od skóry, co było trudne, ponieważ nosiła go pod ubraniem.

– Nosisz ochronny amulet. Powinienem był to zauważyć. – Uśmiechnął się trochę zmartwiony. – To Delacroix ci go dał?

Spojrzała na feyona ze złością.

– Co pan wie o Delacroix?

– Wszystko, co mi o nim opowiedziałaś, Cérise. Wszystko, o co cię pytałem.

Przypomniała sobie. Opowiedziała mu wiele; o swym życiu, kochankach i obecnym zadaniu. Powiedziała wszystko to, czego nie zdradziła jeszcze żadnemu człowiekowi i co wolałaby na zawsze pozostawić dla siebie. Si zabrał jej wszystkie tajemnice, czytał w Cérise jak w otwartej księdze.

Aż się gotowała z wściekłości.

– Szpiegował mnie pan! – fuknęła.

– Ściśle mówiąc, nie – odparł. – Od dawna już chciałaś komuś to powiedzieć. Pozbawiłem cię jedynie zahamowań.

Pochylił się, opierając łokcie na kolanach. Splótł długie, wąskie dłonie. Przypominała sobie te ręce. Ich dotyk przenikał do głębi. Przyglądała się wąskim, długim paznokciom.

– Tak pan to nazywa? – odparła jadownicie. – Zmusił mnie pan, bym robiła rzeczy...

– Nie. – Czarne oczy wytrzymały jej spojrzenie. – Mógłbym sprawić, byś robiła różne rzeczy. To łatwe, ale niepotrzebne. Pozbawiłem cię jedynie zahamowań.

Skoczyła na równe nogi i rozszoszczona zaczęła chodzić w tę i z powrotem.

– Nie ma pan do tego żadnego prawa!

– To prawda, absolutnie żadnego. Ale wy, ludzie, macie na to przysłowie: „W miłości i na wojnie wszystko jest dozwolone”. Kocham cię. Śledziłem twoje triumfy, potajemnie ci towarzyszyłem. Aż do wczoraj. Wiesz o tym.

Skinęła głową.

– Orchidee. – Odwróciła się ku niemu. – Czy pan... eee... odebrał mi już kiedyś moje zahamowania? Czy jest coś, o czym powinnam wiedzieć?

Uśmiechnął się zawstydzony.

– Nie. Przynosiłem tylko orchidee. Czasami obserwowałem cię niezauważony. Dopiero wczoraj rozmawiałem z tobą bezpośrednio.

– Dlaczego?

– Jest ku temu cały szereg powodów.

– Jestem ciekawa. Czy byłby pan tak miły i mnie oświecił?

Się spojrzał na nią zawstydzony i zakłopotany. Nie odpowiedział od razu.

– Czy nie powinniśmy może lepiej...

– Nie – przerwała mu stanowczo. – Oczekuję odpowiedzi i lepiej, żeby była szczerą. Ten amulet pali moją skórę, ale przynajmniej nie może mnie pan okłamywać.

Odchylił się i splótł ręce za głową.

– Oczywiście, że mogę cię okłamywać. Kłamstwo jest łatwe i nie ma w nim nic magicznego. Nie mogę tobą manipulować magicznie. Twój amulet chroni cię przed magią, nic poza tym.

– W takim razie usilnie pana proszę, by mnie pan nie okłamywał. Niech mi pan po prostu powie prawdę, szczerze i bez ogródek.

Roześmiał się.

– A od kiedy to prawda jest prosta i bez ogródek, moja piękna? Prawda jest złożona.

– Wie pan co? – Cérise usiadła w fotelu na drugim końcu pokoju. – Ma pan wspaniały, melodyjny głos i mogłabym słuchać tak pana godzinami. *Mais vraiment*, odmówię sobie tej przyjemności, jeśli nie przestanie pan uprawiać daremnej filozofii, zamiast odpowiadać mi na pytania.

– A jeśli moje odpowiedzi nie będą takie, jak byś sobie tego życzyła: proste i bez ogródek, co wtedy? Zastanawiałaś się już nad tym, co chciałabyś usłyszeć?

– Sądzę, grafie Arpad, że już najwyższa pora, by udał się pan do swych pokoi – odpowiedziała z powściągliwą uprzejmością. – Jest już późno. Miałam męczący wieczór, a pański czar dzisiaj nie działa. Co za pech. Dobrej nocy i gorące podziękowania za to, że mnie pan uratował. *Adieu*.

Wstał. A potem szybciej, niż mogły nadażyć oczy, znalazł się przed Cérise i padł na kolana.

– Błagam, nie wypraszaaj mnie! Nie w ten sposób.

Wyglądał przy tym tak wzruszająco... Cérise pomyślała, że feyon znów rzuca na nią swój czar. Ale amulet pozostawał zimny. Musiała

wziąć się w garść, by go nie dotknąć.

– Prawda – powiedział Sí z westchnieniem – jest taka, że nie uratowałem ci życia. Wystarczyłby do tego amulet, który nosisz. Powinienem był zauważyć, że go masz, ale nie słuchałem tak jak trzeba. Byłem skupiony na innych sprawach.

– Nie słuchał pan? Czy to wydaje jakiś dźwięk?

– Nie, ale ludzie nie mają tego szczególnego zmysłu, który ja, my posiadamy. Dlatego brak mi na to dobrego określenia. Może powinienem użyć słowa „poczuć”. W każdym razie nie mogę szczycić się tym, że cię uratowałem. Chociaż chętnie uratowałbym ci życie, bo jest mi drogie ponad wszystko. Rzeczywiście jednak wyświadczyłem tę przysługę tej małej. Delacroix zamierzał ją zabić. Zimnym żelazem. – Jego głos brzmiał twardo. – Ale zapewne chcesz wiedzieć więcej. Odwiedziłem cię dziś po południu i wczoraj wieczorem, ponieważ moje pożądanie było silniejsze od rozsądku i ponieważ chciałem dowiedzieć się czegoś więcej o tym, co się tu dzieje.

– A więc połączył pan przyjemne z pożytecznym? Cóż za praktyczność – odparła.

– To prawda, choć trudna i zawila – przyznał. – Pozostaje jeszcze dodać, że cię kocham. Czy to się liczy?

Spojrzała na niego. Przyszło jej do głowy, że prawdopodobnie był niesamowicie niebezpieczny. Powstrzymał cios Delacroix. To znaczyło, że feyon był silniejszy niż Brytyjczyk. Niewielu ludzi mogłoby to o sobie powiedzieć. Sí wcale nie wyglądał na silniejszego. Ale nie był przecież człowiekiem. Mógł robić rzeczy, o których nie miała pojęcia. Już sama jego szybkość zapierała dech w piersiach. Gdyby chciał ją skrzywdzić, Cérise nie byłaby w stanie się bronić.

– Nie wiem – odpowiedziała. – A powinno się liczyć? Nie wiem nic o pana rasie, a już tym bardziej o panu. Skąd mam wiedzieć, czy w ogóle potrafi pan kochać?

Wstał i cofnął się o krok.

– Och, oczywiście, że możemy kochać. Czujemy tak jak wy. Mamy rozum tak jak wy. W wielu rzeczach nie jesteście jednak do nas podobni. Nasze życie trwa znacznie dłużej niż wasze. Mam więcej zmysłów niż ty. Wyraźnie czuję, że się mnie boisz. Nie obawiaj się! Nie

zamierzam ci nic zrobić.

– I to jest prawda, choć trudna i zawiła?

Roześmiał się.

– To jest prawda. Gdybym chciał cię zamordować, już byś nie żyła. Oto prawda, prosta i bez ogródek.

– Zapomina pan o amulecie – rzuciła odważnie.

– Nie. Amulet chroni cię przed siłami, które nazywacie magią, ale nie przed fizyczną przemocą. Jeśli się zastanowić nad tym, jak mało mi ufasz, a nie masz zresztą ku temu żadnych powodów, to muszę stwierdzić, że jesteś bardzo nieostrożna. Wolałbym, żebyś bardziej na siebie uważała.

– A więc radzi mi pan, abym pana wyprosiła?

– Nie. Mam nadzieję, że pozwolisz mi zostać.

Spojrzał jej w oczy, Cérise zaś wiedziała, że mogłaby się zatracić w tym ciemnym spojrzeniu. Przypomniała sobie, jak Sí zdejmował z niej ubranie i jaką rozkosz sprawiał jego czuły dotyk na skórze.

– Dlaczego miałabym to zrobić? – odparła bez zastanowienia.

Przysunął się do fotela, ujął rękę kobiety i pocałował.

– Masz wiele niebiańskich cech charakteru. Naiwność do nich nie należy.

Cérise uświadomiła sobie, że się czerwieni. Dawno jej się coś takiego nie przytrafiło.

Noc z feyonem. To brzmiało jak zakazany owoc, oszałamiająco i podniecająco. Być może zbyt podniecająco.

Dotyk ust na jej skórze przywołał kolejne wspomnienia. Wystraszona wciągnęła powietrze i wyrwała dłoń.

– Ugryzł mnie pan! – niemal krzyknęła. – Pan...

Przez krótką chwilę wyglądał na zaniepokojonego i zranionego. A potem uśmiechnął się skruszony.

– Tak – przyznał – ugryzłem cię i piłem twoją krew. Tylko troszeczkę, nie za dużo, byś mogła to bez problemu znieść. I kocham smak twojej krwi. Jesteś wykwinną kobietą, i to w każdym tego słowa znaczeniu.

Chciała się zerwać i cofnąć, feyon jednak stał zbyt blisko i pochylał się ku niej.

Odsunęła się w fotelu. Mężczyzna był wampirem. Słyszała już o takich stworzeniach. Co się robi przeciw wampirom? Próbowała to sobie przypomnieć. Czosnek – ale go nie miała. Nie lubiła nawet czosnku i nie jadła go, jeśli można było tego uniknąć. Krzyż? Miała jakiś w szkatułce na biżuterię. Za daleko. Co jeszcze? Dienne światło? Odwiedził ją po południu, przypomniawszy sobie jego ciemne okulary.

– Boisz się? Nie musisz. Większość rzeczy, które opowiada się o takich jak ja, jest nieprawdziwa.

– Takich jak pan – powtórzyła, próbując jeszcze bardziej wcisnąć się w siedzisko. – Jest pan wampirem, prawda?

– Tak, tak nazwaliście takich jak ja. – Pochylił się nad nią jeszcze bardziej i oparł ręce o poręcz fotela. Tym samym odciął jej jakąkolwiek drogę ucieczki. – Ta nazwa niewiele znaczy i jest tak samo płytka jak te zabobony, o które mnie posądzacie. Żyję. Powinnaś to wiedzieć. Nie wstaję każdej nocy z zatechłego grobu. Nie podróżuję też z własnym stadem szczurów. Żyję, nawet bardzo, i kocham też bardzo, i to ciebie. I choć niesamowicie lubię smak twojej krwi, znacznie bardziej lubię zapach twojego życia. Jesteś tak pełna cudownego życia i za to cię kocham. Nigdy bym go nie odebrał, nigdy bym go tobie nie odebrał, a – spojrzał na amulet, który kurczowo zaciskała, szukając w tym ratunku – twój magiczny klejnocik też nie ochroni cię przed tym, kim jestem. Musisz mi zaufać, musisz uwierzyć, że nie chcę cię zabić. Możesz to zrobić?

Cérise zastanawiała się, czy ktoś przybiegnie z pomocą, jeśli zaczniesz teraz krzyczeć. Ale nikt nie byłby w stanie dotrzeć do niej dość szybko.

– Morduje pan ludzi! – wyszeptała po chwili.

– Rzadko. Tylko wtedy, kiedy muszę – odpowiedział. – Gdybym każdej nocy pozostawiał po sobie kilka ofiar, to zarówno mnie, jak i takich jak ja tepilibyście od stuleci wszelkimi środkami. Po prostu spróbuj na to spojrzeć logicznie. Gdyby wasz mit o wampirach był prawdziwy, już dawno byśmy was wybili. Gdyby każda nasza ofiara stawała się wampirem, nie byłoby już na świecie ani jednego człowieka.

– Ale zabijał pan ludzi. – Wiedziała to nagle z całkowitą pewnością.

– Tak. Tak samo jak twój Delacroix. Cérise, wy, ludzie, jesteście dużo bardziej wprawieni w sztuce zabijania niż my. Potraficie to lepiej niż Si. Robicie to w zorganizowany, planowy sposób. Stworzyliście armie i z zabijania uczyniliście sztukę. Sztukę wojny. Jestem tylko mężczyzną, który potrzebuje krwi, by przeżyć, i jeśli mam wybór, a zazwyczaj go mam, to nie zabijam.

Odsunął się od niej.

– Tu nie chodzi o zabijanie, Cérise – powiedział z naciskiem. – Tu chodzi o odwagę. Miłość wymaga odwagi. Gdybyś mogła znaleźć w sobie tyle samo miłości do mnie, ile ja czuję do ciebie, to byłabyś odważniejsza niż kiedykolwiek wcześniej. I myślę, że masz taką odwagę.

Oboje milczeli. Cérise nie wiedziała, co powiedzieć. Nie wiedziała nawet, co ma myśleć, i przez to powiedzenie czegokolwiek stawało się jeszcze trudniejsze. Jej detektywistyczne hobby było jedynie ubocznym produktem romansu z Delacroix. Od czasu gdy oddawała się temu hobby, uświadamiała sobie bardziej niebezpieczeństwa, które się wszędzie czaiły. Znacznie poprawiła się też jej zdolność radzenia sobie z niebezpieczeństwami.

Tyle tylko, że ta sytuacja była inna. Cérise nie wiedziała dość, by ocenić ryzyko. Nie wiedziała nic o celach feyona, zdolnościach czy szczerości. Śpiewaczka potrafiła dobrze ocenić mężczyzn. Ale czy wampir był mężczyzną?

– Odwaga – wyszeptała po dłuższej chwili. – Tak słabo pana znam. Nie wiem, co myśleć. Jest pan wyjątkowo atrakcyjny i uwodzicielski, wie pan o tym. Mówi pan, że mnie kocha. Ale z łatwością mógłby mnie pan zabić.

– To prawda – przyznał. – Ale to mógłby zrobić każdy. Każdy mężczyzna, który ciebie... którego kochałaś, mógłby to zrobić. W każdej chwili. Wiem, że dobrze sobie radzisz z pistoletem. Ale czy miałaś go pod ręką, gdy byłaś z innymi mężczyznami? Raczej nie. Każdy z nich mógłby, gdyby tylko chciał, chwycić i zmiażdżyć twą przepiękną białą szyję. I nie próbuj mi powiedzieć, że zdołałabyś się przed tym obronić albo pokonać przeciwnika. Nie warto o tym myśleć. Nie chcieli cię zabić i ja też nie chcę.

Ułamek sekundy później stał już przy komodzie, w której trzymała ukryty pistolet, i wyciągał go. Nagle Cérise uświadomiła sobie, że sama mu powiedziała, gdzie ukryła broń. Uśmiechnął się z zadowoleniem. To był bardzo dziwny wyraz twarzy i kobieta musiała się powstrzymać, by nie wcisnąć się jeszcze bardziej w zagłębienia fotela, gdy feyon znów podszedł do niej, trzymając broń, którą z taką łatwością znalazł.

Podał Cérise pistolet rękojeścią do przodu. Wzięła go.

– Cóż, teraz jesteś uzbrojona. Przeciw całej tej masie zła. – W jego śmiechu zabrzmiały nuty chyba zdenerwowania. – Czujesz się teraz pewniej?

W rzeczy samej, czuła się pewniej. Stał przed nią i trudno byłoby w niego nie trafić.

– Najprawdopodobniej nie można pana tym nawet zranić – powiedziała nieufnie.

– Owszem, można – zapewnił. – Nie zabije mnie to, ale możesz mnie tym poważnie zranić. Moja zdolność samoleczenia jest znacznie lepsza niż u ludzi, ale kula przelatująca przez płuco w paskudny sposób zakończyłaby moje próby zbliżenia.

Stał teraz obok jej fotela z miłym uśmiechem.

– Wiesz co? Sprawdźmy wspólnie twoją i moją odwagę – powiedział i przysiadł na oparciu, elegancko balansując szczupłym ciałem, by nie stracić równowagi. Prawą rękę oparł o drugą poręcz. Był zbyt blisko.

Ujął prawą dłoń Cérise, wciąż kurczowo zaciśniętą na pistolecie, i skierował ku swej skroni.

– Jeśli rozprowadzisz teraz mój mózg równomiernie po dywanie, zdecydowanie zaszkodzi to mojemu samopoczuciu. Ale dam ci taką szansę. Możesz zdecydować, czy chcesz skorzystać. Ponieważ – jego twarz zbliżyła się do twarzy Cérise, podczas gdy ręka wciąż przyciskała jej prawą dłoń z bronią do skroni – zamierzam cię teraz pocałować.

Puścił rękę, uniósł podbródek Cérise i zrobił to, co zapowiedział. Jego usta były powściągliwe, niemal ostrożne, ale czuła jego namiętność i rosnące podniecenie. Z każdą upływającą sekundą pocałunek stawał się coraz bardziej pożądliwy, intensywny, słodki. Czuła, jak jej opór topnieje. Jego cienkie, jedwabiste włosy łaskotały jej twarz. Usta



przesunęły się po jej policzku, a później feyon całował jej oczy i brwi.

Głośny strzał przerwał ciszę. Cérise upuściła broń i zaczęła krzyczeć.

## Rozdział 52

Asko von Orven i Delacroix klęczeli przy zwłokach byłego towarzysza. Delacroix przeszukiwał kieszenie martwego jak wyszkolony złodziej i podporucznik postrzegał to zachowanie jako trochę *dégoûtant*. Nic jednak nie powiedział, przyglądał się tylko, jak wyższy rangą oficer systematycznie wyciąga przedmioty martwego, uważnie je sprawdza i część z nich po prostu chowa do kieszeni.

Ich rozmowa była więcej niż wymuszona.

– Nie był wysłanym do nas magiem – wyjaśnił Delacroix, odpierając zarzut, że zabił mistrza sztuk tajemnych wysłanego osobiście przez Jego Wysokość króla Ludwika II. – Von Görenczy potknął się o tego właściwego. W dosłownym znaczeniu. Powinniśmy byli dodać dwa do dwóch.

Asko popatrzył na niego z namysłem. Można było poznać po wyrazie twarzy, jak młodemu oficerowi fakty zaczynają układać się w głowie w spójną całość.

– Przeoczyliśmy to – przyznał trzeźwo. – Mieliśmy prawdę przed oczami, ale jej nie dostrzegliśmy. Musiałem być ślepy i głupi. Gdy przekazywał nam pismo polecające, dziwiłem się, że pan premier go nie opieczętował. Było fałszywe. Powinienem być to zauważyć. Ale maga znał personel hotelu. Musiał tu już mieszkać wcześniej. Odebrałem to automatycznie jako dowód jego tożsamości. A to był błąd. Von Pfordten nie mógł nam od razu powiedzieć, kogo do nas wyśle. Oszustowi łatwo więc przyszło zajęcie miejsca naszego maga. Nawet nie musiał zmieniać nazwiska.

Wstał. Zastanawiał się, dlaczego Corrisande była taka pewna, że mag stanowi zagrożenie. Kobiety, gdy chodziło o niebezpieczeństwo, wykazywały się czasem szóstym zmysłem. To nawet sprawiedliwe, jeśli się weźmie pod uwagę, o ile były delikatniejsze. Takimi stworzyła je natura, ale najwyraźniej wyposażyła kobiety w instynkt ostrzegawczy. Asko odegnał te myśli i spojrział na zwłoki.

– Cóż, przyszpilił go pan z dużą precyzją. Jak zakładam,

powiniennem za to podziękować.

– Niech mi pan nie dziękuje – odparł opryskliwie Delacroix. – Wolałbym, żeby żył i mógł odpowiedzieć na kilka pytań. Wiele rzeczy jeszcze nie wiemy. Jesteśmy tak samo ślepi i nie mamy o niczym pojęcia jak wcześniej. A teraz doszedł jeszcze ten więzień w skrzynce i nie wiadomo, co z nim zrobić.

– Może powinniśmy skonsultować się z innym mistrzem sztuk magicznych?

– Jeden jest już w drodze. McMullen. Ale nie wiem kiedy. Jutro, pojutrze, kiedykolwiek, a bez niego nie jesteśmy w stanie odpowiednio poradzić sobie z tą sytuacją. Złapaliśmy bestię, ale wciąż nie odnaleźliśmy rękopisu.

Asko spojrział na martwego. Miał rację, że go nie lubił. Magowie w ogóle byli złem. To, co tajemnicze i nienaturalne, sprawiało, że von Orven stawał się nerwowy i nieufny. Nie chodziło nawet o strach, ale wszystko, co przeczyło naturalnym prawom logiki i fizyki, budziło wstręt młodego oficera.

– Powiedział jeszcze coś, co mogłoby nam się przydać?

Powiedział aż za dużo, pomyślał Delacroix. Większość z tego była niespójna i szalona, ale niektóre rzeczy w pewien podły sposób miały sens.

– Powiedział, że z pomocą manuskryptu chciał rządzić światem i że ukryte w rękopisie moce to umożliwią. Nie wiem, czy mówił prawdę, ale jeśli tak, to powinniśmy liczyć się z tym, że głodni władzy wariaci z całego świata już do nas gnają.

Tak jak Bractwo. Mnisi zapewne chcieliby dostać w swoje ręce taki artefakt. Liczba ich członków przez stulecia, a zwłaszcza w epoce rozumu i w obecnych czasach, stopniała tak bardzo, że tego rodzaju narzędzie byłoby dla Bractwa bardzo przydatne. Dawałoby możliwość zamiany świata w raj zgodny z wyobrażeniami inkwizytorów. Czyli w piekło dla większości ludzi.

– To niezbyt wesoła myśl – westchnął von Orven. Bolało go, że pozwolił, by Miss Jarrencourt wróciła do swych pokoi bez stosownej eskorty. Ale nie był do końca pewny, jak w zaistniałej sytuacji należało się zachować. Corrisande chyba nie życzyła sobie towarzystwa, a do

tego mieszkała niemal naprzeciw. Poza tym Delacroix wyraźnie okazał, że potrzebuje Asko.

Jednocześnie von Orven nie mógł się pozbyć uczucia, że powinien przeprosić za swoje zachowanie. Choć zasadniczo to nie on zachował się nieodpowiednio. Popadł w bezsenne, czarne omdlenie, gdy nagle jego ciało zaczęło się budzić i zdawało się, że jest przez coś przyciągane do rzeczywistego świata. Przebudzenie pocałunkiem młodej damy było czymś niezwykle przyjemnym. Asko nie miał pojęcia, co się działo, ale jego ciało wiedziało, jak reagować – odwzajemnił pocałunek, zanim jego rozum był w stanie pojąć, co się dzieje.

– Pułkowniku – powiedział – nie chcę pana krytykować, jak na dziś spieraliśmy się aż nadto, ale czy nakłonił pan Miss Jarrencourt, by mnie pocałowała?

Pułkownik w skupieniu przyglądał się zwłokom i nie spojrzał na niego, gdy odpowiadał:

– Utrata świadomości wywołana magią może być bardzo głęboka, niemal jak śpiączka. Byłem pewien, że pańskie ciało i umysł muszą szybko odnaleźć drogę z powrotem, i zakładałem, że pocałunek Miss Jarrencourt wywoła jakąś reakcję pańskiego ciała. Ufam, że nie było to niemiłe doświadczenie.

Von Orven poczerwieniał.

– W żadnym razie – zapewnił. – Jestem jedynie zdziwiony, że skłonił ją pan do sięgnięcia po tak niezwykle środki. Mam nadzieję, że nie zmusił jej pan do czegoś, czemu by się sprzeciwiała.

– Nie zmusiłem jej, by pana pocałowała – rzekł Delacroix po chwili. – Miss Jarrencourt jest bardzo... szczodłą młodą damą. Pańskie samopoczucie widocznie leżało jej na sercu, a ponadto – nagle spojrzał zjadliwie w błękitne oczy młodszego mężczyzny – możliwe, że dla niej samej to lekarstwo też nie było całkiem nieprzyjemne.

Ze złośliwym uśmiechem zauważył, że Asko znów się zarumienił. Młody mężczyzna chciał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie. Najwyraźniej nie był pewien, czy komentarze pułkownika były obraźliwe, czy nie, i postanowił o to nie dopytywać.

– Jutro rano doprowadzę tę sytuację do porządku – stwierdził młody oficer.

Poprosi ją jutro o rękę, uświadomił sobie Delacroix. Reakcja młodego, głupiego człowieka honoru rodem z książki z obrazkami na kłopotliwą sytuację. Dama przekroczyła granicę tego, co dozwolone, kawaler zaś był gotów ponieść tego konsekwencje. Prawdopodobnie wydawał się sobie przy tym jeszcze wspaniały.

Delacroix nie wiedział, co o tym myśleć. Nie chciał, by von Orven „nacieszył się” tą dziewczyną, jak nietaktownie wyraził się Vonderbrück. Istniała cała masa dobrych powodów, dlaczego pułkownik tego nie chciał, i cała masa jeszcze innych powodów.

– Podporuczniku, nie mam absolutnie żadnego prawa, by mieszać się do pańskich spraw, ale uważam, że nie powinien pan działać zbyt pochopnie. W spokojniejszej chwili może pan żałować pospiesznej decyzji – upomniał.

– W istocie, nie ma pan żadnego prawa, by wtrącać się w moje sprawy – odparł Asko. – Wiem, że pańskie wyobrażenia w kwestii przyzwoitości i obyczajów nie pokrywają się z moimi, zwłaszcza w odniesieniu do osób słabszej płci. Wyrosłem w przekonaniu, że obowiązkiem dżentelmena jest szanować damę i ją chronić. Że człowiek trzyma się reguł, nie szkodząc kobietom i dziewczętom i nie wpędzając ich w nieszczęście. Nie jest moim zamiarem pana obrażać, ale pańskie zachowanie wobec kobiet zdaje się wskazywać na to, że pańskie wychowanie nie przypominało tego, jakie ja otrzymałem.

Jeżeli liczył na to, że Delacroix poczuje się tą krytyką urażony, to się rozczarował. Pułkownik wybuchnął jedynie krótkim, pozbawionym radości śmiechem.

– Dobrze powiedziane i w dużej mierze prawdziwe. Moje wychowanie rzeczywiście przebiegało inaczej niż pańskie. Uważam, że większość kobiet jest znacznie silniejsza, niż pan zakłada, i że obraża się ich ducha i inteligencję, upierając się przy tym, że są słabowitymi, bezbronnymi istotami. Szanuję kobiety, ale z innego powodu niż pan. Kobiety są zdolne do czegoś znacznie więcej, niż się panu wydaje. Zarówno do dobrego, jak i złego. Mam nadzieję, że się pan o tym nigdy nie dowie w jakiś bardzo nieprzyjemny sposób.

Delacroix zastanawiał się, czy nie opowiedzieć młodemu mężczyźnie o oskarżeniach i aluzjach Vonderbrücka pod adresem

dziewczyny oraz o tym, że to ona zabiła maga, co było nie było stanowiło wymowny dowód, że w wizerunku dobrze wychowanej, cnotliwej małej damy coś się nie zgadzało. Prostytutki i łatwe dziewczyny zazwyczaj dobrze wiedziały, jak się bronić.

Nie był już jednak taki pewien, czy Corrisande rzeczywiście należała do tego rodzaju kobiet. Delacroix był pełen gniewu i wściekłości na nią, na samego siebie i na uczucia, jakie wobec niej żywił. Czuł się zdradzony. Jak głupiec. Reakcja dziewczyny na atak zaskoczyła go jednak. Nie wiedział, czy jakakolwiek kobieta byłaby w stanie tak dobrze udawać dziewczęcą panikę. Corrisande swoim zachowaniem sprawiła, że poczuł się, jakby wymierzono mu policzek.

Pułkownik mógł to zinterpretować na dwa sposoby. Albo była rzeczywiście przyzwoitą dziewczyną, albo tak przebiegłym babskiem, że jej udawane przerażenie zmyliło nawet jego. Delacroix dowiódł się tego, tak samo jak musiał się dowiedzieć, dlaczego zlecenie na zamordowanie go opatrzone było pieczęcią z jej pierścienia i gdzie nauczyła się tak dobrze rzucać nożem. Jeśli się weźmie pod uwagę te dwie ostatnie rzeczy, to pierwsza interpretacja wydawała się nieprawdopodobna.

Z korytarza dał się słyszeć strzał. Huk był ogłuszający, a przez pogłos dobiegł ich zduszony okrzyk kobiety. Obaj mężczyźni rzucili się do drzwi.

– Miss Jarrencourt! – zawołał Asko. Jego twarz wyrażała konsternację i poczucie winy.

– Von Görenczy! – krzyknął Delacroix. – Musimy mu pomóc!

Popędzili przed siebie i pułkownik w ostatniej chwili zdążył dogonić podporucznika przed drzwiami, zanim ten bez zastanowienia wybiegł.

Delacroix ostrożnie otworzył drzwi. Korytarz był jasno oświetlony gazowymi lampami i prawie pusty. W drzwiach Udolfa widniała poszarpana dziura. Kawalki drewna rozprysły się po podłodze.

Udolfa nie było nigdzie widać. Za to przed drzwiami do pokoju Miss Jarrencourt stał wielki mnich w czarnym habicie. Wyglądał na wściekłego, ale Delacroix nie był ani trochę mniej wściekły. Skoczył niczym tygrys, chwycił za habit na piersiach i zawinął mnichem z taką siłą o ścianę, że można było usłyszeć, jak uderzenie wypycha bratu

powietrze z płuc.

– Wracaj pod kamień, spod którego wypełzłeś, albo przysięgam na Boga, że złamię ci kark! – wrzasnął Delacroix. Jego oczy płonęły.

Von Orven nadbiegł za nim i przyglądał się w zdumieniu temu, co zaszło.

– Co pan robi? Pułkowniku! Niech pan przestanie! Przecież nie może pan tak szarpać człowieka Kościoła!

Człowiek Kościoła właśnie odzyskał panowanie nad sobą i swym oddechem. Jego olbrzymie ręce uniosły się, zacisnęły jak imadła na szyi Delacroix i zaczęły dusić. Von Orven, przed chwilą jeszcze spieszący na pomoc duchownemu, zamarł, spoglądając w osłupieniu na człowieka, który zachowywał się zupełnie inaczej, niż można by tego oczekiwać od pobożnego braciszka.

Obaj walczący byli więksi i mocniejsi niż większość ludzi. Podporucznikowi wydawało się, że w oczach mnicha płonie ten sam fanatyczny gniew, który zdarzało mu się widywać u pułkownika. Niemal byli do siebie podobni. Teraz musiał jednak szybko zdecydować, po czyjej stronie ma stanąć do walki. Był dobrym katolikiem i ciężko mu przychodziło atakować przedstawiciela Kościoła.

Istniała jednak możliwość, że był tylko w przebraniu. Może należał do tej oczekiwanej przez pułkownika falangi głodnych władzy szaleńców, którzy chcieli zagrabić rękopis.

Delacroix dał radę oderwać od szyi małe palce przeciwnika, odginając je w stawach, dzięki czemu odchyłał ręce napastnika, jakby używał dźwigni. Mnich nie wahał się jednak ani przez chwilę; uwolnił ręce i pięścią uderzył pułkownika w twarz. Ten tanecznym ruchem uskoczył i cios nie sięgnął celu. Asko wciąż jeszcze stał obok walczących i nic nie robił. Miał przeczucie, że żadna ze stron nie doceni jego interwencji. Wydawało się, że to bardzo osobista walka. Asko rozejrzał się po korytarzu, czy nie zbliżają się kolejni przeciwnicy, nie zauważył jednak nikogo. Jedynie przed drzwiami do pokoju von Görenczy'ego dostrzegł na podłodze ciemną plamę. Krew. Ktoś został ranny.

Z drugiej strony korytarza otworzyły się drzwi apartamentu mademoiselle Denglot i Asko dostrzegł, że ktoś ostrożnie zza nich

wygląda. To nie była Cérise. Przyjęła u siebie mężczyznę. Morale tej śpiewaczki bez żadnych wątpliwości nie było zbyt wysokie. Asko nie rozumiał przedstawicieli swojej płci. Kto pragnąłby kobiety, która obdarzała łaskami tak wielu?

Nie mógł zbyt dobrze przyjrzeć się temu mężczyźnie, ale jego czarne włosy wydały się Asko znajome. Dotknął sińca na swojej twarzy. Coś mu wypadło z pamięci. Nie mógł sobie przypomnieć. A potem drzwi się zamknęły.

Corrisande. Jak mógł o niej zapomnieć? Miał nadzieję, że nic jej się nie stało. Spojrzał tęsknie w stronę jej drzwi, te jednak pozostawały zamknięte, a było przecież za późno, by zapukać i poprosić o wpuszczenie do środka. To był dla niej męczący i potworny dzień. Dziewczyna pewnie już śpi. Po ich ostatnim, intymnym spotkaniu, z pewnością nie wypadało Asko jej budzić. Nieproszona przyszła mu do głowy niestosowna myśl: by budzić ją tak, jak ona budziła jego. Pocałunkiem, który poruszyłby jej serce. Młody oficer wyraźnie przypominał sobie miękkie wargi Corrisande, niemal mógł je poczuć.

Mężczyzna w ciemnym habicie, próbując go wyminąć, nagle wszedł mu w drogę i spróbował uderzyć go pięścią w żołądek. Asko zareagował odruchowo. Był wyćwiczonym bokserem, preferował jednak regulaminowe walki, toczone według zasad określonych w „Boxiana” przez Pierce a Egana. Za szarpaniną nie przepadał. Uskoczył tanecznym ruchem, wyprowadzając lewy sierpowy prosto w podbródek znacznie większego przeciwnika.

Mnich upadł. Zwalił się jak głaz.

Pięść Delacroix trafiła jedynie powietrze nad nim.

Obaj mężczyźni przyglądali się powalonemu wrogowi.

– Niezły z pana czort – powiedział Delacroix po kilku chwilach. – Chętnie zobaczyłbym pana kiedyś na ringu. Boksuje pan częściej?

– Od czasu do czasu – odparł zwięźle von Orven. – Kto to jest? Wygląda, jakby pan go znał.

– Nie osobiście – odpowiedział Delacroix. – Należy do pewnej grupy bardzo niebezpiecznych i niezbyt wyrozumiałych szaleńców.

– Ach, i pan zna tę grupę? – usłyszeli głos von Görenczy’ego dochodzący od drzwi jego pokoju. Szwoleżer stał na progu i ładował



broń. – Wie pan, Delacroix, najwyższa pora, żeby opowiedział nam pan trochę więcej o tym wszystkim. Oczekiwał pan jego odwiedzin, prawda?

– Jego i innych też – przyznał Delacroix. – Ciężko będzie to panom wyjaśnić i lepiej, jeśli udamy się w tym celu do naszego pokoju. Co zrobimy z tym tutaj? Przecież nie możemy go tak zostawić, a zabicie go nie byłoby chyba właściwe, chociaż chętnie bym to zrobił. – Był rozsierdzony.

– Może moglibyśmy go przekazać policji – zaproponował von Orven. – I tak musimy ich zawiadomić i poprosić, by zabrali zwłoki.

– Kolejne zwłoki? – zapytał von Görenczy. – Kto tym razem jest martwy? Vonderbrück wam o nich powiedział?

– Nie. To Vonderbrück nie żyje – odpowiedział Asko. – Zaraz ci wszystko opowiemy i poinformujemy policję. Będzie mogła przejąć od nas tego fałszywego mnicha.

– Och, on jest prawdziwym mnichem – zapewnił Delacroix. – Bratem z pewnego niezwykle pobożnego zakonu. Najgorszego, jaki istnieje.

Podporucznik Asko von Orven popatrzył na niego zdumiony. A potem zaczął się zastanawiać, co powie podczas swej następnej spowiedzi.

## Rozdział 53

Graf Arpad zamknął drzwi i zagroził do nich przejście.

– Co się stało? – zapytała Cérise Denglot.

Arpad rozpoznał mnicha i ucieszył się, że mężczyzna był zbyt zajęty walką, by go zauważyć. Był pewien, że obaj oficerowie pokonają przeciwnika.

Odwrócił się do Cérise. Stała tuż za nim, tylko czekając, by wybiec na korytarz i sprawdzić, co się dzieje. Arpad jej nie przepuścił. Gdy padł strzał, wpadła w panikę. Myślała, że to ona przypadkowo strzeliła. W jakiś sposób udało jej się podskoczyć i pociągnąć Arpada za sobą. Nieoczekiwana konsternacja dodała jej sił, jakich się po kobiecie nie spodziewał.

Zatrzymał ją i objął. Trzymał w bezpiecznym, ciasnym uścisku, dopóki choć trochę nie doszła do siebie. Mógł czuć jej strach, pragnął umysłem pogłaskać jej myśli, by je uspokoić. Ale nie mógł jej dotknąć, dopóki nosiła amulet. Zresztą to na powrót by ją wystraszyło.

– Walczą – powiedział Arpad. – Twój Delacroix jest silnym, bardzo zdecydowanym mężczyzną.

– On nie jest moim Delacroix – odparła Cérise. Poczowała się przy tym nieswojo, ponieważ tak wiele o niej wiedział. Zdawało się, że potrafił ją przejrzeć i rozumiał, że Delacroix znaczył dla niej znacznie więcej niż inni mężczyźni, z jakimi miewała romanse.

– Nie – zgodził się. – Już nie. Wiem. – Milczał przez chwilę. – Walczy z niebezpiecznym przeciwnikiem, ale nie jest sam i myślę, że nie musimy się o niego martwić.

– Nie mógł mu pan pomóc? – zapytała Cérise, przypomniawszy sobie, z jaką łatwością cisnął Asko przez całe pomieszczenie. Wtedy się nad tym nie zastanawiała. Była zbyt skupiona na wydarzeniach i niebezpieczeństwie, w jakim sama się znajdowała. Gdy jednak teraz o tym myślała, doszła do wniosku, że feyon prawdopodobnie był silniejszy od każdego, kogo do tej pory spotkała.

– Nie – odpowiedział. – Będzie lepiej, jeśli jego przeciwnik mnie

nie zobaczy.

Stali teraz na środku salonu i w ciszy spoglądali na siebie. Strzał w gwałtowny sposób zakończył ich osobliwe tete-a-tete. Cérise patrzyła w poważną, piękną twarz Sí i przypomniawszy sobie jego pocałunki oraz niesamowitą taktykę, jaką próbował przekazać jej poczucie bezpieczeństwa. Pistolet jeszcze leżał na podłodze, naładowany i wciąż gotów do strzału.

Podszedł bliżej i ujął jej rękę. Cérise poczuła się nagle niepewnie, spuściła wzrok. Pokój był wypełniony jego obecnością, Arpad dominował nad całym otoczeniem.

– Myślałam, że pana zabiłam – wyszeptała. Jej głos dziwnie zabrzmiał w jej własnych uszach.

Znów przyciągnął ją do siebie i mocno trzymał. Czowała jego zwinne ciało, jego siłę.

– Nic mi nie zrobiłaś, najpiękniejsza. Spokojnie, nie bój się. Oboje jesteśmy żywi i cali.

Jego usta przesuwają się po jej twarzy, odnalazły jej usta, a potem Cérise poczuła, jak ręce feyona manipulują przy haczykach sukni. Pozwalał sobie na zbyt wiele. Był zbyt energiczny i pożądlivy. Niektóre rzeczy wydawały mu się zbyt oczywiste. Nie pozwoliła mu, by zwracał się do niej po imieniu. Nie pozwoliła, by się do niej zbliżył, nie prosiła, by został, wcale nie była taka pewna, czy noc z wampirem była warta jej starań.

A potem wiedziała, że ulegnie. Jej ciało podjęło decyzję i Cérise podążyła za swym pragnieniem. Nie było odwrotu – a gdyby nawet, to nie szukała już ucieczki.

Rozchyliła usta i pozwoliła, by jego język je zbadał. Sí smakował inaczej niż wszyscy inni mężczyźni. To było dziwne. Uświadomiła sobie, że nie wiedziała, czego oczekuje. Nie miała nawet mglistego wyobrażenia o tym, co się teraz wydarzy. To sprawiało, że się denerwowała. Przestał ją całować i oparł czoło o jej policzek.

– Chyba się mnie nie boisz, prawda? – zapytał, wyciągając szpilkę z jej włosów i przeczesując je dłonią.

– Jestem zdenerwowana – przyznała. Była pod wrażeniem tego, jak odczytywał jej uczucia. – Miałeś już wiele ludzkich kobiet. Ja

jeszcze nigdy nie byłam z Sí.

Pocałował ją czule w czoło.

– Moja słodka dziewico – zażartował i zaśmiał się cicho.

– Cóż. – Poczowała się trochę głupio, czego za bardzo nie lubiła. –

Nie wiem, co mnie czeka. Nie wiem nawet, jak... w jaki sposób...

Położył ręce na jej biodrach i przyciągnął mocno.

– Nie jestem jakoś szczególnie inny – zapewnił lekko prowokacyjnym tonem. – Po prostu mężczyzna.

– Och – odparła bez tchu. – Tak. Mogę to nawet wyraźnie poczuć.

Zaczęła rozpinąć jego kamizelkę i koszulę. Rozbieranie się zaczęło nagle trwać o wiele za długo. Rozwiązał jej gorset i zrzucił z niej spód i krynolinę, a jego zgrabność i szybkość zdradzały, że miał w tym wprawę. Setki lat doświadczenia w uwodzeniu kobiet. Ta myśl miała w sobie coś niepokojącego.

Pomogła mu się rozebrać i głaskała jego miękką skórę, delectowała się każdym dotknięciem. Ramionami objęła nagi tułów i przesuwając ręką po kręgosłupie. Sí miał taki sam układ kości jak ludzie i te same ruchliwe mięśnie, co Cérise zupełnie zaskoczyło.

A potem byli już oboje nadzy, ich rzeczy leżały rozrzucone w nieładzie po całym pokoju. Cofnęła się o krok i spojrzała. Skóra wampira była blada i zdawał się węższy oraz szczuplejszy niż wtedy, gdy nosił ubranie. Był dobrze zbudowany, atletyczny, ale raczej nie tak jak żołnierz; bardziej przypominał tancerza.

Niektóre szczegóły rzeczywiście mało różniły się od tych u ludzkich mężczyzn. Jego radość z Cérise była bardzo wyraźnie widoczna. Poczowała w sobie echo jego podniecenia. Przez kilka chwil stali tak i podziwiali piękno swych ciał. Ciemne oczy feyona błyszczały w świetle. Długie złociste loki Cérise opadały na jej piersi, a on sięgnął po ich pasma i odsunął je na bok – niemal przypadkowa pieszczota wrażliwych miejsc.

– Jesteś przepiękna – powiedział. – Chcę cię mieć i kochać, i gryźć, jeśli mi na to pozwolisz. – Nie pytał więcej o pozwolenie, tylko wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni. Zdawało się, jakby Cérise nic dla niego nie ważyła. Nie wypuścił jej z rąk nawet wtedy, gdy zasuwiał zasłonę.

Następnie opuścił ją na łóżko, położył się obok i przyciągnął Cérise do siebie. Jego ręce i usta badały jej ciało niczym odkrywca, który próbuje zgłębić najbardziej tajemnicze zakątki cudownego nowego świata. Był bardzo doświadczonym podróżnikiem, zręcznym i podniecającym, ona zaś wszystkimi zmysłami chłoneła każdy kawałek jego skóry i ciała, pragnąc pojąć go w każdym aspekcie.

Nie spieszył się, ona zaś czuła, jak zatraca się w jego pocałunkach, jak jej myśli się zamykają, odsuwają wszystko, co nie było bezpośrednio związane z doznaniem ciała i duszy. Nie było nic więcej poza przyływem fizycznych reakcji. Nic, co miałoby znaczenie.

Poruszali się jak tancerze w odwiecznym pas de deux, w pełnej harmonii. Żadnego wstydu, żadnego uczucia, że ten mężczyzna był obcą istotą. Cérise знаła go i on znał ją. Gdy wszedł w nią, zaczęli poruszać się harmonijnie w rytm muzyki bijących serc. Arpad odczuwał ją z żądzą i niesamowitą intensywnością męskiej rozkoszy. On i Cérise stąpiali się i gdy kobieta pojękiwała i krzyczała, słyszała swój głos, jakby dochodził z daleka. Arpad był znacznie cichszy. Słyszała tylko jego dyszący oddech.

A potem leżeli obok siebie. Mężczyzna trzymał ją w ramionach i łagodnie kołysał. Jego gęste, miękkie włosy opadały na twarz Cérise i były tak puszyste jak włosy dziecka. Ciało miał ciepłe i przyjemne, ale nie gorące. Poczowała jego oddech i wymienili długi pocałunek. Później zapadła w krótki sen, a gdy się obudziła, zauważyła, że nakrył ich oboje kocem. Wciąż głaskał jej włosy.

Mocno przykryta gazowa lampa dawała niezbyt wiele światła, akurat tyle, by Cérise mogła widzieć rysy twarzy kochanka. Wyglądał łagodnie, spokojnie, pięknie i budził zaufanie. Jego oczy nie były do końca czarne. Teraz gdy leżała tak blisko, mogła zobaczyć, że jego tęczówki miały antracytowo-szary kolor. Ich oczy spotkały się, mężczyzna się uśmiechnął.

– Zbudziłem cię?

– Nie – odparła.

– Jesteś bardzo zmęczona? – zapytał na to, a ona się uśmiechnęła, bo wiedziała, o co tak naprawdę pytał.

– Nie. Czuję się wspaniale. Myślę, że już dawno się tak nie

czułam.

Przyciągnął ją jeszcze bliżej.

– To dobrze – powiedział i brzmiało to prawie tak, jakby poczuł ulgę.

– Bałeś się, że tak nie będzie? – Cérise niemal nie mogła uwierzyć, że go to niepokoiło. Nie wyglądał na mężczyznę, który wątpiłby w swoją zdolność, by zadowolić kobietę.

– Miałem nadzieję. Ale mogłem cię pieścić tylko ciałem. Normalnie używam jeszcze moich myśli.

Spojrzała na niego zdziwiona.

– Wisiorek – wyjaśnił i zabrzmiało to, jakby był lekko zawstydzony.

Pocałowała jego delikatnie wyrzeźbione usta.

– Nie wiem nawet, jak się do ciebie zwracać. Graf Arpad brzmi strasznie sztywno, prawda? – Roześmiała się i poczuła przy tym trochę dziecinnie. – To mi się jeszcze nie zdarzyło. To znaczy jeszcze mi się nie zdarzyło, bym nie wiedziała, jak się mam zwracać do kogoś, z kim już razem byłam. A może wolałbyś, abym zwracała się do ciebie Wasza Łaskawość? Albo Dostojny?

Wydał bulgoczący chichot.

– Nie, moja piękna. Ten sposób wydaje mi się trochę zbyt mało intymny. Moje prawdziwe imię brzmi Torlyn. Niewielu ludzi je zna i ufam, że zachowasz to imię dokładnie tutaj. – Położył rękę na jej piersiach i przytrzymał na sercu. Cérise czuła jego dotyk na skórze, później pod skórą, a w końcu na sercu. Czuła, jakby uderzało we wnętrzu dłoni Torlyna, czuła, jak jego palce obejmują jej bijące serce. Lekkomyślne. Wspaniałe. Intymne. Niepokojące.

– W miłości i w gniewie? – zapytał. – Chcesz?

– Tak – powiedziała. – O tak. Chcę.

## Rozdział 54

Związali mnicha jak paczkę i wrzucili do jednego z pustych pokoi. Delacroix zamknął drzwi wytrychem. Pułkownik jednak zdawał sobie sprawę, że to tylko tymczasowe rozwiązanie. Ten człowiek nie był sam. Był jeszcze ojciec, a Delacroix miał pewność, że razem z księdzem przybył również mistrz sztuk tajemnych. Biorąc pod uwagę moc f rękopisu, należało oczekiwać, że Bractwo wysłało swoich najlepszych ludzi.

Był wzburzony. Nie dysponował niczym, co mógłby przeciwstawić magicznemu atakowi. Nie miał już nawet amuletu. Ciekawe, czy wisior pomógł przynajmniej Cérise z jej zagadkowym wielbicielem. Ten mężczyzna, który pojawił się, by ratować jej życie. Ten mężczyzna, który później uratował życie Corrisande. Gdyby nie on, zginęłyby z rąk Delacroix.

Może tak byłoby lepiej. W duchu znów zobaczył spojrzenie dziewczyny, gdy celował nożem w jej serce. To spojrzenie było pełne absurdałnego zaufania. Umarłaby, Delacroix by ją oplakiwał, a von Orven próbowałby go zastrzelić w pojedynku.

Kto wie co by się wtedy stało. Śmierć Corrisande nie powstrzymałaby zjawy przed ponownym pojawieniem się w hotelu. Oszczędziłaby jedynie Delacroix wściekłości na sytuację, której nie rozumiał. Wściekłości na to, że zrobił z siebie kompletnego idiotę, choć nikt poza nim o tym nie wiedział.

Przypomniął sobie ostatnią noc, kiedy potrzasał dziewczyną, póki nie obudziła się z omdlenia. Teraz znów chciałby szarpać tę młodą kobietę, dopóki nie wytrząśnie z niej ostatniego ziarna prawdy. Była jak piękny, lśniący małą, dobrze ukryta w swej muszli pełnej niezgłębionych tajemnic, i nie można było tak naprawdę mieć pewności, czy znajdzie się tam perłę, czy też gnijącą, śmierdzącą rybę. Mimo wszystko Delacroix było żal Corrisande. Gdy roztrzęsionymi, drżącymi rękoma nie mogła otworzyć drzwi, było mu jej żal. A więc wziął śmierć Vonderbrücka na siebie. Żołnierz podczas oficjalnej misji. Pojawia się

pytania, ale nie będzie żadnych kłopotów. W przypadku Corrisande sprawy przedstawiałyby się inaczej.

Ale wtedy policja może dowiedziałyby się paru rzeczy o Miss Jarrencourt; wszystkich tych rzeczy, które Delacroix chętnie by poznał. Służby miały swoje środki i metody.

Wyszli z pokoju Udolfa i udali się do Asko. Żelazną szkatułkę wzięli ze sobą. W jego pokoju mogli przynajmniej zamknąć drzwi.

– Niech pan popatrzy. – Von Orven wskazał na podłogę przed drzwiami von Görenczy'ego. – To krew. Musi być czyjaś. Mnich nie był ranny. Udolf musiał kogoś trafić.

Krwi nie było wiele, ale wystarczająco dużo, by założyć, że intruz trafiony został kulą szwoleżera albo odłamkiem z drzwi. Weszli do pokoju von Orvena. Podporucznik odstawił skrzynkę na stół, a von Görenczy stanął przed nią, nie kryjąc wściekłości. W ręce nadal ścisnął pistolet Delacroix.

– Wciąż mnie wzywa – poskarżył się. – Niemal już ją otworzyłem. Wnika w moje myśli i mówi, bym otworzył skrzynkę.

– A więc cień jest jeszcze niebezpieczniejszy, niż zakładaliśmy – odparł Delacroix. – Jeśli potrafi wpływać na ludzi przez warstwę zimnego żelaza, to musi być bardzo potężny. Musimy zachować wielką ostrożność i żaden z nas nie powinien pozostawać z tym sam. To zbyt ryzykowne.

Usiedli. Delacroix wyjął z wewnętrznej kieszeni mały pistolet.

– Wydaje mi się, że należy do pana. – Wyciągnął broń w stronę Udolfa. – Miał go nasz martwy mag.

– Och! Moja pieprzniczka! – ucieszył się Udolf. Wydawało się, jakby znów spotkał starego, dobrego przyjaciela. – Nie wierzyłem, że jeszcze ją kiedyś zobaczę. Jak to się stało, że ją miał, i dlaczego jest martwy?

– Obawiam się, że musieliśmy go wyeliminować. Był oszustem i interesował go manuskrypt. Zaatakował nas magią. Nie mieliśmy wyboru.

– Wielki Boże! – wykrzyknął von Görenczy. – Co on chciał zrobić z tym rękopisem?

– Przejąć władzę nad światem, na ile słyszałem – odparł Asko. –



Marzenie wszystkich megalomańskich strategów ze wszystkich czasów. Cóż. Teraz przekroczył już swój Rubikon.

– A kim był ten trup w piwnicy? Wiemy to? Skoro Vonderbrück miał mój pistolet, prawdopodobnie to on mnie powalił.

– Najprawdopodobniej – potwierdził Delacroix i odchylił się w fotelu wyczerpany. – Martwy był prawdopodobnie prawdziwym, wysłanym przez rząd magiem. Musimy przekazać Vonderbrücka policji. Ale to może poczekać. Nie będzie nam już wchodził w drogę.

Wiedział, że powinien opowiedzieć o wszystkim, co mówił mu mag. Ale nie zrobił tego. Nie był nawet pewien, czy byłby w stanie przypomnieć sobie słowo w słowo pogmatwane szczegóły, którymi Vonderbrück wraz ze swą magią i pogardą go zarzucił. Królowa daje królowi mata. Jego Najmniejsza Wysokość, w którego otoczeniu powabne młode kobiety są łatwym towarem. Księżniczki, których usługi można było kupić. Interpretacja tych zawitych słów wskazywała tylko na jedno.

Mniejsza z tym. Delacroix odpiął surdut i spróbował nasunąć na ranę w ramieniu kolejną chustkę.

Von Orven go obserwował.

– Powinniśmy zmienić panu opatrunek – powiedział rzeczowo i wyciągnął z komody na bieliznę czysty ręcznik.

– Jest pan bardzo uprzejmy – zauważył Delacroix z chłodnym uśmiechem – jeśli się weźmie pod uwagę, że jeszcze całkiem niedawno chciał pan wyekspediować mnie kulą na tamten świat. Czy mogę zakładać, że zrezygnował pan ze swych zamiarów?

Asko się zaczerwienił.

– Miss Jarrencourt wyjaśniła mi mój błąd. Mylnie zinterpretowałem pańskie zachowanie. Przepraszam pana, sir.

Uśmiech Delacroix stał się kpiący.

– Chciała mnie przed panem ratować? Czy może na odwrót?

Obaj mężczyźni patrzyli na siebie ze złością. Delacroix pierwszy spuścił wzrok.

– Przykro mi, panie podporuczniku – powiedział. – Nie powinienem pana atakować. Jestem zmęczony, a gdy jestem zmęczony, mam skłonność do złośliwych odzywek. Proszę mnie ignorować. Mamy

ważniejsze sprawy do omówienia.

– Z pewnością tak – odpowiedział sztywno Asko. – Bądźmy wdzięczni, że nie zabił pan Miss Jarrencourt. Niech pan zdejmie surdut. Chciałbym obejrzeć to ramię.

Delacroix nie podobało się, że komenderował nim młodszy oficer, ale usłuchał bez sprzeciwu.

– Zastanawiam się, co się stało z doktorem Steinbergiem – rzucił Udolf. – Zupełnie jakby rozpułnął się w powietrzu.

– Może wrócił po prostu do swojego gabinetu. Ale równie dobrze może wciąż być tutaj. Dziwne, jak wszystko tutaj znika. Zwłoki, pistolety, rękopis, reputacja. A więc dlaczego nie lekarz – w głosie Delacroix brzmiała gorycz.

– Nie ruszać się – rozkazał Asko i zdjął stary opatrunek.

Obejrzał ranę, Delacroix też przyjrzał się swojemu ramieniu.

Nie wyglądało źle.

– Szybko się goi – zauważył von Orven. – Dziś rano wyglądało to trochę gorzej. – Podarł ręcznik i zrobił nowy opatrunek. – Jutro być może znowu powinien pana odwiedzić lekarz.

– Niech pan natychmiast odejdzie od tej skrzynki! – rozkazał Delacroix Udolfowi, który nagle znów stał przed nią z rozmarzonym uśmiechem.

Udolf wzdrygnął się.

– Cholera! Znów mnie prawie dorwał – zaklął. – To ma coś...

– Nie możemy pana zostawiać samego. Najwyraźniej musimy również pilnować siebie nawzajem i być gotowi na atak. – Spojrzenie Delacroix było ponure.

– Chciałem właśnie zapytać, kiedy wreszcie powie nam pan coś więcej o niebezpieczeństwach, których najwyraźniej pan się spodziewa, a o których nic nie wiemy – odparł sucho von Görenczy. – Do cholery, chyba już najwyższy czas! Nie należę do ludzi, którzy niewolniczo trzymają się protokołu, ale jesteśmy grupą bojową, a pan, pułkowniku, jest gościem w naszym kraju. Zapewne Asko może panu lepiej wyjaśnić, jakie zobowiązania z tego wynikają.

Asko przez krótką chwilę wyglądał na wstrząśniętego. Potem przytaknął.

– Oczekiwał pan tego mnicha. – Usiadł. – Udolf ma rację. Musi nam pan wszystko powiedzieć.

Delacroix ziewnął. Był nieskończenie zmęczony. Siedzenie sprawiało, że wszystko stawało się jeszcze gorsze. Jego wściekłość, agresja i instynkt wyczuwania niebezpieczeństw dotąd wciąż popychały go do działania. Teraz jednak ciało Delacroix domagało się wypoczynku.

– Powiem panom to, co wiem. Nie ma tego wiele. Proponuję też, aby dwóch z nas czuwało nad tą istotą i nad sobą nawzajem. Trzeci mógłby się trochę przespać. Jeśli tak podzielimy warty, będziemy mogli wypocząć. Będziemy tego potrzebować. Sprawa jeszcze się nie skończyła.

Odchylił się.

– To nie będzie łatwe, panowie – ciągnął ze znużeniem – ponieważ muszę prosić, by wysłuchali mnie panowie ze spokojem i bez uprzedzeń. Zakładam, że obaj panowie są katolikami?

Przerwał i patrzył, jak przytakują. Oczywiście, że byli katolikami. A to sprawiało, że wszystko robiło się jeszcze trudniejsze. Pułkownik nie miał szczególnych uprzedzeń, jeśli chodziło o różne wyznania, ale zdecydowanie wolałby dwóch jawnych antypapieskich prezbiterian. Takim mógłby wyjaśnić sprawę, nie wpędzając ich przy tym w dylemat lojalności.

– Wiecie panowie, że rękopis od setek lat był w posiadaniu i pod ochroną Kościoła anglikańskiego, zanim go wykradziono. Kościół anglikański, Anglia, chce go z powrotem. Znamy niebezpieczeństwa, jakie niesie ze sobą ten zwój. Tego nie musimy omawiać. Jednak – pochylił się nieco – Kościół katolicki to więcej niż odłam wiary. W naszym świecie jest też siłą polityczną złożoną z najprzeróżniejszych religijnych ugrupowań i zakonów. Dobroć i łagodność mogą być głównym celem życia chrześcijanina, myślę jednak, nawet jeśli nie wyznajemy tej samej religii, że przyznają mi panowie rację, iż Kościół jako instytucja polityczna nie jest ani łagodny, ani delikatny. Von Görenczy, znów pan się za bardzo zbliża do tej skrzynki. Niech pan usiądzie – głos Delacroix brzmiał jak nauczyciela, gdy karci knąbrnego ucznia. – Inkwizycja, jak panowie zapewne wiedzą, przez setki lat

potępiła i zabiła bardzo wielu ludzi.

Spojrzał na obu mężczyzn. Von Görenczy wyglądał na spiętego, a von Orven patrzył pogardliwie.

– Niech pan przejdzie wreszcie do sedna – nakazał ten ostatni. – Żyjemy w epoce rozumu i postępu. Inkwizycja jest martwa.

Delacroix spojrzał na niego, marszcząc czoło.

– To nie do końca prawda. Mały odłam, nazywający się Bractwem Światła albo Fraternitas Lucis, wciąż kontynuuje te stare, dobre tradycje. Przez stulecia jego członkowie rozbudowali się w małą, ale imponującą grupę operacyjną, która zajmuje się głównie zwalczaniem magii i sprawami feywnów. Przez „zajmuje się” rozumiem raczej śmiertelny sposób postępowania. Zapewne myślą panowie, że minęły już setki lat, odkąd spalono ostatnią czarownicę albo czarownika. Mogę panów zapewnić, że stosy wciąż płoną. Sam to widziałem.

– To śmieszne. To tylko obrzydliwe pomówienia! – Podporucznik von Orven nie wyglądał na rozbawionego.

– Proszę dać mi opowiedzieć do końca. Ten zakon wychowywał mnie przez kilka lat. Musiałbym cofnąć się zbyt daleko w przeszłość, by wyjaśnić, jak do tego doszło, ale wiem swoje. Mogą w to panowie nie wierzyć, ale nie czyni to moich słów mniej prawdziwymi. Jeden z... nauczycieli... odwiedził mnie dziś po południu. Wygląda jak mały, naiwny włoski ksiądz. Widział go pan zresztą, jak wychodził z mojego pokoju. Jest do cna fanatycznym, niebezpiecznym człowiekiem. Domagał się rękopisu. Wysłałem go do diabła. Mnich, którego złapaliśmy, jest jednym z jego ludzi i wiem na pewno, że jest z nim jeszcze pewien „chrześcijański mag”.

Milczeli.

– Cóż – odezwał się w końcu Asko. – Jeśli to, co pan mówi, jest prawdą, to nie wiem, w jaki sposób mielibyśmy się obronić przed magicznymi atakami. Nie moglibyśmy im się przeciwstawić, a ponadto zadaję sobie pytanie, czy rękopis faktycznie nie byłby pewniejszy w rękach stanowczych chrześcijan, którzy broniliby dostępu do niego przed potworami i żądnymi władzy pomyleńcami. Mogę sobie wyobrazić, że dobrze byśmy zrobili, prosząc tę grupę o pomoc, zamiast ją zwalczać albo upychać jej członków związanych po pokojach. I skoro

już przy tym jesteśmy, to niech sobie od razu zabiorą to cholerne coś. Udolf, na Boga, weź się w garść! Wyglądasz, jakby ta skrzynka opowiadała ci bajkę!

– Bo pewnie prawie tak jest – wyjaśnił Delacroix.

– W każdym razie ja nic nie wyczuwam, a pan, pułkowniku, też zdaje się na to nie reagować. Nic sobie nie robię z magii i z feyonów. Jeśli o mnie chodzi, to niech ten zakon zrobi sobie z cieniem, co chce, i z każdą inną nienaturalną kreaturą na tym bożym świecie.

Delacroix patrzył na niego zdumiony.

– Jak na kogoś, kto okazuje tyle wrażliwości innym ludziom, a szczególnie płci pięknej, jest pan strasznie twardym człowiekiem, gdy chodzi o mityczne istoty, panie podporuczniku. Nie wszyscy ludzie są bez wyjątku dobrzy i moralni i nie wszystkie feyony są bez wyjątku złe i niegodziwe. Zaś jeśli chodzi o palenie kobiet, które dla tego czy owego widocznie nie były dość uniżone i obyczajne, to można by sądzić, że tak uporządkowanemu i logicznemu umysłowi jak pański powinno się to wydawać czymś obrzydliwym.

Jestem żołnierzem i zabiłem paru wrogów. Nienawidzę jednak tortur i brzydzę się arogancją samozwańczej instancji wierzących, że mają prawo zameczać, kaleczyć albo zabijać tych, którzy nie pasują do ich koncepcji, nie wyglądają na „dzieci boże” i nie działają ani nie myślą tak, jak według owych instancji powinny.

Po tym przemówieniu podporucznik von Orven wyglądał na lekko wstrząśniętego. Jego głęboka dezaprobatą dla wszystkiego, co magiczne i nienaturalne, skłoniła pułkownika, by powiedział więcej, niż zamierzał.

– Niezależnie od tego – ciągnął dalej Delacroix – chciałbym panu przypomnieć, że otrzymał pan rozkaz, by pomóc mi w odszukaniu rękopisu. Mam zabrać zwój z powrotem do Anglii. Jeśli pańskie instrukcje w tej kwestii uległy zmianie, to teraz jest najwyższa pora, by mnie pan o tym powiadomił.

Von Orven sprawiał wrażenie skruszonego i przez chwilę nic nie mówił.

Udolf postanowił się wtrącić:

– Nasze instrukcje nie uległy zmianie. O to nie musi się pan troszczyć. Ja sam też nie jestem zadowolony, że muszę dzielić ten świat

z takimi bydlakami jak owo cholerne coś w tej skrzynce, ale może obrzydzenie nie daje nam prawa, by wytepić z tego świata wszystko, co jest inne niż my. Zgoda, rzeczywiście mam kłopot z wyobrażeniem sobie „dobrego feyona”. Cała ta cholerna hołota wydaje mi się podejrzana, szczerze mówiąc. Sama myśl, że są czymś więcej niż przesądem, w ogóle nie wydaje mi się budująca. Ale moje osobiste zdanie jest zupełnie bez znaczenia. Jeśli zostaniemy zaatakowani magią, możemy jedynie przegrać. Nie mamy nic, co moglibyśmy temu przeciwstawić. Moja broń jest naładowana i jestem gotów wpakować kulkę w łeb każdemu, kto próbowałby ukraść naszego dopiero co uwięzionego potwora. Ale najchętniej bym się go pozbył. Naprawdę doprowadza mnie do szaleństwa.

– Może pan na nas polegać, wypełnimy obowiązek – dodał Asko.  
– Gdybym jednak miał zastrzelić księdza, to przykro mi, ale musi mnie pan zrozumieć. Nie mogę pogodzić z moim sumieniem tego, by zastrzelić człowieka Kościoła po to, aby chronić potwora. Ponadto jestem pewien, że nie mogę podpisać się pod pańską wspaniałomyślną definicją „dobrego i złego Sí”. Być może nie mam racji, ale przez całe życie nie zdarzyło mi się usłyszeć o jakimś „dobrym Sí”.

– W takim razie jak nazwałby pan tego, który uratował Miss Jarrencourt? Przypomina pan sobie? Nie spodobało się panu, że próbuje ją zabić. Jak pan myśli, dlaczego ona jeszcze żyje? Niech pan sięgnie do swojej pamięci. Wspomnienie o tym musi się tam kryć.

Obaj oficerowie patrzyli na siebie bardzo poirytowani.

– Nie wiem, o czym pan mówi – zaczął Asko. – Nie mam żadnego... – zamilkł. Wyraz jego twarzy zmienił się w pełne niedowierzania zdziwienie.

– W piwnicy był Sí, moi panowie. Najpierw uchronił przed atakiem Cérise, a później powstrzymał mnie, gdy... – Delacroix z trudem znajdował słowa, by opisać wydarzenia – gdy próbowałem zasztyletować Miss Jarrencourt, zanim ona...

– Już dobrze – przerwał mu von Orven. – Mam przed oczyma niejasny obraz. Niejasny. Coś rzuciło mną przez pomieszczenie. Wyjątkowo silne. Niesamowicie silne. Niemal złamało mi ramię, kiedy mnie złapało. Powstrzymało pana przed zabiciem Miss Jarrencourt. Ale

nie znamy motywów jego zachowania. Może jedynie chciało uchronić Miss Jarrencourt dla swego „krewnego”, zaś jeśli chodzi o mademoiselle Denglot, to mogło mieć własne powody. Powinniśmy ją ostrzec. Choć może jest już za późno. Przypominam sobie, że chyba widziałem, jak wyglądało z jej pokoju.

Zerwał się na równe nogi i pobiegł do drzwi. Dwaj pozostali mężczyźni próbowali jeszcze przetrwać informację, że piękna śpiewaczka przyjmuje gości o tak późnej porze.

Żadnemu z nich ta myśl się nie podobała, ale też żaden się nie podniósł.

– Może potrzebować naszej pomocy – nalegał Asko, czekając, aż towarzysze do niego dołączą. – Kto wie co to coś może jej zrobić.

– Proszę – powiedział Delacroix, patrząc uparcie przed siebie – nie traćmy czasu na mademoiselle Denglot. Owo „coś”, jak raczył pan to nazwać, jest mężczyzną i Cérise będzie wiedziała, jak sobie z nim poradzić. Nie sądzę – ciągnął oschle – by mademoiselle Denglot podziękowała nam za wtrącanie się w jej sprawy. Jest pewną siebie kobietą, która dobrze wie, co robi, a przynajmniej tak jej się wydaje. Poza tym ma mój amulet, który chroni ją przed wpływami magii. Niech mi pan wierzy, jeśli się pan wtrąci, nie powinien pan oczekiwać od Cérise wdzięczności.

Von Orven patrzył na niego z niedowierzaniem.

– Ale przecież nie może pan tego wiedzieć! Jest środek nocy, a to stworzenie znajduje się w pokoju mademoiselle Denglot! – Von Orven był wstrząśnięty. – Nie może pan po prostu pozostawić jej własnemu losowi! Nie wiąże mnie z nią co prawda żadna przeszłość, ale uważam, że jako członek naszego zespołu zasługuje na naszą ochronę!

Podporucznik von Görenczy uśmiechnął się smutno.

– Asko, może to dla ciebie trudne do zrozumienia, ale ta dama sama potrafi ocenić, kto może wejść do jej sypialni, a kto nie. Masz prawo uznać jej wybór za pozbawiony gustu, ale jej gust...

– ... nie ma dla nas znaczenia – przerwał pułkownik. – Pewnie myśl, że zaleca się do niej baśniowa istota, wyda się Cérise interesująca. Może nawet kusząca.

– Kobiety są zbyt romantyczne i zbyt sentymentalne – upomniał go

Asko. – Nie można oczekiwać, by w sprawach sercowych zachowywały się logicznie. Wciąż uważam, że powinniśmy...

– Nie. Nie powinniśmy. Po pierwsze, mamy pilniejsze rzeczy do zrobienia niż pilnowanie cnoty nazbyt zmysłowej operowej diwy, a po drugie, nic nam do tego. – Delacroix wyglądał na rozsierzonego. – I na pewno, von Orven, nie jest to pańska sprawa. Serdecznie więc pana proszę, by skorzystał pan ze swego doskonałego wychowania i w pełni zignorował niewłaściwy postępek tej damy. Niech pan o tym zapomni.

Ale Asko von Orven nie potrafił zapomnieć. Był wstrząśnięty.

– Pułkowniku, być może ma pan jakiś powód, by nie wtrącać się w tę delikatną sprawę, Udolf zapewne też. Nie chcę znać powodów, ale nie umknęło mojej uwadze, że mademoiselle Denglot jest kobietą z przeszłością i że jest pan częścią tej przeszłości. Jestem jednak pewien, że mademoiselle nie wie, w co się pakuje. Zapewne z utęsknieniem oczekuje naszej pomocy! Moi panowie! Pomyślcie! Ta kreatura nawet nie należy do naszego gatunku! To jest... to by była... – Jego głos opadł do pełnego wzburzenia szeptu: – Sodomia! – Wydawało się, że wymówienie ostatniego słowa sprawiało podporucznikowi problemy.

– Wie pan co? – odpowiedział jadowicie Delacroix. – Bractwo Światła w pełni podzielałoby pańskie zdanie. Dlatego też jeszcze raz usilnie pana proszę, ze względu na bezpieczeństwo mademoiselle Denglot, jak również nasze własne, by zapomniał pan o tym intermezzo. Jej zachowanie może się panu wydawać niesmaczne, ale nie jest pan jej stróżem. To samo dotyczy zresztą von Görenczy'ego i mnie. Nie mamy ze sobą zbyt wiele wspólnego, więc zapewne z trudem przyjdzie panu w to uwierzyć, ale nawet gdybym uważał zachowanie Cérise za godne pożałowania, to nie chciałbym, aby doznała uszczerbku z powodu podłych pomówień. A więc nie mówmy o tym więcej. Musimy być wdzięczni temu mężczyźnie za to, że uratował życie Miss Jarrencourt i moje. Ponieważ jej śmierci zapewne nie pozostawiłby pan niepomszczonej, prawda?

Podporucznik von Orven nie odpowiedział.

– Chyba nie jest do końca zły – zapewnił podporucznik von Görenczy – Zdaje mi się, że przypominam sobie, jak klęczał obok dziewczyny i jej pomagał, gdy ty i pułkownik zajęci byliście sprawą



waszego pojedynku.

– Dotknął jej? – zapytał wstrząśnięty Asko.

– Oczywiście. Mogłeś sam jej pomóc, ale byłeś za bardzo zajęty kłótnią, a ja miałem co robić z tą cholerną skrzynką. – Von Görenczy cofnął się o krok, gdy zauważył, że znów się zbliżył do szkatułki.

– Święta Mario! – wykrzyknął z poczuciem winy von Orven. – Zupełnie zapomniałem o moich obowiązkach! Czy Miss Jarrencourt mi to kiedyś wybaczy? Przynależem, że będę ją chronić, a została napadnięta przez tę potworną, złą i nienaturalną istotę!

– Moglibyśmy znów skupić się na prawdziwych problemach? – Delacroix przerwał potok słów obwiniającego się młodego mężczyzny. – Na przykład na tym, jak zareagujemy, jeśli zostaniemy zaatakowani? A to się może zdarzyć w każdej chwili.

Zapadło milczenie. Po chwili odezwał się von Görenczy:

– Ma pan jakieś wyobrażenie, jak taki atak mógłby wyglądać?

– Obawiam się, że nie. Właściwie niemal wszystko jest możliwe – odpowiedział Delacroix.

Rozległo się pukanie do drzwi. Trzech mężczyzn uniosło broń.

## Rozdział 55

Gdy Corrisande się obudziła, był środek nocy Marzła. Coś wyrwało ją z potwornego koszmaru, który ją nawiedził, ale nie wiedziała, co to było.

Czuła łzy na twarzy Płakała przez sen. Jej ręce kurczowo ścisnęły poduszkę, leżała na wznak rozebrana na hotelowym łóżku.

Może to ją obudziło. Nie czuła się dobrze. Podciągnęła kołdrę. W pierwszej chwili nie mogła sobie przypomnieć, dlaczego leżała w łóżku na wznak rozebrana. Później jej myśli zalała lawina wrażeń. Potworny, czarny sen zbladł, ustępując miejsca jeszcze straszliwszej rzeczywistości. Przez dłuższy czas Corrisande nie wiedziała, gdzie kończy się koszmar ostatnich dni, a zaczyna zgroza jej najgorszych snów.

Była feyonem. Przynajmniej częściowo. Taka była rzeczywistość. Ta myśl wciąż powracała. Nie należała do koszmaru i nie popadnie w zapomnienie, gdy nadejdzie nowy dzień. Corrisande była inna. Była nienaturalna. Wstrętna, godna pogardy i obrzydliwa. Ludzie ją znienawidzą, ponieważ była, kim była, a przy tym nie wiedziała nawet, co to znaczy być kimś takim.

Jej życie było zrujnowane. Pilnie strzeżona reputacja upadła z powodu człowieka, który zdradził jej ojca i ją samą, człowieka, który próbował zabić Delacroix i oczywiście von Orraia.

Nazwał ją cudowną małą dziewczynką. To bardzo wytwornie. Piękna przynęta. Nieważna dla nikogo oprócz tego jednego, który uważał się za zbyt silnego i potężnego. Protegowana wielu. Łatwy do posiadania towar. Nie żeby kiedykolwiek miał się pan nią nacieszyć, prorokował zdrajca, zwracając się do Delacroix.

To ostatnie zdanie było prawdą. Delacroix się nią nie nacieszył. Nienawidził obecności Corrisande i wszystkiego, czego dowiedział się od tego żądnego władzy szaleńca. Nienawidził tego, ale nie wątpił w słowa zdrajcy.

W pewnym sensie Dupont miał rację. Była wartościowa. „Król”

pewnie nawet mu nie powiedział, kto taki przyjeżdża do Monachium, co najwyżej napomknął, że chodzi o jedną z jego podopiecznych i że Dupont ma ją wspierać, jeśli zajdzie potrzeba. Najprawdopodobniej człowiekowi o tak strasznym charakterze łatwo przyszło uwierzyć, że chodzi o metresę „Króla”, a nie o jego córkę, a nawet gdyby wiedział, że Corrisande była córką przywódcy, to prawdopodobnie i tak uważałby ją za kobietę, której względy można kupić.

Słyszała o takich kobietach, jednak jej ojciec nigdy się szczególnie nie interesował tego rodzaju działalnością w półświatku. Dbał nawet, by damulki nazbyt znane z dwuznacznej reputacji nie przekraczały progów jego ekskluzywnej jaskini gier. Miał wyższe ambicje. Ten rodzaj usług nie był jego specjalnością.

Ojciec świadomie trzymał Corrisande z dala od tego aspektu przestępczej działalności. Eliza zaś i tak uważała, że szczegółowa wiedza o cielesnej miłości odbiera twarzy wyraz niewinności. Corrisande była złodziejką – dość dobrą na domiar złego – ale nigdy nie przyszło jej do głowy, by zarabiać swoim ciałem. Taka myśl była dla dziewczyny odpychająca, mimo że nie wiedziała, na czym dokładnie polegałaby tego rodzaju kariera. To było niemożliwe. Przeczyłoby wszystkiemu, czego nauczyła się od swoich świetnie opłacanych, nienagannie moralnych guwernantek. I zdawało się dziewczynie tym bardziej obrzydliwe, odkąd musiała znieść wzbudzające wstręt próby zbliżenia istoty, która chciała zawładnąć Corrisande wbrew jej woli.

A później Delacroix spróbował tego samego. Może nie dokładnie tego samego. Dziewczyna czuła na sobie jego pożądliwe ciało, rozpalone i namiętne, a nie zimne i wstrętne, jednak brutalny brak poszanowania jej życzeń i uczuć nie różnił pułkownika od potwora – Delacroix okazał tę samą pogardę co cień, tak samo nie uznał dziewczyny za myślącą i czującą osobę.

Napaść Delacroix nie była dla niej aż tak obrzydliwa jak atak potwora o wielu mackach. Pułkownik skrzywdził Corrisande inaczej. Trzymał ją silnie, był bezwzględny, ale to nie fizyczny ból jej ciążył. Ten przeminie. Chodziło o upokorzenie, o nagłe uczucie, jakby coś w niej pękło, jakby jej duma była ze szkła i została strzaskana, a odpryski raniły serce dziewczyny.

Znów zaczęła bezgłośnie płakać. Płakała, gdy wróciła do pokoju, i Marie-Jeannette też zaczęła szlochać. Obejmowały się kurczowo i płakały – ze strachu i rozczarowania.

Nagle zmęczenie Corrisande osiągnęło szczyt. Dopiero wtedy spostrzegła, że leży na podłodze i nie jest w stanie się podnieść. Nie zemdląca, po prostu straciła siły. To wystraszyło Marie-Jeannette jeszcze bardziej. Pokojówka nie przywykła, by jej pracodawczyni okazywała słabość. Choć delikatna, to jednak Corrisande była znacznie twardsza, niż się mogło wydawać na pierwszy rzut oka.

Ale teraz Corrisande zupełnie straciła energię, złamana i zagubiona. Marie-Jeannette potrzebowała wszystkich swoich sił, by doprowadzić młodą damę do sypialni i zdjąć z niej przynajmniej część ubrań. Corrisande drżała tak bardzo, że pokojówka nie była w stanie rozwiązać jej gorsetu.

Wspomnienia ostatnich dni powracały nieuporządkowane i niechciane. Słowa, urywki zdań i głosy pobrzmiwały echem jak fragmenty muzyki, od których nie można się uwolnić. „Niecałowana, słodka Corrisande? Niech pani pozwoli, że zmienię ten stan”. „Dobrze się pani czuje, Miss Jarrencourt?” „Gdyby miało dojść do najgorszego, Corrisande, może pani na mnie polegać. Przyrzekam, że zrobię to szybko”. „Dobrze się pani czuje, Miss Jarrencourt?”

Delacroix powinien był ją zabić. Ale wtedy sam też by nie przeżył. Zgodnie z dramatycznym literackim wzorcem bohaterka, którą tak poniżono, po prostu by umarła. Tego oczekiwano od kobiet, które straciły honor, obojętnie, czy były temu winne, czy nie. Oczekiwano, że po prostu umrą, by społeczeństwo nie czuło się niezręcznie. Że tracąc chęć do życia i odejdą z tego świata ze złamanym sercem albo że wejdą na najwyższą skałę jakiejś zakazanej góry i rzucają swe zhańbione ciało w bezlitosną przepaść.

Albo że wezmą truciznę.

Corrisande miała truciznę.

Czy stanie się to szybko? Nie wiedziała. Ale z pewnością nie będzie boleć. Jej wyczerpany umysł trzymał się przez chwilę tej myśli, byle zmusić do milczenia głosy, które huczały jej w skroniach, starając się przepędzić obawy, czy będzie w stanie coś zrobić i jak będzie dalej

żyć, czy będzie umiała znieść swoje odbicie w lustrze, mając świadomość tego, czym była.

Cisza. Umrzeć i zasnąć, i nic więcej.

„Proszę, nie cytuj mi tu Szekspira. To nie przystoi młodej damie”. Corrisande nie mogła sobie przypomnieć, gdzie zostawiła fiolkę, a była zbyt zmęczona, by wstać. Leżała więc tak tylko i rozmyślała nad możliwością ostatecznej ucieczki, była jednak zbyt wyczerpana, by się podnieść albo chociaż unieść rękę. Kończyny zdawały się zbyt ciężkie, by je poruszyć, jak z ołowiu. Każdy mięsień był osłabiony, nadwreżony i przeciążony. Leżała więc odrętwiała i marzła.

Wiedziała, że nie umrze tej nocy. Nie tej nocy. O ile Delacroix nie przyjdzie i nie wrazi jej jednak noża w serce albo nie zamorduje gołymi rękoma – i wiedziała też, że pułkownik nie przyjdzie. Nigdy nie spojrzy na nią błyszczącymi bursztynowymi oczyma.

Ona na niego też nie. Może ją rujnować szyderczymi uwagami i słowami, Corrisande na to pozwoli i nie poinformuje ojca, który usunąłby potencjalne niebezpieczeństwo. Ojciec nie zwątpiłby w lojalność córki i wierzyłby w jej wersję zdarzeń.

Tej nocy Corrisande nie umrze. Umieranie wymagało sił, a ona już żadnych nie miała. Nie miała sił, by się rozebrać i włożyć nocną koszulę, nie miała sił, by rozczesać włosy i wyjąć z nich szpilki, które drapały teraz jej głowę. Nie miała nawet dość sił, by wstać i poszukać trucizny. Trucizna była wyjściem dla tchórzy. A Corrisande nie była tchórzem.

I wcale nie chciała umierać. Chciała żyć. Chciała cofnąć się o tydzień i zdecydować, czy nie zostać jeszcze trochę w Paryżu. Albo zamiast do Monachium pojechać do Londynu, gdzie mogłaby zaprezentować swoje maniery i wdzięki jeszcze surowszemu towarzystwu. Poradziłaby sobie z łatwością, grałaby na nastrojach jak na swojej harfie, poruszając pewnymi palcami wiele strun.

Albo znów byłaby złodziejką. Przypomniła sobie, jak wspinała się po ścianach domów. To było łatwe. Zawsze myślała, że to niebezpieczne. Ale tak nie jest. Trzeba tylko uważać, by nie popełnić błędu. Ale jakoś żaden jej się nie przytrafił. Można przy tym stracić życie, ale nie można stracić serca.

Użalanie się nad sobą. Nic innego. Głupie, bezsensowne użalanie się nad sobą. Corrisande czuła do siebie wstręt. Rozmyślenia do niczego nie prowadziły. Może i miała w swoich żyłach krew feyona, ale nie mogła cofnąć czasu i zmienić przyszłości. Ani jutro, ani pojutrze. Jutro rano na nowo zbierze się na odwagę, i pojutrze również. „Najwyraźniej nie brakuje pani odwagi”, Corrisande usłyszała głos Delacroix. Oby miał rację. W wielu sprawach jej nie miał.

Obraz rozmył się przed oczyma dziewczyny i pokój zaczął wirować. Zdawało jej się, że łóżko unosi się gdzieś poza przestrzenią i czasem. Jej myśli rozpadały się na strzępy. Dryfowała na granicy snu z wyczerpania. Ale nie spała. Patrzyła na odbicie swojej twarzy, a potem to nie była już jej twarz. Wielkie błękitne oczy spoglądały z drugiej strony gładkiego jak lustro morza. Włosy, niczym wodorosty, unosiły się i falowały. Sobowtór Corrisande powiedział coś, ale szum oceanu zagłuszył słowa. Fala za falą uderzała o skalisty brzeg. Corrisande ogarnął potworny ból suchego łądu, uczucie, jakby wdychało się szklany pył. Z miłości do człowieka.

To na nic i jeszcze raz na nic.

## Glosariusz:

**Sí** [wym.: Szi] – mityczne stworzenie/stworzenia (jęz. irlandzki; inna pisownia: Sidhe)

**Dworzec Augsburski** – dzisiaj: Dworzec Główny (Hauptbahnhof)

**a la mode** – modny

**haut ton** – high society, wyższe sfery

**tres dégoûtant** – w bardzo złym stylu, odpychający

**Na Daoine-maithe** [wym. : na Dinima] – Dobrzy ludzie (Sí)

**miraculeux** – cudowny, zadziwiający, wspaniały

**n'est-ce pas** – nieprawdaż? Prawda?

**je suis désolée** – bardzo mi przykro

**de trop** – przeszkadzający, zbędny, stojący na drodze

**au revoir, ma belle** – do widzenia, moja piękna

**incroyable** – niesamowite, niesłychane, niewiarygodne

**sil vous plait** – proszę

**alors** – a więc

**dérangé** – skołowany, rozstrojony

**vraiment** – naprawdę, doprawdy

**air d'innocence** – atmosfera niewinności

**certainement** – oczywiście, oczywiście

**cocotte** – niemoralna kobieta, kokota, prostytutka

**Burke's Peerage** – angielski almanach rodów szlacheckich

**actualiter** – faktyczny, rzeczywisty (łacina)

**absolument** – absolutnie

**mes affaires** – moje sprawy/romanse

**passé** – przeszłe, minione

**pas du tout** – wcale, w ogóle nie, zupełnie nie

**contenance** – panowanie nad sobą, opanowanie

**la filie mai gardée** – źle strzeżona dziewczyna; również tytuł znanego baletu z XVIII wieku („Córka źle strzeżona”) *Nam mysterium iam operatur iniquitatis* – Ukryte zło zawsze działa (łacina) [Albowiem już działa tajemnica bezbożności (tłum. : Biblia Tysiąclecia, 2 List do

Tesaloniczan 2:7)]

**mon amour** – mój najdroższy, mój ukochany

**un moment** – chwila, chwileczkę

**divide et impera** – dziel i rządź (łacina)

**vous etes un idiot** – jest pan idiotą

**garłacz** – broń śrutowa dużego kalibru, z rozszerzoną lufą

**a la convenance** – małżeństwo z rozsądku, małżeństwo zawierane  
ze względów towarzyskich i społecznych

**impossible** – niemożliwe, niemożliwy